



ANDREA
STEWART

CÓRKA
KOŚCI

*Od pierwszych stron chwyta cię za serce
i gardło, a potem nie puszcza*

SARAH J. MAAS

A-122 – nie żyje

83-B-4 – żyje

720-H – żyje

I tak dalej, kolejne gryzmoły na papierze. Na znak solidarności poczułam skurcz w dłoni. Kiedy jednak spojrzałam na etykiety na szufladach, poczułam grozę szarpiącą mi gardło. Port Thuy – Jelenia Głowa – 1510 r.

Wiedziałam, co znajdę, gdy otworzę szufladkę, ale i tak to zrobiłam.

W środku, na aksamicie, leżały malenkie odłamki kości, odznaczające się bielą na czerwonym tle. Tak samo musiały wyglądać, gdy dłutem oddzielono je od ciał ich właścicieli. Bayan tu bywał, testował odłamki z Jeleniej Wyspy, sprawdzając, którzy z właścicieli wciąż żyją, a którzy zmarli, zatem w ich kościach nie pozostało już życie mogące zasilać konstrukt. Ich odłamki stały się obojętne.

Minęło pięć dni, odkąd przyszedł wieści o losie wyspy, a tymczasem właśnie nad tym pracował ojciec? Nieważne, jak złożone były jego pierwszopoziomowe konstrukty, nie były one w stanie rządzić cesarstwem. Kraj go potrzebował, a jednak on katalogował szczątki po katastrofie, sprawdzał, które się jeszcze do czegoś nadadzą.

fragment

Spis treści

Okładka

Karta tytułowa

CYKL TONAĆCE CESARSTWO

- 1 Lin Wyspa Cesarska
- 2 Jovis Wyspa Jelenia Głowa
- 3 Jovis Wyspa Jelenia Głowa
- 4 Lin Wyspa Cesarska
- 5 Phalue Wyspa Nephilanu
- 6 Piasek Wyspa Maila na skraju cesarstwa
- 7 Jovis Gdzieś na Bezkresnym Morzu
- 8 Lin Wyspa Cesarska
- 9 Jovis Mała wyspa na wschód od Jeleniej Głowy
- 10 Lin Wyspa Cesarska
- 11 Ranami Wyspa Nephilanu
- 12 Jovis Gdzieś na Bezkresnym Morzu
- 13 Lin Wyspa Cesarska
- 14 Piasek Wyspa Maila na skraju cesarstwa
- 15 Jovis Wyspa w Ogonie Małpy
- 16 Lin Wyspa Cesarska
- 17 Jovis Wyspa w Małpim Ogonie
- 18 Lin Wyspa Cesarska
- 19 Phalue Wyspa Nephilanu
- 20 Jovis Gdzieś na Bezkresnym Morzu
- 21 Lin Wyspa Cesarska
- 22 Jovis Wyspa Nephilanu
- 23 Jovis Wyspa Nephilanu
- 24 Ranami Wyspa Nephilanu
- 25 Lin Wyspa Cesarska
- 26 Piasek Wyspa Maila na skraju cesarstwa
- 27 Lin Wyspa Cesarska
- 28 Jovis Wyspa Nephilanu
- 29 Lin Wyspa Cesarska
- 30 Jovis Wyspa Nephilanu
- 31 Lin Wyspa Cesarska
- 32 Jovis Wyspa Nephilanu
- 33 Lin Wyspa Cesarska
- 34 Jovis Wyspa Nephilanu
- 35 Lin Wyspa Cesarska
- 36 Phalue Wyspa Nephilanu
- 37 Lin Wyspa Cesarska
- 38 Jovis Wyspa Nephilanu
- 39 Piasek Wyspa Maila na skraju cesarstwa
- 40 Lin Wyspa Cesarska
- 41 Jovis Wyspa Nephilanu
- 42 Lin Wyspa Cesarska
- 43 Jovis Wyspa Nephilanu
- 44 Lin Wyspa Cesarska

- 45 Ranami Wyspa Nephilanu
- 46 Jovis Wyspa Cesarska
- 47 Lin Wyspa Cesarska
- 48 Jovis Wyspa Cesarska
- 49 Piasek Wyspa Maila na skraju cesarstwa

Podziękowania

O autorce

ANDREA
STEWART

CÓRKA
KOŚCI

PRZEŁOŻYŁ
PIOTR KUCHARSKI

ILUSTRACJE
DOMINIK BRONIEK

fabryka słów®

LUBLIN – WARSZAWA

CYKL TONAĆCE CESARSTWO



CÓRKA KOŚCI
CESARZOWA KOŚCI
WOJNA KOŚCI



1

Lin

Wyspa Cesarska

Ojciec powiedział mi, że jestem wybrakowana.

Nie wysłowił swojego rozczarowania, gdy odpowiedziałam na jego pytanie. Ale wygłosił to zmrużonymi oczyma, wciągając i tak już zapadnięte policzki, a lewy kącik jego ust opadł lekko, co zostało niemal całkowicie zamaskowane przez brodę.

Sam nauczył mnie, jak z czyjejs twarzy odczytywać emocje. I wiedział, że umiem rozpoznawać takie oznaki. Zatem było tak, jakby wyrzekł to głośno.

Pytanie: Z kim najbliższej przyjaźniłaś się w dzieciństwie?

Moja odpowiedź: Nie wiem.

Prędkością biegu potrafiłam dorównać lecącemu wróblowi, liczyłem posługiwałam się równie biegle jak najlepsi rachmistrze cesarstwa i potrafiłam wymienić wszystkie znane wyspy w czasie potrzebnym do tego, by herbata skończyła się zaparzać. Nie potrafiłam jednak przypomnieć sobie swojej przeszłości sprzed choroby. Czasami miałam wrażenie, że nigdy jej sobie nie przypomnę, że tamta dziewczyna została utracona.

Ojciec zmienił pozycję na fotelu, a następnie odetchnął przeciągle. W palcach trzymał mosiężny klucz, którym stuknął o blat stołu.

– Jak mogę powierzać ci moje sekrety? Jak mogę ci ufać jako mojej dziedziczce, jeśli nie wiesz, kim jesteś?

Wiedziałałam, kim jestem. Byłam Lin. Byłam córką cesarza. Wykrzyczałam te słowa w głowie, ale nie wypowiedziałam ich. W przeciwieństwie do ojca utrzymałam neutralny wyraz twarzy, ukryłam myśli. Czasami lubił, gdy stawałam w swojej obronie, ale to nie była jedna z tych sytuacji. Zresztą jak zawsze, gdy chodziło o moją przeszłość.

Z całych sił powstrzymywałam się, żeby nie patrzeć na klucz.

– Zadaj mi inne pytanie – rzekłam. Wiatr uderzał w okiennice, niosąc ze sobą oceaniczny zapach soli i wodorostów. Połaskotał mnie w kark, a ja powstrzymałam wzdrzgnięcie. Nie przerywałam kontaktu wzrokowego w nadziei, że w mojej duszy ojciec dostrzeże stal, a nie strach. W powiewach wyczuwałam smak buntu równie wyraźnie, jak woń ryb fermentujących w kadziach. Był tak oczywisty, tak gęsty. Gdybym tylko dysponowała środkami, mogłabym wszystko naprawić. Gdyby tylko pozwolił mi tego dowieść.

Stuk.

– W porządku – odparł ojciec. Znajdujące się za nim kolumny z drzewa tekowego tworzyły ramę dla jego pomarszczonego oblicza, sprawiając, że wyglądał bardziej jak złowieszczy portret niż żywy człowiek. – Obawiasz się morskich węży. Dlaczego?

– W dzieciństwie jeden z nich mnie ugryzł.

Przyglądał się mojej twarzy. Wstrzymałam oddech. Wypuściłam. Splotłam palce, a później zmusiłam się do spokoju. Gdybym była górą, ojciec podążałby wzdłuż korzeni jałowców chmurowych, skuwałby skałę, szukając białego, kredowego rdzenia.

I znalazłby go.

– Nie okłamuj mnie, dziewczyno – warknął. – Nie zgaduj. Może i pochodzisz z mojej krwi i kości, ale na następcę tronu mogę mianować mojego przybranego syna. To nie musisz być ty.

Chciałabym pamiętać. Czy ten człowiek kiedykolwiek pogładził mnie po włosach i pocałował w czoło? Czy kochał mnie, zanim zapomniałam, kiedy jeszcze byłam cała i niewybrakowana? Żałowałam, że nie było nikogo, kogo mogłabym zapytać, kto mógłby mi dać odpowiedzi.

– Wybacz. – Skłoniłam głowę. Czarne włosy zasłoniły mi oczy i wtedy ukradkiem zerknęłam na klucz.

Większość drzwi w pałacu było zamykanych. Ojciec kuśtykał od pomieszczenia do pomieszczenia i stosował magię kości, żeby tworzyć cuda. Magię, której potrzebowałam, jeśli miałam rządzić. Zdobyłam sześć kluczy. Bayan, jego przybrany syn, miał ich siedem. Czasami odnosiłam wrażenie, jakby całe moje życie stanowiło test.

– W porządku – odparł ojciec. Oparł się na fotelu. – Możesz odejść.

Wstałam, żeby wyjść, ale się zawahałam.

– Kiedy nauczysz mnie magii kości? – Nie czekałam na jego odpowiedź. – Mówisz, że możesz mianować Bayana swoim dziedzicem, ale dotąd tego nie zrobiłeś. To ja wciąż jestem dziedziczką i muszę wiedzieć, w jaki sposób kontrolować konstrukty. Mam dwadzieścia trzy lata, a ty... – Przerwałam, bo nie miałam pojęcia, ile miał lat. Na grzbietach jego dłoni widniały plamy wątrobowe, a włosy nabrały barwy stalowej szarości. Nie wiedziałam, ile jeszcze pożyje. Potrafiłam jedynie wyobrażać sobie

przyszłość, w której zmarł i zostawił mnie bez wiedzy. Bez sposobu na ochronę cesarstwa przed Alanga. Bez wspomnień ojca, który był troskliwy.

Zakaszła, tłumiąc ten odgłos rękawem. Przesunął wzrok na klucz.

– Gdy będziesz całą osobą – powiedział łagodnie.

Nie rozumiałam go, dostrzegalam w nim jednak jakąś bezbronność.

– A co, jeśli nigdy nie stanę się całą osobą?

Popatrzył na mnie i smutek widoczny w jego oczach wgrzył się w moje serce. Miałam wspomnienia z ostatnich pięciu lat, wcześniej zalegała jedynie mgła. Może i czułabym, że straciłam coś cennego, gdybym tylko wiedziała, co to było.

– Ojcze, ja...

Rozległo się stukanie do drzwi. Ojciec znów stał się zimny jak kamień.

Bayan wślizgnął się do środka, nie czekając na odpowiedź, a ja miałam ochotę go przekląć. Kroczył cicho, garbiąc się. Gdyby był kimkolwiek innym, uznałabym, że w jego krokach objawia się wahanie, ale Bayan sprawiał wrażenie kota – ostrożnego i drapieżnego. Na tunikę narzucił skórzany fartuch, a dłonie plamiła mu krew.

– Zakończyłem modyfikację – oznajmił. – Prosiłeś, żebym przyszedł do ciebie od razu, gdy to zrobię.

Za jego plecami kuśtykał konstrukt, stukając maleńkimi kopytkami o podłogę. Wyglądał jak jeleń, tylko miał kły wystające z pyska i zakrzywiony małpi ogon. Z barków wyrastały mu dwa małe skrzydła, a futro wokół nich było złane krwią.

Ojciec obrócił się w fotelu i położył dłoń na grzbiecie stworzenia, które spojrzało na niego wielkimi, wilgotnymi oczyma.

– Niechlujnie – skomentował. – Ilu odłamków użyłeś, żeby osadzić polecenie śledzenia?

– Dwóch – odparł Bayan. – Jednego, by skłonić konstrukt, żeby mnie śledził, a drugiego, żeby się zatrzymywał.

– Powinien wystarczyć jeden – rzekł ojciec. – Chodzi tam, gdzie ty, chyba że polecisz mu, by tego nie robił. Język jest omówiony w pierwszej książce, jaką ci dałem. – Chwycił za jedno ze skrzydeł i pociągnął. Gdy je puścił, powoli opadło do boku konstrukt. – Niemniej konstrukcję wykonałeś doskonale.

Bayan przesunął wzrok na mnie, a ja wytrzymałam jego spojrzenie. Żadne z nas nie spuszczało oczu. Odwieczna rywalizacja. Miał tęczówki czarniejsze nawet niż moje, a gdy wydymał wargi, podkreślało to jedynie pełny kształt jego ust. Przypuszczałam, że nigdy nie będę tak piękna jak on, ale byłam przekonana, że jestem od niego mądrzejsza, a tylko to miało tak naprawdę znaczenie. Bayan nigdy nie starał się ukrywać uczuć. Obnosił się z pogardą wobec mnie, jak dziecko chwalone się wszystkim ulubioną muszlą.

– Spróbuj jeszcze raz z nowym konstruktem – polecił ojciec, a Bayan oderwał ode mnie wzrok. Ach, wygrałam ten konkursik.

Ojciec wsunął palce w bestię. Wstrzymałam oddech. Jak dotąd widziałam to w jego wykonaniu tylko dwukrotnie. A przynajmniej tyle razy pamiętałam. Stworzenie jedynie łagodnie mrugało, gdy dłoń ojca zanurzyła się w nim po nadgarstek. Następnie cofnął ją, a konstrukt zamarł, stał się nieruchomy niczym rzeźba. Na dłoni cesarza leżały dwa małe odłamki kości.

Nie miał zakrwawionych palców. Zrzucił odłamki na nadstawioną dłoń Bayana.

– A teraz już idźcie. Oboje.

Znalazłam się przy drzwiach szybciej niż Bayan, który, jak podejrzewałam, liczył na coś więcej niż tylko surowe słowa. Ja jednak przywykłam do tego, a miałam co robić. Wymknęłam się za drzwi i przytrzymałam je Bayanowi, by nie musiał zostawić na nich krwawych śladów. Ojciec cenił czystość.

Przechodząc obok, Bayan zmierzył mnie wzrokiem. Powietrze po jego przejściu pachniało miedzią i kadzidłem. Był zaledwie synem gubernatora małej wyspy, mającym na tyle szczęścia, że przyciągnął uwagę ojca i został przez niego przygarnięty. Przyniósł ze sobą chorobę, jakąś egzotyczną dolegliwość, jakiej wyspa Cesarska dotąd nie znała. Powiedziano mi, że zachorowałam wkrótce po jego przybyciu i doszłam do siebie niedługo po Bayanie. On jednak nie stracił pamięci w takim stopniu jak ja, do tego część później odzyskał.

Gdy tylko zniknął za rogiem, obróciłam się na pięcie i pobiegłam na koniec korytarza. Kiedy odryglowywałam okiennice, wiatr chciał wyrwać mi je z rąk. Dachówki wyglądały jak zbczce górskie. Wyszłam na zewnątrz i zamknęłam okno.

Przedemną rozpościerał się świat. Z dachu widziałam miasto i przystań. Na oceanie dostrzegałam nawet łodzie, które wybrały się na połów kalmarów i teraz ich lampy błyszcząły w ciemności niczym gwiazdy, które spadły na ziemię. Wiatr szarpał moją tuniką, wdzierał się pod tkaninę, szczypał skórę.

Musiałam się spieszyć. Do tej pory konstrukt służebny usunął już ciało jelenia. Na wpół zbiegłam, na wpół zjechałam po pochyłości dachu w kierunku tej części pałacu, gdzie znajdowała się sypialnia ojca. Nigdy nie zabierał swojego łańcuszka z kluczami do sali przesłuchań. Nie brał też ze sobą swoich konstruktów strażniczych. Odczytałam drobne znaki z jego twarzy. Może i na mnie warczał i karciał mnie, ale gdy byliśmy sam na sam, czułam przede mną obawę.

Dachówki stuknęły pod stopami. Na szanцах pod pałacowymi murami czały się cienie – kolejne konstrukty. Ich instrukcje były proste. Wypatrywać intruzów. Ogłosić alarm. Żaden z nich nie zwracał na mnie uwagi, nawet jeśli nie znajdowałam się tam, gdzie powinnam. Nie byłam intruzką.

Konstrukt Biurokracji zapewne przekazywał właśnie raporty. Nieco wcześniej widziałam, jak je sortował, jak włochate wargi poruszały mu się, gdy czytał je w milczeniu. Było ich sporo. Dostawy opóźnione z powodu potyczek, Ioph Carn kradnący i szmuglujący bystrokamień, obywatele wymigujący się od obowiązków względem cesarstwa.

Zwiesiłam się z dachu i zeskoczyłam na balkon przy pokoju ojca, zwykle pustym o tej porze. Dobiegał stamtąd warkot. Zamarłam w bezruchu. Czarny nos wcisnął się w szczelinę pomiędzy uchylonymi drzwiami a framugą, poszerzając odstęp. Żółte oczy wpatrzyły się we mnie, a zakończone chwościkami uszy położyły się płasko. Pazury drapnęły posadzkę, gdy stworzenie podchodziło do mnie. Bing Tai, jeden z najstarszych konstruktów ojca. Posiwiwały mu policzki, ale wciąż miał wszystkie zęby. Każdy kieł długością dorównywał mojemu kciukowi.

Obnażył zęby, a sierść na grzbiecie stanęła mu dęba. Był istotą rodem z koszmarów, zlepkciem dużych drapieźników o czarnym, potarganym włosiu zlewającym się z ciemnością. Zbliżył się jeszcze o krok.

Może to nie Bayan był głupi, tylko ja. Może właśnie taką odnajdzie mnie ojciec, gdy już skończy herbatę: rozdartą na krwawe strzępy na jego balkonie. Miałam zbyt daleko do ziemi i byłam za niska, żeby dosięgnąć rynien dachowych. Jedyna droga wyjścia prowadziła przez korytarz.

– Bing Taiu – odezwałam się tonem spokojniejszym niż mój nastrój. – To ja, Lin.

Niemal czułam, jak dwa rozkazy ojca zmagają się w głowie konstruktu. Pierwszy: chroń moje pokoje. Drugi: chroń moją rodzinę. Które polecenie było silniejsze? Wcześniej stawiałabym na drugie, ale teraz nie byłam już taka pewna.

Stałam w miejscu i starałam się nie okazywać strachu. Wyciągnęłam dłoń w stronę nosa Bing Taia. Widział mnie, słyszał mnie, być może musiał mnie również poczuć.

Mógł też postanowić, że mnie posmakuje, choć próbowałam o tym nie myśleć.

Jego wilgotny, zimny nos dotknął moich palców, a z głębi gardła wciąż dobiegał warkot. Nie byłam Bayanem, który postępował z konstruktami tak, jakby były jego braćmi. Nie potrafiłam zapomnieć, czym są. Gardło ścisnęło mi się tak, że ledwo mogłam oddychać, w piersi czułam ucisk i ból.

Wtedy Bing Tai usiadł na tylnych łapach, postawił uszy i zasłonił zęby.

– Dobry Bing Tai – powiedziałam drżącym głosem. Musiałam się pospieszyć.

W pomieszczeniu zalegał smutek, niczym kurz obsypywał grubą warstwą to, co kiedyś było szafą mojej matki. Jej biżuteria leżała nietknięta na komodzie, pantofle wciąż czekały na nią przy łóżku. Bardziej niż pytania zadawane mi przez ojca, bardziej niż niewiedza, czy kochał mnie i troszczył się o mnie jako dziecko, dokuczalo mi to, że nie pamietałam matki.

Słyszałam szepty ocalałych sług. W dniu, w którym zmarła, spalił wszystkie jej portrety. Zabronił wspominać jej imię. Wszystkie jej przyboczne posłał pod miecz. Zazdrośnie strzegł wspomnień o niej, jakby tylko on miał do nich prawo.

Skup się.

Nie wiedziałam, gdzie trzymał egzemplarze, które przekazywał Bayanowi i mnie. Zawsze wyciągał je z kieszeni w szarfię, a nie ośmieliłabym się podwędzić ich stamtąd. Autentyczny łańcuszek z kluczami leżał jednak na łóżku. Tak wiele drzwi... Tak wiele kluczy... Nie miałam pojęcia, który jest od czego, zatem wybrałam jeden na chybił trafił – złoty z kawałkiem nefrytu na główce – i wsunęłam go do kieszeni.

Uciekłam do korytarza i wcisnęłam mały kawałek drewna pomiędzy drzwi a framugę, żeby się nie zatrzasnęły. Teraz parzyła się herbata. Ojciec przeglądał raporty i zadawał pytania. Miałam nadzieję, że zajmą go na dłużej.

Biegłam, szurając stopami po parkiecie. W przestronnych korytarzach pałacu panowała pustka, a blask lamp odbijał się od pomalowanych na czerwono belek stropu. W przedsionku od podłogi do sufitu wznosiły się filary z drewna tekowego, okalające wyblakły fresk na ścianie drugiej kondygnacji. Zeszłam do wrót pałacowych, przeskakując po dwa stopnie naraz. Każdy krok wydawał mi się miniaturową zdradą.

Mogłabym zaczekać, powtarzała mi jedna część umysłu. Mogłabym okazać posłuszeństwo. Mogłabym robić, co w mojej mocy, żeby odpowiadać na pytania ojca, leczyc swoje wspomnienia. Inna część była jednak chłodna i ostra. Przedzierała się przez poczucie winy i odnajdywała brutalną prawdę. Nigdy nie zdołam być tym, czego oczekiwał, jeśli sama nie wezmę tego, co chciałam. Nie potrafiłam sobie przypomnieć, nieważne, jak bym się starała. Nie zostawił mi żadnego innego wyboru, jak tylko pokazać mu w odmienny sposób, że jestem godna.

Przez wrota pałacu wymknęłam się na cichy dziedziniec. Frontowe bramy zostały zamknięte, ale byłam niska i silna, a skoro ojciec nie zamierzał uczyć mnie swojej magii, cóż, sama nauczyłam się pewnych rzeczy w czasie, gdy on siedział zamknięty w tajnej komnacie wraz z Bayanem. Na przykład wspinaczki.

Mury były czyste, ale w kiepskim stanie. Miejscami odłupał się tynk, odsłaniając znajdujący się pod spodem kamień. Wejście okazało się proste.

Małpoksztaltny konstrukt na szczycie muru jedynie na mnie zerknął, po czym obrócił przezryste oczy ku miastu. Przebiegł mnie dreszcz podniecenia, gdy wylądowałam po drugiej stronie. Bywałam już wcześniej pieszo w mieście – musiałam bywać – ale czułam się, jakby to był pierwszy raz. Ulice woniały rybą, rozgrzanym olejem oraz resztkami przygotowywanych i spożytych kolacji. Kamienie pod moimi pantoflami były ciemne i śliskie od pomyj. Pobrzękiwały garnki, a wiatr niósł odgłos melodyjnych, ściszonych głosów. Pierwsze dwie witryny, które zobaczyłam, były zamknięte, starannie zasłonięte drewnianymi okiennicami.

Za późno? – pomyślałam. Z murów pałacu dostrzegłam kiedyś warsztat kowala i to właśnie wtedy wpadłam na pomysł. Wstrzymałam oddech i skoczyłam w wąski zaułek.

Był tam. Zamykał właśnie drzwi, a z ramienia zwisał mu worek.

– Zaczekaj – powiedziałam. – Proszę, tylko jedno zamówienie.

– Już zamknięte – prychnął. – Wróć jutro.

Zduśliłam desperację szarpiącą mi gardło.

– Zapłacę ci podwójną stawkę, jeśli zaczniesz już teraz. Chodzi tylko o dorobienie jednego klucza.

Wtedy na mnie spojrzął i przesunął wzrokiem po mojej haftowanej jedwabnej tunice. Zacisnął usta. Zastanawiał się, czy skłamać, jakie bierze stawki, ale chwilę później tylko westchnął.

– Dwa srebrniki. Moja zwyczajowa cena to jeden. – Był dobrym, uczciwym człowiekiem.

Czując, jak ogarnia mnie ulga, wysupłałam monety z kieszeni w szarfie i wcisnęłam je w dłoń pokrytą odciskami.

– Proszę. I będę potrzebowała klucza szybko.

Błąd. Przez jego twarz przemknął wyraz zirytowania. Mimo to otworzył drzwi i wpuścił mnie do warsztatu. Mężczyzna był zbudowany jak żelazne kowadło – szeroki i przysadzisty. Jego barki wydawały się zajmować połowę wnętrza. Ze ścian i sufitu zwisały metalowe narzędzia. Wziął pudełko z hubką i krzesiwem, po czym zapalił lampy. Obrócił się do mnie.

– Będzie gotowy najwcześniej jutro rano.

– Ale musisz zatrzymać oryginalny klucz?

Pokręcił głową.

– Już teraz mogę zrobić jego odcisk. Nowy będzie gotowy jutro.

Żałowałam, że mam tak wiele okazji, by zrezygnować, wciąż mogła mnie zawieść odwaga. Zmusiłam się do tego, by upuścić klucz ojca na dłoń kowala. Mężczyzna wziął go i obrócił, po czym z kamiennego koryta wyciągnął bloczek gliny. Wcisnął w niego klucz. A później zamarł. Oddech uwiązał mu w gardle.

Wyciągnęłam rękę po klucz, zanim zdążyłam pomyśleć. Gdy zbliżyłam się o krok, dostrzegłam to, co on – u podstawy główki, tuż nad piórem, w metalu wygrawerowano małą sylwetkę feniksa.

Kiedy kowal na mnie spojrzął, jego twarz była okrągła i blada niczym księżyc.

– Kim jesteś? Skąd masz klucz należący do cesarza?

Powinłam była chwycić przedmiot i uciec. Byłam szybsza niż on. Zdołałabym wyrwać mu klucz i zniknąć, zanim zaczerpnąłby kolejnego tchu. Zostałoby mu tylko wspomnienie, w które nikt by nie uwierzył.

Ale gdybym tak zrobiła, nie zdobyłabym kopii. Nie uzyskałabym dalszych odpowiedzi. Tkwiłabym wciąż tam, gdzie na początku, z pamięcią zasnutą mgłą,

zmuszona dawać ojcu niezadowolające odpowiedzi. Już nigdy nie mogłabym sięgnąć po to, czego potrzebowałam. Już zawsze byłabym wybrakowana. A ten kowal... był dobrym człowiekiem. Ojciec nauczył mnie, co powinno się mówić dobrym ludziom.

– Czy masz dzieci? – zapytałam, starannie dobierając słowa.

Na jego twarz wróciła odrobina koloru.

– Dwoje – odrzekł. Zmarszczył brwi, zastanawiając się, czy dobrze zrobił, odpowiadając.

– Mam na imię Lin – oznajmiłam, odsłaniając się przed nim. – Jestem dziedziczką cesarza. Zmienił się od śmierci mojej matki. Izoluje się, zostawił sobie tylko niewielką służbę, nie spotyka się z gubernatorami wysp. Znosi się na bunt. Garstka Bezkostnych zajęła już Khalute i pragną sięgnąć po kolejne wyspy. Są też Alanga. Niektórzy mogą nie wierzyć w ich powrót, ale to moja rodzina dotąd do niego nie dopuszczała. Czy chcesz żołnierzy maszerujących ulicami? Czy chcesz wojny na swoim progu? – Dotknęłam lekko jego ramienia, a on się nie wzdrygnął. – Na progu twoich dzieci?

Odruchowo sięgnął za prawe ucho do blizny, jaką miał każdy obywatel. Do miejsca, z którego usunięto odłamek kości i zabrano go do cesarskiego skarbcza.

– Czy mój odłamek napędza konstruktor? – spytał.

– Nie wiem – odparłam. I rzeczywiście nie wiedziałam. – Gdybym jednak zdołała dostać się do ojcowskiego składu, mogłabym poszukać twojego odłamka i przynieść ci go. Nie mogę niczego obiecać. Chciałabym móc. Spróbuję.

Oblizwał wargi.

– Moje dzieci?

– Sprawdzę, co zdołam zrobić. – Nic więcej nie mogłam powiedzieć. Nikt nie był zwolniony od uczestnictwa w Festiwalach Trybutu.

Na jego czole załśnił pot.

– Zrobię to – oznajmił.

Zapewne teraz ojciec odkłada już raporty na bok. Bierze filiżankę herbaty i upija łyk, spoglądając przez okno na światła miasta w dole. Pot zbierał mi się pomiędzy łopatkami. Musiałam odłożyć klucz na miejsce, zanim odkryje jego brak.

Obserwowałam jak przez mgłę kowala kończącego odcisk. Gdy oddał mi klucz, odwróciłam się, żeby uciec.

– Lin – odezwał się.

Zatrzymałam się.

– Mam na imię Numeen. Rok mojego rytuału to tysiąc pięćset ósmy. Potrzebujemy cesarza, który się o nas zatroszczy.

Czy mogłam coś na to odrzec? Zatem po prostu pobiegłam. Przez drzwi, później zaułkiem, z powrotem wspinać się po murze. Teraz ojciec kończył już herbatę, otulając palcami wciąż ciepłą filiżankę. Pod dłonią obluźował mi się kamyk. Pozwoliłam, by spadł na ziemię. Stukot sprawił, że się wzdrygnęłam.

Odstawił filiżankę, wyglądał na miasto. Ile mu to zajmowało? Zejście z muru trwało krócej niż wejście. Nie czułam już zapachów ulic, a jedynie własny oddech. Ściany zewnętrznych budynków zamazywały mi się przed oczyma, gdy biegłam do pałacu – kwatery dla służby, Hala Wiekuistego Pokoju, Sala Ziemskiej Mądrości, mur otaczający ogród. Wszystko było zimne, ciemne, puste.

Zdecydowałam się na wejście dla służby i pokonywałam po dwa stopnie naraz. Wąskie przejście otwierało się na szeroki korytarz, który biegł wokół całego pierwszego

piętra pałacu, a sypialnia ojca leżała niemal po przeciwległej stronie wejścia dla służby. Żałowałam, że nie mam dłuższych nóg. Żałowałam, że nie mam silniejszego umysłu.

Deski parkietu skrzypiały mi pod nogami, gdy biegłam, i aż krzywiłam się na ten hałas. Wreszcie dotarłam na miejsce i wślizgnęłam się do pokoju ojca. Bing Tai leżał na dywaniku u stóp łóżka, rozciągnięty niczym stary kot. Musiałam wyciągnąć nad nim rękę, żeby dostać się do łańcuszka z kluczami. Stworzenie pachniało piżmem jak połączenie niedźwiedziego konstruktu z szafą pełną ubrań zaatakowanych przez mole.

Dopiero za trzecim razem zdołałam zawiesić klucz na łańcuszku. Miałam wrażenie, że moje palce są jak zdechłe węgorze – zwiotczałe i śliskie.

Wychodząc, przykleknęłam, żeby wyciągnąć klin z drzwi. Słyszałam swój chrapliwy oddech. Jasność światła w korytarzu sprawiła, że zamrugalam. Nazajutrz będę musiała znaleźć sposób, żeby dostać się do miasta i móc odebrać nowy klucz. Na razie miałam już jednak wszystko za sobą, a klin spoczywał bezpiecznie w kieszeni szarfy. Wypuściłam oddech, choć nie zdawałam sobie sprawy, że go wstrzymuję.

– Lin.

Bayan. Poczułam, jak moje kończyny nabierają ciężaru kamienia. Co widział? Obróciłam się w jego stronę. Miał zmarszczone brwi i trzymał ręce założone za plecami. Zmusiłam serce, żeby się uspokoiło, a twarz, by zachowała obojętność.

– Co robisz przy komnatach cesarza?



2

Jovis

Wyspa Jelenia Głowa

Miałem nadzieję, że jest to jedna z moich mniejszych pomyłek. Pociągnąłem za rąbek kurtki. Rękawy były za krótkie i odrobinę zbyt obszerne, talia za szeroka. Powąchałem kołnierz. Prosto w nos uderzyła mnie piżmowo-anyżowa woń perfum, aż zakasiałem.

– Jeśli chcesz kogoś tym skusić, lepiej spróbuj używać nieco mniej – rzekłem. Była to dobra rada, ale żołnierz u moich stóp nic nie odpowiedział.

Czy jeśli druga osoba jest nieprzytomna, liczy się to jako gadanie do samego siebie?

Niemniej mundur pasował wystarczająco, a ostatnimi czasy rzadko mogłem liczyć na cokolwiek innego niż „wystarczająco”. Miałem na łodzi dwie standardowe skrzynki pełne bystrokamienia. Wystarczająco, żebym spłacił długi, wystarczająco, żebym dobrze jadł przez trzy miesiące, wystarczająco, żebym mógł przerzucić łódź z jednego krańca Cesarstwa Feniksa na drugi. Ale „wystarczająco” nie zapewni mi tego, czego naprawdę potrzebowałem. W dokach słyszałem plotkę, szepty o zniknięciu podobnym jak w przypadku mojej Emahli, i przeklinałbym się już do końca życia, gdybym nie próbował wyśledzić jej źródła.

Wymknąłem się z zaułka, powstrzymując odruch, żeby jeszcze raz obciągnąć rąbek kurtki. Skinąłem głową jakiejś żołnierce, mijając ją na ulicy. Wstrzymałem oddech, gdy odpowiadała skinieniem i się odwracała. Zanim przybiłem, nie sprawdziłem rozkładu corocznego Festiwalu Trybutu. A ponieważ szczęście rzadko działało na moją korzyść, oczywiście właśnie tu trwało.

Na Jeleniej Głowie roilo się od wojsk cesarza. I byłem tu też ja – handlarz bez cesarskiego kontraktu, ale za to z licznymi zatargami z żołnierzami na koncie. Przytrzymując palcami mankiet, przemieszczałem się ulicami. Gdy zdałem egzaminy nawigacyjne, zrobiłem sobie tatuaż z królikiem. Mniej chodziło w tym o dumę, a bardziej o kwestie praktyczne, bo jak inaczej zidentyfikowano by moje napuchnięte zwłoki wyrzucone na brzeg? Teraz jednak, gdy działałem jako przemytnik, tatuaż stanowił kłopot. Zresztą tak samo moja twarz. Na plakatach źle uchwycili linię żuchwy, czy były zbyt blisko siebie, do tego teraz krócej przycinałem kręcone włosy, niemniej podobizna wydawała się całkiem udana. Płaciłem ulicznikom, by je zrywali, ale pięć dni później widziałem, że jakiś przeklęty konstrukt powiesił następne.

Szkoda, że cesarskim mundurom nie towarzyszyły czapki.

Powiniem zabrać bystrokamień i uciec, ale Emahla była w moim sercu struną, za którą los wciąż nie przestawał szarpać. Stawiałem zatem kolejne kroki, robiąc, co w mojej mocy, by jak najmniej rzucać się w oczy. Mężczyzna z doków mówił, że znikła niedawno, więc trop pozostawał świeży. Nie miałem wiele czasu. Żołnierz nie widział mnie, zanim mu przywaliłem, ale na lewym łokciu naszył sobie łątę, więc rozpozna swój mundur.

Ulica się zwężała. Blask słońca przelewał się przez szczeliny pomiędzy budynkami i praniem rozwieszonym, by wyschło. Ktoś w jednym z domów zawołał: „Nie każ mi na siebie czekać! Ile zajmuje włożenie pary butów?”. Znajdowałem się niedaleko oceanu, więc powietrze wciąż pachniało jak wodorosty, choć wymieszane ze smażącym się mięsem i gorącym olejem. Ludzie szykowali dzieci na Festiwal i przygotowywali posiłek na ich powrót. Dobrze jedzenie nie mogło uleczyć ran na ciele i duszy, ale było w stanie je złagodzić. Na dzień mojej trepanacji matka też urządziła ucztę: pieczona kaczka z chrupiącą skórką, grillowane warzywa, wonny i mocno przyprawiony ryż, ryba we wciąż bulgoczącym sosie. Musiałem wytrzeć oczy, zanim zabrałem się do jedzenia.

Teraz jednak była to już dla mnie przeszłość, a rana za prawym uchem dawno się zagoiła. Pochyliłem się pod wiszącą zbyt nisko i wciąż mokrą koszulą, po czym znalazłem pijalnię opisaną przez człowieka z doków.

Gdy otwierałem drzwi, zaskrzypiały, sunąc po ścieżce wyrobionej w deskach podłogi. Tak wczesnym rankiem w środku wciąż powinno być pusto, jednak w zakurzonych kątach czaili się cesarscy gwardziści. Ze stropu zwisały suszone ryby. Przeszedłem na tył, przyciskając się barkiem do ściany, ukrywając nadgarstek przy udzie i pochylając głowę. Gdybym umiał lepiej planować, owinąłbym czymś tatuaż. No cóż... Większy problem stanowiła moja twarz, a jej nie mogłem niczym zasłonić.

Za kontuarem, obrócona do mnie szerokimi plecami, stała kobieta o włosach obwiązanych chustką, z której na szyję wymykało się kilka luźnych kosmyków. Pochylała się nad stolnicą, a jej palce zwinnie robiły falbanki na pierogach.

– Ciotko – odezwałem się do niej z szacunkiem.

Nie obróciła się.

– Nie nazywaj mnie tak – odpowiedziała. – Nie jestem na tyle stara, żeby być ciotką kogokolwiek oprócz dzieci. – Wytarła oprószone mąką dłonie o fartuch

i westchnęła. – Co mogę ci podać?

– Chciałem porozmawiać.

Wtedy obróciła się i obrzuciła mój mundur przeciągłym spojrzeniem. Nie przypuszczałem, by chociaż zerknęła na moją twarz.

– Wysłałam już mojego bratanka na plac. Rachmistrzowie pewnie zdążyli go naznaczyć. Czy dlatego tu jesteś?

– Masz na imię Danila, zgadza się? Mam kilka pytań na temat twojej przybranej córki – rzekłem.

Jej twarz się ściągnęła.

– Zeznałam już wszystko, co wiedziałam.

Nie wątpiłem, z jaką reakcją spotkało się jej zeznanie, ponieważ rodzice Emahli otrzymali taką samą: wzruszenie ramion, zirytowane miny. Młode kobiety czasami uciekały z domów, prawda? A poza tym, co według nich cesarz miał z tym zrobić?

– Zostaw mnie po prostu w spokoju – powiedziała, po czym odwróciła się znów do pierogów.

Żołnierz w zaułku mógł się już budzić z bólem rozrywającym mu głowę i licznymi pytaniami na ustach. Ale Emahla... Jej imię wirowało mi w głowie, popędzając do działania. Przecisnąłem się wokół końca kontuaru i dołączyłem do Danili przy stolnicy.

Nie czekając na jakąkolwiek oznakę zgody, wziąłem powycinane kawałki ciasta i nadzienie, po czym zacząłem sklejać. Po chwili zaskoczenia kobieta wznowiła pracę. Za naszymi plecami dwóch żołnierzy licytowało się przy grze w karty.

– Dobry jesteś – pochwaliła mnie niechętnie. – Bardzo schludnie, bardzo szybko.

– To dzięki mojej matce. Była... jest kucharką. – Pokręciłem głową ze smutnym uśmiechem. Minęło tak wiele czasu, odkąd byłem w domu. Niemal całe życie. – Robi najlepsze pierogi na wszystkich wyspach. Sporo się wałęsałem, żeglowałem i szykowałem się do egzaminów nawigacyjnych, ale zawsze lubiłem jej pomagać. Nawet gdy już zdałem.

– Skoro zdałeś egzaminy nawigacyjne, to dlaczego jesteś żołnierzem?

Rozważyłem swoje opcje. Byłem dobrym kłamcą, nawet bardzo dobrym. Tylko dzięki temu wciąż nosiłem głowę na ramionach. Ale ta kobieta przypominała mi matkę, opryskliwą, ale dobroduszną, poza tym musiałem odnaleźć zaginioną żonę.

– Nie jestem nim. – Podciągnąłem mankiet na tyle wysoko, by pokazać tatuaż z królikiem.

Danila spojrzała najpierw na niego, a później na moją twarz. Jej oczy zmrużyły się, a później otworzyły szerzej.

– Jovis – wyszeptała. – To ty jesteś tym przemytnikiem.

– Wolałbym „odnoszącym największe sukcesy przemytnikiem w ostatnich stu latach”, ale zadowolę się „tym przemytnikiem”.

Parsknęła.

– To zależy, w jaki sposób definiujesz sukces. Twoja matka by tak pewnie nie uważała.

– Zapewne masz rację – odparłem lekkim tonem. Matkę dotkliwie zabolaloby, gdyby widziała, jak nisko upadłem.

Danila rozluźniła się, swoim ramieniem niemal dotykała teraz mojego, jej twarz złagodniała. Nie zamierzała mnie zdemaskować. Takie coś nie leżało w jej

naturze.

– Muszę spytać cię o twoją przybraną córkę – powiedziałem. – O to, jak zniknęła.

– Nie ma wiele do powiedzenia – odrzekła. – Jednego dnia tu była, a następnego już nie. Na jej materacu zostało dziewiętnaście srebrników, zupełnie jakby każdy rok jej życia był wart srebrnego feniksa. Stało się to dwa dni temu. Wciąż mi się wydaje, że zaraz pojawi się w drzwiach.

Nie wejdzie. Wiedziałem to, bo tak samo myślałem przez rok. Wciąż widziałem dziewiętnaście srebrników rozrzuconych na łóżku Emahli. Wciąż czułem, jak dudni mi serce, jak wywraca mi się żołądek pochwycony w tym momencie, w którym jednocześnie zdawałem sobie sprawę, że zniknęła, i nie potrafiłem w to uwierzyć.

– Soshi była błyskotliwą młodą kobietą – powiedziała Danila z drżeniem w głosie. Szybko otarła łzy z oczu, zanim zdążyły spłynąć na policzki. – Jej matka zginęła podczas wypadku w kopalni, a ojca nie znała. Ja sama nigdy nie wyszłam za mąż, nigdy nie miałam własnych dzieci. Przygarnęłam ją. Potrzebowałam kogoś do pomocy.

– Była...? – To słowo wypadło mi z ust. Nie potrafiłem uformować pytania.

Danila podniosła kolejny wykrojony kawałek ciasta i przyjrzała się mojej twarzy.

– Może nie jestem dość stara, żeby być twoją ciotką, ale dla mnie wciąż jesteś chłopcem. Jeśli cesarstwo miało coś wspólnego z jej zniknięciem, to pewnie już nie żyje.

Nigdy nie byłem zakochany. Nigdy nie spotkaliśmy się jako dzieci, nigdy się nie zaprzyjaźniliśmy. Nigdy nie zaryzykowałem, nigdy jej nie pocałowałem. Nigdy nie wróciłem z Wyspy Cesarskiej. Powtarzałem sobie to kłamstwo raz za razem. Mimo to mój umysł nakładał na nie jej przekorny uśmiech, pokazywał, jak wywracała oczyma, gdy wymyślałem jakąś wyjątkowo głupią historię, jak opierała mi głowę na ramieniu i wdychała po długim dniu. Potrzebowałem jednak wiary w to kłamstwo. Bo za każdym razem, gdy pomyślałem, że mam spędzić resztę życia bez niej, panika wybierała mi w piersi i zaciskała się wokół gardła. Przełknąłem ślinę.

– Szukałaś jej? Znalazłaś jakiś trop?

– Oczywiście, że szukałam. Rozpytywałam. Jeden z rybaków mówił, że widział łódź wypływającą wcześniej tamtego ranka. Nie z doków, tylko z pobliskiej zatoczki. Była mała, ciemna i miała niebieskie żagle. Ruszyła na wschód. Tyle wiem.

Właśnie taką łódź widziałem o poranku, gdy zniknęła Emahla. Okrążyła skraj wyspy we mgłę tak gęstej, że nie byłem pewien, czy jej sobie nie wyobraziłem. Przez siedem lat był to mój najlepszy trop. Gdybym się pospieszył, zdążyłbym ją dogonić.

Jeden z żołnierzy roześmiał się, drugi stęknął i rzucił karty na stół. Krzesła zazgrzytały na podłodze, gdy wstawali.

– To była dobra gra. – Promień słońca ogrzał mi kark, gdy otwierali drzwi. – Ej, ty tam. Idziesz z nami? Kapitan odgryzie ci głowę, jeśli się spóźnisz.

Nikt nie odpowiedział, a ja w tym momencie przypomniałem sobie, że mam na sobie żołnierską kurtkę. Mówił do mnie.

Danila złapała mnie za nadgarstek. Ten z tatuażem. Zarówno jej chwyt, jak i głos były nieustępliwe niczym korzenie drzew.

– Wyświadczyłam ci przysługę, Jovisie. Teraz potrzebuję przysługi od ciebie.

Oj nie.

– Przysługi? Nie rozmawialiśmy o żadnych przysługach. Mówiła głośniej niż ja. Usłyszałem kroki zbliżające się od tyłu.

– Mam bratanek. Mieszka na małej wyspie zaledwie kawałek na wschód stąd. Jeśli się nie mylę, i tak będziesz żeglował tamtędy. Zabierz go przed rytuałem. Zawieź go z powrotem do rodziców. Jest ich jedynym dzieckiem.

– Nie należę do Garstki Bezkostnych. Nie przemycam dzieci – wyszczałem. – To nieetyczne. I niezyskowe. – Spróbowałem jej się wyrwać i zorientowałem się, że jest silniejsza ode mnie.

– Zrób to.

Z odgłosu kroków za mną wywnioskowałem, że jest tam tylko jeden żołnierz. Byłem w stanie sobie z nim poradzić. Zdołałem się z tego wyłgać. Ale nawet po tylu latach wciąż pamiętałem strumyczek krwi spływającej mi z głowy po szyi. Chłodny dotyk dłuta przy skórze. Ranę palącą jak ogień. Cesarz mówił, że Festiwal Trybutu stanowi niewielką cenę w zamian za bezpieczeństwo nas wszystkich. Nie wydawała się jednak taka mała, gdy to twoja głowa się pochylała, a kolana wbijały w ziemię.

Zahartowałem się na cierpienia innych. Kolejne kłamstwo, które sobie powtarzałem, bo nie mogłem ocalić wszystkich. Nie zdołałem ocalić nawet własnego brata. Jeśli zbyt wiele rozmyślałem o całym tym cierpieniu, o wszystkich ludziach, którym nie potrafiłem pomóc, miałem wrażenie, jakbym tonął w Bezkresnym Morzu. Nie potrafiłem znieść tego ciężaru.

Zazwyczaj to działało. Ale nie dziś. Dziś myślałem o mojej matce, o jej dłoniach ujmujących moją twarz. „Ale czym jest prawda, Jovisie?”.

Prawdą było to, że ktoś ocalił mnie. Czasami jedna osoba wystarcza.

– Wezmę go – powiedziałem.

Byłem głupcem.

Daniła puściła mój nadgarstek.

– Jest mi winien za kubek wina – oznajmiła żołnierzowi. – Zaraz ruszy za wami.

Kroki mężczyzny zaczęły się oddalać.

– Mój bratanek ma na imię Alon – rzekła kobieta. – Jest ubrany w czerwoną koszulę z białymi kwiatami wyhaftowanymi na rąbku. Jego matka jest szewczynią na Phalarze. Jedyną na wyspie.

Strzepnąłem mąkę z dłoni.

– Czerwona koszula. Kwiaty. Szewczynie. Pojąłem.

– Powinieneś się pospieszyć.

Warknąłbym na nią, gdyby jej smutek nie był tak oczywisty. Straciła córkę. Ja straciłem żonę. Mogłem okazać jej uprzejmość.

– Jeśli się dowiem, co stało się twojej przybranej córce, znajdę sposób, żeby cię powiadomić.

Znów otarła oczy, skinęła głową i wróciła do sklepania pierogów z zaciekłością wojownika na polu bitwy. Wyglądała tak, jakby się okłamywała, że te pierogi są obecnie najważniejszą rzeczą na świecie.

Odwrociłem się do wyjścia i nagle ziemia się poruszyła. Kubki zagrzeczoły w kredensach. Walek Danieli sturlał się na podłogę, a suszone ryby zakołysały na sznurkach. Rozłożyłem ręce, nie wiedząc, o co je oprzeć. Wszystko się kołysało. I nagle, równie szybko jak wcześniej się zaczęło, dobiegło końca.

– To tylko trzęsienie ziemi – wyjaśniła Daniła, choć już to wiedziałem. Powiedziała to bardziej po to, by uspokoić samą siebie niż mnie. – Niektórzy uważają, że wstrząsy są powodowane przez kopalnię bystrokamienia, która sięga głęboko. Nie ma się czym martwić. Trwają już od kilku miesięcy.

Kłamstwo, które sama sobie opowiada? Owszem, trzęsienia ziemi czasami się zdarzały, ale od dawna żadnego nie poczułem. Wykonałem krok na próbę i stwierdziłem, że grunt jest stabilny.

– Powinienem iść. Pomyślnych wiatrów.

– I bezchmurnych niebios – odparła.

Wykradnięcie dziecka z Festiwalu Trybutu nie będzie proste. Rachmistrzowie pilnowali, żeby pojawiały się tam wszystkie dzieci, które ukończyły osiem lat, musiałbym więc znaleźć jakiś sposób, żeby wykreślić jego imię z listy. Już wcześniej miałem jednak do czynienia z rachmistrzami, cesarskimi żołnierzami, a nawet z konstruktami cesarza.

Wyglądziłem przód kurtki mundurowej i podszedłem do drzwi. Powinienem był wcześniej wyjrzeć na zewnątrz. Trzęsienie ziemi wytrąciło mnie jednak z równowagi, do tego zbliżyłem się do odnalezienia łodzi, która zabrała Emahlę. Zbliżyłem się do uzyskania odpowiedzi. Zatem wyszedłem po prostu na wąską ulicę rozkojarzony i niepewny niczym nowo narodzone jagnię, ze słońcem padającym mi na twarz.

I znalazłem się w środku falangi cesarskich żołnierzy.



3

Jovis

Wyspa Jelenia Głowa

Gdyby tylko na ulicy panował większy ruch albo gwar, ale było cicho i spokojnie. Dziesięcioro umundurowanych mężczyzn i kobiet skierowało na mnie uwagę. Pot sperlił mi się na krzyżu.

– Żołnierzu – odezwała się jedna z nich. Wpięte w jej kołnierz przypinki wskazywały, że jest kapitanką. – Nie jesteś moim człowiekiem. Kto jest twoim dowódcą?

Kłamstwa mogły się udać, gdy dało się je podeprzeć czymś konkretnym.

– Pani kapitan, byłem w pierwszej kompanii, która zesłała na ląd.

Marszcząc brwi, wpatrzyła się w moją twarz. Nic nie mówiła.

– U Lindary? – dopytał inny z żołnierzy.

– Tak – odparłem tonem wskazującym, że to oczywiste i że żołnierz zachował się głupio, potwierdzając.

Kapitanka wciąż jednak wpatrywała się we mnie tak, że miałem ochotę schować podbródek pod kołnierzem kurtki.

– Powinieneś być ze swoją dowódczynią – oznajmiła. – To nie jest wycieczka dla rozrywki.

– Rozumiem. To się nie powtórzy.

– Nie widziałeś tu może w okolicy innego żołnierza? Niski, przysadzisty, ma duży nos i śmierdzi anyżem?

Owszem, widziałem go, choć nie zaznajomiliśmy się ze sobą. Niemniej w dość intymny sposób zapoznałem się z jego mundurem. Miałem głęboką nadzieję, że zapach ryb i wodorostów skutecznie tłumi woń perfum wciąż utrzymującą się na kurtce.

– Obawiam się, że nie, przykro mi. I ma pani rację, powinienem być z moją kapitanką. – Obróciłem się, żeby odejść.

Na moim ramieniu wylądowała dłoń.

– Nie pozwoliłam ci się oddalić – oznajmiła oficerka.

Och, byłbym okropnym żołnierzem.

– Pani kapitan? – Obróciłem się i spróbowałem okazać na twarzy wyraz jak największego szacunku.

Jej palce zacisnęły się na moim barku. Zmrużyła oczy, wpatrując się we mnie.

– Widziałam cię już wcześniej.

– Zapewne przy kopaniu latryn. Lindara szczególnie za mną nie przepada. – Pozostali żołnierze nie powstrzymali uśmiechów, ale kapitanka pozostawała niewzruszona. Przebiegłem w myślach wszystkie sprawdzone sztuczki. Próba flirtu z nią zapewne skończyłaby się dla mnie utratą głowy. Pomniejszanie własnej wartości nie zbijało jej z tropu. Może pochlebstwem?

– Nie – rzekła. – Jest coś charakterystycznego w twojej twarzy.

Niech przeklęte będzie cesarstwo i jego małostkowe podejście do odrobiny skradzionego bystrokamienia. Niech przeklęta będzie jego władza nad ludźmi i magią. Ale przede wszystkim niech przeklęte będą jego głupie plakaty.

– Mojej twarzy? – powtórzyłem, żeby kupić sobie trochę czasu. – Cóż, to...

Ziemia pode mną znów się zatrzęsała, tym razem mocniej. Wszyscy rozglądali się po otaczających nas budynkach i bezskutecznie wyciągali ręce, żeby szykować się do odpychania walących się ścian. Z dachu za moimi plecami spadła dachówka i rozbiła się na bruku przy moich stopach. Drżenie ustąpiło.

– To już kolejny – skomentował jeden z żołnierzy. – Dwa w jeden dzień. – W jego głosie pobrzmiwał lęk. Prawdę mówiąc, ja też nie byłem zachwycony. Czasami zdarzały się niewielkie wstrząsy wtórne, ale ten był silniejszy od poprzedniego.

Kapitanka znów skierowała uwagę na mnie. Zmrużyła oczy.

Odchrząknąłem i wyprostowałem ramiona.

– Czy nie powinniśmy być na placu, pani kapitan? Już niemal pora Festiwalu.

Wreszcie trąciłem odpowiednią strunę – szacunku i dyscypliny. Dłoń oficerki opadła z mojego barku.

– Będziemy musieli później poszukać naszego kompana. Mamy obowiązek do wypełnienia. – Ruszyła uliczką, gestem polecając pozostałym, żeby podążali za nią.

Dostrzegłem, że kilka dłoni odruchowo sięga za prawe uszy, by dotknąć blizn po trepanacji. Zastanawiałem się, czy pamiętali ten dzień równie wyraźnie jak ja. Zrównałem się z nimi tempem, w końcu też miałem sprawę do załatwienia na Festiwalu Trybutu. Może i byłem kłamcą, ale dotrzymywałem słowa. Zawsze. Zatem nie oszczędzałem nóg i wspinałem się wraz z resztą na wzgórze. Kamienie przesuwają mi się pod stopami, gdy na nie następowalem, połuźnione po trzęsieniu ziemi. Na szczycie wzniesienia ulica poszerzała się i łączyła z dwiema innymi.

Człowiek przede mną rozejrzał się dookoła. Poblądł i wybałuszył oczy.

– Pani kapitan!

Obróciłem się. Za nami biegła wąska ulica, ponad którą majaczyły budynki zbiegające się niczym zaciskane zęby. W powietrzu migotał kurz, ale nie to zwróciło uwagę żołnierza. Coś się zmieniło w dole. Linia przystani się poszerzyła. Doki leżały pod dziwnym kątem względem siebie. W pobliżu brzegu z wody wystawały dziwne kształty.

Szczyty krzaków. Przystań została podtopiona.

Kapitanka przyjrzała się temu z ustami zaciśniętymi w wyrazie determinacji.

– Idziemy na plac – oznajmiła. – Poinformujemy dwie pozostałe falangi. Zachować spokój i porządek. Nie wiem, co to oznacza, ale trzymamy się razem.

Żołnierze ustawili się za nią w szyku, co stanowiło świadectwo jej zdolności przywódczych.

Przyglądałem się docom. Obietnice były przyjemne i dobre, ale obiecywałem też przecież Emahli, że ją znajdzie, a nie za bardzo by mi się to udało, gdybym zginął. Pomyślałem o Danili lepiącej pierogi na festiwalową ucztę bratanka. Po mojej trepanacji powściągliwa zwykle matka przycisnęła mnie do siebie i pocałowała w czubek spoczonej głowy. „Żałuję, że nie mogłam cię ochronić”, powiedziała. Nie wiedziała wtedy, że zostałem oszczędzony. Sam ledwo zdawałem sobie z tego sprawę. Do placu nie było już daleko, a ja potrafiłem szybko biegać.

Jelenia Głowa nie była największą ze znanych wysp, ale należała do najbogatszych. Słyszałem, jak miejscowi chwalać się swoją pikantną zupą rybną czy rozległymi targowiskami. Jeden twierdził nawet, że Jelenia Głowa utrzymuje się wyżej w wodzie niż inne wyspy. Tutejsza kopalnia bystrokamienia dostarczała sporą część cesarskich zasobów, a plac stanowił kolejne odzwierciedlenie tego dobrobytu. Bruk pod naszymi stopami stał się gładki i ułożony we wzory. Środek przestrzeni zajmowała podniesiona sadzawka z mostkami prowadzącymi do stojącej pośrodku altany. Zdobiące ją płaskorzeźby w formie winorośli wskazywały, że jest to jedna z nielicznych wciąż zachowanych w jednym kawałku budowli z epoki Alanga. Chciałbym móc odwiedzić to miejsce z Emahlą. Zerknęłaby na mnie filuternie, z ukosa. „A więc dlaczego Alanga to zbudowali?”, zapytałaby. Ja rozpocząłbym wtedy opowieść o tym, jak to owa pełna wdzięku budowla była zaledwie jednym z ich wychodków. Roześmiałaby się i dodała własne szczegóły. „No oczywiście. Kto nie marzy o tym, żeby ulżyć sobie w altanie?”.

Ale nie było jej tutaj.

Zatrzymałem się u wylotu uliczki i czekałem, aż idący przede mną żołnierze dotrą na drugi koniec placu. Stały tam dziesiątki dzieci w otoczeniu cesarskich zbrojnych. Jak owce przyprowadzone na rzeź. Niektóre były spokojne, ale większość wyglądała na zdenerwowaną, kilkoro otwarcie płakało. Podano im opium, żeby stały się potulne i by złagodzić ból. Podszedłem bliżej i rozglądałem się po ich szeregach. Czerwona koszula z kwiatami na rąbku. Za dużo dzieci w czerwieni.

To nie ja powinienem to robić, tylko ktoś z Garstki Bezkostnych z ustami pełnymi frazesów o wolności i o cesarstwie rządzonej przez ludzi. Nie byłem idealistą. Nie mogłem sobie na to pozwolić.

Ziemia zdrząła. Pył podniósł się z dachówek, a ja starałem się zachować równowagę. Panika rozlała się po opuszki moich palców. Jeden wstrząs wtórny, w porządku. Trzy wstrząsy w ciągu dnia i podtopienie przystani – taka sytuacja odbiegała już od normy. Na drugim krańcu placu żołnierze przykucnęli obok swoich podopiecznych i sięgnęli do broni, jakby to mogło w czymś pomóc. Rachmistrz

kierujący Festiwałem zgarbił się nad swoją księgą. Dzieci z wybałuszonymi oczami wpatrywały się w drżące budynki.

Przytrzymałem się skrajowi fontanny i zacząłem liczyć. Jeden, dwa, trzy, cztery...

Przy pięciu zacisnęło mi się gardło. Przy dziesięciu zorientowałem się, że to trzęsienie może się nie skończyć. Działo się coś strasznego. Czuję to w szpiku kości. Gdy tylko to sobie uświadomiłem, na powrót byłem w stanie chodzić. Jeśli świat miał się skończyć, to beczynne czekanie na finał nikomu nie pomoże, a już na pewno nie mnie.

Jakiś chłopiec z grupy dzieci chyba wyczuwał to samo. Podniósł się z pozycji kłęczącej i zaczął biec. Jeden z cesarskich żołnierzy złapał go za koszulę.

Czerwoną koszulę z kwiatami na rąbku. Alon, bratanek Danili. Niski jak na ośmiolatka, z grzywą czarnych włosów, które niemal całkowicie zasłaniały mu twarz.

Obowiązek trzymał żołnierzy razem, jakby byli związani kawałkiem żyłki rybackiej. Wystarczy ich mocniej popchnąć i pękną. Pobiegłem ku nim, potykając się, gdy ziemia znów się przesunęła.

– Wyspa tonie! Widziałem to już wcześniej! – skłamałem. Nawet nie musiałem się starać, żeby wyglądać na spanikowanego. – Uciekajcie na okręty, zabierajcie się stąd, zanim woda zabierze nas ze sobą! – Nie miałem pewności, czy przesadzam, czy też nie, ale nie zamierzałem zostawać tu na tyle długo, żeby się dowiedzieć.

Zbrojni wpatrywali się we mnie przez chwilę w osłupieniu. Przez budynki za ich plecami przechodziło dudnienie.

– Ty! – zawołała do mnie kapitanka. – Wracaj do szeregu!

Budynek po przeciwnej stronie placu zawalił się z odgłosem przypominającym uderzenie pioruna. Właśnie wtedy żyłka trzymająca żołnierzy razem pękła. Rozbiegli się. Dzieci i wojskowi przemykali obok mnie, grożąc, że mnie przewrócą. Sięgnąłem w tłum i złapałem Alona za rękę. Był tak mały, że zdołałem całkowicie objąć jego nadgarstek dłonią.

– Przysłała mnie twoja ciotka Danila! – poinformowałem go, krzycząc, żeby usłyszał mnie przez dźwięk przesuwającej się ziemi. Nie byłem pewien, czy moje słowa dotarły do niego, ale nie próbował mi się wrywać. To już coś. – Musimy uciekać. Uda ci się?

Tym razem skinął głową.

Dostrzegałem przebliski twarzy innych dzieci – spanikowanych, lecz wciąż potulnych, kroczących niepewnie. Ich rodzice, ciotki i wujowie przyjdą tu. „Kłamstwo, kłamstwo” – głos mojej matki. Odepchnąłem go. Nie byłem w stanie pomóc im wszystkim.

– Oddychaj głęboko – rzekłem, a później pobiegłem, wciąż trzymając Alona za rękę. Może i chłopiec był niski, ale potrafił trzymać niezłe tempo. Ominęliśmy sadzawkę i skierowaliśmy się z powrotem do doków.

W uszach słyszałem dudnienie własnego serca. Wąska uliczka wydawała mi się teraz wąwozem, do którego wpadliśmy bez nadziei, że zdołamy się z niego wydostać. Kolejny budynek na lewo od nas zakołysał się z trzaskiem pękających belek. Żołnierze za nami krzyczeli, gdy pociągnąłem Alona naprzód, w samą porę umykając przed walącą się fasadą. Pył wdarł mi się do nosa. Staralem się nie myśleć o żołnierzach zagrzebanych teraz pod gruzami, o ludziach, którzy mogli znajdować się w środku. Musiałem skupić się na tym, by utrzymać nas przy życiu. Alon zaczął płakać wysokim, przenikliwym głosem.

– Chcę do mamy! – łkał, szarpiąc się w moim uścisku.

Och, dziecko, ja również. Podczas huraganów moja matka siedziała, ignorując grzechoczące okiennice i wyjący wichry, jakby były jedynie zdenerwowanymi dziećmi. Obiecałem sobie, że jeśli wyjdę z tego z życiem, to znajdę sposób, żeby znowu odwiedzić dom.

– Posłuchaj! – zawołałem. – Musisz biec! Jeśli nie będziesz biegł, już nigdy jej nie zobaczysz!

Te słowa uciszyły go skuteczniej niż wymierzony policzek. Nie było czasu, żeby ich żałować. Nie byłem na tyle rośli czy silny, by go nieść.

Wydawało mi się, że rozpoznałem drzwi do pijalni, ale Danila będzie musiała wydostać się samodzielnie. Ziemia zatrzęsła się, rzucając mną na ścianę budynku tak, że grzmotnąłem w nią boleśnie barkiem. Szarpnąłem Alona za rękę, żeby utrzymać go w pionie. W powietrzu krążył pył; łzawiły mi od niego oczy. W lukach pomiędzy domami dostrzegałem jednak granatowy ocean i błękitne niebo. Pomknęliśmy w dół po nierównym bruku. Spadająca dachówka uderzyła Alona w ramię i chłopiec sięgnął do rany. Pociągnąłem go bezlitośnie dalej, zanim zdążył jej dotknąć.

Następnie znaleźliśmy się w dokach. Opar kurzu wznosił się za nami, jakbyśmy to my przynieśli ze sobą całe zniszczenie. Pomimo wstrząsów i walących się budynków ludzie nie wypełnili jeszcze przystani. Wahali się, stojąc przed koniecznością podjęcia decyzji: czy już jest na tyle źle? Czy będziemy czuć się głupio, gdy to wszystko się skończy? A co z dobytkiem, który zostawimy?

Strach kąsał mi pięty, a zdążyłem już się nauczyć, by ufać swoim obawom. Myśl o pozostaniu na tej wyspie napelniała mnie grozą, której nie umiałem zidentyfikować. Być może to wszystko się skończy, może wyspa zanurzy się tylko na kilka miar. Ale może nie i właśnie to drugie „może” ryczało mi w głowie.

Parę osób starało się dostać do cesarskich łodzi, szukając ochrony, ale zostali odegnani przez żołnierzy. Inni skierowali się do swoich łodzi rybackich. Ociężały konstruktor o obliczu ptaka z długim dziobem robił, co w jego mocy, żeby zatrzymywał każdego z nich.

– Proszę zgłosić swoje towary przed wypłynięciem – skrzeczał. – Przewóz i sprzedaż niezgłoszonych towarów może zakończyć się grzywną i uwięzieniem. Proszę pana, muszę przeprowadzić wrywkową kontrolę pańskiej ładowni.

Konstrukty urzędnicze należały do kategorii, której najbardziej nie lubiłem. Zaczekałem, aż zajmie się kimś innym.

– Alonie – powiedziałem do chłopca. – Tam na końcu doku stoi moja łódź. – Za nami drewno skrzypiało i zgrzytało, kamienie ocierały się o siebie. – Pomost nie jest zamocowany w dnie. Musimy płynąć. Puszczę cię teraz, ale musisz podążać za mną. Zrzuć buty, jeśli będą cię obciążać.

Nie czekałem, by przekonać się, czy skinie głową. Pobiegłem do wody, gdy konstruktor był obrócony plecami. Nie mógł wiele zdziałać bez wsparcia żołnierzy cesarskich, ale w tym momencie nie miałem ochoty ściągać na siebie żadnej niepożądanego uwagi. Powierzchnia oceanu falowała od dygoczącej ziemi, zasłaniając mi widok. Zorientowałem się w szoku, że grzbiety moich dłoni są szare od pyłu i spryskane krwią. Nie było czasu, żebym sprawdzał, czy jestem ranny. Wszedłem do wody. Tu, w przystani, pod koniec pory suchej, była równie ciepła jak powietrze. Postąpiłem zgodnie z własną radą i zrzuciłem buty, gdy tylko sięgnęła mi do pierśi.

Dzięki kotwicom pomosty jedynie się przesuwały, zamiast odplynać. Każdy zamach rąk wydawał mi się nierealny, cofał mnie do czasów, gdy pływałem jako

dziecko, nieważne, że za moimi plecami wyspa rozpadała się na kawałki. Chwyciłem się krawędzi mola i podciągnąłem się, czując, jak drzazgi wbijają mi się pod paznokcie.

Alon znajdował się tylko niewielki kawałek za mną. Grzeczny chłopiec – zrzucił buty. Pochyliłem się, by pomóc mu wspiąć się na pomost. Moja łódź została przycumowana na drugim końcu i kołysała się łagodnie na wodzie. Była niewielka – wystarczająco duża, żeby pozwolić przewieźć znośną ilość towaru i spędzić kilka tygodni na morzu, ale im mniejsza, tym szybsza. Im mniejsza, tym mniej bystrokamienia musiałem zużywać, jeśli było to w ogóle konieczne. Tak daleko od pyłu i walących się budynków wreszcie oczyściły mi się myśli.

– To moja – rzekłem do chłopca i tym razem nie musiałem krzyżeć. – Płynięmy do twoich rodziców.

Poszedł za mną jak zagubione jagniątko.

Gdy tylko wszedłem na pokład, górę wzięły lata treningu. Sprawdziłem olinowanie, zwinąłem cumę, podniosłem żagiel. Kakofonia dobiegająca z wyspy ucichła do stłumionego szumu w zakątku mojego umysłu. Ojciec uczył mnie żeglowania, odkąd tylko zacząłem chodzić. Tu, na łodzi, stałem stabilniej niż na trzęsącym się lądzie.

Alon znalazł sobie miejsce na dziobie i usiadł tam, milczący i drżący.

Powietrze przeszły trzask głośny niczym piorun. Zerknąłem za siebie i przełknąłem z trudem ślinę. Wyspa naprawdę tonęła. Przestań zanurzyła się już niemal całkowicie, woda podpełzła do budynków na jej obrzeżu. To, co robiłem, nie wystarczy. Musiałem wydostać się stąd szybciej.

Bystrokamień. Rzuciłem się do kłapy ładowni, a później złapałem leżące pod spodem luźne deski. Niżej znajdowały się skrzynki z bystrokamieniem. Każdy, kto znał moją łódź, dostrzegłby, że zanurza się głębiej niż zwykle, ale niewielu znało ją tak dobrze jak ja. Chwyciłem garść białej, kredowej substancji, podparłem się drugą ręką, żeby się podnieść, i wrzuciłem zawartość dłoni do koksownika.

Gdybym nie zabrał chłopca, mógłbym już dawno stąd odpłynąć. Gdybym nie zatrzymał się, żeby wypytować o łódź, która zabrała moją Emahlę. Ale gdybanie nie mogło mnie teraz uratować. Z trudem odnalazłem krzemień, a później uderzyłem nim o ściankę koksownika. Iskry posypały się na bystrokamień, który zapłonął równie łatwo, jakby był plewami.

Biały dym buchnął z koksownika, niosąc ze sobą podmuch wiatru, który wpadł w żagiel i wypełnił go. Moja łódka skoczyła w stronę wylotu przystani – teraz dwukrotnie szerszego niż wtedy, gdy zawijałem do portu. Pot spływał mi strumyczkami po twarzy. Słońce wzniosło się wyżej i jego żar lizał mi kark. Wydawało się niestosowne, że świat miał się skończyć w bezchmurny dzień.

Dmuchałem na płonący bystrokamień i poprawiłem grotżagiel. Nie tylko my umykaliśmy pospiesznie z przystani, ale byliśmy w czołówce. Gdy znaleźliśmy się na oceanie, moje serce zaczęło bić spokojniej, choć wciąż drżały mi palce. Zerknąłem na Alona, który dygotał skulony na dziobie, otulając się ramionami. Przepłynięty odcinek nie zmył mu całego pyłu z twarzy. Wybałuszonymi oczyma wpatrywał się w wyspę za nami. Zaryzykowałem spojrzenie za siebie.

Skala zniszczeń pozbawiła mnie tchu. Z połowy budynków zostały jedynie gruzy. W powietrzu wznosił się szary pióropusz pyłu i dymu, zasłaniający drzewa. Z ich koron poderwały się stada ptaków wyglądających na tle powstałej chmury jak ciemne kropki.

– Ciocia Danila... – wykrztusił Alon.

Czasami jedna osoba wystarczyła. Jedna musiała wystarczyć. Przełknąłem ślinę.

– Może udało jej się wydostać, chłopcze. Jeszcze nie rozpaczaj. – Wokół nas wdziałem w wodzie zwierzęta oddalające się od ładu – kozy, jelenie, koty, psy, nawet króliki i myszy – wszystkie uciekały, wszystkie porzucały wyspę. Głębina poruszyła się, łuski jakiegoś wielkiego stworzenia przebiły na krótką chwilę powierzchnię wody, po czym zanurzyły się z powrotem. Dostrzegłem przebłyски płetw i jaskrawe luminescencyjne plamy. Nawet bestie żyjące w podbrzuszu dryfującej wyspy się oddalały. Groza wbiła mi się w podstawę karku, szarpała mnie za kręgosłup.

Wyspa zatrzęsała się gwałtowniej i kolejne budynki runęły na ziemię. Całość zaczęła zapadać się szybciej, leniwie, niczym człowiek wchodzący do kąpieli. Mój umysł przeanalizował problem, zanim serce zdążyło w niego uwierzyć. Jeśli wyspa zanurzy się całkowicie, woda pomknie, by wypełnić pozostałą po niej przestrzeń i powstanie wir.

Jeśli nie oddalimy się wystarczająco, zostaniemy wciągnięci.

– Na wszystkich Alanga – mruknąłem. Poruszaliśmy się szybko, ale nie dość szybko. Zaledwie opuściliśmy przystań. Dorzuciłem więcej bystrokamienia do ognia i wytarłem dłoń z białego pyłu o kurtkę. Łódeczka zerwała się na chwilę, ale później znów zwołniała. Widziałem wiry i prądy poruszające innymi łodziami niezależnie od wiatru. Na jednej z nich ktoś krzyknął.

Bystrokamień. Musiałem go wyrzucić. Spowalniał nas.

Choć śmierć spoglądała mi w twarz, umysł desperacko poszukiwał innych opcji. Opanowałem się. Nie. Nie będę taki, jak ci ludzie wciąż tkwiący w dokach, wciąż nietracący nadziei, że trzęsienie ziemi się skończy, że zdołają wrócić do domów. Ciągle tam byli, jeśli jeszcze nie zatonęli.

– Alonie, pomóż mi, dobrze?

Chłopiec ocknął się z letargu, gdy wskazałem właz ładowni. W sytuacjach kryzysowych ludzie zawsze reagowali lepiej, gdy dawało im się jakieś zadanie. Przytrzymał właz, gdy ja sięgałem po skrzynki i wyciągałem je na pokład. Majątek w bystrokamieniu. Owszem, nielegalnie zdobyty, ale moim. Wystarczającym, żebym spłacił dług wobec Ioph Carn.

Zostawiłem garść do koksownika i wyrzuciłem resztę za burtę, jedną skrzynkę po drugiej, zanim zdążyłem zmienić zdanie.

Wystarczająco – teraz już niewystarczająco. Nieważne, czy wyspa tonęła, Ioph Carn znajdą mnie i zażądają zapłaty. Póki co jednak żyłem, moja łódź mknęła po wodzie, a moje serce biło szybko i mocno.

Alon przepelzył z powrotem na dziób niczym ranne zwierzę. Podczas ucieczki ciągnąłem go brutalnie, ale nie chciałem go zostawiać. Skulił się i zaczął łkać. Zapewne opium przestawało na niego działać.

– Twoja ciotka wciąż mogła się wydostać – powiedziałem i od razu zorientowałem się, że to nie pomoże. Miał osiem lat, nie był głupi. Wprawdzie mieszkał na mniejszej wyspie, ale zapewne często odwiedzał ciotkę, znał to miejsce jak drugi dom. Teraz zniknęło, rozpuszczało się w oceanie. A Danila wraz z nim.

Zerknął na mnie spod łokcia z zaczerwienioną twarzą.

– Już ich nie ma – załkał. – Nie ma ludzi, nie ma wyspy, zwierzęta... – Uniósł głowę, by popatrzeć na stworzenia płynące obok nas. – One też umrą.

Wyspa za nami znów się zatrzęsała i ten ostatni rumor zburzył mury, które wzniosłem wokół swojej grozy. Co stanowiło przyczynę tego wszystkiego? W żadnej

z dawnych opowieści – nawet tych poświęconych Alanga – nie było wzmianek o tonących wyspach. O trzęsieniach ziemi owszem, ale nie o czymś takim. Nie o tym, że zniszczeniu ulegał cały ląd i zabierał wszystko ze sobą. Starałem się uspokoić. Nie pomoże to ani mnie, ani chłopcu, jeśli się teraz rozsypię, nieważne, jak wielką miałem na to ochotę.

Za burtą dostrzegłem brązowego kociaka szamoczącego się na falach. Nie miał dokąd uciec, a jednak wciąż płynął. Drapnął w bok łodzi, próbując go złapać. Znałem to uczucie. Jego ciemne oczy skrzyżowały się z moim spojrzeniem i poczułem jego desperację.

Kierowany impulsem, podniosłem podbierak, wysunąłem go i wyłowilem zwierzątko z morza. Nie ruszało się, gdy położyłem je na pokładzie. Skuliło się, przemoczone i dygoczące.

– Spójrz – rzekłem do Alona. – Ten tutaj nie umrze, jeśli się nim zaopiekujesz. Otwórz tamtą ławkę. Po lewej stronie są koce, a pod nimi trochę suszonej ryby. Sprawdź, czy uda ci się wysuszyć i nakarmić tego malca.

Chłopiec wytarł łzy mankietem i przepełził z dziobu do kotka. Wziął stworzonko w ramiona i choć wciąż pociągał nosem, przestał zawodzić.

Kolejne uratowane życie. Było to żałośnie, niewypowiedzianie mało w skali wszystkich straconych żywotów. Ale z pewnością stanowiło różnicę dla tego, który przeżył.



4

Lin

Wyspa Cesarska

Z zaciśniętym gardłem wpatrywałam się w Bayana, czując, jak wyraz mojej twarzy zmienia się w szok i zaskoczenie. Wyszorował dłonie i zdjął fartuch, pozbywając się wszelkich śladów krwi. Na nowo zapanowałam nad sobą i przybrałam neutralne oblicze, upewniając się, że tylko tyle Bayan zobaczy. Otworzył usta, żeby znów mnie zapytać, co robię przy komnatach ojca. Byłam pierwsza. Mój umysł wyprzedzał usta zaledwie o krok.

– Próbowałam wejść do środka, rzecz jasna – rzekłam lekkim tonem. Wyciągnęłam rękę i poruszyłam klamką.

Bing Tai zawarczał i dźwięk ten poniósł się echem po pustym korytarzu.

Oboje odskoczyliśmy. Napotkałam wzrok Bayana. Przez chwilę tylko spoglądaliśmy na siebie. Jego czarne oczy otworzyły się szeroko, usta rozchyliły, dłonie rozłożyły, by odeprzeć atak. Nie byłam pewna, czy to on rozeźmiął się pierwszy, czy ja, ale przez krótką chwilę krzyżowaliśmy spojrzenia i oboje się śmiailiśmy. Drzwi były zaryglowane, a my bezpieczni. Poczulałam falę ulgi i dziwnej, zakazanej niefrasobliwości. Nigdy dotąd nie śmiałam się wspólnie z Bayanem. Śmiałam się z niego, a on ze mnie, ale na tym polegała rywalizacja. Miał siedem kluczy, ja zaś sześć, i choć to ja byłam

rodzoną dziedziczką, a on kimś z zewnątrz, to liczył na koronę. Nie mogliśmy się przyjaźnić, skoro oboje dążyliśmy do tego samego.

Zupełnie jakby dokładnie w tej chwili sobie o tym przypomniał, jego twarz nagle otrzeźwiała.

– A w zasadzie co ty robisz przy komnatach mojego ojca? – odbiłam pytanie. – Mam więcej powodów, żeby tu być, niż ty.

– Czyżby? – Podniósł dłoń do kluczy wiszących mu na szyi. – Mam dostęp do większej części pałacu niż ty. Szedłem właśnie do biblioteki. Tej tajnej.

– Tajnej biblioteki – powtórzyłam beznamyślnie. – Nie jest taka tajna, skoro mi o niej mówisz.

Przyłożył palec do brody. Musiał wiedzieć, że ten gest jedynie podkreśla jego wyrazistą linię żuchwy.

– Zatem jak powinienem ją nazywać? Biblioteką magii? Biblioteką konstruktorów? Biblioteką zabronioną dla Lin, bo ona nie umie sobie przypomnieć?

Wnętrznosci zawrzały mi jak woda w garnku czekającym na przyjęcie porcji krabów. Odetchnęłam, by się uspokoić, i utrzymałam chłodny wyraz twarzy.

– Skoro szukasz jakiegoś opisowego określenia, to może biblioteka wykorzystywana głównie przez nadętego chłopca bez pozycji?

Bayan kląsnął językiem.

– Córka cesarza powinna wykazywać się lepszymi manierami. Jestem jego przybranym synem, a to nie byle co. Chciał, żebym wyszukał odpowiedni rozkaz dla mojego jeleniego konstruktów, a skoro zakończyłem już wieczorną medytację, zamierzam zająć się badaniami.

Powiedział to nonszalancko, co pogłębiło tylko moją zawiść. Czego bym nie oddała, żeby znaleźć się w tej bibliotece, żeby móc sunąć dłońmi po książkach, wąchać ich stronicę. Nauczyć się z nich wszystkiego, co oferowały. Było to moje dziedzictwo, nie jego.

– Bardzo wysoko się cenisz. Wiedzę mogą dysponować tylko ci, którzy zanurzają się w jej głębię i znają jej kształt. Lektura...

– ...bez prawdziwego zrozumienia oznacza jedynie brodzenie na płyciźnie bez świadomości potworów czających się poniżej – dokończył Bayan. – Znam *Przysłowia Ningsu*.

Nienawidziłam go. Nienawidziłam tego, że nie umiałam sobie przypomnieć. Nienawidziłam zamków i kluczy, których potrzebowałam do ich otwarcia. Co mogłoby być gorsze? Gdyby ojciec mnie wygnał i na moje miejsce wyniósł Bayana, czy też gdyby mianował go dziedzicem i zostawił mnie w pałacu, żebym mu służyła?

Być może Bayan miał znaczne braki w umiejętności czytania z twarzy, jego oblicze jednak złagodniało.

– Spędzasz wiele czasu, skradając się po pałacu i zabawiając się z konstruktami.

– Nie zabawiam się – odparłam, choć nawet sama dla siebie brzmiałam na naburmuszoną. – Badam je.

– Jak sobie chcesz... – Uniósł dłonie w pojednawczym geście. – Widziałem cię przy tym. Cesarz też cię widział. Odzyskałem wiele wspomnień i nie odbyło się to dzięki temu, że mówiłem do konstruktorów. Medytowałem i spędzałem trochę czasu w odosobnieniu. Może gdybyś robiła tak samo, gdybyś poszła na dziedziniec czy nad sadzawkę, lub wręcz usiadła w swoim pokoju i pomedytowała, również odzyskałabyś wspomnienia.

– To takie proste? – Nie potrafiłam zawrzeć w swoich słowach tyle jadu, ile miałam ochotę. Wpatrywałam się w oblicze Bayana – w jego spokojne oczy, w prosząco uniesione gęste czarne brwi, w pełne usta, zamknięte, lecz nie zaciśnięte – i uświadamiałam sobie, że wcale mnie nie nienawidzi. Powinien mnie nienawidzić. Gdy będę już miała w posiadaniu więcej kluczy, gdy wykradnę ich więcej, zorganizuję jakiś prosty sposób, żeby go wrobić, na wypadek gdyby ojciec mnie przyłapał. Nie miałam większego wyboru. Bayan nie byłby dobrym cesarzem. Zanadto przypominał mojego ojca, zanadto skupiał się na tajemnych miejscach i eksperymentalnej magii.

Konstrukty Biurokracji, Handlu, Wojny i Szpiegów były konstrukcjami wyższego rzędu pomagającymi ojcu w sprawowaniu władzy, ale wyglądało na to, że w coraz większym stopniu ukrywał się za nimi, podczas gdy sam pracował nad sekretnymi projektami.

– Może tego spróbuję – rzekłam, a Bayan uśmiechnął się na te słowa. Zmarszczyłam czoło, czekając na fortel, na obrazę.

– Bayan. Lin. – Ojciec kuśtykał korytarzem w naszą stronę. Zakasłał w rękaw, ale się nie zatrzymał.

Rumieniec rozlał mi się z piersi w górę, sprawiając, że powietrze wokół mojej szyi stało się rozgrzane jak w piecu. Byłam idiotką. Sterczałam tutaj, wymieniając kąśliwe uwagi z Bayanem, podczas gdy ojciec kończył codzienne wieczorne czynności. Powinnam była dawno się stąd zmyć, zamiast pozwolić, by Bayan mnie zatrzymywał. Czy zrobił to celowo?

Ale wyglądał na równie zaskoczonego jak ja.

Laska ojca zakończona głową feniksa stukiała o podłogę, gdy się zbliżał, lecz jego stopy obute w pantofle przesuwają się bezszelestnie. Jednym z moich najwcześniejszych wspomnień po tym, jak obudziłam się z choroby, był widok stopy ojca, zakrwawionej i zabandażowanej, i to, że pytałam go, co się stało. „Wypadek”, odparł szorstko w sposób wskazujący, że nie życzy sobie żadnych dalszych pytań.

Stanął przed nami.

– Co robicie przy moich komnatach?

Kawałek drewna, którym przyblokowałałam wcześniej drzwi, żeby się nie zamknęły, ciążył mi teraz w kieszeni. Paliły mnie czubki uszu. Bądźcie jak lód, zmuszałam je siłą woli. Jak lód na szczytach najwyższych gór. Unikałam jego wzroku i czekałam, by Bayan odezwał się pierwszy. Ojciec dostrzegłby prawdę w moich oczach, gdybym na niego spojrzała. Przyjrzałby mi się i w pełni domyślił, co zrobiłam.

Bayan milczał i cisza przeciągała się zbyt długo.

– Bayan mówił, że pokaże mi tajną bibliotekę. – Nic innego nie przyszło mi do głowy.

Obydwaj jednocześnie zaczerpnęli powietrza, obydwoj gotowi do odpowiedzi.

Od strony okna na końcu korytarza dobiegło ciche stukanie i wszyscy popatrzyliśmy w kierunku źródła dźwięku. Na parapecie pojawiła się dłoń, później dwie, wreszcie cztery. Ilith, Konstruktor Szpiegów, przelazła kolejnymi nogami przez okno.

Nie byłam pewna, na której z dryfujących wysp ojciec znalazł wybryk natury, który składał się na większość Konstruktor Szpiegów, ale wiedziałam, że nigdy nie chciałabym odwiedzić tego miejsca. Stwór najbardziej kojarzył się z ogromnym pajakiem, ciemnobrązowym i lśniącym, sięgającym mi aż do piersi, gdy stał na baczność. Na końcu każdej wiotkiej nogi zamocowano ludzką dłoń, a brzuch zdobiła twarz starej kobiety. Chciałam odwrócić wzrok, ale jak zawsze skończyło się na tym, że

z ciarkami na grzbiecie śledziłam każdy ruch tej istoty. W jej groteskowości kryło się dziwaczne piękno.

– Wasza eminencjo – odezwała się Konstruktor Szpiegów niewyraźnym głosem, jakby mówiła przez wiele warstw pajęczyny. W jednej z przednich dłoni trzymała złożoną wiadomość. – Dotarły do mnie wieści z naszych najszybszych cesarskich okrętów. Doszło do tragedii.

Ojciec stracił zainteresowanie mną i Bayanem. Oparł się na lasce i przyjął podawany pergamin.

– Tragedia? Czy Garstka Bezkostnych zaatakowała kolejną wyspę? Doszło do zawalenia kopalni?

– Nie, mój panie – wychrypiąła Konstruktor Szpiegów. – Chodzi o wyspę Jelenia Głowa. Zapadła się pod wodę.



5 Phalue

Wyspa Nephilanu

Ranami nie tylko wpłynęła na życie Phalue – ona zmieniła je nieodwracalnie, nawet jeśli Phalue czasami nie chciała tego przyznać. Na przykład w chwilach takich jak ta, gdy z jej powodu po prostu nie potrafiła się skoncentrować.

Pot przyklejał jej włosy do karku. Miecz w jej dłoni opadł, ale poprawiła chwyt i zacisnęła zęby. Wolałaby rzucić się w Bezkresne Morze niż przegrać starcie z Tythusem. Łączyły ich zbliżony wiek, wzrost i waga, choć to ona powinna wygrać za sprawą umiejętności. Owszem, była rozkojarzona. Zupełnie jakby tego dowodząc, Tythus rzucił się naprzód, niemal zaliczając trafienie w jej naramiennik. Odbiła atak w samą porę.

– Ach, Phalue – powiedział Tythus, uśmiechając się, gdy znalazł się tak blisko wygranej. – Nie jesteś dziś sobą. To z powodu jakiejś kłótni między kochankami?

Phalue się skrzywiła. Od dawna z tego dowcipkowali. Przed kilkoma laty często przychodziła na ich sesje sparingowe humorzysta i nieswoja. On zaś delikatnie ganił ją za podrywanie, jak lubił powtarzać, „połowy wyspy”. Musiała szczerze przyznać, że niewiele się mylił. Była niepoprawną flirtiarą, zalecała się zarówno do wysoko, jak i nisko urodzonych kobiet. Później spotkała Ranami i gorąco-lodowata namiętność ochłodziła do stanu nieco wygodniejszego i znośniejszego.

Ostatnio jednak rzeczywiście się kłóciły.

Tythus przebił się przez jej gardę i ugodził ją w nogę. Odskoczyła, ale za późno, i syknęła z bólu. Zostanie jej siniak. Zerwała z głowy hełm i gwałtownie wciągnęła powietrze. Wciąż było wilgotne od deszczu, który padał wczesnym rankiem, przez co Phalue miała wrażenie, że tonie na lądzie. Może jednak nie była jeszcze gotowa, żeby rzucić się w Bezkresne Morze.

Oblicze Tythusa spoważniało. Mężczyzna opuścił miecz.

– Serio? Coś cię dręczy. Nie mów mi, że zerwałaś z Ranami. Nie spotkało cię w życiu nic lepszego niż ona.

Phalue pokuśtykała po bruku dziedzińca, próbując rozchodzić ból.

– Nie, ciągle jesteśmy razem. Po prostu... czasami nie rozumiem kobiet.

Zapiał ze śmiechu.

– Och, to mocniejsze niż nalewka mojej ciotki.

Popatrzyła na niego ze złością.

– Nie rozumiem innych kobiet. – A może nie rozumiała jedynie Ranami.

Kojarzyła się ona Phalue z synogarlicą perłoszyją – miękka i brązowa, cicha i elegancka, z okrągłymi czarnymi oczyma skłaniającymi do łagodności. Pod piórami znajdowała się jednak istota pełna ostrych krawędzi i czasami, jeśli Phalue sięgała zbyt głęboko, czuła, że o nie zahacza. Minęła fontannę w rogu pałacowego dziedzińca, zerkając na nią. Była to jedna ze starych pozostałości pałacu, część zbudowana jeszcze przez Alanga. Właśnie tu, na Nephilanu, zorganizowali ostatnią redutę przeciwko przodkom cesarza. Rezydencja jej ojca była jednym z nielicznych budynków, które przetrwały niemal nietknięte.

Skinęła podbródkiem w stronę fontanny.

– Czy znowu otworzyła oczy? – spytała.

Tythus niezręcznie przestąpił z nogi na nogę.

– Nie. Były otwarte przez pięć dni, ale później już nie. Tak szczerze, to mam od tego ciarki.

W fontannie stała postać trzymająca misę, z której spływała woda. W pałacu zapanował zgiełk, gdy przed kilkoma miesiącami rzeźba otworzyła niewidome oczy. Ojciec Phalue zamierzał właśnie nakazać jej zniszczenie, gdy znów się zamknęły. Nic się nie wydarzyło. Żadnych fanfar, żadnego dudnienia, żadnego nagłego pojawiania się ludzi władających dawną magią. Na ulicach krążyły pogłoski, że oznacza to, że Alanga wróć, przejmą władzę nad wyspami i Nephilanu będzie pierwsza. Aczkolwiek z każdym kolejnym słonecznym dniem nawet przerażające opowieści traciły impet.

– Gdyby wrócili, najpierw udaliby się na Cesarską – stwierdziła Phalue.

Tythus zmarszczył brwi.

– Mówienie o powrocie Alanga może przynosić pecha.

– Nie mów mi, że jesteś taki przesądny.

Jedynie zacisnął wargi.

Phalue potrząsnęła nogą i westchnęła, jak zawsze kierując myśli znów ku Ranami.

– Poprosiłam ją, żeby za mnie wyszła. Mówię o Ranami. – Nie była pewna, dlaczego zwierzała się z tego Tythusowi, poza tym, że zawsze słuchał, gdy miała jakiś problem.

Schował miecz do pochwy.

– Wiesz, na pewno nie pomyślałem, że chodziło ci o rzeźbę z fontanny. I co? – Czytał w jej twarzy. – Ach. Nie zgodziła się.

Phalue otarła z czoła pot i kosmyki włosów.

– Już wcześniej ją prosiłam. To nie był pierwszy raz. Ale ona wciąż mi powtarza, że nie chce być żoną gubernatorki. Co mam z tym zrobić? Abdykować? Również nie przepadam za polityką ojca, ale gdyby była moją żoną, a ja odziedziczyłabym stanowisko, mogłaby mi pomóc kształtować tę politykę.

Tythus tylko wzruszył ramionami. Był jednym z pałacowych gwardzistów i nie będzie mówił źle o jej ojcu, nawet jeśli ona mogła to robić swobodnie.

– Nienawidzi tego, że on wysłał wszystkie orzechy caro na Cesarską. Nienawidzi tego, jak traktowani są rolnicy. Uważa, że to niesprawiedliwe. Zatem dlaczego w ogóle jest ze mną? Z córką i dziedziczką gubernatora? Jeśli naprawdę nie jest zainteresowana poprawą swojej pozycji, to czy nie powinna zalecać się do kogoś, kogo pozycja jej nie odpycha? Jestem dla niej pośmiewiskiem? Przelotnym kaprysem? Gdy się poznałyśmy, zabrałam ją do doków i puściłam na wodę pływające lampy, a ona chciała rozmawiać o podatkach nakładanych przez mojego ojca! Powinnam była się domyślić, że odmówi. – Mówiąc to, Phalue krążyła wokół dziedzińca. Teraz zatrzymała się i odetchnęła kilka razy.

– Phalue – rzekł Tythus. – Jestem żonaty już od pięciu lat i mam dwójkę dzieci. Nie jestem dzieckiem gubernatora. Nie jestem gubernatorem. A poza tym, co zresztą najważniejsze, nie jestem Ranami. Zapewne to ją powinnaś spytać.

– Nie wiem, jak z nią rozmawiać – odparła Phalue, nie cierpiąc żalostnej nuty w swoim głosie. Próbowwała wyjaśniać Ranami, że ojciec namawiał ją na ożenek, że gdy zajmie stanowisko gubernatorki, da Ranami wolną rękę we wpływniu na politykę, że już wystarczająco długo są razem. Raz nawet wpadła w szał i wyszła, decydując, że od niej odejdzie i zacznie zalecać się do kogoś innego. Nie zdoła jednak zostawić Ranami, podobnie jak świat nie zdołałby zostawić słońca. Wpełzła więc z powrotem na orbitę i błagała o przebaczenie, którego Ranami udzieliła jej wraz z długim uściskiem i pocałunkiem w policzek. Nikt nigdy nie mógłby odmówić jej wspaniałości.

– A może – zaproponował Tythus, przekrzywiwszy głowę i uniósłszy gęste brwi – spróbowałabyś jej posłuchać?

– Myślisz, że jej nie słucham? – odparła beznamiętnie Phalue.

Tythus uniósł dłonie i lekko wzruszył ramionami.

– Słuchanie to sztuka. Czasami chodzi nie tyle o to, by pozwolić drugiej osobie mówić, lecz by zadawać odpowiednie pytania.

– Jakie pytania są odpowiednie?

– Jestem tylko twoim partnerem sparingowym – odpowiedział lekko. – Pamiętasz?

Na balkonie pierwszego piętra otworzyły się na chwilę drzwi i na dziedziniec wylały się odgłosy muzyki oraz gwar głosów. Phalue zerknęła na pałac z niesmakiem.

– Jeszcze się to ciągnie?

– Twój ojciec lubi urządzane przez siebie przyjęcia. – Znów idealnie neutralny ton. – Może byłby zadowolony, gdybyś tam zajrzała.

Zajrzała? To jakby wrona próbowała przysiąść na grzędzie wśród skowronków. Matka i ojciec Phalue rozwiązali małżeństwo, gdy była jeszcze mała, i choć matka posłała ją do pałacu, by tam mieszkała, czuła, jakby nie do końca pasowała do tego miejsca. Jej wybryki nie polegały na piciu i tańcach. Pokręciła głową.

– Tythusie, szybciej ty wzięłyś w nich udział niż ja. Wiesz to przecież.

Położył ciężką dłoń na jej barku.

– Porozmawiaj z Ranami, jeśli chcesz poznać jej myśli. Ja nie jestem wieszczem. Dziobiesz w kamień i liczysz na to, że w środku znajdziesz orzech.

Phalue schowała miecz do pochwy, a później na nowo związała włosy.

– Nie rozmawialiśmy od zeszłego wieczoru. Wysłam zła.

– A ona była zła?

Dziewczyna uderzyła dłonią w jeden z filarów z drewna tekowego.

– Nie. Tylko... smutna. A to czasami sprawia, że złość się jeszcze bardziej.

– Cóż, wcześniej czy później będziesz musiała z nią pomówić. Albo po prostu nie rozmawiaj z nią już nigdy.

– Jesteś ode mnie tylko dwa lata starszy – oznajmiła Phalue, wywracając oczyma. – Nie traktuj mnie jak dziecka.

– Zatem idź – odparł Tythus, machając dłonią w rękawicy. – Idź być dorosłą. Idź wypowiadać dorosłe słowa i wyjaśnić dzielące was różnice. Wolałbym skończyć na wysokiej zwycięskiej nucie.

– Nieuczciwie – rzekła, unosząc palec, a później pokręciła głową. – Skończymy jutro rano.

– Niech będzie.

Nie zawracała sobie głowy zdejmowaniem zbroi. Wolala ją niż stroje uliczne lub – niebiosa brońcie – haftowane jedwabne tuniki, do których noszenia wiecznie próbował zmuszać ją ojciec. Poza tym Ranami lubiła ją w zbroi. Przyznała po pewnej parnej nocy, że według niej właśnie w zbroi Phalue wydaje się czuć najswobodniej. I Phalue bardzo się to spodobało.

Jej serce zgubiło jedno uderzenie na to wspomnienie, a później zamarło, gdy przypomniała sobie ich kłótnię. Pod koniec tych awantur Ranami zawsze mawiała, że Phalue po prostu nie rozumie, a Phalue odpowiadała: „No to pozwól mi zrozumieć!”, a wtedy Ranami patrzyła na nią tak, jakby prosiła psa, żeby żeglował łódką. Zupełnie jakby podczas sprzeczki znajdowały się na dwóch różnych wyspach i żadna z nich nie potrafiła przedostać się do tej drugiej.

Las leżący za murami pałacu był wilgotny i zielony, pora deszczowa dopiero się zaczęła. Gałęzie, które Phalue odsuwała sobie z drogi, były mokre, ścieżka wciąż śliska. Gdzieś w oddali samica ptaka ijop raz za razem śpiewała ijop-iii w ostatniej desperackiej próbie przyciągnięcia samca, zanim ustąpi gorąco pory suchej i wychowanie młodych stanie się trudniejsze.

Pałac stał na szczycie wzgórza, odizolowany od leżącego poniżej miasta. Phalue czuła szarpnięcia w kolanach, gdy szła serpentynami, starając się utrzymać równowagę. Pomimo niepokojów wśród rolników i tego, że jej ojciec nie cieszył się popularnością, mieszkańcy wyspy Nephilanu wydawali się ją lubić. Podobała im się jej dyscyplina, jej nisko urodzona matka, fakt, że często schodziła do miasta. Właśnie te wizyty, odbywane w towarzystwie świty gwardzistów, zainspirowały Phalue do tego, by nauczyć się walczyć. Spierała się z ojcem, że jeśli opanuje tę umiejętność, będzie mogła zaglądać do matki samodzielnie.

Gdy pokonała w potyczce dwóch najlepszych z jego ludzi, ustąpił. Z początku bywała w mieście wyłącznie u matki. Później zaczęła też zachodzić na targowiska. A jeszcze później wpadła w oko przyjezdnej gubernatorce i zakochała się po raz pierwszy. Późno rozwinęła skrzydła, bo dopiero w wieku dziesiętnastu lat, ale od tamtej chwili zdecydowanie nadrobiła stracony czas.

W połowie drogi musiała zejść w błoto na poboczu, żeby przepuścić wózek. Skrzyział pod ciężarem, a zaprzężony do niego wół wysił się, ciągnąc ładunek. Kolejne zapasy dla pałacu. Czasami zastanawiała się, jak wyglądał, gdy zbudowali go Alanga. Po wszystkich przeróbkach dokonanych przez jej rodzinę zapewne w równym

stopniu przypominał oryginał, co piesek kanapowy wilka. Uprawy orzechów caro pozwoliły jej ojcu się wzbogacić, dzięki czemu mógł zlecić wzniesienie nowej sali tuż za murami. Był przekonany, że pewnego dnia sam cesarz zdecyduje się ją odwiedzić.

Phalue rozglądała się po mieście, czekając, aż wózek ją minie. Próbowwała dostrzec dom Ranami pośród pokrytych dachówką pochyłych dachów ściśniętych zbyt blisko siebie. Co mogłaby jej powiedzieć? „Przepraszam” stanowiłoby najoczywistszą kwestię na początek, ale czasami wydawało się nie wystarczać. Zapewne najbardziej Ranami chciałyby usłyszeć „rozumiem”, ale nie byłyby to prawda. „Kocham cię”? To z kolei było prawdą w takim stopniu, że za każdym razem, gdy Ranami na nią spoglądała, Phalue czuła, jakby coś rosło jej w piersi.

Z rzadka tęskniła za czasami swoich miłosnych podbojów. Nowa kobieta co kilka tygodni, nowy cel namiętnych schadzek. Ale gdy tylko w dokach poznała Ranami, jakby straciła wiatr w żaglach. Jeśli Phalue porządnie się nad tym zastanowiła, Ranami wcale nie wydawała się wyjątkowa. Klęczała wtedy na skraju pomostu, długie rzęsy ocieniały jej policzki, szczupłe palce wyciągały pułapkę na kraby z głębiny. Kto zakochałby się w sposobie, w jaki ktoś wyławia pułapkę na kraby?

Phalue najpierw zauważyła piękno Ranami, później jej wdzięk, a następnie to, jak jej wargi rozchylają się lekko, gdy się skupia, jak wąskie linie jej brwi marszczą się na czole.

Podejście Phalue... pozostawiało sporo do życzenia. Zaproponowała, że kupi kraba, choć wyraźnie nie były one na sprzedaż, a Ranami zrobiła skonsternowaną minę i powiedziała, że połów jest na prywatny użytek. Ranami wiedziała, z kim rozmawia, na co zresztą byłby gubernatorskiej córce byle krab z doków? Później dość szybko odgadła intencje Phalue i odrzuciła jej awanse.

– Nie zamierzam być niczyją zabawką.

– Czy to dlatego, że nie jesteś zainteresowana kobietami?

Ranami popatrzyła na nią przeciągle, jakby nie potrafiła uwierzyć w to, co słyszy.

– Nie chodzi o to, że jesteś kobietą. Chodzi o to, że jesteś sobą. – Nie był to szczególnie pomyślny początek. Phalue zostawiła Ranami w spokoju, tak jak ta poprosiła, ale usłyszane słowa dały jej powód do refleksji. Z poprzednią kochanką zerwała i przeżyła trzy miesiące w celibacie. Czy rzeczywiście tak beztrudno podchodziła do uczuć innych? Później zaś, ku jej zaskoczeniu, Ranami odszukała ją w pałacu. „Może się ośmieszam”, powiedziała pokornie ze spuszczonej oczyma, „ale jeśli wciąż jesteś zainteresowana...”. Po czym podała jej koszyk, w którym znajdował się krab.

Phalue postukała palcami w pochwę miecza, a w jej głowie odbijały się echem słowa Ranami. „Chodzi o to, że jesteś sobą”. Czy tym razem znowu chodziło o coś związanego z nią? Starła się pozbyć nieprzyjemnego uczucia, że owszem. Utrzymało się ono śliską warstwą na jej sercu jak plama oleju na wodzie. Jeśli tak, to skłoni Ranami, by ta wypowiedziała odpowiednie słowa, by sama z nią zerwała, bo Phalue po prostu nie umiała się do tego zmusić.

Przedzierała się wąskimi uliczkami w pobliżu doków. Rynsztoki były czyste dzięki deszczowi, lecz wciąż lekko woniały rybami. Kilko uliczników dostrzegło ją i poszło za nią. „Prosimy, Sai. Prosimy”. Sięgnęła do sakiewki i rzuciła im kilka monet. Co dziesięć dni ojciec dawał jej pewną kwotę na wydatki, a na co innego mogłaby ją wykorzystać? Gdy zachodziła do miasta, zawsze pamiętała, żeby pomagać sierotom albo ludziom cierpiącym na chorobę odłamkową.

Ranami zajmowała jednopokojowe mieszkanie nad zakładem sprzedającym bułeczki gotowane na parze. Phalue wyczuła woń, zanim jeszcze dostrzegła restaurację: sos rybny, szalotkę i słodki zapach parowanego pieczywa. Kupiec uniósł dłoń, gdy ją dostrzegł, a ona szybko skinęła mu głową i skręciła w zaułek, w którym znajdowały się schody. Czula się nieco głupio, uchylając się przed resztkami wody kąpiącej z dachów. Gdyby jej ojciec postawił na swoim, zostałaby ubrana w jedwabie i posłana na inne wyspy, żeby tam prowadzić negocjacje. Uczylaby się dyplomacji, a nie walki. Jako jedyne dziecko stanowiła zasób i ojciec często narzekał, że szła na zmarnowanie. Nigdy jednak nie wydawał się zebrać w sobie na tyle, by wystąpić przeciwko niej.

Phalue położyła dłoń na poręczy schodów i zamarła. Coś było nie w porządku. Powinna wyczuć to wcześniej, ale zbyt głęboko tkwiła w snach na jawie. Z mieszkania na górze nie dobiegały żadne odgłosy, zaś drzwi, zawsze zamknięte, były lekko uchylone. Położyła dłoń na mieczu.

– Ranami...? – zawołała.

Żadnej odpowiedzi.

– Wuj! – odezwała się do sprzedawcy bułeczek. – Czy tego ranka widziałeś Ranami?

– W ogóle jej dziś nie widziałem, Sai! – odrzyknął.

Do tej pory dziewczyna powinna już wyjść, żeby rozstawić pułapki, a przed wyruszeniem do pracy zawsze lubiła kupić sobie dwie bułeczki. Serce Phalue przyspieszyło, jej wargi odrętwiały. Trzymając dłoń na rękojeści miecza, wbiegła po pozostałych stopniach i wpadła do mieszkania.

Część niej spodziewała się znaleźć tutaj Ranami zaskoczoną i zastanawiającą się, co Phalue w ogóle robi. Zasłony były zaciągnięte, w pokoju panował mrok. Wysunęła miecz z pochwy, ale gdy wzrok dopasował jej się do warunków, dostrzegła, że nikogo tu nie ma.

Nieskazitelnie czyste mieszkanie zostało wywrócone do góry nogami. Z poduszek zerwano poszewki, z szafek wysypano rzeczy, krzesła przewrócono. Na podłodze leżały rozrzucone książki o filozofii i etyce, o których lekturę Ranami praktycznie ją błagała. Phalue dudniło w głowie. Nie powinna być tak uparta. Powinna była wrócić wcześniej, żeby przeprosić, nigdy nie powinna była opuszczać miejsca u boku Ranami. Kto mógłby splądrować dom? Przecież Ranami zarabiała skromnie jako sprzedawczyni książek. No i gdzie znajdowała się teraz?

Phalue schowała miecz i podniosła sukienkę leżącą na podłodze. Ranami miała ją na sobie w dniu, w którym się poznały – złocisty strój jaskrawy niczym kurkuma, kontrastujący z jej ciemną skórą i jeszcze ciemniejszymi włosami.

– Ranami?! – zawołała znowu i usłyszała w swoim głosie desperację. To nie mogło dziać się naprawdę. Miała wrażenie, jakby wkroczyła do lustrzanego świata i jeśli teraz wystarczająco się postara, zdoła wrócić do własnego. Zaciśnęła mocno powieki i otworzyła je na nowo. Powitał ją widok tego samego ciemnego pokoju. Ale tym razem dostrzegła na stole kawałek papieru.

Podeszła tam po deskach podłogi skrzypiących jej pod nogami i podniosła szybko świstek. Musiała odchylić zasłonę, żeby zyskać dość światła i móc przeczytać treść.

Jeśli chcesz znowu zobaczyć Ranami, przyjdź do ruin Alanga przy drodze wychodzącej z miasta.



6

Piasek

Wyspa Maila na skraju cesarstwa

Wspinając się, Piasek czuła pod palcami szorstką korę mangowca. Zebrała już niemal pełen worek, ale potrzebowała jeszcze zaledwie dwóch mango, by zabrać je do wioski. Wspiniała się zatem. Wyżej i wyżej, oddech chrypiał jej w gardle, ręce i nogi bolały. Nigdy nie wracała bez pełnego worka. Nikt z nich tak nie wracał. Jeśli ktoś nie wracał z pełnym workiem, to nie wracał w ogóle. Widziała już wcześniej jednego z nich – miał na imię Fala – który zanurzał siatkę w wodzie, by łowić ryby, raz za razem, aż wreszcie przyszedł przypływ i Fala spadł ze swojego miejsca do morza. Zniknął. Uderzył o rafy otaczające Mailę. Działo się tak czasami. Pewnego dnia ją też zapewne to spotka. Myśl ta nie wzbudzała w niej zupełnie żadnych uczuć. Jej serce było równie szare i zimne jak mglisty poranek.

Teraz dostrzegła jednak błysk dwóch mango pośród położonych wyżej gałęzi, wyglądających spomiędzy liści niczym wstydlive kurtyzany. Piasek poszukała podparcia dla stóp i sprawdziła je ostrożnie, upewniając się, że nie spadnie. Gałąź ugięła się lekko pod jej ciężarem, gdy Piasek podciągnęła się nieco wyżej, ale wytrzymała. Pierwsze mango wisiało powyżej i nieco w tył od niej. Musiała obrócić się i sięgnąć po nie węższą dłonią, tą, w której brakowało dwóch palców. Opuszkami

musnęła gładką powierzchnię owocu, przesunęła nimi po jego skórce, próbując przyciągnąć go bliżej. Druga ręka napinała się, dłoń spotniała.

Pozostali zapewne wrócili już po wykonaniu codziennych zadań. Znieruchomiła, żeby odetchnąć, i rozejrzała się po reszcie drzewa w poszukiwaniu łatwiejszych celów. Nic. Była Piasek i zawsze wracała z pełnym workiem. Zacieśniła zatem chwyt na gałęzi i znów sięgnęła po mango. Tym razem złapała jego spód i pociągnęła, próbując je zerwać. Owoc wyslizgnął jej się z garści, a ona zapadła się we wspomnienie.

Nie dotykała mango, tylko zasłony z szorstkiego lnu. Odciągnęła ją – a jej dłoń miała wszystkie palce. Klin słonecznego blasku padł na jej twarz, ogrzewając policzek. Gdy wymrugała z oczu złotawy blask wschodzącego słońca, dostrzegła zielone dachówki pałacu osnute mgłą i poszarpane góry otulające budynek od tyłu, zupełnie jakby podawały go komuś niczym cenny klejnot. W piersi wezbrała jej fala podziwu, lęku, konsternacji. Pozwoliła zasłonie opaść, niezdolna pogodzić ze sobą te uczucia, po czym cofnęła się w ciemną, zamkniętą przestrzeń palankinu.

Nie. Była Piasek. Była Piasek zbierającą mango. Miejsce ze wspomnień nie było czymś, co kiedykolwiek widziała. Wciąż jednak czuła woń drzewa sandałowego i wilgotnej porannej mgły. Bolały ją ręce.

Wtedy dłoń zsunęła jej się z gałęzi.

Świat zwolnił bieg, gdy wymachiwała rękoma. Dłonią uderzyła w pień za sobą, ale nie zdołała znaleźć niczego, czego mogłaby się chwycić, a później jej stopa wypadła z miejsca pomiędzy dwoma konarami. Spadała. Smagały ją gałęzie, obraz rozmył się przed oczyma, gdy głowa szarpnęła się w tył, a później gwałtownie wyprysnęła do przodu. Każde ze zranień rejestrowała jedynie jako coś, co może boleć później, gdy się na siebie ponakładają. Co innego ziemia. Ziemia zaboli.

Ustąpiła pod nią tylko odrobinę. Powietrze wyrwało jej się z płuc i Piasek otworzyła usta, żeby zaczerpnąć go więcej. Wciągane powietrze wzbudzało w niej jednak mdłości. Zakasłała, a później, czując wirowanie w głowie, zwymiotowała na bok. Leżała, próbując odetchnąć.

Krwawiły jej ręce. Otepienie w miejscach, gdzie podrapały ją gałęzie, ustępowało ostremu, piekącemu bólowi. Piasek przetoczyła się na bok, a później podparła powoli, przy każdym ruchu odkrywając kolejne bolesne miejsca. Wciąż żyła, choć ta myśl wcale jej nie pocieszała. Na lewym przedramieniu widniała głęboka szrama. Dotknęła jej delikatnie, a później, sycząc z bólu, przyglądała się rozciętej skórce, tłuszczowi i mięśniom widocznym pod spodem – swoim obnażonym warstwom. Rana będzie wymagała szwów.

Ta myśl... też nie należała do niej.

Świat wciąż kołysał się wokół, przemieszczał się, gdy poruszała oczyma. Nie miała wyjścia. Musiała wstać, wrócić do wioski. Strzecha mógł zszyc jej rękę. Podczas upadku rozdarła tunikę. Dokończyła dzieła zniszczenia, odrywając pasek, by owinąć nim ranę. Gdy wreszcie podniosła się na nogi, ziemia nie wydawała się pewnym oparciem, zupełnie jakby Piasek znajdowała się na łodzi, takiej jak ta, która ją tu przywiozła. Która przywiozła tutaj ich wszystkich.

Nie. Nie była na żadnej łodzi, prawda? Nie miała pewności, co myślała, kim była.

Obok drzewa leżał worek z mango. Kilka owoców wypadło ze środka, więc zebrała je, narzuciła sobie worek na ramię i skrzywiła się. Czuła się, jakby w jej głowie

zamieszkał kowal i wykorzystywał jej czaszkę jako kowadło. Każdemu uderzeniu serca odpowiadało dudnienie w głowie.

Jej worek wciąż nie był pełny.

Piasek przyjrzała się drzewu, a później podeszła do pnia, by znów się wspiąć. Coś powstrzymało ją jednak, gdy sięgała do pierwszej gałęzi.

Dlaczego musiała wrócić z pełną torbą? Co to były za bzdury? Jej zimne, szare serce nabrało koloru. Mogłaby po prostu... wrócić do wioski. Miała dość mango, żeby wystarczyło dla wszystkich, zresztą pozostali też zbierali albo uprawiali żywność.

Coś uległo zmianie pomiędzy wspomnieniem a upadkiem i nie była pewna, co takiego. Zupełnie jakby odsunęła zasłonę i wreszcie dostrzegła pałac. Świat nie ograniczał się tylko do wnętrza palankinu.

W połowie drogi powrotnej do wioski, na zakręcie ścieżki biegnącej nad oceanem, Piasek przystanęła. Pył wodny całował ją w twarz, gdy spoglądała ku horyzontowi. Poszarpane krawędzie raf otaczających Mailę wystawały miejscami z wody niczym kolczaste grzbiety jakichś dziwnych zwierząt. Za rafami czekało Bezkresne Morze. Uderzyła ją myśl, która pozbawiła ją tchu w równym stopniu jak wcześniej upadek.

Dlaczego w ogóle przebywała na Maili? Dlaczego żadne z nich nie odchodziło?



7

Jovis

Gdzieś na Bezkresnym Morzu

To nie był kotek.

Obserwowałem, jak Alon bawi się ze stworzonkiem na dziobie. Skakało ku poruszającym się palcom, chwyciło je delikatnie w pyszczek. Przede wszystkim miało małe uszy. Nie posiadało pazurów na przednich łapach, które przypominały dłonie z błoną rozciągniętą pomiędzy palcami. Brązowa sierść pokrywająca ciało była jaśniejsza na brzuchu i równie gęsta jak u wydry. Powinienem być to zauważyć, gdy wyciągałem malca z wody, ale akurat wtedy na moich oczach zapadała się cała wyspa. Można mi było wybaczyć, że przegapiłem takie szczegóły.

Czułem się, jakby wokół serca zaciskało mi się imadło. Chłopiec był zajęty opieką nad zwierzątkiem, ja jednak obserwowałem horyzont, aż wyspa zniknęła pod nim. Nie traciłem nadziei, że przestanie się zanurzać, ale bijący z niej dym wreszcie urwał się o zmierzchu i wtedy już miałem pewność. Tyłu ludzi... Miałem ochotę wrzeszczeć.

Woda sięgnęła im do kostek, następnie do ramion i w końcu cały ląd poddał się oceanowi. Ci, którzy schronili się w swoich domach, utknęli w nich. Zimna woda

wypełniała im płuca w miejsce powietrza, gdy bezskutecznie uderzali pięściami w stropy. Czuli nacisk na uszy, gdy zagarniała ich głębia.

Przejechałem dłonią po włosach. Jedno i drugie było pokryte pyłem. Wciąż czułem, jak drapie mnie w gardle.

Na dziobie Alon drapał stworzenie za uszami. Nie miałem pojęcia, czym jest. W Bezkrzesnym Morzu żyło tak wiele różnych zwierząt, że nikt nie był w stanie rozeznać się w nich wszystkich. Zresztą czy miało to jakieś znaczenie? Na pewno była to istota wodna, jeśli oceniać po błonach pławnych. Gdy to odkryłem, poczułem się nieco mniej wielkoduszny. Gdybym wiedział wcześniej, być może w ogóle bym go nie ratował. Niemniej był to malec w jakiś sposób rozdzielony z matką i do tej pory pożarł mi już połowę zapasu ryb, żarłocznie niczym marynarz, który uratował się z katastrofy statku.

Świergocąc, zwierzę przemknęło z dziobu do miejsca, gdzie siedziałem na rufie. Gdy dostrzegło, że zwróciło moją uwagę, usiadło mi schludnie u stóp, otulając się ogonem. Następnie ostrożnie podniosło się i oparło mi na kolanie swoją dłoniokształtną łapkę. Duże, czarne oczy wpatrywały się we mnie z dziwną powagą.

– Mephisolou cię lubi! – zawołał Alon. – Wie, że go uratowałeś.

– Mephisolou? – prychnąłem. – Dales temu czemuś imię?

– To on – odparł z uporem Alon.

Ustałem.

– Dales mu imię? – Popatrzyłem na zwierzę. Na pewno nie wyglądało na potwornego węża morskiego z podań ludowych, gotowego pożreć całe miasto, jeśli jego mieszkańcy nie zerwą dla niego nasion jałowca chmurowego. – Potężne miano dla takiego malca.

Chłopiec wzruszył ramionami i spuścił wzrok. Palcem u stopy zakreślił krąg na deskach pokładu.

Och, czy naprawdę by mi zaszkodziło, gdybym sprawił mu przyjemność?

– Mephi – powiedziałem. – Mephisolou jakoś niezbyt gładko się wymawia.

– Moim zdaniem dobrze się wymawia – odrzekł Alon, a na twarz wrócił mu uśmiech.

– Zatem nazywaj go sobie jak chcesz. Mephi – oznajmiłem, podając stworzonku dłoń. Spodziewałem się, że poniucha moje palce albo je ugryzie, ono jednak uniosło łapkę i przytknęło ją do mojej dłoni, jakbyśmy byli starymi znajomymi witającymi się na ulicy. Poczulem na ręce gęsią skórkę, włoski podniosły mi się na niej aż do barku. Łagodnie odsunąłem dłoń i odważyłem się pogłodzić sierść na głowie stworka. Cała wcześniejsza powaga zniknęła. Mephi tak mocno napał na głaszczącą go dłoń, że przewrócił się i zwinął w kłębek na pokładzie. Mruczał jak staruszka pałaszująca szczególnie pyszny gulasz.

Roześmiałem się – a po wydarzeniach z wyspy Jelenia Głowa nie spodziewałem się, że tak szybko to nastąpi. Zupełnie jakby mój śmiech go zaniepokoił, Mephi zerwał się i rzucił z powrotem do Alona, wtulił się w niego i znów złapał go za palce. Chłopiec zachichotał. A później, równie raptownie jak nadciągająca burza, zaczął płakać.

– Zniknęło? Naprawdę wszystko zniknęło?

Ludzie. Uwięzieni. Przełknąłem ślinę, świadom spoczywających na mnie oczu chłopca.

– Tak, obawiam się, że tak.

Zażkał mocniej. Byłoby jednak gorzej, gdybym ukrywał przed nim prawdę. Rzeczywistość to surowa pani, ale nie można zaprzeczać jej istnieniu.

Mephi skulił się u boku Alona i klepał go łapkami, gdy ten płakał. A później stworzenie popatrzyło na mnie.

Oczekiwało, że coś zrobię? Odchrząknąłem.

– Przykro mi – powiedziałem. Wiatr porwał moje słowa. Gdybyśmy byli wraz z Alonem starymi przyjaciółmi, a on byłby do tego młodym mężczyzną, zabrałbym go do pijalni i wymienilibyśmy szczęśliwe wspomnienia o zmarłych. Przekazałbym mu gałązkę jałowca do spalenia wraz z ciałem, ale był tylko chłopcem, a ja nie miałem tu ani jałowca, ani ciała. – Twoja ciotka mogła się wydostać. – Brzmiało to jak kłamstwo. Nie wyglądało na to, by moje słowa przyniosły mu ulgę. Może i wierzył mi w początkowym szoku zaraz po wstrząsach, ale teraz, na wodach Bezkresnego Morza, naga prawda wyszła na wierzch. Mephi wciąż się we mnie wpatrywał.

– Twoja ciotka była niezłomną kobietą – oznajmiłem, podnosząc głos ponad wiatr. – Gdy ją poznałem, kazała mi obiecać, że cię uratuje. Bała się o ciebie. Tak bardzo cię kochała.

– Mówiła, że zrobi mi pierogi na ucztę. – Przestał płakać, ale wciąż mówił nieco niewyraźnie. – Gdybym przeżył Festiwal.

Skinąłem głową.

– Gdy się z nią widziałem, właśnie je robiła.

Alon wytarł łzy rękawem.

– Czy to Alanga? Wrócili?

Nie wiedziałem, co na to odpowiedzieć.

– Cesarz powinien chronić nas przed nimi. To jego zadanie. – Znowu kłamstwa. Przynajmniej sam je tak odbierałem.

Alon skupił wzrok na horyzoncie. Na wschodzie, gdzie mieszkali jego rodzice.

– Chcę płynąć do domu.

Ja również chciałem zabrać go do domu. Mijali nas inni. Najpierw cesarskie karawele pożerające swoje zapasy bystrokamienia, później statki handlowe i wreszcie prości ludzie, którzy być może odziedziczyli odrobinę tej substancji. Ja sam wyrzuciłem za burtę całe dwie skrzynki. Gdybym zostawił chłopca, może zdołałbym jedną zachować. Nie. Podczas poszukiwań Emahli dokonałem wielu straszliwych rzeczy, istniały jednak granice, których nawet ja nie zamierzałem przekraczać, w jakkolwiek desperackiej sytuacji bym się nie znalazł. Jak inaczej mógłbym jeszcze kiedyś na nią spojrzeć? Wlokłem się zatem po oceanie łodzią napędzaną jedynie wiatrem w żaglach.

Zerknąłem do map nawigacyjnych. W miarę jak zbliżała się pora deszczowa, wszystkie wyspy przesuwały się na północny zachód, ale te, które wchodziły w skład Małpiego Ogona, zbliżały się obecnie do siebie. Dokonałem szybkich obliczeń, biorąc pod uwagę ruchy wysp. Gdybyśmy zmierzali na wschód, wyspa powoli przemieszczałaby się ku nam w tym samym tempie, co my ku niej.

– Odpocznij trochę – rzekłem. – Będziemy na miejscu o zmroku.

Chłopiec niemal natychmiast zapadł w sen, jakby był konstruktem, a ja osadziłem rozkaz w jego kościach. Mephi skulił się przy nim. Miałem nadzieję, że rodzice Alona nie będą mieć nic przeciwko, że wciskam im zwierzaka.

Stało się tak, jak obiecałem. Przybiliśmy o zmroku, akurat gdy słońce zsuwało się za horyzont. Odpędziłem dłońią gryzące owady, które wyroiły się zaraz po nastaniu ciemności, i zacumowałem łódź. Konstruktor handlowy przy pomocy nie sprawił mi zbyt wielu kłopotów. Często przesuwał wzrok ze mnie na łódź i z powrotem, gdy nie zadeklarowałem żadnego towaru. Gdyby konstrukty mogły się męczyć, ten na pewno

byłby zmęczony. Przyjął opłatę za cumowanie z kłapnięciem dzioba i powiedział mi, że wszystko jest w porządku.

Musiałem potrząsnąć Alonem, żeby go obudzić.

– Już jesteśmy – powiedziałem. – Będziesz musiał mi powiedzieć, jak dotrzeć do domu twoich rodziców. – Skinął mi głową i odczepił Mephiego od siebie. – Nie zabierasz go?

Alon ziewnął i pokręcił głową.

– Mephisolou chce zostać z tobą – oznajmił.

– Mephi powinien być z innymi Mephimi. – Nie miałem nic przeciwko, żeby chłopiec go zatrzymał, choć trudno mi było mówić w imieniu jego rodziców. Nie mogłem trzymać zwierzaka na pokładzie. Zanim Alon zdążył zaprotestować, podniosłem stworka, wyszedłem na pomost i przyklęknałem. Opuściłem Mephiego do wody, upewniwszy się, że nie śpi i może pływać. Przekreślił się na grzbiet i patrzył na mnie. – Idź – powiedziałem. – Znajdź innych takich jak ty. – Zupełnie jakby zrozumiał, obrócił się znowu na brzuch i zanurkował.

Wróciłem do Alona i odgoniłem od niego owady.

– Chodźmy – rzuciłem.

Alon przekazywał mi mgliste wskazówki. Jego dom był „niedaleko” od przystani i „obok dużego drzewa”. Szedłem za nim w mroku, a wokół nas w krzakach śpiewały świerszcze. Panował większy rozgardiasz niż zwykle o tej porze, inni uchodźcy szukali schronienia niczym żółwie morskie wciągające się na brzeg w nadziei, że znajdą miejsce na złożenie jaj. Wreszcie zatrzymaliśmy się przed skromnym domem krytym strzechą i stojącym obok wysokiego bananowca. Pomimo niejasnych wskazówek wyglądało na to, że trafiliśmy na właściwy budynek. Zapukałem głośno do drzwi.

Otworzył mi mężczyzna o poblądłej twarzy i natychmiast zalał się łzami, gdy zauważył Alona. Uklęknał, objął chłopca i trzymał go. W głębi pomieszczenia dostrzegłem leżącą na łóżku kobietę z zaczerwienioną twarzą i potem perlącym się na czole. Na krótką chwilę skrzyżowaliśmy spojrzenia. Znałem ten pusty wzrok. Choroba odłamkowa. Gdzieś ktoś używał jej odłamka kości i to niemal wysączyło z niej życie. Nic dziwnego, że Danila tak desperacko pragnęła uratować chłopca. Nie potrafiłem dłużej patrzeć w te oczy.

Spojrzałem zatem na łysinę ojca Alona wciskającego twarz w bark chłopca.

– Słyszeliśmy – rzekł. – Słyszeliśmy, co się stało.

Nie byłem pewien, co powiedzieć. Owszem, przywiozłem im syna, ale on stracił siostrę i wkrótce miał stracić żonę. Gdy mężczyzna wreszcie przestał tulić malca, podniósł ku mnie wzrok.

– Danila poprosiła mnie, żebym go ocalił – wyjaśniłem. – Byłem jej winien przysługę.

– Chwila – oznajmił, po czym zniknął we wnętrzu domu. Wrócił zaraz z dziesięcioma monetami, samymi srebrnikami. Mała fortuna jak na rybaka. Wcisnął mi je. Przyjąłem dar z wdzięcznością. Dopiero co wrzuciłem do wody dwie skrzynki bystrokamienia i nikt nie powinien oczekiwać, że odmówię zapłaty. Nie byłem mnichem. A nawet gdybym nim był, wątpiłem, czy mury klasztoru ocaliłyby mnie od Ioph Carn.

– Dołączysz do nas przy posiłku? Choć tyle możemy dla ciebie zrobić. Zresztą i tak nikt nie będzie tej nocy spał, nie po takich wieściach.

Alon klęczał przy boku matki i delikatnie gładził ją po włosach.

Wołały mnie twarde deski pokładu i koc na łodzi. Może i nie zdołam w niej dzisiaj zasnąć, ale przynajmniej będę miał gdzie położyć głowę.

– Rankiem stawiam żagiel – powiedziałem. – Ale dziękuję ci. Szukam kogoś. Łodzi trochę mniejszej niż cesarska karawela, o ciemnych burtach i niebieskim żaglu.

Mężczyzna skinął głową, a mnie przypieszyło serce.

– Widziałem taką łódź zaledwie wczoraj. Zapewne zatrzymała się po zapasy, ale jeśli próbujesz ją doścignąć, lepiej się pospiesz. Łowiłem ryby, a ona przemknęła obok mnie szybciej niż delfin sunący na falach. Z tego co widziałem, na pokładzie była tylko jedna osoba. Kierowała się na wschód. Moim zdaniem na Nylan.

Emahla. Znajdę odpowiedzi. Znajdę ją. Musiałem tylko dogonić tę łódź.

– Dziękuję ci. I jeszcze jedno. – Gestem wskazałem mu, żeby się do mnie zbliżył.

– Twój syn. Uratowałem go, zanim rozpoczął się Festiwal Trybutu. Zapiski zniknęły. Zrób mu bliźnę w odpowiednim miejscu i nikt się nie dowie.

Ojciec Alona odsunął się z oczyma wilgotnymi od łez. Odłamek Alona nigdy nie zostanie użyty do napędzania konstruktu. Nigdy nie będzie musiał się obawiać, że w każdej chwili coś może wyssać z niego życie.

– Kim jesteś? – zapytał.

Zatonięcie wyspy wstrząsnęło mną do szpiku kości, pozbawiło mnie beztroski. Teraz jednak na nowo odnalazłem jej część. Komu ten człowiek to zdradzi? Przecież uratowałem mu syna.

– Jestem Jovis. Najlepszy przemytnik w cesarstwie. – Podciągnąłem rękaw, żeby pokazać mu tatuaż nawigatora. Naprawdę powinienem zacząć go ukrywać.

Po tych słowach odwróciłem się i poszedłem znów na przystań. Od wielu dni nie czułem się tak zadowolony z siebie, a w kieszeni brzęczały mi srebrne monety.

Byłem zdecydowanie mniej radosny, gdy obudziłem się rankiem, łapczywie chwytając dech i czując ból szczęk. Musiałem zaciskać je w nocy, gdy raz za razem śniłem o targanej wstrząsami wyspie, o tym, jak zapada się pod wodę. Śniłem też, że znajduję się na niej, moje ciało opada w bezkresną głębię, otacza mnie ciemność, a ciężar wody miazdzy mi płuca. Wciąż jednak byłem na mojej łodzi, otoczony spokojną wodą, a moje dudniące serce robiło więcej hałasu niż delikatne objanie się burty o pomost.

Przystań wokół mnie była pełna, wiele sponiewieranych łodzi wyciągnięto też na brzeg. Wyspa Jelenia Głowa nie była małym lądem i choć większość ludzi nie zdołała uciec, niektórym się to udało. Cesarz będzie musiał przysłać konstrukty, żołnierzy, żywność. Powstały chaos przynajmniej da mi odrobinę wytchnienia od Ioph Carn. Jeśli będę miał naprawdę wielkie szczęście, uznają, że zginąłem.

Choć chętnie wypłynąłbym o brzasku, musiałem zacząć odrabiać pieniądze, które straciłem, gdy wyrzuciłem dwie skrzynki bystrokamienia. Owinąłem zatem tatuaż paskiem materiału i udałem się na targ. Nie był to wielki, rozwlekły labirynt kupieckich straganów. Składał się jedynie z dwóch alejek, na których smród odpadków mieszał się z wonią suszonej papryki, smażonego kozłego mięsa i wypieków. Ciasne uliczki stały się jeszcze ciasniejsze z powodu uchodźców z Jeleniej Głowy, szukających zapasów i pragnących dołączyć do swoich bliskich na innych wyspach. Dokonałem w głowie paru szybkich obliczeń i zatrzymałem się przy stoisku ze słodkimi melonami. Rosły głównie na południowych wyspach w porze suchej, a jako że rozpoczęliśmy właśnie siedmioletnią porę deszczową, zyskają na wartości. Poza tym staną się jeszcze trudniejsze do zdobycia, skoro Jelenia Głowa zatonęła. Targowałem się z handlarką z bezlitosną skutecznością, choć cena i tak okazała się wyższa, niż by mi się podobało.

Właśnie skończyła obwiązywać skrzynki sznurkiem, a ja pochyliłem się, żeby je dźwignąć, gdy z prawej strony dobiegł mnie głos:

– Dobrze cię sportretowali na plakatach. To było sprytne, płacić sierotom, żeby je zdejmowały. Wygląda jednak na to, że cesarstwo naprawdę chce ukarać cię dla przykładu.

Kapelusz. Zawinąłem tatuaż, przebrałem się z żołnierskiego munduru, ale nie zakryłem głowy. Czulem się tak, jak musi czuć się królik, gdy pętla zaciska mu się na szyi. I podobnie jak królik, zamierzałem wierzgać.

– Oczy – powiedziałem, obracając się z melonami w rękach do mówiącej. – Nie oddali ich prawidłowo.

Philine opierała się o ścianę budynku ze skrzyżowanymi stopami, w pełni zrelaksowana. Miała na sobie pikowaną tunikę bez rękawów, ukazującą umięśnione ramiona. Przy pasie wisiała jej krótka drewniana pałka, choć wiedziałem, że w innych miejscach ma też poukrywane noże.

– Na plakatach namalowali cię jako przystojniejszego – oznajmiła.

– Serio? Od większości ludzi słyszałem co innego, gdy wypytywałem.

Potrafiła w bardzo osobliwy sposób wywracać oczyma tak, by jednocześnie nawet na moment ich ze mnie nie spuszczać.

– Tak. Mówili mi, że uważasz się za zabawnego.

To zły znak, że posłali za mną Philine. Nie rzucała się w oczy. Miałem wrażenie, że gdybym oderwał od niej spojrzenie, mógłbym pomylić ją z fragmentem ściany. Jej zdolność odnajdywania ludzi dla Ioph Carn stanowiła temat pijackich opowieści przy ogniu – jeśli widownia była skłonna w nie uwierzyć. Uniosłem wolną dłoń wnętrzem w jej stronę.

– Byłem właśnie w drodze do Kaphry. – Rozejrzałem się dookoła i nachyliłem bliżej niej. – Mam dwie pełne skrzynki bystrokamienia. Powinno to pokryć mój dług za łódź, zresztą z naddatkiem.

Jej dłoń przesunęła się na pałkę.

– Źle zrobiłeś, że w ogóle zaciągnąłeś ten dług. Miałeś skończyć go spłacać, zanim odpłyniesz. Teraz to nie dług, tylko kradzież, a dobrze wiesz, co Kaphra myśli o tych, którzy go okradają.

Kątem oka dostrzegłem mężczyznę i kobietę obserwujących nas z niewielkiej odległości. Oboje mieli pikowane tuniki i broń u boku. Kolejni Ioph Carn. I nie tak subtelni jak Philine.

– Wiecznie miał dla mnie kolejne zadania. Minęłoby pół życia, zanim spłaciłbym tę łódź. – Nie byłem pewien, dlaczego kłóć się z Philine. Nie była władna, by mnie ułaskawić, ale wyglądało na to, że w ten sposób kupuję sobie czas. Na wzmiankę o Kaphrze kobieta, od której kupiłem melony, umknęła sprzed stoiska i teraz starała się wtopić w swoje towary. Większość kupców płaciła jakąś formę haraczu Ioph Carn, ale może ona tego nie robiła. Ostatecznie była to niewielka wyspa.

– Tak – odparła Philine. – I sam zgodziłeś się na te warunki.

– Moja łódź jest zacumowana w porcie – odparłem. – To powinno zająć tylko chwilę.

Zastanawiała się. Dwie pełne skrzynki bystrokamienia stanowiły fortunę i nieważne, jak Kaphra mógł być na mnie zły, nie zrezygnuje z dodatkowych zasobów. Przemysłowcy Ioph Carn zużywali sporo tej substancji, gdy musieli umykać przed cesarskimi okrętami. Philine obróciła się, żeby gestem dać znać pozostałej dwójce, a ja wykorzystałem tę okazję, by uciec.

Może nie byłem tak solidnie zbudowany jak oni, ale potrafiłem się szybko poruszać i wiedziałem, jak przemieszczać się w tłumie. Dwie skrzynki melonów kołysały mi się u boku, a sznurek wbijał w palce. Straciłem już bystrokamię, nie mogłem pozwolić sobie też na stratę owoców. Uchodźcy wałęsali się po alejkach jak duchy, cisi i zasepieni. Żaden z nich nie był na tyle żywotny, by mnie zatrzymać albo choćby zwrócić uwagę, gdy ich omijałem.

Philine będzie za mną podążać bez obciążenia. I nawet gdyby nie widziała, dokąd poszedłem, znajdzie mnie.

Postrzegałem sytuację tak, że nie miałem większego wyboru. Przed siedmiu laty, w poranek zniknięcia Emahli, w oddali, tak niewyraźnie, że uznałem to za sen, widziałem ciemną łódź z niebieskimi żaglami. Mrugnąłem i zniknęła.

Próbowałem jakoś ułożyć sobie życie bez Emahli, ale nikt nie chciał nająć półpoyerskiego nawigatora nieposiadającego rekomendacji Akademii. Gdy Ioph Carn skontaktowali się ze mną i przedstawili swoją ofertę, wydawała się najlepszym sposobem, żeby znaleźć się gdzieś indziej, zostawiając za sobą smutek.

Później zaś, przed dwoma laty, znów ujrzałem łódź o niebieskich żaglach, tym razem wyraźniej, lecz oddalała się szybciej, niż uznałbym za możliwe. Zawodziłem Emahlę przez pięć długich lat, nie wiedząc, dokąd się udać ani czego szukać, zamiast zaufać swoim oczom. Przestałem zatem słuchać Kaphry i ruszyłem własną drogą. Dwa lata poświęciłem ściganiu plotek skradzioną łodzią, jednocześnie wymykając się Ioph Carn i posyłając im wszelkie pieniądze, jakie tylko mogłem, żeby pokryć dług. Zamierzali mnie powstrzymać teraz, gdy znalazłem się bliżej niż kiedykolwiek?

Nie. Nie tym razem. Złożyłem obietnicę.

Przeciskałem się uliczkami, dysząc chrapliwie, przy każdym kroku skrzynki z melonami objęły mi się o udo. Przemykały wokół mnie twarze: stare i młode, ogorzałe i gładkie, ale wszystkie znużone. Niektóre wciąż pokrywał pył z zawalonych budynków, widać było na nich ślady łez. Przystań znajdowała się tuż za rogiem.

Usłyszałem za sobą krzyk i odruchowo obejrzałem się przez ramię. Sługusi Philine przedzierali się przez tłum ze znacznie mniejszym wdziękiem niż ja. Jedno z nich przewróciło wiadro z rybami i srebrzysty strumień wylał się na uliczkę.

Ale gdzie była Philine?

Skręciłem za róg akurat w samą porę, by kątem oka dostrzec ją, jak wyskakuje. Grzmotnęła mnie barkiem z taką siłą, że straciłem dech. Sznurek łączący skrzynki wypadł mi z dłoni. Miałem wrażenie, że patrzę z oddali, jak upadam. Uderzyłem o ziemię ramieniem, bo dłonie wciąż starały się łapać melony.

– Nie masz bystrokamięcia – stwierdziła Philine.

– Mam melony. – Zakrztusiłem się, gdy wreszcie zdołałem zaczerpnąć tchu. – Możecie je sprzedać z solidnym zyskiem.

– Nie jestem zainteresowana – odparła beznamiętnie.

– Wysyłałem do Kaphry pieniądze oraz prowizje przemytnicze. Dawałem mu udział ze wszystkich moich zysków. Nie chcę kłopotów.

Stała nade mną, zasłaniając wznoszące się słońce. Wąska, czarna macka włosów wymknęła jej się z warkocza i chwiała na policzku w bryzie od oceanu. Pozostałych dwoje Ioph Carn zatrzymało się przy niej, dysząc ciężko. Philine wyciągnęła pałkę.

– I właśnie dlatego nie zamierzamy cię zabić.

Ulica nigdy nie oczyszcza się tak szybko, jak wtedy, gdy Ioph Carn zamierzają spuścić komuś manto.

Jeszcze gdy spadały na mnie pierwsze ciosy, zastanawiałem się, jak mógłbym im się wymknąć, jak mógłbym ich przegonić. Ból eksplodował w barkach i plecach, czerwienią przysłaniając mi pole widzenia. Poszukiwałem czegoś, czegokolwiek, co mogłoby pomóc mi w tej sytuacji. Miałem przed sobą jedynie uliczny pył i kilka małych kamyczków. Rzuciłem nimi w prześladowców, a Philine odtrąciła je dłonią osłoniętą rękawiczką.

– Nie sprawia mi to przyjemności – rzekła. – Gdybyś się nie ruszał, poszłoby szybciej.

Wierzyłem, że nie robi tego dla rozrywki, ale jej towarzysze chyba nie kierowali się taką samą filozofią. Kopnięcie w żebra sprawiło, że rozłożyłem się w kurzu. Dostrzegłem błysk uśmiechu, białe zęby, które mignęły niczym spód ptasiego skrzydła.

Kolejne warstwy bólu nakładały się na siebie – ostry nad tępy, wyrazisty nad tym płynącym z siniaków. Częściej słyszałem uderzenia pałki Philine niż je czułem, dudniące w moje żebra niczym pałeczka perkusyjna, zupełnie jakby moje ciało było instrumentem. Gdyby ktoś miał ochotę, mógłby zatańczyć do tego rytmu. Świat wokół zamglił się, wyciszył, zupełnie jakbym postrzegał wszystko przez wełniany koc.

– Dość – oznajmiła Philine.

Jej sługusi przestali mnie bić i jednocześnie cofnęli się o krok, posłuszni niczym konstrukty. Oblizałem wargi i poczułem smak miedzi.

– Nie obchodzi mnie, czy kiedykolwiek miałeś bystrokamień, który mi obiecałeś. I nie obchodzi mnie, czy kiedykolwiek będziesz go miał – powiedziała. – Mam cię zabrać do Kaphry.

Nie czekała, aż dam jakikolwiek znak, że ją usłyszałem, ale i tak nie zdołałbym tego zrobić. Bolał mnie nawet język. Pewnie ugryzłem się w niego podczas bicia. Miałem wrażenie, jakbym z każdym ruchem odkrywał nowe urazy.

Musiałem dostać się na przystań, popłynąć za tamtą łodzią, odnaleźć Emahlę. Jeszcze mnie nie pojмали. Nie będę czuł się pojmany, dopóki nie zawloką mnie przed Kaphrę ze związanymi rękoma i nogami. Philine wyciągnęła dłoń, żeby mnie podnieść, ale odtrąciłem ją.

– Pójdę z wami – rzekłem, wstając. Następnie sięgnąłem do sakiewki u boku, wyjąłem kilka pasków suszonego mięsa i wcisnąłem je sobie do ust. Przełknąłem, odetchnąłem, rozciągnąłem kręgosłup i cofnąłem barki. – Nie podchodźcie – oznajmiłem, wyciągając dłoń. – Nie mam ochoty was krzywdzić. Kaphrze by się to nie spodobało.

Troje Ioph Carn popatrzyło po sobie ze zdezorientowaniem.

– Co on zjadł? – spytała sługuska.

Jej towarzysz jedynie wzruszył ramionami.

Philine zbliżyła się o krok.

Jestem silny. Żebra nie wbijają mi się ostrymi krawędziami w płuca. Na litościwe niebiosy, ależ boli. Nie. Nie ma bólu. Musiałem w to wierzyć, inaczej oni nie uwierzą. Pozwoliłem, by postawa przemawiała w moim imieniu. No, czekam. Sprawdźcie mnie.

– A może Kaphra nie opowiadał wam o tym, jak kazał mi napaść na klasztor?

Philine zmrużyła oczy.

– Nie masz kory jałowca chmurowego – rzekła.

Właśnie o to chodziło – zawsze trzeba było skłonić przeciwnika, żeby wyraził domysły na głos.

Uświadomiła sobie swoją pomyłkę, gdy tylko słowa te opuściły jej usta. Dwoje bandziorów Ioph Carn cofnęło się. Nikt od lat nie widział walczącego mnicha, lecz historie o nich nie przestawały krążyć, z każdym powtórzeniem obrastając coraz bardziej w legendę.

– Jest po trzykroć przeklętym kłamcą. Jak myślicie, ile już razy wywinął ten numer? Nie ma żadnej kory – twierdziła Philine, choć krok, jaki wykonała naprzód, wydawał się niepewny.

Owszem, już raz wywinąłem ten numer, ale nie musiała o tym wiedzieć.

– A skąd wiesz, że jej nie ma? – spytał jeden z podwładnych.

Obróciła się, żeby na nich warknąć, i tym samym spuściła ze mnie wzrok.

– Nie bądźcie głupi. Mnisi zaparzają korę w formie herbaty, nie gryzą jej na sucho. Nawbijaliby sobie drzazg w gardło!

Taka dekoncentracja w pełni mi wystarczyła. Cofnąłem się jeszcze o krok i pociągnąłem jeden ze straganów, blokując nim uliczkę pomiędzy nami.

Gdybym odnalazł Emahlę, całe to życie, długi i bicie byłyby tego warte. Zgarnąłem skrzynki z melonami i pobiegłem w stronę przystani, ścigany okrzykami. Garbiłem się i oddychałem z wysiłkiem przez odczuwany ból, z mozołem stawiałem kolejne kroki. Kolana mi skrzypiały, ale nie przestawałem biec.

Kiedy otarłem sobie twarz rękawem, zobaczyłem, że stał się czerwony. Mój puls zdawał się wibrować, gorący od każdego siniaka. Kupiłem sobie czas, ale nie miałem pewności, czy wystarczająco wiele.

Nie słyszałem za sobą kroków, ale słyszałem wrzaski, gdy Ioph Carn odtrącał ludzi z drogi, choć wciąż nie opuściło mnie wrażenie mgły w uszach. Przyklęknąłem i najszybciej jak umiałem rozwiązałem cumę mocującą łódź.

Gdy wskoczyłem na pokład, przywitał mnie świergot. Rufa stuknęła o pomost, kiedy rozglądałem się za źródłem hałasu. Mephi siedział w pobliżu dziobu i w łapkach trzymał rybę. Znów zaświergotał. I podniósł rybę, jakby prosił mnie, żebym ją wziął. Nie miałem na to czasu.

– Nie mogę trzymać zwierzaka na łodzi – powiedziałem mu. Ciosy w zębra musiały wstrząsnąć czymś w moim mózgu, bo rozmawiałem z nim jak z człowiekiem. – Musisz znaleźć swoich. – Wskazałem wodę.

Świergot, dotąd łagodny i przyjemny, stał się donośniejszy. Zwierzak brzmiał jak wiewiórka karcąca mnie za to, że podszedłem zbyt blisko drzewa, tylko sto razy głośniej. Wiatr wiał już na wschód, żagiel wyduł się, łódź ruszyła. Pomiędzy budynkami pojawiła się Philine z poczerwieniałą twarzą i pałąk w dłoni.

Jeszcze nie byłem bezpieczny.

Złapałem Mephiego za kark, gotów wyrzucić go za burtę. Pod wilgotną zewnętrzną warstwą sierści moje palce musnęły gęsty i suchy podszerstek.

Jego wołania stały się błagalne, skowyczał przenikliwie. Pierś ścisnęła mi się od niemal instynktownej paniki. W końcu był tylko dzieckiem. Został sam na Bezczesnym Morzu i choć go uratowałem, to później zabrałem na tę inną, zupełnie nieznaną mu wyspę. A co, jeśli nie zdoła znaleźć podobnych sobie istot? A co, jeśli nie będzie umiał upolować dość, by wyżyć? Czy zostawiałem go na powolną i bolesną śmierć? Czy będzie mnie to cokolwiek kosztowało, jeśli pozwolę mu zostać nieco dłużej?

Rozczarowany swoją słabością, upuściłem go z powrotem na pokład.

– Dobrze. Tylko nie wchodź mi w drogę.

Skowyt się urwał. Malec nie umknął, jak się spodziewałem, tylko zamruczał z satysfakcją i złożył rybę u moich stóp.

Rzuciłem się do żagli, znów rozmyślając, czy przy Jeleniej Głowie tylko mi się wydawało, że futrzak płynie w stronę mojej łodzi. Westchnąłem. Zapewne nigdy się tego nie dowiem.

– Będę tego żałował, prawda?

Nie miałem pojęcia, jak bardzo.



8

Lin

Wyspa Cesarska

Wyciągnęłam orzech.

– No chodź, mały szpiegu – powiedziałam łagodnie. – Nie przestaniesz przez to wykonywać rozkazów. Tylko jeden orzech. Nic ci się nie stanie.

Konstrukt szpiegowski poruszył kocimi uszami i pogładził się po pyszczku łapami zbyt dużymi jak na wiewiórcze ciało. Owinął ogon wokół belki, dzięki czemu trzymał się mocno. Konstrukty nie posiadały szczególnej osobowości, ale ten obserwował orzech jednym okiem.

Rękawy liberii dla służby drapały mnie w nadgarstki, gdy sięgałam do szarfy i wyciągałam kolejny orzech. Demonstracyjnie pokazałam je razem. Teraz dysponowałam już pełną uwagą istoty. Rozwinęła ogon i podeszła o pół kroku.

– O, właśnie. No, chodź. Bystrokamień nigdzie nie zniknie. – Światło słoneczne wdzierało się przez szpary w okiennicach do szopy, malując jasne paski na wytartej drewnianej podłodze. Standardowe cesarskie skrzynki z bystrokamieniem poustawiano jedno na drugich tak, że sięgały niemal do sufitu. Na jedną z nich narzucono kawałek tkaniny, na której położono miarkę.

Konstrukt szpiegowski podszedł do mnie jeszcze kilka kroków, po czym wskoczył na najwyższą ze skrzynek i poruszył ogonem oraz wąsami. Wcześniej widziałam, jak skrada się za mną, gdy chodzę po pałacowych korytarzach. Ojciec mnie pilnował. Nie oznaczało to jednak, że nie mogę pozwolić sobie na odrobinę przyjemności. Tej fortuny w bystrokamieniu nie pilnowali strażnicy, ale konstrukty szpiegowskie obserwowały całą służbę. Ten tutaj, podobnie jak wszystkie pozostałe, składał raporty Ilith, Konstruktorowi Szpiegów. A Ilith wolała pożerać złodziei powoli, zamiast ich więzić.

Pazury zachrobotały na drewnie, gdy stworzenie podkładało się bliżej. Staralam się nie poruszać, choć ręka bolała mnie już od wyciągania dłoni. Wtedy konstruktor wziął pierwszy orzech z moich palców. Zwierzę natychmiast czmychnęło by z łupem, ale konstruktor został na miejscu i zabrał się do jedzenia. Zauważyłam go, więc dał sobie już spokój z próbami pozostawiania w ukryciu, bo jaki miałoby to cel? Przeglądałam się, jak jego elementy łączą się płynnie ze sobą, jakby taki się urodził. Ojciec wykonał dobrą robotę.

Zatonięcie Jeleniej Głowy sporo zmieniało. Konstruktor Biurokracji martwił się o uchodźców i o to, dokąd trafią. Konstruktor Handlu nie przestawał mówić o stracie kopalni bystrokamienia. Gubernatorzy wysp zaczęli już pisać do ojca – kilkoro oferowało, że przygarną część uchodźców, czym starali się przypodobać, inni zaś wyraźnie oznajmili, że nikogo nie zamierzają brać. Sytuacja w cesarstwie już wcześniej była niestabilna, a to zdarzenie jeszcze pogłębi rozłam. Nie można też było zapominać, dlaczego wyspa w ogóle zatoniła. Próbowałam o tym nie myśleć, ale co się stanie, jeśli wszystkie wyspy znajdują się pod wodą? Co, jeśli było to następującym co kilkadziesiąt lat elementem jakiegoś wzorca migracyjnego wysp, o którym nie mieliśmy pojęcia? Wzięłam głęboki oddech. Gdyby to była prawda, nie mogłabym niczego zmienić. Musiałam skupić się na rzeczach, na które miałam wpływ, a do tego zaliczało się utrzymanie pozycji dziedziczki ojca, żebym po jego śmierci mogła zająć jego stanowisko.

Odciągnęłam szorstki rękaw liberii służebnej i podałam konstruktorowi drugi orzech. Tym razem przysunął się jeszcze bliżej i przyjął prezent. Wpatrywał się we mnie paciorkowatymi oczyma. Czy konstruktor mógł w ogóle kogoś lubić? Ten lubił orzechy, więc dlaczego nie miałby darzyć sympatią osoby? A jeśli rzeczywiście umiał cieszyć się czymś towarzystwem, to czy wiążąca się z tym lojalność mogła kiedykolwiek przeważać nad rozkazami wpisanymi w jego odłamki? Już wcześniej wprawiałam konstrukty w dezorientację, wymuszając sprzeczności w ich rozkazach. Cztery pierwszopoziomowe istoty pomagające ojcu rządzić wydawały się posiadać pewną dozę osobowości, ale co z osobnikami trzeciopoziomowymi, takimi jak ten szpieg?

Przysłałam tu jednak z innych powodów. Widziałam tych szpiegów, jak obserwują służbę, i miałam nadzieję, że ojciec nie zmodyfikował w pełni ich pierwotnych rozkazów. Może moje wspomnienia nie sięgały tak daleko wstecz jak u Bayana, ale bliżej przypatrywałam się światu, który mnie otaczał. Widziałam kiedyś, jak w swój wolny dzień służąca udaje się do miasta. Kiedy na liberię narzuciła płaszcz, podążający za nią konstruktor szpiegowski po prostu się zatrzymał.

Zatem zabrałam z pralni tunikę i się przebrałam.

Stworzenie wpatrywało się we mnie, gdy wyciągałam dłoni i zabierałam kawałek bystrokamienia z luźnej kupki. Poruszyło nosem, ale nie zareagowało w żaden

inny sposób. Przysunęłam bystrokamień do piersi, po czym demonstracyjnie włożyłam go do kieszeni w szarfię.

Przez chwilę wydawało mi się, że błędnie oceniłam sytuację. Konstruktor siedział na skrzynce i obserwował mnie tak, jakby czekał na kolejny orzech. Nagle drgnęły mu ucho, nos i głowa. Przemknął obok mnie i wślizgnął się w szczelinę pod drzwiami. Spieszył właśnie do pałacu, do tunelu na dziedzińcu o rozmiarach zaledwie wystarczających, żeby pomieścić jego małe ciało. Przedostał się nim do siedziby Ilith i doniesie swojej pani, że służąca dokonała kradzieży.

Gdy już upewniłam się, że zniknął, odłożyłam większość bystrokamienia, zostawiając sobie odrobinę, na wypadek gdybym kiedyś go potrzebowała. Ojciec nigdy nie zakazał mi dostępu do tej substancji. Gdyby chciał ukarać kogoś ze służby, mogłabym powiedzieć mu, że prosiłam, by przyniesiono mi trochę na potrzeby eksperymentów.

Spojrzałam przez szczeliny w okiennicach i zerknęłam za skrzynki, szukając ewentualnych innych konstruktorów szpiegowskich. Odkryłam, że jestem naprawdę sama.

Klucz, który odebrałam przed dwiema nocami od kowala, ciążył mi w szarfię. Miał inną główkę niż oryginał, ale przypuszczałam, że ojciec zorientowałby się, gdyby go zobaczył. Sama świadomość posiadania go kazała mi chodzić w odmienny sposób, nie miałam co do tego wątpliwości.

Służba wykonywała swoje zadania rankami i wczesnymi wieczorami przed kolacją. Ojciec zabrał Bayana za jedno z zamkniętych drzwi, żeby mogli poćwiczyć. Pałac należał do mnie.

Kiedy wkroczyłam tam z powrotem, całość wydawała mi się odmienna. Wlewające się do środka światło słoneczne wyglądało na jaśniejsze, a wszystko sprawiało wrażenie, jakby wibrowało odczuwanym przeze mnie podekscytowaniem. Miałam w kieszeni klucz otwierający jedno z licznych drzwi, do których odmówiono mi dostępu.

Ruszyłam lewymi schodami biegnącymi w przedsionku. Poblady fresk u ich szczytu stanowił jedyną tutejszą pozostałość po Alanga. Moi przodkowie zbudowali pałac wokół tej ściany, by przypominała, z kim walczyliśmy.

Szereg mężczyzn i kobiet stał ramię w ramię z zaciśniętymi dłońmi i zamkniętymi oczami. Alanga... Nie byłam pewna, kto jest kim, który to Dione, która to Arrimus. Musiałam to wiedzieć, zanim straciłam wspomnienia. Choć farba spłowiała, wciąż było widać bogactwo ich szat. Tkanina wyglądała na miękką. Powstrzymałam ochotę, żeby przejechać palcami po muralu, gdy go mijałam.

Zaczęłam od największych, najbardziej ozdobnych drzwi. Przy dwóch z nich klucz dosłownie zatonął w ogromnych zamkach. Później straciłam ambicję i zaczęłam testować go we wszelkich drzwiach sprawiających wrażenie, jakby mógł do nich pasować. Im szybciej je odnajdę, tym więcej będę miała czasu, żeby je zbadać. Sesje treningowe ojca i Bayana trwały zwykle do kolacji, ale nie mogłam zakładać, że zawsze tak będzie. Serce biło mi coraz szybciej z każdą kolejną porażką.

A co, jeśli się pomyliłam? Jeśli ten klucz niczego nie otwiera? Jeśli ojciec umieścił go z pozostałymi jako pułapkę? Jeśli potrzebował tylko dobrej wymówki, żeby mnie wygnać i wynieść Bayana na moje miejsce?

Byłam Lin. Byłam córką cesarza. Poznam magię kości i dowiodę mu, że jestem godna, by przejąć jego pozycję. Dowiodę mu, że nie jestem wybrakowana. Powtarzałam to sobie w głowie niczym litanie. Nic innego się nie liczyło.

Gdy klucz przekręcił się w zamku, zarejestrowałam to dopiero po chwili. Były to małe, nierzucające się w oczy drzwi na końcu korytarza na parterze, pokrywany je lakier zmatowiał i niemal zaczynał się łuszczyć. Blask słoneczny ogrzał mosiężną klamkę. Rozejrzałam się ostatni raz po korytarzu i weszłam do środka. Drzwi zamknęły się za mną z cichym stuknięciem.

Otoczyła mnie ciemność. W pomieszczeniu nie było okien. Mogłam wpaść na to, żeby zabrać lampę, ale w gorączce przygotowań nie przyszło mi to do głowy. Wyobraźnia podsuwała mi bestie czające się w mroku. Może nawet Ilith, która czekała tylko, aż podejde bliżej, żeby mnie pochwycić? Przełknęłam ślinę i oddychałam cicho, czekając, aż mój wzrok dostosuje się do otoczenia. Pod drzwiami przedostawał się wąski pasek światła, dzięki któremu zaczęłam dostrzegać bezbarwne kształty.

Wystarczyło mi to, żebym dostrzegła lampę wiszącą pod nadprożem, a poniżej niej hubkę z krzesiwem. Zapaliłam światło drżącymi palcami, niepewna, czy czuję podniecenie, czy grozę. Gdy obróciłam lampę w stronę pomieszczenia, ujrzałam ściany wypełnione szufladami – i żadnych konstruktów gotowych mnie pożyć.

Szuflady zostały oznaczone. Były niewielkie, jak te, w których przechowywało się pierścionki albo kolczyki. Z kilku po mojej prawej wystawały małe paski papieru zapisane odręcznie. Podeszłam do nich, słysząc, jak parkiet skrzypi pod moimi stopami. Kiedy przyjrzałam się bliżej, rozpoznałam pismo Bayana.

A-122 – nie żyje

83-B-4 – żyje

720-H – żyje

I tak dalej, kolejne gryzmoły na papierze. Na znak solidarności poczułam skurcz w dłoni. Kiedy jednak spojrzałam na etykiety na szufladach, poczułam grozę szarpiącą mi gardło. *Port Thuy – Jelenia Głowa – 1510 r.* Wiedziałam, co znajdę, gdy otworzę szufladkę, ale i tak to zrobiłam.

W środku, na aksamicie, leżały małe odłamki kości, odznaczające się bielą na czerwonym tle. Tak samo musiały wyglądać, gdy dłutem oddzielono je od ciał ich właścicieli. Bayan tu bywał, testował odłamki z Jeleniej Wyspy, sprawdzając, którzy z właścicieli wciąż żyją, a którzy zmarli, zatem w ich kościach nie pozostało już życie mogące zasilać konstrukt. Ich odłamki stały się obojętne.

Minęło pięć dni, odkąd przyszły wieści o losie wyspy, a tymczasem właśnie nad tym pracował ojciec? Nieważne, jak złożone były jego pierwszoplanowe konstrukty, nie były one w stanie rządzić cesarstwem. Kraj go potrzebował, a jednak on katalogował szczątki po katastrofie, sprawdzał, które się jeszcze do czegoś nadadzą.

Zamknęłam szufladkę. Nie byłam pewna, kiedy zaczęłam zdawać sobie sprawę, że władza mojego ojca słabnie. Może nawet jeszcze przed tym, jak zachorowałam. Pamiętałam jednak, jak trzęsła mu się ręka, gdy obracał stronicę umowy handlowej, jak mrużył oczy, wpatrując się w ich treść, aż wreszcie z frustracją dał za wygraną.

– Przejrzyj to – polecił, rzucając umowę Konstruktorowi Handlu, po czym udał się do jednego ze swoich sekretnych pokojów i zamknął się w nim.

Być może jego dusza pozostawała dość silna, żeby zasilać dziesięć konstruktów, ale jego ciało stawało się coraz słabsze.

Uniosłam lampę i szłam wzdłuż rzędów szuflad, aż znalazłam *Cesarską* i rok 1508. Wszystkie odłamki oznaczono literami i cyframi. Gdzieś musiał znajdować się

katalog. Rzędy szufladek sięgały niemal do sufitu i co kawałek pod ścianami ustawiono drabiny. Gdy przyklęknęłam, zobaczyłam, że szuflady bliżej podłogi są szersze i wyższe. Odstawiłam lampę na bok i wysunęłam jedną z nich.

W środku leżała książka. Okładkę wykonano z jakiejś łuskowatej skóry, lecz przyćmione światło nie pozwalało mi stwierdzić, czy zielonej, czy też niebieskiej. Przesunęłam po niej palcami, niemal spodziewając się znaleźć kurz, nie było go jednak. Przyżółcone kartki pachnące atramentem i starym klejem zaszeleściły, gdy otworzyłam księgę. Tak wiele stron, tak wiele imion. Ogrom Cesarstwa Feniksa nigdy nie przestawał mnie zaskakiwać, gdy stawałam w obliczu jego świadectw. Mogłam przesledzić swój rodowód do korzeni, do ludzi, którzy walczyli z Alanga i ostatecznie ich pokonali.

Stronice bliżej początku były bardziej kruche. Odnalazłam rok 1508, a później *Numeen* zapisane schludnym pismem konstruktów biurowatycznego. *03-M-4*. Zamknęłam książkę i poprawiałam ułożenie kartek, aż wyglądały na nietknięte. Później zabrałam się za poszukiwania *03-M-4*.

W miejscu, gdzie powinien znajdować się jego odłamek, ziała pustka. Zalała mnie ulga, a później wstyd, że w ogóle ją poczułam. Pod etykietką dopisano coś maleńkimi literkami. Nachyliłam się bliżej, przytrzymując lampę nad szufladą. *B – do ćwiczek*. Bayan. Używał odłamka *Numeena* w swoich konstrukcjach ćwiczebnych.

To lepsze niż gdyby znajdował się w jednym z konstruktywów ojca, ale niewiele. Zatem odłamek był w pokoju Bayana, a on, jeśli oceniać po starannie prowadzonych zapiskach, zorientowałby się, gdybym go zabrała. Dostrzegłby to, powiadomiłby ojca, a później musiałabym się jakoś wytłumaczyć. Kilka lat wcześniej z czystej złośliwości zakradłam się do jego pokoju i zauważył każdą rzecz, którą przesunęłam czy trąciłam. Teraz rygłował nawet okiennice. Sprawdziłam. Jeśli ojciec miał klucz do jego komnaty, nie wiedziałam, który to.

Numeen mógł jeszcze długo się nie zorientować, że jego odłamek jest w użyciu. Później jednak zacznie odczuwać to porankami i późnymi wieczorami; osłabną mu kończyny, nienaturalne znużenie zalegnie na ramionach niczym mokry koc. Wyczerpanie stanie się jego wiernym towarzyszem. W końcu umrze, trochę zbyt wcześnie i trochę zbyt młodo.

Konstrukty jednak zapewniały nam wszystkim bezpieczeństwo. Były równie liczne jak armia. Ojciec zawsze powtarzał, że pewnego dnia Alanga powrócą, a wtedy spróbują odzyskać cesarstwo. Wszyscy Alanga dysponowali mocami, ale ich władcy byli silniejsi od większości pozostałych. Gdy osoba rządząca jedną wyspą walczyła z jakimś swoim odpowiednikiem, zderzenie ich magii zabijało wielu bezradnych świadków. Powstawały ogromne ściany wody, huragany równające miasta z ziemią. Największy spośród nich, *Dione*, potrafił zatopić miasto, oszczędzając przy tym wszystkie muchy, ale większość Alanga nie była zdolna do takiego poziomu kontroli nad wydarzeniami.

Co zwykli śmiertelnicy mogli zrobić w obliczu takiej potęgi?

Podniosłam kolejny odłamek i obróciłam go w palcach, zauważając liczby i litery identyfikacyjne wyryte na jego powierzchni. Moi przodkowie znaleźli słaby punkt, sposób na zabijanie Alanga, którym ojciec jeszcze się ze mną nie podzielił. Czy naprawdę zależało mu na dobrostanie cesarstwa? Nie byłam tego pewna.

„Potrzebujemy cesarza, który się o nas troszczy”. Ja się troszczyłam. Nie mogłam jednak zabrać odłamka *Numeena* tak, bym nie została na tym przyłapaną.

Odłożyłam fragment kości i zamknęłam szufladkę, czując się, jakbym próbowała ukryć wstyd w sercu.

Lampa zakołysała mi się w dłoni, gdy się obróciłam. Została mi do sprawdzenia jeszcze spora część pomieszczenia i być może znajdę coś oprócz odłamków i katalogów. Przeszłam do innej kolumny i zerknęłam do paru szuflad. Wyłącznie kości.

W przeciwległym krańcu komnaty na ścianie nie umieszczono szuflad. Przycisnęłam dłoń do gładkiej gipsowej powierzchni, zastanawiając się, co jest po drugiej stronie. Moją uwagę zwrócił ciemny kształt kolejnych drzwi wciśniętych w róg. Pospieszyłam do nich, czując, jak z każdym krokiem narasta moja ekscytacja.

Mosiężna klamka była chłodna w dotyku. Spróbowałam ją obrócić, zanim dostrzegłam poniżej dziurkę od klucza. Klamka zagrzechotała.

Zamknięte. Oczywiście.

Z frustracją odsunęłam się od drzwi, a później chwyciłam klucz spoczywającą w mojej szarfi. Wsunął się gładko do zamka, ale zapadki nie chciały się przekręcić. Spróbowałam pchnąć drzwi, a później pociągnąć. Po kręciłam kluczem w zamku, licząc na to, że jest odpowiedni, choć w głębi serca wiedziałam, że nie. Byłoby to nietypowe dla ojca.

Po prostu nie potrafił mi niczego ułatwiać, nawet raz. Wyszarpnęłam klucz z zamka. Mój oddech wydawał się odbijać echem od szafek i ścian.

Drzwi. Tak bardzo skupiłam się na zamku, że nie przyjrzałam się im. Coś wydawało się chwytać mnie za serce, ścisnęło je tak mocno, że brakowało mi tchu. Na drzwiach umieszczono dwa panele z brązu. W ich dolnych częściach widniały płaskorzeźby jałowców chmurowych zakorzeniających się w glebie i wijących ku górze tak, że górną część wypełniały gałęzie.

Ale to nie urok tych rytów mnie zaskoczył, choć drzwi stały się dzięki nim piękne. Od pięciu lat, odkąd wyszłam z choroby, na pewno ich nie widziałam. Znałam je jednak w podobny sposób, jak znałam kształt swoich zębów pod językiem. Uchwyciłam się tego wrażenia, zapachu, obrazu tych drzwi oświetlonych wieloma lampami. Wymykał mi się, nigdy na tyle namacalny, bym mogła się na nim w pełni skupić.

Byłam tu już kiedyś.



9

Jovis

Mała wyspa na wschód od Jeleniej Głowy

Jeśli można powiedzieć cokolwiek o Ioph Carn, to na pewno to, że byli wytrwali. Podniosłem już żagle i sprawdziłem olinowanie, gdy Philine i jej ludzie zbiegli drogą prowadzącą na przystań. Wydawało mi się, że Philine zawołała: „Stój!”.

Szkoda tchu. Czy zdarza się, że jakikolwiek ścigany zatrzymuje się na takie wołanie? Dopiero co mnie pobiła. Czego się spodziewała – że zawrócę i jej podziękuję? Nie. Zrobiłem to, co robią wszyscy, którzy otrzymali takie polecenie: uciekałem szybciej.

Mephi świergotał, gdy biegałem z jednego krańca łodzi na drugi, starając się napełnić żagle wiatrem i celować dziobem w odpowiednią stronę. Tutejszy port był niewielki, a we wlocie ledwo zmieściłaby się cesarska karawela. Nie groziło mi, że otrę się burtami o falochrony, ale na pewno nie dysponowałem taką przestrzenią, jak na Jeleniej Głowie.

Mephi usiadł u moich stóp, gdy przeszedłem do rumpla i wskazałem mu Ioph Carn biegnących ku nam po pomoście.

– To nie są dobrzy ludzie – oznajmiłem.

Przekrzywił głowę na bok, wbijając we mnie wzrok. I znowu to robiłem. Rozmawiałem ze zwierzęciem. Mogłem składać to na karb nerwów. Zawsze gadałem za

dużo i za często, nie licząc przypadków, gdy znajdowałem się w domu lub wypływałem na Bezczesne Morze. W innych miejscach wiecznie byłem niespokojny. Emahla nigdy nie traktowała mnie poważnie, dopóki nie zobaczyła mnie milczącego.

Philine nie skierowała się do szalupy, odcumowała ją i kazała im wiosłować. Pogoniła swoich sługosów do szalupy, odcumowała ją i kazała im wiosłować.

Mieli ramiona szerokie i żylaste jak liny napuchnięte od słonej wody. Zerknąłem na swoje szczupłe kończyny, a później na żagle, które wzdęły się, ale nie ciągnęły mnie zbyt szybko. Złapię lepszy wiatr dopiero wtedy, gdy opuszczę przystań. Wciąż miałem garstkę bystrokamienia. Wciąż mogłem ich prześcignąć.

– Nie wchodź mi pod nogi – rzekłem do Mephiego, a później pokręciłem głową. Znowu to zrobiłem. Och, jakie to miało znaczenie, że od gadania czułem się lepiej? Bo tak było. Zyskiwałem dzięki temu wrażenie kontroli nad sytuacją.

Uniosłem klapę ładowni, podważyłem luźną deskę i próbowałem namacać bystrokamień.

Czułem jedynie gładkie deski. Zalało mnie oszołomienie, do gardła podeszła mi żółć. Bystrokamień zniknął. Przesunąłem dłońią po dnie ładowni. Może w nocy fala uderzyła w łódź i kamień się przesunął, przejechał w róg? Spróbowałem trzeci raz. Miałem wrażenie, że głowę wypelnia mi wata.

Nie mógł tak po prostu zniknąć.

Coś zimnego poklepało mnie w drugą rękę. Uniosłem się i ujrzałem Mephiego, który patrzył na mnie i zaciskał łapki niczym zatroskana ciotka. Gdy popatrzyłem nad jego głową, dostrzegłem zbliżających się Ioph Carn.

Chciałbym móc kontrolować wiatr albo morze. Na pokładzie miałem tylko włócznię, której czasami używałem do polowania na ryby. Mimo to chwyciłem ją, obróciłem łódź w stronę wlotu do przystani i stanąłem na bakburcie z bronią. Czułem ból w posiniaczonych żebrach, gdy oddychałem, czekając.

Philine miała ponury wyraz twarzy i trzymała pałkę pod ręką. Nie pozwoli mi się wymknąć po raz drugi.

Serce dudniło mi, choć w spokojniejszym rytmie niż według mnie zasługiwała sytuacja. Dłonie pokryły mi się potem, kiedy szalupa podpłynęła bliżej. Widziałem żyły na ramionach wiosłujących Ioph Carn i ścięgni napinające się na dłoni Philine, gdy mocniej ścisnęła pałkę.

Szalupa uderzyła w moją łódź i w tym samym momencie Philine jedną ręką chwyciła za moją burtę, drugą zaś za włócznię, kiedy próbowałem ją odepchnąć.

Wykorzystała drzewce, żeby się podciągnąć, sprawiając, że niemal wypadłem za burtę. Z trudem wyprostowałem się akurat w samą porę, żeby wbiła nasadę pałki w moje posiniaczone już żebra.

Ból pozbawił mnie tchu. Z sykiem zassałem powietrze przez zęby, starając się skupić na czymś innym, na czymkolwiek. Na włóczni. Wciąż ją miałem. Pchnąłem, chcąc pozbawić kobietę równowagi, strącić ją za burtę.

Wyglądała jedynie na zirytowaną.

Musiałem pozbyć się jej z mojej łodzi. Ogarnęła mnie panika, jakbym tonął. Nie mogłem płynąć do Kaphry, nie teraz. Byłbym gotów iść na układ z demonem, uściskałbym dłoń największemu spośród Alanga, żeby tylko posłać Philine do wody.

Uśmiechnęła się, zupełnie jakby desperacja, która wylewała się ze mnie wraz z każdym oddechem, była perfumami. Wolną dłońią wyciągnęła ostrze zza pasa i cofnęła ramię do rzutu. Jeśli oceniać po jej spojrzeniu, celowała w moje oko.

Kulka brązowej sierści przemknęła obok moich stóp i skoczyła na kobietę. Oblicze Philine natychmiast zmieniło wyraz. Zaciśnęła szczęki.

– Cholera! – rzuciła. Upuściła nóż, który wpadł do morza.

Mephi złapał zębami jej kostkę, a w gardle mu zabulgotało. Próbowwała go strącić. Przypomniałem sobie, jak patroszył rybę, którą mu dałem. Owszem, ukąszenie było bolesne, ale nie powstrzyma jej na długo. Ta przekłeta kobieta przewyższała mnie siłą i wciąż zaciskała dłonie na włóczni.

Wtedy coś się we mnie zmieniło. Miałem wrażenie, jakby jakiś mechanizm się odblokował, jakby przesunęły się zapadki, a później rozległo się subtelne stuknięcie. Czulem, że się trzęsę, że w uszach rozbrzmiewa mi cichy ryk.

Philine odkopnęła Mephiego na bok. Znow odetchnąłem i ból opuścił moje żebra. Powietrze zdawało się wpływać mi do płuc, a później wlewać się w kończyny, niosąc nową energię. Łagodne drzenie mocy poczułem najpierw w kościach. Później w nogach – teraz równie solidnych i silnych jak słupy narożne domu. Płynęła w górę, w moje plecy i ręce, a chwilę później już nie zmagalem się z Philine. Wciąż znajdowała się przede mną, ale to było jak siłowanie się z dzieckiem. Na próbę uniosłem włócznię i stopy kobiety niemal oderwały się od pokładu.

Obserwowałem, jak na jej twarz wpływa świadomość tego, co się dzieje. Czy sam tak wyglądałem, gdy nie mogłem odnaleźć bystrokamienia? A później, zanim zdążyłem sobie to przemyśleć, cisnąłem ją wraz z włócznią do wody – tuż przed falochrony. Poszło mi to tak łatwo, jakbym wyrzucił rybę z łodzi do morza.

Równie szybko siła mnie opuściła. Osunąłem się na pokład, czując w gardle chrapliwy oddech. Ślizgałem się wzrokiem po żaglach, gdy opuszczaliśmy przystań i wypływaliśmy na Bezkresne Morze.

Podpełził do mnie Mephi. Oparł mi obie łapki na kolanie i popatrzył na mnie z poważnym wyrazem wąsatego pyszczka. Sierść na piersi plamiła mu krew.

– Niedobre – powiedział piskliwym, gardłowym głosem. Poklepał mnie po nodze. – Nie.

Mogłem znieść baty z rąk Ioph Carn. Mogłem znieść pościg w przystani i utratę resztki bystrokamienia – najwyraźniej to również nie leżało poza moimi możliwościami. Ale coś takiego?

Mój mózg z miejsca się poddał.



Obudziły mnie odgłosy fal uderzających o burtę. Barwy i szczegóły wlewały mi się stopniowo w pole widzenia niczym farba nasączająca papier. Najpierw słońce stojące wysoko na niebie i świejące jasno. Później wiatr szarpący żaglami. Zmrużyłem powieki.

Mephi stał na dziobie, ustawiony wąsatym pyszczkiem do wiatru, ze zjeżoną sierścią. Gdy tylko usłyszał, że się ruszam, podbiegł do mnie i zaćwierkał, a później przecesał mi łapkami włosy, jakby szukał w nich posiłku.

Odpędziłem go gestem i usiadłem. Całe ciało miałem sztywne i obolałe, zupełnie jakbym został przeturlany i sponiewierany przez fale, a później brutalnie

wyrzucony na brzeg. Tak to było po zebraniu cięgów – najpierw robiło się gorzej, zanim mogło być znowu lepiej.

Ioph Carn.

Poderwałem się gwałtownie na nogi i ból przeszył mi ciało, jakbym dostał nożem. Wyspa wciąż była widoczna, choć szybko stawała się coraz mniejsza. Nie dostrzegalem żadnych ścigających mnie łodzi – jeszcze nie. Zajmie im chwilę, zanim wyłowią przemoczoną Philine, a później przygotują łódź. Nie będzie tak szybka jak moja, ale nie miałem pewności, ile cennego bystrokamienia zamierzali poświęcić, żeby nas schwycić.

Podmuchy mierzwiły mi włosy wpadające do oczu. Odgarnąłem je za uszy, a później dokonałem szybkiego przeglądu, sprawdzając olinowanie i żagle. Znow spojrzalem na mapę, żeby się upewnić. Płynęliśmy w odpowiednim kierunku i mieliśmy dobry wiatr, więc nie zostawało mi wiele poza siedzeniem i czekaniem. W Akademii Nawigatorów zawsze lubiano powtarzać, że cierpliwość jest pierwszą rzeczą, której uczą studentów, choć w moim przypadku pierwsza lekcja wyglądała inaczej. Moi rodzice wiedzieli, z czym się tam zetknę. Próbowali mi to powiedzieć, gdy pakowałem bagaże przed wyjazdem na Cesarską.

– Nie zaakceptują cię – rzekł łagodnym głosem ojciec. – Nie będą postrzegać cię jako jednego ze swoich.

– Wiem – odparłem, wywracając oczyma, gdy ścigałem książki z półek. – Spytają mnie, czy rozmawiałem z pradawnymi albo czy po poyersku moje imię znaczy „śnieżna góra”.

Matka wcisnęła się pomiędzy mnie a moje torby i rzuciła mi smutne spojrzenie.

– Próbujemy powiedzieć ci coś ważnego! Anau jest mała, wszyscy nas tu znają. Na Cesarskiej będziesz kimś z zewnątrz. Będą sądzili, że cię znają, a to coś innego.

Westchnąłem. Byłem młodzikiem uważającym, że wiem o życiu więcej niż moi rodzice.

– Jestem w połowie Poyerczykiem i w połowie Cesaryjczykiem. Czy o tym chcieliście mi przypomnieć?

Wymienili spojrzenia. Matka wyczerpaną i zdesperowaną miną błagała ojca o wytłumaczenie. Gdybym nie był takim głupcem, by temu zaprzeczać, ujrzałbym, że zupełnie nie rozumiałem, o co im chodzi.

– Jovisie – odezwał się ojciec. – Chcieliśmy ci przypomnieć, że jesteś jednocześnie Poyerczykiem i Cesaryjczykiem. I nieważne, co usłyszysz, nie staniesz się żadnym z nich w mniejszym stopniu.

Skinąłem głową i podziękowałem im, choć wciąż nie do końca rozumiałem. Przecież zdałem wszystkie testy wstępne, prawda? Ale gdy przybyłem do Akademii, szkoleniowcy pokazali mi moje miejsce jako mieszańcowi półkrewi, a pierwszą rzeczą, jakiej się dowiedziałem, było to, że życie cesarskiego nawigatora będzie samotne.

Siedziałem przy rumplu i obserwowałem mojego nowego towarzysza. Najwyraźniej bardzo pragnął mnie przekonać, że tym razem samotność mi nie zagrażała. Może zdołałbym uchylić się przed nożem Philine. A może nie. Wychodziło na to, że ja uratowałem go z wody, a on uratował mnie przed paskudną śmiercią.

– Zatem czym jesteś?

Mephi siedział na tylnych łapach, a przednią drapał się w małe ucho. Ściągnął wargi w grymasie, gdy szukał swędzącego miejsca. Rzeczywiście trochę przypominał wydrę. Miał jednak dłuższe palce, a uszy spiczaste zamiast zaokrąglonych. Jego

pyszczyk był kanciasty, a nie obły, pewnie dlatego z początku wziąłem go za kota. Miał tułów dłuższy od kociego i mógł z łatwością rozciągnąć się do wysokości mojego kolana.

Przez chwilę patrzyłem, jak się męczy, po czym westchnąłem i wyciągnąłem rękę, żeby pomóc mu się podrapać. Naparł głową na moją dłoń. Choć miał szorstką sierść, podsterstek był miękki niczym ptasie pierze. Gdy dotykałem tych włosków, kojarzyły mi się z wyglądem chmur – nieprzyzwoicie puszyste.

Przejechałem mu kciukiem po głowie i znieruchomiałem. Obok uszu wyczułem dwie kościste wypustki. Zawiazki rogów? Nie przypominałem sobie żadnego morskiego stworzenia posiadającego jednocześnie rogi i futro.

– Pewnie nie powiesz mi, kim i czym jesteś? – zapytałem, czując się bardzo głupio.

Mephi jedynie otworzył pysk i wydał z siebie pełen satysfakcji świergot.

Czy wcześniej wydawało mi się tylko, że słyszę, jak mówi? Byłem wtedy zdenerwowany po biciu, dopiero co uciekłem przed prześladowcami, a później znowu ledwo im umknąłem. Pomimo kłamstw, które opowiadałem innym i które czasami wmawiałem sobie, nie przypuszczałem, żebym to sobie wymyślił.

– Na niektórych wyspach żyją papugi – rzekłem do Mephiego. – Zdarza się, że ludzie trzymają je w domach, i potrafią one mówić jak ludzie.

Przestałem go pieścić. Pacnął kolano, na którym oparłem dłoń, a ja poddałem się i podrapałem go po policzkach.

– Też tak właśnie robisz? Powtarzasz tylko to, co usłyszałeś?

Mephi skulił się, a następnie, zanim zdążyłem uświadomić sobie, co robi, wskoczył mi na kolana i rozłożył się na nich tak, jakby to było jego miejsce. Siedziałem nieruchomo, nie śmiać oddychać, nieco wystraszony, że to dzikie zwierzątko mnie ugryzie. Gdy malec tego nie zrobił, z wahaniem położyłem dłoń na jego ciepłym barku. Westchnąłem gderliwie i złożył głowę pomiędzy łapkami.

Na rodzinnej wyspie zanurkowałem kiedyś na dno zatoczki tylko po to, by sprawdzić, ile czasu zdołam tam wytrzymać. Gdy miałem już wrażenie, że zaraz pękną mi płuca i nawet mój brat klepał w powierzchnię wody z niepokoju, rozprostowałem nogi i skierowałem się ku powierzchni. Teraz czułem się, jakby moje serce właśnie rozkwitało i wznosiło się do jakiegoś pogodniejszego miejsca.

Na horyzoncie przede mną pojawiła się łódź, ciemny kształt na wodzie. Wiatr się wzmógł i mój stateczek ciął wodę, podskakując lekko na falach. Mephi się nie poruszał. Mógłbym w tym momencie zasnąć szybko i bez żadnych trosk. Łódź na horyzoncie nie należała do Ioph Carn i nie była cesarska. Co dziwne, w ogóle nie miała żagli. Cesarstwo wciąż korzystało z galer, ale nawet je dodatkowo w nie wyposażano.

Gdy znaleźliśmy się bliżej, uświadomiłem sobie, że stateczek jednak posiada żagle, tyle że były one równie niebieskie jak niebo.

Natychmiast zerwałem się na nogi, zrzucając Mephiego na deski pokładu. Ojciec Alona widział łódź sunącą na wschód, ale musiała zakotwiczyć w jakimś niewidocznym miejscu albo wróciła na wyspę w związku z jakimiś niedokończonymi sprawami, bo teraz była tutaj, tuż przede mną.

Sprawdziłem stan swoich żagli. Wiozłem jedynie dwie skrzynki melonów, nie miałem pełnej ładowni. Płynąłem najszybciej, jak tylko mogłem. Na drugiej łodzi być może jeszcze mnie nie zauważono albo nie przejęto się mną, bo wyglądało na to, że ją doganiam. Przeszedłem na dziób i wytężyłem wzrok, zanim przypomniałem sobie, że mam lunetę. Czułem się, jakby w głowie roily mi się osy, brzęczące i dezorientujące.

Uniosłem ławkę na dziobie, wyciągnąłem przyrząd i rozsunąłem go na całą długość. Z powodu kołysania i moich niepewnych rąk dopiero po jakimś czasie ustawiłem odpowiednio lunetę przy oku. Horyzont nabrał ostrości, a wraz z nim stateczek o ciemnym kadłubie. Niebieskie żagle napinał wiatr, a w pobliżu rufy stała postać – jedyna, jaką dostrzegąłem, odziana w ciemną szarosc. Pierwszy raz widziałem tę łódź w poranek zniknięcia Emahli. W początkowej panice jedna z moich ciotek zasugerowała, że być może moja żona się utopiła, i choć wiedziałem, że tak nie zrobiła, mimo wszystko udałem się nad ocean. Nad plażą wisiała ciężka mgła, a fale rozbijały się o brzeg, którego nie widziałem. Podeszedłem na sam skraj i woda wlewała mi się do butów, ziębiąc stopy.

Coś poruszyło się we mgle. Z początku wydawało mi się, że to woda albo może nawet drgnięcie samych oparów. Ale wtedy dostrzegłem skrawek czegoś niebieskiego. Żagiel. Zamrugałem i zniknął. Nawet piasek pod moimi stopami nie wydawał się w pełni materialny, jak więc mogłem mieć wtedy pewność, że nie był to tylko jakiś straszliwy sen? Już zaczynałem za nią tęsknić, moje serce już wiedziało to, czego nie dopuszczała do siebie głowa.

A później zobaczyłem tę łódź ponownie po pięciu latach. Pięciu straconych latach. Spłacałem własną jednostkę – większą niż rybacka łódź mojego ojca, pozwalającą przemieszczać się z wyspy na wyspę bez ryzyka, że pierwsza burza wyrzuci ją do góry dnem. Ioph Carn byli jedynymi, którzy pozwolili mi spłacać łódź pracą dla nich. Nie miałem wyboru. W rocznicę śmierci brata zatrzymałem się jednak na wyspie na wschód od Cesarskiej i na pamiątkę Onyu spaliłem gałązkę jałowca na urwisku. Było słonecznie i bezchmurnie. Właśnie wtedy ujrzałem ją znowu: łódź o niebieskich żaglach i z samotną postacią przy olinowaniu. Tym razem wiedziałem, że nie jest złudzeniem. Zerwałem kontakt z Ioph Carn i przez kolejne dwa lata uganiałem się za pogłoskami o niebieskich żaglach.

Teraz, gdy stałem na własnej łodzi i w okularze lunety widziałem dziwną jednostkę, wyobrażałem sobie, że wskakuję na jej pokład, chwytam tajemniczą postać, potrząsam nią. Pytam, co zrobili z Emahlą, dokąd ją zabrali, gdzie przebywała przez te wszystkie lata. Wciąż pamiętałem ciężar jej głowy na moim barku, fałdkę na jej policzku, gdy się uśmiechała, dotyk jej ciepłej, pokrytej odciskami dłoni na mojej. To, jak zawsze wydawała się mnie rozumieć, choć nie zawsze umiałem odnaleźć odpowiednie słowa.

To wszystko jednak zniknęło, nieważne, jak bardzo starałem się ten obraz zatrzymać, rozpuszczał się jak sól w falach. Tak zresztą wyglądała najgorsza strona żaloby – nie tylko wiedziałem, że Emahli nie ma, ale też, że nowe wspomnienia i doświadczenia nałożą się na te dawniejsze, wskutek czego dystans pomiędzy nami stanie się jeszcze większy. Dni, które spędziliśmy na pływaniu i łowieniu ryb na plaży, pierwszy raz, gdy ją pocałowałem, sny, które sobie opowiadaliśmy – zostałem jedynym strażnikiem tych wspomnień i na tym polegała najprawdziwsza samotność. Wciąż tyle rzeczy chciałem jej powiedzieć, podzielić się nimi z nią.

Postać obróciła się ku mnie. Przez moment wydawało mi się, że skrzyżowała ze mną wzrok przez dzielący nas dystans. A później przeszła do żagli. Zaraz dostrzegłem kłęb białego dymu. Palony bystrokamień.

Gwałtownie zamknąłem lunetę. Nie miałem bystrokamienia, ale moja łódź została zaprojektowana z myślą o szybkości. Wciąż mogłem mieć szansę, w zależności od tego, jakimi zapasami substancji dysponowała tamta jednostka. Rozejrzałem się po swoim stateczku, nagle uświadamiając sobie, że wbrew mojej wyobraźni, wbrew

pewności, że przeskoczę na drugi pokład i wezmę go siłą, nie miałem żadnej broni. Straciłem nawet włócznię do połowy ryb, która wpadła do wody wraz z Philine. Poza tym, jak nieustannie przypominało mi ciało, nie znajdowałem się obecnie w najlepszej formie.

– Coś wymyślimy, prawda? – Gadanie do Mephiego zaczynało wchodzić mi w krew. Szedł tuż za mną, gdy kroczyłem wzdłuż łodzi. Miałem jeszcze małą pałkę, którą ogłuszałem schwytane ryby. Trochę mi pomoże. No i podczas walki z Philine jakby na nowo nabrałem tchu w płuca. Może uda się to powtórzyć?

Nieważne. Odpowiedzi, których poszukiwałem, znajdowały się na pokładzie tamtej łodzi, i prędzej pozwoliłbym, żeby Ioph Carn tłukli mnie codziennie, niż przepuściłbym taką okazję. Przeszedłem na dziób z pałką w dłoni i z nadzieją, że siniaki i krew nadają mi wygląd kogoś groźnego, a nie żalosego. I właśnie tam, na dziobie stateczku, obserwowałem, jak druga łódź zaczyna się oddalać. Miałem wrażenie, że znów stoję na plaży, szukam Emahli i zdaję sobie sprawę, że wszystko, co robiłem, było zupełnie na nic. Zaciskałem palce na drewnie pałki, aż poczułem pod paznokciami drzazgi.

– Nie potrafię... nie potrafię tego robić. – Nie byłem nawet pewien, co chciałem przez to powiedzieć.

Mephi mruknął coś u moich stóp, a potem stanął na tylnych łapkach, żeby poklepać mnie w kolano. Zanim zdążyłem na niego spojrzeć, przemknął do żagla i wspiął się po nóżkach koksownika, po czym owinął metal ogonem. Włazł w samo palenisko i jego futerko obsypało się popiołem.

– Nie mam już bystrokamienia – rzekłem. – Cały się spalił.

Ale Mephi nie szukał bystrokamienia. Usiadł w koksowniku, obrócił się do żagla i dmuchnął. Dym wypłynął mu z pyszczka, strzępiasty jak ten powstający przy spalaniu substancji. Wraz z dymem pojawił się najpierw lekki, później silny wiatr. Uderzył w żagiel i wypełnił go, rozlewając się po jego powierzchni jak olej po wodzie. Łódź skoczyła naprzód. – Mephi! Mephisolou! – Czuję oszołomienie, które pełzło w górę mojej szyi i powodowało zawroty głowy. – Czym ty jesteś? Co ty robisz? – Nie wiedziałem, co mówię. Czy to był sen? A jeśli tak, to kiedy zacząłem śnić? Zanim zdążyłem zakwestionować to, co widzę, Mephi znów zaczerpnął powietrza i dmuchnął, a wtedy jeszcze więcej dymu wypełzło mu z pyska i napełniło żagiel wiatrem.

Spojrzałem na horyzont. Łódź wciąż tam była, a my płynęliśmy szybko, sunęliśmy po falach, jakby niosły nas skrzydła. Znów zerknąłem przez lunetę. Może to sobie tylko wyobrażałem, ale wydawało mi się, jakby jeszcze więcej dymu z bystrokamienia wypełniało niebieskie żagle. Ile substancji miał tajemniczy nieznamy? Jednostka nie nosiła żadnych cesarskich symboli, a nawet przemytnicy i złodzieje nie byli w stanie zdobyć wiele bystrokamienia. Mnie udało się to raz, a wcześniej musiałem starannie namieszać w głowach konstruktom cesarstwa i jego żołnierzom. Ale czy miało to znaczenie? Stłukłbym całe cesarstwo moją pałką na ryby, by odzyskać Emahlę. Stałem na dziobie, czując na twarzy wiatr i pył wodny, gotów skoczyć, gdy tylko znajdziemy się wystarczająco blisko.

Łódź o niebieskich żaglach znów zaczęła się oddalać, a wiatr dmący mi w twarz osłabł. Nie. Nie teraz, nie po tylu latach, odkąd ostatni raz ją widziałem, nie gdy znalazłem się tak blisko zdobycia odpowiedzi. Zwolniliśmy, a tamta jednostka przyspieszyła. Kiedy obejrzałem się za siebie, zobaczyłem Mephiego w palenisku, oddychającego płytko i chrapliwie.

– Musimy płynąć dalej! – zawołałem do niego, nie przejmując się tym, że jest zwierzęciem. Może nie rozumiał moich słów, ale musiał zrozumieć mój ton. – Wciąż możemy ich dogonić. – Tak blisko, tak bardzo blisko... Byłem jak głodujący człowiek, któremu tuż przed ustami ktoś trzymał miód.

Mephi znów dmuchnął, żagle się wypełniły, łódka drgnęła i pomknęła naprzód. Kuczał w koksowniku, a na wąsach drżały mu drobinki popiołu.

– Niedobre – zaskrzeczał.

Tym razem szok, jaki poczułem, był inny. Nie potrafiłem przejmować się tym stworzeniem, które wyciągnąłem z morza. Nie potrafiłem przejmować się Alonem czy innymi dziećmi, które zostawiliśmy. Emahla wciąż mogła znajdować się na tamtym stateczku. Jakaś część mnie wiedziała, że to nie może być prawda, nie po tylu latach, ale inna część, całkiem spora, dalej stała na plaży o poranku, gdy zniknęła Emahla, i nie traciła nadziei, że wszystko jeszcze może być dobrze. Właśnie ta część żądała, żebym dopadł tę łódź.

Mephi znów drżąco zaczerpnął tchu. Nie uniósł się na łapach, przycupnął w koksowniku jak ranne zwierzę chroniące brzuch. Przypomniało mi się, jak z pełną ufnością westchnął i złożył mi głowę na kolanach. Jak rzucił się na Philine. Poczucie winy i desperacja zmagają się ze sobą w mojej piersi. Ile jeszcze oddechów było trzeba, żebyśmy dopadli tamtą łódź? Zbyt wiele. Padłby wcześniej.

Wiedziałem to, naprawdę wiedziałem, a mimo to pragnąłem spróbować. Zbyt wiele kłamstw sobie wmówiłem i ponakładały się na siebie.

– Przestań – powiedziałem.

Choć polecenie było ciche, Mephi przewrócił się w palenisku, nie wypuszczając z siebie dymnego tchu. Żagle zwiotczały, fale uderzały o burty.

A łódź, którą tak bardzo pragnąłem doścignąć, zniknęła za horyzontem na Bezkresnym Morzu.



10 Lin

Wyspa Cesarska

Bruk był śliski od popołudniowego deszczu i odbijało się w nim światło latarni. Znałam już dobrze tę drogę, tak samo jak znałam inne elementy tej procedury. Zaczekać, aż ojciec przestanie mnie wypytywać i zasiądzie do herbaty, włamać się do jego pokoju, zabrać klucz. Nie przesłuchiwał mnie co wieczór, więc do tej pory ukradłam tylko dwa kolejne klucze.

Miało to jednak dla mnie znaczenie, bo gdy tylko odbiorę kopię, będę miała o dwa klucze więcej niż Bayan.

Na ulicach wciąż kręciło się trochę ludzi, którzy rozmawiali z sąsiadami śpiewnym akcentem Wyspy Cesarskiej. Zerkali na mnie, gdy ich mijałam – nigdy nie miałam czasu, żeby zdjąć haftowaną jedwabną tunikę i przebrać się w coś innego – ale zaraz wracali do plotek. Ojciec rzadko wypuszczał mnie samą z pałacu, więc nikt nie znał mojej twarzy. Dwukrotnie wyjeżdżałam w palankinie i wtedy służba sięgała pod zasłony, by odebrać monety, którymi płaciłam sprzedawcom. Wcześniej nigdy nie dotknęłam pantoflami bruku, nigdy nie czułam na skórze miejskiego powietrza.

Przechodząc obok zamykających się sklepów i zakładów, zaglądałam do nich. Obsługa wycierała stoliki lub chowała rzeczy do szuflad. W warsztacie krawieckim

widziałam mnóstwo tkanin, których bele leżały jedna na drugiej, a końcówki spływały luźno niczym wielobarwny wodospad. Obok znajdowała się piekarnia, wokół której powietrze wciąż przenikały para i woń drożdży. Dalej była pijalnia o zacienionych kątach nadal wypełnionych gawędzącymi ludźmi. Kubki stukwały o siebie, a z wejścia ulatywał dym. Pachniało jak w miejscu, w którym zawsze panuje wilgoć, a w wytarte deski podłogi wsiąkła niejedna kałuża. Jakaś część mnie chciała tam wejść, zamówić wino, wpaśować się między tych ludzi i słuchać. Co wyczytałabym z ich twarzy? W kieszeni szarfy ciążył mi jednak klucz. Gdybym się nie pospieszyła, ojciec wróciłby do swojego pokoju i odkrył, co zrobiłam.

Zatem dotarłam do warsztatu kowala i wślizgnęłam się do środka. Dzwonek zawieszony na klamce zabrzęczał o stare drewno i mężczyzna podniósł wzrok znad wykonywanej pracy. Stęknął jedynie cicho – nie z satysfakcją, nie z niezadowolaniem, a jedynie z... ostrożnością.

– Mam następny klucz – oznajmiłam, sięgając do szarfy. Wyciągnęłam przedmiot.

Kowal zwlekał chwilę, zanim wyciągnął dłoń i pozwolił, bym położyła na niego klucz. Przyjrzał mu się bez słowa, oceniając rozmiary. Obrócił się na taborecie i zabrał do otwierania szuflad.

– Ta sama cena co za ostatni – powiedział. Wiedział już, kim jestem. Mógł domagać się więcej. Byłoby mnie stać.

Wyciągnęłam jednak tylko dwie srebrne monety i położyłam je na ladzie, obserwując, jak kowal odciska klucz w woskowej formie.

Pracował, marszcząc brwi. Przemknął wzrokiem po mojej twarzy, po czym wrócił nim do klucza. Wciąż skupiony, chwilę później spytał:

– Czy znalazłaś mój odłamek?

Kowal starał się nadać tym słowom nonszalanckie brzmienie, ale czekając na moją odpowiedź, oblizywał wargi i napinał ramiona. Ostatnim razem również pytał i teraz bałam się tego bardziej niż wcześniej. To dlatego, że wiedziałam, gdzie znajduje się jego odłamek, ale nie mogłam się do niego dostać w taki sposób, by nie zostać przyłapaną.

– Nie – odparłam. Kłamstwo wyśliznęło mi się spomiędzy warg, zanim zdążyłam je powstrzymać. Choć odepchnęłam od siebie niepokój, zaległ mi w żołądku. – Mam jeszcze tak wiele pomieszczeń do otwarcia, a nie wiem, który klucz jest do którego. Mam nadzieję, że wkrótce go znajdę. – Mówiłam podobnie lekkim tonem, jakby ta sprawa nie miała znaczenia.

Dla niego miała.

Dla mnie również. Powinna mieć znaczenie. Ojciec zawsze mawiał, że muszę sama o siebie dbać, że nie mogę polegać na innych. A jednak polegałam na Numeenie i on dotrzymywał swojej części umowy. Pot zebrał mu się na skroni, w świetle lampy lśnił na pomarańczowo. Za nim, na półce, spoczywało kilka małych bibelotów: drewniana figurka mały, bukietek wysuszonych kwiatów, kilka kadzidełek i wyszczerbiony kubek. Zastanawiałam się, co dla niego oznaczały.

– Ile masz dzieci? – Nie powinnam o to pytać, ale tak samo jak w przypadku niedalekiej pijalni, czułam się przyciągana przez świat, którego nie znałam.

Zmarszczki na jego czole się wygładziły.

– Troje. Syna i dwie córki. – Obserwowałam, jak ten potężny mężczyzna, który za pierwszym razem rozmawiał ze mną tak opryskliwie, teraz zmienia się z głazu

w piasek. – Wszyscy są za mali, żeby tu pomagać, ale chcą. Zwłaszcza najstarsza. – Roześmiał się z jakiegoś osobistego wspomnienia.

– Musisz ich bardzo kochać. – Czy mój ojciec kiedykolwiek rozmawiał o mnie w taki sposób z innymi? A może tylko narzekał na moją utraconą pamięć i mówił, jak to planuje mnie wypędzić? Starałam się wyobrazić sobie jego chłodną fasadę ocieplającą się na wzmiankę o mnie, ale nie potrafiłam.

Serdeczność Numeena zniknęła, gdy tylko te słowa wydostały się z moich ust, i ponieważ usławiłam sobie, jak mogły dla niego zabrzmieć. Jak groźba. Szarpnięciem otworzył inną szufladę i zaczął grzebać w jej głębi.

– Oto klucz, który przyniosłaś mi poprzednio. Ten będzie gotowy za dzień lub dwa. – Położył na ladzie kopię i klucz, który przyniosłam dzisiaj, zgarnął dwie srebrne monety i odwrócił się ode mnie.

To przynajmniej zrozumiałam. Odprawiał mnie.

Zabrałam zatem oba klucze, wcisnęłam je do kieszeni w szarfię i wyszłam. Wilgoć bruku przesączała mi się przez pantofle, gdy biegłam do bramy pałacu. Gips wciskał mi się pod paznokcie, kiedy wspinałam się po murze i schodziłam po drugiej stronie.

Dotarłam do pokoju ojca zdyszana, czując, jak pot spływa mi po plecach. Tym razem Bing Tai jedynie mruknął, gdy zakradłam się do środka i odłożyłam klucz na miejsce. Nie czekałam, by sprawdzić, kiedy wróci ojciec. Poszłam do swojego pokoju.

W porównaniu z komnatami ojca wydawał się ciasny jak komórka, ale tak wolałam. Miałam wrażenie, że ściany mnie obejmują. Każde miejsce w mojej komnacie wydawało mi się bezpieczne, nie było żadnych nieznanymi narożników. Tylko łóżko, biurko, gruby chodnik, szafa i kanapa. Gdy zamknęłam za sobą drzwi, odetchnęłam, zrzuciłam brudne pantofle i pogrzebałam pod łóżkiem w poszukiwaniu czystej pary. Bayan i ojciec zwykli kłaść się późno, ale zamierzałam ich przeczekać.

Usiadłam ze skrzyżowanymi nogami i zrobiłam to, co zalecał mi Bayan. Medytowałam.

Nawet jeśli kryjąca się w tym magia działała na Bayana, ze mną tak nie było. Potrafiłam myśleć jedynie o Numeenie, jego zmarszczonych brwiach i śmiechu, gdy mówił o swoich dzieciach. Było to zaskakująco relaksujące połączenie, ale na pewno nie pozwoliło mi niczego odkryć. Skupiłam się na oddechu i czekałam, aż zapadnie naprawdę głęboka nocna cisza.

Wtedy podeszłam do drzwi i wymknęłam się na zewnątrz. Nie miałam ze sobą lampy. Księżyce przeświecał przez okiennice i zapewniał dość światła, więc nie wpadałam na ściany. Poza tym wystarczająco dobrze znałam układ pałacowych korytarzy.

Na wszelki wypadek sprawdziłam pokój Bayana. Ojciec pozostawał niewolnikiem swoich przyzwyczajzeń, ale Bayan był niczym niespokojny duch. Nigdy nie miałam pewności, kiedy się pojawi, w jakim będzie nastroju albo czy zamierza wyrządzić mi jakąś psotę. Gdy przy jego drzwiach wstrzymałam oddech i mocno się wsłuchiłam, usłyszałam ze środka jego oddech, miarowy niczym fale uderzające o brzeg.

Najpierw poszłam znów do komnaty z odłamkami i wypróbowałam nowy klucz w drzwiach z jałowcem chmurowym. Utknął, zanim zdążyłam wsunąć go do połowy. Nieodpowiedni zamek. Przemieszczałam się zatem po pałacu od drzwi do drzwi, mój oddech odbijał się echem od ścian, moje kroki szemrały po parkiecie niczym włosie miotły. Wzdrygnęłam się, mijając fresk z Alanga o zaciśniętych dłoniach

i zamkniętych oczach. Nocą korytarze wydawały się przestronniejsze, zupełnie jakby mrok je poszerzał.

Klucz wreszcie odnalazł swoje miejsce przy dziesiątej próbie, jaką przeprowadziłam na drzwiach naprzeciwko komnaty, w której ojciec mnie wypytywał i pijał herbatę. Gdy otworzyłam drzwi, ciemność za nimi okazała się nieprzenikniona. Ani odrobina księżycowego blasku nie muskała ścian albo podłogi. Musiałam po omacku odszukać lampę wiszącą przy framudze i potrzebowałam kilku prób, żeby ją zapalić.

Gdy pojawiło się światło, stłumiłam cichy okrzyk zaskoczenia. Sprzyjało mi szczęście. Znalazłam bibliotekę.

W pewien sposób przypominała pokój z odłamkami, zamiast szufladek wzdłuż ścian ustawiono jednak regały wypchane książkami. Pokój był też przytulniejszy, drewnianą podłogę zakrywały dywany, pomiędzy regałami umieszczono sofy, a wysoko na ścianach znajdowały się okna szczelnie zakryte okiennicami. Za dnia musiało tu być pięknie, gdy światło wlewało się z góry i lśniło na złotych literach widocznych na niektórych grzbietach. Nocą miałam wrażenie, jakbym wkraczała na ukrytą polanę.

Postawiłam lampę na bocznym stoliku i zaczęłam przeglądać książki. Sporo z nich poświęcono historii lub filozofii, ale przejechałam dłonią po grzbiecie z nieznanym pismem i wyciągnęłam tom z półki. Okazał się na tyle szeroki, że zajmował całą głębokość regału. Przekartkowałam stronicę.

W środku zapisano takie same symbole jak te, które ojciec rył na odłamkach kości. Poniżej nich dostrzegłam krótkie wyjaśnienia schludnym, drobnym pismem – nie należącym do ojca, tylko do jednego z jego przodków.

Większość stanowiła proste rozkazy – śledź, ogłoś alarm, atakuj – ale im dłużej czytałam, tym większej złożoności nabierały. Niektóre polecenia można było połączyć na tym samym odłamku z innymi, żeby utworzyć odmienną komendę. Atak mógł pozostać atakiem, ale bez zabijania. Widziałam też znaczniki identyfikacyjne. Znalazłam taki, który stosowano na ubraniach służby, wraz z uwagą, że podczas nanoszenia znacznika odłamek należy położyć na ubraniu, które ma identyfikować.

Wyciągnęłam kilka kolejnych tomów z symbolami na grzbietach. Niektóre z nich miały znacznie bardziej wyspecjalizowaną naturę – na przykład jedną z książek poświęcono w całości kwestii formułowania rozkazów dla konstruktów szpiegowskich. Kolejną dla biurokratycznych. Jeszcze inna mówiła o poleceniach ataku – symbolami przedstawiono opis każdego i kiedy powinno się go wykorzystywać.

Wirowało mi w głowie, a za oczyma zaczynałam czuć ból. Nie chodziło o słabe oświetlenie. Nauka tych symboli oraz ich zastosowania wydawała mi się poznawaniem zupełnie nowego języka. W praktyce był to właśnie nowy język wraz z symbolami oraz systemem ich organizacji.

Może Bayan wcale nie był głupi. Może miał po prostu zbyt wiele do nauki.

Przeglądałam zawartość półek, próbując zdecydować, czy uszłoby mi na sucho, gdybym zabrała którąś z książek, choćby na jeden dzień. Oczywiście nic nazbyt dużego. Zresztą Bayan wykroczył już poza początkowe umiejętności. Nie zauważyłby, podobnie zresztą jak ojciec, gdybym wypożyczyła sobie tom z podstawowymi rozkazami.

Wspięłam się na jedną z drabin przymocowanych do regałów i zabrałam za poszukiwanie, sunąc lampą wzdłuż tytułów.

Sprawiło mi to większą satysfakcję niż jakakolwiek medytacja. Jedyne odgłosy rozbrzmiewające w tym pokoju pochodziły ode mnie – szmer stóp na drewnie, oddech, wyraźny szelest przewracanych stron, skrzypienie starych opraw. W bibliotece

pachniało papierem i do tego delikatną wonią spalanego oleju. Trzymana przeze mnie lampa została wykonana w skomplikowany sposób. Płomień zasłonięto szkłem, żeby nie dopuścić do niepożądanego kontaktu z kartkami.

Na trzecim szczeblu drabiny, w pobliżu tylnej części komnaty, znalazłam to, czego szukałam.

Tego typu książkę można by dać dziecku uczącemu się liter. W środku namalowano duże symbole, a zapisane wyjaśnienia były zwięzłe i uzupełnione ilustracjami. Dzięki tym informacjom nie stworzę żadnych konstruktów umożliwiających obalenie cesarstwa, ale nawet najwyższe drzewo wyrasta z maleńkiego ziarenka. Wsunęłam tom pod pachę.

Wtedy poczułam w głębi siebie coś dziwnego – wrażenie, że już kiedyś tu byłam. Nie tylko w tej bibliotece, lecz tu, na trzecim szczeblu tej drabiny, w tej części pomieszczenia. Nie. Na czwartym szczeblu. Weszłam odrobinę wyżej i, nie wiedząc konkretnie dlaczego, wsunęłam dłoń w przestrzeń nad książkami. Sięgnęłam za widoczne tomy.

Powinłam być zaskoczona, gdy moje palce zacisnęły się na innej książce. Powinłam uznać, że ktoś ułożył tu zbyt wiele woluminów i jeden spadł na tył. A jednak wiedziałam, że ktoś umieścił go tu celowo, żeby go ukryć.

Nie było mi łatwo z lampą i wcześniejszym tomem pod pachą, ale zdołałam chwycić mocniej znalezione i je wyciągnąć. Była to mała książeczka w zielonej, pozbawionej napisów oprawie. Gdy ją otworzyłam, nie pachniała tak staro jak inne, a jej stronicie wciąż były białe, nie pożółkłe. U góry zapisano daty, niżej akapity. Pismo było swobodne i potoczyste. Patrząc na nie, miałam wrażenie, jakbym widziała na ulicy osobę, która w innym życiu mogłaby być moją siostrą. Znałam je w taki sposób, jak znałam kształt swojego nosa. Tak, wyglądało nieco bardziej elegancko, a słowa nie tłoczyły się na krawędzi strony, jak to czasami zdarzało się moim zapiskom – zupełnie jakbym nie potrafiła rozplanować, jak zakończyć każdą linijkę. Ale pisałam to ja.

Był to mój dziennik. Zatrasnęłam go, zanim straciłam równowagę na drabinie. Ten wolumin również musiałam zabrać ze sobą. Zeszłam pospiesznie, niemal gubiąc zdobycz po drodze. Lampa wisząca mi na ręku zakołysała się, ruchome cienie zatańczyły na podłodze. Zeskoczyłam z ostatniego szczebla, czując ulgę, że znowu jestem na dole.

Z tyłu dobiegł mnie odgłos drapania pazurów o drewno. Obróciłam się gwałtownie, czując, jak serce podchodzi mi do gardła.

Z półki, machając ogonem, obserwował mnie konstrukt szpiegowski.



11

Ranami

Wyspa Nephilanu

Ranami siedziała na bambusowym krześle, do którego uprzejmie podprowadzili ją porywacze. Złożyła dłonie na leżącej jej na kolanach księżce, którą przeczytała już trzykrotnie. Szkoda, że musiało do tego dojść. Nie chciała tego, wbrew pozorom.

Naprzeciwko niej siedział Gio, przywódca Garstki Bezkostnych, podpierając głowę dłonią. Siwe włosy ścinał blisko skóry, do tej samej długości jak szczecinę na podbródku. Wpatrywał się w nią zdrowym okiem, podczas gdy ona starała się nie patrzeć w drugie, zakryte bielmem.

– Jesteś pewna, że przyjdzie? – spytał.

– Przyjdzie – zapewniła Ranami. A przynajmniej taką miała nadzieję. Znów pokłóciła się z Phalue. Wyglądało na to, że ostatnio często im się to zdarzało. Pierwsze tygodnie ich zalotów spowijała złota mgiełka, wszystko wydawało się jaśniejsze i lepsze. Później jednak Phalue mówiła albo robiła coś, co przypominało Ranami o skali dzielących je różnic. Phalue mogła być uwielbiana dzięki wywodzącej się z gminu matce, ale mieszkała w pałacu. Jadła, gdy była głodna, spała, gdy była zmęczona, i nosiła proste stroje nie dlatego, że nic innego nie miała, tylko dlatego, że gardziła jedwabiami. Dysponowała bogactwem wyborów.

W przeciwieństwie do Ranami.

– Pokłóciłyśmy się – przyznała. – Ale ona zawsze wraca. – Temperament Phalue często sprawiał, że opuszczała dom Ranami w huraganie ciętych słów i zatraskiwanych drzwi. Ranami uwielbiała jej żarliwość, choć przez nią Phalue czasami wydawała się nieco niemądra. Bowiem zawsze wracała, czasami już po kilku minutach, ze słodkimi przeprosinami i pragnieniem, by zacząć od nowa.

Zatem gdy Ranami kontaktowała się z buntownikami, by zaplanować to fałszywe porwanie, była pewna, że Phalue przyjdzie do ruin Alanga, wpadnie tam jak tajfun jeszcze tej samej nocy. A jednak wszyscy musieli tu spać i poranna mgła pozostawiła kropelki rosy na ich rzęsach.

– Może to jest ten raz, kiedy nie wróci – uznał Gio. Podrapał się po szczecinie, a później położył dłonie na mieczu, który trzymał na kolanach. – Phalue zawsze porzucała kochanki jak pechowy rybak odrzuca zbyt małe ryby.

Ranami wiedziała, że nie jest małą rybą, przynajmniej nie dla Phalue. Wiedziała o tym równie dobrze jak o tym, co kryje się we wszystkich bocznych zaułkach miasta.

– To już trzy lata – powiedziała. – Jaki rybak trzyma tak długo rybę, której nie chce sobie zostawić?

Gio wzruszył ramionami, ustępując.

– Możliwe. Ale nie ma jej tu.

– Niech twoi ludzie utrzymają gotowość – rzekła Ranami. – Gdy przyjdzie, może rozwalić parę łbów w drodze do środka.

Nie było to idealne rozwiązanie, ale każda inna taktyka, której próbowała, była puszczana mimo uszu. Jak inaczej mogła skłonić Phalue, by posłuchała? Wyspa była podzielona, jej mieszkańcy mieli sprzeczne cele. Taką ranę mógł uleczyć jedynie gubernator. Ranami nie mogłaby tak po prostu dyktować Phalue wszelkich reform, które należy wdrożyć, ona sama musiała zrozumieć stojące za nimi rozumowanie.

Było to niełatwe zadanie, pomyślała ze smutkiem Ranami. Gdy odrzucała awanse Phalue, nie prosiła jej, żeby się zmieniła. Phalue sama to zrobiła bez żadnej pomocy Ranami. Podobnie jak wiele innych dzieci ulicy, Ranami od dawna z dala podziwiała gubernatorską córkę, śniła o tym, by zasłużyć sobie na jej łaski, żeby wygrzebać się z rynsztoka i trafić do pałacu.

Ale tak się składało, że sny miały sens wyłącznie wtedy, gdy się je śniło.

Coś zaszeleściło na zewnątrz. Ranami się wyprostowała.

– Myślę, że to...

Tyle zdążyła powiedzieć, zanim usłyszała z zewnątrz okrzyk, łupnięcie, zgrzyt stali o stal. Popatrzyła na Gio, który skinął głową.

Phalue przynajmniej wiedziała, jak zrobić wejście. Głupia, lekkomyślna Phalue, którą Ranami kochała wbrew wszelkiemu rozsądkowi. Ranami zerwała się z bambusowego krzesła i pobiegła do wyjścia. Ruiny były porośnięte mchem i pnączami, ale ich główne ściany wciąż stały. W okresie swojej świetności musiały stanowić wspaniały widok. Na ziemi zalegały odłamki gipsowych płaskorzeźb. Gdy tylko dotarła do zewnętrznych drzwi, ujrzała Phalue. Serce podeszło jej do gardła, a żołądek się ścisnął, zupełnie jakby właśnie zeskakiwała z urwiska do Bezkresnego Morza. Phalue stała nad nieprzytomnym buntownikiem ze wzburzonym wyrazem twarzy i szczękami tak zaciśniętymi, że, jak pomyślała Ranami, na pewno musiały ją boleć zęby. Jej obliczu brakowało łagodnego piękna, delikatnie wygiętych brwi czy pulchnych warg. Jej policzki wyglądały jak wyciosane z kolczastego koralu, nos zdawał

się ostry, niewygladzony. Czarne, grube brwi odznaczały się na czole niczym szramy. Jej piękno było pięknem rybołówów, węży morskich albo fali uderzającej o skały.

Dziwne, że Ranami zdołała w ogóle odrzucić jej awanse.

– Phalue! – zawołała.

Gdy ich spojrzenia się spotkały, Ranami przypomniała sobie, że przecież się pokłócili.

– Jestem bezpieczna – powiedziała. – Nikt mnie nie skrzywdził.

Phalue najwyraźniej nie pamiętała ich kłótni, ponieważ schowała miecz do pochwy jednym płynnym ruchem, podeszła dwa kroki bliżej i zagrzebała dłonie we włosach Ranami. Ich czoła zetknęły się i Ranami poczuła, jak palce Phalue drżą.

– Bałam się – wykrztusiła Phalue. – Myślałam... Powinnam była się domyślić, że ktoś zechce cię skrzywdzić. Czego chcą? Pieniędzy?

Phalue ją pocałowała, a w miękkości warg kochanki Ranami zapomniała, gdzie jest.

– To nieistotne – rzekła Phalue, gdy oderwały się od siebie. – Możemy już iść. Strażnicy są nieprzytomni.

Ranami wyjrzała zza jej pleców.

– Chyba ich nie skrzywdziłaś?

Phalue popatrzyła na nią dziwnie.

– Och, gdy się ockną, będą czuli się skrzywdzeni, ale jakie to ma znaczenie? Nigdy dotąd nikogo nie zabiłam. Nie zamierzam zaczynać teraz. – Roześmiała się drżąco. – Potrafisz sobie wyobrazić, co powiedziałby mój ojciec? Zabijanie nie wchodzi w zakres kompetencji gubernatorów czy coś w tym stylu. – Przesunęła wzrok nad skroń Ranami i zeszywniała.

Ranami obróciła się i ujrzała Gio.

Jasne. Powód, dla którego się tu znalazła.

– Phalue – odezwała się, dotykając jej dłoni, zanim ta zdążyła sięgnąć do miecza. Zbyt dobrze ją знаła. – Chciałabym, żebyś poznała Gio. Ma ci do powiedzenia parę rzeczy.

Phalue znów przesunęła wzrok na nią.

– Czy był przetrzymywany tutaj wraz z tobą?

Właśnie tej chwili się obawiała, właśnie dlatego nie traciła nadziei, że Phalue jednak nie przyjdzie.

– Nie do końca – odparła. – Przyszłam tu z własnej woli.

– Co...? – Phalue wyglądała na bardziej zaskoczoną niż rozzłoszczoną. Później przyjrzała się bliżej Gio, przebiegła wzrokiem po jego krótko przystrzyżonych włosach, uszkodzonym oku, mieczu u biodra. Spojrzała z niedowierzaniem na Ranami, a potem znów na mężczyznę. – Ranami, przecież to przywódca Bezkostnych. Mój ojciec chce go zabić. Cesarz chce go zabić. Wraz ze swoimi ludźmi stwarza niezliczone problemy dla cesarstwa. Wiedziałaś, że obalili gubernatora na Khalute? To mała wyspa, ale wcześniej czy później cesarz wyśle tam żołnierzy i konstrukty.

– Wiem – powiedziała Ranami, unosząc dłonie i próbując uśmierzyć gniew Phalue. – Niektórzy z buntowników są tu z bardzo konkretnego powodu, ale dowiedziałam się o ich obecności i skontaktowałam się z nimi. – Wymagało to sporo pracy. Nie słynęły z przyjazności czy otwarcia na obcych. Ranami przeczytała jednak Traktaty o równości podatkowej Caleena i cytaty z tej książki najwyraźniej zrobiły na Bezkostnych wystarczające wrażenie, by zgodzili się na kontakt. Zorganizowanie tego fałszywego porwania wymagało jeszcze dłuższego przekonywania. Z początku liczyli na

to, że Ranami wystąpi przeciwko Phalue i zacznie z nimi współpracować na rzecz podkopania władzy gubernatora. Ona jednak odmówiła. Musiał istnieć inny sposób, w ramach którego Phalue zostanie gubernatorką.

– Za jego głowę jest wyznaczona nagroda. – Phalue zmrzążyła oczy. – Powinam to zgłosić.

Kątem oka Ranami dostrzegła, że Gio się wyprostował, a jego dłoń przesunęła się bliżej miecza.

– Phalue – powiedziała łagodnym głosem. – Komu to zgłosisz?

Wyraz twarzy Phalue przeszedł z determinacji, przez dezorientację, do przestraszenia. Ranami znała jej myśli. Dzieliły się ze sobą swoimi światami, swoimi nadziejami i rozczarowaniami. Jediną osobą, której Phalue mogłaby donieść, był jej ojciec, który wykorzystałby pieniądze z nagrody, żeby urządzić kolejne wystawne przyjęcie albo postawić następną niepotrzebną dobudówkę do pałacu. Ściągnęła wargi.

– Mogłabym znaleźć konstrukt szpiegowski, który bym poinformowała. Pieniądze nie są tak istotne, jak bezpieczeństwo cesarstwa.

– Posłuchaj tylko tego, co on ma do powiedzenia. Proszę. – Ranami ujęła dłonie Phalue i przesunęła palcami po pokrywających je odciskach.

– Obie mogłybyśmy zawisnąć jedynie za to, że z nim rozmawiamy – rzekła Phalue, nie spuszczać wzroku z Gio. – Cokolwiek ma do powiedzenia, nie jest to warte twojego życia.

Ranami ścisnęła jej dłonie.

– Pamiętasz, co mi mówiłaś, gdy się kłóciliśmy? Że nie możesz zmienić tego, jak zostałaś wychowana i masz wrazenie, jakbym gardziła tobą za to, że nie urodziłaś się na ulicy. Wiem, ciężko pracowałaś. Nie proszę cię, żebyś zmieniła swą przeszłość. Proszę tylko o to, żebyś przemyślała przyszłość i wybory, jakie przed tobą stoją.

– Wybory, które nie stoją przed wszystkimi – wtrącił Gio. Znów się uspokoił, a jego głos nabrał posępnego, oratorskiego zabarwienia. – Nie będę ukrywał: potrzebujemy twojej pomocy. Orzechy caro uprawiane przez tutejszych rolników są w całości wysyłane na sprzedaż do serca cesarstwa, gdzie można za nie uzyskać najwyższe ceny. Sami rolnicy nie mogą pozwolić sobie na ich zakup. Zawarty w tych orzechach olej stanowi skuteczne lekarstwo na kaszel bagienny, a właśnie wesłiśmy w kolejną porę deszczową. Dzieci tych ludzi już zaczęły umierać.

Przynajmniej Phalue nie próbowała go natychmiast zabić ani nie odeszła w gniewie, a tylko wzruszyła ramionami i westchnęła.

– Mam środki na własne wydatki. Mogę kupić pewną ilość orzechów caro, żeby przekazać je rolnikom.

Był to uprzejmy gest i Phalue często takowe czyniła. Po części to właśnie dlatego Ranami ją kochała. Ale w ten sposób pomoc otrzyma tylko paru rolników, nie pozwoli to rozwiązać problemu. Phalue nigdy nie czuła tego drapania w głębi gardła albo bólów w ciele po długiej pracy, która nie mogła poprawić niczyjego statusu, nie patrzyła bezradnie na cierpienie bliskich.

Gio popatrzył jej prosto w oczy.

– To nie wystarczy. Chcę, żebyś pomogła nam wykraść część ładunku caro, by można je było przekazać potrzebującym.

Phalue prychnęła.

– Jesteś szalony.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

– Nigdy nie twierdziłem inaczej. Nie jestem piekarzem ani łataczem sieci. Żadne cesarstwo nie trwa wiecznie, a sądzę, że nasze już od dawna wydaje się przejrzałe. – Zaczął odliczać na palcach. – Cesarz jest stary, a niewiele osób widziało tę jego córkę, przynajmniej odkąd była dzieckiem. Odizolował się i krąży pogłoski, że eksperymentuje ze zgromadzonymi przez siebie odłamkami kości. Mówi, że musimy wciąż przekazywać odłamki, żeby zasilały konstrukty, ponieważ Alanga mogą pewnego dnia wrócić. Minęły już setki lat. Gdyby nie ruiny i nieliczne artefakty, sam wahałbym się wierzyć, czy w ogóle kiedyś istnieli. Nie wrócą. Obowiązek, który wziął na siebie cesarz, czyli chronienie nas jego magią przed ich magią, zaczyna coraz bardziej wyglądać tak, jakbyśmy zagonili starego psa do strzeżenia pary nienoszonych pantofli. A same przesłanki funkcjonowania cesarstwa? Fundamenty, na których je zbudowano? Już nie istnieją. Tymczasem całość towarów wciąż trafia do serca kraju, gdzie zostają z nich wybrane najlepsze kąski, zanim do nas wrócą ochłapy. Mamy już dość babrania się w ochłapach, Phalue. Chcemy zbudować coś nowego. Pomyśl tylko. Powstrzymanie Festiwalu Trybutu. Sprawiedliwszy podział bogactwa. Rada złożona z przedstawicieli każdej wyspy. Możesz w tym uczestniczyć, jeśli zechcesz. Ludzie pokochaliby cię jeszcze bardziej niż dotąd.

Nie poruszało jej to. Ranami próbowała na niej podobnych przemów, a Phalue powtarzała jedynie argumenty ojca. W cesarstwie każdy ma swoją pracę do wykonania. Ci, którzy ciężko pracują, są nagradzani. Podawała przykłady osób, które wydzwignęły się z ubóstwa. I owszem, niektórym się to udało, podczas gdy reszta żyła ochłapami i nadzieją. To jakby wyjaśniać kałamarnicy olbrzymiej, czym jest drzewo.

– Chcecie pomóc rolnikom? Pomóżcie im wyrabiać normy.

– Nie zawsze mogą to zrobić – odparł Gio.

– Niektórzy wyrabiają – rzekła Phalue. – Jeśli oni mogą, to dlaczego nie reszta?

Ranami zacisnęła zęby.

– Uzależniasz życie dzieci od wyrabiania norm?

Phalue ścisnęła palcami nasadę nosa.

– Wiesz przecież, że nie o to chodzi. – Popatrzyła na Ranami. – Wystraszyłaś mnie niemal na śmierć. Wiesz, jak to jest wejść do domu ukochanej, zobaczyć, że go splądrowano, a ona sama zniknęła? Nie chcę już dalej przechodzić przez to wszystko, przez kłótnie, rozstania, a później powroty do ciebie. Musimy znaleźć inny sposób, żeby to działało.

Och, na głębiny Bezkresnego Morza... Czy ona znowu się oświadczała? Tu, przed przywódcą Garstki Bezkostnych i dwoma jej członkami leżącymi bez ducha na ziemi? Byłyby to najmniej romantyczne oświadczyzny Phalue ze wszystkich dotychczasowych. Ranami już kilkakrotnie mówiła jej „nie”. To nie tak, że nie chciała jej poślubić. Chciała, i to bardziej niż czegokolwiek. Ale chciała tego w świecie snów, gdzie istniała tylko miłość i one dwie, a nie tutaj, gdzie dwa światy boleśnie ocierały się o siebie. Nie miała ochoty zostać żoną gubernatorki. Nie potrafiłaby mieszkać w pałacu i wieść takiego życia ze świadomością, że wychowała się w rynsztoku. Zawsze bolało ją serce, gdy na ulicy widziała bezdomne dziecko. Nieważne, ile razy by to mówiła, nie wiedziała do końca, jak wyjaśnić Phalue, co tak naprawdę dla niej znaczyła.

– Phalue... – zaczęła, lecz urwała, nie wiedząc, co jeszcze dodać. Czuła tak wiele rzeczy, których nie umiała ująć w słowa. Pewnego dnia Phalue znuży się pytaniem. Pewnego dnia postanowi żyć dalej. Gdyby tylko przestała się oświadczać...

Ale tym razem Phalue nie zamierzała tego robić.

– Chcę, żebyś wprowadziła się do mnie do pałacu. Minęło już dość czasu. Szanuję twoje pragnienia i odwiedzam cię w mieście, ale nie musisz mieszkać w ruderze. I czasami to, czego ja chcę, też powinno się liczyć.

Czy była to jakaś dziwna próba osiągnięcia kompromisu?

– Czy chcesz przez to powiedzieć, że im pomożesz? – zapytała Ranami.

Phalue pokręciła głową i na chwilę serce podeszło Ranami do gardła. Później jednak gubernatorska córka powoli odetchnęła.

– Rozmawiamy przecież o Garstce Bezkostnych. Uważasz, że to jakaś zabawa? Że możesz ich poprosić, by zostali i pomogli rolnikom, a potem ot tak odejdą? Wiem, że uważasz mnie za naiwną, ale aż tak naiwna nie jestem.

Gio tylko splótł ramiona na piersi i się nie odzywał.

– Wiem, że cię to dręczy – ciągnęła Phalue. – Ale sytuacja wygląda tak nie bez powodu. Rolnicy otrzymują ziemię od mojego ojca i są mu winni lojalność. Tak, moim zdaniem sposób, w jaki wydaje pieniądze, jest głupi, ale to do niego należy prawo, żeby wysyłać orzechy caro na bogatsze wyspy, gdzie może uzyskać za nie wyższe ceny. Wciąż płaci za nie uczciwie rolnikom. Utrzymuje porządek i pokój, a to wymaga funduszy.

Ranami zacisnęła zęby. Znowu te stare argumenty. Mogły tak to ciągnąć godzinami. Skoro nawet przywódca Bezkostnych nie zdołał wpłynąć na Phalue, to na co jeszcze mogła liczyć?

– Nie wiem, jak skłonić cię, byś zrozumiała – powiedziała. Miała wrażenie, że jej oczy stały się gorące. Ku swemu zażenowaniu poczuła łyżę na policzkach. Zrobiła wszystko, co w jej mocy, by zasypać dzielącą je przepaść. Miała wrażenie, że to już koniec, i nie wiedziała, jak to znieść.

Phalue ujęła jej dłoń.

– Zadałaś sobie wiele trudu i naraziłaś nas obie na niebezpieczeństwo. Ranami, dla ciebie byłabym gotowa przenosić góry. Z pewnością jest to najdziwniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek zrobiłaś, do tego najbardziej idiotyczna, ale skoro to tyle dla ciebie znaczy, to w porządku. To nie tak, że mój ojciec będzie tęsknić za odrobiną dodatkowych pieniędzy. Ale tylko ten jeden raz. – Kciukami starła Ranami łyżę z policzków, a później pocałowała pozostawione przez nie ślady. – Ich dzieci nie będą już umierać na kaszel bagienny, nie w tej porze deszczowej. A ty... – Phalue skierowała uwagę na Gio. – Wysyłam wiadomość do cesarza, że tu jesteś. Zanim ją otrzyma, skończymy już sprawę i później powinniście zniknąć. Ta wyspa nie dojrzała do waszego buntu. Radzimy sobie.

Gio zapewne przytaknął, ponieważ Phalue objęła Ranami w pasie.

– I proszę. Czy możemy już się nie kłócić? – spytała.

Za jej plecami jeden z ogłuszonych buntowników poruszył się i jęknął, przyciskając dłoń do głowy.

– Dziękuję – rzekła Ranami i nie była pewna, czy mówi do Phalue, czy do Gio.



12 Jovis

Gdzieś na Bezkresnym Morzu

Miałem pecha. Niedługo po tym, jak powiedziałem Mephiemu, żeby przestał dmuchać w żagle, wiatr zupełnie ucichł. Bujaliśmy się na falach, łagodnie jak w dziecięcej kołysce, a słońce rozgrzewało do gorąca deski pokładu pod moimi stopami. Mephi leżał w cieniu dziobu, zwinęty na kocu, który mu rozłożyłem. Co jakiś czas przewracał się z boku na bok, mrużąc przez sen. Kiedy kładłem mu dłoń na grzbiecie, uspokajał się.

Przeglądałem mapy nawigacyjne i obserwowałem go, obmacując jednocześnie obolałe żebra. Nie miałem najmniejszego pojęcia, jakim był stworzeniem. Nikt nie znał tak do końca głębin Bezkresnego Morza ani żyjących w nim istot. Wyspy miały krótki, płytki szelf, który następnie opadał pionowo w otchłań. Wszystkie dryfowały po morzu, więc każda z nich musiała mieć gdzieś dno. Wraz z bratem często przechwalaliśmy się, że zanurkujemy na tyle głęboko, by wymacać, gdzie wyspa na nowo zaczyna się zwężać. Wszystkie dzieci tak robiły.

Mephi bardzo przypominał z wyglądu kilka zwierząt. Był niemal jak kotek. Niemal jak wydra. Niemal jak małpka dzięki zręcznym łapkoms o palcach połączonych

bloną. Jak się zmieni, gdy na jego głowie wyrosną rogi? Będzie wyglądał niemal jak antylopa? No i co za stwór potrafił do tego wytwarzać wiatr i mówić?

Potarłem czoło i spróbowałem nadać choć odrobinę porządku rozbieganym myślom. Wiedziałem tyle: zrezygnowałem z okazji, by dowiedzieć się czegoś więcej o zniknięciu Emahli, żeby temu stworzeniu nie stała się krzywda.

Serce ciągnęło mnie w dwóch różnych kierunkach. Chciałem zatroszczyć się o Mephiego. Znów wymamrotał coś przez sen i poczułem, jak moje czoło się wygładza, choć nie zdawałem sobie sprawy, że je marszczyłem. Nie, to było kłamstwo, które sobie powtarzałem. Już się o niego troszczyłem. Ale Emahla...

Gdy się spotkaliśmy, byliśmy jeszcze dziećmi tak małymi, że mój brat Onyu wciąż był z nami, zanim Festiwal Trybutu odebrał mu życie. Wykopywałem małże na plaży blisko matki, która podwiązała sobie spódnicę na udach.

Szkoda, że nie pamiętam pierwszych słów, jakie wypowiedziała do mnie Emahla. Szkoda, że nie dysponuję wspaniałszą opowieścią, w której ujrzałem ją i oniemiałem albo w której wiedziałem, że jest wyjątkowa. Przyszła razem ze swoim ojcem, który niedaleko od brzegu łowił ryby ze słupa wbitego w dno, i obserwowała mnie jakiś czas. Przygotowałem się na typowe komentarze: „Jesteś stąd?”, „Mówisz po cesaryjsku?”, „Kim jesteś?”. Ale Emahla znalazła tylko patyk i zaczęła kopać wraz ze mną. „Założę się, że znajduję więcej małży niż ty”, powiedziała. Od tamtej chwili się przyjaźniliśmy. Była dla mnie po prostu dziewczyną z mnóstwem czarnych, gęstych włosów, chudymi kończynami i palcami u dłoni oraz stóp, które wiecznie wydawały się lepkie. Czasami nie mogłem się doczekać, aż ją zobaczę. Czasami nienawidziłem jej z całą pasją, do jakiej zdolne jest tylko dziecko. A po śmierci Onyu stała się moją najlepszą przyjaciółką.

Miałem nadzieję, że wiedziała, że jej szukam.

Coś stuknęło w burtę łodzi. Wyjrzałem i dostrzegłem kilka kawałków drewna. Choć były wyblakłe, wyglądały jak połamane deski, a nie jak dryfujące gałęzie. Albo stanowiły szczątki po katastrofie statku, albo przypłynęły z Jeleniej Głowy. Znów zaczęła wypełniać mnie groza, gdy pomyślałem o wszystkich tych, którzy zostali na wyspie, wciągnięci do podwodnego grobu tam, gdzie powinien znajdować się suchy ląd. Otoczyłem palcami prawy nadgarstek i poczułem pod opuszkami szorstkość tkaniny, którą go obwiązałem. Większość ciał nie będzie miała żadnych tatuży – jeśli w ogóle uda się jakieś znaleźć.

Ponownie skupiłem się na mapach. Z końcem pory suchej wyspy składające się na Małpi Ogon skupiały się bliżej siebie i przemieszczały na północny zachód. Dokonałem kilku szybkich obliczeń, żeby odnaleźć położenie następnej wyspy, po czym poprawiłem nasz kurs.

Wieczorem wiatr wreszcie się zerwał, a Mephi obudził. Zaćwierkał ze swojego miejsca na kocu, ale nie wstawał, więc zacząłem karmić go kawałkami ryby, którą wcześniej złapałem. Gdy jadł, łaskotał mnie wąsami w palce. Oblizwał wargi, błyskając spiczastymi białymi ząbkami, i pokiwał głową. Machinalnie pogładziłem go po czole.

– Moja matka powiedziałaby ci, żebyś jadł cicho – rzekłem. – Powiedziałaby, że ludzie aż na Cesarskiej słyszą, jak mlaszczesz.

Czekałem, wstrzymując oddech, w nadziei, że znowu się odezwie. Mephi podniósł na mnie wzrok.

– Nie... dobre? – Jego głos skrzypiał jak zardzewiały zawias.

Roześmiałem się. Zatem może jednak był jak papuga.

– Niedobre – potwierdziłem. – Zupełnie niedobre.

Chłodnymi łapkami wziął ode mnie następny kawałek ryby i jadł go wykwintnie, jakby był jakimś gubernatorskim synem.

– Rozumiesz, co mówię? – zapytałem, spoglądając mu w czarne oczy.

Mephi odpowiadał jedynie spojrzaniem, aż poczułem się głupio, że rozmawiam ze zwierzęciem. Gdy się nad tym zastanowiłem, nie mogłem uwierzyć, że wybrałem to coś zamiast łodzi. Zaharowywałem się do otartych palców, okradłem Ioph Carn, ale gdy tylko ten mały stworek wydawał się cierpieć, wszystko to odrzuciłem.

Wciąż miałem czas. Gdybym zatrzymał się na następnej wyspie i sprzedał melony, mógłbym wykorzystać zyski, żeby kupić kolejne towary i znowu upłynąć je z narzutem. Zaoszczędziłbym, żeby nabyć więcej bystrokamienia. Znalazłbym znowu łódź o niebieskich żaglach.

Tej nocy, gdy spałem, Mephi wślizgnął się pod koc, żeby ułożyć się u mego boku. Poczułem, jak wyciąga się przy mnie, a jego serduszko bębni przy moich żebrach. Było to dziwne, skoro całkiem niedawno wypuściłem go do oceanu, polecając, by znalazł swoich pobratymców. Przesunąłem się, mając nadzieję, że nie przygniotę go niechcący we śnie.

– Nie licz na to każdej nocy – mruknąłem. – Teraz ci pozwalam, bo nie czujesz się dobrze.

Westchnął tylko i złożył mi głowę na ramieniu.

Obudziłem się, czując w uchu chłodny, wąsaty nos.

Dopiero gdy zrzuciłem z siebie koc i odepchnąłem zwierzątko, zauważyłem, że nie czuję już bólu po pobiciu przez Ioph Carn. Zamarłem. Przeciągnąłem się, oczekując ostrego ukłucia w żebrach. Nic. Wtedy skopałem koc do końca i uniosłem koszulę, by przyjrzeć się siniakom. Och, wciąż tam były. Na próbę nacisnąłem na jeden z nich, na wszelki wypadek. Zabolało. Ale na pewno nie wyglądały tak paskudnie, jak poprzedniego dnia.

Obok mnie rozbrzmiał plusk.

– Mephi! – zawołałem, zanim przypomniałem sobie, że przecież umie pływać. Oddech uwiązał mi w gardle, gdy umysł podsuwał mi wizje wszystkich bestii, jakie widziałem za przemytniczych lat: rekinów, kałamarnic olbrzymich, węży morskich czy wielorybów zębatach. Wszystkie one uznałyby Mephiego za przepyszny kąsek. Zanim jednak zdążyłem wychylić się za burtę, usłyszałem jego świergot.

Płynął równo z łodzią, rozcinając wodę tak, jakby się w niej urodził, i wydawał z siebie ciche odgłosy zadowolenia, gdy nurkował i obracał się na grzbiet.

– Nie, Mephi. Niedobre! – powiedziałem.

Choć wcześniej wydawał się mnie rozumieć, teraz miałem wrażenie, że naprawdę rozmawiam z kotem. Przejechał łapkami po wąsach, po czym znów się zanurzył, głęboko, poza moje pole widzenia. Wstrzymałem oddech, czując, jak w uszach dudni mi puls. Część mnie obawiała się, że coś go pożre. Inna część zastanawiała się, czy może zauważył swoich pobratymców albo uznał, że już dość daleko zawędrowaliśmy razem. Może tak byłoby najlepiej. Nie byłem nawet pewien, czy powinien już jeść ryby, czy też jeszcze dostawać mleko od matki.

Jego głowa pojawiła się znów koło dziobu. W pysku trzymał rybę niemal tak dużą jak on sam.

Z ulgą wysunąłem do niego podbierak, żeby pomóc mu wrócić na pokład. Złożyłem jego przemoknięte ciało na deskach, a on zostawił mi rybę u stóp.

– Nie rób tak więcej – skarciłem go. – Wciąż jesteś za mały. – Jak duży w ogóle urośnie? Popatrzył na mnie i zaćwierkał.

Spojrzałem na rybę, a później na niego.

– Możesz ją zjeść. – Może nie zrozumiał moich słów, ale dostatecznie pojął ich znaczenie. Przynajmniej doszedł do siebie.

Tego popołudnia dotarliśmy do następnej wyspy. Zacumowałem łódź i wystawiłem skrzynki z melonami na pokład, ostrożnie zerkając na konstrukt na przystani. Miał jastrzębią głowę na małym ciełe o pazurzystych stopach małego niedźwiedzia. Chciałbym móc powiedzieć, że wygląda groteskowo, ale cesarz wykonał dobrą robotę.

Ja jednak wykonywałem lepszą, jeśli trzeba było zatriumfować nad nimi sprytem.

Konstrukty nie były ludźmi, nawet jeśli niektóre z nich miały ludzkie części ciała. Napędzały je odłamki ukryte w ich wnętrzu, a cel wyznaczały im zapisane na nich rozkazy. W zależności jednak od tego, jak ściśle sformułowano te polecenia, można było je omijać. I choć ten konstrukt wykonano z dbałością, był jedynie pracownikiem portowym, a zatem niskopoziomowym. Czyli mniej rozkazów, więcej luk.

A przez luki potrafiłem przepływać równie sprawnie, jak przez szczeliny pomiędzy skałami.

Gdy tylko konstrukt zorientował się, że cumuję łódź, chwiejnym krokiem podszedł do mnie.

– Proszę podać rodzaj towaru – oznajmił głosem brzmiącym jak owady brzęczące wokół lampy.

– Jestem żołnierzem cesarstwa. Odsuń się. – Żałowałem, że nie zostawiłem sobie kurtki, która dodałaby mi wiarygodności, ale już wcześniej i bez niej oszukiwałem te stworzenia.

Konstrukt przekrzywił głowę na bok, przyglądając mi się jak drapieznik zwierzynie.

– Nie jesteś – rzekł.

– Jestem, a ty masz polecenie podporządkować się ludziom cesarza. – Popatrzyłem na swoje ubranie. – Och, chodzi o brak munduru? – Westchnąłem ciężko. – Obawiam się, że go zgubiłem.

Pochylił głowę i spojrzał na mój podbródek, jakby pod innym kątem mógł dostrzec coś więcej.

– Zgubiłeś go?

– Podczas katastrofy statku.

– Nie ma żadnych doniesień o niedawnych katastrofach cesarskich jednostek.

– Ale wiesz chyba, co się wydarzyło na Jeleniej Głowie? – zapytałem. – Pozwól mi zgłosić to jako pierwszy. Byliśmy tam, żeby zabezpieczać Festiwal Trybutu, ale pochwyciły nas prądy wywołane przez tonącą wyspę. – Najlepiej było w jak największym stopniu przyprawić kłamstwa prawdą. – Zdołałem odplłynąć na bezpieczną odległość, ale musiałem zrzucić z siebie wszystko oprócz bielizny. Ocalałem jako jedyny.

Pióra na szyi stwora nastroszyły się, zanim pokręcił głową i znów je wygładził.

– Twoja cesarska odznaka...

– Ja również zgubiłem. Ale jestem żołnierzem, a ty musisz słuchać ludzi cesarza. Odsuń się na bok i pozwól mi przejść.

Niemal widziałem zębaki obracające się w jego głowie i starałem się nie pocić. Mephi został na łodzi i na szczęście zachowywał się bezgłośnie. Zetknąłem się już z paroma ulepszonymi konstrukcjami, które otrzymały polecenie, żeby nie słuchać

nikogo bez cesarskiej odznaki. To jednak była mała wyspa o niższym priorytecie. Do tego cesarz był tylko jeden. Miałem nadzieję, że trafiłem na starszy, pierwotny model.

Nie naciskał na mnie w kwestii odznaki. Dreptał w miejscu, stukając pazurami o drewno pomostu i kręcąc młynka kciukami.

Nie czekałem na dalsze pytania. Sięgnąłem do łodzi, chwyciłem skrzynki z melonami i minąłem konstrukt. Gdy obejrzałem się za siebie, zobaczyłem, że Mephi truchta za mną.

– Nie powinienes tu być – syknąłem do niego. – Musisz zostać na pokładzie.

I znów wyglądał, jakby opuściła go zdolność rozumienia moich słów. Zamiast zawrócić, skoczył na mnie i tylnymi łapkami starał się zahaczyć o mój pas. Zanim zdążyłem go z siebie strącić, ułożył mi się już na ramionach i owinął długie ciało wokół szyi. Spodziewałem się, że wyda mi się zbyt ciepły, jak szale noszone przez lud mojego ojca, ale futerko dotykające mojej skóry było chłodne jak mgła.

– W porządku – mruknąłem do stworka zawiniętego przy moich uszach. – Tylko nie wchodź mi w drogę ani nie bądź namolny. – Po chwili zastanowienia dodałem: – I nic nie mów. – Byłem tu po to, żeby sprzedać melony, a nie snuć kłamstwa, jakim to niby zwierzęciem jest Mephi.

Musiałem zapytać kilkoro przyjaznych nieznanym o drogę, zanim znalazłem targowisko. Było większe niż na poprzedniej wyspie, choć wciąż małe. Nie wciśnięto go w dwie wąskie uliczki, tylko umieszczono na pustym placu w centrum miasteczka.

Dokonałem w głowie pewnych obliczeń, próbując nie myśleć o fortunie kryjącej się w bystrokamieniu, który wyrzuciłem za burtę i który zapewne wciąż zapadał się w głębiny Bezkresnego Morza. Gdybym zdołał sprzedać z zyskiem melony, mógłbym kupić odrobinę nielegalnego bystrokamienia. Łódź o niebieskich żaglach była niewielka i nie będzie mierzyć się z przestworem morza. Raczej skakać z wyspy na wyspę, a w pobliżu leżała tylko jedna. Znajdowałem się na Małpim Ogonie – rozciągniętym archipelagu. Dalej na wschód leżała Sieć Hirony i stateczek o niebieskich żaglach mógł się zagubić w tamtejszym skupisku wysepek. Nie zostało mi wiele żywności, ale mogłem łowić ryby z łodzi, przynajmniej tyle, by przeżyć. Poszukiwana jednostka będzie musiała robić sobie przystanki na uzupełnienie zapasów i odpoczynek, więc jeśli nic mnie nie opóźni, wciąż mogłem doścignąć ją na Ogonie, jeszcze przed Siecią.

Najpierw kupiłem kapelusz i nasadziłem go sobie porządnie na głowę, tak żeby słomiane rondo ocieniało mi oczy. Później zacząłem rozglądać się za potencjalnym kupcem.

Gdy postawiłem skrzynki na stoliku jakiegoś rolnika, jedynie popatrzył na mnie ostrożnym wzrokiem.

– Melony z Jeleniej Głowy – powiedziałem. – Wyspy już nie ma, jak niewątpliwie słyszałeś, a wchodzimy w porę deszczową. Miną lata, zanim te melony znów urosną.

Szczupły mężczyzna zerknął na mnie z ukosa, wytarł sobie dłonie o spodnie i wstał.

– Próba zarobku na nieszczęściu innych przynosi pecha – stwierdził, wskazał mi jednak gestem, żebym otworzył skrzynki.

Gdy pozwolił, wziąłem jego łom i uniosłem wieko pierwszego pudła. Rolnik zajrzał do środka, a potem wzruszył ramionami. Och, był równie umiejętnym kłamcą jak ja.

– Też uprawiam je na swojej ziemi – rzekł, ale obydwaj wiedzieliśmy, że nie ma to znaczenia. Pora sucha się skończyła, zatem pewnie dostawał już dobrą cenę za owoce.

– A ja mogę się założyć, że jeśli zaczekasz jeszcze dziesięć dni, dostaniesz za nie więcej. Skoro je uprawiasz, to wiesz, że można je przechowywać cały rok. Czy ktoś na początku pory deszczowej mógłby prosić o cokolwiek więcej? Ludziom w końcu znudzą się zieleńsze owoce o miększej skórce, a wtedy słodki melon przypomni im o cieplejszych, suchszych dniach. Podaż będzie niższa niż w minionych latach. Na Jeleniej Głowie były spore uprawy.

– Są wadliwe – oznajmił, wskazując niemal niedostrzegalną plamkę na jednym z melonów.

Mephi wydał z siebie cichy pisk protestu. Podniosłem rękę, żeby podrapać go po głowie z nadzieją, że się uciszy.

– To nie zmienia smaku – odparłem.

– Ci, którzy są gotowi płacić wysoką cenę, wolą, by owoce były równie piękne jak ich klejnoty.

I tak to szło, raz on, raz ja, aż obydwaj oznajmiliśmy, że nie zdołamy dojść do porozumienia – a później niechętnie przyznał, że może jednak się dogadamy.

Srebrne monety wypełniły moją sakiewkę z rozkosznym brzękiem. Teraz czekało mnie jednak sporo wysiłku, jeśli chciałem znaleźć kogoś, kto sprzeda mi po kryjomu bystrokamień.

– Jovis...?

Nie rozpoznałem głosu. Był chropawy i niski, nie należał do nikogo, kogo bym znał, tego byłem pewien. Nie unosiłem głowy i garbiłem się tak, że moje policzki chowały się w sierści Mephiego. Kapelusz zakrywał mi niemal całą górną połowę twarzy. Czy na tak małej wyspie również porozwieszano plakaty?

– Jovis! – powtórzył głos z większym naciskiem.

Gdy miałem już nadzieję, że na rynku trafił się inny człowiek imieniem Jovis, czyjaś dłoń chwyciła mnie za rękę i na tyle odsunęła tkaninę zasłaniającą mi tatuaż, że ukazały się królicze uszy.

– Wiedziałem, że cię tu znajdę.



13

Lin

Wyspa Cesarska

Wpatrywałam się w konstrukt szpiegowski na półce; zaschło mi w ustach, serce trzepotało w klatce piersiowej niczym ptak w klatce. Musiał wejść przez jedno z położonych wysoko okien. Wysłano go, żeby skradał się nocą po pałacu i sprawdzał, czy wszystko jest w porządku. Znalazł to, czego szukał.

Za chwilę pospiesz się z powrotem na dziedziniec, wślizgnie się pod głąz na jego środku, dotrze do legowiska, w którym czaiła się Konstrukt Szpiegów i poinformuje ją, że zostałam przyłapana tam, gdzie nie powinnam przebywać. Ojciec mnie wydziedziczy, a cesarstwo rozpadnie się po jego śmierci. Stanie się wybrakowane.

Tak samo jak ja.

Nie. Zacisnęłam zęby. Nie mogłam pozwolić, by tak się to skończyło.

Poruszyliśmy się jednocześnie – konstrukt w stronę okna, a ja do konstruktu. Osiągnął koniec półki w tym samym momencie, w którym wyciągnęłam rękę.

Przypuszczałam, że zacisnę palce na pustce, ale byłam szybsza niż kiedykolwiek byli Bayan lub ojciec. Złapałam stworzenie za kręty ogon. Zaskrzeczało straszliwym, przenikliwym wrzaskiem, który odbił się echem od ścian i regałów. Zadzwońło mi w uszach. Na wszystkie wyspy i Bezkresne Morze, przecież obudzi

nawet służbę śpiącą w oddzielnym budynku! Przyciągnęłam istotę mocno do piersi i otoczyłam ją palcami. Jej zęby zacisnęły mi się na dłoni.

Zapieкло. Robiłam, co w mojej mocy, żeby nie płakać. Wyszarpnęłam dłoń i owinełam konstrukt w dolną część tuniki. Wrzeszczał na mnie, dopóki nie zasłoniłam mu też głowy. Wciąż mógł oddychać przez tkaninę. Gdybym go zabiła, gdzie ukryłabym ciało? Mogłabym wynieść je poza tereny pałacowe i gdzieś zostawić albo zakopać.

Ale odłamki nie pobierałyby już życia od swoich byłych właścicieli. Nie musiałyby już tego życia wysysać, żeby napędzać konstrukt. A mój ojciec zawsze chyba się orientował, gdy któraś z jego kreacji umierała.

Powstałoby zbyt wiele pytań. Musiałam na razie zachować konstrukt przy życiu.

Przez głowę przebiegały mi różne scenariusze. Gdybym zatrzymała go w pałacu, zostałabym zdemaskowana. Ojciec nie zachodził często do mojego pokoju, ale zdarzało mu się to, zaś Bayanowi jeszcze częściej – gdy chciał mnie dokądś zaprowadzić albo zdenerwować. Poza tym w budynku przebywały też inne konstrukty szpiegowskie, wiecznie zachowujące czujność.

Do głowy przychodziła mi tylko jedna kryjówka.

Zanim dotarłam do warsztatu kowala, słońce wylańało się już zza horyzontu. Wcześniej posprzątałam bałagan w bibliotece i zostawiłam dziennik w swoim pokoju. Wzięłam inną tunikę, żeby owinąć nią konstrukt. Czasu miałam na styk. Ojciec i Bayan zazwyczaj siedzieli do głębokiej nocy i wstawali późnym rankiem, ale nie mogłabym powiedzieć, że zdarzało się tak codziennie.

Krzężanina budzącego się miasta tak bardzo różniła się od ciszy panującej w obrębie pałacowych murów. Drzwi otwierały się i zamykały, ludzie mijali mnie w pośpiechu z koszami pod pachami lub workami zarzuconymi na ramiona. Nikt na mnie nie patrzył – na dziewczynę niosącą zawiniątko. Wszyscy koncentrowali się na własnych sprawach. Światło wlewało się złotym blaskiem na ulice, odpędzając niebieskawe cienie pozostałe po wcześniejszym mroku. Nocni rybacy szli od strony przystani otoczeni morską wonią świeżych ryb i kałamarnic. Woda wychlaprywała im się z wiader na bruk. Musiałam kilkakrotnie omijać kałuże, zanim dotarłam do celu. W pijalni obok panowała cisza, jej klienci już dawno zniknęli. Warsztat kowalski był zamknięty, ale słyszałam odgłos młoteczka uderzającego w metal.

Zastukałam w drzwi tak mocno, że aż rozboleły mnie knykcie.

Numeen otworzył i zmarszczył brwi, gdy mnie ujrzał.

– Nie powinno cię tu być. Przecież zagładałaś poprzedniej nocy.

– Wiem – odparłam i wślizgnęłam się obok niego do środka, zanim zdążył mnie powstrzymać. – Przyszłam poprosić o przysługę.

– Nie mogę wyświadczać przysług – odparł, ale zamknął drzwi. Oblałam się potem, gdy tylko się zatrzasnęły. Numeen rozpalil niewielki ogień i pomimo komina oraz otwartego okna w warsztacie było jak w piecu.

– Przysługa za przysługę.

– Odszukałaś mój odłamek kości?

– Ja... nie. – I znów ukłucie poczucia winy. Otrząsnęłam się z niego. Gdy tylko będę miała okazję, znajdę sposób, żeby odzyskać jego odłamek. Na razie musiałam martwić się istotniejszymi rzeczami. Sięgnęłam do kieszeni szarfy i wyciągnęłam bystrokamię, który podebrałam z zapasów ojca.

Oczy Numeena powiększyły się na ten widok. Handel tą substancją był w cesarstwie ściśle regulowany. Nikomu nie wolno było jej kupować ani sprzedawać

bez wiedzy i zgody cesarza. Słyszałam jednak raporty Konstruktu Handlu. Ioph Carn kradli i sprzedawali bystrokamię, podobnie jak kilka innych grup. Jeśli ktoś zdołał dostać go w ręce, zawsze istniał sposób, żeby sprzedać towar.

– Czego ode mnie oczekujesz?

Zawiniątko pod moją pachą drgnęło, jakby wiedziało, że o nim mówimy.

– Złapałam konstrukta szpiegowski – powiedziałam. – Nie mogę go zabić, bo mój ojciec by się zorientował. Potrzebuję miejsca, w którym mogę go przechować, dopóki to wszystko się nie skończy. Mógłbyś zrobić dla niego klatkę? I przechować go gdzieś w swoim warsztacie?

– Jeśli cesarz się dowie, będę martwy. Cała moja rodzina również.

– Zatem pomyśl o swojej rodzinie i o tym, co mógłbyś dla niej zrobić, gdybyś sprzedał ten bystrokamię. Nie trzeba go trzymać wiecznie, poza tym będę co jakiś czas wracać, by sprawdzić, co z nim.

– I przynosić kolejne klucze – rzucił zrezygnowanym tonem. Tak wyglądała prawda i patrzyłam, jak na jego twarzy powoli maluje się zrozumienie. Nie mógł teraz tak po prostu zrezygnować. Wraz z tym pierwszym kluczem związał ze mną swój los.

Podalam mu zawiniątko ze szpiegiem. Wił się, ale w rękach kowala zamarł. Obserwowałam oblicze mężczyzny, nie wiedząc, co powiedzieć. Mój ojciec mógłby wyliczyć wszystko, co Numeen zyskiwał na tym układzie. Mógłby mu po prostu podziękować. Zastanawiałam się, jak dobry w odczytywaniu twarzy był ojciec albo czy po prostu go to nie obchodziło, bo w Numeenie zauważałam coś więcej niż tylko zrezygnowanie. W jego zaciśniętych ustach, zmarszczonych brwiach i milczeniu rozpoznawałam urazę.

– Przepraszam – wypaliłam, zanim zdążyłam się powstrzymać. Byłam Lin. Byłam córką cesarza. Mimo to czułam wyrzuty sumienia. – Gdybym mogła obyć się bez twojej pomocy, zrobiłabym to.

– A co właściwie planujesz?

Zostać cesarzową. Zasłużyć na szacunek ojca. Te wyznania nigdy się ze mnie nie wydostaną. Zakradałam się, podbierałam klucze, próbowałam odkrywać sekrety ojca po to, by móc dowieść mu mojej wartości, choć byłam wybrakowana. Zawsze lękałam się, że może umrzeć, nie zdradzając mi wcześniej swoich tajemnic i zostawiając mi jedynie gorzkie słowa. Nie wiedziałam, jak to wyjaśnić, więc zamiast tego rzekłam:

– Przetrwaj.

Numeen przytaknął i zasłonił okno. W środku zrobiło się jeszcze goręcej, a ogień zabarwiał wszystko na czerwono i żółto.

– Wróć, gdy będziesz potrzebowała następnego klucza.

Umknęłam z warsztatu. Dzwonek zabrzączał, gdy zatraskiwałam za sobą drzwi. Na ulicach zrobiło się już jaśniej, delikatny pomarańczowy blask latarni ustępował brzaskowi. Wkrótce służba zabierze się do pracy.

Nie zatrzymywałam się, żeby odpocząć. Biegłam ulicami, omijając gburowatych, zaspanych mieszkańców przygotowujących się do czekającego ich dnia, trzymających pod pachami kosze lub szybkimi dmuchnięciami gaszących lampy. Byłam wkraczającą na scenę tancerką, która jest spóźniona o cztery kroki, dezorientuje tych, którzy już się na niej znajdują i nie może znaleźć swojego miejsca.

Nie miałam czasu, by przemykać do wejścia dla służby. Gdy wspinałam się znów po murze, pilnujące go konstrukty przyglądały mi się, ale nie ogłaszały alarmu. Ruszyłam do pałacu po dachu, starając się stąpać miękko i cicho po dachówkach. Pod

sobą widziałam kilkoro służących zamiatających puste ścieżki tego otoczonego murem, miniaturowego miasta, bądź też noszących wiadra z wodą ze studni do pałacu. Wszystkie zewnętrzne budynki pozostawały puste – wolne od kurzu, lecz z popękaną i wyblakłą farbą. Pewnego dnia znów ożyją, gdy zostaną cesarzową.

Zanim dotarłam do właściwego pałacu, słońce wzniosło się już nad portem. Światło lśniło w morzu, zdobiąc każdą falę iskrzącymi się klejnotami. Ptaki morskie zaczęły się nawoływać. Tu, w pałacu tkwiącym u stóp gór, czułam się nieco odizolowana od wody. Nie miałam jednak czasu, żeby się nad tym zastanawiać. Znalazłam okno na przeciwległym krańcu budynku, zsunęłam się z dachu i wślizgnęłam do środka.

W drodze do mojego pokoju widziałam kilka konstruktów – handlowych, wojennych i biurokratycznych – idących złożyć raport swoim zwierzchnikom. Nie stanowiłam obiektu ich zainteresowania, więc nie zwróciły na mnie uwagi. Mimo to odetchnęłam swobodniej dopiero wtedy, gdy zamknęłam za sobą drzwi.

Dziennik i książka z rozkazami dla początkujących leżały tam, gdzie je zostawiłam, wsunięte pospiesznie pod łóżko. W jednym krył się klucz do mojej przeszłości, w drugim do przyszłości. Przesunęłam dłońmi po okładkach. Tu, w ciszy mojej komnaty, w głowie znów rozbrzmiały mi słowa Numeena.

Co właściwie planowałam?

Konstrukt szpiegowski pokazał mi to wyraźnie: nie mogłam siedzieć z założonymi rękoma i czekać na śmierć ojca z nadzieją, że jeśli nauczę się wystarczająco wiele, wybierze mnie na swoją dziedziczkę. Wiązało się z tym tyle zmiennych, tyle rzeczy mogło pójść nie tak. Przynajmniej tego nauczył mnie ojciec: nie polegaj na tym, czego nie możesz kontrolować.

Musiałam przejąć kontrolę.

Potarłam zieloną płócienną okładkę dziennika, pragnąc pochłonąć zawarte w nim informacje. Niechętnie odłożyłam go i sięgnęłam po książkę z rozkazami. Będzie czas na jedno i drugie, ale na razie musiałam ustalić priorytety.

Ojciec władał cesarstwem przez pośredników, całą władzę i polecenia przekazał swoim najbardziej złożonym konstruktom: Ilith – Konstruktorowi Szpiegów; Uphilii – Konstruktorowi Handlu; Maudze – Konstruktorowi Biurokracji; oraz Tirangowi – Konstruktorowi Wojny. Przyszło mi do głowy, że może właśnie dlatego tak zazdrośnie strzegł sekretów swojej magii.

Gdybym była wystarczająco sprytna, mądra i ostrożna, mogłabym przepisać rozkazy zapisane w ich odławkach. Mogłabym sprawić, żeby stały się moje. Ojciec uważał mnie za wybrakowaną. Miałam luki w pamięci. Wiedziałam jednak, kim byłam teraz. Byłam Lin. Byłam córką cesarza.

I pokażę mu, że nawet wybrakowane córki potrafią posługiwać się władzą.



14

Piasek

Wyspa Maila na skraju cesarstwa

Piasiek sama zajęła się zszyciem swojej rany tego wieczora, po tym, jak przywlokła do wioski zebrane mango. Nikt nie skomentował, że nie przyniosła pełnego worka. Nie była pewna, czy ktokolwiek to zauważył. Wszyscy skupiali się na wykonaniu własnych zadań. Gdy zgromadzono efekty pracy, Trawa przystąpiła do sortowania. Na tym polegały jej obowiązki. Piasek nie potrafiła przypomnieć sobie czasów, kiedy tak nie było.

A przecież musiały istnieć takie czasy? Twarz Trawy była poznaczona liniami niczym kokos, który spadł na ziemię, brązowe grzbiety jej dłoni pokrywały plamy barwy foczej sierści. Włosy wciąż miała czarne, a plecy proste. Nie była stara, ale nie była też młoda, a zatem kiedyś musiała taka być.

Pozostali ustawili się w ogonku po kolację i czekali cierpliwie, aż przy kotle otrzymają jadło do swoich misek. Jeśli oceniać po zapachu, był to gulasz rybny, a oprócz tego zapewne mango i twarde ziarna, które Chmura zawsze zbierał z trawy morskiej.

Piasek wsuwała i wysuwała igłę ze skóry przedramienia, krzywiąc się z bólu, a zarazem rozkoszując się nim. Wydawał się wyostrzać jej zmysły i umysł, które sprawiały wrażenie przytępionych, dopóki nie spadła z drzewa.

Zawiązała nic i odgryzła jej koniec. Później poszła porozmawiać z Trawą, którą uważała za najstarszą spośród wciąż żyjących.

– Kiedy przybyłaś na Mailę? – zapytała ją.

Trawa zmarszczyła brwi. Jej poplamione dłonie sortowały wszystko na kupki: rzeczy do zjedzenia od razu, do zjedzenia później, do oszczędzania jak długo się da.

– Kiedy przybyłam na Mailę? – powtórzyła. – Zawsze tu byłam.

– Dorastałaś tu? – Słowa te dziwnie układały się Piasek na języku. Nie potrafiła wyobrazić sobie Trawy jako dziewczynki biegającej po wyspie. Z rodzicami, przyjaciółmi, rodziną. Taki obraz wydawał się nie mieć sensu. A później Piasek pomyślała o sobie jako dziecku i stwierdziła, że również nie umie sobie tego wyobrazić. Musiała przecież kiedyś być mała. Zmarszczyła czoło. Nie pamiętała swoich rodziców. Takie coś przecież powinno się pamiętać.

– Zawsze tu byłam – powtórzyła Trawa.

– Tak, ale co wcześniej?

– Wcześniej niż co?

– Wcześniej niż trafiłaś na Mailę. Każdy musiał skądś przybyć... – Piasek urwała, nagle nie wiedząc, o co właściwie pyta. Zawsze tu byli. Myśl ta odbijała się echem w jej głowie niczym dzwonek uderzony tak, że nie chciał przestać brzęczeć.

Nie.

To nie była prawda. Jak mogłoby nią być? Przecież nie wyskoczyli ze skał jak jakieś potwory z opowieści. Byli ludźmi, a ludzie mieli rodziców. Ludzie mieli miejsca, z których pochodzili. Przesunęła wzrokiem po czekających w kolejce.

Szkoło, Klif, Koral, Piana... Koral. Miała jakieś wspomnienie o niej, do którego nie mogła się dogrzebać. Jakby chodziło o jakieś słowo, które znała, lecz nie umiała go sobie przypomnieć. I nagle zalśniło jej w umyśle niczym błyskawica.

Koral nie przebywała tu od zawsze. Ta myśl próbowała jej się wymknąć jak ryba złapana gołymi dłońmi. Ścisnęła ją mocniej.

Koral nie przebywała tu od zawsze.

Piasek podeszła do niej, oddychając płytko i kuśtykając z powodu urazów.

– Koral...

Wywołana nieznacznie tylko obróciła się ku niej, choć w głosie Piasek brzmiało podniecenie. Jej długie rzęsy zatrzepotały na tle policzków.

– Tak?

– Kiedy tu przybyłaś?

– Zawsze tu byłam – odparła Koral, nie napotykając wzroku Piasek.

Im dłużej Piasek trzymała się tej złapanej myśli, tym wyraźniejsza się ona stawała.

– Co przyniosłaś do wioski cztery dni temu?

– Zawsze przynoszę worek mały.

Piasek powstrzymała ochotę, żeby potrząsnąć nią za ramiona.

– Nie zawsze. I nie przyniosłaś. Cztery wieczory temu nie jedliśmy mały.

Ktoś... – Myśl znów się rozmazała, zamgliła jej wzrok, jakby ktoś prysnął jej wodą w oczy. Ktoś inny? Próbowała się na tym skupić, ale dała za wygraną.

Nie miało to znaczenia. Dawniej robił to ktoś inny, choć Piasek nie potrafiła sobie przypomnieć kto.

– To nie zawsze byłaś ty. Pomyśl. Jak się tu dostałaś?

– Łodzią – rzekła Koral. Jej usta pozostały uchylone, jakby była zszokowana wypowiedzianym właśnie słowem. A później zmarszczyła czoło i spłótła dłonie. – To nie

może być prawda.

– To jest prawda. – Jak długo utrzyma się ta jasność myśli? Piasek zastanawiała się, czy jutro wróci do mangowca i będzie próbowała wypełnić worek owocami, nie pamiętając, co działo się poprzedniego dnia. Przycisnęła dłoń do rany, którą zszyla, i dotyk nici pod palcami pomógł jej się skupić. Dziś było inaczej. Dzień, w którym przybyła Koral, był inny. Piasek nie знаła Koral, nie tak naprawdę, ale każdy jej ruch i gest mówił jedno: miękka. Klarowne oczy niczym baseny pływowe, każde słowo wypowiedane z wahaniem. Musiała wyciągnąć z niej odpowiedź, zanim Koral zamknie się w sobie. – Jaką łodzią?

– Czy to ważne?

Piasek zamknęła na chwilę oczy i wróciło do niej jakieś odległe wspomnienie modlitwy do starych, martwych bogów oraz zapachu piżmowego kadzidła zalegającego ciężko w powietrzu. Czula tę woń. Napotkała wzrok Koral.

– To najważniejsza rzecz w twoim życiu. Ważniejsza niż zbieranie małży.

To przynajmniej wydawało się odnieść jakiś efekt. Obie zrobiły krok, gdy kolejka się przesunęła, ale Koral zacisnęła wargi.

– To była mała łódź z ciemnego drewna, ale na tyle duża, by pomieścić pasażerów. Myślę, że przebywałam w ładowni. Było ciemno. Nie wiem. Przepraszam.

– Ale w pewnym momencie opuściłaś łódź. Musiałaś przejść z niej na Maile. Musiałaś zobaczyć więcej. – Piasek żałowała, że nie może dostać się do umysłu Koral i wyciągnąć stamtąd wspomnienia.

– Tak – odparła powoli Koral. Kolejka znów się przesunęła. Już tylko jedna osoba dzieliła je od garnka.

Jeśli dostaną się na przód, Koral dostanie swoją porcję i znów o wszystkim zapomni, zagubi się w porządku dnia. Piasek to wiedziała. Z pogłębiającą się rozpaczą obserwowała, jak kolejna chochła gulaszu trafia do miski.

– Co widziałaś? Powiedz mi. Proszę.

Koral przygryzła dolną wargę. Uniosła miskę, gotowa odebrać kolację.

Piasek złapała ją za nadgarstek.

– Pomyśl!

– Żagle – wylało się z ust Koral. – Były niebieskie.

I wtedy chochła strawy wlała się do miski Koral. Jej twarz straciła wyraz, zupełnie jakby dłoń przejechała po łupkowej płytce, wycierając ją i zostawiając tylko nikłe ślady kredy.



15

Jovis

Wyspa w Ogonie Małpy

Gdyby człowiek mógł umrzeć ze stresu, w ostatnich dniach padłbym trupem już kilka razy.

– Jovis – powtórzył głos.

Próbowałem zrzucić dłoń z ramienia, nie patrząc na jej właściciela.

– Mylisz się – zaoponowałem, obniżając głos i mówiąc bardziej gburowato. – Nie jestem tym, kogo szukasz.

Ale dłoń nie dawała się strząsnąć.

Mephi, wciąż owinięty wokół mojej szyi, wychylił się, żeby szepnąć mi do ucha:

– Niedobre?

– Jeszcze nie wiem – odparłem głośniejszym głosem.

Dlatego gdy obróciłem się, żeby spojrzeć na mężczyznę, który mnie nagabywał, wyglądał na zaskoczonego moją odpowiedzią.

– Czego jeszcze nie wiesz?

– Kim jesteś i czego chcesz. – Ulga sprawiła, że wypadło to nieco ostrzej niż zamierzałem. Nieznajomy nie był z Ioph Carn. Nie miał broni i cechował się miękkimi

kształtami osoby lubującej się w życiowych przyjemnościach. Może to jednak lepiej, że byłem ostry. W końcu wiedział, jak mi na imię, a za moją głowę wyznaczono nagrodę.

– Słyszałem – w tym momencie zniżył głos w takim stopniu, że musiałem nachylić się bliżej – co zrobiłeś na Jeleniej Głowie.

Co takiego? Byłem na Jeleniej Głowie tylko jedno popołudnie. Co takiego zrobiłem? Uciekłem przed jej zatonięciem? I jak o tym usłyszał? Moment... no tak. Dryfowałem na falach jak jakiś gnuśny gubernatorski syn, pozbawiony bystrokamienia i wiatru. Inni przybyli tutaj przede mną.

– Nie jestem pewien, o czym mówisz. – Gdy tym razem szarpnąłem nadgarstkiem, pociągnąłem mężczyznę za sobą, przez co zatoczył się i niemal upadł twarzą na bruk. Złapałem go i pomogłem mu się wyprostować.

Nie zamierzałem pociągnąć tak mocno. Chyba nie. Gdy go puściłem, zgiąłem i rozgiąłem palce. Hmm... Już nie bolały. Nie mogłem jednak w tym momencie zerknąć na siniaki.

– Chłopiec – rzekł, rozglądając się po rynku. Uniósł dłonie, zakrzywiając palce, jakby nie był pewien, czy powinien zacisnąć pięści. – Proszę, nie kłam. Musiałem zapłacić za tę informację. Musiałem zapłacić wielu osobom. Wypatrywałem cię.

Alon. Chłopiec, którego Danila kazała mi uratować z Festiwalu Trybutu. Zrozumienie zalało mnie niczym fala. Nie zorientowałem się, dopóki nie stałem się już mokry.

Oblizwał wargi, a ja zobaczyłem, że perli się nad nimi pot.

– Muszę cię o coś prosić. Mam córkę.

– Nie. – Gdy nonszalancko odrzuciłem myśl, że rodzice Alona nie mogliby nikomu o mnie powiedzieć, chodziło mi o cesarstwo, nie o innych zdesperowanych rodziców. Mój błąd. Strzeliłem wzrokiem po targowisku. Jak wiele osób usłyszało moje imię? Przepchnąłem się obok mężczyzny, próbując znaleźć jakąś mniej uczęszczaną uliczkę.

Mephi poruszył się na ramieniu, wbijając mi pazurki w skórę. Wydał cichy odgłos obruszenia prosto do mojego ucha.

– Właśnie to jest niedobre – rzekłem do niego. – Groźbą zostaję zmuszony do uwolnienia jednego chłopca od trybutu i teraz wszyscy chcą tego samego. – Skręciłem w pusty zaułek ze ściekiem pośrodku. Za moimi plecami rozbrzmiały kroki.

– Zaczekaj, proszę. Zapłacę ci.

Gdybym był psem, nadstawiłbym uszu. Miałem za mało pieniędzy i za mało czasu, żeby znaleźć kóźd o niebieskich żaglach. Poza tym Ioph Carn następowali mi na pięty. Owszem, moja sakiewka chwilowo wydawała się przyjemnie ciężka, ale okoliczności wymagały, żeby napęczniała jeszcze bardziej. Obróciłem się tak szybko, że mężczyzna niemal na mnie wpadł.

– Spiesz się – rzuciłem.

Mephi owinął mi gardło ogonem i zsunął się po mojej ręce bliżej nieznanego, a z jego gardła dobiegł trel. Mężczyzna przyjrzał mu się ostrożnie.

– To nie potrwa długo. Znam kogoś na innej wyspie.

Czekałem, żeby rozwinął myśl. Wykręcał dłonie, jakby jego palce były mokrym praniem. Westchnąłem.

– Wszyscy znamy kogoś na innej wyspie – stwierdziłem.

– Przyjaciółkę – dodał szybko. – Kogoś, kto należy do Garstki Bezkostnych. Na Uncie.

Nie przepadałem za cesarzem, ale nieszczerólnie lubiłem też Bezkostnych. Jeśli jednak wzięcie tego zadania pozwoli mi znaleźć się bliżej Emahli, musiałem zaryzykować. Do tego Unta leżała po drodze i blisko, w odległości jedynie dwóch dni.

– I czego ode mnie oczekujesz? Powiedz wreszcie.

– Zabierz ze sobą moją córkę. Przeszmugluj ją z wyspy i zawieź do mojej przyjaciółki. Ona się nią zaopiekuje. Zapłacę ci za to.

– Garstka Bezkostnych to zgraja fanatyków, którzy wiecznie się wystawiają, żeby cesarstwu łatwiej było ich łąpać. Lepiej byś zrobił, próbując umieścić ją w klasztorze. Za jego murami byłaby chroniona przed cesarstwem.

Wyglądał na urażonego.

– Wtedy już nigdy bym jej nie zobaczył. Zresztą co, jeśli nie chce zostać mniszką?

Westchnąłem.

– Pięćdziesiąt srebrnych feniksów.

– Umowa stoi.

Zamrugąłem. Nie wyglądał na nędzarza, nie z takim brzuchem, ale nosił prosty ubiór. Był skromny? Wcześniej źle go oceniłem. Powinienem być zacząć od wyższej kwoty, pięćdziesiąt srebrników zapewni mi jednak to, czego potrzebowałem.

– To zajmie chwilę – rzekłem. – I nie spodziewaj się, że sięgnę do własnych zapasów, żeby karmić dziewczynę. Musi zabrać żywność, koce, wodę.

– Sfałszowane dokumenty?

Czyli spodziewał się, że za nie też będzie musiał zapłacić? Zdecydowanie poprosiłem o zbyt mało.

– Nie. Nie trzeba.

– Ale jak wyminiecie konstrukt handlowy?

Machnąłem teatralnie ręką. Miałem wyraźnie lepszy nastrój niż jeszcze przed chwilą.

– Opowiem mu bajeczkę. Piękne, dopracowane kłamstwo, jeśli wolisz. – Wykonałem zamaszysty gest i otworzyłem dłoń. – Połowę pieniędzy poproszę z góry.

Popatrzył na mnie z powątpiewaniem.

– Nie bez powodu cesarstwo wyznaczyło nagrodę za moją głowę. Zrobię, o co prosisz, i zrobię to dobrze. Myślisz, że wydawaliby pieniądze na rozklejanie plakatów, gdyby chodziło o jakiegoś przygłupiego przemytnika ledwo oderwanego od matczynej piersi?

Po tych słowach odliczył odpowiednią kwotę.

– Przyrowadź ją na przystań o zachodzie słońca, ale nie podchodźcie do łodzi. Wyjdę wam na spotkanie na lądzie. – Wcisnąłem pieniądze do sakiewki i opuściłem uliczkę, zadowolony z siebie.

Mephi najwyraźniej również był usatysfakcjonowany.

– Dobrze – usłyszałem jego chrapliwy głos. Zwierzak potarł futrzastym policzkiem o mój policzek.

Interesujące. Czy rozumiał znaczenie tego, co mówił? Istniały legendy o bardzo starych węzłach morskich, które nauczyły się ludzkiej mowy, a także o magicznych stworzeniach żyjących w głębinach Bezkresnego Morza, ale to były tylko opowieści. Ja natomiast miałem przy sobie maleństwo, które niemal zmieściłoby mi się w złożonych dłoniach, gdyby zwinęło się w kulkę.

– Nie – odparłem. Jeśli wiedział, co mówi, to nauczę go odpowiedniej reakcji. – Pieniądze są dobre. A zadanie? Niedobre.

– Dobrze – upierał się Mephi.

Westchnąłem. Jaki to miało sens? Czy naprawdę chciałem trzymać na łodzi stworzenie, które może mi się odszczekiwać? Mimo to podniosłem dłoń i podrapałem Mephiego po głowie. Zaćwierkał i wcisnął mi się w ramię, a jego sierść połaskotała mnie w szyję.

– Powinniśmy cię nakarmić. A ja potrzebuję informacji.

Miasteczko było niemałe i wkrótce znalazłem dwie pijalnie. Wybrałem tę leżącą bliżej portu. Gdy wszedłem do środka, poczułem zapach ryb wymieszany z wonią zastarzałego dymu. Wystarczył jeden oddech, żeby ogarnęła mnie tęsknota za domem. Mój ojciec regularnie spotykał się ze swoimi poyerskimi przyjaciółmi w podobnym miejscu. Ony i ja czasami zachodziliśmy do środka, gdy wiedzieliśmy, że skończył już połów, zakradaliśmy się za opar fajkowego dymu i patrzyliśmy, jak grają w karty. Jeśli mieliśmy szczęście, ojciec pozwalał nam rozegrać jedną partię. „Waszej matce nie spodobałoby się, że uczę was hazardu”, mawiał. W połowie przypadków na tym się kończyło, a w połowie, jeśli poczekał, chwilę pomarudził, po czym przysuwał dla nas wspólne krzesło. Lakierowane karty zapisano po poyersku, a ja podejmowałem nieśmiało, mało entuzjastyczne próby nauczania się tego języka. Każda popełniona przeze mnie pomyłka wydawała się podkreślać ziemisty kolor mojej skóry, luźne loki, chude kończyny. Ony zawsze miał lepszą wymowę, choć znałem ten język na tyle, by rozumieć, gdy koledzy ojca uśmiechali się do mojego brata i komentowali: „Ach, mówi tak, jakby się z tym urodził!”.

Mnie nigdy nie chwalono w taki sposób.

W tej pijalni próżno było szukać poyerskich kart. O tej porze dnia była na wpół pusta, ale przy stoliku siedziało dwóch rybaków, którzy skończyli już pracę na dziś. Usłyszałem, jak mruczą do siebie:

– Jedyne, co powie cesarz, to że Jelenia Głowa zatonąła przez przypadek.

– Przypadek? Jaki przypadek może zatopić całą wyspę?

– Stawiam, że to Alanga, a on jest już za stary i za słaby, żeby ich powstrzymać. Może ta wyspa będzie następną. Może wszystkie wyspy.

Popatrzyli na mnie ostro, gdy wsunąłem się na krzesło przy ich stoliku. W końcu dookoła było sporo wolnych miejsc.

– Narzucam się, wiem – rzekłem. – Ale szukam kogoś.

Ich miny nie uległy zmianie, dopóki nie przywołałem gestem właściciela przybytku i nie zamówiłem kolejki słodkiego melonowego wina dla nas wszystkich. Wtedy popatrzyli po sobie. Jeden z nich wzruszył ramionami. Usiedli wygodniej i spojrzeli na mnie, czekając, co teraz powiem. Napitki stanowiły prosty sposób na nawiązanie znajomości, a ja wcale nie zamierzałem zrobić sobie z nich trwałych czy lojalnych przyjaciół. Wystarczy, że zakolegujemy się na jedno popołudnie. Wystarczy, że namieszam im w głowach i zostawię ich z myślą: „Był całkiem miłym gościem”. Wystarczy, że zniechęcę ich do tego, by zaraz po moim odejściu zwrócili się do stacjonujących tu cesarskich żołnierzy.

– Przepływała tędy łódź. Z ciemnego drewna i z niebieskimi żaglami. Mniejsza od cesarskiej karaweli, ale na tyle duża, by móc przewozić pasażerów. W niewygodnych warunkach może dziesiątkę.

– Kiedy? – spytał mężczyzna po lewej.

– Niedawno. W ostatnich kilku dniach.

Podrapał się po brodzie.

– Nie, nie widziałem jej. Szkoda, że nie mogę zaoferować ci więcej za fatygę.

Drugi rybak znów wzruszył ramionami i zastanawiałem się, czy jego ciało jest zdolne do czegokolwiek innego. Nagle jednak zmarszczył brwi.

– Powinieneś spytać Shuay. To starsza kobieta, pracuje w północnej części portu, gdzie sprzedaje gotowane kraby. Zna niemal wszystkich na wyspie i śledzi, co się dzieje na przystani. Widzi każdego, kto wpływa i wypływa. – Właściciel postawił na naszym stoliku kubki z winem melonowym i mężczyzna się napił. Parsknął śmiechem i zajrzał do naczynia. – Ciebie też pewnie widziała, gdy przybyłeś.

Mephi zszedł kawałek po mojej ręce w stronę mężczyzny po lewej, który wysunął do niego dłoń. Malec ją powąchał i sierść na grzbiecie stanęła mu dęba. Cofnął się, trzymając nisko głowę i kładąc uszy po sobie. Jego wargi uniosły się, obnażając białe ząbki.

– No już, już – powiedziałem, zgarniając go i umieszczając z powrotem na moim barku. Trochę obawiałem się, że znowu powie to swoje „niedobre”, co wzbudziłoby pytania, na które wolałbym nie odpowiadać.

– Co to za zwierzak? – zapytał człowiek po mojej lewej.

Przez głowę przebiegły mi natychmiast setki kłamstw. To jednak byli tylko rybacy, którzy uznali Mephiego za ciekawostkę, a ten się nie odzywał.

– Nie jestem pewien – rzekłem, próbując uspokoić malca. Sierść na jego grzbiecie wrzeszcze się wygładziła. – Chyba sobie mnie zawłaszczył. Stracił matkę. Widzieliście kiedyś coś podobnego?

– Raczej nie. Ale uważałbym na twoim miejscu. Znam kobietę, która przygarnęła małą fokę. Znalazła ją osieroconą i uznała za słodką. Foka urosła do rozmiaru łodzi rybackiej i odgryzła jej trzy palce, zanim uciekła do morza.

– Będę uważał. – Wziąłem mały łyk melonowego wina. Kolejny skrawek informacji. Mówiłem powoli, oceniając ich reakcje: – Kieruję się na następną wyspę w Małpim Ogonie. Na wschód. Muszę szybko tam się dostać.

Wymienili spojrzenia.

– Tu nie znajdziesz dużo tego – odparł mężczyzna, wzruszając ramionami. – Chyba że poprzez Ioph Carn.

Ioph Carn. Czasami byli równie źli jak cesarstwo. Albo płaciłeś jednemu, albo drugiemu, albo też obu naraz.

– Słyszałem, że rybacy czasami trzymają po kawałku, w razie gdyby potrzebowali przegonić burzę. – Musnąłem sakiewkę i znajdujące się w niej monety brzęknęły. – Jestem gotów dopłacić.

Mężczyzna po lewej stęknął i postukał palcami o blat. Pod paznokciami miał brud i rybią krew. A później sięgnął do swojej sakiewki, wyciągnął z niej spory kawałek bystrokamienia i pokazał mi go pod stołem.

Mephi zacisnęła mi się mocniej wokół szyi i całe jego ciało zeszywniało. Miałem wrażenie, że jest jak wąż pragnący zrobić sobie ze mnie posiłek. Musiałem wyplątać jego łapki z mojej koszuli, żeby poluzował chwyt.

– Zapłacę ci dziesięć srebrnych feniksów.

– Niedobre! – wrzasnął Mephi. – Niedobre, niedobre! – Pomknął po mojej ręce, zwiesił się nad krawędzią stołu i wytrącił rybakowi bystrokamień z dłoni tak, że z łoskotem spadł na podłogę.

Nawet w na wpół pełnej pijalni było zbyt wiele oczu. Wszystkie wbiły się teraz we mnie i w Mephiego. Co za piekielna bestia! Zerwałem się z miejsca tak szybko, że przewróciłem krzesło. Powinienem był go tam zostawić wrzeszczącego i jeżącego sierść. Mógłbym znaleźć bystrokamień gdzieś indziej i mieć z głowy zarówno tę wyspę,

jak i gadające stwory. Nie zdążyłem jednak nawet skończyć tej myśli, zanim zacisnąłem dłoń na karku malca, podniosłem go i posadziłem sobie znów na ramieniu.

– Pomyślnych wiatrów – powiedziałem do dwóch rybaków i ruszyłem do drzwi.

Na zewnątrz pojawiły się chmury. Powietrze pachniało wilgotną trawą i morzem.

– Chcesz, żebym zginał? – wyszczałem do Mephiego. Wiatr poruszał jego sierścią i dopiero gdy położyłem mu dłoń na grzbiecie, zorientowałem się, że malec się trzęsie.

– Niedobre – zakwilił żałośnie.

– Jak mam znaleźć Emahlę, jeśli nie mam bystrokamienia?

Zupełnie jakby w odpowiedzi Mephi wziął głęboki oddech i wypuścił smużkę białego dymu.

– Wiesz, to może zadziałać w razie potrzeby, ale nie jest tak dobre jak bystrokamień. Musisz znaleźć jakiś sposób, żeby się do niego przyzwyczaić. – Zatrzymałem się na ulicy i pokręciłem głową. Kiedy zacząłem myśleć, że malec rozumie złożone zdania? Później mogłem zastanawiać się nad dziwactwami chronologii, teraz miałem co innego do zrobienia.

Odnalazłem Shuay w pobliżu portu, jak zapowiedzieli rybacy. Z jej straganu wznosiła się para mieszająca się z niskimi chmurami. Wiatr szarpał pierzastymi liśćmi tworzącymi daszek.

– Dwa miedziaki za krabie nogi na parze – oznajmiła, nie podnosząc wzroku. Była szczupłą, starszą kobietą o czarnych włosach przetykanych siwymi pasmami.

Zapłaciłem jej za dwie porcje, bo ludzie zawsze bywali skłonniejsi do miłszego zachowania, jeśli zrobiło się z nimi interes. Podała mi kraby na liściach bananowca i jedną z porcji zaoferowałem Mephiemu.

Gdy tylko poczuł zapach, przestał się trząść. Chwyił krabie odnóże i zaczął hałaśliwie zdzierać skorupę z mięsa, a później wydał ciche odgłosy satysfakcji, gdy pod spodem znalazł smakołyk.

Shuay się roześmiała.

– Twój przyjaciel jest głodny.

– Myślę, że zawsze jest głodny. – Podałem mu kolejny kawałek kraba. Plamił mi koszulę, ale nie potrafiłem zmusić się do tego, by szczególnie się tym przejąć. Nie przebrałem się, odkąd mnie pobito, i między włóknami wciąż tkwiło trochę ziemi i zaschniętej krwi. – Słyszałem, że wiesz sporo o tym, kto wpływa i wypływa z portu. Szukam kogoś.

Nawet nie musiałem jej płacić. Shuay wychyliła się bliżej, opierając łokcie na blacie straganu. Uśmiechnęła się, zachęcając mnie w ten sposób, żebym kontynuował. W zmarszczkach, które pojawiły się wokół jej oczu, było coś, co przypominało mi matkę. Na krótką chwilę ogarnęła mnie fala zawrotów głowy. Miałem wrażenie, jakbym dopiero co przebywał w kuchni w domu, siedział obok niej na ławce, przyciskał biodro do jej biodra, gdy siekałem szalotkę.

Ile liczyła teraz lat? Gdy wyjeżdżałem, miała jeszcze zupełnie czarne włosy. Czy obecnie pojawiła się w nich siwizna, jak u Shuay? Czy jej odłamek został użyty? Czy chorowała, jak matka Alona? Nie potrafiłem nawet o tym myśleć.

Wdychałem woń gotowanych krabów, próbując zmienić bieg myśli.

– Widziałaś może przepływającą tędy łódź? Ciemne drewno i niebieskie żagle. Gdy skinęła głową, poczułem, jak zaciska mi się gardło.

– Widziałam nie tylko łódź – odparła. – Również jej kapitana i jego towarzyszkę. Mijali mnie, gdy stąd wypływali.

Nie byłem w stanie się odezwać.

– Wysoki mężczyzna, o pociągłej twarzy, w obszernym płaszczu. Coś ci to mówi?

Skinąłem głową.

– A jego towarzyszka? – wykrztusiłem.

– Młoda dama. Niższa od niego. Duże, ciemne oczy. Gęste brwi i szczupłą twarz.

– Shuay zmarszczyła czoło. – Nie piękna, ale na pewno zwracająca uwagę, powiedziałabym. Wargi lekko unoszące się w kącikach. Ale wyglądała na wystraszoną. Wręcz przerażoną. Nie mówiła ani słowa, on też nie.

Mephi musiał wyczuć mój niepokój, bo upuścił krabie odnóże, które obrabiał ząbkami, i zaczął łapką gładzić mnie po włosach. Nie mogłem polegać na opisie słownym, ale twarz, o której mówiła kobieta, zaraz rozkwitła mi w myślach. Twarz Emahli. Nikt nigdy nie twierdził, że jest piękna – oprócz mnie. I byłem szczery.

Shuay poklepała mnie po dłoni. Wciąż trzymałem swoją porcję, ścisnąłem ją tak, że gniotłem liść bananowca.

– Możesz usiąść, jeśli potrzebujesz – rzekła.

Sympatia w jej głosie niemal doprowadziła mnie do łez. W głębi duszy wiedziałem, że jest to dla niej kolejna informacja, którą mogła kupczyć, żeby poczuć się ważniejsza, ale zbyt często wykorzystywałem ludzi dla własnej satysfakcji. Nie mogłem jej winić.

– Czy miała tu znamień? – zapytałem, starając się utrzymać spokojny głos. – Przyłożyłem sobie palec pod prawym okiem.

Shuay zrobiła zamyśloną minę.

– Tego nie mogę powiedzieć. Nie miała nawet jednego piega.

Cała nadzieja, panika i strach opuściły mnie, zostawiając ciemną, wydrążoną skorupę. To nie była ona, tylko ktoś do niej podobny.

– Powinienem już iść. Dziękuję ci. – Straciłem apetyt, oddałem więc resztę kraba Mephiemu. Miałem kilka rzeczy do zrobienia.

Przez większość popołudnia polowałem znów na bystrokamień, a przez resztę czasu przekonywałem Mephiego, żeby się z tym pogodził. A przynajmniej żeby wykazał odrobinę wyrozumiałości. Substancja musiała wiązać się dla niego z jakimś zapachem, bo gdy tylko jej dotykałem, cofał się od moich dłoni, syczał i pluł, zjeżony, wyglądał bardziej jak poduszczeńka na igły niż zwierzę. Musiałem płukać dłonie wodą, zanim znowu się do nich zbliżył, do tego wciąż owijał mi szyję ogonem, jakby zamierzał mnie nim udusić.

Ale jaki miałem wybór? Był zwierzęciem, które wyłowilem z morza ledwie kilka dni wcześniej. Emahla natomiast była kobietą, z którą związałem życie. I być może Shuay się pomyliła. Być może widziała właśnie Emahlę. Musiałem się upewnić. Czuję się, jakby ktoś obwiązał mi ciało sznurem napiętym tak, że sprawiał ból, i ciągnął mnie dalej.

Wróciłem na przystań o zachodzie słońca.

Mężczyzna, który zapłacił mi za przeszmulowanie córki, czekał ze skrzynką zapasów u stóp. Prawą dłoń trzymał na ramieniu dziewczynki o włosach zaplecionych w warkocze i poważnym spojrzeniu. Druga dłoń spoczywała na... innym dziecku. Chłopcu w tym samym wieku. Nie musiałem spoglądać w błagalną twarz tego człowieka, by wiedzieć, o co mnie zaraz spyta.

Powinno istnieć słowo na to uczucie: zaskoczenie, a jednak nie zaskoczenie. Gdy byłem mały, matka często mnie karciała: „Jedna głupia decyzja jest jak szczur, któremu dajesz się wymknąć. Zrodzi się z niej więcej konsekwencji, niż uważałeś za możliwe”.

Mephi zaćwierkał na ich widok. Był to pierwszy odgłos, jaki wydał z siebie, odkąd wsunąłem bystrokamień do kieszeni.

Moje głupie decyzje rodziły całe armie konsekwencji.



16

Lin

Wyspa Cesarska

Krew plamiła mi palce. Żałowałam, że nie mam fartucha jak ojciec albo Bayan. Ale poradziłam sobie jakoś dzięki nienoszonej już tunice, czyszcząc paznokcie jej rąbkiem.

Znalazłam pokój, w którym ojciec trzymał elementy. Fragmenty ptaków, małp, kotów, zwierząt, jakich nigdy nie widziałam – ani o których nawet nigdy nie słyszałam – poukładano w izolowanej skrzyni chłodniczej. Samo pomieszczenie było ciemne i zimne, wykute w skale pod pałacem. Mimo to czuć w nim było lekki smród rozkładu i piżma. Zabrałam kilka małych kawałków, których braku z pewnością nie zauważy: skrzydełka wróbla, niewielkie miękkie ciało szczura, głowę salamandry. Teraz mrużyłam oczy, pochylona nad tym wszystkim na podłodze mojej sypialni. Szycie tak drobnych elementów było trudniejsze, ale zgodnie z przeczytaną przeze mnie książką odłamek kości, który włożę do środka, naprawi ewentualne pomyłki. To większe ciała należało składać starannie, ponieważ magia kości mogła poradzić sobie tylko z drobnymi błędami.



Staralam się nie okazywać nadmiernej ekscytacji. Bardziej interesowało mnie wyrzucie rozkazu na świeżym odłamku czekającym w mojej szarfie i użycie magii, żeby móc poruszać palcami we wnętrzu konstrukt. Czy zadziała? A może przegapiłam jakieś niewielkie szczegóły ze swojej przeszłości? Może nie dysponowałam umiejętnością pracy z odłankami i właśnie dlatego ojciec nie dopuszczał mnie do tej sztuki?

Rozległo się pukanie do drzwi, a moje serce powtórzyło je szybkim echem. Wepchnęłam konstrukt pod łóżko i raz jeszcze wytarłam dłonie, lamentując w duchu, że krew znowu zaschła mi w załamaniach skóry. Nie miałam czasu.

Stukanie rozległo się ponownie, jakby po to, by bardziej podkreślić ten pośpiech. Wytarłam dłonie o tunikę i podeszłam do drzwi.

Otworzyłam je tak szybko, że poczułam podmuch poruszonego powietrza, wraz z którym do środka wpłynęła woń drzewa sandałowego.

W wejściu stał ojciec, otulając dłońmi główkę laski. Wsparł się na niej, zaglądając do pokoju. Nie po raz pierwszy zastanawiałam się, jaki wypadek pozbawił go palców u stóp. I wtedy przypomniałam sobie, co robię.

Gdybym się teraz obejrzała, zorientowałby się. Skupiałam więc wzrok na nim w nadziei, że nie dostrzeże pulsu trzepoczącego mi na szyi, a jednocześnie starałam się odtworzyć w myślach obraz pomieszczenia. Czy zostawiłam na wierzchu coś, czego nie powinienam? Było już za późno na cokolwiek poza czekaniem.

Wrócił do mnie spojrzeniem.

– Ostatnio rzadko cię widuję – powiedział. – Byłem zajęty, rzecz jasna. Konstrukty są ciągle w kiepskim stanie i żołnierze przynoszą mi je do naprawy. Ale nie przyszłaś na kolację.

Spodziewałam się Bayana.

– Medytowałam – odparłam, przypominając sobie radę, jaką od niego otrzymałam. – Bayan mówił, że to mu pomogło odzyskać wspomnienia. – Spuściłam wzrok, udając zażenowanie, że zostałam przyłapaną na czymś takim.

Ojciec skinął głową.

– To dobry pomysł. Cieszę się, że próbujesz sobie przypominać. Tak wiele straciłaś. Jestem pewien, że ta młoda kobieta, którą byłaś wcześniej, wciąż gdzieś tam jest. – Spojrzał na coś za moim ramieniem.

A co jest nie tak z młodą kobietą, którą jestem teraz? Odchrząknęłam i przestąpiłam z nogi na nogę. Chciałam, żeby wyszedł. Jeśli uwierzył, że jestem tak zdesperowana, że posuwam się do medytacji, by odzyskać wspomnienia, tym lepiej. Ale to nie tak, że nie chciałam sobie przypomnieć. Naprawdę chciałam. Tylko z początku całe dnie i noce przetrząsałam myślami, próbując odkryć, kim byłam wcześniej. Tak bardzo tego wtedy pragnęłam, aż czułam ściskające mi głowę żelazne obręcze. Miałam tylko to, kim jestem teraz.

Ojciec to zauważył, bo jak mógłby nie zauważyć?

– Podziwiam twoje oddanie – rzekł burkliwym, niskim głosem – ale chciałbym, żebyś tego wieczoru dołączyła do mnie i Bayana przy kolacji. Mamy pewne rzeczy do omówienia i życzę sobie twojej obecności.

Zawahałam się. Na wpół skompletowany konstrukt wciąż leżał pod moim łóżkiem wraz z odłamkiem i książką o magii odłamków dla początkujących. Ale gdy ojciec mówił, że chce mojej obecności, tak naprawdę chodziło mu o to, że jej żąda. Okrywał swoje rozkazy fasadą uprzejmości, ale była ona cienka i mogła łatwo zniknąć,

gdyby spotkał się z nieposłuszeństwem. Skinęłam zatem głową, zanim zdążył odczytać zbyt wiele z mojego wahania, wyszłam na korytarz i zamknęłam za sobą drzwi.

Przez chwilę ojciec się nie poruszał. Staliśmy obok siebie. Nawet zgarbiony i postarzały wciąż był ode mnie nieco wyższy, a laska dodawała jego chudej sylwetce odrobinę ciężaru. Gorąco promieniowało od jego szat jak od świecy płonącej zbyt szybko. Bijąca od niego woń sandałowego drewna wypełniała mi nozdrza, mieszając się w nich z jego oddechem pachnącym gorzką herbatą.

Obrzucił mnie szybkim, szacującym spojrzeniem, a później pokuśtykał korytarzem. Szaty kołysały się za nim niczym fale uderzające o brzeg.

Podążyłam za nim ostrożnie.

Sala jadalna znajdowała się obok pokoju przesłuchań. Bayan był już w środku, miał siedzieć po prawej stronie ojca. Dla mnie przygotowano miejsce naprzeciwko nich. Kryła się w tym wiadomość – podobnie zresztą jak we wszystkich drobnostkach, które robił ojciec. Byłam tu kimś obcym.

Służba zaczęła się krzątać, gdy zasiadłam przy stole. Ojciec wciąż sadowił się na poduszce, odłożywszy laskę na podłogę obok siebie, jedną dłonią przytrzymywał się stołu, drugą poduszki. Niemal spodziewałam się, że usłyszę jego kości skrzypiące i ocierające się o siebie, gdy zmieniał pozycję.

Po mojej prawej stronie parowała filiżanka z herbatą jaśminową. Na środku mojego talerza spoczywał mały nadziewany kurczak o złocistej, przypieczonej skórce, po jego bokach ułożono kopułki lśniących warzyw i białego ryżu. Niemal zapomniałam, jak wygląda formalny posiłek. Nieczęsto zachodziłam do sali jadalnej na kolację, a ojciec rzadko prosił mnie o dołączenie do nich. Zazwyczaj po prostu zjadałam u siebie to, co przynieśli mi służący.

Szczerze mówiąc, tak wolałam. Posiłek w luksusie tej sali, do tego w towarzystwie ojca i Bayana, wydawał się niczym elegancka kolacja w otoczeniu rekinów. Miałam tu jeść czy stanowić główne danie?

Na końcu długiego stołu naszykowano cztery kolejne miejsca, przed którymi nie ustawiono naczyń. Zesztywniałam, gdy cztery najważniejsze konstrukty ojca weszły do sali. Służba przyspieszyła pracę i rozumiałam, że równie mocno jak ja chcieli stąd wyjść. Zazdrościłam im, że mogli.

Tirang, Konstruktor Wojny, małpa o stopach z pazurami i długim, wilczym pysku. Usiadł najbliżej ojca, stukając szponami o podłogę. Ilith, Konstruktor Szpiegów, zajmująca dwa razy więcej miejsca niż pozostali, złożyła swoje liczne dłonie na blacie przed sobą. Mauga, Konstruktor Biurokracji, o wielkiej głowie leniwca na ciele niedźwiedzia, wkroczył właśnie niczym niedźwiedź przebudzony ze snu zimowego i poczłapał ciężko na swoje miejsce, gdzie kołysał się tam i z powrotem, moszcząc się. I wreszcie Uphilia, Konstruktor Handlu, lisica o dwóch parach kruczych skrzydeł. Przemknęła bezszelestnie. Usiadła na poduszce i zaczęła czyścić sobie pysk przednią łapą.

Właśnie nad tymi czterema konstruktorami musiałam uzyskać kontrolę. Gdybym nimi zawładnęła, zdobyłabym szacunek ojca.

Ojciec zaczął jeść drżącymi dłońmi. Obawiałam się przy każdym kęsie, że nie dotrze on do jego ust. Gdy jednak się odezwał, mówił silnym głosem:

– Wieści?

Tirang raportował pierwszy, a jego głos brzmiał jak piasek trący o kamień:

– Twoi żołnierze nie mogą być wszędzie, panie. Pomijając gubernatora, którego obalili, buntownicy zyskują przyczółki na innych wyspach w Małpim Ogonie. Nieco

ponad setka konstruktów wojennych została zdemontowana. Chciałbym prosić o ich uzupełnienie.

Ojciec odłożył łyżkę na bok.

– Jeśli konstrukty biurokratyczne Maugi nie mogą ich naprawić, wówczas masz niedobór stu konstruktorów wojennych. Nie będzie żadnych uzupełnień.

Bayan wychylił się naprzód.

– Może ja bym mógł...

Ojciec uciszył go pogardliwym spojrzeniem. Popatrzył na Ilith, a ja wstrzymałam oddech.

Ilith zastukała żuwaczkami.

– Garstka Bezkostnych rozszerza swoje wpływy. Ludzie są niezadowoleni z podatków, a niedawna załaga wyspy Jelenia Głowa wywołała dalsze niepokoje. Nie ufają, że zapewnisz im bezpieczeństwo, panie, co prowadzi mnie do kolejnej kwestii. Twoi poddani są niezadowoleni z Festiwalu Trybutu. Nawet niektórzy gubernatorzy podważają jego potrzebę. Minęło już wiele czasu, odkąd Alanga zostali wypędzeni z cesarstwa, i ludzie są mniej skłonni uważać ich za zagrożenie.

– Każdego dnia działałam na rzecz tego, żeby utrzymać cesarstwo – warknęła ojciec, zaciskając pięść. – A te niewdzięczne bachory uważają, że byłoby im lepiej beze mnie. Trybut stanowi niewielką cenę za ochronę, jaką im daję. Całymi dniami tworzę konstrukty, zachowuję ciągłą czujność. W czasach mojego dziada ludzie byli wdzięczni. Oddanie odłamka stanowiło zaszczyt. Teraz miauczą, jak to niektóre z Trybutów zabijają ich dzieci, że wysącza to z nich życie, podczas gdy ja wysączyłem je z siebie już do cna.

Bayan i ja siedzieliśmy w milczeniu, wiedząc, że jeśli wypowiemy niewłaściwe słowo, jego gniew obróci się ku nam. Czuliśmy go jak żywą istotę, jak ślepego węża czekającego, aż mysz się poruszy.

Wreszcie ojciec westchnął i machnął dłonią.

– Maugo, niech zaczną znowu krążyć stare opowieści. Opłać trupę teatralną, żeby ruszyła po wyspach i wystawiała Odrodzenie feniksa. Wszyscy lubią tę historię i przypomni ona ludziom, co moi przodkowie dla nich zrobili. Co wciąż dla nich robimy. Dajemy im bezpieczeństwo.

Mauga mruknął coś do siebie i zmienił lekko pozycję, stukając pazurami o stół.

Ilith popatrzyła na mnie i Bayana, a później znów na ojca.

– Opowieści mogą nie być konieczne. Otrzymałam pewne raporty o tym, że artefakty Alanga... budzą się.

Ojciec zacisnął pięści.

– Artefakty nie są samymi Alanga – odparł. – Porozmawiamy o tym później.

Zerknęłam na Bayana i zorientowałam się, że patrzy na mnie. Może ojciec nie wyglądał na zatroskanego, ale Bayan tak.

– W porządku. Ale powinieneś dowiedzieć się jeszcze o jednym, panie – rzekła Ilith. – Moi szpiedzy przynieśli plotkę. Może to być jedynie wytwór jakichś szalonych marzeń, ale niewykluczone, że istnieje ktoś, kto wykrada twoich poddanych przed ukończeniem Festiwalu Trybutu. Ma na imię Jovis.

Konstrukt Handlu zatrzepotała skrzydłami, a Mauga uniósł leniwcową głowę.

– Znam to imię – powiedział. – Podobnie jak Uphilia. Kazaliśmy wykonać plakaty.

Ojciec oparł łokcie na stole, splótł palce i pochylił głowę.

– Zbieg? – zapytał.

– Przemysłownik – wyjaśnił Mauga głosem, który zadudnił mu w gardle. Sapnął. – Od jakiegoś czasu stanowi... problem. Z kopalni na Tos zginęły dwie skrzynki bystrokażenia. Nie uiszczą żadnych należnych opłat.

– Oczywiście, że nie. – Uphilia smagneła ogonem. – Jest przemysłownikiem.

– Placi Ioph Carn. Nikt nie ucieknie jednocześnie przed cesarstwem i nimi – rzekła Ilith.

– Ilith, niech twój szpieg śledzą dalsze pogłoski o tym Jovisie – powiedział ojciec. – Ale jest mniejszym problemem niż Bezkostni. Tirangu, zorganizuj uderzenie przeciwko buntownikom na Małpim Ogonie. Wyślij trochę konstruktów wojennych. Najpierw zbierz informacje.

Po czym wrócił do spożywania kolacji, jakby to ułatwiało sprawy. A co ze skontaktowaniem się z gubernatorami? Co z wyspą, która zatonała? Może tylko to sobie wyobrażałam, ale wydawało mi się, że pod sobą wyczułam drżenie.

Nikt inny nawet nie spuścił wzroku. To tylko umysł płatał mi figle.

– Eminencjo – odezwał się Bayan.

Skupiłam się na nim i wychwyciłam szczegóły, których nie zauważyłam wcześniej. Nie zjadł nawet połowy zawartości talerza. Palce jednej dłoni zaciskał na serwetce. Był nerwowy. Wyprostował się.

– Ostatni konstrukt, który stworzyłem... Zmieniłem rozkaz na ten, który zaleciłeś. Ale czy jest możliwe, żeby zachować pierwotne polecenie i zmodyfikować je tak, by działało w taki sam sposób?

A zatem koniec z polityką. O konstrukcjach mój ojciec potrafił rozmawiać z ożywieniem całymi godzinami.

Ojciec przekrzywił głowę na bok.

– To możliwe – odparł, stukając pałeczkami w talerz. – Aczkolwiek niekoniecznie zalecane. Raz napisanego rozkazu nie można wymazać ani przepisać. Można go zmodyfikować, ale wtedy powstaje ryzyko, że stanie się mniej skuteczny. Jeśli nie zachowasz ostrożności, ryzykujesz nawet, że polecenie przekształci się w sposób, jakiego nie planowałeś. Przegapiony albo niezamierzony element może całkowicie zmienić znaczenie. Najlepiej jest użyć świeżego odłamku i wyryć nowy rozkaz.

– A co, jeśli odłamki się kończą?

Ojciec prychnął.

– Pomimo działań Garstki Bezkostnych i tego przemysłownika nigdy nam ich nie zabraknie.

– Nic nie trwa wiecznie. Nawet władza Alanga.

– Bezkostni nie kierują się żadnym planem. Wiedzą, czego nie chcą, ale nie wiedzą, czego chcą. Żaden ruch nie może przetrwać bez wizji przyszłości, ponieważ bez niej nie ma do czego dążyć. Buntownicy nie stanowią rzeczywistego zagrożenia, a ty nie musisz zabierać się do gromadzenia odłamków.

Rozmawiali nie jak nauczyciel i uczeń, lecz jak ojciec i syn. Bayan wyglądał jak młodsza wersja ojca. Nic dziwnego, że ten postanowił go przygarnąć. I nic dziwnego, że rozważał, by zastąpić nim mnie.

Poczułam, że moje brwi się marszczą, gdy obserwuję Bayana, więc przybrałam neutralny wyraz twarzy, zanim ktoś zdążył się zorientować. Miał spokojną minę, ale wciąż zaciskał palce na serwetce. Nie pytał tylko z ciekawości. Pytał, bo pytania sprawiały, że ojciec się odprężał. Ale pytania kładące mu ścisnąć serwetkę jeszcze nie padło.

Na miejscu Bayana wykazałabym się większą cierpliwością. Pozwoliłabym, żeby nastrój w sali jeszcze bardziej się rozluźnił. Ale ambicja Bayana kłóciła się z cierpliwością.

– Czy dasz mi klucz do drzwi z jałowcami chmurowymi? Jestem gotów.

Do drzwi z jałowcami chmurowymi – tych samych, które rozpoznawałam z przeszłości, jakiej już nie znałam. Próbowalam nie wyglądać na zainteresowaną, ale nie musiałam się męczyć. Ojciec w pełni skupił uwagę na Bayanie.

– Daję ci klucze, kiedy to ja uważam cię za gotowego. Skoro ci go nie dałem, to nie jesteś gotów.

Ojciec powiedział to spokojnie, ale obserwowałam, w jaki sposób odłożył pałeczki na bok, choć nie skończył jeść. W takim spokoju kryło się ostrzeżenie. Był jak morze cofające się od brzegu na krótko przed tsunami.

Bayan nie zauważył tego.

– Zrobiłem wszystko, o co mnie prosiłeś, a także rzeczy, o które nie prosiłeś. Za każdym razem, gdy przechodzisz przez te drzwi, wracasz z większymi siłami. Chce wiedzieć, co się za nimi znajduje.

Dłoń ojca wystrzeliła szybciej, niż uważałabym za możliwe w jego wieku. Cios nie mógł szczególnie zaboleć, ale Bayan skulił się i przycisnął dłoń do policzka. Ojciec natomiast chwycił za łaskę. Zaczął ją podnosić, ale zmienił zdanie i zostawił ją na podłodze. Konstrukty siedziały na swoich poduszkach niczym rzeźby i z zainteresowaniem obserwowały zajście.

Zdarzało mu się już bić Bayana. Dopiero teraz to sobie uświadomiłam, ale Bayan nigdy nie potrafił dostrzec, gdzie jest jego miejsce, a ojciec uwielbiał o tym przypominać. Przed laty, gdy był silniejszy, musiało to boleć bardziej.

– Zaczekasz – wyszczał ojciec, dysząc ciężko. – I zachowasz pożądlive myśli dla siebie. Jeśli prosisz o rzeczy, których nie umiesz zrozumieć, oznacza to, że jesteś bardziej nierozważny, niż przypuszczałem.

Bayan potarł miejsce, w które został uderzony. Cios nie był mocny, ale jeden z pierścieni noszonych przez ojca zostawił jaskrawoczerwony ślad.

– Czy pokazałbyś mi, gdybym był twoim prawdziwie urodzonym synem?

Był o mnie zazdrosny. Nie miałam pewności, co o tym myśleć. Sama byłam tak zazdrosna o Bayana, że nie przyszło mi do głowy, co on może myśleć o mojej pozycji.

Zanim zdołałam rozeznąć się w swoich uczuciach, ojciec uniósł lewą dłoń.

– Tirangu.

Konstrukt Wojny się podniósł. Ojciec musiał tylko skrzywić jeden palec, a stworzenie wyciągnęło sztylet zza pasa i zaczęło iść w stronę Bayana.

Nieważne, ile siły zostało w kończynach ojca, jego umysł wciąż był bystry. Temu zaś towarzyszyła kontrola nad wszystkimi konstruktami na wszystkich wyspach cesarstwa.

Teraz Bayan czuł strach, który powinien był czuć wcześniej. Ja natomiast powinnam radować się odniesionym zwycięstwem. Powinnam się nim napawać, tak jak Bayan robił to wielokrotnie w stosunku do swoich kluczy.

Ach... Nie potrafiłam. Perspektywa, że Tirang skrzywdzi Bayana, wzbudzała we mnie mdłości, nie radość. Czułam, jak to uczucie wiruje mi w żołądku, napędzając mnie do działania.

– Ja również mam pytanie! – wypaliłam. Wszystkie cztery konstrukty popatrzyły na mnie, a zagięty palec ojca się rozluźnił. Tirang zatrzymał się na środku sali jadalnej. – Czy nierozwaga jest cechą odziedziczoną, czy też wyuczoną?

Na Bezkresne Morze i wielkie jałowce chmurowe. Nie byłam pewna, co oprócz litości skłoniło mnie do zabrania głosu. Zadziałało, przynajmniej na razie. Ojciec przestał zwracać uwagę na Bayana. Wydawał się zapomnieć o jego obecności. Tirang z powrotem zasiadł na swoim miejscu przy stole. Bayan osunął się na poduszkę, groza spłynęła z niego niczym kurz po deszczu.

Zaś mój ojciec, mający na swoje zawołanie całą potęgę cesarstwa, skoncentrował się na mnie.



17

Jovis

Wyspa w Małpim Ogonie

Zaproponował mi pięć monet więcej, żebym zabrał też chłopca. Był on synem przyjaciela rodziny i dziewczynka nie chciała uciekać bez niego. Suma wydawała się nędzna w porównaniu z tym, co mężczyzna zaoferował za swoją córkę, ale czy i tak nie zmierzałem już w tamtym kierunku? I czym było dwoje skradzionych dzieci, jeśli już zamierzano mnie stracić za jedno? Cesarstwo nie zdoła przecież obciąć mi głowy dwa razy. Może i by spróbowali, ale nie słyszałem dotąd, żeby cesarz podniósł kogoś z martwych.

Powtarzałem sobie te kłamstwa, ponieważ nie chciałem przyznać, że taki obrót sytuacji wydawał się cieszyć Mephiego i że było to dla mnie istotne.

Gdy tylko wyraziłem zgodę, zwierzak zlaźł po mojej koszuli i zaczął wić się dzieciom wokół kostek, prosząc, by drapały go za uszami, co je cieszyło i zachwycało. Uznałem, że w sumie to dobrze. Jeśli mieliśmy dzielić łódź przez kilka następnych dni, to przynajmniej jeden z nas powinien mieć dobry kontakt z tymi dziećmi.

Obserwowałem, jak mężczyzna żegna się z córką i oboje próbują powstrzymywać łzy. Rozstawali się na długo. Mógł zgłosić ją cesarstwu jako zmarłą, ale szpiedzy Ilith byli wszechobecni i gdyby spróbował za nią podążyć, poskładaliby

elementy łamigłówek. Ja sam tęskniłem za rodziną bardziej niż chciałbym przyznać, pozwoliłem im więc na tę chwilę czułości. Od dawna nie zastanawiałem się, co musieli czuć moi matka i ojciec – jeden z synów zmarł w wieku ośmiu lat, drugi był nieobecny od dawna, a jego twarz pojawiła się na cesarskich listach gończych. Nie pisałem do nich, bo nie chciałem zwracać niepożądaną uwagę na fakt, że w ogóle mam rodzinę. Nie myślałem też o tym dlatego, że inaczej czułbym ból, jak przy odrywaniu opatrunku od rany, która jeszcze się nie zaleczyła.

Gdy już skończyli, gestem wezwałem dzieci.

– Chodźcie – powiedziałem do nich. – Trzymajcie się blisko i nic nie mówcie.

– Co z konstruktem? – zapytała dziewczynka.

Obróciłem się i uniosłem palec.

– I widzisz. Mieliście nic nie mówić.

– Ale...

– Jeśli powiecie coś niewłaściwego, zostaniemy schwytani i cesarstwo obetnie mi głowę.

Oboje wybałuszyli oczy i zassali wargi. Mephi stanął na tylnych łapkach i poklepał ich przednimi. Pozwoliłem mu ich pocieszyć, ale nie było sensu osłaniać te dzieciaki przed rzeczywistością. Rozumiały życie i śmierć, choć dorosli lubili sądzić, że jest inaczej. A ja chciałem ująć z tego wszystkiego z głową na karku.

– Zrozumieliście? Świetnie. Idziemy.

Usłyszałem stukot kroków, gdy weszli za mną na pomost. Konstrukst dostrzegł mnie i pospieszył w moim kierunku. Ignorując go, szedłem prosto do łodzi. Mephi wskoczył na pokład, gdy tylko znaleźliśmy się wystarczająco blisko, a ja przykucnąłem, żeby odwiązać cumę. Zaczął padać deszcz, pryskając kroplami o deski i sprawiając, że z miejsca pociemniały od wilgoci. Nie przerwałem, nawet gdy konstrukst zatrzymał się tuż przede mną.

– Trybut odbywa się za pięć dni – oznajmił. – Nie jesteś upoważniony do zabierania dzieci z wyspy na tak krótko przed Festiwałem.

– Rozumiem – odparłem gładko. – Ale jestem żołnierzem i mam rozkaz zabrać te dzieci na wschód.

– Nie jesteś żołnierzem – rzekł konstrukst z nutą triumfu, jakby przez cały dzień rozważał moje wcześniejsze słowa.

– Jestem. Spotkała mnie katastrofa, w której straciłem mundur i odznakę.

– Cesarstwo wyfasowałoby ci je na nowo – odparł konstrukst, wciąż zadowolony z siebie.

– Owszem, gdybym miał czas, żeby o nie poprosić. Ale wykonuję pilną misję, a składanie wniosku o nowy mundur i odznakę opóźniłoby jej przebieg.

Konstrukst wpatrzył się we mnie zmrużonymi oczyma, a pióra na jego głowie się podniosły.

– Jaką pilną misję?

Roześmiałem się, wstałem i wrzuciłem koniec liny na pokład. Łódź oddryfowała kawałeczek od pomostu. Dzieci za moimi plecami na szczęście zachowywały milczenie.

– Czy próbujesz wziąć mnie podstępem? Nie wolno mi mówić o celach misji. Sam cesarz wydał mi rozkaz.

– Sam cesarz?

– Tak. – Patrzyłem konstrukstowi w twarz, nie pozwalając po sobie niczego poznać. Byłem żołnierzem. Mogłem powtarzać sobie to kłamstwo i sprawić, żeby

wydawało mi się prawdziwe. – A teraz odsuń się i pozwól mi ruszyć w drogę.

– Nie mogę pozwalać przemytnikom na swobodne poruszanie się po przystani.

– Jestem cesarskim żołnierzem.

– Nie okazałeś mi żadnego dowodu. Mógłbyś być przemytnikiem. – Przy ostatnich słowach głos istoty wznosił się do jęku.

– A ty nie masz żadnego dowodu, że jestem przemytnikiem – odparłem, po czym sięgnąłem za siebie, by złapać jedno z dzieci za koszulę. – Muszę już płynąć. – Podniosłem nieco dziewczynkę, żeby pomóc jej wskoczyć na łódź, po czym złapałem chłopca. Ponieważ widział, co zrobiłem wcześniej, przeskoczył z moją pomocą.

Konstruktor mruczał coś do siebie głosem brzmiącym jak gwizd czajnika z gotującą się wodą.

Nie czekałem, by sprawdzić, do jakiego dojdzie wniosku. Wskoczyłem na pokład i zabrałem się do pracy przy żaglach. Mephi chodził za mną, ćwierkając. Nawet jeśli wciąż miałem na sobie siniaki po razach otrzymanych od Ioph Carn, nie czułem ich. Żagle podniosły się z łatwością, lina drapała mnie w palce. Deszcz rozpadał się na dobre i szara zwiewna zasłonka opadła pomiędzy nami a resztą świata. Gdy tylko zaczęliśmy wypływać z przystani, podniosłem właz ładowni.

– Wejdźcie tu – poleciłem dzieciom. – Jest ciemno i nieco mokro, za co przepraszam. Pozwólę wam wyjść, gdy tylko znajdziemy się na morzu i z dala od innych jednostek.

Chyba nieco bardziej uwierzyli we mnie po tym, co zrobiłem z konstruktorem. Bez słowa zsunęli się do ładowni, nie skarżąc się nawet wtedy, gdy zamykałem za nimi właz. Mephi biegał od dziobu na rufę i z powrotem, próbując kasać deszcz. Roześmiałem się z jego zachowania. No tak, przecież nigdy wcześniej nie widział czegoś podobnego. Dotąd panowała pora sucha, a to był pierwszy opad pory deszczowej. Zastanawiałem się, czy gdy za siedem lat znowu nadejdzie suchy okres, Mephi będzie go jeszcze pamiętał.

– Tak – powiedziałem, gdy przemykał obok mnie. – Woda z nieba może być czymś niesamowitym.

Przestał gryźć deszcz, żeby na mnie popatrzeć, po czym znów uniósł głowę ku niebu.

– Woda – oznajmił swoim głosem brzmiącym jak zardzewiałe zawiasy. – Woda!

– Tak naprawdę to deszcz. On tylko składa się z... – Urwałem i pokręciłem głową. Nie wiedziałem, dlaczego uznałem, że robi to jakąś różnicę. – Tak – potwierdziłem. – Woda.

Mephi wydał z siebie szczebioczący okrzyk i podbiegł do mnie, żeby uderzyć swoim małym ciałkiem w moje gołenisko.

– Woda. Dobrze!

– Chyba tak. – Usiadłem przy sterze i pozwalałem, żeby deszcz moczył mi ubranie.

Minęło sporo czasu, odkąd ostatnio tak padało. Miałem trzynaście lat, kiedy zaczęła się ostatnia pora deszczowa, i znajdowałem się akurat na plaży z Emahlą. Urządziliśmy sobie zabawę polegającą na tym, że sprawdzaliśmy, jakie łupy możemy wyciągnąć z morza i wygrzebać z piasku. Właśnie schwytałem ogromnego tęczowego kraba i, piejąc z radości, niemal wepchnąłem go jej w twarz.

– A ty co masz? Kilka małży i jeżowca? Ja mam – złapałem skorupiaka za odnóża i szczypce i zacząłem nimi machać – największego i najsmaczniejszego z krabów. Oto Krab Korlo, który z chęcią cię pozna. W wolnym czasie zatapia łodzie.

Zatem widzisz, nie tylko zdobywam jedzenie, żeby było co włożyć do garnka. Chwyając tego kraba, zostałem bohaterem. Będą śpiewać o mnie pieśni. Jovis, pogromca krabów! Zbawca mórz!

Emahla tylko wywróciła oczyma.

– Znowu opowiadasz bajki? Ale z ciebie kłamczuch.

Krab wykręcił mi się w dłoni i uszczypnął mnie pomiędzy kciukiem a palcem wskazującym.

– Auć! A niech to! – Upuściłem go, a Emahla wybuchnęła śmiechem.

Właśnie wtedy nagle zaczęło padać. Chmury zbierały się już od wielu dni, ale wybrały ten moment.

Oboje urodziliśmy się w porze deszczowej, choć minęło od niej trochę czasu. Owszem, w porze suchej zdarzały się deszcze, ale nie takie. Miałem wrażenie, jakby w niebie znajdowało się morze i powstrzymująca je tama wreszcie puściła. Z chmur lało się jak z wodospadu. Emahla znów się zaśmiała, odrzuciła ręce i głowę w tył, pozwoliła, by jej wiaderko z krabami upadło na piasek. I właśnie wtedy – gdy deszcz przykleił jej włosy do głowy, sperlił się jak szklane paciorki na rzęsach, spływał jak lzy po zarumienionych policzkach – już wiedziałem.

– Jesteś piękna – wypaliłem, na zawsze zmieniając naturę naszej przyjaźni.

Uleciała z niej cała radość.

– Ale z ciebie kłamczuch – powtórzyła, ale tym razem w jej głosie nie było już takiej pewności. Po czym obróciła się i biegiem opuściła plażę, zostawiając wiaderko.

Nie odzywała się do mnie przez kolejnych czternaście dni, co wydawało się wiecznością. Kilka razy pukałem do jej drzwi, ale byłem uprzejmie odprowadzany przez jej matkę albo ojca. Kiedy raz otworzyła jej młodsza siostra, oznajmiła bezceremonialnie: „Ona nie chce cię widzieć”, po czym zamknęła mi drzwi przed nosem, zanim zdążyłem o cokolwiek zapytać.

Zapomniałem już, jak wyglądało życie, zanim się zaprzyjaźniliśmy. Próbowiałem znaleźć innych chłopaków i dziewczyny do zabawy. Choć nie protestowali zbyt, gdy dopuszczali mnie do swoich grup, najpierw pytali, czy mówię choć trochę po poyersku, czy to prawda, że Poyerczycy trzymają w obejściu niedźwiedzie i co tak naprawdę oznacza moje imię. Na pewno coś musiało znaczyć. Nie śmiali się z tych samych żartów, co Emahla. Mieli własny język, a ja gubiłem się, gdy próbowałem się zaadaptować. Pragnąłem pociechy, jaką dawała mi obecność Emahli, tego, jak się nawzajem rozumieliśmy.

Gdy wreszcie znowu do mnie zapukała, z ulgi nie mogłem oddychać. Nie próbowała udawać, że nic się nie stało, ani wracać do naszych wcześniejszych rozmów. Stała w moim progu, a czarne włosy upięte czerwonymi wstążkami okalały jej poważną twarz. Oczy miała tak ciemne, że miałem wrażenie, jakby mogły mnie pochłonąć.

– Możemy być przyjaciółmi – powiedziała krótko. – Nic więcej.

Byłem niewiele więcej niż chłopcem, z całą towarzyszącą temu niezdarną ochoczością szczeniaczka.

– Tylko żartowałem. Daj spokój, nie strasz mnie tak. Nie mówiłem poważnie.

Wpatrywała się we mnie i moje kłamstwa były jak mokre arkusze papieru, rozpadające się przy najbliższym dotyku. Czulem się, jakbym zwiądnął pod jej wzrokiem.

– Chcesz iść pozbiierać kokosy? – spytała.

Skinąłem głową i włożyłem buty.

Później już nigdy nie było tak samo, choć oboje się staraliśmy. Pojąłem, że polubiłem kobiety i że Emahla szybko stawiała się jedną z nich, do tego ją lubiłem bardziej niż wszystkie pozostałe razem wzięte. Gdy wieczorami siadywaliśmy na ławce i wpatrywaliśmy się w gwiazdy, opowiadała mi, że zakochała się we mnie pewnego deszczowego dnia w kuchni mojej matki.

– Pomagałeś jej lepić pierogi – rzekła, opierając głowę o moje ramię. – Milczałeś. Choć raz w życiu milczałeś. A gdy usiadłam obok ciebie, by pomóc, ramię w ramię, poczułam przyszłość w tym milczeniu. Zawsze mówisz tyle rzeczy. Wiecznie, wiecznie gadasz. Tyle opowieści! Ale dopiero gdy zamilkłeś, poczułam prawdę spoczywającą pod tymi wszystkimi opowieściami, tymi wszystkimi słowami. Zawsze wiedziałam, że umiemy się razem śmiać, że umiemy robić zabawne rzeczy. Ale nigdy nie sądziłam, że mogę powiedzieć ci, co kryje się w moim sercu, dzielić się z tobą bólem i rozczarowaniem, żebyś mógł to ująć w dłoń. Żebyś mógł mi szeptać własne smutki. Zawsze myślałam, że rzuciłbyś tylko żartem albo opowiedział mi zabawną historyjkę o rybaku, który przypadkowo złapał księżyc na haczyk.

Pocałowała mnie dzień po tamtych pierogach, równie poważna jak wtedy, gdy mówiła, że możemy być tylko przyjaciółmi. A później się rozeźmiała i ja się rozeźmiałem, i znów ją całowałem, i znów, zupełnie jakby świat był morzem, a ona jedynym powietrzem, jakim mogłem oddychać.

Gdy siedziałem teraz w łodzi i wspominałem to, nie potrafiłem określić, czy płaczę. Czułem na twarzy ciepły deszcz. Mephi podpełznął do moich stóp. Popatrzył na mnie, a później wskoczył mi na kolana. Stał na tylnych łapkach i oparł mi przednie na piersi.

– Niedobre? – spytał, spoglądając mi w oczy.

– Inaczej. – Odchrząknąłem. – To takie dobre, które cię smuci, bo już tego nie masz. Bardzo dobre.

Przycisnął głowę do mojego podbródka i połaskotał mnie wąsami w szyję.

– Bardzo dobre – oznajmił łagodnie.

Pogładziłem niewielkie wybrzuszenia na jego głowie. Zastanawiałem się, co Emahla pomyślałaby o tym stworzeniu.

– Pewnego dnia znowu to znajdziemy.

Oparł mi się o pierś i westchnął.



18

Lin

Wyspa Cesarska

Czułam na szyi puls dudniący mi pod uchem. Ojciec skrzyżował ze mną wzrok. Tak bardzo chciałam odwrócić spojrzenie, skierować je gdzieś indziej, w jakiś sposób się wymówić. Dlaczego przeciągnęłam jego uwagę z Bayana na siebie? Czy zamierzał wysłać Tiranga, żeby mnie skrzywdził? Mimo to trzymałam uniesioną głowę i śledziłam każdy ruch jego twarzy. Gniew rozpalony niczym kowalska kuźnia, a później konsternacja. Strach, który mignął tak szybko, że niemal go przegapiłam. Wreszcie jego oblicze zastygło w wyrazie zażenowania.

– Niewykłuczone, że nierozwaga jest cechą wyuczoną – powiedział z niechęcią.
– Robię, co w mojej mocy, żeby jej nie uczyć. – Opuścił dłoń na stół.

Tirang podszedł z powrotem do swojego siedziska, zupełnie jakby przed chwilą wcale nie zamierzał się zniszczenia.

Odetchnęłam. Bayan wyglądał, jakby czuł mdłości z ulgi.

Nie umknęłam jeszcze przed wszystkimi konsekwencjami. Spojrzenie ojca dalej na mnie spoczywało.

– Czy poczuwasz się do większej rozwagi, skoro decydujesz się pouczać mnie na temat jej braku?

- Nie, oczywiście, że nie – odparłam i tym razem w końcu spuściłam wzrok.
- Przypominam ci, że masz jedynie sześć kluczy.
- Dziewięć, skorygowałam w myślach.
- To prawda – rzekłam.

Usłyszałam, że porusza się na poduszce i muska palcami blat stołu. Kiedy znowu na niego popatrzyłam, zauważyłam, że odsunął talerz na bok i złożył dłonie przed sobą.

– Mówiłaś, że medytowałaś o swojej przeszłości. Moim zdaniem to dobrze, że wreszcie się przykładasz i nie zostaje to niezauważone. – Sięgnął do kieszeni w szarfię i wyciągnął klucz. Stuknął nim w drewno. – Mam do ciebie kilka pytań.

Po raz pierwszy podczas oczekiwania nie czułam się słaba. W brzuchu szalał mi gniew. Ojciec położył klucz na blacie, jakbym była psem, a przedmiot smakowałykiem. Tak, da mi go, lecz dopiero po tym, jak wykonam sztuczkę. Tak wiele razy odmawiał mi satysfakcji. Ale teraz byłam już po lekturze części dziennika. Mojego dziennika.

- Pytaj – rzuciłam.

Musiałam zdradzić odrobinę odczuwanej złości, ponieważ ojciec wydawał się nieco zbity z tropu. Siedzący obok niego Bayan skulił się na swoim siedzisku i wyglądał, jakby żałował, że nie może zapaść się w podłogę. Ojciec szybko jednak zebrał się w sobie.

- Z kim najbliżej przyjaźniłaś się w dzieciństwie?

Pozwoliłam sobie odpowiedzieć błędnie na dwa pierwsze pytania – zawsze zadawał trzy – choć chrząkałam i jękałam się, jakbym naprawdę starała się znaleźć w sobie wyjaśnienie.

– Być może powinnam jeszcze więcej pomedytować – oznajmiłam po drugim pytaniu.

– Jaki był twój ulubiony kwiat? – zapytał ojciec z wyrazem niezadowolenia na twarzy.

Między pierwszymi stronicami książeczki zasuszone gałązkę z kwiatkami jaśminu, których woń mieszała się z zapachem starego papieru.

– Jaśmin – oznajmiłam. Przerwałam i zamknęłam oczy, po czym odetchnęłam głęboko. – Chyba zostawiałam go sobie trochę, nawet gdy minęła już na niego pora. Suszyłam go i wachałam, choć płatki dawno stały się kruche.

Z twarzy ojca zniknęło napięcie. Pojawił się na niej zachwyt i coś jeszcze. Nadzieja? Naprawdę miał nadzieję, że odzyskam wspomnienia? Jeśli tak, to dlaczego nie opowiadał mi dawnych wydarzeń przy każdej naszej rozmowie? Przecież w ten sposób znacznie szybciej zaczęłabym odzyskiwać pamięć.

– Tak – rzekł łagodnie. – Kochałaś jaśmin, nawet bardziej niż wszystkie egzotyczne lilie z ogrodu. – Wydawał się spoglądać gdzieś w dal.

Pozwoliłam mu zatracić się we wspomnieniu, które przywołał, choć tak naprawdę miałam ochotę nim potrząsnąć i spytać, o co mu chodzi. Zamiast tego odczekałam chwilę, po czym chrząknęłam.

- Klucz?

Ojciec otrząsnął się z zadumy i znów sprawiał wrażenie starca, którym w istocie był.

- Tak. – Przesunął przedmiot po stole w moją stronę.

Zaczekałam, aż cofnie dłoń, zanim podniosłam klucz. Wykonano go z brązu, był mały i wciąż ciepły w dotyku, na jego główce wybito prosty znak bambusa. Robił zdecydowanie mniejsze wrażenie niż inne, które widziałam na łańcuszku ojca, ale

zaczynałam się już orientować, że stopień złożoności klucza miał niewiele wspólnego z wartością sekretów, jakie odnajdywałam za chronionymi nim drzwiami.

– Do których drzwi pasuje?

Ojciec machnął lekceważąco ręką.

– Możesz sama się przekonać. Idźcie już oboje.

Bayan poruszył się nerwowo, jakby spodziewał się kolejnego ciosu. Ledwo tknęłam posilek, ale podniosłam się na nogi i patrzyłam, jak Bayan robi to samo. Gdy się wyprostował, wygładził tunikę i wytarł sobie kącik ust, wyglądał, jakby odzyskał odrobinę godności. Ruszył w stronę drzwi, szerokim łukiem omijając mojego ojca, a jeszcze szerszym cztery konstrukty. Wyszłam za nim na korytarz.

Gdy drzwi zamykały się za mną, słyszałam jeszcze głos Uphilii mówiącej do ojca o podatkach i opłatach prowizyjnych.

Bayan nie oddalił się od razu, tylko ociągał się niespokojnie, przestępując z nogi na nogę, jakby wiedział, że musi gdzieś się znaleźć, ale nie jest pewien gdzie.

Wykonałam ruch, jakbym chciała go minąć.

– Dziękuję ci – wypalił. – Nie musiałaś przychodzić mi z pomocą. Byłoby dla ciebie lepiej, gdybyś tego nie zrobiła.

Przyjrzałam mu się z rozumą.

– Gdybym tego nie zrobiła, musiałabym patrzeć, jak Tirang zalewa podłogę twoją krwią. Nie jest to moja ulubiona wieczorna rozrywka.

Bayan wybuchnął krótkim, nerwowym śmiechem. Zupełnie opuściły go całe wdzięki i spryt.

– Nie musiałaś tego robić. – Ściągnął wargi, a rozszalały blask w jego oczach przygasł, choć na skroniach wciąż perlił mu się pot. – Dziękuję ci – powtórzył.

– To ja powinnam ci podziękować za radę dotyczącą medytacji – odparłam. – Najwyraźniej pomogło.

Wzruszył ramionami.

– Nie mówiłem tego, żeby ci pomóc. Nie kierowałem się dobrymi intencjami.

– Wiem. – Byłam jednak świadoma, że mnie nie nienawidził. Może to dziwne, ale byłam mu za to wdzięczna.

Oboje przez chwilę wpatrywaliśmy się w siebie. Spojrzenie Bayana wydawało się zamyślane, jakby ważył coś w głowie. Następnie wcisnął dłonie w szarfę i podbródkiem wskazał moje palce.

– Twój klucz. Wiem, do jakich drzwi pasuje.

Wciąż go trzymałam. Metal wydawał się zimny w moim uścisku.

– Tak?

– Pokażę ci.

Wolałabym, żeby po prostu mi powiedział, ale nie chciałam ryzykować utraty tej odrobiny życzliwości ze strony rywala, zatem podążyłam za nim krętą drogą przez pałac. Ani razu nie obejrzał się za siebie, żeby sprawdzić, czy wciąż mu towarzyszę, nawet gdy mijaliśmy służbę i wspinaliśmy się na drugie piętro. Trafiliśmy w miejsce, którego nie odwiedzałam często, położone na tyłach budynku – tam, gdzie pałac tkwił w zboczu góry. Drzwi, przed którymi się zatrzymaliśmy, były brązowe i tak niskie, że Bayan musiał się pochylić, żeby się przez nie przedostać. Drewno wyglądało na stare, a u podstawy łuszczył się z niego lakier.

– Tutaj?

Skinął głową.

Czując się trochę dziwnie, wsunęłam klucz do zamka i przekręciłam.

Drzwi otwierały się na niebo. Po obu ich stronach umieszczono ścianki chroniące ścieżkę przed wiatrem i intruzami. Były one lepiej utrzymane niż mury otaczające pałac, na gładkim gipsie nie dało się dostrzec pęknięć. Schody prowadziły pod górskie zbocze, a każdy stopień był pomalowany na złoto przez zachodzące słońce.

Bayan wślizgnął się za mną, zanim zamknęłam drzwi. Popatrzyłam na niego pytająco, ale nic nie powiedział, czekał tylko, aż przekręcę klucz w zamku. Minęłam go, gdy dotarliśmy do schodów. Czuć było od niego to samo sandałowe drewno co od ojca. Zastanawiałam się, czy stosuje tę woń z wyrachowaniem, jak osierocony szczeniak próbujący przyswoić zapach dorosłego, żeby ten go przygarnął. A może był bardziej podobny do ojca niż ja i nawet wybierał te same perfumy.

Stopnie były nierówne, niektóre tak wysokie, że musiałam podpierać się o ścianę, żeby się po nich wspinać. Inne miały wysokość zaledwie dwóch moich złączonych palców. Bardzo zazdrościłam Bayanowi długich nóg, ale nie wyprzedzał mnie. Cekał, gdy się męczyłam, choć nieraz słyszałam jego śmiech, kiedy zmagalam się ze szczególnie wysokim schodkiem. Zacisnęłam zęby. Raz obejrzałam się za siebie i zmrużyłam oczy pod słońce, by sprawdzić, jak daleko zabrnęłam. Łańcuch stopni za mną wywoływał zawrót głowy. Poda mną rozciągały się kryte dachówką budynki pałacu. Miałam wrażenie, że gdybym wybiła się odpowiednio mocno, mogłabym na nich wylądować.

Kiedy wreszcie dotarłam na szczyt, nie tylko wysiłek wspinaczki odbierał mi dech.

Schody wychodziły na okrągły dziedziniec otoczony murem. Dalej wznosiły się góry, których poszarpane szczyty okalały kamienną ściankę. Na środku dziedzińca, zajmujący skrzyżowanymi gałęziami niemal całą przestrzeń, rósł jałowiec chmurowy.

Nawet jeśli widziałam już wcześniej tę roślinę, nie pamiętałam tego. Przypominały mi się tylko jej płaskorzeźby albo malunki. Rosła głównie w górach i dzięki niezwykle długim korzeniom potrafiła sięgać do samych głębin wysp. Większość żyjących jałowców chmurowych była albo niedostępna, albo zamknięta za murami klasztorów, gdzie troszczono się o nie i czczono je. Ich jagodami, liśćmi i korą zarządzali mnisi, którzy rzadko kiedy udostępniali je innym.

Wykonałam kilka niepewnych kroków w jego stronę, wciąż nie wiedząc do końca, czy jest prawdziwy. Następnie uniosłam dłoń, żeby objąć gałąź palcami. Nozdrza wypełnił mi jej ostry, żywiczny zapach, a krótkie igielki ukłuły mnie w skórę. Na końcu gałązki tkwiło kilka ciemnych jagód. Miałam ochotę zanurzyć w nich twarz i wdychać ich zapach.

– Uważaj, żeby niczego nie zabierać – ostrzegł mnie Bayan. – Nie możesz nic wziąć bez zgody cesarza.

– Kto o niego dba?

– Ja. Choć spodziewam się, że ojciec poprosi cię o przejęcie części tych obowiązków.

– To dlatego mi go pokazałeś? – spytałam z rozbawieniem. – Żebyś miał kogoś do pomocy?

Spojrzałam pomiędzy gałęzie i dostrzegłam jednego z małych szpiegów Ilith z ogonem owiniętym wokół konaru. Pisnął na mój widok, wspiął się wyżej, po czym obrócił, żeby znów mnie skarcić. Jakie to było podobne do ojca, żeby nie ufać nawet własnemu przybranemu synowi.

– A możesz mnie winić? – odparł Bayan. – Cesarz kazał mi nauczyć się wszystkich rozkazów, co jest jak uczenie się zupełnie nowego języka, a oprócz tego

składania konstruktów, dbania o jałowiec chmurowy i tajników polityki. Rzadko mam choć chwilę dla siebie, zanim znowu mnie wezwie, by zlecić mi to czy inne zadanie. – Bayan popatrzył na małego szpiega. – No, idź, o tym też donieś. Nie obchodzi mnie to. – Istota jedynie poruszyła ogonem i dalej nas obserwowała. – Przynajmniej tobie daje spokój.

Chuchnęłam. Mój oddech smakował goryczą.

– Tak, daję mi spokój, bo uważa mnie za wybrakowaną.

– Ale trochę się poprawiasz.

Spojrzałam na niego – na czarne, lśniące oczy, pełne wargi, kanciasty podbródek – i zastanawiałam się, czy kiedykolwiek mogłabym mu zaufać. Nie potrafiłam odczytać wyrazu jego twarzy. Nie była pusta, ale też nie zdradzała żadnych sekretów. Tak naprawdę nie znałam Bayana, chyba że jako rywala. Niemal od razu po tym, jak wyszłam z choroby, gdy szukałam w umyśle jakichkolwiek wspomnień z poprzedniego życia, już był obok mnie jako nieustanne zagrożenie. Od samego początku ojciec wyraźnie dał mi do zrozumienia, z kim rywalizuję.

– Chcesz zostać cesarzem?

– Oczywiście, że tak – odparł.

– Dlaczego?

– Bo co by się ze mną stało, gdybyś to ty została cesarzową? Czy byłabyś zadowolona, że w tym pałacu mieszka inna osoba znająca tę samą sekretną magię co ty? Twoja rodzina zawsze zazdrośnie strzegła magii odłamków. A teraz twój ojciec przygarnął mnie i uczy wszystkiego, co wie. Nie jestem głupcem. Zdaję sobie sprawę, co się ze mną stanie. Jeśli pozostanę przy życiu, będę ci kulą u nogi.

Miał rację, choć myśl, że mogłabym kazać stracić Bayana, wywoływała we mnie mdłości. Musiał istnieć inny sposób.

– Czy to jest jedyny powód?

Oparł się o pień jałowca chmurowego. Wyglądał na równie zmęczonego jak mój ojciec, a przecież miał tylko ułamek jego wieku.

– A ma to jakieś znaczenie? Robię to, żeby przetrwać. Ty również. A teraz popatrz tylko. Oboje mamy po siedem kluczy.

– Jesteśmy rywalami.

– Tak. I tutaj tylko to się liczy. – Odsunął się ode mnie i zaczął schodzić po schodach tak szybko, że nie mogłam za nim podążyć.

Słońce zaczęło zanurzać się za horyzont i oblewało wszystko bladoniebieskim światłem. Stałam sama na ciemniejącym dziedzińcu, a wiatr potrząsał gałęziami.



19

Phalue

Wyspa Nephilanu

Phalue uniosła kubek do ust i udała, że pije. Siedzący u szczytu stołu ojciec rzucił jej spojrzenie aprobaty, a ona postarała się, żeby nie wywrócić oczyma. „Powinnaś spróbować się rozluźnić”, mówił do niej nieraz. Jeśli nie liczyć szerokich barków i wzrostu, nie była pewna, co po nim odziedzyczyła. Siedział na poduszce gnuśnie i bez wdzięku, z czarnymi włosami zebranymi z tyłu i chudymi kończynami schowanymi pod brokatowymi tkaninami. Phalue nienawidziła brokatu. Było jej w nim gorąco i ciężko, wywoływał swędzenie. Wolała proste i funkcjonalne stroje. Lubiała sparingi, zaś ojciec gardził wysiłkiem fizycznym. Ceniła sobie spacerzy po mieście, wśród jego mieszkańców. On tkwił w pałacu jak żółw w skorupie.

I Ranami miała chętność mówić jej, że Phalue nie znała niczego poza otaczającą ją bańką? Znała mnóstwo rzeczy. Jej matka wywodziła się z gminu. Owszem, dom matki był znacznie przyjemniejszy niż maleńkie mieszkanko Ranami, do tego po poślubieniu gubernatora miała więcej pieniędzy, ale wcześniej dorastała wraz z dwoma braćmi w jednym pokoju. Jej matka wiedziała, co to znój. A Phalue często spędzała czas z ludźmi z miasta. Zanim poznała Ranami, sporo takich osób skusiła do swojego łóżka. Czego nie wiedziała o obywatelach, którymi władał jej ojciec? Dlaczego Ranami wciąż twierdziła, że nic nie rozumie? Czy to była jakaś rywalizacja, kto wycierpiał więcej? A gdyby w niej przegrała, czy byłaby to w ogóle jej wina?

Gdy jej matka została żoną gubernatora, przekonała go do obniżenia norm. Lecz ojciec na własne oczy widział, jak jeden z rolników się leni, a jego drzewa są nieprzycięte. Co Ranami proponowała w związku z tym? Najwyraźniej ukraść orzechy caro, żeby rozdać je ludziom.

– Najdroższa, znowu masz skwaszoną minę – powiedział ojciec. Piękna młoda kobieta opierała się o jego bok i trzymała dłoń w zgięciu jego łokcia. Phalue nie potrafiła przypomnieć sobie jej imienia. Taila? Shiran? Uznała, że to właśnie łączyło ją z ojcem: zamiłowanie do pięknych kobiet. Ale Ranami była nie tylko piękna.

Znów ta narastająca fala miłości zmieszanej z frustracją. Phalue złagodziła wyraz twarzy.

– Myślałam właśnie o transporcie orzechów caro.

Ojciec uniósł brew.

– Czy moja awanturnicza córka nagle zainteresowała się handlem i biurokracją?

– A ty się nimi interesujesz?

Wzruszył ramionami.

– Nie powiedziałbym tego, ale jest to jeden z elementów mojego stanowiska.

– Nephilanu wchodzi w porę deszczową. Co byś powiedział, gdybyśmy w tym roku zaskoczyli rolników? Nie obniżaj norm do chwili zakończenia zbiorów, ale gdy już to nastąpi, niech wszyscy, którzy wypełnili niższe normy, mogą zatrzymać część orzechów. Mają większą szansę zapaść na chorobę bagienną, pracując na polach, niż szlachta w centrum cesarstwa.

Ojciec odstawił kubek.

– Masz zbyt miękkie serce, Phalue. Musisz nad tym popracować, zanim przejmiesz rządy. Dałem im ziemię, a oni w zamian muszą mi się jakoś odplacić. To uczciwy układ. Drzewa nie zajmują całego terenu, a na reszcie mogą uprawiać inne rzeczy. Nie zmuszałem ich do tego, poszli na układ z własnej woli. Jeśli nie wyrabiają norm, jest to kwestia lenistwa z ich strony. – Pokręcił głową i znów się napił. – Mówisz jak jedna z Bezkostnych. Zachowaj swą litość dla nieszczęśników, którzy nie mają wyboru.

Phalue zmarszczyła brwi. Takie same argumenty sama powtarzała w rozmowach z Ranami. Nie była jednak pewna, czy opisałaby rolników jako leniwych, wbrew opinii ojca.

– I znów kwaśna mina.

Postanowiła zmienić temat.

– Fontanna na dziedzińcu. Powinieneś ją zniszczyć. Ludzie gadają o powrocie Alanga. Wiesz przecież, że teraz to nie jest już tylko fontanna. To artefakt, którego mogą użyć przeciwko tobie, gdyby wrócili.

Kobieta u jego boku pobladała.

– Nie jesteś jeszcze gubernatorką – rzekł lekko. – Oczy mu się zamknęły. Nic się nie wydarzyło. Fontanna stanowi element dziedzińca od pokoleń. Zadaniem cesarza jest nie dopuszczać do nas Alanga i Sukaiowie dobrze o to dbają od setek lat. Nie rozumiem, dlaczego teraz mielibyśmy przestać im ufać.

W normalnych okolicznościach zbyłaby ojcowski spokój ducha wzruszeniem ramion, teraz jednak ją niepokoił, jak śwędzące miejsce, którego nie mogła podrapać.

– Powinnam iść – powiedziała, podnosząc się.

– Już? Ledwo co zjadłaś.

– Spotykam się z Ranami w mieście. Wybieramy się z wizytą na wieś. – Prawda, a jednak nie do końca. Nie wybierały się z wizytą. Zamierzały ukraść orzechy caro. Na tę myśl poczuła, jak kotłuje jej się w żołądku, jakby fala przelewała się po skalistym brzegu.

– Tak się cieszę, że się z nią pogodziłaś – oznajmił ojciec, sięgając po banana. – Wolałbym, żebyś posłubiła kogoś ze szlachty, choć pewnie namawianie cię do tego byłoby z mojej strony pewną hipokryzją. – Ściągnął wargi, skupiając się na obieraniu owocu. – Ale powinnaś wziąć ślub, przygarnąć jakieś dzieci, wybrać dziedzica. Nie będę żył wiecznie.

Jeśli wziąć pod uwagę, ile pił i chował się w pałacu, to „wiecznie” raczej okaże się krótkie. Phalue pokręciła głową.

– Nie zamierzam toczyć na nowo tej rozmowy. Wezmę ślub wtedy, kiedy zechcę. – Czyli najwyraźniej wtedy, kiedy zechce tego Ranami, jeśli w ogóle kiedyś będzie do tego gotowa. – Spróbuję wrócić na kolację.

– Jeśli zobaczysz się ze swoją matką, powiedz jej, żeby zajrzała z wizytą.

Phalue jedynie wzruszyła ramionami na tę propozycję i wyszła z komnaty. Jej matka nienawidziła takich odwiedzin.

Ranami czekała na nią za drzwiami swojego domu. Phalue ledwo zdążyła zapukać, a już się otworzyły.

– Spóźniłaś się – rzekła Ranami z zaróżowionymi policzkami. Wyszła i zamknęła mieszkanie. Zrobiła to cicho, ale gwałtownymi ruchami, jakby chciała wyraźnie uzmysłwić Phalue, że ta ją rozzłościła.

– Musiałam zostać na obiedzie z ojcem.

– Nie podchodzisz poważnie do tej sprawy. – Ranami popatrzyła na chmury w próżnym wysiłku, by znaleźć pomiędzy nimi choć skrawki słońca. – Musimy się pospieszyć. Potrzeba czasu, żeby dotrzeć do gospodarstw, a nie może nas zobaczyć żaden z nadzorców. – Wepchnęła zgrzebny brązowy płaszcz w dłonie Phalue. – Musiałas zabrać miecz? Będzie się rzucał w oczy.

Okrycie okazało się nieco za małe na kogoś o rozmiarach Phalue. Gdy je włożyła, sięgało jej do połowy łydki. A miecz rzeczywiście się wyróżniał.

– Mogę przymocować go sobie na plecach. – Rozpięła pas i zapięła go na nowo wokół ramion jak bandolier. – Proszę bardzo.

Ranami posłała jej tylko rozdrażnione, sceptyczne spojrzenie, po czym chwyciła ją za rękę.

– Musi wystarczyć – rzuciła.

Razem opuściły miasto i choć Ranami była zirytowana, nie puszczała ręki Phalue. Bruk ulic przeszedł w pył i błoto, dachówki w strzechy. Budynki znikły pomiędzy drzewami i krzakami lasu.

Była to swoista przygoda, przynajmniej w takim stopniu, na jaki Phalue mogła w ogóle liczyć. Niechętnie zgodziła się pomóc Bezkostnym, ale jakie szkody wyrządzi kradzież paru orzechów? I co mogło się z nią stać, gdyby została schwytana?

Zapłaciły za jazdę wózkami ciągniętymi przez woła w kierunku gospodarstw. Pojazd chwiał się i skrzypiał na każdej nierówności, a Phalue patrzyła, jak Ranami wpatruje się w drzewa. Wiatr poruszał jej długimi, ciemnymi włosami, a tło w postaci pochmurnego nieba sprawiało, że wyglądała niczym bogini burzy. Nawet otulona zgrzebnym brązowym płaszczem była piękna, a to dzięki determinacji widocznej w napiętych szczękach, odrobinie troski w zmarszczonych brwiach i ciemnym, poważnym oczom.

– Przeczytam te książki, które mi dałaś – rzekła Phalue. – Gdy wrócimy.

– Zawsze tak mówisz – odparła Ranami nieobecny głosem.

Phalue wyciągnęła do niej rękę i objęła jej ramiona, przyciągnęła bliżej i pocałowała zmarszczkę pomiędzy brwiami. Przepraszała, pomyślała. Chciała, żeby Ranami zrozumiała. Wiedziała, że jest to dla niej ważne, więc Phalue musiała sprawić, żeby było ważne również dla niej. Ranami westchnęła i wtuliła się w nią. Pasowały do siebie jak dwie połówki jednego orzecha. W takich chwilach wydawało się, że wszystko jest pomiędzy nimi w porządku.

Zacząło padać tuż przed tym, jak dojechały do gospodarstw. Phalue nie pamiętała, jak wygląda pora deszczowa, w końcu od poprzedniej minęło siedem lat. Gdzieś w szafie w domu wisiał nieprzemakalny płaszcz, który już na nią nie pasował. Zgrzebna peleryna całkiem nieźle powstrzymywała wilgoć, a deszcz sprawi tylko, że trudniej będzie je zauważyć. Gdy przed nimi pojawił się sad, Ranami zastukała knykiami w wózek.

– Wysiądziemy tutaj, dziękujemy.

Phalue wzięła Ranami za rękę i pomogła jej wysiąść. Deszcz lał się na kaptur płaszcza Ranami i tkanina kleiła się jej do czoła. Gdyby znajdowały się w mieście, dzieci biegałyby po ulicach, zdumione, że może spadać tak wiele wody. Z biegiem czasu zaczęła tęsknić za słonecznym, czystym niebem, na razie jednak deszcz był mile widziany.

Błoto chłupotało im pod stopami, gdy biegły w stronę najbliższej chaty, gdzie miał się z nimi spotkać Gio. Phalue musiała zapukać dwukrotnie, zanim drzwi uchyliły się ze skrzypieniem.

– Spóźniłyście się – rzekł Gio, otwierając im.

Phalue postarała się, żeby nie wywrócić oczyma.

– Ale jesteście, a to miejsce raczej nie leży blisko miasta. Zgodziłam się pomóc, więc miejmy to już z głowy.

Ranami i Gio wymienili spojrzenia.

– Wchodźcie – powiedział w końcu. – Przemokniecie tam do suchej nitki.

Gdy znalazły się w środku, Ranami puściła dłoń Phalue i odsunęła się o krok. Phalue miała dziwne wrażenie, że Ranami się jej wstydzi, teraz jednak nie mogła się do tego odnieść.

Okazało się, że w chacie jest jedynie marginalnie mniej mokro niż na zewnątrz. Podłogę wykonano z oheblowanych z grubsza desek, pomiędzy którymi widniały szpary tak duże, że mogłyby przecisnąć się przez nie mysz. Strzecha przeciekała w paru miejscach, a jakiś mężczyzna rozstawiał właśnie miski, żeby łapać wodę. Kropelki stuknęły o glinę, tworząc dziwną symfonię.

W pokoiku sąsiadującym z głównym pomieszczeniem Phalue dostrzegła młodą kobietę tulącą dziecko w ramionach. Kołysała się i przemawiała łagodnie do maleństwa, a deski podłogi skrzypiały za każdym razem, gdy przenosiła ciężar z nogi na nogę.

Za jedyny luksus w całej chacie służył gruby chodnik. Wprawdzie miejscami wytarty i spławiący, ale o złożonym splecionym wzorze.

Ranami podeszła do Gio, po czym podeszła do mężczyzny rozstawiającego miski. Włosy przetykała mu siwizna, a jego ciemne oczy były niemal równie duże jak u niej. Miał łagodną krzywiznę nosa, pełne wargi i wyrazisty, spiczasty podbródek. Wstał i rozłożył przed nią ramiona.

Gdy skończyli się obejmować, Ranami obróciła się do Phalue.

– Phalue, to mój brat Halong.

Phalue miała wrażenie, jakby świat się zatrzymał. Ranami nigdy nie wspominała o żadnej rodzinie. Dotąd wydawało jej się, że dorastała samotnie na ulicach.

– Nie rodzony – wyjaśnił Halong z uśmiechem na ustach. – Ale jeśli zdobywa się jedzenie w rynsztokach, to gdy znajdziesz kogoś, komu możesz zaufać, jest to cenniejsze niż złoto.

– Miło cię poznać – rzekła Phalue. Przyłożyła dłoń do serca w geście powitania, a mężczyzna zrobił to samo, choć jego uśmiech zgasł.

Pierwszy raz od dawna Phalue czuła się nie na miejscu. Co tu robiła wraz z przywódcą Garstki Bezkostnych i rolnikiem uprawiającym orzechy caro? Czy naprawdę właśnie tego chciała Ranami? Phalue była przecież córką gubernatora wyspy, czy to niczego nie oznaczało? Gdy pozwoliła dłoni opaść wzdłuż boku, poczuła, że zaciska ją w pieść. Musiała im się jawić jako brutalna bogaczka, karmiona z wykwintnego stołu ojca, a choć miała na sobie prosty strój, mimo wszystko zdobiły go hafty na mankietach i kołnierzu. Otuliła się mocno szorstkim płaszczem, nie zważając na to, że wciąż jest pokryty kroplami deszczu.

– Mam na imię Phalue.

– Wiem, kim jesteś, Sai. – Halong przesunął po niej badawczo wzrokiem.

Ranami położyła mu dłoń na łokciu.

– Przyszła tu, żeby pomóc – rzekła.

Gio podszedł o krok z kciukami zatkniętymi za pas.

– Plan jest prosty i wymaga uczestnictwa tylko kilku osób. Phalue, ty odwróć uwagę nadzorczy i jego podwładnych, gdy będzie liczył skrzynki przed transportem. Halong pracuje w magazynie. Podmieni trzy skrzynki na fałszywe, gdy tamci nie będą patrzeć. Ranami zabierze prawdziwe skrzynki i przekaże je jednemu z rolników.

Phalue kręciła już głową, jeszcze zanim Gio skończył mówić.

– Nie podoba mi się to. Plan za bardzo naraża Ranami. Wszyscy spodziewają się obecności tego mężczyzny w magazynie, ale jeśli złapią ją ze skrzynkami, znajdzie się w kłopotach, z których być może nawet ja nie zdołam jej uratować. I kim jest ten rolnik, do którego zabierze orzechy? Możemy mu w ogóle ufać? – Kontakt z tymi ludźmi, których Ranami знаła, a o których ona zupełnie nic nie wiedziała, wytrącał ją z równowagi. Szukała odpowiednich słów, próbowała znowu poczuć grunt pod nogami.

– Wiem, że to nie jest zabawa – powiedziała Ranami stanowczo, trzymając uniesiony podbródek. – Jeśli spotkają mnie konsekwencje, niech tak będzie.

– Robimy to już teraz? Czy przynajmniej będę miała okazję poznać tego rolnika, w którego rękach znajdzie się twoje życie?

Ranami ściągnęła wargi w wąską linię.

– Daj spokój – rzekła, chwytając Phalue za rękę. – Jeśli to do ciebie nie przemówi, to chyba już nic nie zdoła. – Wyprowadziła ją z powrotem na deszcz.

– Dlaczego tak bardzo się upierasz, że cokolwiek „musi do mnie przemówić”? – Deszcz przykleił Phalue włosy do policzków i spływał jej zimnymi strumyczkami na obojczyki. – Przynaję, ten cały Halong ma mały domek, choć nie tak mały jak twój, i nie posiada wiele rzeczy. Wygląda jednak na dobrze odżywionego i ma rodzinę. Dorastała jako sierota z ulicy, ale dobrze poradził sobie w życiu. Ciężko pracował.

Ranami obróciła się ku niej i wyszarpnęła dłoń.

– Czy to właśnie widzisz? Proste, ale wystarczające życie? Tak, Halong ciężko pracował i dobrze mu się wiedzie. Na pewno lepiej niż zazwyczaj ulicznym sierotom.

Większość dzieci, które znałam, zmarła. Robiłam rzeczy, z których nie jestem dumna, tylko po to, by mieć co włożyć do ust. Podobnie jak Halong. I choć ma żonę i rodzinę, jego pierworodny zmarł na bagienny kaszel. Mimo to „dobrze” mu się wiedzie. Uprawia ziemię i pracuje w magazynie. Wstaje przed świtem, żeby obrabiać pola, które kupił od twojego ojca w zamian za obietnicę oddawania wszystkich plonów. A ponieważ to wciąż nie wystarczy, musi dorabiać w magazynie, żeby jego rodzina mogła mieszkać w chacie o więcej niż jednym pomieszczeniu. A zatem, gdy na niego patrzysz, czy widzisz, że jest mu „dobrze”? W takim razie zastanawiam się, co widzisz, gdy patrzysz na mnie.

– Właśnie dlatego zawsze zabieram ze sobą monety, gdy idę do miasta. Żeby dawać je ulicznym sierotom. Mam nadzieję, że pewnego dnia adoptuję jedno lub dwoje spośród nich. Ale cierpienie zawsze będzie istnieć. Nie zdołam naprawić wszystkiego!

Ranami już się jednak odwróciła i maszerowała między drzewami w stronę dużego budynku położonego niżej na zboczu. Phalue chciała za nią wołać, mówić jej, co widziała. Widziała upartą kobietę. Widziała łagodne i delikatne serce z rdzeniem niezłomnej woli. Widziała kobietę, którą kochała, uformowaną przez okropne doświadczenia – o których nigdy Phalue nie opowiadała. Zamiast tego jedynie zacisnęła zęby.

– Jesteś niemożliwa – rzekła. Wiatr i deszcz połknęły jej słowa. Nawet jeśli Ranami je usłyszała, nie dała tego po sobie poznać.

Phalue musiała podbiec, żeby ją dogonić.

U dołu zbocza Ranami szarpnięciem otworzyła drzwi budynku i weszła do środka. Z bliska wydawał się większy. Phalue zatrzymała się i zadarła głowę, żeby przyjrzeć się dachowi krytemu strzechą. Wszystkie okna zostały zamknięte przed deszczem. Nie wyglądał jak czyjś dom, tylko raczej jak... stodoła. Weszła do środka.

Jedynie dwie lampy oświetlały całą przestrzeń, więc oczy Phalue potrzebowały chwili, żeby dostosować się do panujących warunków. Poczula zapach ludzi, zanim ich dostrzegła. Pachniało wyschniętym potem na nowo zmoczonym przez deszcz, nieświeżym oddechem, starą zupą trzymaną zbyt długo na ogniu. Ciemne sylwetki stały się wyraźniejsze. Zobaczyła piętrowe łóżka, a na nich ludzi. Ktoś zakasłał w mroku. Phalue chwytając krok do przodu, próbując znaleźć Ranami. Miała wrażenie, jakby pływała w ciemnym morzu pełnym wodorostów.

– Ranami...

I nagle znalazła się tuż przed nią, pachnąca słodyczą i czystością. Phalue zacisnęła palce na rąbku koszuli Ranami. Trzymała się jej, jakby była boją na wodzie.

– Właśnie tu mieszka większość rolników – wyjaśniła Ranami. – Oto kwatery, jakie zapewnia im twój ojciec. Jeśli chcą uprawiać wystarczającą ilość orzechów, większość ziemi musi być zajęta przez drzewa.

Phalue widywała już z oddali warunki, w jakich żyły niektóre uliczne sieroty. Zdawała sobie sprawę, że są nędzne. Napór tych ciał, wszystkie te żywoty upchnięte pod jednym dachem – to było jednak coś, czego dotąd nie doświadczyła. Nigdy nie znalazła się w środku czegoś podobnego, nigdy nie proszono jej o zrobienie czegoś więcej niż rzucenie paru monet jałmużny. Zerknęła w bok i ujrziała ojca i syna na łóżku oraz cały ich dobytek na półce z tyłu.

– Możemy porozmawiać na zewnątrz? – spytała.

– Nie – odparła Ranami. Była jak pochodnia gniewu, jak gorejący punkt w morzu szarości. – Oto jak działa twój ojciec. Dostawia przybudówki do swojego pałacu i nie zostawia ani odrobiny pieniędzy, żeby dać lepsze życie rolnikom. Uważasz,

że to miejsce jakoś szczególnie różni się od tego, w którym dorastałam? Ale oni przecież nie mieszkają na ulicach. Radzą sobie całkiem „dobrze”.

Phalue dosłyszała sarkazm w głosie Ranami przy słowie „dobrze” i pożałowała, że w ogóle je wcześniej wypowiedziała. W tym momencie nie dało się z nią rozmawiać. Przysunęła się bliżej. W mroku nie mogła mieć pewności, ale czuła spoczywające na niej spojrzenia, ich macki muskające jej kark.

– Któremu rolnikowi ufasz? – wyszeptła.

Ranami popatrzyła na nią tak, jakby obrała banana, wyrzuciła go, a później zjadła skórkę.

– Wszystkim, Phalue. Przyniosę skrzynki im wszystkim.

– Jak możesz być tak przekonana...?

– Bo jestem taka jak oni. Poszczęściło mi się, jeśli można to tak nazwać, gdy poszłam do terminu u księgarza, który nauczył mnie czytać, bo w ten sposób nabrałam dla niego większej wartości. Traktował mnie jak swoje książki, kładł na mnie łapy w miejscach, z których nie potrafiłam ich wystarczająco szybko zdejmować. Ale gdyby nie to, skorzystałabym z głupiego układu z twoim ojcem tylko po to, by móc opuścić ulice. Wszyscy tu obecni stracili bliskich, których kochali. W wyniku kaszlu bagiennego, innych chorób, po upadku z drzewa podczas zbiorów. Ile minie czasu, zanim staniesz się gubernatorką?

Phalue czuła, jak w jej piersi rośnie poczucie winy.

– Gdy mój ojciec będzie gotów ustąpić.

– A dopóki nie uzna, że jest gotów przekazać stanowisko, będziesz czekać cierpliwie i w luksusie, podczas gdy oni będą umierać – powiedziała Ranami, trzymając twarz tuż przed twarzą Phalue.

Phalue nie potrafiła wytrzymać jej spojrzenia. Nie potrafiła znieść przebywania tutaj, wciśnięta pomiędzy te posłania i kaszlących ludzi. Obróciła się i ruszyła do drzwi, jakby chciała zaczerpnąć tchu. Deszcz uderzył ją w twarz i nawet jego chłód nie zdołał zmyć z niej wstydu. Ci ludzie sami jednak wybrali taki los. Poszli na układ z jej ojcem. Ziemia i mała część udziału w zyskach w zamian za orzechy caro i pracę. Nikt ich do tego nie zmuszał.

Wtedy przypomniała sobie posiłek, jaki spożyła przed opuszczeniem pałacu ojca. Zimny makaron w sosie z orzeszków ziemnych, smakowite, mocno przyprawione curry z koźliną, warzywa ugotowane do przejrzystego odcienia nefrytu. Wszystko ozdobione kwiatami starannie nakreślonymi z boku za pomocą sosów. Drewniane krokwie nad jej głową pomalowane złotem i czerwienią.

Gdyby nie termin u księgarza, Ranami byłaby jedną z robotnic. Być może ciężką pracą zdobyłaby taką pozycję jak Halong.

A być może nie. Phalue nie potrafiła uwierzyć, że wszyscy ci ludzie upchnięci w tym budynku są leniwi.

Zatem albo ojciec postępował z nimi niesprawiedliwie, albo też po prostu byli warcu mniej. A ponieważ знаła Ranami, ponieważ ją kochała, Phalue nie mogła wyobrazić sobie tego, by druga możliwość była prawdziwa.

Owszem, pomagała sierotom, gdy szła do miasta. Być może zawsze będą istnieć sieroty. Phalue robiła, co mogła, dzięki pieniądzmom, jakie dostawała na własne wydatki, ale to nigdy nie wystarczy. A co wystarczy, gdy zostanie gubernatorką?

Prawość Ranami narażała ją na niebezpieczeństwo. Phalue przebywała na dworze swojego ojca. Znała meandry ludzkiej natury. Choć Gio był przywódcą

Bezkostnych i miał usta pełne ideałów, wcale nie stawał się przez to szlachetny. A ci ludzie nie stawali się godni zaufania tylko przez to, że byli biedni.

Ale nie zmieniało to wcale faktu, że Ranami miała rację: to, co robiła Phalue, było żałośnie niewystarczające. Gdyby miała władać tymi ludźmi, musiałaby naprawdę walczyć w ich imieniu. A ona nigdy nie cofała się przed walką.

Kilka razy odetchnęła głęboko, czując, jak powietrze chłodzi ogień w jej piersi. Wolałaby stawić czoła tysiącomi mieczy. Mimo to obróciła się na pięcie i znów zanurzyła w mrok domu rolników. Potrzebowała chwili, żeby znaleźć Ranami, która rozmawiała z mężczyzną siedzącym przy jednym z nielicznych stolików. Przyćmione światło malowało ich spłowiałymi odcieniami, jak w przypadku dywanu, który zbyt długo był wystawiony na słońce.

Dwoma szybkimi krokami Phalue znalazła się u boku Ranami. Wzięła ją za rękę. Jeśli Ranami nie zamierzała chronić samej siebie, to Phalue zrobi to za nią.

Ranami wydała z siebie przesadzone westchnienie.

– Znowu planujesz mi się oświadczać? Nie każda nasza kłótnia oznacza, że mam zamiar cię opuścić. Zresztą gdybym tego zechciała, po prostu bym to zrobiła.

– Nie. – Wszystkie słowa, które pragnęła powiedzieć, utknęły Phalue w gardle. Przełknęła ślinę i spróbowała ponownie. – Chcę pomóc. Naprawdę.

Ranami odsunęła jej z policzków mokre włosy. Jej dotyk był jak pieścizota.

– Wiem. – Ścisnęła dłoń Phalue. – To musi się stać wkrótce. Potrzebujemy czegoś do odwrócenia uwagi.

Phalue zakasłała, próbując zamaskować, że zachciało jej się płakać.

– Tak. Postaram się o coś, co pomoże ukraść sto skrzynek z orzechami.

Ranami roześmiała się, złapała Phalue za uszy i przyciągnęła jej twarz na poziom swojego wzroku.

– Wystarczy kilka, moja miłości. Będzie to wystarczająco dobre.



20 Jovis

Gdzieś na Bezkresnym Morzu

Zostawiłem dzieci na Uncie, u kobiety z Garstki Bezkostnych. Z niemalym podziwem zerknęła na mój tatuaż.

– Jak to zrobiłeś? – spytała. – Z iloma musiałeś walczyć?

– Kilkunastoma – odparłem gładko, po czym odwróciłem się, by odejść. Dopiero gdy straciłem wypę z pola widzenia, uświadomiłem sobie, że mogła nie wiedzieć, że nie mówiłem poważnie. Miałem dobry czas, bo przemknąłem przez Małpi Ogon niczym pióro niesione przez strumień, nawet bez pomocy bystrokamienia. Wszystko wydawało się przychodzić łatwiej – wciąganie żagli, trzymowanie ich i podnoszenie kotwicy, gdy już trafiliśmy do portu. Mephi kilkakrotnie stawał przy żaglach, choć wydawał się szybko męczyć. Izolacja na morzu dała mi czas – być może zbyt wiele – na przemyślenie spraw.

Znalazłem Mephiego w pobliżu Jeleniej Głowy leżącej blisko końca Małpiego Ogona. Nigdy wcześniej nie widziałem istoty takiej jak on. Skądś pochodził, zatem musieli istnieć inni mu podobni. Ale jakie zwierzę potrafi wydmuchiwać obłoczki białego dymu?

Sam Mephi wydawał się nie zauważać moich rozmyślań. Skakał za burzę, gdy tylko mu na to pozwalałem, pytał w równym stopniu, czy coś jest „niedobre?” i „bardzo dobre?”, zanim zacząłem siadywać z nim wieczorami, by nauczyć go czegoś więcej. Czegokolwiek. Słowo „dobre” zaczynało tracić dla mnie wszelkie znaczenie. Lepiej niż mnie szło mu jednak łapanie ryb, zatem choćby dlatego cieszyłem się, że zatrzymałem go przy sobie.

Nocą związał się przy moim policzku, wciskając nos w przestrzeń pomiędzy uchem a barkiem, i pomrukiwał, aż zasnął.

Wypatrywałem łodzi o niebieskim żaglu, ale wpadłem w swoiste otępienie towarzyszące powtarzalnym czynnościom. Zatem poczułem niemalże zaskoczenie, gdy zatrzymałem się w małej przystani i usłyszałem pierwsze dźwięki piosenki.

Do tego czasu Mephi dorósł już do rozmiarów kota, ale wciąż był na tyle mały, że mógł leżeć mi na ramionach. Zajrzałem do pijalni, by spytać właścicielkę, czy mógłbym kupić trochę zapasów. W rogu muzyk grał na zestawie dzwonek i niewielkim bębnie, które miał przyłączone do pasa.

– Tylko baryłkę słodkiej wody, jeśli jest – powiedziałem do kobiety za kontuarem. Miała podobnie stateczną aparycję jak Danila. Zatrzymałem ją, gdy zaczęła się obracać. – W sumie to może jeszcze worek ryżu.

– To będzie dwa srebrniki więcej – odparła.

– Dwa? – Miałem pieniądze, ale lubiłem się potargować.

Melodia podkradała się do mnie od tyłu niczym złodziej chcący świsnąć sakiewkę. Wkręciła mi się do głowy, zanim to sobie uświadomiłem i zacząłem przypytywać stopą do rytmu. Wpadała w ucho, nawet jeśli nie miałem w zwyczaju tańczyć.

– Ano, dwa – rzekła kobieta, krzywiąc się. – Jeśli nie mieszkałeś dotąd w jaskini, to może doszły do ciebie wieści o Jeleniej Głowie. Więcej osób chce ryżu. A jego samego jest mniej.

Wtedy, zszokowany, usłyszałem swoje imię. Serce na chwilę mi zamarło, a później uderzyło o żebra jak koń pragnący się oswobodzić. Było to moje imię. W tekście piosenki.

Wasze dzieci on wykrada, żeby źródłem mocy

Dla konstruktów się nie stały, on to w mroku nocy,

Światłem jest na niebie, nadzieją dla ciebie,

To Jovis!

Mephi zaćwierkał mi do ucha, a jego ogon owinął się wokół mego gardła. Zdecydowanie rozpoznawał więcej słów niż tylko „dobre” i „niedobre”.

– Musimy stąd iść – mruknąłem do niego. – Tak, zapłacę dwa srebrniki – odpowiedziałam kobiecie. Sięgnąłem po sakiewkę, dwa razy nie trafiając i zahaczając palcami o pas, zanim w końcu ją znalazłem. – Proszę. – Monety zabrzcęczały o kontuar.

Popatrzyła na nie, a później nieco uniosła wzrok.

Poczułem chłód powietrza na nadgarstku, zanim jeszcze uświadomiłem sobie, że zsunął mi się bandaż. Oto w pełnej chwale ukazał się mój tatuaż z królikiem. Gdybym wiedział, co dla mnie dobre, pociąłbym go już bliznami.

– Jovis? – odezwała się.

Gdy uciekałem przed cesarstwem i Ioph Carn, plakaty były wystarczającą niedogodnością, lecz teraz próbowałem ukrywać się przed ludźmi uważającymi mnie za jakiegoś bohatera.

– Zapłacili mi za to. To znaczy za wykradanie dzieci – wyjaśniłem jej. Mógłbym rozchylić usta i zacząć wymiotować żabami, a nadal traktowałyby mnie z taką samą czcią. – Uratowałem tylko troje.

– Weź ryż – powiedziała, sięgając za ladę i stawiając na niej worek. Pchnęła monety z powrotem w moją stronę. Inni ludzie zaczęli na nas patrzeć.

Chwyciłem pieniądze i obróciłem się, szukając drzwi.

Muzyka się urwała.

– Jovisie – rzekła stara kobieta po prawej stronie. Lampa ponad nią obróciła się, rzucając cienie na jej osłupiałą twarz. – Mój wnuk kończy osiem lat.

– Ja mam bratanicę – dodała inna kobieta. – Jej ojciec dwa lata temu zmarł na gorączkę odłamkową.

A później wstawali ze swoich miejsc w pijalni, obchodzili drewniane kolumny, żeby móc popatrzeć mi w oczy. Tłoczyli się, błagali. Tak wiele głosów. Tak wiele pragnień i obaw. Tak wiele dzieci.

Drżenie zaczęło się od moich kości, czułem wibracje wstrząsające mną od koniuszków uszu po palce u stóp. Prosiły, żebym w jakiś sposób je wyzwolił.

– Dość! – Tupnąłem w podłogę, spodziewając się tylko lekkiego poruszenia desek.

Fundamenty zadygotały. Naczynia zabrzęczały na półkach. Belki zaskrzypiały, posypała się odrobina kurzu. To było coś więcej niż oznaka siły. To było coś innego.

Wydarzenia na Jeleniej Głowie miały miejsce tak niedawno. Wszyscy znieruchomieli. Dzwonki na pasie muzyka rozbrzmiewały zanikającymi wibracjami, stanowiącymi teraz jedyne dźwięki w sali. Przesunąłem wzrokiem po twarzach i dostrzegłem w nich strach. To tyle w kwestii mojego szybkiego przystanku w porcie, żeby uzupełnić zapasy. Ruszyłem do drzwi i wszyscy odsuwali mi się z drogi.

Wietrzyk na dworze był ciepły i wilgotny, mierzwił Mephiemu sierść. Wciąż czułem puls dudniący mi na szyi.

Moment, w którym podniosłem Philine. Mężczyzna w ulicze i to, jak niemal go przewróciłem. Łatwość, z jaką wykonywałem prace na łodzi. Szybko zaleczające się obrażenia. To wszystko nie były tylko zbiegi okoliczności, umysł nie płatał mi figli. Musiałem to przyznać przed samym sobą, po tym jak doświadczyłem wstrząsów w pijalni. Coś się zmieniło, wciąż zmieniało się we mnie. Zawsze byłem inny, otaczający mnie ludzie nie mogli przestać mi o tym przypominać. Te różnice jednak zawsze oznaczały, że dysponowałem mniejszą siłą. Kiedyś mógłbym wrzeszczeć i zostać zignorowany na rzecz innych głosów. Natomiast teraz od mojego krzyku zatrzęsłoby się pomieszczenie. Powinienem czuć ekscytację, bo kto teraz mógłby mnie zlekceważyć? Ale nie potrafiłem sprawić, by ręce przestały mi drżeć.

– To twoja sprawka? – spytałem Mephiego.

– Może – odparł swoim cichym, piskliwym głosem. Zupełnie jakby wiedział, jakie myśli krążą mi po głowie.

Niemal wyskoczyłem ze skóry.

– Może? Po tym, jak całymi dniami zasypujesz mnie „dobrym” i „niedobrym”, teraz rzucasz do mnie „może”?

– Wciąż się uczę. Nie wiem. Wiele rzeczy nie wiem – rzekł Mephi, trącając mi ucho zimnym nosem. Zadrżałem i tylko po części od chłodu. Uważałem go za coś

w rodzaju papugi, a tymczasem wypowiadał w pełni uformowane myśli jak dziecko. Pogubiłem się. Miałem wrażenie, jakbym stał na skraju ciemnego zapadliska i daleko w dole dostrzegał przebłyśki ruchu.

Rozejrzałem się i znalazłem dużą gałąź strąconą przez niedawne burze. Podniosłem ją i spróbowałem złamać. Kora jedynie podrapała mi skórę.

Mephi spelzył do połowy mojego ramienia i małymi łapkami poklepał mnie po łokciu.

– Spróbuj mocniej – polecił.

Gdy doprowadziłem do tego, że fundamenty pijalni zadrzały, nieco spanikowałem. Chciałem wtedy tylko, żeby wszyscy przestali mówić, żeby zostawili mnie w spokoju. A ta gałąź... musiałem chcieć ją złamać. Część mnie tego pragnęła, a inna część nie, ponieważ zdawałem sobie sprawę, że po takiej zmianie nie ma już odwrotu. Wpadnę w to zapadlisko, nie wiedząc, co znajduje się na jego dnie, i nie będę miał nikogo, kto pokieruje moimi kolejnymi krokami.

– Boję się.

Mephi jedynie wdrapał mi się z powrotem na kark i przeczesał łapkami włosy.

– Nie szkodzi. Ja też – wyznał.

Mógłbym przed tym uciec, tak samo jak uciekałem przed cesarstwem i Ioph Carn. Ale wolałbym zmierzać ku czemuś, do tego w taki sposób, by mimowolnie nie siać po drodze zamętu.

Odepchnąłem od siebie strach i skupiłem się. Znów poczułem brzęczenie w kościach. Niemal je słyszałem, gdy wstrzymywałem oddech.

Kiedy znowu zgiąłem gałąź, pękła mi w dłoniach tak łatwo, jakby była cieniutkim patykiem.

– Jak to możliwe?

– Nie wiem – odparł Mephi. – Ale ładnie.

Roześmiałem się i pozwoliłem, żeby obie części opadły na ziemię.

– Poniekąd pewnie tak. Ale czym jesteś, Mephi? Wężem morskim jak Mephisolou? – W opowieściach pradawne węże morskie dysponowały mocami magicznymi i potrafiły mówić jak ludzie.

Powiedziałem to żartobliwie, ale Mephi jedynie otulił moją szyję ogonem i zadrzał.

– Nie wiem.

Czyli było nas dwóch.

Hałasy dobiegające z pijalni zaczęły się uspokajać, a muzyk grał kolejną piosenkę na swoich dzwoneczkach i bębenku. Wyglądało na to, że nikt nie miał dość odwagi, żeby za mną iść.

– Czy powinniśmy wrócić po ryż i wodę?

– Ryż! – oznajmił Mephi z satysfakcją. Czasami nie miałem pewności, czy karmię żywą istotę, czy bezdenną jamę pod postacią zwierzęcia. Jak zamierzałem go utrzymać, jeśli będzie nadal rósł?

Przygotowałem się w duchu i wkroczyłem z powrotem do pijalni.

W pomieszczeniu znów zapadła cisza. Dało się słyszeć jedynie skrzypienie lamp kołyszających się od podmuchu, który wpuściłem ze sobą przez drzwi.

– Jestem tu tylko po to, żeby kupić żywność i wodę – rzekłem do zebranych. – Nie będę nikogo ratować ani sprawiać żadnych kłopotów. – Uniosłem dłonie jak wtedy, gdy podchodzi się do rannego zwierzęcia.

Obserwowali mnie, gdy zbliżałem się do kontuaru i wyciągałem z sakiewki cztery srebrne monety.

– I płacę za to, co biorę – powiedziałem do właścicielki.

Niechętnie przyjęła ode mnie monety.

– Jovisie – odezwał się głos za moimi plecami.

Już naprawdę męczyło mnie, gdy slyszalem swoje imię na ustach innych. Obróciłem się i zobaczyłem, że wyjście z sali blokuje mi moja najmniej ulubiona osoba z Ioph Carn.

Philine.

Niemal spodziewałem się ujrzeć ją mokrą i sponiewieraną, zupełnie jakby właśnie wynurzyła się z przystani, do której ją wrzuciłem. Tymczasem miała na sobie swój typowy skórzany strój – nowy, sądząc po wyglądzie, w wielu miejscach skrywający rozmaite ostre akcesoria. Pałkę trzymała już w dłoni.

– Jak sądzisz, jak długo zdołasz mi się wymykać? – spytała. – Ioph Carn dysponują większymi środkami niż ty, a nasze jednostki są niemal równie szybkie.

– Nie chcę kłopotów – rzekłem. – Jest tu mnóstwo ludzi, którym mogłaby stać się krzywda. Tobie również.

Wywróciła oczyma.

– Co, masz jeszcze więcej kory jałowca? Daj spokój. Nie dam się dwa razy nabrać na tę samą głupią sztuczkę. Idziesz ze mną. Do Kaphry.

Chciałem tylko swoje po trzykroć przeklęte ryż i wodę. Zaciśnałem pięści i poczułem drzemiacą w nich siłę.

– Nie chcę cię skrzywdzić – powiedziałem, z zaskoczeniem orientując się, że mówię szczerze. Chodziło mi tylko o to, żeby zostawiono mnie w spokoju i żebym mógł odnaleźć kobietę, która przed laty była moją żoną.

– Och, ależ jesteś zabawny. Ale próbuj, próbuj, może wreszcie poczuję się urażona. Poza tym myślisz, że przyszłam po ciebie sama? – spytała z pogardą. – Mam za sobą pięcioro ludzi, wszystkich szkoliłam osobiście.

– Daj mi przejść. Zdobędę pieniądze i nie skrzywdzę nikogo z was. – Mephi siedzący na moim barku skulił się i wcisnął mi nos za ucho.

Za Philine weszło pięcioro kolejnych osób, kobiet i mężczyzn w takich samych skórzanych strojach. Philine się roześmiała.

– Co zrobisz tym razem? Przyzwiesz Alanga Dione z martwych? Przywołasz morskigo węża, żeby nas pożarł? Ile jeszcze bajeczek Jovis trzyma w rękawie? Ostatnio ci się poszczęściło. Teraz jest nas więcej. I wszyscy wiemy, że jesteś kłamcą.

– Dajcie wszystkim stąd wyjść – powiedziałem, rozglądając się po zdenerwowanych klientach pijalni.

Philine spojrzała na sufit, jakby tamtejszy wzór drewna uznała za szczególnie interesujący.

– A co później, Jovisie? Jak sądzisz, co się tutaj wydarzy?

Skinąłem głową właścicielce, która szybko wyszła z baru.

– Możesz później uregulować swój dług – powiedziała. Wyprowadziła klientów na zewnątrz. Ioph Carn nie przesunęli się, żeby dać im przejść, ale też ich nie zatrzymywali.

– Co z twoim zwierakiem? – spytała kpiąco Philine. – Nie boisz się, że jemu też coś się stanie?

– Chcę tylko wyjść – rzekłem. Wykonałem krok w stronę drzwi. Cała szóstka Ioph Carn postąpiła o krok ku mnie.

– Aj, aj, aj – powiedziała Philine. – Dalej nie pójdziesz.

– Albo co? Zabijecie mnie? Czy Kaphra i tak nie zamierza tego uczynić? Dla przykładu?

Wszyscy znów zbliżyli się do mnie, a Philine uniosła pałkę.

– Nie róbcie tego. – Podniosłem dłoń.

– No dobrze, teraz naprawdę czuję się urażona. – Wargi Philine wykrzywiły się przy tych słowach, a jej wzrok stał się ostry niczym sztylety wiszące jej u pasa.

Głęboko w sobie poczułem pulsowanie, drżenie przypominające wstrząsy targające Jelenią Głową, wibrujące aż do opuszków moich palców. Wyprostowałem się i ruszyłem do drzwi.

– Nie zatrzymujcie mnie.

W kąciку ust Philine zadrżał uśmiezek. Naprawdę chciała, żebym spróbował wyjść, bo miała ochotę wyrządzić mi krzywdę. Pałka szybko opadła w kierunku mojego barku.

Złapałem ją.

Pomimo tego, co zrobiłem na zewnątrz z gałęzią, poczułem zaskoczenie. Philine wydawała się jeszcze bardziej zdumiona. Wybałuszyła oczy w niedowierzaniu, a później zacisnęła zęby i znów próbowała opuścić pałkę.

Nie. Nigdy więcej. Chwyciłem pałkę oburącz i w tym momencie już się nie bałem. Z łatwością złamałem ją na dwoje. Trzask odbił się echem od ścian pijalni, a Philine puściła ułomek broni. Rzuciłem połamane połówki na bok.

– Dajcie mi przejść.

Philine przyglądała mi się przez chwilę w osłupieniu, jakbym był słodkowodną rybą, którą znalazła w morzu. A później pokręciła powoli głową.

– Nie. – Pewnymi dłońmi wyciągnęła zza pasa dwa sztylety.

Ioph Carn stojący za nią się nie zawahali. Zamierzali być z nią do końca.

Odetchnąłem głęboko. Miałem nadzieję, że się nie mylę.

– Idź, Mephi! – poleciłem. Zeskoczył mi z ramion i wbiegł pod stół.

Żaden z Ioph Carn nie krzyknął, nikt się nie skrzywił. Po prostu rzucili się naprzód, błystro jak jaskółki.

Uchyliłem się w lewo przed cięciem Philine i popchnąłem ją. Nie użyłem całej siły, a jednak rzuciło nią w tył. Kubki roztrzaskały się, gdy ciałem zamiotła stół. Inna kobieta zamachnęła się na mnie mieczem. Złapałem ją za rękę i kopnąłem w zebra. Poczułem, jak kości ustępują i łamią się pod moją stopą. Osunęła się na podłogę.

Kolejnych dwoje ruszyło na mnie szybko, a ja odskoczyłem, próbując zdobyć więcej miejsca. Ioph Carn nie byli zwykłymi zabijakami, a Philine dobrze ich wyuczyła. Przeciwnicy nie poszli za mną, poczekali na pozostałych dwoje, po czym w czwórkę rozproszyli się, próbując mnie otoczyć.

A ja? Unikałem walki, kiedy tylko mogłem. Nie dysponowałem wyszkoleniem, a tylko przytomnością umysłu i nieznanymi darami otrzymanymi od Mephięgo. Umysł musiał się na coś zdawać, prawda? Chwyciłem krzesła z lewej i prawej strony, po czym najsilniej jak umiałem cisnąłem nimi w podchodzących wrogów.

Meble roztrzaskały się na dwojce Ioph Carn i odłamki wzleciały w powietrze. Dwie kobiety przewróciły się, jedna z drzazgą w barku. Naprawdę rzuciłem tak mocno?

Pozostałych dwóch mężczyzn skoczyło na mnie, nawet nie sprawdzając, co z ich powalonymi towarzyszkami. Zbyt długo zachwycałem się swoją siłą. Nie byłem gotów.

Błysk bólu rozjarzył mi się na żebrach, a później poczułem ciepło i pieczenie. Znów kopnąłem i coś pękło pod moją stopą. Nie miałem czasu sprawdzać, jak mocno zostałem ranny. Chwyciłem drugiego mężczyznę za nadgarstek, zanim zdążył opuścić mi ostrze na rękę. Szybko go ścisnąłem, aż otworzył dłoń, a później odrzuciłem jego broń na bok. Naprawdę nie chciałem nikogo ranić ani zabijać. Mężczyzna jedynie zmarszczył brwi, gdy go puściłem i wyciągnąłem mu z buta sztylet.

– Zostaliśmy jeden na jednego – powiedziałem. – Naprawdę tego chcesz?

Wyglądał jak skrzywiona barakuda z wypukłą blizną na policzku. Nic nie odrzekł, a jedynie przesunął wzrokiem po moim ciele, jakby szukał jakichś słabych punktów. Za jego plecami Philine stęknęła. Zaczęła się podnosić.

Dudnienie w moim wnętrzu narosło do ryku.

– Po prostu... przestańcie! – Podniosłem stół stojący na prawo ode mnie, odłamałem mu nogę i chwyciłem ją jak pałkę.

Człowiek z blizną zaczął podchodzić.

Przyjąłem jego cięcie na nogę od stołu, a później ją wypuściłem. Sztylet wbity w drewno pociągnął rękę przeciwnika w dół, pozbawiając go równowagi. Złapałem mężczyznę za tył skórzanego kaftana i pchnąłem go mocniej ku podłodze, ku której już opadał. Uderzył twarzą w deski i zaległ bez ruchu.

Gdy znów podniosłem wzrok, Philine stała tuż poza moim zasięgiem z dwoma sztyletami w dłoniach. Wpatrywała się we mnie z mieszaniną strachu i irytacji.

– Czym jesteś?

To samo pytanie zadałem Mephiemu. Człowiekiem poszukującym żony. Przemysłowcem. Złodziejem dzieci. Wszyscy oni wirowali mi w umyśle.

– Nie wiem – odparłem.

Philine zastanawiała się, przekrzywiwszy głowę. A później niemal niezauważalnie skinęła nią.

– Wróć ze mną do Kaphry. Znajdziemy sposób, żeby wykorzystać twoje talenty. Zwolni cię z długu.

Niemal roześmiałem się z niedowierzania.

– Uważasz, że właśnie tego chcę?

Wzruszyła ramionami.

– Czy wszyscy ludzie nie pragną władzy?

Czułem wciąż dudnienie w moim wnętrzu, jak wibracje w powietrzu przed uderzeniem pioruna.

– Ja pragnę tylko, żeby zostawiono mnie w spokoju! – Znów tupnąłem i cały budynek się zatrzęsł. Zaskrzyphiał i zajączał jak starzec dręczony chorobą.

Philine pamiętała Jelenią Głowę. Kolory odpłynęły jej z twarzy, a jej wzrok podniósł się do belek stropowych. Jej ludzie powoli wstawali, trzymając się za uszkodzone części ciała, ale nawet oni zamarli, gdy pijalnia zadrzała.

– Precz – rzuciłem.

Uciekli, na wpół wybiegając, na wpół utykając. Nawet Philine.

Nie miałem złudzeń. Starłem się z Ioph Carn, a z nimi nikt nie zadzierał. Wróć po mnie w większej sile. Wyczerpany opadłem na krzesło i nalałem sobie kubek wina z dzbanka stojącego na stole, nie zważając na to, kto z niego pił jeszcze przed chwilą. Trunek spłynął mi do gardła i schłodził ogień gorejący w brzuchu.

Mephi zaczął wiercić z drugiego końca pijalnię. Wypelzł spod stołu. Wyciągnąłem ku niemu dłoń, a on podbiegł do mnie, omijając szczątki dwóch krzesel. Pomogłem mu wdrapać się sobie na kolana, a wtedy wcisnął mi futrzastą głowę w pierś.

– Bardzo dobre – powiedział, gdy drapałem go za uszami.

– Wciąż nie mogę zdecydować, czy jesteś wart tylu kłopotów.

Byłem w połowie kubka, gdy właścicielka pijalni otworzyła drzwi. Rozejrzała się po uszkodzeniach.

– Zapłacę za to – oznajmiłem. Uszczupli mi to sakiewkę, ale pomimo zniszczeń, jakie po sobie zostawiałem, nie byłem cyklonem ani monsunem.

– Czy pozostali też mogą wrócić? – spytała, oglądając się za siebie.

Machnąłem dłonią.

– To twoi klienci, nie moi. I nie zamierzam wtrącać się w to, komu wolno odwiedzać twój przybytek.

Weszli po kolei, pełni wahania jak dzikie koty tęskniące za posiłkiem. Obserwowałem ich z przestrachem, gdy przyglądali się zniszczeniom i wybałuszali oczy. Jęknąłem w duchu. Najpierw piosenka, teraz to. Jeśli chciałem, żeby zostawiono mnie w spokoju, to raczej nie powinienem się wychylać, ale wychodziło mi to dość kiepsko.

A później zaczęli do mnie podchodzić. Oparłem się na łokciach i rozważałem, czy wyszczyć cały kubek. Wiedziałem, co zamierzają powiedzieć.

– Jovisie. – Młoda kobieta usiadła na krześle naprzeciwko mnie i zacisnęła dłonie. Pomimo wyraźnego strachu wytrzymała mój wzrok. – Co mogłabym ci dać, żebyś uratował mojego syna?



21

Lin

Wyspa Cesarska

Stały rytm uderzeń młota o kowadło uspokajał mnie, gdy pracowałam. Konstruktor szpiegowski był mały i wymagał większego skupienia, niż uważałam za możliwe. Dotąd jeszcze nie próbowałam tego, na co zdecydowałam się tego wieczoru – czyli sięgnąć do jego wnętrza, żeby zrobić coś ze znajdującymi się w środku odłamkami. Elementy istoty, którą stworzyłam, zwróciłam do przechowalni, lecz ten konstruktor szpiegowski stanowił bardziej palącą kwestię. Teraz, gdy musiałam zagłębić dłoń w jego wnętrzu, czułam narastającą frustrację. Skoncentrowałam się, wstrzymałam oddech i podjęłam kolejną próbę.

Moje palce zetknęły się tylko z futrem i ciałem, a mały szpieg zaskrzeczał.

– Na jaja Dione! – Wytarłam pot zbierający mi się na czole. Przynajmniej miałam czas. Nie musiałam się spieszyć, żeby znaleźć się w komnatach ojca przed nim. Nie zabrałam żadnego klucza, a tylko przyniosłam pod pachą książkę dla początkujących. Mogłabym zostać tu całą noc, zanim zauważyłby moje zniknięcie.

Nie skupiałam się dość mocno. Kierowałam palce w złą stronę... Nie byłam nawet pewna, co robię nie tak. Ojciec i Bayan zamknęli się razem, by ćwiczyć zapisywanie rozkazów na odłamkach kości, nie spieszyło mi się zatem.

Popatrzyłam na Numeena. Wkrótce zaczniesz się pakować, by wrócić do rodziny na zasłużony posiłek. Powinnaś się pospieszyć. Strzepnęłam palce, zamknęłam oczy, odetchnęłam głęboko. Co napisano o tym w książce? Wyobraź sobie, że zanurzasz palce pod powierzchnię jeziora...

Ale nigdy dotąd nie byłam nad jeziorem, a przynajmniej tego nie pamiętałam. Pomyślałam zatem o zanurzeniu ich w sadzawce przy Hali Pomyślności i o wymacywaniu na ślepo pływających tam ryb koi. Mój oddech wyrównał się, rytm serca zwolnił.

Zanurzyłam palce.

Wrażenie bardziej kojarzyło się z ciepłą kąpielą niż sadzawką w pałacu. Wciąż czułam sierść stworzenia łaskoczącą mnie w dłoń, ale pod moimi opuszkami ciało przybrało formę płynu. Coś małego i nierównego wyszło mi na spotkanie. Odłamek kości. Musiałam lekko szarpnąć, żeby go uwolnić, ale dał się wyjąć. Młot przestał uderzać w kowadło.

Gdy otworzyłam oczy, między palcami trzymałam odłamek kości, a Numeen wpatrywał się we mnie z mieszaniną strachu i podziwu. Konstruktor szpiegowski leżał nieruchomo pod moją dłonią.

– Masz rylec? – spytałam.

Po chwili wahania sięgnął do szuflady, wyciągnął wąskie metalowe narzędzie i rzucił je do mnie. Złapałam je wolną dłonią i obróciłam odłamek. Znajdowała się na nim szara smuga, którą wytarłam do czysta. Zmrużyłam oczy, żeby przyjrzeć się wyrytym rozkazom, po czym zabrałam się do pracy.

Amunet – obserwować. *Pilona* – sługa. Pod spodem zapisano *remal* – strój – a obok coś wyglądającego jak gwiazdka. Przy *pilona* wyryto *essenlaut* – w obrębie tych murów – i kolejną gwiazdkę. W nowym wierszu widziałam *oren asul* – zgłoś i bądź poskusny – oraz *Ilith* z jeszcze jedną gwiazdką. Włożyłam konstruktor z powrotem do żelaznej klatki i przez chwilę wpatrywałam się w słowa. *Amunet pilona essenlaut. Oren asul Ilith*. Odpowiedź przemknęła mi przez głowę równie szybko jak płotka śmigająca na płyciźnie. Konstruktor miał obserwować służbę w obrębie murów pałacowych, składać raporty *Ilith* i być jej poskusnym.

Nie mogłam wiele zmienić. Odłamek został już przyporządkowany do pałacu, do stroju służby i do *Ilith*. W kieszeni szarfy spoczywał jednak czysty fragment kości.

Wyciągnęłam go, chwyciłam rylec i stworzyłam własny rozkaz, próbując nie zastanawiać się zbyt długo, do kogo mógł należeć ten odłamek. *Oren asul Lin*. Następnie przycisnęłam go do piersi i obok mojego imienia wyryłam gwiazdkę.

Konstruktor leżący w klatce się nie poruszał. Odetchnęłam głęboko, zamknęłam oczy, wstrzymałam oddech i zanurzyłam w nim dłoń. Znowu poczułam jego ciepło i dziwne wrażenie poruszania palcami w upłynnionym cieple. Wcisnęłam odłamek do środka i cofnęłam rękę.

Gdy tylko moje palce z niego wyszły, poczułam, jak stworzenie znowu zrywa się na nogi.

– Jesteś teraz mój, maluchu – wyszeptalam do niego. Poklepałam go lekko po głowie i wyciągnęłam z szarfy orzech. – Masz na imię Hao. Gdy je wypowiem, masz robić to, co mówię.

Istota wyluskała smakołyk z moich palców i obróciła go w łapkach, po czym pochłonęła. Gdy skończyła, wygładziła sobie wąsy, a później wskoczyła na półki Numeena. Przemknęła po nich, przeskakując z jednej na drugą, po czym umknęła przez otwarte okno znajdujące się nad głową kowala.

Byłam bezpieczna.

Podalam rylec Numeenowi, ale pokręcił głową.

– Zatrzymaj go. Wygląda na to, że będziesz go potrzebowała. – Wrócił do chowania narzędzi i gaszenia ognia w palenisku. Po czym, fałszywie niedbałym tonem, spytał: – Czy znalazłaś już mój odłamek?

Pytanie to zawsze było niczym nóż obracający się pomiędzy moimi żebrami. Sprawdziałam kilkakrotnie, ale Bayan wciąż trzymał u siebie kość kowala.

– Jeszcze nie – odparłam neutralnym tonem. – Wciąż szukam pomieszczenia, w którym mój ojciec trzyma odłamki z Cesarskiej.

Skinął głową, jakby to miało sens.

– Trudno ci będzie zająć pozycję cesarzowej, skoro nie masz kluczy do wszystkich schowków z kośćmi – zauważył.

– W pałacu jest wiele pomieszczeń, z czego większość zamknięta. – Nie musiałam udawać goryczy. – Może mogłabym wykradać po dwa klucze, ale gdybym nie wróciła na czas, ojciec by się zorientował. Jeden klucz może złożyć na karb przypadku. Chciałabym móc robić to szybciej, naprawdę, ale on nie życzy sobie, żebym dowiedziała się o wielu rzeczach.

Numeen zmarszczył czoło. Zdawałam sobie sprawę, jak to się odbywało na większości wysp. Dzieci często uczyły się fachu od jednego z rodziców, czasami od bliskiego i zaufanego przyjaciela. Wiedza powinna jednak być przekazywana z pokolenia na pokolenie. Natomiast ojciec strzegł jej przede mną, pilnował zazdrośniej niż stert bystrokamienia w składzie. Pokręciłam głową.

– Powinam iść. Musisz wracać do rodziny. – Do ciepłego domu, ciepłego posiłku, ciepłego łóżka.

Potarł twarz wielkimi dłońmi i westchnął.

– Jak spożywasz posiłki w większość wieczorów? – spytał, jakby nie był pewien, czy rzeczywiście chce otrzymać odpowiedź.

– Czasami ojciec życzy sobie mojego towarzystwa przy kolacji. Jeśli nie, wówczas wzywam służbę, żeby przyniesiono mi coś do pokoju.

Numeen wstał od stołu warsztatowego, wytarł dłonie o fartuch, po czym odwiesił go na hak obok kowadła.

– Chodź ze mną. Jeśli nie musisz od razu wracać, możesz zjeść z moją rodziną.

W mieście, pośród ludzi. Pomysł ten aż do mnie krzyczał, pulsował mi we krwi niczym słodka melodia skrzypiec.

– Jesteś pewien?

– Możesz też wrócić do pałacu i zjeść szybko stygnący posiłek sama w swoim pokoju – mruknął kowal. – Złożyłem propozycję. Wóz albo przewóz.

– Pójdę – odparłam, zanim zdążył ją wycofać.

Skinął tylko głową i ruszył do drzwi. Pospieszyłam za nim, a później czekałam, gdy zamykał je od zewnątrz. Powietrze pachniało deszczem padającym po długiej porze suchej. Z okapów sąsiednich budynków wciąż kapało po popołudniowej burzy, a światło lamp odbijało się w ulicznym bruku. Pora deszczowa rozpoczęła się w spektakularny sposób.

Mój konstruktor szpiegowski nie odszedł daleko. Czulałam jego obecność niczym łaskotanie w zakątku umysłu. Podążał za nami, gdy szliśmy, jakby czegoś się spodziewał. Wyciągnęłam kolejny orzech z szarfy i wysunęłam w jego stronę. Stworzenie zbiegło z dachu, wzięło przysmak i wspięło się z powrotem, żeby go zjeść.

– Nie mów im, kim jesteś – rzekł Numeen, gdy zrównałam się z nim krokiem. –
I nie pozwól, żeby wszedł za tobą do środka.

– Nie jestem głupia.
Zerknął na mnie z ukosa przez ramię.

– Nie mam zbyt wielu możliwości. Powiedz im, że jestem klientką często odwiedzającą twój zakład.

Kowal pokręcił głową.

– Jesteś córką bogatego klienta, ale zarządca waszego domostwa zapomniał sprawdzić twój dach przed deszczem. Wasza jadalnia jest teraz zalana i zniszczona, a skoro zajrzałaś do mnie po odbiór zamka i klucza, zaprosiłem cię na kolację. Lin to dość popularne imię.

– W porządku.

Szliśmy ulicami miasta, oddalając się od pałacowych murów, a zbliżając do rozciągającego się w dole morza. Księżyc już wszedł i rzucał srebrny blask na wodę. Wydawało mi się, że nawet stąd słyszę stukanie statków o pomosty, skrzypienie napinających się cum.

Szłam cicho za Numeenem, błędząc myślami. Od czasu odnalezienia dziennika w zielonej okładce czytałam go, próbując wyciągnąć z niego wszelkie użyteczne informacje. Większość z nich była rozproszonymi, pełnymi podniecenia słowami młodej dziewczyny. Czy naprawdę w pewnym momencie byłam taka beztroska? Młodsza ja uwielbiała sadzawki z rybami koi, górski bambus, kozy, które widziała pewnego słonecznego popołudnia, gdy wspinały się na drzewo. Obecna ja skupiała się tylko na kluczach i na zapewnieniu sobie miejsca w pałacu.

– Co wiedziałaś o mojej matce? – zapytałam.

Kowal potrzebował chwili, żeby odpowiedzieć. Nie mogłam wiele wyczytać z jego pleców. Lekko przekrzywił głowę, co można było zinterpretować albo jako zakłopotanie, albo głębokie sięgnięcie we wspomnienia.

– Znam tylko opowieści, pogłoski, plotki.

– Jakie plotki?

– Tylko to, że była bardziej mądra niż piękna, że była córką gubernatora i że małżeństwo wynikało z korzyści politycznych. Ale mówili też, że twój ojciec mógł wybrać lepiej, gdyby tak zdecydował. Zawsze był zbyt pochłonięty książkami i konstrukcjami. Tak przystojny, że aż piękny, ale zmarnowany w zaciszu biblioteki. Zapewnia nam bezpieczeństwo, mówili, więc go podziwiali.

– Mówili... Jacy „oni”?

– Większość ludzi.

Ale nie on.

– A ty? – dopytywałam.

Wcisnęła pobrudzone sadzą dłonie do kieszeni.

– Jak wielkiej szczerości się po mnie spodziewasz? Pragniesz przejąć tron cesarski, dynastię Sukai. Mogłabyś stać się najpotężniejszą kobietą na wszystkich znanych wyspach, a oczekujesz, że będę mówił źle o twojej rodzinie?

– Proszę. – Tak niewiele wiedziałam. Łowiłam szepty służby, tak jak można chwycić dłońmi pajęczyny. Nie zdołałabym z tych nici upleść gobelinu. – Nie będę się złościć.

– Co masz nadzieję zyskać? – spytał, poruszając ramionami w geście, który mógł być niedbałym wzruszeniem.

Wszystko. Wiedzę. Przeszłość. Więź z ojcem, który traktował mnie bardziej jak zwierzątko domowe niż jak córkę. Nie mogłam zdradzić mu prawdy o moich wspomnieniach.

– Chcę wiedzieć, co ludzie mówią o moich rodzicach. Co mówią wszyscy.

– Nie jest to nic pięknego ani romantycznego. Jeśli szukasz pięknych opowieści, ode mnie ich nie dostaniesz. Z tego co słyszałam, z początku twój ojciec nie przepadał zbyt za twoją matką. A później coś się zmieniło, może z rok po ich ślubie. Nie wiem, co to było, nikt tego nie wie. Ale później cesarz darzył ją już uczuciem i obsypywał pochwałami. Zawiózł ją do miasta i obnosił się z nią. Zatem ostatecznie chyba zrobiło się romantycznie.

Mogli się w sobie zakochać. Tak się często zdarzało w przypadku politycznych małżeństw. Z początku obie strony były sobie obojętne, ale przyzwyczajenie prowadziło do swobody, swoboda do bliskości i końcowym rezultatem tego wszystkiego okazywała się miłość. To wydawało się jednak zbyt proste dla ojca. Coś kryło się w nim, w tym, jak zniknął w zamkniętych pokojach, jak podchodził do Bayana i mnie, co wskazywało na sekrety jeszcze mroczniejsze i głębsze niż legowisko Ilith.

– Już prawie jesteśmy – rzekł Numeen. Jego szerokie plecy widniały przede mną jak góra. Skręciliśmy w wąski zaułek, po czym mężczyzna zatrzymał się, żeby odblokować kluczowe frontowe drzwi stosunkowo dużego domu. Gdy tylko się otworzyły, w twarz uderzył mnie podmuch ciepłego powietrza. Woń ryby i gotowanych na parze warzyw zaatakowała moje nozdrza, przypominając mi, że nie jadłam od późnego poranku. Weszłam za mężczyzną do środka i zostawiłam buty oraz konstrukt przy drzwiach.

Za krótkim, wąskim korytarzem przestrzeń otwierała się na duże pomieszczenie stanowiące połączenie kuchni i jadalni. W kuchni przebywało kilka osób, które plotkowały ze sobą, siekając warzywa albo smażąc rybę na patelni. Rozległo się skwierczenie oleju, gdy mężczyzna przy palenisku przerzucił rybę na drugą stronę. Był zbudowany jak kowadło – niski i potężny – zupełnie jak Numeen. Gdybym spoglądała na nich kątem oka, mogłabym mieć problemy z rozróżnieniem ich. Oceniałam też resztę. Dwie rodziny w jednym domostwie, połączone szanowaną bąbką. To dlatego dom był większy, niż się spodziewałam.

Przy stole siedziało czworo dzieci, które obierały czosnek i luskaly orzechy. Gdy się zbliżyłam, podniosły wzrok i wpatrywały się we mnie, ale milczały, choć widziałam, że ciekawość niemal rozsadza je od środka.

Numeen wszedł do kuchni.

– Przyprowadziłem gościa. To córka mojego klienta, a ich służba nie przygotowała się na deszcz. Ich jadalnia zupełnie przemokła. Zaproponowałem jej posiłek w suchym miejscu.

– Za chwilę zaczniesz mówić ptakom, żeby założyły gniazda w twoim pokoju, przy tobie i twojej żonie – rzekł jego brat. – Bez urazy.

Kąciki moich ust uniosły się w uśmiechu.

– Nie czuję się urażona. Mam na imię Lin.

Brat kowala jedynie mruknął i przechylił patelnię. Obydwaj mężczyźni zapewne byli do siebie bardziej podobni, niż którykolwiek z nich byłby gotów przyznać.

Weszłam do kuchni.

– Czy mogę jakoś pomóc? – spytałam.

– Och, oczywiście, że nie. – Kobieta odwróciła się od warzyw, które siekała. Była szczuplejsza i wyższa od Numeena, zbudowana jak bambus: wąska, gładka i pełna

wdzięku. Po jaśniejszej skórze i kręcących się włosach oceniałam, że jest pół-Poyerką. Zgadzał się też czas – wzorce migracyjne wysp Poyerów kierowały je w pobliże archipelagu cesarstwa co jakieś trzydzieści lat. Zmierzyła Numeena wzrokiem pełnym uczucia. Musiała to być żona, o której mówił.

– Proszę. Wolę mieć coś do roboty – powiedziałam. Nie było to wspomnienie, przynajmniej nie do końca, ale miałam wrażenie, że czuję w kościach kroki tego tańca.

– Jesteś gościnią – powiedziała żona Numeena, siekając teraz cebulę. Łokciem otarła łzawiące oczy. – Powinnas po prostu usiąść.

Przeszłam na bok od niej, wzięłam inną cebulę i zaczęłam ją obierać. Ostra woń uderzyła mnie w oczy i nozdrza.

Kobieta popatrzyła na mnie z aprobatą, ale się nie odezwała.

Gdy posiłek był już gotowy, wszyscy usiedliśmy przy stole. Tak bardzo różniło się to od kolacji w pałacu, z konstrukcjami usadzonymi z jednej strony, milczącą służbą, wiatrem szepczącym w szparach okiennic i wieczną dezaprobatą ojca. Tutaj nie słyszałam żadnego wiatru. Może to dlatego, że budynek tkwił pomiędzy dwoma innymi. A może dlatego, że nawet gdyby wiał, trudno byłoby go usłyszeć w panującym harmidrze.

Po mojej lewej stronie siedziało dwoje dzieci, a po prawej Numeen. Brat kowala zajmował miejsce obok innego mężczyzny, którego uznałam za jego męża. Wszyscy mówili, kilka rozmów toczyło się jednocześnie. Dziewczynka siedząca obok poklepała mnie po ręce. Nie mogła mieć więcej niż pięć lat.

– To Thrana – wyjaśnił Numeen. – Moja najmłodsza.

– Zobacz. – Thrana pokazała ptaka ułożonego z papieru. – Zrobiłam go dzisiaj.

Wzięłam go od niej. Poczułam pod palcami miękki papier, poskładany i pomarszczony na sto różnych sposobów. Na skrzydłach widniały znaki zrobione czarnym tuszem. Coś o grochu i pieprzu. Kawalek zużytej kartki, oddany dziecku i przerobiony na coś nowego. Dostrzegałam nadzieję w jej oczach, gdy na mnie patrzyła.

– Jest uroczy.

Na jej twarzy rozkwitł uśmiech.

– Lin mówi, że jest ładny – powiedziała do swojego brata. – Możesz go wziąć – oznajmiła mi.

– Och, nie mogłabym. – Oddałam jej ptaszka. – Takie rzeczy powinny być przechowywane przez tych, którzy je stworzyli.

Thrana uśmiechnęła się nieśmiało, odbierając ode mnie przedmiot.

Numeen wzruszył ramionami.

– Od kilku dni próbowała go złożyć – rzekł, nakładając sobie ryż na talerz. Przekazał mi miskę. – Jest uparta, zupełnie jak jej ojciec.

– Ja bym się raczej nie chełpiła tą cechą – stwierdziła jego żona.

Wzięłam kopiastą łychę ryżu, a strużka pary popieściła mi dłoń.

– Od jak dawna jesteście małżeństwem?

– Piętnaście lat – odparł Numeen jednocześnie z żoną. – Za długo. – Wtedy oboje się roześmiali i on pocałował ją w policzek.

Przez to wszystko zaczęłam się zastanawiać, jakiego małżeństwa sama mogłam się spodziewać. Takiego, któremu towarzyszyłyby władza, sekrety i być może miłość, jak pomiędzy moimi rodzicami? Jedynym znanym mi mężczyzną w zbliżonym wieku był Bayan, a przecież rzucaliśmy się sobie do gardeł, odkąd wyzdrowiałam. Nie potrafiłam sobie wyobrazić – a przynajmniej sądziłam, że nie potrafię – jak by to było

trzymać za rękę kogoś takiego jak Bayan, wtulać się w jego bok, pozwalać mu całować się w policzek. Poczułam falę rumieńca płynącą mi w górę szyi, gdy pomyślałam o jego dłoniach na mojej talii, o jego pełnych wargach na mojej skórze.

Odsunęłam tę wizję na bok i skupiłam się na stojącym przede mną posiłku.

– Lin. – Starsza kobieta wyglądająca jak matka Numeena odezwała się do mnie z drugiej strony stołu. – Nie jesteście biedni. Nałóż sobie więcej ryżu. Jesteś za chuda.

I znów miałam wrażenie, że znam kroki tego tańca. Wzięłam jeszcze jedną łyżkę i nałożyłam ją sobie na talerz, po czym przekazałam miskę dalej. Naprawdę byłam głodna.

– Dziękuję ci, ciotko – powiedziałam do niej. Miałam wrażenie, jakby moje dawne wspomnienia napierały na cienką kartkę i choć byłam w stanie określić kształt, nie potrafiłam w pełni ich uchwycić. Nigdy wszak nie dorastałam w takim domu. Wiedziałam, że moja matka zmarła, gdy byłam mała, a ojciec miał niewielu krewnych. W pewnym momencie musiałam poznać rodzinę matki. Teraz nie pamiętałam ich nawet na tyle, by móc do nich napisać, a ojciec przyjmował bardzo nielicznych gości.

– Mieszkasz w pobliżu? – zapytała żona Numeena.

– Niedaleko. Bliżej pałacu.

Skinęła głową. Większość bogatszych mieszkańców Cesarskiego Miasta mieszkała w pobliżu pałacu. Musiało to czemuś służyć przed laty, pod rządami dawnych cesarzy, gdy bramy pałacowe stały otworem i ludzie mogli ubiegać się o audiencję.

– Wasz dom jest bardzo piękny – rzekłam do niej. Był skromny, lecz duży, do tego ktoś pomalował belki sufitowe.

– Pewnie chciałaś powiedzieć, że bardzo tłoczny. – W jej oku pojawił się błysk rozbawienia. Wymownym wzrokiem obrzuciła rozgardiasz w kuchni i dwie drewniane zabawki leżące tam, gdzie ktoś mógł się o nie potknąć. – Żyje nas tu dziewięćoro i wszyscy oprócz babci dzielimy z kimś pokój.

Nie obawiałam się, że urażę ją potwierdzeniem jej przypuszczenia, mimo to poprawiłam ją.

– Nie. Chodziło mi dokładnie o to, co powiedziałam. – Próbowałam zastanowić się, jak ująć słowami uczucie, że z jednej strony sąsiadowałam z Numeenem, a z drugiej z jego córką, która niechcący szturchała mnie łokciem za każdym razem, gdy sięgała do talerza. Było coś uspokajającego w tej bliskości, w uśmiechach widocznych wokół stołu, w szacunku, jakim nawzajem się darzyli. – Jest piękny dzięki ludziom, którzy go wypełniają.

Jej policzki poczerwieniały, choć wyglądała na zadowoloną.

– I widzisz? – odezwała się do Numeena. – Nie jest zabałaganiony. Jest piękny.

– Nie tak piękny jak ty. – Musnęła palcami jej policzek.

Dziwnie było patrzeć na niego w tym środowisku. W warsztacie był opryskliwy i małomówny, nigdy nie widziałam tam, by się uśmiechał. Tutaj zrelaksował się i nawet upomnienia, jakie kierował do dzieci, brzmiały łagodnie. Był jak wąż, który świeżo zrzucił skórę – jaskrawszy i bardziej błyszczący, stworzony na nowo.

Unosiłam właśnie kęs do ust, pochylając głowę nad miską, gdy nagle przesunęłam wzrok na otwarte okno. Na jego skraj siedział konstruktor szpiegowski obserwujący nas czarnymi, lśniąco-czarnymi oczyma.

Nie był to ten mój.

Co widział? Co słyszał? Zerwałam się na nogi, zanim zorientowałam się, co robię, czułam w zakątku umysłu obecność mojego konstruktora.

– Hao! Złap szpiega! – zawołałam.

Rozległo się skrobanie małych pazurków, a intruz zeszywniał, nadstawiając uszu. Skoczył do wnętrza domu Numeena. Brat kowala podniósł się zaniepokojony, a wszystkich czworo dzieci krzyknęło.

Hao pojawił się w oknie, rozejrzał za drugim konstruktem i rzucił na niego. Skakali po garnkach w kuchni, zrzucając jeden na podłogę. Żona Numeena złapała łopatkę i zaczęła gonić stworzenia, próbując trzepnąć je kuchennym przyrządem.

– Nie tego, który goni! – zawołałam, ale chyba nikt mnie nie słyszał.

W końcu Hao osaczył drugiego szpiega koło stołu. Skoczył, zaczął szarpać się z intruzem i przyszpilił go do podłogi. Zanim żona Numeena zdążyła zatłuc któregoś z nich na śmierć, podeszłam, wciąż czując w szarfie ciężar ryłca. Uklękłam, złapałam drugiego szpiega i sięgnęłam do jego ciała. Tym razem odłamek wyszedł łatwiej. Później wzięłam stworzenie w rękę, podeszłam do okna i znów wsunęłam w niego odłamek. Leżał przez chwilę, po czym ożył, zerwał się na nogi i odbiegł, zapomniawszy o swojej misji.

Za moimi plecami zapadła cisza.

– Lin to powszechne imię – rzekła żona Numeena. – Ale nosi je również córka cesarza.

Obróciłam się i zorientowałam, że wszyscy na mnie patrzą. Dom, który jeszcze przed chwilą wydawał się taki ciepły, teraz stał się zimny jak roztopiony śnieg. Żona Numeena podeszła o krok bliżej dzieci i otoczyła je ramionami, przyciągając lekko do siebie. Był to subtelny ruch, ale w pełni go zrozumiałam. Natomiast brat Numeena podniósł dłoń do miejsca na czaszce, w którym miał bliznę.

Byłam Lin. Byłam córką cesarza.

I uprawiałam magię kości w ich domu. W miejscu, w którym choć przez krótką chwilę mogli udawać, że są bezpieczni.

– Przepraszam! – wypaliłam.

I uciekłam.



22

Jovis

Wyspa Nephilanu

Byliśmy już spóźnieni. Przekradałem się zaułkiem w kierunku miejskiego targowiska, gdzie odbywał się Festiwal Trybutu. Zgodnie ze słowami miejscowych co roku przed świętem oczyszczano teren ze straganów.

Mephi, sięgający mi już teraz do kolan, przycisnął się do mojej nogi.

– Robimy bardzo dobre – oznajmił scenicznym szeptem.

Po raz chyba tysięczny wykonałem dłonią gest opuszczania.

– Bardzo dobre – powtórzył tylko nieznacznie ciszej.

Wchodziło mi to w nawyk. A ludzie zawsze mówili o nawykach jako o czymś, co pewnego dnia mogło cię zabić. „Jovis ma nawyk uprawiania hazardu” albo „Jovis ma nawyk pić za dużo melonowego wina” czy „Jovis ma nawyk wpływać łodzią w burzę”. Najwyraźniej wyglądało na to, że tak naprawdę Jovisowi weszło w nawyk ratowanie dzieci przed Festiwalem Trybutu, a co za tym idzie – użyczenie twarzy do rozmaitych plakatów. Zapewne był to najbardziej wariacki sposób na to, by za darmo ktoś namalował ci mnóstwo portretów.

Ale jak mógłbym odprawić tych wszystkich ludzi? Nie przychodzili z pustymi rękoma. Potrzebowałem pieniędzy. W tamtej pijalni, pośród zniszczeń, które

spowodowałem podczas walki z Ioph Carn, na widok ich zachwyconych twarzy poczułem się większy niż w rzeczywistości. Byłem wróblem, któremu uroiło się, że jest orłem.

I jeszcze napisali o mnie przeklętą piosenkę.

Tak wiele usprawiedliwień. Tak wiele kłamstewek, które wciąż sobie powtarzałem. Raz powiedziałem sobie nawet, że Mephi byłby rozzarowany, gdybym nie ustępował pod błaganiami ludzi. Zatem nawyk był najlepszym słowem, by to opisać. Coś, co weszło ci w nawyk, robiłeś bez udziału rozsądku, raz za razem, aż rozpędziłeś się tak, że trudno jest się zatrzymać. Stuk, stuk, stuk... Rozejrzałem się za źródłem tego odgłosu. Och, to czubek mojej metalowej laski stukający o bruk przy każdym kroku. Świetnie mi szło z niewychylaniem się. Zleciłem jej wykonanie na poprzedniej wyspie, ponieważ dłonie średnio nadają się do powstrzymywania broni białej. I teraz wykształciłem kolejny nawyk – stukanie nią w ziemię, gdy byłem nerwowo. Przerwałem to, oparłem się na lasce i odetchnąłem głęboko.

Ratowanie dzieci, zanim dotarły na Festiwal, to jedno. Ratowanie ich z samego Festiwalu to co innego. Ale rodzice byli zdesperowani. I szczerzy.

– Trzymaj się z dala od kłopotów – rzekłem do Mephiego. – Wciąż jesteś za mały.

Potrząsnął tylko głową i zakłapał zębami w moją stronę, jak pies, który posmakował czegoś gorzkiego, ale nie miałem czasu, żeby go skarcić. Wyrząłem zza rogu.

Plac obwieszono wielobarwnymi flagami, w narożniku ktoś grał cicho na flecie. Wszystko po to, żeby odwrócić uwagę dzieci. Kilkoro z nich zaczęło płakać pomimo otępiających efektów opium. Dźwięk ten mnie zmroził, przypomniał o moim bracie ikającym tamtego dnia, zanim udał się na rytuał. Z pięciorga żołnierzy, których widziałem, dwoje stało przede mną u wylotu zaułka. Troje innych na placu. Jedno pilnowało dzieci. Drugie sprawdzało notatki rachmistrza. Trzecie ustawiło się na środku targowiska, trzymając już dłutko.

Wtedy dostrzegłem chłopca obróconego w stronę tłumu i klęczącego przed tamtym żołnierzem. Zaschło mi w ustach. Malec wyglądał jak mój brat w tym wieku. Wciąż pamiętałem dłoń matki trzymającą mocno moją dłoń podczas Festiwalu i ciężką woń potu wiszącą w powietrzu. Sciskała mi palce chyba silniej niż zamierzała. Wtedy tego nie rozumiałem. Nie potrafiłem.

Onyu skrzyżował ze mną wzrok, gdy żołnierz znieczulił miejsce za jego uchem i odciągnął skórę. Krew poleciała na szyję, część zebrała się na obojczyku. Zerknąłem na spoconą twarz żołnierza, na jego ściągnięte wargi, gdy przykładał dłutko do czaszki. Zastanawiałem się, dlaczego zajmuje mu to tak długo.

– Braciszku, za bardzo się martwisz. Moi przyjaciele mówili, że tylko jedno na dwadzieścia pięć umiera na Festiwalu – powiedział mi wcześniej Onyu. Zawsze był odważniejszy ode mnie.

Gdy żołnierz wreszcie uderzył w dłutko, Onyu spoglądał na mnie, wykrzywiając wargi w lekkim uśmiechu. Chyba chciał mnie w ten sposób uspokoić. Ja jednak obserwowałem, jak światło uchodzi z jego oczu, gdy narzędzie weszło zbyt głęboko i wbiło mu się w mózg. W jednej chwili był, w następnej odszedł, zupełnie jak płomień zdmuchnięty przez wiatr.

Nie wiedziałem. Nie zdawałem sobie sprawy, dopóki matka nie wzięła jego bezwładnego ciała w ramiona i nie zaczęła płakać.

Jedno na dwadzieścia pięć. A ja nie zrobiłem nic, żeby to powstrzymać.

Miałem wtedy tylko sześć lat i byłem za mały, żeby zrobić cokolwiek. Natomiast tu i teraz dysponowałem możliwością działania. Powinienem był zaczekać z atakiem, zebrać więcej informacji. Zorientowałem się, że moje stopy same idą naprzód, zanim zdążyłem je powstrzymać. Nawyk.

Jednocześnie uderzyłem obu żołnierzy przede mną, celując w to samo miejsce na potylicy. Osunęli się na ziemię. Dłonie mnie zabołały, ale tylko przez krótką chwilę. Obrażenia, jakie odniosłem podczas bijatyki w pijalni z Ioph Carn, szybko ustąpiły. Nie byłem pewien, czym jest Mephi ani jak wpływa na mnie łącząca nas więź, ale w dniu, w którym wciągnąłem go na łódź, stanąłem na krawędzi przepaści. Wpadłem w nią i teraz mogłem tylko obserwować, dokąd mnie zaprowadzi.

Obecnie do tego, żeby wciągnąć ciała nieprzytomnych żołnierzy w alejkę. Wierzące się dzieci i rodzice na rynku byli zbyt pochłonięci własnymi obawami, żeby zauważyć zniknięcie zbrojnych. A gdy już zauważą, wątpię, czy wzniosą alarm. Taki był skutek uboczny sprawowania rządów nad społeczeństwem, które cię nie kochało. Niewiele osób przejmowało się, gdy działa ci się krzywda.

Pięcioro dzieci, samych przyjaciół i sąsiadów. Ich rodzice zebrali wspólnie pieniądze, żeby mi zapłacić.

Nachyliłem się i szepnąłem do ucha jednej z kobiet:

– Mam na imię Jovis. Jestem tu, żeby pomóc dzieciom. Gdy powiem „dość”, zabierz wszystkich z drogi. Powiedz znajomym.

Kobieta zeszytniała lekko na dźwięk mojego głosu, ale zaraz potem skinęła głową i stuknęła mężczyznę w ramię.

Poczułem, jak coś ociera mi się o kolano. Mephi dreptał przy mnie jak jakiś dziwny pies. Ludzie zaczęli go zauważać. Gdy miał rozmiar kociaka, łatwo było go przegapić. Teraz jego nietypowy wygląd nie mógł umknąć uwadze. Połączone błoną łapy zwinnie poruszały się po nierównych ulicach. Nogi urosły mu tylko nieznacznie, ale szyja nieco się wydłużyła. Wybrzuszenia na głowie stały się wyraźniejsze, pokrywająca je sierść wytarła się, choć rogi nie przebiły jeszcze skóry. Zaczął też linieć. Nie futrem, tylko miękkim i bladym łupieżem, który sypał się jak mąka, gdy Mephi był suchy.

Jeden z żołnierzy stojących przy grupce dzieci podążył za wzrokiem wieśniaczki. Wybałuszył oczy.

– Dość! – krzyknąłem.

Na placu rozpętał się chaos. Ludzie ruszyli w stronę uliczek. Żołnierze obracali się w poszukiwaniu źródła głosu. Dzieci parły ku mnie, mijaly mnie, płynęły w otępieniu jak melasa. Mephi, jak zawsze nieposłuszny, rzucił się do przodu, by pomóc je zagonić. Zawołałem go, ale na nic się to nie zdało. Jak zawsze.

Żołnierze sięgnęli po miecze. Uniosłem laskę i ścisnąłem ją dłońmi, gotów na spotkanie z nimi.

I wtedy usłyszałem z góry skrzypnięcie drewna. Czwooro łuczników podkradło się do krawędzi dachów i przykucnęło, sięgając po strzały. Więż z Mephim dodała mi siły i szybkości, ale nie poprawiła słuchu. Ani mózgu. Mogłem się domyślić, że tak będzie. Jeden z rodziców poinformował władze, a te zastawiły na mnie pułapkę. Dziwnie mi to pochlebiało – nigdy nie próbowali czegoś podobnego, gdy byłem przemytnikiem, i zapewne dlatego udało mi się uciec z tamtym ładunkiem bystrokamienia.

Z zaułka wyłoniło się dwóch kolejnych żołnierzy. Dziewięcioro na jednego.

Zaczerpnąłem tchu i wtedy poczułem pulsowanie w kościach, niczym potężne oddechy jakiegoś ogromnego zwierzęcia. Wzmocniłem chwyt na lasce.

– Jovisie! – zawołała żołnierka, która wcześniej stała przy rachmistrzu. Wyglądała na zmęczoną, jej zbroja miejscami była podrapana, a twarz znużona. Plac już niemal opustoszał, choć na obrzeżach zostało kilkoro dzieci bez rodziców, otępiących przez opium. – Na rozkaz cesarza Shiyena Sukaia jestem uprawniona zatrzymać cię w celu przesłuchania.

– I położenia na pieńku katowskim, nie wątpię – odparłem.

– Czyli nie pójdziesz spokojnie? – Podeszła o krok bliżej, a jej żołnierze wraz z nią.

– Skoro wiesz, kim jestem, to wiesz również, że walczyłem z piętnastoma Ioph Carn i zwyciężyłem. Co każe wam sądzić, że będziecie mieć większe szczęście? – Zadarłem podbródek, dodając kłamstwu odrobinę ciężaru. Prawda wyglądała tak, że nigdy dotąd nie zetknąłem się z bardziej niekorzystną przewagą. Zauważyłem, że niektórzy zbrojni zerkają na siebie z ukosa.

Otworzyła usta, żeby się odezwać, ale nie pozwoliłem jej.

Tupnąłem w bruk prawą stopą i skryte we mnie vibracje wlały się w ziemię. Kamienie pode mną zdrząły, budynki się zakołysały. Moje małe trzęsienie miało zasięg może dziesięciu metrów, ale żołnierze tego nie wiedzieli. Podobnie jak mieszkańcy miasteczka. Ktoś wrzasnął, a łucznicy odłożyli łuki, żeby przytrzymać się dachów. Wszystko inne zniknęło z mojej świadomości.

Zabrałem się do pracy.

Wyeliminowałem ich przywódczynię, zanim ktoś zdołał dobrać się do niej, laską wytrąciłem jej miecz z dłoni i odkopnąłem go na bok. Drugim końcem laski uderzyłem ją w łopatkę. Upadła.

Następnych dwoje przeciwników zachowało tyle przytomności umysłu, żeby zaatakować, i położyłem ich, zanim mnie dosięgli.

Rozbrzmiał świst strzały, a następnie jej zgrzyt na bruku. Łucznicy się otrząsnęli. Odetchnąłem i znów tupnąłem. Ten, kto strzelał, nie zdołał zachować równowagi. Usłyszałem okrzyk, gdy spadał z dachu, po czym z hukiem grzmotnął o ziemię. Ostatnich trzech piechurów próbowało mnie obejść, otoczyć kręgiem. Miałem jednak długą laskę i mogłem posługiwać się nią z pełną siłą nawet wtedy, gdy trzymałem za koniec. Przyciągnąłem jej okucie do ramienia, czując chłód metalu przy uchu, po czym się zamachnąłem. Dwóch żołnierzy odskoczyło. Trzeci potknął się o kamień i moja broń trafiła go w pierś.

Usłyszałem strzałę, zanim ją poczułem. Rozszarpujący, rozdzierający odgłos. Zachwiałem się i ledwo odzyskałem równowagę. Następnie w barku eksplodował mi ognisty jezór bólu. Krzywiąc się, znów tupnąłem, ale tym razem łuczniczka była na to gotowa. Nie usłyszałem nikogo innego spadającego z dachu. Musiałem szybko zakończyć sprawę, inaczej stanę się poduszeczką na igły. Dwoma szybkimi krokami znalazłem się przy żołnierzach wciąż leżących na ziemi, jednego z nich grzmotnąłem końcem laski w brzuch, po czym obróciłem ją, by ostatniego stuknąć w głowę. Paskudne ciosy, ale przynajmniej skuteczne.

Gdy się obróciłem, dostrzegłem znajomą sylwetkę biegnącą po dachach.

– Mephi, ty idioto! – Nie miałem czasu powiedzieć nic więcej.

Zatopił ostre ząbki w łydce łuczniczki. Był sporo większy niż wtedy, gdy zaatakował Philine, nie zaskoczyło mnie więc, gdy kobieta wrzasnęła i upuściła łuk, po

czym próbowała oderwać zwierzę od nogi. Zostało dwóch strzelców i jeden z nich mierzył do Mephiego.

Bez zastanowienia najmocniej jak umiałem cisnąłem laską w jego głowę.

Próbował unieść dłonie, żeby ochronić twarz, ale przeszkodziły mu łuk i strzała. Laska go uderzyła i sturlał się z dachu. Z hukiem grzmotnął w ziemię i już nie wstał.

Ostatni łucznik rzucił się do ucieczki.

– Cholera. – Moja laska spadła z brzękiem na bruk i ruszyłem, żeby ją podnieść. Łuczniczka wciąż szarpała się na dachu z Mephim. Musiałem nauczyć się rzucać nożami albo czymś podobnym. Teraz jednak dysponowałem tylko laską i mogłem albo pomóc Mephiemu, albo powstrzymać tamtego strzelca przed ogłoszeniem alarmu. Coś w wibracjach uległo zmianie. Nagle uświadomiłem sobie, jak wilgotny jest plac. Woda zebrała się w kałużach na bruku, w rynsztokach, w metalowych dzbanach w budynku po mojej prawej. Nawet w wiadrze, które ktoś zostawił w zaułku na skraju targowiska. Wszystko to wydawało się niemal... elementami mnie. I nagle, równie szybko, wrażenie ustąpiło.

Tak naprawdę nie miałem wyboru. Rzuciłem laską w żołnierkę próbującą oderwać od siebie Mephiego. Minimalnie chybiłem i broń stoczyła się z dachu, a potem zabręczała na bruku, hałas jednak sprawił, że kobieta rozluźniła chwyt na Mephim, a ten otworzył szczękę. Śliskie dachówki nie zapewniły jej oparcia dla nóg, gdy straciła równowagę. Sturlała się na krawędź dachu i z krzykiem spadła na ziemię, gdzie zaległa nieruchomo.

Byłem otoczony przez krew i ciała, z których część wciąż na wpół przytomnie wykasływała jeszcze więcej krwi.

Zza pleców dobiegł mnie pisk. No tak, dzieci. Powód, dla którego w ogóle się w to wszystko wpakowałem. Niektóre z nich uciekły wraz z rodzicami, ale część pochodziła z mniejszych sąsiednich wyseppek i to żołnierze mieli odwieźć je do domów.

– Idziemy – powiedziałem do nich. – Już.

Strzała wciąż wystawała mi z ramienia, co odczuwałem dotkliwie przy każdym ruchu. Sięgnąłem za siebie, przygotowałem się psychicznie i ułamałem koniec. Z rany rozlał się gwałtownie ból, który sprawił, że zacisnąłem zęby i oddychałem urywanie. Będę musiał przyrzec się później postrzałowi, ale na razie trzeba było się stąd zabrać.

Matka lub ojciec jednego z tych dzieci mnie zdradziło. Zdradziło ich wszystkich. Wciąż jednak miałem pieniądze brzęczące w sakiewce, poza tym nie była to wina dziecka. Wyciągnąłem ich z rytuału i przekazałem w bezpieczne ręce. Łatwiej o coś takiego na tej wyspie, gdzie Garstka Bezkostnych zdobyła przyczółek na wsi, z dala od miasta.

Wprowadziłem dzieci do zaułka i szły posłusznie jak jagniątka. Mephi zbiegł z dachu, trzymając się rynny, która zgrzytliwie protestowała pod jego ciężarem. Zaraz potem brykał już przy mnie, nadmiernie zadowolony z siebie.

– Zrobił bardzo dobre – powiedział.

– Nie. Mówi się: zrobiłem dobrze.

– Zrobił dobrze?

– Zrobiłem dobrze. – Westchnąłem. Czy naprawdę uczyłem to zwierzę podstaw gramatyki? – Poza tym wcale nie zrobiłeś dobrze. Prosiłem cię, żebyś się nie mieszał.

Mephi wydał z siebie prychnięcie wyraźnie przekazujące mi, co sądził o tym poleceniu.

– Czy pupile nie powinny robić tego, co każą ich właściciele?

Zmierzył mnie przeciągłym spojrzeniem, a ja roześmiałem się pomimo bólu promieniującego mi z barku. Czyli nie do końca był pupilem. Może przyjacielem. Nie miałem przyjaciół, odkąd przed laty opuściłem dom, żeby szukać Emahli. Zgubiliśmy łódź o niebieskich żaglach, choć wciąż próbowałem się przekonywać, że wcale tak nie było. Okłamywałem się za każdym razem, gdy się obudziłem: dzisiaj znów ją znajde. Minęły już tygodnie.

I za każdym razem, gdy zderzałem się z prawdą, czułem bolesny konflikt lojalności. Czy przestałem przejmować się Emahlą? Czy nie chciałem już jej pomóc? Ale Mephi nie mógł znieść woni bystrokamienia, a ja nie potrafiłem wyjaśnić dlaczego. Kiedyś próbowałem spalić substancję w jego pobliżu i wymiotował tak długo, aż wypływała już z niego tylko żółć. Kradłem rzeczy, których nie powinienem, ostro negocjowałem, ignorowałem błagania osób proszących o pomoc. Ale tej linii nie potrafiłem przekroczyć. Nienawidziłem się za to.

Ale nie mogłem nienawidzić jego.

Na przystani konstrukt portowy próbował zatrzymać mnie oraz pięcioro kulących się za mną dzieci. „Proszę podać rodzaj towaru”. Zamachnąłem się i laską strąciłem go do wody. Elegancję i kłamstwa już dawno zostawiłem za sobą.

Potrzebowałem pół dnia, żeby opłynąć wyspę i dostać się na jej przeciwległy kraniec, a efekty opium zaczęły ustępować, gdy tylko opuściliśmy port. Dzieci płakały i wtulały się w siebie jak zagubione szczeniaczki. Mephi robił, co w jego mocy, żeby je uspokajać, ale tak naprawdę potrzebowały matek i ojców. Rozumiałem, że nie ma sensu próbować. Nigdy nie wiedziałem, co mówić do dzieci. Zamiast tego usiadłem z dala od nich, wyciągnąłem sobie grot strzały z ciała, a później zszyłem skórę i rozerwaną koszulę.

Musiałem rzucić kotwicę na płyciźnie, a później zmusić dzieci, by zeszyły do wody. I tak zbierało się na deszcz i wkrótce by przemokły. Brodząc, dotarłem wraz z nimi na brzeg w spodniach ciężkich od morskiej wody. Rana w barku bolała, ale już zaczęła się zalecać.

Na piasku siedziała kobieta i wpatrywała się we mnie. Była ubrana w prostą tunikę z szorstkiego płótna i pas materiału służący jako spódnica. Zanim zszedłem się z Emahlą, mógłbym powiedzieć, że jest piękna. Długie, czarne włosy splecione z tyłu w warkocze okalały twarz o dużych wyrazistych oczach i spiczastym podbródku. Podniosła się, gdy podszedłem.

– Jovis, jak mniemam? – spytała. – Poinformowano mnie, że to on przywiezie dzieci.

Podrapałem się w brodę.

– Co? Moja twarz nie wygląda ci znajomo? W całym cesarstwie wiszą setki moich portretów. Płaciłem ulicznikom, żeby je zrywali.

Obrzuciła mnie krzywym spojrzeniem.

– Niemal tak próżny jak cesarz. Czy teraz będziesz się domagał, żeby twój wizerunek wybijano na monetach?

– Tyle mi ostatnio uderzyło do głowy, że by się nie zmieściła.

Położyła dłoń na sercu w geście powitania, a ja odwzajemniłem ten ruch.

– Mam na imię Ranami. Słyszałam o tobie.

– Mam nadzieję, że dobre rzeczy.

– To zależy, kogo pytać. – Pochyliła się, żeby przywitać jedno z dzieci. Błąkały się po plaży jak duchy. – Mój przyjaciel zaraz przyjdzie, żeby zabrać was gdzieś, gdzie

będzie ciepło. Będziecie mogli tam umyć się i przebrać w suche rzeczy. Damy znać waszym rodzicom, że jesteście bezpieczni. I mamy też jedzenie. Podoba wam się to?

Dziewczynka przytaknęła.

Spomiędzy drzew wyszedł mężczyzna z blizną na twarzy i okiem pokrytym bielmem. Poczułem, jak unoszą mi się brwi. Znałem go. Ale w sumie znali go wszyscy w cesarstwie, ponieważ rozwieszono więcej plakatów z jego wizerunkiem niż z moim. Gio, przywódca Bezkostnych. Krążyły opowieści, że gołymi rękoma zabił gubernatora Khalute. Położył dłoń na sercu, żeby się ze mną przywitać, a później przywołał do siebie dzieci.

Odeszli, zostawiając mnie samego na plaży z Ranami i łodzią zakotwiczoną z tyłu.

– A zatem to tutaj ukrywa się przywódca Garstki Bezkostnych?

Kąciki ust Ranami uniosły się nieznacznie.

– A komu mógłbyś o tym powiedzieć?

Uniosłem dłonie wnętrzami do przodu w bezradnym geście. Nikt by mi nie uwierzył. Zadbalem o to.

– Słuszne słowa – odparłem.

Mephi wykorzystał okazję, żeby popływać. Turlał się w falach, ćwierkając do siebie. Czulem, jak przyzywa mnie rozciągające się z tyłu Bezkresne Morze. Gdzieś tam kryły się poszukiwane przeze mnie odpowiedzi dotyczące zniknięcia Emahli. Odwróciłem się, żeby odejść.

– Chcę ci złożyć propozycję – oznajmiła Ranami.

Jeszcze zanim znów na nią spojrzałem, wiedziałem, co powie. Wszyscy teraz uważali, że mogą mnie kupić, nawet Ioph Carn. Nie przejmowali się mną szczególnie, gdy byłem przemytnikiem towarów, choć wtedy mogliby to zrobić. Najpierw ludzie zaczęli się bać, gdy zobaczyli, co potrafię. Później, kiedy ten strach przeminął, zaczęli składać mi propozycje. Jak dotąd jedyne, które przyjmowałem, dotyczyły ratowania dzieci.

– Dołącz do Garstki Bezkostnych – rzekła. – Pomóż nam obalić cesarza.

Pokręciłem głową.

– Nie. I nie ty pierwsza oferujesz mi jakąś formę luźnego zatrudnienia. Och. Tyle że nie płacilibyście mi, prawda?

Wydęła wargi.

– Nie jestem żadnym bohaterem. I nigdy nie chciałem nim zostać. A te dzieci? Ich rodzice zapłacili mi, żebym je ocalił.

– Ale umiesz robić rzeczy, których nie potrafią inni. Jeśli pogłoski nie przesadzają, masz siłę dziesięciu ludzi i jesteś nawet w stanie sprawić, żeby ziemia się zatrzęsła. Pomyśl, ile dobra mógłbyś dzięki temu uczynić. Mógłbyś oddać ludziom ich głos.

Popatrzyłem w niebo i westchnąłem.

– Cesarstwo zostało założone po to, żeby uratować ludzi przed Alanga. Garstka Bezkostnych próbuje ratować ich przed cesarstwem. Kto później uratuje ludzi przed Bezkostnymi?

– Alanga nie wrócą, nieważne, co mówi cesarz. Jego konstrukty to bardziej zabawki niż armia. Jest majsterkowiczem, a nie jakimś łaskawym obrońcą. I majsterkuje przy naszych życiach.

Byłem młody, ale oceniałem, że ona jest młodsza. Wciąż miała w sobie dość energii, żeby wierzyć w ideały.

– Jak buntownicy zamierzają postąpić z ludźmi, gdy już ich uratują? Jeśli zabraknie cesarza, kto będzie nami rządzić?

Uniosła podbródek.

– Sami będziemy sobą rządzić. Powstanie rada utworzona z przedstawicieli wysp.

Nie zadawałem żadnych dodatkowych pytań. Potrafiłem rozpoznać, że ktoś próbuje mnie nawracać. Przejechałem dłonią po twarzy. Na Bezkresne Morze, ależ byłem zmęczony! Suche ubranie i ciepła strawa obiecane dzieciom brzmiały teraz niebiańsko również dla mnie. Chłupotało mi w butach, mokre spodnie kleiły się do ud, bark pulsował tęnym bólem.

– Wygląda na to, że będzie towarzyszyło temu mnóstwo bałaganu. – Ruszyłem w stronę wody. – To nie mnie potrzebujecie.

– Zaczekaj! – zawołała za mną Ranami. – Wiem, czego szukasz.

Zatrzymałem się.

– Łodzi z ciemnego drewna i z niebieskimi żaglami, kierującej się w stronę większych wysp. Wiem, dokąd płynie.

Nie miałem pojęcia, gdzie teraz jest łódź, i nigdy nie poznam jej celu.

– Co o niej wiesz?

Nie zamierzała mi tego zdradzić tylko dlatego, że spytałem. To oczywiste.

– Powiem ci to, co chcesz wiedzieć, ale musisz nam najpierw pomóc.

Obróciłem się z powrotem do niej, bezradny jak wisząca na sznurkach marionetka. Emahla. Dla niej wszystko.

– Co mam dla was zrobić?



23

Jovis

Wyspa Nephilanu

I to pewnie wszystko, czego ode mnie chcecie?

Gdy rekin proponuje ci perłę, uważaj na jego zęby. Ojciec lubił mi to powtarzać, gdy żeglowaliśmy, choć zorientowałem się, że ta lekcja ma największe zastosowanie na łodzi.

Ranami rozłożyła ręce.

– Dziesięć dni twojego czasu to niewiele.

– I spodziewam się, że mogę po prostu usiąść sobie tutaj, odczekać tych dziesięć dni i przekażecie mi informacje, których potrzebuję. – W duchu wrzeszczałem. Dziesięć dni. Dziesięć dni, podczas których ta łódź będzie się coraz bardziej oddalać, a ja będę starał się uchwycić odpowiedzi, które przeciekały mi przez palce.

– Nie – przyznała Ranami.

– W takim razie powiedz mi, czego konkretnie ode mnie oczekujecie, a wtedy porozmawiamy.

– Chodź ze mną. Niech Gio i inni ci to wytłumaczą.

– Inni... – powtórzyłem beznamiętnie. Ilu z Garstki Bezkostnych zebrało się na tej wyspie? Jeśli cesarz wszędzie rozpuścił szpiegów, wkrótce się tego dowiedzą. Nie

trzeba było ufać ludziom, jeśli miało się do dyspozycji konstrukty wielkości wiewiórek, które mogły wykonać robotę. A jednak obietnica, którą ta kobieta majtała mi przed nosem – wiedza, dokąd zmierza łódź – migotała niczym błyska na ryby w słoneczny dzień. Obecnie już tylko zgadywałem, podążałem tropem, który dawno wystygł. Gdybym znał cel tej łodzi, mógłbym skierować się tam najkrótszą trasą i złapać ją, gdy wciąż będzie dokować. Pomyślałem o oczach Emahli, ciemnych jak wino, o tym, jak by to było móc znów je ujrzeć, i poczułem, jakby gardło dławił mi ciężar wszystkich wysp ustawionych jedna na drugiej. – Wiesz, czy ona wciąż żyje? – spytałem cicho.

Rzęsy Ranami poruszyły się gwałtownie. Spuściła wzrok na piasek.

– Przykro mi – rzekła i w jej głosie zabrzmiał szczery żal. – Wiem tylko, że szukasz łodzi o niebieskim żaglu. Nie zdawałam sobie sprawy...

Przeszedłem obok niej i usłyszałem, że Mephi z pluskiem skacze przez wodę, żeby za mną podążyć. Oczywiście, że nie zdawała sobie sprawy. Nikt nie wydawał się wiedzieć, co działo się z tymi młodymi mężczyznami i kobietami, dlaczego ich zabierano. Ale wiedziała, dokąd ich wieziono, a to już było coś.

– To nieistotne. – Musiałem wykorzystać tę szansę. Musiałem przestać się okłamywać, powtarzać sobie, że zdołam sam ją odnaleźć. Nie byłem dzieckiem liczącym na to, że z brzegu dostrzeże węże morskie.

Przyspieszyła, żeby się ze mną zrównać, a ja na nią nie czekałem.

– Nie wiesz, dokąd idziesz – powiedziała stanowczym głosem, zanim wysforowała się przede mną. I miała rację: nie wiedziałem. Gdzie można było ukryć przywódcę buntu przed cesarstwem?

Poszycie pod moimi stopami było wilgotne. Większość ludzi cieszyła się, że po siedmiu latach pory suchej przyszły deszcze. Owszem, zerwały się silniejsze wiatry i można było szybciej żeglować, ale z powodu opadów pobyt na łodzi stawał się nieco mniej przyjemny, a przez wilgoć wiecznie obecną w powietrzu miałem wrażenie, że moje opuszki już zawsze będą pomarszczone. Mephi przemykał przed nami i wokół nas, brykał po rosie, kłapał zębami na motyla, wspiał się do połowy pnia drzewa, żeby zaraz z niego zeskoczyć. Nic nie mówił, za co byłem mu dozgonnie wdzięczny. Jeszcze tylko tego brakowało, żebym musiał tłumaczyć tej kobiecie, dlaczego mój zwierzak gada.

Ranami zaprowadziła mnie do urwiska pokrytego pnączami i innymi roślinami. W górze na drzewach nawoływały się ptaki i małpy, ich głosy nakładały się na siebie. Niebo się przejaśniło, choć wiedziałem, że nie potrwa to długo. Nie było tu dróg, wiosek, nawet skrawka dachu w oddali. Przypuszczałem, że dzięki temu problem szpiegów stawał się mniej palący. Nagle Ranami odsunęła na bok część pnączy, odsłaniając szczelinę w ścianie urwiska. Szeroką jedynie na tyle, żeby człowiek mógł się tam wcisnąć. Popatrzyła na mnie chłodno.

Wzdrygnąłem się.

– Chyba nie mówisz...

Podniosła rękę, wciągnęła powietrze i zniknęła w skale.

Mephi zacwierał z ekscytacją. Uniosłem palec do ust.

– Nie – powiedziałem. Uciszył się i tylko szturchnął mnie głową w kolano. Podrapałem go za uszami i podeszedłem do szczeliny. Uniosłem pnącza jak zasłonę i zajrzałem w mrok. Gdy tak patrzyłem, wydawało mi się, że z głębi dochodzi jakiś nikły blask.

– Idziesz? – Głos Ranami dobiegł z ciemności, jakby zmieniała się w cień.

Mephi usiadł na tylnych łapach i wpatrywał się we mnie czarnymi oczyma.

– Nie musisz iść – rzekłem do niego. – Możesz poczekać na mnie w łodzi.

Pokręcił głową, zaczął wiercić i wsunął się w dziurę, jakby jego kości były płynne.

Zacisnąłem palce i rozprostowałem je, czując, jak na dłoniach zbiera mi się pot.

Nigdy nie przepadałem za zamkniętymi przestrzeniami, co zapewne stanowiło kolejny powód, dla którego nie lubiłem pory deszczowej. Tak często trzeba było czekać pod dachem, aż przejdzie burza. Nie widziałem, jak głęboko sięga ta szczelina, jak długo będę musiał się nią przeciskać. A co, jeśli były tam pająki?

Emahla by się nie wahała, gdybyśmy zamienili się rolami.

Odetchnąłem szybko i wszedłem w otwór bokiem, z twarzą obróconą do światła dnia. Jeden krok. Drugi. Skała z obu stron naciskała mi na pierś i na plecy. Czuję się, jakbym został uwięziony pomiędzy dwiema górami, a trzecia tkwiła nade mną. Czy podobnie czuje się owad, zanim zostanie zmiażdżony stopą? Trzy kroki. Cztery. Zahaczyłem koszulą o występ skalny. Nie oswobodziłem się, gdy pociągnąłem. Wpadłem w pułapkę.

Zatrzymałem się, próbując zdusić panikę. Jeden krok wstecz, a później znowu naprzód. Koszula się uwolniła.

Kolejny krok i poczułem, że szczelina się poszerza. Ciepłe ciało musnęło mi nogi. Mephi. Sam jego dotyk mnie uspokoił – wiedziałem już, że jest przy mnie i się nie boi. Był znacznie mniejszy ode mnie. Skoro on się nie bał, to ja też nie powinienem.

Wreszcie mogłem obrócić głowę. Jeszcze kilka kroków i ściany nie napierały już na mnie. W twarz zaświeciła mi lampa. Gdy została opuszczona i moje oczy dostosowały się do otoczenia, dostrzegłem twarz Ranami, na której widniał wyraz ponurej satysfakcji.

– Jesteśmy głębiej.

Ledwie mięściłem się teraz na szerokość ramion, ale uważałem jaskinię już tylko za nieprzyjemnie wąski tunel, a nie śmiertelną pułapkę. Jeśli to właśnie tu ukrywali się Bezkostni, mogłem zrozumieć, dlaczego jeszcze ich nie odkryto. Musiałem patrzeć pod nogi, bo podłoże było nierówne, choć ktoś zadał sobie trud, żeby skuć poszarpane występy.

Ranami i lampa zniknęły za rogiem, a ja przyspieszyłem, żeby znów widzieć światło. Niemal potknąłem się, gdy obszedłem narożnik.

Tutaj podłoga była gładka, a ściany poszerzały się do porządnego korytarza. Na hakach w regularnych odstępach wisiały lampy oświetlające symbole wyryte na skale. Musiałem rozejrzeć się w lewo i w prawo, zanim znów dostrzegłem Ranami idącą dalej tunelem.

– Co to za miejsce? – spytałem, gdy ją dogoniłem.

– Nie do końca wiemy – odparła – ale jesteśmy niemal pewni, że to oni je stworzyli. Że być może tu mieszkali.

Oni. Alanga. Wiedziałem, że to właśnie Nephilanu było wyspą, na której Dione, ostatni z Alanga, bronił się przed cesarstwem. Wydawałoby się sensowne, że zorganizowali tu kryjówkę.

– Musieli mieć mnóstwo oleju – uznałem.

– Tak – odpowiedziała ciepło. – Jest dość ciemno. Widzę, że zauważyłeś.

Uroczo. Świetnie, że tak dobrze się dogadujemy. Ważne, by nie wymagali ode mnie ściślejszej współpracy z tą kobietą.

– A może oświetlali to miejsce magią – podsunąłem.

Jej ramiona zeszywniały. Taki pomysł nie przyszedł jej do głowy. Uznałem to za dziwne – wszędzie otaczały nas świadectwa istnienia magii w postaci konstruktów

cesarza, a jednak nikt nie wydawał się zastanawiać nad innymi jej formami. Najwyraźniej występowały wśród Alanga. I jeśli można było wierzyć opowieściom ludowym, jałowce chmurowe również kryły w sobie pewną magię, choć była ona zazdrośnie strzeżona przez klasztor.

Gdy się skupiłem, czułem wibracje w kościach, moc czekającą na to, żeby ją wyzwolić. Ziemia pod moimi nogami wydawała się wstrzymywać oddech, jakby spodziewała się, że zaraz pośle w nią to pulsowanie. We mnie również tkwiło coś magicznego – albo tam umieszczone, albo przebudzone przez Mephiego. Nie miałem pojęcia, skąd to wziął. Zorientowałem się, że stukam końcem laski w ścianę. Gdy zacieśniłem chwyt na rękojeści, poczułem, jak palce ślizgają mi się od potu. Czasami zastanawiałem się, czy magia jest jak pasożyt, jak istota, która we mnie żyje, ale nie jest częścią mnie. W niejedną noc myśl ta sprawiała, że nie mogłem spać. Ufałem jednak Mephitemu, a więź, jaka się między nami nawiązała, nie krzywdziła mnie. Gdy używałem magii, gdy czułem siłę w kończynach i pulsowanie w uszach, obcy był mi strach. Czułem jedynie żarliwą radość. Czy to było dobre, czy niedobre? Nie miałem pewności.

Korytarz kończył się pomieszczeniem na tyle dużym, że mogłoby się równać z salą jadalną w pałacu. Na ścianach również wisiały tu lampy i choć dzięki nim było tu niemal jasno, wciąż wydawało mi się, że zapomniałem już, jak wygląda niebo. Na przeciwległym krańcu, przy kamiennym stole, siedziała grupa osób. Jedna z najwyższych kobiet, jakie kiedykolwiek widziałem, stała oparta o ścianę, choć przy stole było dla niej mnóstwo miejsca. Miała na sobie skórzany kaftan, a u boku przypięła miecz. Nie do końca wyglądała na żołnierkę – nie miała munduru ani mosiężnej odznaki – ale opierała dłoń na rękojeści i nie wątpiłem, że dobrze wie, jak korzystać z broni. Czarne włosy opadały jej falami na ramiona, okalając podbródek bardziej wyrazisty niż mój.

Ranami powiesiła lampę przy drzwiach i podeszła do tamtej kobiety. Objęły się, choć kryła się w tym geście jakaś niezręczność, jakby obie nie włożyły w to całego serca.

– Wróciłam – oznajmiła Ranami. – I tak jak obiecałam, przyprowadziłam pozostałą część naszego planu.

Wysoka kobieta przyjrzała mi się tak, jakbym był bezpańskim psem wypuszczonym do domu, by nie mókł podczas burzy.

– Jego – stwierdziła beznamiętnie.

Przecież to ja nie chciałem tu być.

– Może powiecie mi, czego ode mnie chcecie, a ja wam powiem, czy zdołam to zrobić, zanim zabierzecie się do oceniania moich zdolności.

Z dalszego pomieszczenia słyszałem głosy dzieci i czułem ciężki zapach pożywej potrawy curry. Zaburczało mi w żołądku.

Gio podniósł się ze swojego miejsca przy stole.

– Jovisie – odezwał się. – Cieszę się, że zdecydowałeś się do nas dołączyć. Sam rozumiesz, że sprowadzenie cię tutaj i poinformowanie o wszystkim naraża nas na niebezpieczeństwo.

Mephi oparł mi się o kolano. Podrapałem go za uszami, czerpiąc otuchę z jego obecności.

– Jak już Ranami uprzejmie mi wskazała, komu właściwie mógłbym to zdradzić? Najwyraźniej wszyscy pragną mojej śmierci, cesarstwo również.

– Mógłbyś targować się z nimi o życie – odparł Gio.

– Obaj wiemy, że cesarstwo nie dotrzymałoby takiej umowy. To powiecie mi czy nie?

Wymienił spojrzenia z Ranami. Nie byłem głupi. Te nasze słowne gierki były bezcelowe. Gdyby mi powiedział, a ja nie zgodziłem się na ich plan, zabiłby mnie. Gdybym się zgodził i odniósł porażkę, zapewne wciąż starałby się mnie zabić. Ranami wierzyła w sprawę i nigdy nie stanowiłaby zagrożenia dla Gio. Wyczuwał to w niej jak wilk szukający psa pośród owiec. A ja? Po prostu wykorzystywałem okazję. Poszedłem na układ z Ioph Carn, a później ich okradłem. Robiłem to, co było konieczne. I to również we mnie wyczuwał, nie miałem wątpliwości. Zatem krążyliśmy wokół siebie ostrożnie, warcząc i wiedząc, że wszystko to może skończyć się rozlewem krwi.

– Miejscowy gubernator jest silnym poplecznikiem cesarstwa – oznajmił Gio. – Większość tutejszego handlu polega na wysyłce orzechów caro do centralnej części państwa. Dzięki temu zdobył majątek. Zamierzamy go obalić. Z początkiem pory deszczowej odciąć dostawy orzechów i osłabić poparcie dla cesarza. Gdy tylko kaszel bagienny zaatakuje główne wyspy, gubernatorzy zaczną hałaśliwie domagać się oleju caro, którego cesarz nie będzie miał. Jeśli to my przejmujemy kontrolę nad podażą, zdołamy wykorzystać sytuację, żeby zdobyć nowych sojuszników i obrócić część gubernatorów przeciwko cesarstwu.

Przesunąłem wzrok na Ranami. Stała oparta o ścianę obok wysokiej kobiety, spleciona z nią palcami. Choć nie patrzyła na mnie, nie patrzyła też na swoją partnerkę. Bunty potrafiły rozrywać więzi pomiędzy ludźmi równie skutecznie, jak je formować.

– A jaka jest moja rola w tym wszystkim?

– Jeśli opowieści są choć w połowie prawdziwe, to jesteś potężnym wojownikiem. Potrzebujemy kogoś, kto zlikwiduje osobistą gwardię gubernatora. Kogoś, kto w razie potrzeby poradzi sobie z nimi wszystkimi. Zostanie to skoordynowane z frontalnym szturmem.

Wciąż czułem w sobie wibrowanie mocy, trzepoczącej teraz na tle głośniejszego bicia serca.

– Jestem przemytnikiem. Nie zabójcą.

– Słyszałem, że zlikwidowałeś sześcioro najlepszych wojowników Ioph Carn i jednocześnie niemal zrównałeś pijałnię z ziemią.

– Nie zrównałem jej z ziemią. Tylko trochę nią wstrząsnąłem, ale bardziej po to, żeby tamtych pozbawić równowagi i ich wystraszyć, niż żeby cokolwiek zniszczyć. No i nie zabiłem Ioph Carn. – Nie mogłem jednak zaprzeczyć, że było ich sześcioro.

Gio ze spokojem w ciemnym oku obserwował mnie, gdy głędziłem.

– Sześcioro wyszkolonych wojowników przeciwko jednemu przemytnikowi – rzekł, jakby to rozstrzygało sprawę. Może tak było. Zajął znów swoje miejsce przy stole, choć obrócił się w moją stronę. – Nie wątpię w twoje umiejętności walki. Musimy jednak zgrać wiele elementów, zatem będziesz pracował ze mną. Potrzebujemy dziesięciu dni.

Słyszałem o Khalute, o tym, jak Gio zabił tam gubernatora i przejął wyspę dla Garstki Bezkostnych. Niektóre opowieści twierdziły, że dokonał tego w pojedynkę. Niektóre, że właśnie wtedy stracił oko. Cóż, sam pojawiłem się już w paru historiach i piosenkach, wiedziałem więc, że mogły powstawać nie tylko w oparciu o prawdę, ale też o mrzonki. Rozejrzałem się po jaskini, po kutyh kolumnach i pustych lichtarzach.

– Będę pracował z tobą w jakim charakterze? Czy chcesz wiedzieć, jak to robię?

Jego ponure rysy uległy zmianie, wargi ścisnęły się niczym dwa urwiska podczas trzęsienia ziemi.

– Chcę. Ale nie powiesz mi tego. – Pokręcił głową. – Nie. Pójdę z tobą.



24

Ranami

Wyspa Nephilanu

Kradzież orzechów caro poszła dobrze. Kolejny krok – przekazanie Phalue, co tak naprawdę planują buntownicy – zdecydowanie gorzej. Ranami siedziała nad brzegiem z książką w dłoni, czekając na przybycie córki gubernatora. Maczała palec stopy w wodzie i obserwowała, jak ryby czmychają przed powstającymi falami.

Mogło pójść gorzej, choć Ranami nie była pewna, co by to wówczas oznaczało. Kiedy Phalue naprawdę zrozumiała, jak wygląda życie rolników, odegrała swoją rolę z zapalem. Pobieгла do strażników, by oznajmić, że została zaatakowana w lesie. Pociągnęła ich fałszywym tropem, pozwalając Ranami zabrać tyle skrzyniek z orzechami, ile ta tylko zdołała przenieść.

Ale Phalue nigdy nie robiła niczego na pół gwizdka. Gdy już się na coś zdecydowała, wykonywała zadanie z pełną mocą.

Gdy już się zdecydowała.

Ranami przypuszczała, że to spora rzecz – najpierw wciągnąć osobę w kradzież orzechów, a potem poprosić, by siedziała cicho podczas obalania jej ojca. Odetchnęła morskim powietrzem, ciężkim od woni deszczu, i znów spróbowała czytać. Gdy stwierdziła, że trzeci raz z rzędu przesuwając wzrokiem po tym samym akapicie,

zatrzasnęła okładki. Historia nie mogła się równać z teraźniejszością, nie przy tym, co ich czekało.

– Chciałaś się ze mną spotkać? – dobiegł z góry głos Phalue.

Ranami odłożyła książkę na bok, wstała i zrzuciła Phalue ręce na szyję. Pachniała lekko mydłem kwiatowym i potem. Nie było czasu do stracenia.

Phalue zacisnęła mocniej ramiona wokół talii Ranami, a później się odsunęła. Ostatnio przytulały się właśnie w taki sposób: krótka wizyta pszczoły na kwiatku i nic więcej.

– Chciałabym cię o coś prosić – odezwała się Ranami.

Phalue skrzyżowała ręce na piersi.

– Nie sądzisz, że prosiłaś już o wystarczająco wiele?

Ranami знаła ten ton. Za chwilę zaczną się klócić. Phalue pędziła na złamanie karku właśnie w tym kierunku, a gdy już ruszyła, niewiele mogło ją spowolnić.

Ranami mimo to postanowiła spróbować.

– Czy zrobiłam coś, co cię rozzłościło?

– To nie jest takie proste. Nie chodzi o to, co zrobiłaś albo czego nie zrobiłaś. Tak, jestem zła, ale spróbuj ujrzeć sytuację z mojego punktu widzenia. Kocham cię. Przeniosłabym dla ciebie góry. I najwyraźniej zdradziłabym dla ciebie cesarstwo.

– Postępujesz słusznie.

– Urocze, że to jest dla ciebie takie proste. Zabierasz mnie na wieś, pokazujesz mi, w jak straszliwych warunkach żyją ci ludzie i o jak niewiele proszą, zatem próbuję coś na to zaradzić. A później prowadzisz mnie w sam środek twierdzy Garstki Bezkostnych. Pamiętasz, jak mówiłam, że wyślę do cesarza list z informacją, że przebywają tu Bezkostni? Gio powiedział mi, że przechwycili ten list. Wiedziałam, że to nie pójdzie tak łatwo: jedno zadanie i odejdę. Uważasz, że zgodzi się, żebym później odeszła tak po prostu? Dowiedziałam się zbyt wiele. Sama wprowadziłaś mnie do jamy z głodnymi tygrysami.

Ranami odebrało mowę. Nie przyszło jej to do głowy. Myślała tylko o tym, jak bardzo chciała wtajemniczyć Phalue w to, co robi, pokazać, że może jej zaufać.

– Nie powiesz swojemu ojcu?

Phalue wydeła wargi.

– Nie powiem. Ale przez ciebie dręczy mnie konflikt lojalności. Prosisz, żebym dokonała wyboru. Czy wybiorę ojca, czy też Bezkostnych? Zaś ty wyraźnie stoisz po ich stronie. Znasz wszystkie ich sekrety. Kocham cię, Ranami, ale nigdy mi nie mówiłaś, że tkwisz w tym tak głęboko.

Żał w jej głosie bolał bardziej niż wszystkie kopniaki, które Ranami otrzymała jako dziecko ulicy. Z początku nie była w to aż tak zaangażowana, ale gdy zwróciła się do Bezkostnych o pomoc, odpowiedzieli. O większości innych osób nie mogłaby powiedzieć tego samego. Zaś im więcej dawali, tym więcej była im w zamian winna.

– Może dałoby się to zrobić w inny sposób. Mogłabym przekonać ojca, żeby ustąpił. A teraz jeśli go wybiorę, stracę ciebie. Jeśli wybiorę ciebie, stracę wszystko inne. Nigdy nie przepadałam szczególnie za jego rządami i nie zgadzam się z nim, ale nie jest okrutnym człowiekiem. Dogadza sobie i jest leniwy, poza tym zapewne przydałaby mu się chłosta, jaką co jakiś czas wymierzała mi matka. Przeczytałam kilka książek, które mi wskazałaś. Wiem, że rewolucje nie przebiegają w sposób bezkrwawy i spokojny. I nie zamierzam pozwolić, żeby mego ojca spotkała krzywda.

– W takim razie pomóż nam. Pomóż sprawić, żeby ten zamach stanu przebiegł pokojowo.

Phalue zamknęła oczy, jakby zbierała cierpliwość potrzebną do tego, żeby poradzić sobie z niesfornym dzieckiem. Następnie znów objęła Ranami i tym razem ten gest wydawał się szczerzy.

– Powiedz mi, co stanie się później. – Jej oddech łaskotał w głowę.

Ranami próbowała się odsunąć, ale zorientowała się, że Phalue ściska ją zbyt mocno.

– Później?

– Tak. Po tym, jak mój ojciec zostanie obalony. Namaluj mi sen, Ranami. Czy zostanę wtedy gubernatorką? Czy przeniesiesz się do pałacu, żeby ze mną zamieszkać? Czy w takich okolicznościach będziesz żoną gubernatorki? Czy buntownicy pozwolą ci na to? Czy pozwolą na to mnie?

– Nie sądzę, że tak to się potoczy.

Phalue puściła ją.

– Zatem dlaczego to robisz?

One razem – to nigdy nie był cel dla Ranami, nie w taki sposób, jak dla Phalue. Ranami kochała Phalue – czuła to do szpiku kości – ale musiała też brać pod uwagę inne kwestie. I nie potrafiłaby tego wyjaśnić, nie krzywdząc jej. Gdy spoglądała na Phalue, wiedziała, że nie czują tego samego.

– Muszę myśleć o wszystkich innych – rzekła Ranami.

– Ufam ci – odparła Phalue. – Ale nie ufam Bezkostnym.

– Przydałaby się nam twoja pomoc – wypaliła Ranami. – Przy infiltracji pałacu. Zleciliśmy ludziom zdobycie danych, ale na informatorach nie zawsze można polegać. Chodzi o wiedzę, kiedy następuje zmiana warty, gdzie na murach są słabe punkty...

Phalue uniosła rękę.

– Zastanów się, o co mnie prosisz. Niczego więcej nie oczekuję.

Ranami odetchnęła głęboko, uspokajając głos i dłonie. To było zupełnie jak tamta szczelina prowadząca do pradawnych tuneli. Jeśli zawaha się zbyt długo pośrodku, zorientuje się, że utknęła. Musiała albo się cofnąć, albo napierać dalej. Zdecydowała się na to drugie.

– Proszę, po prostu mi zaufaj.

Phalue ujęła jej policzki, a Ranami poczuła odciski na jej dłoniach, gdy Phalue całowała ją w czoło.

– Od pierwszej chwili, gdy cię zobaczyłam, wiedziałam, że będziesz oznaczała dla mnie kłopoty – powiedziała Phalue, w jej głosie brzmiała jednak czułość, nie pogarda. Jej palce zsunęły się po szyi Ranami, musnęły jej barki. Ranami pochyliła się ku niej, rozmyślając o wszystkich nocach, które spędziły w swoich ramionach. – Ale to jest coś, co będziesz musiała zrobić sama. Nie mogę ci pomóc. Kocham cię na tyle, żeby cię nie powstrzymywać. Widzę, jakie to dla ciebie ważne. Tylko nie skrzywdź mojego ojca. Obiecuj, że tego nie zrobisz.

Poradzą sobie bez Phalue, ale będzie o wiele trudniej. Ranami skupiła wzrok na drodze za plecami partnerki. Maszerowało ku nim pięciu gwardzistów gubernatora. Ranami kurczowo ścisnęła kaftan Phalue. Ukradła przecież cztery skrzynki orzechów caro dla rolników.

– Idą tu po mnie – wydyszała.

Phalue natychmiast przesunęła dłoń na miecz u pasa.

– Sai – odezwał się jeden z żołnierzy.

Zimna cęła, wilgotna jak rynsztok, w którym spała jako dziecko. Pozbawiona światła i świeżego powietrza, zmuszona walczyć o ochłapy.

– Proszę, nie pozwól im, żeby wtręci mi do celi. Nie mogę iść do takiego miejsca. – Jej palce wczepiły się w koszulę Phalue. Nie umiałyby jej puścić, nawet gdyby spróbowała. Panika wijąca się w jej wnętrzu była jak mysz w szponach kota, miotająca się i o rozszalałym spojrzeniu. – Nie pozwól im mnie zabrać.

Phalue użyła wolnej dłoni, żeby delikatnie rozgiąć palce Ranami.

– Nie martw się – powiedziała kojącem głosem. – Nie pójdziesz donikąd indziej niż do domu. – Obróciła się do nadchodzących ludzi. – Tythusie – rzekła do gwardzisty znajdującego się na ich czele, gdy zatrzymali się przed nią. – Czy mój ojciec czegoś potrzebuje?

– Niestety tak – odparł Tythus. Wyglądał na skępowanego, jakby zamierzał powiedzieć ubogiemu wozakowi, że jego ostatni wół właśnie padł. – Słyszał o twojej wyprawie na plantację orzechów caro. Zginęły stamtąd cztery skrzynki.

Ranami nie była w stanie się odezwać. Nie była w stanie oddychać. Phalue będzie jej bronić, ale jakim kosztem?

– Twój ojciec wysłał mnie, żebym cię przyprowadził.

Cię. Patrzył na Phalue.

Przez chwilę Ranami nie potrafiła przetworzyć usłyszanych słów. Powinna czuć ulgę, że nie chodzi o nią. Ale Phalue? Nie ośmieliła się znów jej chwycić, ale potrzebowała czegoś, żeby się uspokoić.

Phalue napięła ramiona.

– Uważa, że ukradłam skrzynki z orzechami? Nie bądź śmieszny.

Grdyka Tythusa poruszyła się, gdy przełknął ślinę. Zawahał się, zanim chwycił rękojeść miecza.

– To rozkaz twojego ojca. Nie był w dobrym nastroju.

Przez chwilę jedynie wpatrywali się w siebie. A później Phalue puściła broń.

– Pójdę dobrowolnie. Nie masz się czym martwić. Cokolwiek zrodziło mu się w głowie, wyjaśnię to z nim.

Tythus skinął jej i odetchnął. Staął z boku.

– Ty przodem – oznajmił.

Phalue obejrzała się na Ranami, która dostrzegła w jej oczach błysk strachu. Później odwróciła się i pozwoliła, żeby żołnierze ją odprowadzili.



25 Lin

Wyspa Cesarska

Stół pod moimi opuszkami był gładki i chłodny. Próbowałam się nie pocić. Ojciec znów wezwał mnie na przesłuchanie, ale tym razem wydawało mi się, że znam odpowiedzi.

– Dokąd udałaś się na piętnaste urodziny?

Niemal skończyłam już czytać dziennik w zielonej okładce. Żałowałam, że nie pisałam konkretniej o otaczającym mnie świecie, o tym, jak rzeczy pachną i smakują. Przede wszystkim pisałam o swoich odczuciach. Trochę o ojcu, a także, co dziwne, o matce, która przecież zmarła, gdy byłam jeszcze małą dziewczynką. Ojciec, o którym pisałam, był stanowczy, lecz miły, ale to wszystko, co zdołałam wyciągnąć z notatek. Opisywałam go tak, jakbym wiedziała, kim jest i nigdy nie miała powodu, żeby w to wątpić.

Obserwował mnie. Moje myśli uleciały, choć nie przestałam krzyżować z nim wzroku. Byłam taka zmęczona. Miałam za sobą tyle nauki.

Moje piętnaste urodziny.

Wróciłam w głowie do dziennika i próbowałam poukładać rozrzucone myśli. Och, tak. Pisałam o tamtym dniu ze sporą dozą podekscytowania.

– Jezioro, wysoko w górach. Spędziliśmy tam dzień. – Uśmiechnęłam się, jakbym przypomniała sobie coś przyjemnego. I gdy się nad tym zastanawiałam, niemal widziałam opisane jezioro. Słoneczny blask odbijający się od jego powierzchni, wiatr szmerzący pomiędzy drzewami. – Zabraliśmy rzeczy na piknik i zjedliśmy na brzegu, rzucając okruchy ptakom.

Ojciec skinął głową. Odetchnął przeciągle, musiał wstrzymywać powietrze.

– Mówiłaś, że to jeden z najpiękniejszych dni w twoim życiu.

Jak mogłam to wiedzieć? Miałam tylko piętnaście lat. Działo się to osiem lat temu. Ale ugryzłam się w język i obserwowałam, jak przesuwają klucz w moją stronę. Czekałam, nie ważąc się go dotknąć.

– Biblioteka – oznajmił. – Kawalek korytarzem stąd, jeśli pójdziesz w lewo, czwarte drzwi po lewej stronie, blisko moich komnat. Nadeszła pora, żebyś zaczęła uczyć się, jak tworzyć konstrukty i jak zapisywać im rozkazy. – Z kieszeni w szarfię wyciągnął złożony arkusz papieru i przesunął go do mnie po stole. – Oto lista tytułów, od których powinnaś zacząć. Przeczytaj je i wróć do mnie, żebym mógł sprawdzić twoją wiedzę.

Zerknęłam na tytuły i rozpoznałam w nich książki, które zdążyłam już wykraść, a później odłożyć na miejsce po pochłonięciu ich treści tak łapczywie, jakby słowa były rybami, a ja wygłodniałym kotem.

– Możesz odejść.

Podniosłam się, ale zatrzymało mnie pytanie pęczniejące w gardle. Nieograniczony dostęp do biblioteki był ważny, ale brak wspomnień wciąż odczuwałam jak wydrążoną jamę w mojej piersi.

– Skoro jezioro było jednym z najpiękniejszych dni w moim życiu – powiedziałam z wahaniem, niepewna, czy powinnam kontynuować – to dlaczego już tam nie wróciliśmy?

Ojciec zmrużył oczy.

– A kto mówi, że nie wróciliśmy?

Serce mi zadygotało. Oczywiście. Przecież mogliśmy wrócić. Nie pokazałam jednak tego na twarzy. Nie ugięłam się w nadziei, że ojciec blefuje i że go przejrzałam.

Machinalnie pogładził szatę w miejscu, gdzie zwykle trzymał swój długi łańcuszek z kluczami. Przesunął wzrok do okna, do świateł miasta i rozciągających się dalej gwiazd.

– Nie jestem pewien. Mieliśmy inne rzeczy na głowie. Wiecznie były inne rzeczy.

– Wciąż moglibyśmy tam pojechać.

W spojrzeniu, którym mnie obrzucił, dało się dostrzec wielką falę bólu i wyrzutów sumienia.

– Nie sądzisz, że o tym myślałem? – odparł łagodnie. Później pokręcił głową i machnął dłonią. Odchrząknął. – Idź już. Czytaj książki. Poinformuj mnie, gdy skończysz.

Opuściłam pokój przesłuchania bardziej skonsternowana niż wtedy, gdy nie potrafiłam odpowiedzieć na pytania ojca. Klucz do biblioteki – ten prawdziwy – ciążył mi w kieszeni. Liczyłam na nowy klucz, na nowe pomieszczenie, ale teraz przynajmniej mogłam jawnie uczyć się w bibliotece dniami i nocami bez ryzyka, że przyłapie mnie szpieg.

Gdy tam weszłam, okazało się jednak, że biblioteka jest zajęta, a szpiegowie zawsze są konstruktami.

Bayan siedział na macie oparty plecami o ścianę, z książką w rękach. Podniósł wzrok, gdy weszłam. Światło padające z lampy wydawało się ozlacać jego szarawą cerę. W takim oświetleniu wyglądał jeszcze piękniej, niczym eteryczna istota spleciona z blasku i cienia.

– Dostałaś kolejny klucz – stwierdził beznamiętnie.

Pokazałam go, czując pewną radość z faktu, że mam ich teraz oficjalnie więcej niż on.

– Owszem. I zasłużyłam na niego.

Z ponurą miną skinął mi jedynie głową. A później sięgnął do kieszeni w szarfię i wyciągnął inny klucz – ze złotą główką.

– Ja również. – Posępny wyraz jego twarzy rozpadł się jak skorupka jajka, zastąpiony uśmiechem. – Biedna Lin, zawsze musisz mnie gonić. – Jego słowa nie żądały tak jak zazwyczaj. Nie wiedziałam, czy to z powodu jego tonu, czy też dlatego, że miałam też kilka innych kluczy, o których Bayan nie wiedział.

Wzruszyłam ramionami.

– Co czytasz? – Podeszłam do niego i spojrzałam mu przez ramię.

Odsunął się ode mnie i przytulił książkę tak, jakby była małym dzieckiem, z którego właśnie zadrwiłam.

– To nie twoja sprawa.

– Czy to istotne? Teraz również wolno mi tu czytać.

– Nie zrozumiałabyś treści – odwarknął.

Och, najeżył się nieco bardziej niż powinien. Udałam, że chcę się odwrócić, a gdy znów przybrał swobodniejszą pozę, zakręciłam się na pięcie i przekrzywiłam głowę w bok.

– *Epoka Alanga?* – przeczytałam na głos. – Nie powinieneś się uczyć?

Z nadąsaną miną zmierzył mnie wzrokiem.

– A ty? – zripostował.

Punkt dla niego. Nie mogłam szukać książek, których potrzebowałam, żeby przeprogramować Maugę, Konstrukt Biurokracji, przynajmniej dopóki Bayan tu przebywał. Zatem zostałam przy nim.

– To ciekawe?

Wydawał się zastanawiać, czy sobie z niego kpię, czy nie. Gdy nie zdołał dopatrzeć się ani ziarenka pogardy czy szyderstwa, westchnął.

– Tak, ciekawe. Traktuje o czasach, zanim pomysł Cesarstwa Sukai przyszedł w ogóle komukolwiek do głowy. Zanim Alanga zaczęli walczyć pomiędzy sobą.

– Jak wtedy było według książki? – Powinnam zachowywać się uszczypliwie, próbować skłonić go, żeby wyszedł, ale nie potrafiłam powstrzymać ciekawości. W końcu jedynym wytłumaczeniem ojca dla zbierania odłamków, dla tworzenia konstruktów, było powstrzymywanie Alanga przed powrotem.

– Potrafili sprawić, by wiatr zerwał się, gdy go przywoływali, żyli tysiące lat i nikt nie ważył się rzucać im wyzwania. Każdy z nich władał wyspą. Mogło to być jak sen, a mogło być jak koszmar, zależy kogo pytać. Jeśli nie zgadzałaś się z tym, jak załatwiali sprawy, nie mogłaś sprzeciwić się otwarcie. Ale naprawdę źle zrobiło się dopiero wtedy, gdy zaczęli ze sobą wojować. Dysponowali potężnymi możliwościami niszczycielskimi.

Pomyślałam o Jeleniej Głowie, o tym, w jaki sposób została wymazana z mapy. Ojciec wystosował oświadczenie, że do zatopienia doszło w wyniku wypadku

górniczego, lecz jeśli można było oceniać po plotkach służby, na pewno nie uspokoiło ono nastrojów.

– Czy Alanga zatapiał wyspy? – spytałam.

– Nie ma tu takich informacji.

– Ale Sukaiowie odkryli, jak ich zabijać.

– Tak, cóż, wszyscy o tym wiemy. – Zatrzasnął książkę. – Chyba że nie pamiętasz lekcji?

Nie byłam tępa.

– Nie o to chodzi. Wiesz przecież. No i to od ciebie złapałam tę chorobę.

Przesunął dłonią po okładce.

– Mogłaś zapomnieć w zwykły sposób.

– Niby jak, ze starości?

Znów na mnie popatrzył z zaskoczeniem, po czym oboje wybuchliśmy śmiechem. Naprawdę powinnam go nienawidzić. Przez ostatnich pięć lat mocno go nie lubiłam, ale wyglądało na to, że teraz te odczucia gasły. Jego nieprzyjemne cechy wyglądały dla mnie inaczej, odkąd zrozumiałam, dlaczego darzy mnie niechęcią. Przeszliśmy do chichotu, po czym znów zamilkliśmy.

– A jest tam opisane, jak Sukaiowie zabijali Alanga? Wiem, że Odrodzenie feniksa lubi udawać, że chodziło o wyjątkowy miecz, ale ojciec mówił, że to nieprawda, że to tylko bajeczka, która dobrze działa na gmin.

– Wyjątkowy miecz przekazywany przez Sukaiów z pokolenia na pokolenie, żeby mogli zabijać Alanga? Zatem dlaczego Alanga po prostu by im go odebrali? Na pewno byli wystarczająco potężni, żeby to zrobić.

– Nie twierdziłam, że sama w to wierzę.

Obrzucaliśmy się agresywnymi słowami, ale bez tej zajadłości co kiedyś.

– Oczywiście, że nic takiego tu nie ma – rzekł Bayan. – Ta wiedza przechodzi z cesarza na cesarza. Nie zapisano jej. – Wstał i odłożył książkę na półkę. Rękaw zsunął mu się do łokcia, odsłaniając siniaki na rękę.

Cztery szramy, cztery proste ciemne linie. Opuściła mnie cała wesołość. Ślady laski ojca na ciele Bayana.

– Jak często cię bije? – Słowa te po prostu się ze mnie wylały. Podniosłam dłoń do ust, żeby je zatrzymać, ale było już za późno.

Zesztywniał. Znów stał się starym Bayanem – chłodnym i zdystansowanym, kpiącym i okrutnym.

– Tylko wtedy, gdy popełniam błędy. Nieczęsto.

– W ogóle nie powinien cię bić.

Bayan wepchnął książkę na półkę tak mocno, że uderzyła w tylną ściankę regału.

– Skłamałem – oznajmił, patrząc mi prosto w oczy. – Teraz bije mnie częściej. Odkąd zaczęłaś odzyskiwać pamięć. Kręcisz się po pałacu i karmisz konstrukty szpiegowskie... Tak, widziałem cię przy tym. Do tego zachowujesz się tak, jakbyś nie była jego faworytką. Jakby w każdej chwili mógł cię wyrzucić na ulicę.

– Cztery lata temu mnie wyrzucił...

– I nawet nie zdążyłaś przestąpić bramy pałacu, a już wezwał cię z powrotem. Wiesz, jaki on jest. Zrobił to, żeby cię nastraszyć, żeby cię zmotywować. Przez cały czas obserwował twoją twarz i zdawał sobie sprawę, że to działa. Ale czy kiedykolwiek cię uderzył? – Przyglądał mi się z wysuniętym podbródkiem i przekrzywioną głową, czekając na odpowiedź.

Nie wiedziałam, co odrzec. Wszelkie dyplomatyczne sztuczki, których się nauczyłam, uleciały. Nie mogłam dać Bayanowi odpowiedzi, która by go usatysfakcjonowała, która sprawiłaby, że stałby się moim przyjacielem, która by go uspokoiła.

– Przykro mi.

Bayan chwycił za grzbiety kilku książek i ściągnął je na podłogę.

– Nie chcę twojej litości! Nie bije cię, bo jesteś jego faworytką. To twojej wygranej pragnie. Myślisz, że go nie obchodzisz, ale gdyby tak było, biłby cię dwa razy mocniej niż mnie. Nie musisz odzyskiwać wszystkich wspomnień, żeby dostrzegać, co on robi.

Stał przez chwilę z falującą piersią. A później pomknął szybkim krokiem do drzwi. Granatowy rąbek jego luźnych spodni płynął za nim niczym cofająca się fala.

Zatrzasnął drzwi za sobą, aż z kilku pobliskich półek podniósł się kurz.

Chyba tego właśnie chciałam.

Przez jakiś czas przeglądałam książki i w końcu wybrałam kilka bardziej zaawansowanych na temat języka odłamków: pierwszą o budowaniu konstruktyw słuchających kogoś innego niż ich twórca, drugą o skutecznych metodach przepisywania istniejących poleceń i trzecią po prostu poświęconą zaawansowanym komendom.

Będę musiała przepisać rozkazy Maugi nocą, podczas snu ojca. Mauga sporą część czasu spędzał w pałacu, w pomieszczeniu, które przerobił sobie na legowisko. Będę musiała szybko przyswoić wiedzę.

Słowa Bayana powróciły do mnie jak echo. Czy to była prawda? Czy rzeczywiście ojciec uważał mnie za faworytkę? Czy nieświadomie tańczyłam tak, jak mi zagrał? Nie potrafiłam sobie wyobrazić, dlaczego miałby chcieć, żebym przeprogramowała jego konstrukty i obaliła go. I co miałabym zrobić z Bayanem, gdy zostałabym już cesarzową? Poczułam w piersi chłodny strumyczek poczucia winy. Zastanawiałam się, czy jakoś mogłabym zatrzymać go żywego w pałacu albo wymusić na nim lojalność wobec mnie. Nie chciałam go zabijać.

Zajmę się tymi problemami innym razem.

Obecnie najważniejsze było przepisanie poleceń Maugi w taki sposób, żeby ojciec się nie zorientował.

I nie miałam żadnej gwarancji, że wyjdę z tego żywa.



26

Piasek

Wyspa Maila na skraju cesarstwa

Lódź o niebieskich żaglach. Za każdym razem, gdy Piasek zagrażało, że jej wspomnienia zasnuje mgła, myślała o niebieskich żaglach. Nie przebywali na Maili od zawsze, być może żadne z nich stąd nie pochodziło. Przywiozła ich tu łódź. A co za tym idzie, łódź mogła ich stąd zabrać.

Piasek pracowała nad tym problemem niczym dziecko trącające językiem ruszający się ząb. Koral pojawiła się później, a przed nią był ktoś, kogo Piasek nie pamiętała. Zatem następnego wieczoru, gdy wszyscy ustawili się z miskami po odbiór strawy, Piasek podeszła do niedalekiej palmy kokosowej i wydrapała na niej liczbę. Dwieście siedemnaście. Tyle ich było tutaj obecnie. Gdyby miała czas, zapisałaby wszystkie imiona, które potrafiła sobie przypomnieć, ale popychało ją wrażenie, że powinna się pośpieszyć. Co będzie, jeśli to, co przytrafiło jej się podczas upadku z mangowca, po prostu zniknie? Co będzie, jeśli znów stanie się taka jak pozostali?

Szukała innej osoby, której obecności nie pamiętała od zawsze. Tym razem poszło jej to nieco łatwiej, zupełnie jakby ćwiczyła mięsień, o którego istnieniu dotąd nie wiedziała.

– Liść – powiedziała, podchodząc do słabowicie wyglądającego młodego mężczyzny. Siedział przy jednym z ognisk na środku osady i jadł potrawkę, a w jego szklistych oczach odbijał się płomień. Nie miał na sobie koszuli i jego żebra napierały na skórę jak palce na napięty kawałek tkaniny. Niemal upuścił łyżkę, gdy się do niego odezwała.

– Tak? – odparł.

Piasek nie trudziła się wyciąganiem z niego wspomnień, tak jak wcześniej z Koral. Musiała nacisnąć mocniej.

– Przyłynęłaś tu na ciemnej łodzi o niebieskich żaglach. Zostałaś umieszczony w ładowni. Ale gdy wyszedłeś na pokład, gdy przywieziono cię tutaj, w którym miejscu wysadzono cię na brzeg?

– Byłem tu zawsze – rzekł Liść. Przycisnął miszkę do piersi, jakby uważał, że naczynie zdoła go ochronić.

– Nie. – Piasek zadrżała. Podeszła bliżej. – Zanim trafiłeś tutaj, byłeś gdzieś indziej. Powiedz mi, gdzie wysiadłeś.

Wybałuszył oczy.

– Nie pamiętam.

Ale Piasek widziała, że jej słowa zaczynają mieć dla niego sens.

– Widziałeś jakieś charakterystyczne punkty? Gdzie było wtedy słońce?

– Zatoczka. – Wyglądał na zaskoczonego słowami dobiegającymi z jego ust, jakby nagle sobie uświadomił, że wypluwa motyle. – Słońce było z tyłu.

Zatoczka po wschodniej albo zachodniej stronie wyspy. Mała nie była mała, ale nie była też szczególnie duża. Gdyby tylko Piasek mogła poświęcać czas na badanie terenu zamiast ciągle wracać do tego samego przekłętego zagajnika mangowców...

– Coś jeszcze?

Pokręcił głową.

– Nie. – Zaraz jednak zmarszczył brwi. – Zaczekaj! Na pokładzie był jeszcze ktoś poza nami. Nosił szary płaszcz.

Niewiele to pomagało, ale Piasek zapamiętała tę informację do wykorzystania później. Liść powrócił do jedzenia, choć miał teraz zaniepokojony wyraz twarzy. Piasek nie mogła jednak tracić czasu na pocieszanie go. Jeśli Koral stanowiła jakiś punkt odniesienia, wkrótce mężczyzna zapomni. Rozejrzała się po towarzyszach, aż znalazła inną osobę przybyłą stosunkowo niedawno.

Zanim wieczór się skończył, przesłuchała pięcioro i dysponowała większą liczbą szczegółów. Zatoka, do której ich przywieziono, leżała we wschodniej albo zachodniej części wyspy, miała niewielkie rozmiary – na tyle duże, żeby pomieścić łódź, lecz żadnych innych jednostek – a plaża była kamienista, zasłana kawałkami koralowca. Tuż przy niej rósł jeden duży bananowiec. Piasek przesunęła dłonią po ranie, którą zaszyla sobie na rękę, i poczuła pod palcami szorstkie szwy. Mogliby znaleźć to miejsce, gdyby go poszukali. Sama rozglądała się cały dzień i była pewna, że nikt nie zauważyłby, że przestano przynosić mango.

Czyjaś dłoń stuknęła ją w ramię. Piasek obróciła się gwałtownie. Była to Koral o oczach wielkich i brązowych jak wydrążone orzechy kokosowe. Podawała Piasek miszkę z potrawką.

– Zapomniałaś wziąć kolację – powiedziała. – Proszę.

Piasek przyjęła naczynie z lekkim zdumieniem. Nikt nigdy nie przynosił nikomu jedzenia. Albo samemu szło się do kucharza, albo chodziło się głodnym.

– Dziękuję.

– Słyszałam, o co pytałaś innych – rzekła Koral. – Próbujesz się dowiedzieć, skąd przybyliśmy.

Piasek spoglądała na ogniska, grzejąc sobie dłonie o miskę.

– Nie. Próbuję się dowiedzieć, jak stąd uciec. – Wydawało jej się, że Koral może zareagować niepokojem lub konsternacją, jak poprzedniej nocy, gdy Piasek ją wypytywała.

Ona jednak tylko skinęła głową.

– Jeśli jakoś tu przybyliśmy, to musi też istnieć sposób, by opuścić wyspę – stwierdziła. – Nawet pomimo raf.

Zeszłego wieczoru Koral zachowywała się, jakby jej umysł został wyczyszczony, ale teraz mówiła tak, jakby tworzyła plany wspólnie z Piasek.

Przylapała Piasek na tym, że na nią patrzy.

– Te myśli wróciły do mnie, gdy dzisiaj usiadłam do kolacji, a później pojawiło się ich więcej, gdy słyszałam twoje pytania i nie ustawiłaś się w kolejce. Wcześniej znów byłam jak we mgłę, ale teraz widzę wyraźnie.

Piasek drżały dłonie. Jeśli zdoła wyprowadzić resztę z tej mgły, nie będzie musiała szukać sama. Zaczęła odstawić miskę, ale Koral ją powstrzymała.

– Jedz. Sama zabiorę się do wypytywania innych, jak się tu znaleźli. Ty musisz jeść.

– A co, jeśli to zniknie?

– Nie zniknie.

Piasek pochłonęła potrawkę, parząc sobie podniebienie. Robiła postępy, a to oznaczało, że być może zdołają opuścić wyspę.

Choć pracowały we dwie, musiały minąć jeszcze dwa wieczory, zanim ktokolwiek z pozostałych zaczął odnajdywać drogę wyjścia z mgły. Pierwsza zrobiła to Trawa – gdy podeszła do Piasek i zapytała ją, dlaczego w ogóle trafili na wyspę. Niedługo później odnalazł się Liść wraz z Paprocią i Muszlą. Gdy zaczęły im się oczyszczać myśli, Piasek zabrała się do formowania planu.

– Musimy przeszukać wyspę, by znaleźć zatoczkę, do której przybyliśmy – powiedziała im przy kolacji. – Przywożono nas stopniowo, a jednak nie pamiętamy, kiedy to się działo. Łódź nie wydaje się dostatecznie duża, żeby pomieścić nas wszystkich. Skoro przyplłynęliśmy tu w grupach, to całkiem możliwe, że pojawi się znowu. Jeśli się przygotujemy, jeśli wyprowadzimy innych z tej mgły otulającej umysł, możemy ją zająć. – Słowa te z jakiegoś powodu wydawały jej się niewłaściwe, gdy je wypowiadała, choć nie potrafiła określić dlaczego. – Znajdziemy na łodzi osobę, która nie jest jednym z nas, i za... – I zabijemy. Ledwo była w stanie pomyśleć te słowa. Czowała się, jakby próbowała patrzeć przez mętną wodę. Nie była w stanie dojrzeć dna. Popatrzyła na Koral. – Co zrobiłabyś z osobą kierującą łodzią?

– Bym ją... – Koral przerwała i zmarszczyła czoło. Spróbowała znowu. – Zdecydowanie musimy...

Piasek podniosła dłoń, żeby zatrzymać dalsze próby.

– Coś powstrzymuje nas przed przemocą – powiedziała. Zupełnie jakby nosiła obrożę i za każdym razem, gdy jej myśli szły w tamtym kierunku, ktoś pociągał za smycz.

– Bezpośrednią przemocą – rzekła Koral, skupiając wielkie ciemne oczy na linii drzew.

Piasek poczuła wstyd, że kiedykolwiek uważała ją za miękką i słabą.

– Chyba będzie musiał wystarczyć wypadek. – Zdołała powiedzieć „wypadek”. Potrafiła też o nim myśleć.

– Mogę zacząć szukać zatoczki we wschodniej części Maili – zaproponował Liść.

– Zachodnia strona wyspy jest większa – powiedział Paproć. – Muszla i ja możemy sprawdzić tamtą okolicę.

Piasek popatrzyła na Koral.

– Porozmawiaj z kolejnymi ludźmi. Sprawdź, kogo da się wyprowadzić z mgły. Im więcej nas się zbierze, tym łatwiej nam będzie. – Wstała, wciąż trzymając miskę. Coś w tym ruchu pobudziło jej wspomnienie. Piasek nie znajdowała się wtedy tutaj, przy ogniskach, tylko podnosiła się w sali jadalnej pałacu. Belki ponad nią pomalowano czerwienią i złotem, a panele na ścianie zdobiły malunki jałowców chmurowych i skaczących jeleni. W powietrzu delikatnie pachniało sosem rybnym i zieloną herbatą.

Naprzeciwko niej siedział przy stole mężczyzna, który ją obserwował. Miał wyprostowane plecy i był przystojny, ostrożnie wpatrywał się w nią ciemnymi oczyma. Niebieska jedwabna szata rozlewała się wokół niego niczym wodospad.

– Co konkretnie chcesz wiedzieć?

Piasek zorientowała się, że otwiera usta, a z gardła wydostaje jej się głos, który nie należy do niej.

– Wszystko.

Mrugnęła i znów znalazła się na Maili z pustą miską w rękach i z dłonią Koral na łokciu.

– Dobrze się czujesz? – spytała Koral.

Te wspomnienia, które nie należały do niej... czyje były? Instynktownie wiedziała, że nie znajdzie odpowiedzi tu, na Maili.

– Dobrze – odparła. – Ale im szybciej znajdziemy zatoczkę, tym lepiej.



27

Lin

Wyspa Cesarska

Czekałam przy oknie w swoim pokoju, obserwując słońce zachodzące nad miastem. Przejechałam dłońmi po zielonej okładce dziennika, próbując uspokoić szalejące serce. Tej nocy zamierzałam przeprogramować Maugę. Rylec od Numeena napierał na tkaninę szarfy, wciąż przypominając o sobie swoim ciężarem. Musiałam to zrobić teraz, zanim zostaną złapana.

Szpiega pilnującego jałowca chmurowego przepisałam w podobny sposób jak pierwszego. Teraz dwie jagody spoczywały w kieszeni szarfy obok rylca. Jeśli je zjem, zyskam siłę i szybkość, ale nie byłam mnichem chmurowego drzewa. Nie wiedziałam, na jak długo to wystarczy. Niemniej przewaga może mi się przydać.

Wpisy z dziennika nie dały mi tyle informacji, na ile liczyłam. Brzmiałam w nich jak młodsza, bardziej beztroska wersja siebie, ekscytująca się drobnostkami, na przykład widokiem delfinów w Bezkresnym Morzu.

Słońce opadało ku horyzontowi, powoli i miarowo, jak starzec wchodzący do nazbyt gorącej kąpeli.

Znów otworzyłam dziennik i wybrałam przypadkowy wpis. „Dziś poszłam do Cesarskiego Miasta. Było pięknie. Wszystkie dachy są tam pokryte dachówkami, a ulice

wąskie. Tylu sprzedawców jedzenia!”.

Zmarszczyłam brwi. Pisałam tak, jakbym nigdy wcześniej nie była w mieście.

Wszystkie poprzednie wpisy coś podkreślały. Ukazywały drobne doświadczenia, o których mogłaby pisać dowolna młoda kobieta, ale tylko nieliczne identyfikowały konkretne miejsca albo ludzi, którzy mi towarzyszyli.

„Jest znacznie większy niż dom”.

Dom? Pałac? Przerzuciłam strony i przejrzałam pobieżnie tekst, próbując wyłapać coś przydatnego. Widziałam jednak tylko codzienne życie dziewczyny.

Światło wpadające przez okno przygasało. Podniosłam wzrok i zobaczyłam, że miasto skąpało się w bladym blasku zmierzchu. Chmury widoczne na horyzoncie sugerowały, że w nocy albo rano będzie padać.

Zatrzasnęłam dziennik. Nadszedł czas. Jeśli nie pójdę teraz, nie zrobię tego już nigdy, unieruchomiona przez niezdecydowanie.

Raz za razem czytałam książki o zaawansowanych poleceniach i ich przepisywaniu, na wszelki wypadek wzięłam też z półek kilka kolejnych. Dwa razy musiałam iść do magazynu po olej do lamp. Miałam wrażenie, że umysł pęcznieje mi od dziwnych, gładkich tonów języka rozkazów i że do wymęczonych zakątków głowy nie zdołałabym zmieścić już nic więcej. Nie byłam pewna, czy to wystarczy.

Żałowałam, że nie mogłam uczyć się tego wszystkiego od lat.

Mauga znajdował się teraz w sali jadalnej, gdzie składał raport cesarzowi. Nie był moim ojcem. Nie miał powodu zamykać swojego pokoju, gdy go opuszczał.

Mój konstrukt szpiegowski pojawił się na parapecie, gotów do złożenia raportu.

– Później – powiedziałam, podnosząc dłoń. – Sprawdź korytarze prowadzące do pokoju Maugi. Powiedz mi, jeśli ktoś tam jest.

Konstrukt pisnął. Westchnęłam, a później poszperałam w szufladach w poszukiwaniu orzecha, którego mu dałam.

– Czy Ilith też prosiłeś o smakołyki?

Zaćwierkał tylko i czmychnął.

– Mogę się założyć, że nie – rzekłam do pustej komnaty. – Mogę się założyć o własne kości.

Podeszłam do drzwi i uchyliłam je. Nikogo, nawet jednego służącego.

Obserwowałam koniec korytarza, aż pojawił się tam mój konstrukt. Biegł ku mnie. Przesunęłam się, żeby go wpuścić. Jego małe pierś poruszała się gwałtownie.

– Nic – oznajmił cichym, wysokim głosem.

Słuchanie, jak mówi, wciąż wzbudzało we mnie niepokój. Za bardzo kojarzył się wtedy ze świadomą osobą, choć wiedziałam, że nią nie jest. Sytuacja wydawała się poniekąd odmienna w przypadku wyższych konstruktorów, zachowujących się bardziej jak służba niż zwierzęta.

– Złóż mi raport jutro. – Opuściłam swój pokój i ruszyłam ostrożnie korytarzami. Nikt nie zapalił lamp, słoneczny blask jeszcze w pełni nie zgasł.

Choć raz cieszyłam się, że ojciec nie trzyma wystarczającej liczby służących.

Wcześniej wyczułam pokój Maugi, niż go dostrzegłam – piżmową, ziemistą woń. Mijałam właśnie komnatę Bayana. Może miał rację, że to ja jestem faworytką. Zmarszczyłam nos. Z pewnością dysponowałam lepszą kwaterą.

Zatrzymałam się na chwilę, powodowana ciekawością. Co robił Bayan, gdy miał czas dla siebie? Przywiozł chorobę ze sobą – przynajmniej zawsze mogłam mieć pewność, że nie pogrzebałam żadnych dotyczących go wspomnień. Nasza relacja była

niezmienna od zawsze. W ciszy korytarza słyszałam, jak krząta się u siebie. Deski podłogi skrzypiały, gdy po nich chodził. Gdybym przyłożyła ucho do drzwi, może nawet zdołałabym usłyszeć jego oddech.

Pokręciłam głową i odsunęłam się. Jakie to miało znaczenie, co robił Bayan? Dlaczego w ogóle się tym przejmowałam? Nawet jeśli raz czy dwa był dla mnie miły, nie oznaczało to wcale, że zostaliśmy przyjaciółmi.

Od pokoju Maugi wciąż dzieliło mnie troje drzwi. Zasłoniłam usta i nos rękawem, po czym skupiłam się na swoim celu.

Zawiasy zaskrzypiały, gdy wślizgiwałam się do komnaty konstruktów. Ogarnęła mnie ciemność, jedynie odrobina światła wpadała przez ciężkie zasłony.

Mauga nie potrzebował łóżka ani biurka. Na podłodze rozrzucono słomę, zapewne w próbie zduszenia zapachu. W kącie, obok złożonego z koców barłogu, stała miska z wodą i druga pusta, pachnąca tak, jakby nazbyt długo zostawiono w niej na słońcu surowe mięso. Czułam się, jakbym badała zwierzęcą norę, nie kwaterę mieszkalną.

Mauga wróci, gdy skończy już składać raport i ojciec go odprawi. Nie byłam pewna, co robił nocami. Spał? Medytował? Na myśl o tym, że mógłby siedzieć w pozie medytacyjnej, zachciało mi się śmiać. Czasami zmęczenie sprawiało, że nawet najpoważniejsze kwestie wydawały się śmieszne. Zamknęłam oczy i odetchnęłam. Musiałam się skoncentrować.

Potrzebowałam kryjówki, żeby go zaskoczyć.

Co niby miałam zrobić – zagrzebać się pod kocami?

Dopiero po chwili uświadomiłam sobie, że właśnie to było konieczne. Czując lekkie mdłości, podeszłam do barłogu i chwyciłam jeden z koców kciukiem oraz palcem wskazującym. Drugą dłoń wciągnęłam przyciskając rękaw do nosa.

Do koca przykleiła się szorstka, ciemna sierść. Nigdy nie uważałam się za delikatną, ale też nigdy nie miałam tak naprawdę okazji sprawdzić wytrzymałości swojego żołądka. Krew i ciało konstruktów to jedno, brud – coś zupełnie odmiennego.

Od drzwi dobiegł odgłos drapania i skrobania. Ojciec musiał go wcześniej odprawić. Odetchnęłam głęboko i schowałam się pod kocem, zostawiając uniesiony róg, żeby mogła coś widzieć. Czy smród mógł na tyle przydusić człowieka, by nie był on w stanie dłużej oddychać? Uznałam, że pewnie zaraz się dowiem. Mauga wtoczył się do pokoju i westchnął, szponiastymi łapami zamykając za sobą drzwi. Powłóczył nogami, poruszał się krętą drogą, i trzymał leniwcowy nos przy ziemi.

Zamarł. Powoli unióśł głowę i powęszył w powietrzu.

Puściłam róg koca, żeby opadł. Spocily mi się dłonie. Czy zdołał mnie wyczuć pomimo swojego smrodu? Nie rozumiałam, jak byłoby to możliwe, ale przecież byłam człowiekiem – mój węch był znacznie mniej czuły. Czekałam w mroku, wydechany powietrzem ogrzewając się pod kocem. Czułam wilgoć swoich oddechów skraplającą się na tkaninie. Odruch wymiotny by mnie zdradził, więc znów wciągnęłam dużo powietrza i wstrzymałam je, jednocześnie nasłuchując uważnie.

Mauga musiał uznać pokój za bezpieczny, ponieważ usłyszałam, jak jego pazury drapią po podłodze. Stęknął cicho, sadowiąc się na barłogu, i niewielką częścią swojej masy przycisnął mnie do ściany. Jednak nawet niewielka część Maugi wciąż oznaczała solidny ciężar. Wstrzymywany oddech wydarł mi się spomiędzy warg. Byłaby to wspaniała śmierć – zmiżdżenie przez biurokratyczny konstrukt mojego ojca, z twarzą wykrzywioną w odrazie.

Gdybym przesunęła rękę, poczulby to. Musiałam się jednak poruszyć, jeśli chciałam sięgnąć w głąb jego ciała i wyciągnąć jeden z odłamków. Zaczęłam przygotowywać się psychicznie. Nie zawsze potrafiłam od razu zagłębić się w konstruktach. Wciąż ponosiłam porażkę przy dwóch próbach na dziesięć. Nie narzekałam na brak bystrości umysłu, ale nie wykształciłam jeszcze takich umiejętności jak ojciec albo Bayan. Poza tym byłam zmęczona tak bardzo, że bolały mnie kości. Miałam tylko jedną szansę. Cicho zaczerpnęłam tchu i pomyślałam, jak ojciec się ucieszy, gdy w końcu pokażę mu, że jestem jego córką. Tylko ja mogłam zostać jego dziedziczką. Trzeba było się ze mną liczyć. Uniosłam rękę.

Mauga drgnął, wyczuwając ruch pod sobą. Zanim zdążył się odsunąć, skoncentrowałam się i wcisnęłam dłoń w jego ciało.

A przynajmniej spróbowałam.

Moje palce dotknęły jedynie szorstkiego czarnego futra. Nie teraz. Nie. Nie tym razem.

Mauga się podniósł.

– Co? Kto tu jest? – zapytał. Zawsze brzmiał jak osoba, która może w każdej chwili zasnąć. Jeśli jednak chciał, potrafił poruszać się szybko, a jego pazury były długie i bardzo ostre. Mógłby mnie zabić, zanim rozpoznałby, kim jestem.

Czując, jak galopuje mi serce, zrzuciłam z siebie koc. Powietrze, którego zaczerpnęłam, wydawało się chłodne i świeże.

– To ja, Lin! – zawołałam, zanim zdążył unieść pazury.

Mauga popatrzył na mnie swoimi łagodnymi, brązowymi oczyma.

– Nie powinno cię tu być. – Mimo wszystko wystawił szpony.

Groza zacisnęła palce wokół mojego gardła. Mogłabym próbować uciec, ale dokąd? Przypięczętowałam swój los, gdy tylko tu weszłam. Zdawałam sobie sprawę, że mogę zginąć. Odepchnęłam od siebie strach, pozwoliłam, żeby ze mnie spłynął.

Wstrzymałam oddech, pochyliłam się do przodu i wepchnęłam dłoń w ciało Maugi.

Tym razem się udało. Z zafascynowaniem obserwowałam, jak moje palce znikają. Pazury Maugi znieruchomiały podczas wznoszenia, a jego oczy stały się szkliste. Szukałam odłamka i znalazłam ich więcej, niż mogłabym łatwo policzyć. To jak sięgać pod powierzchnię morza, żeby pomacać pal na przystani i zamiast drewna wyczuć pod palcami jedynie pąkle. Nie byłam pewna, od czego zacząć.



Książka poświęcona złożonym konstruktom, zawierającym więcej niż jeden odłamek, zakładała przeciętnie trzy fragmenty kości, maksymalnie dziesięć. Mauga zawierał ich przynajmniej sto. To sporo wysączonych żywotów jak na jedną istotę. Stu ludzi mogłoby z łatwością wykonywać tę samą pracę, choć wiedziałam, że ojciec by im nie zaufał. Książka wskazywała, że rozkazy dotyczące posłuszeństwa powinny się umieszczać wyżej, blisko mózgu konstruktów. Mniej istotne polecenia można lokować niżej, gdzie w przypadku konfliktu będą ustępowały pierwszeństwa ważniejszym dyrektywom.

Chwyciłam jeden ze znajdujących się wysoko odłamków i wyciągnęłam go. Musiałam zmrużyć oczy, by sprawdzić, co jest na nim napisane.

Esun Shiyen lao – zawsze bądź posłuszny Shiyenowi. Znacznik w postaci gwiazdki widniał przy imieniu mojego ojca.

Słowa „zawsze” nie mogłabym łatwo przerobić. Oczywistymi zamiennikami były „aż do” i „gdy”, ale żadne z nich nie zawierało w sobie cząstki „lao” ani nie miały takiej formy, żeby kilka dodatkowych pociągnięć wystarczyło do zmiany znaczenia. Powinnam wziąć dodatkowy odłamek z przechowalni i później zmierzyć się z konsekwencjami. Wtedy mogłabym zastąpić rozkaz, zamiast próbować go zmodyfikować. Co jeszcze ojciec zapisał na kościach? Odłożyłam pierwszy kawałek na miejsce i sięgnęłam po inny, nieco niżej.

Nie zawierał rozkazu, a tylko formuły podatkowe odnoszące się do bystrokamienia.

Kolejny odłamek dotyczył konstruktyw składających Maudze raporty. Były też ogólne kości poświęcone zachowaniu i temperamentowi. Mauga powinien „wolno się złościć”, ale być „gotów użyć szponów w obronie cesarstwa”.

Jeszcze inne odłamki odnosiły się do systemu gubernatorów wysp i do zarządzania cesarskimi kopalniami. Jeden, w pobliżu dołu, mieścił polecenie, żeby nigdy nie wznawiać wydobywania w kopalni na Wyspie Cesarskiej. Nie miałam pojęcia, że kiedyś wykopywano tu bystrokamień.

Światło gasło. Ośmieliłam się rozchylić szerzej zasłonę. Musiałam wymyślić jakiś rozkaz, który w odpowiednim czasie pozwoli mi przejąć kontrolę nad Maugą.

Zawsze bądź posłuszny Shiyenowi. Kluczowa była tu cząstka „zawsze”.

Czas mijał, aż byłam niemal pewna, że słyszę bicie zegara wodnego w holu wejściowym. Pot zbierał mi się na łopatkach i spływał na plecy. Żałowałam, że nie zabrałam ze sobą papieru i tuszu, żeby móc nakreślić możliwe rozwiązania. Zamiast tego obrabiałam słowa w głowie, próbując znaleźć w nich słabe punkty.

Kilkakrotnie chowałam najwyższy odłamek, wyciągałam inne i rozważałam ich znaczenie. Zawsze jednak wracałam do pierwszego. Miał on najwyższy priorytet i gdybym za bardzo go przesunęła, Mauga przestałby poprawnie funkcjonować, a ojciec by się dowiedział. Musiałam działać subtelnie.

Wstał księżyc, a ja zaczęłam czuć ból za oczyma.

Byłam Lin. Byłam córką cesarza. Moim zadaniem było zastąpić go i sprawić, żeby był ze mnie dumny. To mnie identyfikowało.

Identyfikowało.

Znacznik identyfikacyjny. Drżącymi palcami sięgnęłam w Maugę i znów wyjęłam najwyższy rozkaz.

Gwiazdka obok Shiyena. Mauga nie dysponował odrębnym pojmowaniem tego, kim lub czym jest Shiyen. Ojciec przycisnął kość do swojej piersi i wyrył znak.

Mogłam zrobić to samo. Mogłam być Shiyenem Maugi.

Odciągnęłam kołnierz tuniki, przyłożyłam odłamek do piersi i wyciągnęłam rylec. Na nowo wykreśliłam ostrożnie gwiazdkę i poczułam, jak w rozkazie zachodzi zmiana.

Odłożyłam kość z powrotem do wnętrza Maugi i zaczęłam wyciągać inne.

Gdybym teraz wypuściła konstrukt, mój Shiyen wszedłby w konflikt z Shiyenem ojca. Mauga nie funkcjonowałby prawidłowo, jeśli w ogóle by działał.

Zatem zabrałam się do przeglądania kości pod kątem występowania imienia ojca. A gdy je odnajdywałam, dodawałam jedną kreskę, zmieniając Shiyen na Shiyun.

Było to w miarę blisko prawdziwego imienia ojca, zresztą konstrukty rzadko je stosowały, zamiast tego zwracając się do niego per „eminencjo” albo „cesarzu”. Taka metoda mogła zadziałać, przynajmniej dopóki nie skończę przepisywać wszystkich najwyższych konstruktów.

Jednocześnie rozglądałam się za odłamkiem, który mogłabym zmodyfikować tak, by zastąpić priorytetowy rozkaz. Mauga wciąż będzie musiał okazywać posłuszeństwo ojcu, przynajmniej dopóki nie będę ostatecznie gotowa.

Wreszcie, niemal na samym spodzie, znalazłam coś, co mogłam wykorzystać. *Ey Shiyen ome nelone vasa* – mów Shiyenowi o niezwykłych rzeczach. Uniwersalne polecenie.

Przez chwilę rozmyślałam, po czym przyłożyłam rylec do kości i zmodyfikowałam polecenie na *Esun Shiyun ome nelone bosa* – bądź posłuszny Shiyun w większości rzeczy.

Niechlujnie, ale może zadziałać w sam raz. Odłożyłam odłamek do ciała Maugi tuż poniżej komendy, żeby zawsze był posłuszny mnie.

A później odsunęłam się od konstruktu, gdy zaczął wracać do życia. Wysłałam szybko, zanim mnie zauważył. Zamrugłam w świetle korytarza – gdy pracowałam, służący zapalili lampy.

Zrobiłam, co potrafiłam. Jeśli zadziała, to dobrze. Jeśli nie, będę musiała stawić czoła konsekwencjom.

Pospiesznie wróciłam do swojego pokoju, mając nadzieję, że podczas biegu pozbędę się woni Maugi. Gdy doszłam do swoich drzwi, zorientowałam się, że są uchylone.

Puls dudnił mi w uszach, czułam suchość w gardle.

Raz za razem popychałam lekko drzwi, żeby otworzyć je szerzej. Ktoś siedział na moim łóżku, otulony zalegającą w środku ciemnością. Ktokolwiek to był, pozostawał równie nieruchomy jak Mauga, gdy wyciągnęłam mu z ciała odłamek.

Chciałam uciec, znaleźć się gdziekolwiek, tylko nie w mojej komnacie, gdzie przebywała ta mroczna postać. Był to jednak mój pokój, a w nim pod łóżkiem krył się dziennik. Gdybym zbiegła, pozwoлиłabym na spłądowanie moich rzeczy.

Zdjęłam lampę z haka na ścianie w korytarzu i wyciągnęłam ją przed siebie, próbując nie drżeć.

– Kto tam?

Żadnej odpowiedzi. Dopiero po chwili usłyszałam słowa ciche i chrapliwe jak mruczenie kota:

– Potrzebuję twojej pomocy.

Bayan. Strach opuścił mnie nagle, jakby fala cofnęła się z piasku pod moimi stopami. Poczulałam słabość w kolanach.

– Co tu robisz? Jest środek nocy.

– Nie wiedziałem, dokąd indziej mógłbym pójść. – Szarpnął głową w bok.

Coś było z nim nie tak. Widziałam to w tym, jak się poruszał i jak się nie poruszał. Odetchnęłam na nowo i weszłam do środka lekko zirytowana.

– Ojciec zapewne jest lepiej wykwalifikowany, żeby ci pomóc, niezależnie od natury problemu.

– Nie! – krzyknął.

Zatrzymałam się raptownie i podniosłam wyżej lampę. Z bliska widziałam, że się trząsał, jakby dostał gorączki.

– Bayan?

Obrócił ku mnie twarz.

Otworzyłam usta, ale nie potrafiłam się odezwać. Groza zaległa mi ciężko w żołądku. Policzki mego brata obwisły. Dolne powieki cofnęły się od oczu, odsłaniając czerwone półksiężycy mięsa ziejące niczym dwoje dodatkowych ust. Wyglądał, jakby wykonano go z wosku i ktoś przyłożył do niego płomień.

– Czy wiesz, co on robi? On tam hoduje istoty, Lin. On hoduje... ludzi. Swoje eksperymenty.

– W tym, co mówisz, nie ma sensu. Co według ciebie mam zrobić? – Wyciągnęłam rękę, ale zatrzymałam dłoń tuż nad jego barkiem. Nie byłam pewna, czy gdy go dotknę, nie pogorszę jeszcze sprawy. Nie miałam pojęcia, co się w ogóle dzieje.

Słabymi palcami złapał mnie za koszulę.

– Ukryj mnie. Proszę.

Dlaczego musiał przyjść akurat do mnie? Czy naprawdę byłam jedyną osobą, której mógł zaufać? Przesunęłam wzrokiem po pokoju. W rogu stała szafa, było też miejsce pod łóżkiem, choć tam akurat trzymałam dziennik.

– Szafa – rzekłam. Będę musiała coś wymyślić, gdy już poczuje się bezpiecznie.

Zwiotczał z ulgi, choć wciąż mnie trzymał.

– Dziękuję. Przepraszam za te wszystkie chwile, kiedy byłem dla ciebie okrutny. Naprawdę.

– Przestań.

Każde słowo wydawało się przychodzić mu z wysiłkiem. Objęłam go ramieniem i pozwoliłam oprzeć się na sobie, gdy wstawał. Pod dłońią czułam jego żebra. Sapnął lekko, gdy się podniósł, a jego kości ustąpiły pod moimi palcami jakby były gąbką. Rozpadał się na moich oczach i pod moim dotykiem. Czy znowu był chory? I dlaczego nie chciał, żeby ojciec mu pomógł?

– Bayanie, może powinniśmy...

– Tu jesteś. – Ojciec stał w otwartych drzwiach z rękawami podwinętymi do łokci, zaciskając palce na lasce. Ręce miał szorstkie i cienkie niczym wyschnięte skorupy martwych gałęzi. Za nim stał konstrukt, wielki, pokryty skórzastą powłoką stwór o małych twarzy i palcach. – Bayan jest chory – rzekł. – Zabieram go ze sobą.

Bayan oklapł w moich objęciach, ale nic nie powiedział. Czułam na sobie wzrok ojca, czekającego, aż puszcze brata, aż się odsunę. Powinnam to zrobić. Zamiast tego odchrząknęłam.

– Powiedział, że nie chce z tobą iść.

– Nie wie, co mówi. Ma gorączkę, przez którą bredzi. Ipo, zabierz chłopaka.

Choć jego skóra wydawała się miękka jak surowe ciasto, nie był ciepły w dotyku. Konstrukt wszedł do mojego pokoju z rozłożonymi ramionami. Co mogłam zrobić? Gdybym teraz sprzeciwiła się ojcu, nie miałabym jak z nim walczyć.

– Proszę, nie – wycharczał Bayan. – Maszyna pamięci.

Maszyna pamięci? Nie mogłam jednak zadawać pytań, skoro ojciec stał tak blisko.

– Przepraszam – wyszeptałam.

Pozwoliłam Ipo, by zabrał go ode mnie. Czulałam się, jakby imadło ścisnęło mi serce.

– Nie skrzywdź go – odezwałam się do ojca.

Popatrzył na mnie tak, jakby wyrosło mi trzecie oko.

– Jest moim przybranym synem. Dlaczego miałbym go krzywdzić?

Niedowierzanie widoczne na jego twarzy wydawało się zimne. Było coś dziwnego w tym, jak patrzył na Bayana, jak patrzył na mnie... Nie potrafiłam tego rozszyfrować. Nie była to czułość, nienawiść czy jakiegokolwiek znane mi uczucie.

– Po prostu bądź dla niego miły.

Ojciec dokuśtykał do mnie i zanim zdążyłam się odsunąć, ujął wolną dłońią mój policzek.

– Kim jesteś, by mówić mi, co mam robić? – Brzmiał na bardzo rozszoszczonego, ale też pełnego nadziei. Z jego dłoni promieniowało gorąco. Przesunął wzrokiem po mojej twarzy, od czoła, przez oczy, po usta.

Rozchyliłam wargi, żeby się odezwać, i poczułam, że nachylił się bliżej.

– Jestem Lin.

Puścił mnie gwałtownie. Obrócił się i odszedł, a Ipo ruszył za nim z Bayanem w ramionach.

– Gdy się obudzi, przekażę mu, że się martwiłaś.

Drzwi zamknęły się za nimi, a ja zacisnęłam pięści. Nie byłam pewna, co w mojej odpowiedzi go uraziło. Tym razem jednak nie byłam też pewna, na ile się tym przejęłam. Podeszłam do łóżka i znalazłam klucze, które ukradłam i dorobiłam, wsunięte pomiędzy materac a ramę. Wzięłam ten otwierający pokój z odłamkami kości.

Przepisałam już jeden z wyższych konstruktów ojca. Teraz pora na kolejne trzy.



28

Jovis

Wyspa Nephilanu

Stuknąłem końcem laski w podłoże jaskini, zastanawiając się, czy wytrzyma. Moc wibrowała mi w kościach, czekając na wyzwolenie. Czy ściany się zawalą, skały i ziemia spadną nam na głowy? Czy powinienem zaryzykować?

A Gio, ten zadowolony z siebie gnojek, po prostu czekał. Trzymał miecz w gotowości, a ja już niejedną raz poczułem płaz tej klingi. Mężczyzna był stary, ale wyjątkowo dziarski. Uśmiechnął się.

– Celem tego ćwiczenia nie jest przypadkowe skrzywdzenie mnie albo kogoś innego. Powal mnie na ziemię, ale nie zrań.

Sapnąłem ciężko.

– Skoro nie mogę cię zranić, to co mam z tobą zrobić? Zatańczyć?

Gio przeszedł na bok, pokazując mi swoje ciało z profilu.

– Poniekąd tak. Nie wzbudź alarmu. Zachowuj się cicho.

Zamachnąłem się laską, celując w jego nogi, a on sparował cios, po czym popatrzył na mnie z wyrzutem.

– Teraz wszyscy słyszeli już brzęk stali o stal. Wiem, że stanowisz zagrożenie. Wołam o pomoc. Nie udało ci się.

Nie byłem pewien, czego po mnie oczekiwał. W kącie sali Mephi leżał przy kominku i obserwował, opierając brodę na podłodze. Napotkał mój wzrok, gdy na niego popatrzyłem, ale nie zaoferował mi nic poza ziewnięciem. Poprosiłem go, żeby nie odzywał się przy Bezkostnych, a on najwyraźniej uważał to polecenie za uciążliwe.

– Spróbuj znowu. – Gio obrócił się do mnie plecami. – Jestem gwardzistą w korytarzach pałacu gubernatora. Jak zamierzasz przejść obok mnie?

Stuknąłem laską o podłogę.

Obejrzał się przez ramię.

– Zwracasz moją uwagę?

– Przekupuję cię – odparłem.

Rozciągnął wargi w uśmiechu.

– Przekupujesz gwardzistę w środku pałacu? Śmiało posunięcie.

– Przepadam za śmiałymi posunięciami.

– Będą oznaczały twój koniec. – Kącik jego ust drgnął, a twarz nagle mu spochmurniała, jakby przypomniał sobie coś nieprzyjemnego. – Strażnicy w pałacu będą lojalni. Każdy ma swoją cenę, ale nie zdołasz jej zapłacić. Działaj mądrzej. – I znowu się odwrócił.

Podszedłem lekkim krokiem bliżej niego, miękko stąpając po skalnej podłodze.

Wtedy Mephi pomknął ku mnie. Oparł mi się o łydkę i wpatrywał się we mnie wielkimi czarnymi oczyma. Pochyliłem się, by podrapać wybrzuszenia za jego uszami.

– Najadłeś się?

Gio, wciąż odwrócony, westchnął ciężko.

– Mogę zachowywać się cicho, gdy chcę – rzekłem. – I po co w ogóle potrzebujemy takich ćwiczeń? Przecież mówiłeś, że idziesz ze mną. Nie będę robił tego sam.

– Może dlatego, że jeszcze nie jestem gotów, by umrzeć – rzucił cierpko.

Kolejny raz stuknąłem laską. W świetle lamp zamigotały moje cienie.

– Zatem pokaż mi. Przestań dawać mgliste wskazówki, bo z takich nigdy nie umiałem dobrze się uczyć. – Obróciłem się do ściany.

Ledwo zdążyłem przyjąć postawę, gdy podmuch poruszył włosami na mojej potylicy. Ręka wylądowała mi na szyi, dłoń zakryła usta. W zaskoczeniu upuściłem laskę. Żyłasta kończyzna męzczyzny zacisnęła się mocno. Bardzo szybko wzrok mi się zamglił.

Coś zaskrzeczało i Gio zaklął. Puścił mnie.

Mephi wbił zęby w jego but i robił, co tylko mógł, żeby go pozbawić równowagi. Pomyślałem, że Gio go kopnie albo oderwie, on jednak przyklęknął i spojrzał stworkowi prosto w oczy. Jego nastrój zmienił się z zaskoczenia w spokój.

– Nie zamierzam go skrzywdzić. – Uniósł obie dłonie wnętrzami ku mnie. – Nie zrobię mu nic złego, obiecuję.

Wyglądało na to, że nie tylko ja wpadłem w pułapkę, jaką było zwracanie się do Mephiego jak do osoby. Natomiast sam Mephi otworzył pyszczek i puścił but, choć pozostał przyczajony na podłodze, z sierścią zjezoną na grzbiecie.

– Twój pupil za mną nie przepada – stwierdził Gio.

– Jest wybredny. – Pomasowałem sobie gardło. Nie zarejestrowałem ruchu Gio, zanim mnie zaatakował. I okazał się zwodniczo silny. Wychodziło na to, że przywódca Garstki Bezkostnych dorównywał towarzyszącej mu legendzie. – Ale daj mu rybę, to wybaczy ci, że chciałeś mnie zamordować. To kapryśna bestia.

Mephi skierował na mnie zmrużone oczy. Czy teraz rozumiał też słowo „kapryśna”? Miałem nadzieję, że nie.

Rozejrzałem się po jaskini, w której ćwiczyliśmy. Kryjówka zdobyta przez Bezkostnych była wielka – większa w środku, niż wcześniej mi się wydawało. W paru miejscach przez pnącza przebiegało się zielonkawie światło. Podniosłem łaskę z podłogi.

– Skąd wiedziałeś, że jest tutaj to miejsce?

– Mieliśmy szczęście. Gdy przybyliśmy na Nephilanu, jeden z moich zwiadowców je znalazł.

Kłamstwo.

Postanowiłem go nacisnąć:

– Jeden z twoich zwiadowców dostrzegł pęknięcie w klifie i zdecydował się dla zabawy zapuścić w głąb? Kimkolwiek jest ten zwiadowca, chyba pragnie śmierci.

Uśmiechnął się.

– Czy wszyscy z Garstki Bezkostnych jej nie pragną? Ci z nas, którzy umknęli przed Festiwalem Trybutu, żyją w nieustannym strachu przed odkryciem.

Uznałem, że zmienię temat.

– A reszta z was?

Jego uśmiech przeszedł w zwyczajową ponurą minę. Mężczyzna podniósł lampę, gestem wskazał, żebym poszedł za nim, i opuścił pomieszczenie. Ruszyłem z Mephim następującym mi na pięty.

Ściany korytarza były ozdobione wyblakłymi freskami, resztki srebrnej farby odbijały światło. Dostrzegałem część scen, choć niektóre ściany zostały uszkodzone, przez co fragmentów malowideł brakowało. Mężczyźni i kobiety w powłóczystych szatach o wysokich kołnierzach, unoszący dłonie. Fale uderzające o klif. Wiatr gnący drzewa. A później seria malunków, których przetworzenie w głowie wymagało ode mnie chwili. Cztery wyspy, każda z nich bardziej zalana wodą.

Nie cztery wyspy. Jedna. Tonąca.

Przyłożyłem dłoń do ściany, nagle czując, że kręci mi się w głowie. Ziemia pod mną trzęsła się, pył zatykał mi nozdrza. Mężczyźni, kobiety i dzieci krzyczeli. Zwierzęta odpływały, próbując uciekać. Dłonie chwyciły się strzech i dachówek, gdy woda wdzierała się do domów, gdy Bezkresne Morze zabierało miasto za miastem, życie za życiem.

Miałem ochotę wymiotować. To się już kiedyś działo w długiej historii wysp. W czasach Alanga lub wcześniej.

W oczy uderzył mnie blask lampy. Gio zatrzymał się i obrócił.

– Wszystko w porządku?

Mephi stanął na tylnych łapkach i poklepał mnie po nodze, cicho wydając gardłowe, zatroskane dźwięki.

– Tak. – Co miałem powiedzieć? Już nigdy nie będzie ze mną w porządku.

Nie uwierzył mi, ale nie drażył.

Wprowadził mnie do innej jaskini, tym razem z otworem w stropie wpuszczającym trochę słońca. W pobliżu płamy światła umieszczono drewniane platformy.

– Chciałem ci to pokazać – rzekł Gio, odstawiając lampę. – Nie wszyscy uciekamy. Reszta z nas żyje w strachu, że nadejdzie dzień, gdy nasze odłamki zostaną wciśnięte w martwe ciało.

Na platformach leżało kilkoro mężczyzn i kobiet przyciskających do ciała wychudzone kończyny, podkurczone jak odnóża martwych pajaków. Troje z nich

wyciągnęło szyje na dźwięk głosu Gio. Ostatni leżał nieruchomo, być może nie był już w stanie nic słyszeć.

– Ich odłamki muszą znajdować się w użyciu od jakiegoś czasu – oznajmił Gio.
– Ale choroba i słabość czasami uderzają dopiero pod sam koniec. Odbywa się to tak powoli, że większość z nas tego nie zauważa. Tu ukłucie bólu, tam zmęczenie. Gdy sprawa staje się widoczna, pogorszenie następuje szybko. – Podszedł do platform i przyklęknął przy kobiecie, która stała nad chorymi z dzbankiem wody i wilgotną szmatką.

– Lenau odeszła w nocy – powiedziała do niego. – Pochowaliśmy ją w dżungli.

Trzymałem się na uboczu, choć Mephi nie podzielał mojego wahania. Skoczył naprzód i wcisnął głowę pod dłoń mężczyzny znajdującego się najbliżej światła. Tamten rozeźmiął się i posłusznie rozprostował sękaty palec, żeby podrapać zwierzaka za uszami.

– To się przytrafia coraz to nowym spośród nas – rzekł Gio. Jego głos poniósł się echem po grocie. – Taki los czeka wielu obywateli cesarstwa. Śmierć nie z ręki Alanga, ale z ręki tego, który przysiągł nas chronić.

Widywałem już osoby cierpiące na chorobę odłamkową – tkwiące w kątach domów, porzucone w zaułkach. Czasami był to ktoś, kogo wcześniej znałem. Stałem wciąż, nie wiedząc, co według niego miałbym powiedzieć, co sam chciałbym powiedzieć. Zdawałem sobie jednak sprawę, co zaraz padnie z jego ust.

– Możesz nam pomóc.

Wszyscy wiecznie byli zachłanni, wiecznie pragnęli więcej, wiecznie potrzebowali więcej. Nie musiałem nic dawać. Zaciśnąłem palce na lasce, dłoń zwilgotniała mi od potu. Byłem kłamcą, ale dotrzymywałem złożonych obietnic. A obiecałem Emahli, że ją znajdę.

– Łódź o niebieskich żaglach – wykrztusiłem.

Gio skinął głową.

– Tak. Wiem, że jej szukasz.

– Wysłałeś za mną szpiegów?

– Nie potrzebuję szpiegów. Jedynie uszu. Nie ukrywałeś swoich poszukiwań.

Jeden z mężczyzn zakasłał. Miał zapadnięte oczy, a skóra naciągnęła mu się na policzkach, jakby była wygarbowana. Próbowałem nie wgapiać się w niego. Ten człowiek usychał. Poczulem, że świerzbiał mnie palec. Chciałem dotknąć blizny za swoim uchem – w miejscu, gdzie żołnierz uderzył mnie dłutem. Powiedziałem matce i ojcu, ale nikomu więcej. „Nie wziąłem twojej kości”, wyszeptał, zionąc mi gorącym oddechem w ucho. „Wiem, co stało się z twoim bratem, i przykro mi z tego powodu”. Pokazał mi kawałek kości, który trzymał, nienależący do mnie. „Pewnego dnia się dowiedzą, ale nie dziś”. Po tych słowach pchnął mnie ku innym dzieciom, płaczącym i krwawiącym, czekającym, aż rodzice założą im opatrunki.

Mojego brata nikt nie ocalił. Nawet gdyby nie zginął, mógłby teraz być jednym z tych ciał na platformach, gasnącym w miarę zużywania się jego odłamka.

– Zdradzisz mi swoje myśli? – Głos Gio przedarł się przez moje wspomnienia.

– Raczej nie.

Westchnął.

– Czyli nie chcesz dołączyć do sprawy. Ale powiedz mi jedno: co się stanie, gdy odnajdziesz łódź o niebieskich żaglach?

Znajdę Emahlę. Wrócę do domu.

– To nieistotne.

- Ktoś, kto nie widzi przyszłości, nie ma jej – stwierdził Gio.
- Czy to przysłowie? Jedno z tych stworzonych przez Ningsu?
- Nie. Kiedyś powiedział to ktoś, kogo znałem. Miała rację.

Popatrzyłem na niego z ukosa, przyglądając się jego twarzy. W poprzek oka z bielmem i brwi biegła blizna. Pomimo siwych włosów i zmarszczek na twarzy z jakiegoś powodu nie wydawał mi się stary. Przynajmniej nie tak stary, na jakiego wyglądał.

- A jaka jest twoja opowieść? Moją najwyraźniej znasz.

Machinalnie sięgnął ręką w dół, żeby podrapać Mephiego. Zwierzak zaświergotał i szturchnął go w kolano. Czyli już się zaprzyjaźnili?

- To długa historia – rzekł mężczyzna. – I w większości nieciekawa. Dość powiedzieć, że wydawało mi się, że znam swoje przeznaczenie. Wydawało mi się, że wiem, co jest słusne. Ale popełniłem błędy. Wiele błędów. Teraz tylko próbuję je naprawiać i szukam ludzi, którzy mi w tym pomogą.

Rozłożyłem ręce, jakbym pokazywał żebrakowi, że nie mam pieniędzy.

- Pytasz niewłaściwą osobę.

Gio skinął głową.

- Na to chyba wychodzi. Ale co zrobisz, Jovisie, gdy odłamki twojej rodziny zostaną użyte? Odłamki tych, o których się troszczysz?

Miałem wrażenie, że moje serce stało się kamieniem tonącym w głębinach Bezkresnego Morza.

- A kto powiedział, że o kogokolwiek się troszczę? – Byłem dobrym kłamcą, ale to łgarstwo nawet mnie wydawało się puste.

- Gio – odezwała się jedna z kobiet ze swojej platformy.

Obrócił się, żeby się nią zająć, po czym uniośł jej głowę, by mogła się napić. Kto pomógłby moim rodzicom, gdyby oboje zachorowali? Może Garstka Bezkostnych wykonałaby tę usługę, skoro ja byłem nieobecny, ścigając Emahlę po Bezkresnym Morzu. Buntownicy byłiby dla nich lepszą rodziną niż ja. Odepchnąłem gorzkie myśli na bok i wymknąłem się z grotu. Mephi dreptał cicho u mego boku. Nic nie mówił, gdy brałem lampę ze ściany i szedłem znów korytarzem, którym tu przyszliśmy. Wiedziałem, że wręcz rozszadzają go kłębiące się w nim pytania, podobnie jak mnie, ale nie wierzyłem, że w przydzielonym mi pokoju można bezpiecznie rozmawiać, zatem skradałem się ciemnymi korytarzami, słysząc za sobą cichnące echo głosów.

Kawałek dalej światło lampy zanikało, przechodziło w pustkę i ciszę. Pytania Gio umknęły mi z myśli, zastąpione moimi.

- Nie widzę żadnych drzwi. Jak sądzisz, jak daleko to sięga? Jak głęboko?

Mephi okręcił mi się wokół nóg, zmuszając do zatrzymania.

- Nie wiem.

Oczywiście, że nie wiedział.

- Tak tylko myślałem na głos – rzekłem. – Jego zwiadowcy nie znaleźli tego miejsca ot tak. Dowiedział się o nim od kogoś.

Machnąłem lampą w głąb korytarza. W oddali słyszałem słabe głosy, choć nie rozróżniałem słów. Powietrze pachniało tu ziemią i lodem.

- Lubię go – powiedział Mephi.

- Oczywiście. Mówi o ratowaniu wszystkich, o tym, że wszystko poprawi. Ale czy wiesz, jak często takie rzeczy działają? Rada z przedstawicielami każdej wyspy? Ludzie chcą prostych rozwiązań. Gdy to wszystko się zaczęło, myśleli, że Sukaiowie nas ocalą. Zamiast tego zniewolili nas. Muszę troszczyć się o siebie i swoich bliskich, a to

oznacza poszukiwanie mojej żony. Jeśli wprowadzanie nowego porządku świata tyle dla ciebie znaczy, to może zostaniesz tu z nim? – Były to głupie, małostkowe słowa i już gdy je wypowiadałem, miałem wrażenie, jakbym rozdzierał sobie serce na dwoje. Nie miałem pojęcia, jak je cofnąć.

– Nigdy cię nie zostawię. – Mephi znów przeplótł się pomiędzy moimi nogami, przez co niemal się potknąłem i musiałem zatrzymać. Nie cierpiałem przyznawać, w jakim stopniu jego zapewnienia łagodziły ciężar leżący mi na sercu. Usiadł przede mną na tylnych łapach. – Ale Jovisie – gdy wyrzekł moje imię swoim chrapliwym głosem, poczułem dreszcze na plecach – ludzie tu to też twoi ludzie.

Pomyślałem o długich godzinach, jakie spędziłem w Akademii na Wyspie Cesarskiej, o spojrzeńcach rzucanych z ukosa na moje rysy i cerę, o tym, jak zawsze musiałem pracować ciężiej i dłużej tylko po to, by dowieść swojej wartości. Kto wtedy się mną przejmował? Byłem tam przez dwa samotne lata, podczas których cały czas oglądałem się za siebie i zdobywałem niechętny szacunek otoczenia, aż wreszcie otrzymałem prawo do nawigatorskiego tatuażu. Chcieli, żeby mi się nie powiodło, i rozczarowałem ich, gdy mimo wszystko podołałem.

– To nie są moi ludzie!

Uderzyłem dłonią w ścianę i poczułem, niemal za późno, wibracje w kościach. Wycofałem cios, wessałem w siebie drżenie, zanim zdążyło zatrząść otaczającymi nas tunelami.

Mephi osunął się do przykucu, położył uszy płasko na czaszce i wpatrywał się w strop ponad nami.

Powoli wypuściłem oddech, obawiając się, że jeśli zrobię to za szybko, naruszę fundamenty tego miejsca.

– Przepraszam. Muszę uważać.

Nie spuszczać wzroku z sufitu, Mephi podszedł bliżej i poklepał mnie po stopie.

– Zostajemy razem. Odpływamy razem.

Ulga wezbrała falą w moich żyłach. Wyciągnąłem rękę, żeby oprzeć się o ścianę i... straciłem równowagę. Lampa zakołysała mi się gwałtownie w dłoni i mało brakowało, żebym ją upuścił. Ścisnąłem ją mocniej i skupiłem na pewnym ustawieniu stóp. Ściany, w którą wcześniej uderzyłem, już nie było.

– Co to ma znaczyć? – Uniosłem lampę, gdy udało mi się odzyskać równowagę. W uszach wciąż dudniło mi tętno.

Mephi prześlizgnął się obok mnie, zanim zdążyłem go powstrzymać.

– Moment, stój... – Urwałem i pokręciłem głową. Ogon Mephiego zdążył zniknąć w ciemnym pomieszczeniu. Moje połajania na nic by się nie zdały. Nie był żadnym domowym zwierzątkiem, nieważne, co zakładali Bezkostni. Był przyjacielem. Bardzo lekkomyślnym przyjacielem.

Wszedłem za nim, trzymając lampę wysoko. Okazało się, że martwiłem się niepotrzebnie. Pomieszczenie było małe, a w jego kątach nie dostrzegłem żadnych potworów. Obejrzałem się za siebie i znalazłem kamienną płytę służącą za drzwi. Przesunąłem palcami wzdłuż jej krawędzi. Gdy stałem w korytarzu, mógłbym przysiąc, że ściany były gładkie, nie widziałem w nich żadnych drzwi ani framugi. Zatem skąd to się wzięło? Czy światło było za słabe, żebym wcześniej dostrzegł kontur przejścia?

Mephi otworzył jakąś skrzynię i przetrząsał jej zawartość, a wokół niego w powietrze wzbił się kurz.

– Przestań! – zawołałem. – Nie wiesz, co tam jest. – Ale zachowywał się tak, jakby w ogóle mnie nie słyszał. Badawczo przygryzł kamienną bransoletę, po czym odrzucił ją na bok, gdy okazała się niejadalna. Jego futrzasta sylwetka siała спустoszenie w zwojach haftowanych tkanin, z których połowę wyciągnął na podłogę.

Westchnąłem i sprawdziłem resztę pokoju.

Na środku stało zapadnięte łóżko, a w rogu w podłogę wprawiono głęboką wannę. Dawno temu musiało to być wspaniałe miejsce do zażywania relaksu. Wzdłuż ścian umieszczono kamienne półki. Były w większości puste, ale gdy przysunąłem do nich lampę, w zalegającym kurzu dostrzegłem odciski przedmiotów. Poczulem dreszcz na plecach. Ktoś tu był, a jeśli oceniać po kurzu, mogło to nastąpić w minionym roku.

– Mephi! – syknąłem. Nawet mój szept wydawał się za głośny. – Wyłaż stamtąd.

Na półkach leżało kilka kawałków drewna, ale w rogu dostrzegłem coś jeszcze. Książkę.

Mephi wygramolił się ze skrzyni i skoczył do mnie akurat wtedy, gdy podnosiłem tom.

– Jedzenie? – zapytał. Nie potrafiłem stwierdzić, jaka jest pora dnia, ale musiał zbliżać się zmierzch. Już po porze kolacji. Ostatnio jadał nawet więcej niż zwykle, a rankami bywał bardziej ospały.

– Nie – odparłem. Przez krótką chwilę czułem przemożną chęć, żeby uwolnić się od tego miejsca, od tego mroku, znów znaleźć się na wodzie. – Wkrótce zdobędziemy coś do jedzenia. – Okładka książki nie nosiła żadnych napisów, ozdobiono ją jedynie kilkoma liniami łuszczącej się złotej farby. Gdy ją otworzyłem, strony zachrzęściły. Znad papieru uniosła się ziemista woń. Przysunąłem lampę bliżej, żeby móc czytać.

Nie rozpoznałem pisma.

Znałem cesaryjski. Znałem nawet nieco poyerskiego. Ale tu miałem do czynienia z czymś innym. Znaki były zwarte i małe, słowa niemal nachodziły na siebie. Przerzuciłem stronicę, szukając czegoś, co bym rozpoznał.

I nagle się zatrzymałem. Cofnąłem trochę.

To słowo. Znałem je. Zostało zapisane inaczej niż w postaci, do której przywykłem, ale znaczyło to samo.

Alanga.



29

Lin

Wyspa Cesarska

Uphilia przemykała po pałacu jak duch. Nie wiedziałam, gdzie mieszkała, musiałam więc wysłać mój mały konstrukt szpiegowski, żeby znalazł jej legowisko. Potrzebował trzech dni, aby odkryć jego lokalizację. Trzech dni, które spędziłam na przetrząsaniu ksiąg i próbach nauki, choć w myślach wciąż widziałam roztapiającego się Bayana. Nie potrafiłam określić, co się z nim stało. Za każdym razem, gdy natykałam się w korytarzach na ojca, nie patrzył na mnie. Tylko raz ośmieliłam się zapytać, gdzie jest Bayan, a ojciec odparł, że odpoczywa – z wyraźnym ostrzeżeniem w głosie. Wiedziałam, że lepiej nie drążyć tego tematu. Mimo to kolejnej nocy poszłam do pokoju Bayana i odkryłam, że jest zamknięty na klucz. Kiedy przyłożyłam ucho do drzwi, nic nie usłyszałam, nawet odgłosu oddychania.

Dlaczego nie chciał widzieć ojca? Dlaczego pragnął skryć się przed nim? Jedyne sensowny wniosek, który się nasuwał, to taki, że właśnie ojciec doprowadził go do takiego stanu.

Nocne powietrze dmuchało mi w kark, niosąc ze sobą drobniutkie kropelki deszczu. No oczywiście, Uphilia nie mogła mieszkać w żadnym miejscu, do którego łatwo się dostać. Lisy lubiły zaciszne nory, a kruki potrafiły latać. Przytrzymałam się

dachówek śliskich od deszczu. W kieszeni szarfy miałam rylec i dwa odłamki kości, które zabrałam z przechowalni. Będę musiała zachować ostrożność przy dodawaniu Uphilii rozkazów, jeśli nie chciałam zakłócić obecnych poleceń, ale w ten sposób przynajmniej zyskam większe pole manewru niż w przypadku Maugi. Wiedziałam też, że ojciec bardziej przejmował się handlem niż biurokracją. Podejrzywałam, że Uphilia okaże się bardziej skomplikowanym konstruktem niż Mauga.

Przeszłam po zakrzywionym dachu, powoli, koncentrując się na utrzymaniu równowagi. Deszcz i wiatr groziły, że zrzucą mnie z dachówek. Pałac miał kilka pięter wysokości, więc w razie wypadku połamałabym sobie nie tylko żebra. Obsunęła mi się lekko stopa i serce podeszło mi do gardła. Zamachałam rękoma jak wiatrak, próbując zachować pion.

Nie chciałam ginąć w taki sposób.

Zatrzymałam upadek i ześlizgnęłam się tylko trochę niżej. Miałam obdarte wnętrza dłoni, a po uczuciu pieczenia domyślałam się, że krwawię spod jednego paznokcia. Nienawidziłam Uphilii i jej głupiego legowiska. Gniazdowała w pobliżu wierzchołka dachu, w niszy, którą ojciec wykonał dla niej tuż pod ścianą szczytową. Postąpiłabym głupio, gdybym znów spróbowała iść, zatem czołgałam się po dachu na dłoniach i kolanach, przeklinając deszcz padający coraz mocniej i zalewający mi oczy.

W polu widzenia pojawiła się kalenica dachu. Dotarłam do niej, opuściłam się na brzuch i wyrzłam na drugą stronę.

Luźne źdźbła słomy wystawały z dziury powstałej w ścianie tuż pod szczytem. Dostrzegłam błysk czarnych piór i biały koniec ogona. Uphilia wróciła do swego kurnika. Po jej bezruchu oceniałam, że zapewne spała. Mimo to jak mogłabym podkraść się do skrzydlatego lisa? Nigdy nie dorównałabym jej prędkością, nie umiałam latać i samo dostanie się do jej legowiska będzie wystarczająco trudne. Musiałam znaleźć jakiś sposób, by zrobić to szybko i jednocześnie zablokować jej drogę ucieczki. Mogłabym spuścić się z krawędzi dachu, ale dachówki były śliskie, do tego musiałabym wtedy wskoczyć od razu do nory.

Na ścianie szczytowej umieszczono element dekoracyjny: falistą żelazną listwę przybitą do belek. Podkładałam się do wierzchołka i na próbę ją chwyciłam. Była przymocowana solidnie i w jej skład wchodziła pozioma część, którą mogłabym objąć dłońmi. Nie będzie to proste, ale jeśli położę się na plecach, chwycę ten kawałek i odepchnę się nogami od dachu, zyskam odpowiedni impet, żeby skrócić ciało i wsunąć się prosto do legowiska Uphilii.

Nie byłam akrobatką, ale byłam niska i lekka. Obawiałam się jednak, że element może mimo wszystko nie utrzymać mojego ciężaru – ale nie widziałam alternatywy.

W kieszeni szarfy wciąż trzymałam jagody jałowca chmurowego. Wyciągnęłam jedną z nich i włożyłam do ust. Smakowała ostro i stęchle, odrobina soku wytrysnęła mi przez zęby. Ignorując smak, przeżułam i połknęłam owoc. Nie byłam mnichem chmurowego drzewa, ale znałam opowieści. Nikt nigdy nie zdołał przypuścić udanego szturm na klasztor – nawet mój ojciec.

Minęło zaledwie kilka uderzeń serca, zanim poczułam efekty. Przyspieszył mi puls, siła wiała się w ręce i opuszki palców. Gdybym znajdowała się w swoim pokoju, przetestowałabym nowe możliwości na czymś nieszkodliwym, nie dysponowałam jednak takim luksusem. Deszcz przykleił mi koszulę do grzbietu. Chmury zasłaniały księżyc i przeświecała przez nie tylko przyćmiona poświata. Gdy na nią spoglądałam,

widziałam spadające krople tuż przed tym, jak wpadały mi do oczu. Było to oszałamiające, dezorientujące odczucie.

Wyciągnęłam rękę za krawędź dachu i na ślepo próbowałam odszukać poziomą belkę. Musiałam namacać ją palcami, ale mi się udało.

Albo to, albo zostanie wydziedziczona. Albo to, albo rozczaruję ojca. Albo to, albo może nawet skończę tak jak Bayan, z ciałem topiącym mi się na kościach. Maszyna pamięci. Czy to ojciec pozbawił mnie wspomnień? A może konstruował coś, by spróbować mi je przywrócić? Czy tak właśnie stało się z Bayanem? Czy doszło do jakiejś usterki? Ile miałam czasu, zanim przetestuje maszynę na mnie? Później. Mogłam o tym wszystkim myśleć później. Zdusiłam grozę i uniosłam ciało w pozycji odwróconego łuku.

Odetchnęłam głęboko, odepchnęłam się od dachu i poczułam, jak świat się przekręca.

Żelazna powierzchnia elementu dekoracyjnego ślizgała mi się pod palcami. Zaskrzybiała, gdy przyjęła na siebie mój pełen ciężar. Byłam akurat obrócona twarzą do ziemi, gdy z jednej strony oderwała się od belki. Wszystko wydawało się poruszać w zwolnionym tempie, każde uderzenie mojego serca było jak ostatnie. Podkurczyłam nogi do piersi i ujrzałam przed sobą otwór legowiska Uphilii.

Wiedziałam, że może mi się nie udać, ale zebrałam w sobie wzmocnioną siłę i wierzgnęłam mocno. A później rozwarłam palce.

Przez chwilę byłam tylko ja, powietrze i białka oczu Uphilii. Obudziła się i zorientowała, że lecę prosto na nią w mroku, w miejscu, jak sądziła, całkowicie bezpiecznym.

Wpadłam na jej miękkie ciało i chwyciłam ją. Kłapnęła zębami i wbiły się w delikatną skórę tuż pod moimi zębami. Choć wiedziałam już, że najwyższe konstrukty ojca są zdolne mnie zaatakować, zaskoczył mnie towarzyszący temu ból. Dwukrotnie próbowałam zanurzyć dłonie w jej tułowiu i zdołałam tylko wpleść palce w futro. Potrząsnęła głową, wciąż nie rozwierając zębów. Ciepła krew przemaczała mi koszulę. Cały bok mnie palił.

Jeśli nie zbiorę się w sobie, jeśli tego nie zakończę, poniosę klęskę. Byłam Lin. Byłam córką cesarza. Nie zawiodę. Słowa te płonęły we mnie niczym roztopiona stal formowana w klingę. Odetchnęłam głęboko i znów próbowałam, poruszając dłonią powoli i starannie.

Ciało Uphilii ustąpiło pod moim dotykiem. Zamarła w bezruchu z zębami wciąż wbitymi w moją skórę, gdy szukałam w jej wnętrzu odłamków kości. Znalazłam je poukładane jeden nad drugim i miałam wrażenie, że jest ich jeszcze więcej niż u Maugi. Gdy dotarłam do szczytu, wyciągnęłam odłamek. Musiałam szarpać nim jak obluzowanym zębem, zanim go uwolniłam.

Gdy już znalazł się w mojej dłoni, poświęciłam chwilę, żeby rozewrzeć pysk konstruktowi. Zupełnie jakbym otwierała ostrygę. Krew zmoczyła mi koszulę, a rany paliły, ale przesunęłam szarfę tak, by uciskała obrażenia i powstrzymywała krwawienie. Będę musiała później to opatrzyć.

Blask lamp przeświecał przez szpary w deskach składających się na podłogę legowiska, mogłam więc przysunąć do nich odłamek. Spodziewałam się tego samego rozkazu, co w przypadku Maugi, ale mój ojciec miał inny pomysł na swój Konstrukt Handlu.

Esun Shiyeu uvarn: nelusun 1, 2, 3.

Bądź posłuszna Shiyenowi, chyba że: warunki 1, 2, 3. Potrzebowałam chwili, żeby odcyfrować te słowa. Trafiłam na coś bardziej skomplikowanego niż u Maugi. Uphilia miała możliwość sprzeciwić się ojcu w pewnych sytuacjach. Liczby stanowiły odniesienie do innych konkretnych odłamków w jej ciele, choć nie byłam pewna, czy je znajduję. Zostały oznaczone tymi samymi liczbami.

Krwawiłam podczas pracy, każdy ruch wywoływał ukłucie bólu w moich żebrach i biodrze. Pióra Uphilii laskotały mnie w policzki za każdym razem, gdy nachylałam się bliżej. Nie śmierdziała tak jak Mauga. Jej woń była delikatna, piżmowa, niemal słodka, mniej kojarząca się z psem, a bardziej ze słomą. Sprawdziałam każdy fragment kości pod kątem liczby umieszczonej w rogu. Rozkazy błyskały w przyćmionym świetle bijącym z dołu:

- *Kupić skrzynki orzechów caro, gdy: warunek 9.*
- *Kiedy dziesięcina z tuńczyka spadnie poniżej dwudziestu ryb rocznie, zgłosić Shiyenowi.*
- *Codziennie odbierać raporty na temat skradzionych towarów od konstruktów stopnia drugiego.*

Wreszcie znalazłam odłamek oznaczony liczbą „1” w lewym górnym rogu. Słowa, jakie na nim wyryto, były maleńkie. Musiałam wyteńczyć wzrok, zmrużyć oczy i trzymać kość tuż nad deskami podłogi, żeby odczytać treść:

- *Jeśli Shiyen nie dysponuje wszystkimi informacjami, które ma Uphilia, a doświadczenie Uphilii nakazuje inną decyzję dla dobrobytu cesarstwa.*

Czyli mój ojciec na tyle jej ufał, a przynajmniej na tyle ufał obowiązującym ją skomplikowanym rozkazom, że mogła nie zważać na jego decyzje, gdy wymagała tego okazja. Odłożyłam odłamek, zapamiętałam jego pozycję i zabrałam się za szukanie kolejnych dwóch.

Leżały bezpośrednio pod pierwszym, więc nie zajęło mi to wiele czasu.

Na „2”: jeśli decyzja Shiyena będzie oznaczała całkowite lub częściowe załamanie gospodarki cesarstwa. Zaś na „3”: jeśli Shiyen domaga się czegoś, czego nie można osiągnąć w rozsądny sposób.

Przysiadłam na piętach, tuląc w dłoni ostatni kawałek kości, do którego odnosił się rozkaz. Nie mogłam przepisać odłamków tak samo, jak u Maugi, zresztą wtedy nie wykonałam szczególnie schludnej pracy, choć ostatecznie konstrukt wydawał się zachowywać normalnie. Uphilia była jednak bardziej złożona. Nie mogłabym liczyć na to, że takie samo rozwiązanie zadziała w jej przypadku. Musiałam znaleźć inny sposób.

Ale tym razem zabrałam ze sobą więcej pomocnych rzeczy. Pogrzebałam w kieszeni szarfy i wyciągnęłam jedną z kości. Ta metoda mogła okazać się nawet prostsza i elegantsza niż u Maugi. Najwyższy rozkaz mogłabym uzupełnić o kolejny warunek: „Jeśli Lin prosi Uphilię, by zamiast tego była posłuszna jej, Uphilia będzie od tej pory posłuszna Lin”. Nie mogłabym zastąpić ojca sobą we wszystkich poleceniach, którymi kierowała się Konstrukt Handlu, ale w ten sposób uzyskalabym środek tymczasowy do chwili, aż będę mogła całkowicie przepisać odłamki Uphilii.

Znów odszukałam najważniejszy rozkaz i użyłam ryłka, żeby w jego rogu wyryć „4”. Następnie ustawiłam narzędzie nad świeżym, czystym odłamkiem. Gdy

poszłam do przechowalni, upewniłam się, że wybieram kość z części cesarstwa mocno oddalonej od centrum, której mieszkańców nie znałam i nigdy się z nimi nie zetknęłam. Z którymi mogę nigdy się nie zetknąć.

Unikałam spoglądania na szufladkę, w której niegdyś spoczywał odłamek kowala.

Jednak w chwili, w której przyłożyłam narzędzie do kości, pisałam na czyimś życiu, nieważne, że dzieliło mnie od niego pół świata. Gdy umieszczę odłamek w ciele Uphilii, jego właściciel może pewnego dnia poczuć się nieco gorzej. Mogłoby mu przyjść do głowy, że jego odłamek został użyty, ale nie miałby co do tego pewności. Dopiero gdy stałby się starszy, życie zdawałoby się uchodzić szybciej z jego kości. Starzałby się zauważalnie, czułby się słabszy. W końcu zmarłby na długo przed czasem i ojciec musiałby wymienić starą, martwą kość w Uphilii na świeżą.

Oto co bym zrobiła, gdybym dopisała na kości nowy odnośnik. Skróciłabym komuś życie.

Kilka dni wcześniej zrobiłabym to bez zastanowienia. Po tym, jak spotkałam rodzinę Numeena, jak poznałam jego córkę Thranę, wiedziałam już, że jakkolwiek daleko nie znajdowałyby się osoba, z której czaszki wycięto ten fragment, mimo wszystko była to osoba. Człowiek o własnych nadziejach i marzeniach, kochany przez bliskich.

Czy istniał inny sposób?

Przejrzałam resztę odłamków, analizując umieszczone na nich rozkazy i szukając perły w Bezkresnym Morzu. Znajdywałam tylko ziarna piasku. W desperacji powtórzyłam całą procedurę. Deszcz stukał o dach powyżej, wybijając rytm towarzyszący szaleńczemu dudnieniu mojego serca.

Niebo na zewnątrz stało się granatowe, a później szare. Nie mogłam dłużej przeciągać sprawy. Zabrnęłam za daleko, żeby móc podjąć inną decyzję. Przygotowałam się psychicznie, a później wyryłam rozkaz na kości. Miałam wrażenie, jakbym grzebała końcem narzędzia we własnej duszy, jakbym zapisywała na jej powierzchni niezmywalne słowa.

Ale stało się.

Przesunęłam ciało Uphilii pod sobą, żeby zyskać lepszy dostęp do powiązanych odłamków. Musiałam je lekko przemieścić, żeby wcisnąć pomiędzy nie nowy. Ale gdy wsunęłam dłonie pod jej żebra, coś poczułam – nie deski podłogi, nie słomę. Leżała na czymś twardym i kanciastym. Na książce?

Zepchnęłam ją na bok. Książka, na której wcześniej spała, była gruba i oprawiona w brązową skórę, bez napisów na okładce. Otworzyłam ją i przerzuciłam strony. Potrzebowałam zaledwie chwili, żeby zrozumieć treść. W środku zapisano imiona i daty. U szczytu każdej strony widniał nagłówek: „Wyspa Cesarska”.

Zapisy narodzin. I zgonów, sądząc po datach przy niektórych pozycjach. Dlaczego przechowywała to Uphilia, a nie Mauga? Przecież to on pilnował podobnych biurokratycznych spraw. Nie leżały one w zakresie zainteresowań Konstruktu Handlu.

Z czystej ciekawości przerzuciłam strony, szukając siebie. Znalazłam odpowiedni wpis blisko końca, wykonany schludnym i porządnym pismem.

Lin Sukai, 1522–1525.

Poczułam, jak wewnętrzności poruszają mi się niczym chłodna masa wijących się węży. 1525. Znowu przyjrzałam się stronie, a później następnej i wcześniejszej. Była to jedyna Lin Sukai wymieniona w roku moich narodzin. Tak, urodziłam się w 1522, ale wciąż żyłam. Teraz był 1545, a ja wciąż żyłam.

Przesunęłam dłońmi po piersi i brzuchu, czując się jakby mniej rzeczywista niż jeszcze przed chwilą. Dlaczego w tej księdze zapisano, że zmarłam? Drżącymi dłońmi odłożyłam ją na podłogę i zakryłam słomą. Nie mogłam spytać ojca. Nie mogłam spytać Bayana. Odczytane daty trzepotały mi w myślach niczym ptasie skrzydła tłukące się o pręty klatki.

Wstawało słońce, a mnie kończył się czas.

Wcisnęłam odłamek w Uphilię tuż poniżej trzech pozostałych fragmentów z odniesieniami. Zanim zdążyła się obudzić, zwiesiłam się z okapu. Musiałam się puścić, by wylądować sporo niżej, ale nie opuściła mnie jeszcze siła jałowca chmurowego. Kolana ugięły mi się tylko nieznacznie w momencie uderzenia. Z tego miejsca mogłam przedostać się do okna, choć musiałam się pospieszyć, zanim służba rozpocznie swoje obowiązki.

Nie żyłam. Zgodnie z zapiskami z księgi zmarłam w wieku trzech lat. Być może było to jakoś powiązane z moją pamięcią i z tym, dlaczego nie mogłam przypomnieć sobie niczego sprzed więcej niż pięciu lat. Skąd jednak wzięły się wpisy w dzienniku, nakreślone moim charakterem pisma?

I dlaczego ojciec sądził, że te wspomnienia powinny być moje?



30

Jovis

Wyspa Nephilanu

Następnego poranka znalazłem Gio wraz z pozostałymi w głównej sali. Przechadzał się przed ogniem i wyglądało na to, że miał za sobą jeszcze bardziej bezsensną noc niż ja. Do późnych godzin przeglądałem książkę, szukając innych słów, które bym rozpoznał. Ktokolwiek to napisał, przez jakiś czas musiał ćwiczyć cesaryjski. Synonimy wydawały się toporne, ale widać było, że autor się uczył. Uświadomiłem sobie, że te zapiski mogą posłużyć mi jako punkt wyjścia do rozszyfrowania części słów tego języka.

Alanga. Widywałem ich pomniki, niektóre artefakty, ale nigdy książki. Powinienem spróbować ją sprzedać. Pieniądze przydałyby mi się na spłacenie kolejnych długów, zakup zapasów. Co mnie obchodziły te tajemnice? A jednak nie potrafiłem zaprzeczyć, że to odkrycie coś we mnie przebudziło, przypomniało mi o godzinach spędzonych na nauce w Akademii, o satysfakcji płynącej z rozwiązania problemu.

Byłem przemytnikiem. Nie nawigatorem.

Czy Gio wiedział o sekretnym pokoju?

Zatrzymał się gwałtownie przed paleniskiem, obrócony do mnie plecami. Mephi potruchtał dalej, żeby zebrać u kucharza o skrawki ryb. Pozwoliłem mu na to, choć zjadł już potężne śniadanie. Gio obrócił się na jego widok i skrzyżowaliśmy spojrzenia.

– Już nie śpisz. Dobrze – powiedział.

Rozłożyłem ręce.

– Na to wygląda. Choć to może być sen.

– Nie sen. Koszmar.

– Twój czy mój?

Gio podrapał się po skroni, spoglądając zmrużonym okiem w ogień.

– Zeszłego wieczora wysłałem zwiadowczynię, żeby zebrała trochę informacji o pałacu i najlepszej trasie do pokoi gubernatora. Nie wróciła. Potrzebujemy tej wiedzy, jeśli chcemy osiągnąć nasze cele i nie dać się złapać.

Zanim zdążyłem uformować inną myśl, Mephi dopadł moich stóp, chrupiąc rybią głowę. Obserwował mnie lśnącymi czarnymi oczyma.

– Wyślij kogoś innego – zaproponowałem.

– Widziałeś cierpiących na chorobę odłamkową. Nie mamy nieskończonego zapasu szpiegów.

Mephi obrócił łeb ryby w łapkach.

– Pomogę.

Zmierzyłem go morderczym spojrzeniem. Akurat teraz...

– Co? – Gio obrócił się, mrużąc oko. Popatrzył najpierw na mnie, później na Mephiego i znów na mnie.

Ostatnim, czego potrzebowałem, to by ktokolwiek domyślił się, że stworzenie potrafi mówić. Wypędziliby mnie z wyspy. Jedyne gadające istoty z opowieści były złe.

– Powiedziałem, że pomogę – rzekłem

– Pomożesz? – Gio zmierzył mnie wzrokiem od stóp do głów.

Westchnąłem w duchu. Tak to się zaczynało – zgadzasz się naprawić komuś dach, a zanim się zorientujesz, już budujesz mu nowy dom.

– Powiedz mi, dokąd ją wysłałeś i jakie informacje miała uzyskać. Poszukam jej i zbiorę dane. I nie oznacza to, że chcę dołączyć do Bezkostnych, a tylko że chcę jak najszybciej wyruszyć w drogę.

Przez chwilę się zastanawiał, a później westchnął.

– Nie mam większego wyboru. Miała w mieście osobę kontaktową. Żołnierza, który jest po naszej stronie. Schodzi ze zmiany po południu. Pewnie znajdziesz go w pijalni koło portu. Powiedz mu, że ryby były dziś nerwowe, użyj konkretnie tych słów. W tamtej pijalni podają smażoną kałamarnicę, wyczujesz ją wcześniej niż zobaczysz.

– A skąd będę wiedział, że to ten mężczyzna?

– Siada przy stoliku w rogu. Gość w średnim wieku.

Uniosłem brwi.

– Ma jakieś imię?

– Nie uznał, że bezpiecznie byłoby je nam podać.

Kradzież wydawała się mniej skomplikowana. Wejść bez czegoś, wyjść z tym czymś. Skinąłem głową.

– Pójdę od razu.

Odwróciłem się do wyjścia, ale zatrzymał mnie głos Gio:

– Nie możesz zabrać go ze sobą.

Potrzebowałem chwili, żeby zrozumieć, o co mu chodzi. Mephi. Tak bardzo przywykłem do jego obecności, że nie przyszło mi do głowy, że nie może zawsze mi towarzyszyć.

– Przyciągałby uwagę – wyjaśnił Gio, gdy obróciłem się znów do niego. – Zdobyłeś określoną reputację. A twój pupil jest niezwykły. Może i nie wspominają o nim w piosenkach, ale plotki to co innego. Spotkam się z tobą przy wejściu. Obcięcie włosów po tym, jak cesarstwo rozwiesiło twoje portrety, było dobrym posunięciem, ale możemy ucharakteryzować cię nieco bardziej, w razie gdyby ktoś widział te plakaty gdzieś indziej. Tutaj jest ich mniej.

Miał rację, choć niezbyt mi się to podobało.

Buntownicy umieścili mnie w pokoju niedaleko głównej jaskini. Został wycięty w skale tak starannie, jakby odlano go z formy. Na stropie znajdowała się płaskorzeźba przedstawiająca kobietę w powłóczystrych szatach z wirującą kulą unoszącą się nad jej lewą dłonią i wodą spływającą strumieniem silnym jak wodospad z prawej. Z tyłu widniała góra, którą artysta wyrzeźbił tak, aby robiła równie imponujące wrażenie jak postać – wysoka i poszarpana, u szczytu zwieńczona czymś wyglądającym jak jałowiec chmurowy. Mała lampka w rogu rzuciła gniewne cienie na twarz kobiety.

Wzbudzała lekką grozę, gdy spoglądała na mnie z góry, kiedy próbowałem spać.

Mephi szturchnął moją dłoń głową. Gdy się wyprostował, sięgał mi już niemal do pasa, co nie dziwiło – widziałem, ile potrafił zjeść każdego dnia. Jeśli utrzyma takie tempo, za kilka miesięcy osiągnie rozmiary małego kucyka. Sierść na wybrzuszeniach na jego głowie zupełnie się już wytarła, zostawiając plamy ciemnej, lśniącej skóry.

– Powinienem pójść z tobą – rzekł.

Wpatrywałem się w niego w osłupieniu.

– Mówisz teraz pełnymi zdaniami?

– Czasami? – Oparł się o moją nogę i popatrzył na mnie czarnymi oczyma wyglądającymi jak wypolerowane rzeczne kamienie. – Powinienem być z tobą.

– Jeszcze tylko dziewięć dni i znów wypłyniemy. – Podrapałem go po policzkach. – Znajdziemy się na Bezkresnym Morzu i będziesz mógł łapać ryby przy burcie.

Westchnął ciężko – tak, jak mógłby westchnąć mąż, gdy żona powiedziała mu, że na dobre skończyła żeglować w burzy, ale zaraz po tym wpłynęła w kolejną. Pokręcił głową i zaczął rozgrzebywać koce.

– Dobrze ci idzie, ale jesteś sam. Sam to złe. Żle to niedobre. – Wygrzebał norkę w kocach i ułożył się w niej, nakrywając nos ogonem. Przecież dopiero co się obudziliśmy. Znowu był zmęczony? – Ja jestem sam.

Wyglądał na tak przybitego, że nie potrafiłem go nie pożałować. Ukląknłem i ująłem jego głowę. Była teraz równie ciężka jak u psa, ale z szerszą, mocno umięśnioną zuchwą. Ugryzienie, którym poczęstował tamtą cesarską żołnierkę, musiało ją mocno boleć. Duma wypełniła mi pierś. Sporo przeżył, odkąd był tamtym obszarpanym kociakiem, którego wyłowilem z wody.

– Nie narzucaj się kucharzowi. Wrócę wieczorem.

Poklepałem go ostatni raz po głowie i wyszedłem, zanim znów zaczął mnie błagać, bym został. Ranami stała na korytarzu z arkuszem papieru w dłoniach. Podśledzała moją rozmowę z Mephim? Wszędzie tutaj drzwi wykonano z kamienia, a ona nie patrzyła na mnie tak, jakby nas słyszała.

– Proszę – powiedziała, podając mi papier. – To mapa. Musisz wiedzieć, jak dostać się stąd do miasta. Wybierz dłuższą trasę i nie przyprowadź nikogo do nas. Gio czeka na ciebie. – Wydawała się poruszona. Dłońmi wygładziła przód sukienki, gdy tylko wzięłam od niej mapę.

Zawahałam się.

– Coś nie tak? – Nie powinienem pytać, bo mogłoby to oznaczać, że jest mi jej żal, a wtedy mógłbym zaoferować pomoc. Miałem dość pomagania. Emahla była gdzieś tam i minęło już siedem lat.

Zamknęła na chwilę oczy, pokręciła głową.

– Wszystko w porządku. Będzie w porządku, jeśli zrobisz to, co obiecałeś. Lepsi ludzie niż ty padali ofiarami szpiegów i konstruktów. Uważaj na siebie.

– Zaczekaj – powiedziałem, zanim odeszła. – Chodzi o Mephiego, mojego zwierzaka. Czy mogłabyś go obserwować pod moją nieobecność? Pilnować, żeby jadł wystarczająco dużo? Ostatnio jest bardziej głodny niż zwykle.

Jej oblicze złagodniało. Może i mnie nie lubiła, ale niewiele osób nie lubiło Mephiego.

– Wydaje się być bardzo do ciebie przywiązany. Postaram się.

Gio czekał na mnie w pobliżu wejścia otulony płaszczem, z brodą niemal schowaną pod okryciem i skórzaną torbą u boku. Wyglądał, jakby składał się tylko z jednego ciemnego oka i blizny.

– Życzę szczęścia – rzekł do mnie.

– Nie potrzebuję szczęścia – odparłem, machając lekceważąco dłonią. – Potrzebuję umiejętności.

– „Życzę umiejętności” nie brzmi równie dobrze. Zresztą i tak nie mógłbym ci ich życzyć.

Znieruchomiałem i czekałem, gdy nakładał mi na twarz specjalny kit, żeby zmienić kształt mojego nosa.

– Ten bunt. Toczyście grę, w której macie mizerne szanse – powiedziałem. – Planujecie wygrać czy też tylko utrudnić życie przeciwnikowi, zanim nadejdzie wasz koniec?

– Gram wyłącznie po to, żeby wygrać. – Skupił wzrok na nasadzie mojego nosa i wcisnął kciuk w pobliżu oka. – I wygramy. Cesarz się izoluje. Umiera, a jego córki nikt tak naprawdę nie zna. Jak myślisz, co się wydarzy, gdy on umrze? Co się stanie ze wszystkimi konstruktami rozproszonymi po wyspach? Stracą wszelki cel. A rebelia będzie wtedy mogła pozbierać szczątki.

– Ale naprawicie to, co jest zepsute?

– Zbudujemy coś nowego. Koniec z Festiwalami Trybutu, koniec z cesarzem. Wolność handlu i przemieszczania się pomiędzy wyspami – oznajmił Gio. – I koniec gubernatorów, tylko rada złożona z przedstawicieli wszystkich znanych wysp. – Wyciągnął kilka słoiczków, popatrzył na moją twarz, zmieszał parę kolorów, po czym rozsmarował mi je na nosie.

– A co się stanie, gdy to wszystko już nastąpi?

– Założę gdzieś gospodarstwo i dożyję na nim końca swoich dni. Nie chcę być cesarzem, jeśli nad tym się zastanawiałeś. Pełnię tylko rolę akuszerki dla czegoś nowego.

Jego słowa brzmiały jak przećwiczone, wypowiedane po raz tysięczny. Potrafiłem rozpoznać kłamcę. Widziałem go za każdym razem, gdy spoglądałem

w lustro. A teraz, gdy patrzyłem na ocalałe oko Gio, miałem wrażenie, jakbym wpatrywał się w zwierciadlaną powierzchnię jeziora w bezwietrzny dzień.

Napotkał mój wzrok.

– Dlaczego tak się tym przejmujesz? Jesteś przemytnikiem. Nie żyjesz w tym społeczeństwie, tylko na jego uboczu.

Odbijał moje pytanie, próbował skłonić mnie, żebym przeszedł do defensywy. Znałem te sztuczki.

– A jak wybierzemy tę radę, Gio? Owszem, jest tyle osób, które nienawidzą cesarstwa, które nienawidzą każdego, kto ma z nim coś wspólnego, ale jak skłonimy wszystkich, żeby połączyli się we wspólnym celu? Czy to ty będziesz tym, który uleczy te rany? Jak to zrobisz z tego swojego spokojnego gospodarstwa? Sukaiowie kiedyś uważali, że uleczyć rany zadane przez Alanga.

Wyglądził mój skórzany kaftan i przyjrzał się swojej robocie. Skinął głową, wyraźnie zadowolony.

– Trzymaj. – Z torby u boku wyciągnął słomiany kapeluszyk i podał mi go. Najwyraźniej wybiegał myślą nieco dalej niż ja. – Zrób to, do czego się zobowiązałeś. Mógłbym ci powiedzieć, co zrobię, bo potrafię wygłaszać piękne mowy, ale liczą się czyny. Idź.

Najlepsze intencje mogą zostać podkopane przez chciwość. Jeśli zaś odsunąć na bok wyćwiczone przemowy, Gio był takim samym człowiekiem jak większość, których znałem. Miał wybrakowane serce. Jak wszyscy. Po prostu nie wiedziałem, czego mu brakowało. Ale poszedłem. Nie była to moja walka. Nie byłem jednym z nich. Połykałem ich kłamstwa tak, jak tonący marynarz łyka morską wodę.

Emahlo, to dla ciebie. Wypiłbym tysiąc kłamstw, żeby tylko znów ujrzeć twoją twarz.

Użyłem mapy, żeby obejść las i dostać się do drogi, a jednocześnie wpatrywałem charakterystycznych punktów, które widziałem w drodze tutaj. Mimo to wszystko wydawało się inne niż jeszcze kilka dni wcześniej. Gdzieś w lesie zaryczał jaguar, sprawiając, że podskoczyłem. Gdy podrapałem się po swędzącym czole, dłoń po cofnięciu okazała się mokra od potu. Choć nie chciałem tego przyznawać, Mephi miał rację.

Samotny to niedobre.

Udało mi się jednak dotrzeć do drogi i do miasta przed południem. Dzieci biegały po ulicach, szukając czegoś zdatnego do zjedzenia w odpadkach kuchennych wyrzuconych z okien minionej nocy. Miały na sobie łachmany i wyglądały na równie zdesperowane, jak głodne szczury. Parę z nich zerkało na mnie, jakby uważały, że mogą znaleźć u mnie coś wartego zabrania, gdyby tylko zaatakowały równocześnie. Na naszej małej wyspie nie mieliśmy miast na tyle dużych, by załęgłi się w nich ulicznicy. Wszelkie niechciane dzieci były szybko przygarniane przez rodziny, które mogły się nimi zaopiekować.

Widywałem już wcześniej, jak tłoczą się w zaułkach, ale nie sądziłem, że jest to widok, do którego kiedykolwiek się przyzwyczaję. Gio pomagał osobom cierpiącym na chorobę odłamkową. Czy byłby też gotów zrobić coś dla sierot? Rzuciłem im kilka monet i przyspieszyłem kroku. Bardziej obawiałem się, że mógłbym je skrzywdzić, niż że stałoby się odwrotnie.

Usłyszałem za sobą dziwny odgłos – sierota pochylająca się, żeby zebrać monety? – i przypomniałem sobie słowa Ranami. Gdy obejrzałem się przez ramię, dostrzegłem jedynie bruk. Jeśli nawet ktoś tam przed chwilą był, przemieszczał się

szybko. Mocniej ścisnąłem łaskę i poczułem pulsowanie w kościach. Nie musiałem się obawiać, nawet jeśli nie miałem przy sobie Mephiego. Kobieta wysłana przez Gio szła tą samą ścieżką, ale nie miała mojej siły.

Nie przeżyłbym jednak tak długo jako przemytnik, gdybym lekceważył swoje instynkty. Skręciłem w boczną uliczkę, zobaczyłem grupkę rybaków idących na targowisko od portu i wślizgnąłem się w środek ich grupy.

– Przynajmniej mamy łodzie – powiedziała jakaś kobieta do mężczyzny obok. – Jeśli to się stanie tutaj, będziemy mieli szansę uciec.

Potrzebowałem chwili, by uświadomić sobie, że rozmawiają o Jeleniej Głowie.

– Myślisz, że to ma znaczenie? – odparł jej rozmówca. – Mogłabyś zostać przygnieciona w łóżku albo nie zdążyłabyś odcumować łodzi. Chciałbym się dowiedzieć, dlaczego tak się stało. Jak z powodu wypadku w kopalni mogło dojść do zatonięcia całej wyspy?

Ich zapach skojarzył mi się z ojcem, a człowiek obok mnie wyglądał nawet tak, jakby miał w sobie trochę poyerskiej krwi. Był niższy oraz bardziej rumiany niż jego towarzysze i sama jego obecność w pobliżu jeszcze bardziej przypomniła mi ojca. Niemał oczekiwałem, że za chwilę zaczniesz mamrotać jakieś przypadkowe fakty o rybach, żaglach czy morskiej wodzie. Ojciec urodził się poza granicami cesarstwa, w górach wysp Poyer. Nie pobrano od niego odłamka. Bezkresne Morze przyzwalo go jednak, gdy wyspy Poyer zapuściły się w pobliże cesarstwa, i lubił mawiać, że gdy spotkał moją matkę, wiedział już, że nigdy nie wróci w góry. Mężczyzna odsunął się ode mnie, burząc iluzję.

Będę musiał dojść do pijalni okrężną drogą.

Powinienem iść szybciej, ale się nie spieszyłem. Cieszyłem się tym, że znowu przebywam pod otwartym niebem, z dala od ciemnych korytarzy kryjówek Bezkosstnych. Morska bryza łaskotała mnie w skórę głowy, z oddali dobiegały nawoływania ptaków. Gdyby Mephi tu był, kręciłby mi się pod nogami i prosił, żebym kupił mu jakiś smakołyk, który wyniuchał. Zatrzymałem się w kilku miejscach, żeby zerknąć za siebie. Jeśli ktoś mnie śledził, to już zniknął.

W końcu dotarłem okrężną trasą do pijalni. Schodki prowadziły do wąskich drzwi, a z daszku wyższego piętra kapąca woda. Jak zapewnił Gio, dochodzące ze środka powietrze niesło silną woń oleju i ostry zapach smażonej kałamarnicy. Położyłem dłoń na kłamce i nagle coś mnie skłoniło, żeby zerknąć w lewo.

Na ulicy siedział konstruktor i obserwował mnie.

Widywałem już konstrukty szpiegowskie – małe istoty o czujnym spojrzeniu, potrafiące się wspinać. Ten tutaj wyglądał, jakby wykonano go z elementów myszy i ptaka, miał małe pazurki, które drapały kamień, gdy biegł.

Kit maskujący mój nos wciąż znajdował się na miejscu, choć nie przeszkodziło mi to upewnić się jeszcze raz. Wszedłem do pijalni, zanim zdążyłem się rozmyślić. Mężczyzna przy kontuarze ledwo na mnie zerknął, gdy zamówiłem talerz smażonej kałamarnicy. Rozejrzałem się po stolikach. Dostrzegłem je w trzech rogach, z czego przy dwóch siedziało tylko po jednej osobie – w obu przypadkach umundurowani mężczyźni w średnim wieku.

Nie przychodziła mi do głowy wystarczająca liczba przekleństw, którymi chętnie obrzuciłbym Gio.

Czekając, przyglądałem się mężczyznom. Obaj byli Cesaryjczykami czystej krwi, o prostych czarnych włosach przetykanych siwizną. Na moich oczach niemał jednocześnie unieśli kufle do ust. Nie pomagali mi. Szukałem innych szczegółów.

Uniform tego po lewej był lekko pognieciony, a buty oznaczone rysami. Ten po prawej wyglądał, jakby zdążył bardziej się opalić.

– Proszę bardzo. – Człowiek zza kontuaru podał mi talerz, na którym wysoko piętrzyły się kawałki kałamarnicy smażonej w cieście. Sprawdziłem cenę i podałem mu kilka monet.

Musiąłem zająć jakieś miejsce, chyba że chciałem się wyróżniać.

Poprawiłem kapelusz otrzymany od Gio, czując, jak rondo drapie mi czoło. Kupiło mi to tylko chwilę. Co właściwie wiedziałem? Nasz informator znał najlepszą drogę do komnat gubernatora. Sympatyzował ze sprawą. Skoro mężczyzna po prawej wydawał się bardziej opalony, to zapewne spędzał więcej czasu na dworze. Czyli strażnik z murów? Albo od bramy? Pognieciony mundur i podrapane buty tego z lewej wskazywały na mniejszy majątek i potrzebę oszczędzania.

Jeśli popełnię błąd, może okazać się on fatalny w skutkach. Nie dla mnie, bo zdołam wywalczyć sobie drogę ucieczki, ale dla wszystkich Bezkostnych z jaskini. Odetchnąłem głęboko, przeszedłem w róg i usiadłem przy stoliku człowieka po lewej. Zerknął na mnie znad kubka i zmarszczył brwi.

– Ryby były dzisiaj nerwowe – powiedziałem, jakby to wszystko wyjaśniało.

Nie wydawał się przyjazny. Zaś kałamarnica na talerzu nie sprawiała już wrażenia smakowitej.

Nagle wyciągnął dłoń i wziął kawałek z mojej porcji.

– Już ci mówiłem, że wykorzystujesz śmieci na przynętę. Co tam u twojej siostry?

„Wiem, dlaczego tu jesteś”, mówiła jego udawana zażyłość.

Poczułem ulgę, która sprawiła, że przestałem napinać grzbiet i usiadłem wygodniej. Znałem kroki tego tańca, więc zabrałem się do nich.

– Ledwo ze mną rozmawia – odparłem. – Skąd mam wiedzieć? Widywałaś ją ostatnio?

– Kapryśna kobieta. Wiesz, co o niej myślę. Zaprosiłem ją, żeby napiła się ze mną w tym miejscu. Zgodziła się, ale nie przyszła.

Ścisnęło mnie w piersi, ale chwyciłem kilka kawałków kałamarnicy, żeby ukryć wyraz twarzy. Zwiadowczyni wysłana przez Gio nie dotarła tu. Nie ośmieliłem się rozejrzeć po sali, by sprawdzić, czy drugi strażnik nas obserwuje, ale zerknąłem na belki pod dachem w poszukiwaniu konstruktorów szpiegowskich, gdy wsuwałem kasek do ust. Nic.

Gadaliśmy o niczym dłużej, niż mi się podobało, ale zakładałem, że musimy utrzymać pozory. W końcu tamten wyciągnął z kieszeni zwój papieru.

– Po naszej ostatniej rozmowie pomyślałem, że to ci się przyda. Jak obiecałem, masz tu przepis mojej matki na przynętę. Nigdy nie zawodzi. Jutro rano ryby same będą ci wskakiwały do łodzi.

– Dzięki – odparłem, po czym wziąłem zwój i wsunąłem go do sakiewki. Nie byłem tak głupi, żeby teraz mu się przyglądać.

– Powiedz tylko siostrze, że wciąż mam ochotę się z nią napić, jeśli znów ją zobaczysz.

– Tak zrobię. – Podniosłem się i ruszyłem do drzwi. Powietrze na zewnątrz wydawało się świeższe i wypełniłem nim płuca. Łatwiej było mi działać jako przemytnik, gdy na szali leżało tylko moje życie. Zawsze przejmowałem się bardziej niż powinienem.

Wykonałem dwa kroki, gdy ktoś chwycił mnie za ramię. Zanim zdążyłem zareagować, coś ściągnęło mnie ze schodów i porwało do zaułka sąsiadującego z pijalnią. Dopiero po chwili zdałem sobie sprawę, że nie jest to ludzka dłoń.

Pazury wbiły mi się w ramię, a ból odpowiedział, że przebiły skórę.

Wstrząśnięty umysł rejestrował: pożółkłe zęby, żółtawe oczy, wyleniała ciemna sierść. Powiew piźmowej zwierzęcej woni. Niski, gardłowy pomruk. Konstrukt.

Sięgnąłem do pulsowania w kościach, szukając w sobie siły potrzebnej do strząśnięcia z siebie stwora. Chciałem zatrząść ziemią. Puls dudnił mi w uszach, ale kości milczały.

Nic.

Zostałem sam.



31

Lin

Wyspa Cesarska

Balansowałam na dachu, wpatrując się w dziedziniec i żałując, że nie potrafię przeniknąć wzrokiem kamieni brukowych. Legowisko Ilith leżało gdzieś pod trzewiami pałacu. Całkiem sporo czasu zajęło mi rozgryzienie sprawy. Najpierw poszłam na dziedziniec, gdzie obserwowałam, jak małe konstrukty szpiegowskie jeden po drugim wskakują do niewielkiego otworu za głazem. Podeszłam tam, patrzyłam w dziurę, nasłuchiwałam przy niej, nawet świeciłam tam lampą w nocy, gdy miałam pewność, że nikt mnie nie obserwuje. Żadna z tych prób nic mi nie dała. Nie byłam w stanie skurczyć się, żeby podążyć za szpiegami do ich pani. A przecież ojciec nie pozwoliłby, żeby Ilith pozostawała zupełnie niedostępna. Zdarzało się, że znikał i nawet Bayan nie wiedział, gdzie przebywa. Gdybym dowiedziała się, dokąd wtedy szedł, odnalazłabym siedzibę Ilith. Byłam tego pewna.

Zatem wysłałam mojego własnego małego szpiega.

Musiało minąć pięć dni, żebym odkryła, do których drzwi poszedł ojciec, a później kilka następnych, by dowiedzieć się, którego klucza w nich użył. Po paru kolejnych dniach miałam już ten klucz w dłoni, a później zaległ mi ciężko w kieszeni

szarfy. Był żelaznym paskudztwem. Nigdy nie skojarzyłam go z drzwiami z jałowcem chmurowym.

Ale mój konstrukt nie potrafił kłamać.

Przeszłam wokół dziedzińca w stronę bramy pałacu. Gdzieś pode mną leżał pokój Bayana. Wciąż nie byłam pewna, czy on żyje, czy też jest martwy, a ojciec nic nie mówił. Za każdym razem, gdy natykałam się na ojca w korytarzach, zastanawiałam się, czy będę następną, czy zaciągnie mnie dokądś i roztopi mi ciało. Im szybciej skończę przepisywać konstrukty, tym lepiej. Przygryzając wargę, podkradałam się naprzód. Dachy były śliskie – normalny stan w porze deszczowej. Droga powrotna, gdy będę zmęczona, może okazać się niebezpieczna.

Mimo wszystko bez przeszkód znalazłam się w mieście. Sklepy i warsztaty zamykały się, a ludzie spieszyli ulicami, pragnąc wrócić już do domów. Nikt nie zwracał na mnie uwagi. Dotarłam do zakładu Numeena najszybciej jak mogłam.

Warsztat wciąż był otwarty, a kowal obsługiwał klienta i zapisywał jego zamówienie. Przyzwoitość kazała mi zaczekać, ale miałam klucz do legowiska Iliith i zostało mi niewiele czasu.

– Potrzebuję klucza – wypaliłam. Kobieta przede mną przyjrzała mi się, ale wciąż wymieniała swoje wymagania.

– Przepraszam, ale czy możesz wrócić jutro? Muszę przyjąć to zamówienie – powiedział do niej Numeen.

Zmarszczyła brwi, prychnęła i opuściła zakład.

– Ten klucz – rzekłam, wyciągając go z kieszeni szarfy. – Czy mógłbyś dorobić go teraz, a ja poczekam? Ile to zajmie?

Długo mi się przyglądał, aż poczułam się tak przyszpilona jego spojrzeniem, jak pod wzrokiem ojca. Gdy czułam już, że na twarz wychodzi mi rumieniec, ustąpił i zabrał klucz z mej dłoni.

– Mógłbym, ale ile masz czasu? To nie powinno długo zająć. Sam klucz jest dość prosty.

– Niewiele. Może nieco dłużej niż zwykle.

– Uda mi się. – Obrócił się i zebrał narzędzia.

Gdy widziałam go po raz ostatni, umykałam właśnie z jego domu. Nie byłam pewna, co powiedzieć na ten temat. Nie mogłam przeprosić za to, kim byłam ani co musiałam robić. Członkowie jego rodziny widzieli, jak praktykowałam magię kości. Uświadomili sobie, kim jestem. Ale ojciec niczym się nie zdradził. Nawet nie spoglądał na mnie w inny sposób. Cokolwiek powiedzieli sobie po moim zniknięciu, nie zdradzili nikomu moich sekretów. Zatem postanowiłam spróbować innego podejścia.

– Dziękuję ci – rzekłam, gdy Numeen wyciągnął formę z szuflady – za kolację i za czas, jaki spędziłam z twoją rodziną. Nie mam czegoś podobnego na co dzień. – Nie byłam pewna, jak to wytłumaczyć. Kolacje z moją rodziną były jak zamykanie się w pałacowej chłodni. Natomiast wieczerza w domu Numeena przypominała ciepło płonącego kominka w deszczowy dzień.

Obrzucił mnie długim, nieodgadnionym spojrzeniem.

– Wystraszyłaś ich.

Chciałam się roztopić, zapaść pod podłogę.

– Nie miałam większego wyboru.

Odwrócił się do mnie szerokimi plecami. Skóra z tyłu jego głowy zmarszczyła się jak ciasto w trakcie ugniatania, gdy wciskał klucz do formy.

– Wiem. To było konieczne. – Pracował w milczeniu, a ja czekałam, rozmyślając o muralu w pałacowym przedsionku z milczącymi Alanga, przypominającym, co Sukaowie robili swoim wrogom. Nie potrafiłam już sobie wyobrazić, jak mógłby postąpić ojciec, gdyby mnie przyłapał. Wcześniej sądziłam, że wygnałby mnie – i po tym, jak kroczyłam ulicami wśród mieszkańców, jak jadłam w domu Numeena kolację, ta perspektywa nie wydawała się taka straszna. Gdy jednak zobaczyłam, co stało się z Bayanem, nie miałam już pewności, czy byłaby to moja jedyna kara.

Nie wiedziałam, jakie mroczne eksperymenty ojciec przeprowadzał w trzewiach pałacu, ale mogłam stać się ich obiektem. Maszyna pamięci. Zastanawiałam się, czy już nim nie jestem.

Numeen obsługiwał miech, iskry leciały z ognia niczym rozjarzone pyłki kurzu. Włań rozgrzany do białości metal do formy. Odczekał, aż się schłodzi, po czym szczypcami wyciągnął nowy klucz. Syk, jaki rozległ się, gdy włożył go do wiadra z wodą, niemal zagłuszył jego następne słowa. Para uniosła mu się wokół stóp, przez co wyglądał niczym demon wezwany, by wypełnić czyjeś polecenie.

– Czy znalazłaś mój odłamek kości?

Spodziewałam się tego, a jednak jakaś część mnie zawsze liczyła na to, że zapomni.

– Nie znalazłam. – Słowa te wydawały mi się na języku gęste i ciężkie. Przeknęłam ślinę, czując pustkę w piersi.

Numeen wziął klucz w palce i przyjrzał mu się, porównując go z oryginałem.

– Spróbuj nie przejmować się strachem mojej rodziny. Twój ojciec mówi, że zapewnia nam wszystkim bezpieczeństwo i być może trzeba nieprzyjemnej osoby, żebyśmy wszyscy byli bezpieczni. Ale moja matka zmarła, gdy byłem tylko chłopcem, wysączona przez konstrukt działający pod rozkazami twojego ojca. Mój kuzyn również zmarł, jeszcze jako młodzieniec. Niektóre z konstruktorów spalają swoje paliwo szybciej niż inne. My wszyscy... – odłożył oryginalny klucz na ladę i dotknął blizny za uchem – ...zastanawiamy się, kiedy to przydarzy się nam. Czy nam się przydarzy. Czy opuścimy nasze rodziny, naszych małżonków, nasze dzieci. Gdy zostaniesz cesarzową, proszę, bądź lepsza niż on. – Położył nowy klucz obok starego. – Może być nieco niewyrobiony, ale jeśli podczas obracania będziesz nim lekko poruszać, zapadki powinny wskoczyć na miejsce. Nic lepszego nie mogłem zrobić w tak krótkim czasie.

Wzięłam oba klucze i wcisnęłam je do szarfy. Musiałam wyjść, musiałam znaleźć się znów w pałacu, zanim ojciec wróci do swojego pokoju. Miałam jednak wrażenie, że stopy wrosły mi w podłogę warsztatu Numeena. Ojciec często mówił o tym, co niezbędne, co konieczne. Wszystko, co robił, określał jako konieczne.

Ja też to robiłam. Użyłam odłamka, żeby zasiłić rozkaz, który umieściłam w Uphilii. Zostawiłam odłamek Numeena w posiadaniu Bayana. Nie zdołałam pomóc Bayanowi, gdy potrzebował tego najbardziej. Nie miałam wyboru, a przynajmniej tak mi się wydawało. Numeen ryzykował wszystkim, żeby mi pomóc, również swoją rodziną. A ja nie zdecydowałam się zabrać Bayanowi odłamka Numeena i zaryzykować, że zostanie przyłapaną.

Może to wcale nie Bayan był tak podobny do ojca, tylko ja.

– Bałam się – wypaliłam, zanim zdążyłam się powstrzymać. – Chodzi o twój odłamek. Jest w posiadaniu przybranego syna mojego ojca. Gdyby się dowiedział, że go zabrałam, mógłby poinformować ojca.

Numeen popatrzył na mnie tak, jak mógłby spoglądać na dziecko, które go rozczarowało.

– Ale wiesz, gdzie on jest.

– Tak. – Spuściłam wzrok i poczułam, jak serce podchodzi mi do gardła. Czego teraz ode mnie zażąda?

Nie skarcił mnie ani na mnie nie nakrzyczał. Jego osłonięte sandałami stopy przesunęły się po podłodze warsztatu.

– Powinnaś wrócić do pałacu, zanim twój ojciec odkryje brak klucza.

Mój ojciec, którego wszyscy się bali. Ten strach wymuszał moje posłuszeństwo. Wymuszał posłuszeństwo Bayana. Wymuszał posłuszeństwo wszystkich.

Ale pamiętałam też strach, który widziałam w jego oczach za każdym razem, gdy siadywaliśmy razem w sali jadalnej i mnie wypytywał. Tyle czasu spędzał na swoich eksperymentach, odizolowany od innych wysp. Tyłu służących nieustannie obserwował. Rządził strachem, ale i sam był rządzony przez strach.

Choć tak desperacko pragnęłam jego aprobaty, choć tak desperacko pragnęłam od niego uprzejmego słowa, nie chciałam być taka jak on. Nie dam się rządzić strachowi.

– To kłamstwo, które ci powiedziałam... tak właśnie postąpiłby mój ojciec. – Pokręciłam głową, jakbym nie mogła otrząsnąć się z poczucia winy. Lecz to właśnie poczucie winy przypominało mi, kiedy wykonałam niewłaściwy krok. Jedyne, co teraz mi zostało, to go naprawić. Napotkałam wzrok Numeena. – Nie będę taka jak on. Gdy przyjdę tu następnym razem, przyniosę twój odłamek. Oraz odłamki twojej rodziny, nawet jeśli ściągnę to na mnie ryzyko. Znajdę inne sposoby, żeby chronić mieszkańców cesarstwa. Przysięgam na niebo, gwiazdy i samo Bezczesne Morze.

Za plecami kowala trzaskał ogień, jakby żar przypieczerowywał moją obietnicę. Numeen przyłożył dłoń do piersi, a potem się skłonił.

– Pomyślnych wiatrów, cesarzowo.

Pobiegłam z powrotem do murów pałacu na stopach równie lekkich jak moje serce.

Wróciłam na czas. Bing Tai jedynie zerknął na mnie ze swojego miejsca na chodniku w komnatach ojca, a później zdołałam wymknąć się przez drzwi tak, żeby nikt nie zauważył. Przeszłam do swojego pokoju okreśną drogą, by minąć drzwi Bayana, jak to czyniłam kilkakrotnie w ostatnich dniach.

Ojciec wciąż nie odpowiadał na pytania na jego temat, poza zapewnieniami, że chłopak odpoczywa. Nigdzie w pałacu jednak nie widziałam Bayana, a jego pokój pozostawał zamknięty.

Słyszałam Mauge w jego legowisku, sapiącego, gdy układał się do snu. Kawalek dalej zatrzymałam się pod drzwiami Bayana. Podeszłam cicho i przycisnęłam do nich ucho, by sprawdzić raz jeszcze.

Nic.

– Szpiegujesz mnie?

Serce podskoczyło mi do gardła. Obróciłam się i ujrzałam Bayana – całego i zdrowego, stojącego na korytarzu ze skrzyżowanymi ramionami.

Żył i w jakiś sposób mnie to zaskoczyło. Zarzuciłam mu ręce na szyję. Ulga sprawiła, że zachowałam się lekkomyślnie.

– Wyzdrowiałeś!

Bayan zeszywniał. Odchylił ręce na boki, jakby nie miał pewności, co z nimi zrobić.

– Miałem gorączkę – rzekł. – Na pewno nie był to kaszel bagienny. Co się z tobą dzieje?

Cofnęłam się, czując gęsią skórę na rękach.

– Myślałam, że nie żyjesz. Bayanie... – Urwałam, nieprzekonana, czy powinnam go tak nazywać. Czy to wciąż był on?

Wywrócił oczyma.

– Nie uważasz, że to nieco nazbyt dramatyczne?

Cóż, charakter mu się nie zmienił.

– To nie była tylko gorączka i nie przekonasz mnie o tym. Praktycznie się rozpuszczałeś. Bayanie, skóra łuszczyła ci się pod oczyma!

Wpatrywał się we mnie nieufnie.

– To ma być jakaś sztuczka? – spytał. – Próbujesz mnie szpiegować?

Również na niego spoglądałam. To było jak patrzeć na ducha – bo nie był to Bayan sprzed kilku dni. Tamten Bayan złagodniał, przyszedł do mnie po pomoc. Natomiast teraz miałam przed sobą Bayana zachowującego się tak, jakby nic się pomiędzy nami nie zmieniło.

– Nie pamiętasz.

Prychnął drwiąco.

– To nie ja jestem tym, który nie pamięta, zapomniałaś? Odzyskałam wspomnienia. W przeciwieństwie do ciebie.

– Przypomniałam sobie niektóre rzeczy. Zdobyłam kolejny klucz. Pamiętasz to?

Znów jedynie wywrócił oczyma. Część mnie pamiętała, dlaczego tak długo go nienawidziłam, ale inna część wiedziała, że jest to jedynie jego zewnętrzna skorupa, krucha powłoka okrywająca mroczną niepewność.

– Jeden kolejny klucz, co za osiągnięcie! Zamierzasz się ruszyć? Stoisz mi na drodze.

– Co on z tobą zrobił? – Nie byłam pewna, co innego powiedzieć. – Czy to... czy to maszyna pamięci?

Po raz pierwszy, odkąd zaczęliśmy rozmowę, jego szyderczy uśmiezek zgasł.

– Co masz na myśli?

Nie byłam pewna, ile mu zdradzić albo jak to ująć słowami. Jeśli był to ten wcześniejszy Bayan, nie mogłam mu ufać. O wszystkim, co powiem, poinformuje ojca tylko po to, by zasłużyć sobie na jego łaskawość. Nie mógł się jednak tak bardzo różnić od tego Bayana, który pokazał mi jałowiec chmurowy. Postanowiłam zaryzykować.

– Kilka nocy temu przyszedłeś do mojego pokoju. Byłeś... chory. Bardzo chory. Chciałeś, żebym cię ukryła, ale mój ojciec przyszedł i cię zabrał. Od tamtego czasu cię nie widziałam.

Zmarszczył brwi, jakby szukał drzewa w gęstej mgle. Ściągnął wargi, a czarne włosy rzuciły mu cień na twarz. Wyrwał się jednak z tego nastroju równie szybko, jak w niego wpadł. Może i nie pamiętał, a ja mogłam zachować się rozsądniej, ale nie był głupi. Skrzyżował ze mną wzrok.

– Jaki mamy dzień? – spytał.

– Od trzech tygodni jest pora deszczowa. To Dzień Śpiewu.

Poblądł, a po jego twarzy przemknął błysk strachu. Zawsze kroczył po pałacu odkryty pancerzem arogancji. Tak naprawdę nie wiedział tego, co ja – jak to jest nie ufać swojemu umysłowi.

– Myślę, że ojciec coś ci zrobił. Nie wiem co ani dlaczego. – Moim najwcześniejszym wspomnieniem, co do którego miałam pewność, był strop w chryzantemy. Mgła, z której się wybudziłam. Później ocknęłam się na nowo w swoim łóżku i gdy ojciec wyjaśnił mi, co się stało, pomyślałam, że być może wyśniłam sobie ten

strop. Tylko że z biegiem czasu zamiast coraz mniej pamiętać ten sen, nabierałam narastającej pewności, że był prawdziwy.

Zawahałam się, zaraz potem jednak napałam mocniej:

– Widziałeś sufit? Pomalowany w złote chryzantemy?

Jego blada twarz już zupełnie straciła wyraz. Znieruchomiał w taki sposób, jaki widuje się u królików, gdy w pobliżu pojawia się drapieżnik i mają nadzieję, że ich nie zauważył. A później poruszył się, przepchnął obok mnie i wszedł do swojego pokoju.

Zatrzasnął mi drzwi przed nosem.

Nie musiałam pytać ponownie, by wiedzieć: widział go.



32

Jovis

Wyspa Nephilanu

Pazury puściły moją rękę tylko po to, żeby zostać zastąpione przez zęby. Próbowałem oczyścić myśli. Nie znajdowałem się w tak niekorzystnej sytuacji, odkąd leżałem na ulicy twarzą w dół, a nade mną stała Philine ze swoimi sługusami. Znów z desperacją sięgnąłem po moc, która powinna pulsować mi w kościach. I znów siła nie napłynęła do kończyn, znów z ziemi nie dobiegło drzenie. Zapomniałem już, jak to jest obywać się bez tej mocy, nie bać się niemal niczego. Teraz strach wezbrał mi w gardle, dusił mnie.

Trzymałem rękę przed twarzą, nie pozwalając, żeby konstruktor rzucił mi się do gardła. Za jego cielskiem dostrzegłem pod ścianą porwane ubranie i kilka kości. Mogły to być śmieci, ale wiedziałem, że tak nie jest. Odnalazłem zagubioną zwiadowczynię Garstki Bezkostnych.

I jeśli zaraz czegoś nie zrobię, dołączę do niej.

Nie dysponowałem swoją laską ani siłą, ale już wcześniej radziłem sobie bez nich. Zacisnąłem pięść z wysuniętym knykiem i wbiłem go konstruktorowi w oko. Zaryczał i puścił moją rękę. Odskokczyłem w tył. Krew zalała mi rękaw, a na widok znajdującego się pod spodem rozerwanego ciała zemdlilo mnie.

Konstrukt stał między mną a wylotem zaułka. Nie miałem jak wezwać pomocy. Gdyby ktoś mnie uratował, miałbym trudności z wyjaśnieniem, dlaczego stworzenie mnie zaatakowało. Rzuciłem się do szczątków zwiadowczyni z nadzieją, że nosiła przy sobie broń. Konstrukt zareagował niemal jednocześnie.

Moje palce dotknęły kleistej, ciemnej krwi. Strzępków martwego ciała. Rozłupanych kości, z których wyszło szpik. Groza sprawiała, że trzęsły mi się ręce.

Ścisnąłem skórzaną pochwę.

Obróciłem się, zanim jeszcze zdążyłem sprawdzić, co trzymam. Konstrukt zastął tuż przede mną, a z jego gardła wydobył się warkot. Była to żyłasta bestia o przerośniętych szczękach i wyleniającej czarnej sierści. Nie stworzono jej starannie, skóra opinała jej kości niczym stelaż namiotu. Przypominała mi rybę, którą widziałem kiedyś wyrzuconą na brzeg – relikw z głębin, płaski, czarny i najeżony zębami.

Żółtawe oczy przyjrzały się trzymanemu przeze mnie nożowi. Szczerze mówiąc, nie była to zbyt imponująca broń – a raczej coś, czego używa się przy jedzeniu albo bierze na połów ryb. Tymczasem ja dzierżyłem go niczym miecz. Pewność siebie pozwoliła mi jednak wygrać niejedno starcie, nieważne, jak bardzo na to nie zasługiwałem.

Ale konstrukt dał się przekonać tylko na krótką chwilę.

Rzucił się na mnie, odsłaniając zęby. Odskokczyłem w tył, tnąc go przez pysk. Sądząc po widocznych na nim bliznach, nie byłem pierwszym, który spróbował takiej taktyki. Wyglądało na to, że bestia nauczyła się na wcześniejszych błędach. Pochyliła się pod moim niezdarnym atakiem i kłapnęła zębami w stronę mojego korpusu, rozdzierając koszulę. Nie sprawdzałem, czy kły rozorały mi skórę. Wciąż żyłem, ale szybko kończył mi się czas.

Użyj mózgu, Jovisie! Zanim poznałem Mephiego, byłem najlepszym przemytnikiem w całym cesarstwie. Czy gdy posmakowałem siły fizycznej, osłabiło mi to przytomność umysłu? Przecież wcześniejsze starcia z Ioph Carn przetrwałem bez pomocy Mephiego, więc i z tego mogłem wyjść z życiem. Nie byłem w stanie pokonać tego stworza nożem. Musiałem znaleźć jakąś inną broń albo uciec, tymczasem powarkujący nieprzyjaciel blokował mi wylot zaułka. Na chłodnych kamieniach bruku nie dostrzegaliśmy nic innego, czego mógłbym użyć. Znow zamachnąłem się nożem, próbując napiąć ramiona i wyglądać na jak najpotężniejszego. Kościste barki konstruktowi zafalowały, gdy podszedł bliżej.

Poślizgnąłem się, następując tyłem na stertę szczątków kiedyś będących zwiadowczynią Bezkostnych.

Okłamywałem samego siebie. Wciąż istniało coś, czego mogłem użyć. Zaciśnąłem wilgotne od potu palce na obciągniętej skórą rękonożki. Cofnąłem się jeszcze o krok i rzuciłem nim konstruktowi w pysk.

Broń odbiła się od jego głowy, ale nie zamierzałem go nią zabić. Wykorzystałem to, że przez chwilę miał rozproszoną uwagę, żeby pochylić się i porwać rozerwaną szatę martwej kobiety. Następnie zaś, gdy bestia na mnie skoczyła, zarzuciłem mu pelerynę na głowę i zaciśnąłem wokół żyłastej szyi.

Po cesarstwie krąży opowieści, że Poyercyzycy uprawiają zapasy z niedźwiedziami. Chciałbym, żeby te historie były prawdziwe i żebym posiadał biegłość w takim sporcie. Tymczasem wczepiałem się mocno w sierść na barkach stworza, mnąc tkaninę w palcach i próbując przemieścić się za jego plecy, żeby uzyskać pewną kontrolę nad sytuacją. Konstrukt uchylał się i miotał, a spowijający go smród zgniętego mięsa wypełniał mi nozdrza. Nóż leżał na ziemi, tuż poza moim zasięgiem.

Ranna ręka paliła żywym ogniem. Krew spływała mi na palce. Traciłem chwyt. Zupełnie jakby wyczuwając moją słabość, stwór znieruchomiał niczym kot przed atakiem.

Nie. Nie zginę w taki sposób. Nie tak daleko od domu.

Zacisnąłem zęby i szarpnąłem barkiem w lewo, pociągając konstrukt ze sobą. Zatoczył się, a ja zwoleńłem chwyt na chwilę, by podnieść nóż. Zanim zdążył znów mnie ugryźć, wbiłem ostrze tam, gdzie, jak sądziłem, powinno być oko.

Okłapał, a jego mięśnie zwiotczały, gdy klinga weszła w mózg. Puściłem, również mając ochotę lec na ziemi. Wyglądałem strasznie. Miałem potargane włosy i brudne ubranie, a ramię krwawiło mi jak patroszona ryba. W trakcie szarpaniny zgubiłem nakładkę na nos, którą założył mi Gio.

Coś stało się Mephitemu. Myśl ta dudniła mi w czaszce, odbijała się echem w rytm galopującego serca. Musiałem wrócić. Natychmiast. Oderwałem od koszuli rozdarty rękaw i użyłem go do przewiązania rany. Na ramieniu wciąż wisiała mi torba, a w niej informacje, o które prosił Gio. Pamiętałem jednak, że interesował się Mephim. Czy był to podstęp, sposób, żeby mnie tu ściągnąć? Mephi nie chciał zostać sam. Nie chciał, żebym szedł. Czy coś mu zrobili?

Wyszedłem z zaułka na światło dnia z uczuciem, jakbym obudził się ze świata koszarów i znalazł w świecie jawy. Kilka osób na ulicy zerknęło na mnie, ale szybko odwróciło wzrok. Przynajmniej mogłem liczyć na to, że mniej z nich będzie przyglądać się mojej twarzy i myśleć, że skądś mnie znają. Przebiegłem niemal całą drogę do obrzeży miasta, omijając rybaków i zirytowanych mieszkańców. Dzień był pogodny, ale czułem się jak we mgle, twarze migotały wokół mnie niczym gwiazdy na nocnym niebie. W ręce pulsował mi ból.

Jeśli Mephitemu coś się stało, jeśli był ranny, to ich pozabijam. Znajdę sposób.

Rzuciłem pieniądze woźnicy kierującemu się do innego miasta i pojechałem wraz z nim, a później zignorowałem spojrzenie, jakie mi rzucił, gdy zeskoczyłem z wozu w połowie drogi. Zagłębiłem się w las, odnajdując trasę z pamięci. Co jakiś czas zatrzymywałem się, żeby zamknąć oczy i sięgnąć do kości, do pulsowania. Za każdym razem miałem nadzieję, że je odnajdę. Gdy odpowiadała mi tylko cisza, musiałem zmusić się, by zaczerpnąć tchu. Gardło miałem zbyt ściśnięte, żeby chociaż przełknąć ślinę.

Zamajaczyło przede mną urwisko. Szczelina, gdzie była szczelina? Miotalem się chwiejnie tam i z powrotem, odsuwając pnącza. Jest. Bez wahania obróciłem się bokiem, wypuściłem powietrze z płuc i wcisnąłem się w dziurę. Ocierałem sobie nos o skałę, oddech ogrzewał mi twarz. Jedyne światło, jakie dostrzegałem, wpadało przez pnącza, zabarwiane zielenią.

Przejsście poszerzyło się, ale wciąż nic nie widziałem. Musieli odejść. Zabrali Mephiego i zmyli się stąd. Nie miałem pojęcia, czego od niego chcieli. Wcześniej nie przyszło mi do głowy, że ktoś może zechcieć mi go odebrać. Przycisnąłem dłoń do ściany, próbując się uspokoić.

Kogo powinienem szukać: Emahli czy Mephiego? Bałem się, że rozszalałe serce wyskoczy mi z piersi. Wybór był zbyt okrutny. Umrę, zanim go dokonam.

Czyjaś dłoń dotknęła mojego ramienia.

– Zgasiliśmy lampę przy wejściu. – Z ciemności dobiegł głos Ranami. – Widzieliśmy szpiegów cesarza, więc musimy zachować ostrożność.

Nie potrafiłem wysłować ulgi, jaka mnie zalała. Odetchnąłem chłodnym, wilgotnym powietrzem. Wciąż wirowało mi w głowie. Nie byłem świadom, że tak długo

wstrzymywałem dech.

– Mephi? – spytałem.

Przez moment nic nie mówiła. Panika wezbrała mi w gardle.

– Jest chory – rzekła w końcu. Tysiąc bolesnych możliwości przemknęło mi przez głowę, zanim odezwała się znnowu: – Powinieneś się z nim zobaczyć. – Złapała moją rękę i poprowadziła korytarzem.

Puściła mnie, gdy dotarliśmy do głównej sali, na środku której płonął ogień. Obok niego na boku leżał Mephi.

Rzuciłem torbę na bok i podbiegłem do niego. Nie zareagował, gdy go dotknąłem. Policzki miał ciepłe i to nie tylko od płomieni. Westchnął cicho, gdy pogładziłem wypukłości jego rogów, obciążnięte wytartą skórą. Ostatnio był głodny i zmęczony. Czy przegapiłem oznaki choroby?

– Jesteś ranny – powiedział Gio za moimi plecami. Nie słyszałem, jak podchodził.

Ręka znów zaczęła mi pulsować bólem, zupełnie jakby przypomnienie o ranie ją pobudziło. Wyglądało na to, że nie zaleczałem się tak jak zazwyczaj. Zacisnąłem zęby i pokręciłem głową.

– Co mu się stało?

– Zasłabł – wyjaśniła z tyłu Ranami. – Rano zachowywał się normalnie, ale później zaczął wyglądać nieco niewyraźnie i wreszcie opadł z sił przy ogniu. Udało mi się napoić go odrobiną rosółu, ale nic więcej. Wydaje się, że ma gorączkę.

Gio uklękła obok mnie.

– My nic mu nie zrobiliśmy – rzekł, jakby znał myśli wirujące mi w głowie. – Możliwe, że po prostu zachorował. Zwierzętom czasami to się zdarza. – Mówił spokojnym, pewnym głosem. – Teraz powiedz, co działo się z tobą.

– On potrzebuje lekarza.

– Jedno z naszych Bezkostnych, medyczka, go obejrzy. A teraz powiedz, co działo się z tobą – powtórzył.

Opowiedziałem mu o dokumencie, który otrzymałem, o konstrukcie, o szczątkach zwiadowczynie w zaułku.

– Zabiłem konstrukt i wróciłem tu najszybciej, jak mogłem.

Mężczyzna się podniósł.

– Musimy dostać się do pałacu – stwierdził. – Tej nocy.

Nie potrafiłem myśleć na tyle klarownie, żeby chociaż wstać, a on chciał, żebym wdarł się do pałacu?

„Głupiec” i „buntownik” czasami oznaczają to samo.

– Czym według ciebie miałbym walczyć? – Uniosłem ranną rękę. – Tym?

– Tobą również zaraz zajmie się medyczka, będziesz też mógł trochę odpocząć przed zmrokiem, ale nie możemy dłużej tracić czasu. Szpiedzy cesarza wykryli naszego informatora, co oznacza, że gdy konstrukt nie złoży raportu, jego zwierzchnik się zorientuje. Ostatecznie sprawa dotrze do Ilith lub Tiranga... a później do samego cesarza. Tym niemniej konstrukt drugiego stopnia zawiadujący tym regionem szybko pozna nasze plany. Musimy ruszyć, póki otrzymane przez nas informacje wciąż są aktualne.

Wszyscy fanatycy byli tacy sami, ulepieni z tej samej gliny, tylko pomalowani na różne kolory.

– Nie mogę. Nie tej nocy. Najpierw Mephiemu musi się poprawić.

Gio wyduł wargi, a zmarszczone brwi ocieniły mu oczy. Skupił wzrok na czymś ponad moim barkiem. Przez moment sądziłem, że się ze mną zgodzi, zaraz potem jednak oznajmił:

– Idziemy tej nocy, inaczej nic od nas nie dostaniesz.

Miałem ochotę połamać mu kości.

– Nie zostawię go znowu.

– A na co mu się tutaj zdasz? Ma gorączkę, Jovisie, ale wciąż je. Z tego co widzę, nie grozi mu śmierć. Ale wszyscy tutaj, również on, znajdują się w niebezpieczeństwie, jeśli nie wykorzystamy zdobytych informacji jak najszybciej i nie obalimy gubernatora.

– Nie, jeśli zabiorę go na moją łódź. A może mnie powstrzymasz? – Odpowiedziałem równie stanowczym spojrzeniem i z zaskoczeniem zorientowałem się, że Gio wydaje się wyższy ode mnie i pomimo wieku ma potężne ramiona. Napięcie wibrowało w powietrzu pomiędzy nami. Był stary i jednooki, a ja miałem rozerwaną rękę, w naszych działaniach kryło się jednak zagrożenie. Czuję się tak, jakbyśmy obaj stali na skraju przepaści, ale nie zamierzałem pozwolić, żeby zmusił mnie do zostawienia przyjaciela.

Za plecami usłyszałem chwytane szybko powietrze, a później szmer stóp na kamieniu.

– Złapcie to! – zawołała Ranami. Przepchnęła się obok mnie, wyciągając rękę. Podążyłem za nią wzrokiem i dostrzegłem błysk brązowego futra jakiejś istoty czmychającej za róg.

Wszyscy Bezkostni zareagowali jednocześnie, zupełnie jak mrówki, gdy ktoś stanie na ich kopcu. Okrzyk Ranami poniósł się po sali i odbił echem od ścian. Gdy rzuciłem się za stworzeniem, słyszałem, jak inni podchwytyują wezwanie.

Konstrukt szpiegowski. Tu, w kryjówce Bezkostnych. Nie czekałem, aż wóz zniknie z pola widzenia, nie oglądałem się za siebie. Nie mogłem mieć pewności, ale jakaś głęboka część mnie wiedziała, że to ja sprowadziłem na nich tę katastrofę. Nie dysponowałem prędkością czy siłą, na jakie wcześniej mogłem liczyć dzięki więzi z Mephim, ale desperacja i tak uczyniła mnie szybszym. Przemknąłem obok Ranami, ścigając konstrukt do słabo oświetlonej sali. Próbowałem go dopaść, ale wciąż przede mną uciekał.

Skoczyłem za nim, ale wyciągniętą dłonią chwyciłem jedynie powietrze.

A wtedy konstrukt przecisnął się już przez szczelinę w skale, znalazł pod urwiskiem, później zaś w lesie.

Gio i Ranami dobiegli do mnie zdyszani.

Mężczyzna rzucił mi ciężkie spojrzenie.

– Miałeś iść okrężną drogą. Doprowadziłeś ich do nas.

Nie zrobiłem tego celowo, ale w takiej chwili tłumaczenie się niewiele by dało.

– Nie możemy już czekać do nocy – oznajmił Gio. – Musimy iść od razu.

Ranami wyciągnęła rękę, żeby pomóc mi wstać.

– Będę obserwowała Mephiego. Dopilnuję, żeby coś zjadł i odpoczywał. Nie pozwolę, żeby spotkała go krzywda. Proszę, idź. Damy ci to, co obiecaliśmy. – Z trudem przełknęła ślinę. – Wszyscy mamy zagrożonych bliskich, o których się troszczymy.

Znów sięgnąłem do pulsowania w kościach. Nic. Chodziło o moje umiejętności, te same, dzięki którym zapragnęli mojego uczestnictwa w planie, a które teraz zniknęły. Rozmyślałem jednak o Emahli i o mojej matce, a na obrzeża tych myśli podkładały się twarze cierpiących na chorobę odłamkową. Nie obchodzą mnie. Nic dla mnie nie znaczą. Uchyliłem wrota swego serca przed Mephim i wyglądało na to, że przez tę

szczelinę wlewał się do środka cały świat. Z mojej winy. Czulem brzemień wyrzutów sumienia.

Wdech, wydech.

– Pójdę – rzekłem. Ciężar tych słów wydawał się niczym kotwica opadająca w głębinę Bezkresnego Morza.

– Zaprowadź go, żeby został opatrzony – polecił Ranami Gio. – Ja zbiorę zapasy i ludzi.

Medyczka oczyściła ranę – która wcale nie zaczęła wyglądać lepiej niż jeszcze przed chwilą – i obandażowała ją mocno.

– Powiedziałabym ci, żebyś dał jej odpocząć – rzekła – ale wiem, że tego nie zrobisz. Jeśli wrócisz... gdy wrócisz, zmienię opatrunek.

Teraz, jak już podjąłem decyzję, spokój osiadł na mnie niczym poranna mgła.

Niedługo później Gio pojawił się przy wejściu z moją stalową laską w dłoni, workiem na plecach i nożami przypiętymi u boków.

– Bezkostni odwrócą uwagę przy bramie – powiedział mi, gdy weszliśmy w las. Deszcz bębnił o liście, a podłoże pod moimi stopami z każdym krokiem chlupotało. – Będziemy musieli się wspinać, ale istnieje ukryte wejście do pałacu skonstruowane przez Alanga. Gubernator zachował je, na wypadek gdyby musiał szybko uciekać. Są strażnicy, ale znamy ich stanowiska i wiemy, kiedy się zmieniają. Zajmiemy się gubernatorem, gdy Bezkostni będą działać przy głównej bramie.

– Jak planują zająć bramę? – Nie widziałem w kryjówce tak wielu Bezkostnych, żeby dało się szturmować pałac.

Usta Gio ściągnęły się w ponurą linię.

– Rozpocznemy kolejne zamieszki. Warunki w gospodarstwach pogarszają się coraz bardziej. Nawet mieszkańcy miast mają krewnych, którzy uprawiają ziemię.

– Czyli żadnej specjalnej broni?

Zatrzymał się nagle i zmierzył mnie wzrokiem.

– Dlaczego tak mówisz?

– Przecież przyczailiście się w fortecy Alanga.

Gio parsknął i wszedł między drzewa.

– Te plotki o starej broni Alanga są śmieszne. Gdy tam przybyliśmy, w środku było pusto, nie licząc pajęczyn, nietoperzy i innych zwierząt, które zamieszkały w jaskiniach.

Pomyślałem o księżce wciąż tkwiącej wśród moich rzeczy.

– Naprawdę niczego nie znaleźliście? Trochę trudno mi w to uwierzyć.

– Minęły setki lat. Jedyne, co zostało z ich czasów, to ruiny.

– I opowieści – rzekłem.

Pokręcił głową i odsunął sobie gałąź z drogi.

– Kto wie, co jest prawdą, a co nie? To cesarz rozpowszechnia większość tych historii, a wcześniej jego przodkowie. Powinieneś się orientować, że wiele z nich naciąga prawdę. Za każdym razem, gdy cesarz czuje się niepewnie na tronie, rozsyła te głupie trupy teatralne, żeby podkreślały klęskę Alanga.

W kłamstwach kryje się ziarno prawdy.

– Czyli historia Arrimus, która kochała swój lud i broniła go przed morskim wężem Mephisolou, stanowi fikcję wymyśloną przez cesarstwo? To chyba dziwne, że rozpowiada ją cesarz twierdzący, że Alanga są niebezpieczni. A co z Dione, największym spośród Alanga, który płakał i błagał o śmierć, gdy znalazł go pierwszy cesarz?

Ramiona Gio zeszywniały.

– Tylko głupcy wierzą we wszystko, co słyszą – rzucił.

Interesujące. Z jakiegoś powodu go wzburzyłem. Postanowiłem nacisnąć mocniej:

– I tylko głupcy lekceważą wszystko, co słyszą.

– Jaką rybę trzymasz w tej sieci, Jovisie? – spytał Gio, westchnąwszy. – Jesteś jednym z tych, którzy czczą pamięć Alanga, którzy liczą na ich powrót? A może jesteś po prostu dupkiem?

Pomimo dręczącego mnie niepokoju nie potrafiłem powstrzymać uśmiechu.

To ostatnie mówiono mi więcej razy, niż byłbym gotów przyznać. Przez chwilę parliśmy w milczeniu, zanim odchrząknąłem.

– Nie znam cię, Gio. Słyszałem o tobie. Ale jeśli mamy działać ramię w ramię, chcę dowiedzieć się nieco więcej o tym, kim jesteś. – Przede wszystkim chodziło mi o to, jak znaleźli fortecę Alanga i co oznaczała księżka. Czy było tam więcej ukrytych drzwi? Jak udało mi się otworzyć tamte, na które się natknąłem? O to jednak nie mogłem spytać otwarcie.

– Nawet ja sam nie wiem, kim jestem, więc jak ty mógłbyś to wiedzieć?

Mówił to z takim znużeniem, że zwyczajowe cięte riposty utknęły mi w ustach. Przycisnąłem ranne ramię bliżej piersi, zwiesiłem głowę i skupiłem się na podążaniu za mężczyzną przez las. Deszcz rozpryskiwał mi się na karku i przyklejał włosy do głowy. O nas obu opowiadano historie i obaj wiedzieliśmy, że zawierają tylko ziarnko prawdy.

Zbliżał się zachód słońca, gdy dotarliśmy do wzgórza, na którym stał pałac. Gio znów spojrzał na zwój.

– Wejście jest ukryte, leży po południowej stronie. – Wyciągnął z plecaka dwa lekkie zielone płaszcze. – Wespniemy się i ukryjemy w krzakach. Planowałem wchodzić w nocy, ale deszcz zapewni nam osłonę. Zresztą zanim dotrzemy na szczyt, i tak zrobi się już ciemno. Właśnie wtedy rozpoczną się zamieszki.

Gdybym wciąż dysponował pulsowaniem w kościach, znalazłbym się na szczycie jeszcze w świetle dziennym. Nic jednak nie powiedziałem, otuliłem tylko mocniej barki płaszczem i ruszyłem za Gio w górę zbocza. Chowaliśmy się pod gałęziami za każdym razem, gdy strażnik z murów patrzył w naszą stronę, i chwytaliśmy się głazów. Wspinaczka szła powoli.

– A co się stanie, gdy już obalisz gubernatora? – odezwałem się, gdy byliśmy w połowie drogi. Pamiętałem, że pytałem go już o to wcześniej, ale nigdy nie potrafiłem długo zachować milczenia.

Przez chwilę nic nie mówił i uznałem, że postanowił mnie zignorować.

– Nie wiem, czy uważasz mnie za głupca, ale nie jestem nim. Dzięki orzechom caro zdołamy przeciągnąć część szlachty na naszą stronę. Będziemy już mieć Khalute i Nephilanu, a z każdym dniem do Garstki Bezkostnych wstępuje więcej ludzi. Rozpocznie się prawdziwa rebelia. Wzmocnimy nasz przyczółek tutaj, a potem uderzymy na innych wyspach.

– A nowa gubernatorka przychyli się do tego planu? – Wiedziałem, dokąd to zmierza. Zamach stanu nie skończy się obsadzeniem stanowiska osobą ze zwyczajowej linii sukcesji.

– Nie ufasz mi – rzekł Gio. – I rozumiem to. Też bym sobie nie ufał. Troszczyć się jednak o mieszkańców cesarstwa i naprawdę uważam, że dynastia Sukaiów powinna się zakończyć. Nie musisz postrzegać mnie jako przywódcy. Nie musisz wierzyć opowieściom. Ale jeśli przejmujesz się losem dzieci, które uratowałeś, jeśli choć przez

chwilę chodziło ci o coś więcej niż tylko o pieniądze, wtedy zostaniesz. Nie wiem, dlaczego szukasz tamtej łodzi ani dlaczego cię ona dręczy, ale jeśli nie dogoniłeś jej do tej pory, to nigdy ci się to nie uda. Lepiej trzymaj się Garstki Bezkostnych. Czas ucieka, Jovisie. Wiecznie ucieka. Możesz spędzić go na pościgu i ucieczce, na połowicznym życiu.

Czekałem, czując, jak w piersi wije mi się coś mrocznego i nieprzyjemnego, bo wiedziałem, że to nie na niego się złościsz. On jednak nie powiedział nic więcej.

– Albo co? – wycedziłem, a deszcz kapał mi do oczu.

– To zależy wyłącznie od ciebie – odparł, po czym przytrzymał się kolejnego głazu i podciągnął wyżej.

Zanim dotarliśmy do szczytu, półmrok dnia ustąpił miejsca półmrokowi nocy, a deszcz zelżał do mżawki.

– Tutaj – rzekł Gio. Odsunął roślinność, żeby ukazać drzwi pomalowane na ten sam kolor co mur. Wyjął z plecaka klucz. – Od dłuższego czasu pracowaliśmy nad tym planem.

Poprawiłem chwyt na lasce. Musiałem mu powiedzieć, że nie dysponuję swoimi zdolnościami. Teraz, zanim będzie za późno. Nie ufałem mu, ale nie miałem wyboru.

On jednak otworzył drzwi i było już za późno. W pomieszczeniu za nimi stało dwóch strażników, jeden obrócony w naszą stronę, drugi w przeciwną, obydwoj wyglądali na znudzonych. Przez chwilę wpatrywałem się w tego skierowanego ku nam.

Zareagował pierwszy, dobywając miecza. Drugi się odwrócił.

Ranna ręka ćmiła i paliła. Oto nastąpiła chwila, której nie mogłem uniknąć.

– Jovisie... – usłyszałem głos Gio.

Wpadłem do środka, trzymając laskę w gotowości. A potem znów sięgnąłem do pulsowania w kościach.

Nic.

No cóż. Wyglądało na to, że ostatnimi czasy nie miałem szczęścia. Zamachnąłem się laską na pierwszego żołnierza. Trafiłem go, zanim zdążył porządnie uchwycić miecz. Nagle jednak coś stało się z jego nogami. Twarz wykrzywiła mu się w szoku i rozjechały się pod nim stopy. Zaczął turlać się w dół stoku. Wyglądał, jakby coś go niosło.

Gio pojawił się przy mnie ze sztyletem w dłoni. Zaatakował drugiego wartownika, a później odsunął się z drogi ciosu. Klinga strażnika utknęła w płaszczu Gio, który wykorzystał swój impet, żeby owinąć broń tkaniną. Pociągnął za materiał i wyrwał tamtemu miecz. Zanim wróg zdążył zrobić cokolwiek, Gio uderzył go w twarz ręką sztyletu.

Mężczyzna upadł na podłogę.

– Wygląda na to, że opowieści mówią o tobie prawdę – rzekł Gio, dysząc ciężko.

Otworzyłem usta. Zamknąłem je. Sięgnąłem po pulsowanie, zupełnie jakbym nieświadomie zdołał czynić z jego pomocą magię, moje kości jednak milczały. Wszystkie włosy na rękach stanęły mi dęba.

Cokolwiek się wydarzyło, nie ja to sprawiłem.



33

Lin

Wyspa Cesarska

Jestem chora – rzekłam do konstruktora szpiegowskiego. – Powiedz mi to moim głosem.

Mała istota stanęła na tylnych łapkach, poruszając noskiem.

– Jestem chora – dobiegło z gardła Hao. Choć konstruktor się starał, jego głos był nieco wyższy od mojego, niemniej wciąż brzmiał w miarę podobnie.

– Dobrze. – Wcisnęłam poduszki pod pościel i wskazałam szpiegowi miejsce pod kocem. – Zostań tu do mojego powrotu. Jeśli ktoś zapuka do drzwi, powiedz moim głosem „jestem chora”. – Hao poruszył ogonem, jakby zrozumiał. I choć wiedziałam, że nie muszę niczego mu dawać, by wykonał moje polecenie, wyciągnęłam orzech z kieszeni szarfy i podałam bestyjce.

Pochłonęła go w jednej chwili, zostawiając na pościeli okruszki, które zaraz wyniuchała i zjadła. Przykryłam ją.

Przepisałam już Mauge i Uphilię. Pora na Ilith, Konstruktor Szpiegów. Wejście do jej legowiska znajdowało się w przechowalni odłamków – małe drzwi w tylnej części pomieszczenia. Zastanawiałam się, czy sama Ilith również tamtędy wchodzi i wychodzi,

czy też ma jakąś dziurę, przez którą przepełza, a do jej pancerza przykleja się pył. Aż się wzdrygnęłam.

Już dawno zapadła noc, ale nie byłam pewna, ile zajmie mi ta wyprawa. Dobrze wiedziałam, gdzie mieszkają Mauga i Uphilia, ale Ilith stanowiła dla mnie większą zagadkę. Nie wątpiłam, że kryje się gdzieś za tamtymi drzwiami, ale nie miałam pojęcia, jak daleko będę musiała zabrnąć później. Wsunęłam rylec do kieszeni. Tym razem nie zabrałam żadnych dodatkowych odłamków. Zamierzałam zrobić to w prawidłowy sposób, nie krzywdząc nikogo.

Wymknęłam się na cichy korytarz. Nocą pałac był niczym świątynia, oświetlony jedynie nielicznymi lampami, z drewnianymi podłogami skrzypiącymi lekko pod moim ciężarem. Gdy wszyscy inni spali, czułam się, jakbym była sama na świecie. Uspokajało mnie to wrażenie osamotnienia, miękki dotyk czarnego jedwabiu, który mnie otulał i ukrywał. Może i ojciec władał cesarstwem, ale gdy spał on, gdy spali Bayan i cała służba, pałac stawał się moim królestwem. Posiadałam klucze do jego drzwi i wykradałam sekrety z jego komnat.

Przechowalnia odłamków kości nie zmieniła się, odkąd byłam w niej po raz ostatni. Zapaliłam lampę przy drzwiach i oświetliłam rzędy regałów oraz szuflad utrzymanych w schludnym porządku. Tyle żywotów kryło się w tych szufladach, tyle mocy, po którą mógł sięgać ojciec.

Nie potrzebowałam wiele czasu, żeby odnaleźć odłamki rodziny Numeena, wyszukałam je po wieku i imionach. Dziwnie było trzymać je w dłoni po tym, jak poznałam ich właścicieli. Były to ich malutkie części, ich kości. Stukały o siebie niczym lakierowane karty. Nie miałam samego Numeena, ale odszukałam jego rodzinę. To nie było bez znaczenia.

Włożyłam je wszystkie do kieszeni w szarfie i przesłam na tyły pomieszczenia, do drzwi z jałowcem chmurowym. Wzięłam głęboki oddech, po czym wyciągnęłam klucz dorobiony przez Numeena i wsunęłam go do zamka. Kowal nie docenił swojej pracy. Klucz obrócił się gładko, bez najmniejszej trudności. Drzwi rozchyliły się bezszelestnie, ukazując zalegającą za nimi ciemność. Powietrze w środku było chłodniejsze, wilgotniejsze. Pachniało deszczem i rozkładem.

Po drugiej stronie nie widziałam żadnej lampy. Musiałam zabrać ze sobą tę spod pierwszych drzwi. W jej blasku dostrzegłam, że korytarz ciągnie się tylko krótki kawałek, po czym przechodzi w schody sięgające w głąb. Poczulałam skurcz wnętrzości, gdy podeszłam do stopni. Ze wszystkich miejsc, które odwiedziłam w pałacu, to wydawało się najmroczniejsze, kojarzyło się z trzewiami jakiejś ogromnej bestii, od dawna już martwej. Otaczające mnie ściany przeszły w ziemię i kamień. Przypomniało mi się, co czytałam – że kiedyś na Cesarskiej znajdowała się kopalnia bystrokamienia i że ojciec kazał ją zamknąć. Czy to były jej pozostałości? Na pewno takie miejsce byłoby odpowiednie do tego, żeby Ilith założyła tam sobie legowisko.

Dotarłam do rozwidlenia.

Tego się nie spodziewałam. Obydwa korytarze wydawały mi się takie same, gdy świeciłam w ich wyloty. A co, jeśli się zgubię? Nie potrafiłam pozbyć się myśli, że zostałam tu uwieczona, przyciśnięta taką ilością ziemi. Dobrowolnie zstąpiłam do swojego grobu.

Zduśiłam strach. To nie był labirynt. Jeszcze nie. Z łatwością znajdę drogę powrotną, cofając się po własnych śladach. Skoro panikowałam już tutaj, to w jakim stanie się znajdę, gdy stanę przed samą Ilith o ośmiu kończynach i ośmiu dłońmiach?

Odetchnęłam głęboko i wybrałam przejście po lewej. Mrok wydawał się pochłaniać odgłos moich kroków.

Wkrótce zaczęłam czuć smród. Pachniało jak Mauga: piżmowo, jakby starym wyschniętym moczem, słomą i łajnem. Drżącą dłonią zamachałam przed sobą lampą. Usłyszałam warkot. Ujrzałam błysk złotych oczu. A później wpadło na mnie coś jak ściana szorstkiej sierści i poczułam wilgotne ciepło rozwartej paszczy.

No jasne, Ilith miała strażników. Myśl ta wydawała się istnieć w oku cyklonu, była jedynym spokojnym punktem w zamęcie mojego umysłu.

Bestia napierała na mnie, próbując paszczą dosięgnąć mojego barku. Upuściłam lampę na podłogę tunelu, ale płomień na szczęście nie zgasł. W jego świetle dostrzegłam bestię przypominającą niedźwiedzia o roziskrzonych oczach. Opędzałam się dłońmi, próbując powstrzymać ją, żeby mnie nie ugryzła, pchałam, naciskałam, choć moje ręce nie mogły się równać z siłą stwora. Nie zdołam bronić się długo. Rozerwie mnie na strzępy w tym korytarzu. Pot spływał mi po plecach, gdy walczyłam o choćby chwilę wytchnienia.

Moment. Przecież to był konstrukt.

Jego zęby chwyciły mój bark. Miałam tylko jedną szansę. Przestałam się opierać, wzięłam oddech i wcisnęłam mu prawą dłoń w ciało.

Poczułam szorstkie futro, a później moje palce znalazły się już w środku. Stwór zamarł z zębami wciąż wbitymi w moją skórę. Skrzywiłam się, szukając odłamków kości. Każdy ruch wywoływał ból. Znalazłam kolumnę odłamków w pobliżu kręgosłupa istoty i wyciągnęłam najwyższy z nich. Zanim zdołałam zrobić coś więcej, musiałam rozewrzeć paszczę bestii. Ledwo przebił skórę, choć wiedziałam, że następnego ranka cały bark będę miała siny. Uniosłam lampę, by przyrzeć się odłampakowi.

„Każdy oprócz Ilith, Shiyena i konstruktorów szpiegowskich”.

To akurat było łatwo naprawić. Rylcem dodałam „i Lin”, po czym przytrzymałam kość przy piersi, rzeźbiąc identyfikującą mnie gwiazdkę. Wepchnęłam odłamek w konstrukt i odeszłam, zanim zdążył się obudzić. Korytarz zdawał się jeszcze ciemniejszy i wiódł jeszcze głębiej.

Następny konstrukt złapałam, zanim okrążyłam róg, za którym warował, i wsunęłam w niego dłoń, zanim zdążył zareagować na moją obecność. Ponownie przepisałam rozkaz ataku. W ścianach na tej głębokości dało się dostrzec lśniąca żyłę kredowego, białego bystrokamienia. Po mojej lewej miałam niemal wyłącznie tę substancję. Tuż pod pałacem kryło się bogactwo. Dlaczego ojciec zamknął tę kopalnię? Czy ze strachu, że przecinające skałę korytarze osłabią konstrukcję budowli? Ojciec był chciwym człowiekiem, ale też praktycznym. Gdyby kopalnia wciąż dawała urobek, nie zlikwidowałaby jej bez dobrego powodu.

Niedaleko za następnym konstruktem znalazłam kolejne drzwi.

Wyglądały dziwnie tu, w ciemnym tunelu – małe brązowe drzwi z mosiężną klamką. Tkwiły w półokrągłej niszy, wprawione w ceglana, otynkowaną gipsem ścianę. Pociągnęłam za klamkę, choć już wiedziałam, że będą zamknięte. Zagrzecotała, ale się nie obróciła. Ojciec nie lubił zostawiać niezamkniętych drzwi. Pomyślałam, że mam szczęście, że przynajmniej latryny były otwarte. Przyłożyłam ucho do polakierowanego drewna, chłodnego w zetknięciu z moim policzkiem. Nie słyszałam niczego poza własnym oddechem.

Cokolwiek leżało po drugiej stronie, musiało poczekać, aż znajdę odpowiedni klucz i raz jeszcze przejdę tymi korytarzami. Jeśli skręciłam odpowiednio na rozwidleniu, wciąż miałam przed sobą legowisko Ilith.

Tunel znów opadał, miejscami tak stromo, że musiałam podpierać się oburącz, inaczej bym się zsunęła. Ciemność wprawiała mnie w coraz większą dezorientację. Wydawało mi się, choć nie byłam pewna, że droga tak wiele razy zakręciła, że nad sobą miałam już nie tylko pałac, ale i wcześniejsze korytarze. Czułam ciężar wielu warstw gruntu napierających na mnie, utrudniających mi oddychanie.

Gdy dostrzegłam przed sobą blask, wydawało mi się, że umysł płata mi figle. Kiedy jednak wsunęłam sobie lampę pod ramię i wciąż widziałam światło w tunelu przed sobą, wiedziałam już, że jestem blisko. Uklękłam i cicho postawiłam lampę na podłodze, uważając by nie stuknąć nią o kamień. Wyciągnęłam z szarfy rylec i trzymałam go przed sobą, choć wiedziałam, że nie zadam nim wielu obrażeń, kiedy jednak go ścisnęłam, czułam się lepiej, niż gdybym nie miała niczego.

Przekradłam się za róg.

Coś przemknęło mi po stopach. Niemal wyskoczyłam ze skóry. Błysł czerwonego futra zniknął za zakrętem.

W gardle pulsowało mi zgodnie z szaleńczym rytmem serca. Zaszło mi w ustach. Zamarłam tak samo, jak Bayan poprzedniej nocy, jak królik, który dostrzegł drapieżnika. To był konstrukt szpiegowski. Przybiegł tu, żeby złożyć raport Ilith, i właśnie minął mnie w drodze do jej legowiska. Miałam ochotę uciec. Nogi mnie świerzyły, chciały stąd zabrać, wrócić tunelem w zacisze mojego pokoju, gdzie spędziłam większość minionych pięciu lat pod kołdrą, ogrzewając oddechem otaczającą mnie przestrzeń.

Ale gdybym odeszła, Ilith i tak by o tym wiedziała. Ta niezaprzeczalna prawda sprawiała, że skręcały mi się wnętrzności. Nie miałam wyboru. Gdybym tu została, straciłabym ostatnią szansę, która i tak już się drastycznie zmniejszyła.

Zebrałam się na odwagę i zakradłam w blask bijący z legowiska Ilith.

Na ścianach zawieszono trzy lampy, których przyćmione płomienie przypominały małe księżycy. Ilith nie wyłożyła swojej siedziby świeżą słomą, w przeciwieństwie do Maugi i Uphilli. Dwie ściany były zasłonięte grubymi pasmami pajęczyny. Rozciągnięto je także w poprzek podłogi, gdzie lśniła w świetle. Przystąpiłam nad nimi, nie chcąc sprawdzać, jak są lepkie. Ilith siedziała na środku pomieszczenia, odwrócona ode mnie. Jej dłonie były zajęte pracą. Dwoma coś zapisywała. Dwie inne przesuwaly się po jej włosach i ciele, jakby mogła w ten sposób jakoś poprawić swój wygląd. Malec, który otarł się o mnie przed chwilą, siedział na tylnych łapkach przed Konstruktem Szpiegów i składał raport.

– Podczas prania dwie służące plotkowały o Jovisie, tym przemytniku, który wykrada dzieci. Jedna z nich zastanawiała się, czy jest przystojny...

Powoli wypuściłam oddech. Te podstawowe konstrukty szpiegowskie nie były osobami. Nie przekazywały najciekawszej informacji jako pierwszej. Ten tutaj zamierzał opisać swój dzień w kolejności chronologicznej. Minie trochę czasu, zanim dojdzie do tego, że widział mnie w korytarzu.

Ilith wciąż była obrócona. Mogłabym jej dopaść i zabrać się do pracy nad jej odłankami, zanim by się zorientowała. Wykonałam kilka szybkich kroków naprzód, podczas gdy konstrukt szpiegowski wciąż relacjonował beznamiętnym głosem. Jeszcze kawałek.

– Inny służący mówił o buntownikach i zastanawiał się, ile zajmie im czasu, żeby dotrzeć na Cesarską...

Jeszcze kilka kroków. Zahaczyłam pantoflem o kleistą sieć i musiałam pochylić się, żeby uwolnić stopę. Pomimo chłodu panującego w jaskini pot spływał mi po głowie.

Nie ośmielałam się go wytrzeć. Znajdowałam się już tak blisko Ilith, że mogłabym jej dotknąć. Pachniała ziemią i lekko pleśnią. Jej pancerz był wielki i lśniący. Przytrzymałam nad nim dłoń. Czy ustąpi pod dotykiem jak ciało innych konstruktów? Czy moje palce się od niego odbiją?



– I w drodze tutaj widziałem w tunelach Lin Sukai.

Ilith przestała pisać. Odłożyła pióra i uniosła się nad podłogę.

– Lin Sukai? Jak daleko w tunelach?

Nie czekałam na odpowiedź konstrukt szpiegowskiego. Wyciągnęłam rękę. Śliski pancierz zetknął się z moimi palcami. Napałam, a on nie ustąpił.

Ilith zaskrzeczała – odgłosem po części ludzkim, po części zwierzęcym. Obróciła się gwałtownie, przewracając mnie brzuchem, a paznokcie jej ośmiu dłoni zastukały na kamiennej podłodze. Próbowałam wstać, ale nie potrafiłam. Upadłam na pasmo pajęczyny, które przykleiło mi się do tuniki. Przypadła do mnie błyskawicznie i opuściła swą twarz starej kobiety tuż nad moją, blokując cieleskim światło.

– Lin Sukai – powiedziała. Jej oddech pachniał krwią. – Czy sądziłaś, że zdołasz podkraść się do mistrzyni szpiegów w jej legowisku?

– Niemal mi się to udało – odwarknęłam.

Dwoma kończynami chwyciła przód mojej tuniki. Kolejne dwie złapały mnie za kostki nóg.

– Mogłabym cię teraz rozerwać na kawałki.

– Czy tak rozkazał ci mój ojciec?

Roześmiała się.

– Nie masz pojęcia, jakie rozkazy tkwią w moim ciele. Roisz sobie, że możesz kręcić się po pałacu i może nawet stosować magię kości, ale tu w grę wchodzi poziom skomplikowania, którego nigdy nie pojmiesz.

W odpowiedzi uwolniłam się z jej dłoni i wepchnęłam palce w twarz istoty. Zesztywniała. Gdy wcześniej próbowałam sięgać pod pancierz, nie ustępował, ale ciało pozostawało ciałem. Poczułam lekkie mdłości na widok mojej dłoni zanurzonej w obliczu szpiegini, ale przecież musiałam przepisać jej polecenia. Zaczęłam grzebać w poszukiwaniu odłamków.

Znalazłam je dopiero, gdy wcisnęłam rękę aż po łokieć. Nie ułożono ich w wąską kolumnę, jak u Maugi albo Uphilii, tylko zgrupowano w ksiściach. W dotyku były jak sosnowe szyszki. Wyciągnęłam jeden na chybił trafił, starając się zapamiętać, skąd pochodzi.

Gdy go wyjęłam i przytrzymałam do światła, straciłam ducha. Ilith miała rację. Nie rozumiałam, co było tam napisane. Widziałam jakieś formuły i słowa, których nie znałam. Z przestrachem odłożyłam fragment na miejsce i wzięłam następny. Tutaj rozpoznawałam kilka słów: „gdy”, „nigdy” i „wypatruj”. Zamrugałam w nadziei, że mam problemy ze wzrokiem. Przeczytałam przecież tyle książek z biblioteki. Czy sądziłam, że to wystarczy? Z Maugą i Uphilią musiało mi się poszczęścić. Ilith była dziwnym, samotniczym stworzeniem, a ojciec ufał jej radom. Stworzył konstrukt złożonością niemal dorównujący jemu samemu.

Wyciągałam odłamek za odłamkiem i analizowałam je, próbując określić wzorzec zawiadujący poleceniami. Na podstawie tych, które zdołałam rozszyfrować, dostrzegałam, że ojciec przekazał Ilith sporo własnych poglądów, oznaczonych parametrami, których nie rozumiałam.

Wreszcie trafiłam na odłamek mówiący o posłuszeństwie wobec Shiyena.

„Bądź posłuszna Shiyenowi, chyba że jest to sprzeczne z twoją wiedzą i intelektem”. Ponad „wiedzą” i „intelektem” dopisano liczby. Odszukałam odłamki, do których te liczby się odnosiły, i odkryłam, że każdy z nich zawiera przynajmniej pięć kolejnych odnośników.

Miałam ochotę rwać sobie włosy z głowy. Jak mogłabym przepisać coś, czego w pełni nie rozumiałam? Skończyłoby się jeszcze bardziej niechlujnym efektem niż w przypadku Maugi i Uphilli. Choć tamte zadania wykonałam tak niewprawnie, wyglądało na to, że oba konstrukty działały. Ojciec przyzywał je do sali jadalnej już po tym, jak zmodyfikowałam ich polecenia, i chyba nie zauważył różnicy.

Znów zastanowiłam się nad rozkazem posłuszeństwa. Przygryzłam wargę. Wciąż mogłam zmienić go tak, by działał na moją korzyść. Obok „wiedzy” dopisano liczbę „11”. Przyłożyłam odłamek do piersi i przejechałam po liczbie rylcem, zamieniając ją w gwiazdkę identyfikacyjną. Ilith będzie teraz posłuszna mojemu ojcu, chyba że okaże się to sprzeczne z moimi poleceniami i z jej intelektem. Mogłam też wydać jej kolejny rozkaz. Sięgnęłam w jej głęb i wyjęłam pierwotne powiązane odłamki dotyczące intelektu. Takie rozwiązanie zadziała. Będzie musiało.

Ostatnim tworem, który potrzebowałam przepisać, był Konstruktor Wojny. Jego legowisko nie było trudne do znalezienia. Zajmował komnaty naprzeciwko apartamentu mojego ojca.

Schowałam powiązane odłamki do kieszeni i odsunęłam się od Ilith. Wkrótce się obudzi, a ja musiałam stąd wyjść. Podobnie jak inne konstrukty, straci pamięć kilku chwil przed tym, jak zmieniałam jej polecenia.

Szłam ostrożnie, unikając pajęczyn. Panowało tu przyćmione światło i niełatwo było dostrzec sieci. Pomimo podejmowanych przeze mnie wysiłków uwięzła mi stopa. Szarpałam nią i ciągnęłam, chcąc się uwolnić. Zza moich pleców dobiegł odgłos zgrzytania. Zerknęłam przez ramię, by sprawdzić, czy Ilith już się obudziła.

Wiła się na podłodze, wierzgając ośmioma kończynami, zupełnie jakby wpadła na tafelę lodu i nie potrafiła z niej wstać. Z jej ust wydobył się jęk.

– Co się stało? – spytała. Skuliłam się, żałując, że nie mam za czym się schować. Zdołała oprzeć się na dwóch kończynach. Zaczęła sunąć w moją stronę, ciągnąc brzuch po podłodze. – Ty. Coś mi zrobiłaś.

Nie mogłam się ruszyć, miałam gardło zbyt zaciśnięte, żeby przez nie oddychać, serce szamotało mi się w piersi. Wyrwałam stopę z pajęczyny i zatoczyłam się, wciąż wpatrzona w twarz Ilith, która zaczęła się marszczyć i obwisać. Zrobiłam dwa kroki w stronę wyjścia.

Nie zdołam uciec przed tym problemem. Będzie mi towarzyszyć do korytarzy pałacu, do mojego łóżka, będzie mnie dręczyć w sali jadalnej, gdy usiądę naprzeciwko ojca. Zauważy, że z Ilith coś jest nie tak. Żałowałam, że nie mogło być inaczej, ale teraz to było jak ciskać monety do Bezkresnego Morza w nadziei na jakiś zysk. Obrócenie się wydawało mi się trudniejsze niż cokolwiek, co zrobiłam w życiu. A jednak obróciłam się w stronę Ilith.

A później pobiegłam prosto na nią.

Zawsze byłam szybka, a dzięki bieganiu po dachach i wspinaniu się po murach rozwinęłam siłę. Zamachnęła się na mnie licznymi dłońmi, a ja odtrąciłam je. Jakbym odsuwała na bok gałęzie jodły, żeby odnaleźć pod nimi pień. W gąszczu kończyn pojawiła się jej twarz. Wcisnęłam palce w jej ciało. Ilith znieruchomiała z obliczem okolonym kruchymi, niesionymi kończynami. Ciepłota jej organizmu otulała mi rękę. Sięgnęłam ku gronom odłamków o krawędziach szorstkich niczym skorupki jaj. Wyciągnęłam jeden z nich, a potem następny, przyglądałam się swojej pracy, próbowałam określić, gdzie się pomyliłam. Rozkaz, który przepisałam, powinien być w porządku, ale zapewne pogubiłam się z odnośnikami.

Mdłości chwyciły mnie za gardło i narastały, aż poczułam w gardle gorycz. Nie potrafiłam przestać, wciąż wyciągałam i wkładałam kawałki kości, drżącymi palcami szukając popełnionego błędu.

Nie mogłam go znaleźć.

Osunęłam się na kamienną podłogę i czułam, jak pasma sieci kleją mi się do goleni. Poradziłam sobie z Maugą i Uphilią. Powinnam była zabrać się za Tiranga, zanim przyszłam do Ilith, powinnam była nabrać wcześniej większej wprawy. Tymczasem klęczałam przed najpotężniejszym konstruktem mojego ojca i czułam się zagubiona. Zaciskałam zęby tak mocno, że bałam się, że pęknie mi żuchwa. Musiałam znów się postarać. Wstałam, gotowa do kolejnej próby.

Od ścian jaskini odbił się echem cichy śmiech. Ilith falowały boki.

– Ty mała idiotko. Wydaje ci się, że w ten sposób pokażesz ojcu swoją wartość? Że tak zasłużysz sobie na jego miłość?

Wciągnęłam z trudem powietrze, czując ból w piersi.

– Nie chcę jego miłości. – Ale mała część mnie jej chciała. Dlaczego nie moglibyśmy cofnąć się do chwili, zanim straciłam pamięć? Byłam wtedy inna, może on również.

– Myślisz, że on nie wie?

– Że nie chcę jego miłości? – Ból przemienił się w falę niepokoju. Nie o to chodziło. O coś innego. Coś, co przegapiłam.

Roztapiającą się twarz Ilith rozciągnął uśmiech, a ja poczułam nowy skurcz żołądka.

– Twoje klucze, twoje wycieczki do miasta. Twój przyjaciel kowal. I jego rodzina. On o tym wszystkim wie, Lin. I nigdy nie kochał kogoś głupiego.



34

Jovis

Wyspa Nephilanu

Przyjrzałem się podłodze, próbując znaleźć miejsce, w którym potknął się mężczyzna. Wyglądał na tak zaskoczonego, jakby coś niewidzialnego uderzyło go w kolana. Nic jednak nie dostrzegłem.

Gio znów rozłożył zwój.

– Jeśli pójdziemy odpowiednimi korytarzami, możemy zupełnie uniknąć strażników. Zamieszki powinny rozpocząć się lada moment, bo mówiłem im, żeby działali po zapadnięciu zmroku, a wtedy siły stacjonujące w pałacu jeszcze bardziej się przerzedzą. Musimy tylko odpowiednio wymierzyć czas.

Zsunąłem kaptur z głowy i posmakowałem kropli deszczu, które miałem na wargach. Nie sądziłem, że umiem popychać ludzi mocą umysłu. A przynajmniej nigdy dotąd tego nie robiłem. Nawet nie przyszłoby mi to do głowy.

– Gio – powiedziałem cicho. – To nie byłem ja.

Zerknął na mnie, a później wrócił do zwoju.

– To znaczy?

– Cokolwiek przewróciło tamtego strażnika, to nie byłem ja. – Byłem kłamcą do szpiku kości, ale czasami prawda stanowiła najlepszą drogę. – Chwilowo nie mam

żadnych zdolności. Nie wiem dlaczego... – kłamstwo – ...ale nie mam. Próbowałem. Wtedy, gdy w mieście zaatakował mnie konstrukt.

– Cóż, ja na pewno nic nie zrobiłem – odparł Gio, marszcząc brwi. – To mogłeś być ty. Może to coś nowego, co jeszcze wcześniej ci się nie zdarzyło. A może po prostu inaczej to odbierasz. Albo tamten człowiek potknął się o własną stopę. – Pokręcił głową. – Nie mamy na to czasu.

 Po czym wślizgnął się w korytarz, nie czekając na moją odpowiedź.

A co, jeśli to ktoś inny? Nigdy nie rozważałem, że jeszcze ktoś mógłby dysponować równie dziwnymi zdolnościami jak ja. Czy taka osoba miała przyjaciela podobnego do Mephiego, a może była mnichem chmurowego drzewa, który pił herbatę z jałowca i jadł jagody, żeby zyskać nadnaturalną siłę? Cesarstwo było rozległe, do tego istniały wyspy leżące poza jego zasięgiem. Zaciśnąłem szczęki, żeby powstrzymać zęby przed dzwonieniem.

Mógłbym teraz odejść. Zostawić Gio wraz z jego szaloną misją. Znaleźć jakiś sposób, by wydostać Mephiego przez szczelinę i wrócić na łódź.

Gio czekał na mnie. Słyszałem jego oddech dobiegający z korytarza. „Jesteś dobrym człowiekiem”, rzekła do mnie matka na kilka dni przed tym, jak odszedłem, nie zostawiając żadnej wiadomości. „Twój brat nigdy nie ubolewałby nad faktem, że on umarł, a ty nie. Nawet jeśli ty ubolewasz”.

 Gdybym był dobrym człowiekiem, umarłbym już dawno temu.

– W porządku – warknąłem do nikogo szczególnego. Wyszedłem do korytarza i zatrzasnąłem za sobą drzwi.

 Gio cicho zabierał już krzesło od pobliskiego stolika. Wsunął je pod kłamkę.

– To na użytek naszego przyjaciela w środku – wyszeptał. – Choć powinniśmy wrócić, zanim się ocknie. Chodźmy.

Gdzieś ponad nami usłyszałem czyjś krzyk. Później na deskach podłogi zaskrzypiały kroki. Zatem Bezkostni i ich nieświadomi współnicy musieli być już pod bramą.

– To byli jedyni strażnicy w tej sekcji – wyjaśnił Gio, gdy go dogoniłem. Z kamiennych ścian zwisały lampy, ale w sporych odstępach, przez co przestrzenie pomiędzy nimi pozostawały w mroku. – Gdy dotrzemy do głównego poziomu, będzie ich więcej. Na szczycie schodów idziemy w prawo, później w drugi korytarz po lewej i prosto przez salę jadalną. Zaraz potem są komnaty gubernatora.

 Odgłosy od bramy urosły do tępego pomruku.

– Niezłe zamieszki rozpętali ci twoi Bezkostni – zauważyłem.

– Sytuacja nabrzmiewała od jakiegoś czasu. Zrozumiesz, gdy znajdziemy się na głównym poziomie. A teraz cicho.

Trzymałem język za zębami, gdy przechodziliśmy za róg, a później wspinaliśmy się po schodach. Gio sprawdził półpiętro, zanim wskazał mi gestem, żebym szedł za nim. Wykonałem polecenie i znalazłem się w scenerii rodem ze zbyt kownych snów Ioph Carn. Złote obramowania i farba podkreślały freski na ścianach. Płytki, którymi wyłożono sufit, zostały ostemplowane w falisty wzór, a później pokryte błękitną glazurą. Lśniły w świetle lamp i przez chwilę miałem dziwne wrażenie, że znalazłem podwodną jaskinię pełną skarbów zebranych z zatopionych statków.

Na ulicach miasta widziałem sieroty zadowolające się byle ochłapami. Widziałem gasnących ludzi cierpiących na chorobę odłamkową. Tu natomiast mięściło

się dość bogactwa, żeby wykarmić setki uliczników i zatroszczyć się o wszystkich chorych.

– To za dużo – wyszeptalem. Gio zmierzył mnie wzrokiem i zacisnąłem usta. Ale naprawdę było tu wszystkiego za dużo. Żalowałem, że to zobaczyłem.

Dotarliśmy do drugiego skrzyżowania, zanim natknęliśmy się na następnych wartowników. Zatrzymaliśmy się na rogu. Kolejna dwójka, tym razem mężczyzna i kobieta. Oboje wpatrywali się w główną bramę i słuchali odgłosów zamieszek.

– Czy ktoś powinien powiedzieć gubernatorowi? – spytał mężczyzna.

– Słyszysz – odparła kobieta. – Wyprowadzą go od tyłu, jeśli buntownicy przedostaną się przez mury. Słyszałeś rozkazy. Nie potrzebują nas jeszcze na zewnątrz.

Gio klepnął mnie w rękę, żeby zwrócić moją uwagę. Wskazał gestem: ty po prawej, ja po lewej. Później odliczył na palcach.

Na jego skinienie wpadliśmy do następnego korytarza. Dostrzegałem już teraz, że w towarzyszących mi opowieściach rzeczywiście musi kryć się prawda. Gio poruszał się lekkimi, bezgłośnymi krokami, a bliźniacze sztylety były niczym przedłużenia jego rąk. Pomimo siwiejących włosów miał silne kończyny. Ja zachowywałem się głośniejszy, ale i tak udało nam się wziąć wartowników z zaskoczenia. Tym razem nie doszło do żadnych niewyjaśnionych potknięć, po prostu po wszystkim dwoje zbrojnych leżało u naszych stóp. Walka zajęła mi więcej czasu niż mojemu towarzyszowi, do tego otrzymałem płytkie cięcie w korpus. Ból w ręce zelżał, choć jeszcze się nie zaleczyła. Zanim wyjdę z tego wszystkiego, będę miał już prawdziwą kolekcję obrażeń. Jeśli wyjdę z tego wszystkiego.

– Będzie przy nim jego osobista gwardia. Sześcioro, wszyscy dobrze wyszkoleni – oznajmił Gio, dysząc ciężko. Zerknął na mnie z ukosa, po czym spuścił wzrok na powalonych ludzi.

Nauczyłem się jednej czy dwóch rzeczy, gdy ratowałem dzieci z Festiwalu Trybutu, ale bez Mephiego byłem słaby. Nie zdawałem sobie sprawy, w jakim stopniu siłą nadrabiałem brak umiejętności. Zawsze byłem bardziej skory do gadania niż do bitki.

– Moja ręka – powiedziałem. – Jestem wolniejszy niż zazwyczaj. – Czy brzmiałem nerwowo? Albo jakbym kłamał? Nie powinienem był się odzywać. Nigdy nie potrafiłem wytrzymać milczenia.

– Czekają nas dalsze trudności. Odsapnij chwilę, jeśli musisz.

Dostrzegałem zwątpienie w jego oczach. Zastanawiałem się, ile minie czasu, zanim zorientuje się, że siły opuściły mnie wtedy, gdy Mephi zachorował. Gdyby ktokolwiek odgadł to powiązanie, spróbowaliby mi go zabrać. Zaś ja zostawiłem go pośród Garstki Bezkostnych i prosiłem, żeby udawał nieszkodliwego pupila. Niech przeklęty będzie ten konstrukt, który za mną poszedł i znalazł kryjówkę. Niech przeklęty będzie ten cały fatalny plan. Niech przeklęty będzie mój w nim udział.

– Nic mi nie jest – wykrztusiłem. Woliałem mieć to już z głowy i w ten czy inny sposób poznać czekający mnie los. Potrzebowałem dłuższego odpoczynku, niż było to możliwe w tej sytuacji.

– Odrobina magii, której używałaś wcześniej, przydałaby się nam w następnej walce – powiedział Gio. Zanim zdążyłem się odgryźć – ponownie! – że nie zrobiłem nic, żeby rzucić tamtego żołnierza ze zbocza, otworzył drzwi do jadalni i wślizgnął się do środka. Wszedłem w nim. Było to zbyt kłopotliwe pomieszczenie w barwach turkusowego i złota, ze ścianami ozdobionymi malowanymi pawiami o jaskrawożółtych oczach. Nawet puchary były rzeźbione, a misy obrzeżono złotem. Dziwiło mnie, że Ioph Carn jeszcze

nie znaleźli sposobu, żeby splądrować ten pałac i wynieść po trochu elementy. Właśnie takie zadanie mógłby mi zlecić Kaphra.

Ponad nami usłyszałem dźwięk dzwonu.

– Uczestnicy zamieszek przebili się przez mury. Gwardziści spróbują wyprowadzić gubernatora sekretnym przejściem. – Gio otworzył drzwi po drugiej stronie sali jadalnej i wyrzwał przez nie. – Są w rozsypce. Możemy wziąć ich z zaskoczenia. Ja pójdę od lewej, ty od prawej. – Po czym zniknęła, znowu nie czekając na odpowiedź.

Nie słuchał, co mówię? Nie miałem swoich mocy. Zaciśnąłem mokre od potu dłonie na lasce. Mięśnie ręki zaprotestowały, skóra na niej paliła i naciągała się. Sam jednak zapędziłem się w ten róg. Ja, Mephi, Gio. Emahla.

Wejście do komnat gubernatora było otwarte. Stał w nim gwardzista, który wołał do środka:

– Musimy już iść! Zostaw zbroję. Nie będzie jej potrzebował, jeśli się pospieszymy.

Gio pochylił się i przebiegł korytarzem szybko i cicho niczym wąż płynący w wodzie. Cisnął jednym ze swoich sztyletów w plecy strażnika. Mężczyzna osunął się na podłogę, ale wcześniej wydobył z siebie cichy okrzyk. Również popędziłem w stronę komnat, tupiąc jak słoń w porównaniu z cichym jak mysz Gio. Niemniej straciliśmy już element zaskoczenia i nie musieliśmy się skradać.

Gio zaatakował kolejną zbrojną. Stałem przy nim i spuściłem kobiecie łaskę na głowę. Jej hełm przyjął na siebie siłę ciosu, choć zobaczyłem, że z bólu zaciśnęła zęby. Poza tym na tyle rozproszyłem jej uwagę, że Gio mógł odtrącić jej miecz na bok. Zamachnąłem się drugim końcem laski i pchnąłem ją w gardło. Upadła, krztusząc się.

Walki nigdy nie wyglądały ładnie.

Zostało ich czworo. Uformowali szyk pomiędzy nami a gubernatorem. W świetle rzucanym przez lampy widziałem błyski wystraszonych oczu. Jego szerokie barki były luźno otulone szatą, miał bujne, potargane, siwe włosy i rzadką brodę. Coś w twarzy gubernatora kojarzyło mi się z kozami, które widywałem na górskich zboczach rodzinnej wyspy. Nie był młody, ale też nie stary. Niewątpliwie spodziewał się, że będzie rządził jeszcze wiele lat.

Wciąż było to możliwe. Linia gwardzistów szła na nas z mieczami w gotowości. Znow sięgnąłem po pomoc do moich kości i znow nie poczułem w nich nic oprócz znużenia. Kiedyś mówiłem Emahli, że byłbym gotów walczyć z tysiącem armii, żeby tylko znaleźć się u jej boku. Roześmiała się i pocałowała mnie w policzek.

– Jovisie, przecież nie jesteś wojownikiem.

– Dla ciebie bym nim został.

Wówczas sądziłem, że mogę to osiągnąć dzięki nadziei i sile woli. Teraz znałem już ograniczenia swojego ciała, umysłu i serca.

Ponad nami słyszałem krzyki i brzęk metalu o metal. Podeszli kolejny krok. Zastanawiałem się, czy rozpoznają mnie albo Gio z plakatów. Mogliby się wtedy zawahać, ale i tak nie skończyłoby się to dla mnie dobrze. Bez pomocy Gio dysponowałem tylko podstawowymi zdolnościami posługiwania się bronią. Ściąłiby mnie jak kępę nadmiernie wyrosniętej trawy. I nie mógłbym ich winić za to, że po prostu wykonują swoją pracę.

Uniosłem łaskę do bloku, gdy jeden z gwardzistów zamachnął się na mnie. Rozległ się brzęk, który zawibrował w korytarzu i w mojej ręce. Zadrżały mi kości. Zanim zdążyłem zareagować, mężczyzna podszedł znow o krok, w obręb mojej gardy,

i chwycił za moją łaskę. Wyrwał mi ją z uścisku i odrzucił tak, że przejechała po podłodze. Wielką dłonią złapał mnie za przód koszuli. Szamotałem się, ale on trzymał mnie mocno.

Pozostałych trzech zbrojnych otaczało Gio. Walczył jak huragan, błyskając ostrzami, tu blokując cios, tam raniąc przeciwnika w rękę. Ale gwardziści byli nieugięci. Napierali na niego, aż pot zaczął mu kapać ze skroni.

Co robili teraz Bezkostni? Czy szli nam z pomocą?

Jako przemytnik nigdy nie musiałem polegać na nikim innym. Nie wiedziałem, dlaczego teraz liczę na wsparcie. Zacisnąłem zęby i najmocniej jak umiałem kopnąłem trzymającego mnie mężczyznę. Stęknął, gdy został trafiony, ale zamiast puścić, otoczył mi ramieniem gardło i zaciskał chwyt, aż na skraju pola widzenia zrobiło mi się ciemno.

Przez tę mgłę ujrzałem, jak Gio zabija wartowniczkę, przejeżdżając jej sztyletem po gardle. A później obserwowałem bezradnie, próbując szarpać palcami, jak jedna z pozostałej dwójki uderza Gio w policzek ręką broni. Buntownik zatoczył się, ale upadł dopiero wtedy, gdy ostatni ze strażników wbił mu stopę w żołądek.

Zapadła cisza. Gubernator wyprostował się, zaciągnął mocniej poły szaty, poprawił pasek. Choć nasza kłeska wydawała się nieunikniona, wciąż stanowiła szok. Mephi... W odpowiedzi w ciele nie wezbrała mi żadna moc.

Trzymający mnie człowiek odchrząknął.

– Czy powinniśmy ich przesłuchać? – zapytał.

Gubernator pokręcił głową.

– Nie ma czasu. Musimy odejść, zanim dostaną się tu buntownicy. Zabić ich.



35

Lin

Wyspa Cesarska

On wie.

Przygryzałam wargę, aż zaczęła krwawić, wbijałam paznokcie w swoje boki. Coś zrobiłam, coś powiedziałam, nie zauważyłam jakiegoś konstruktu szpiegowskiego. Coś go zaalarmowało i teraz wszystko było nie tak. Miałam ochotę płakać. Wrzeszczeć.

Ciało Ilith oklapło przede mną, obwisła jej twarz, kończyny skurczyły się pod nią. Już nic więcej nie mówiła. Nie miałam pewności, czy wciąż to potrafi. Stawała się miękka, elastyczna, nawet jej egzoszkielet tracił sztywność. W jej rozpadzie dostrzegałam coś jednocześnie straszliwego i znajomego.

Tamtej nocy, gdy Bayan do mnie przyszedł, zapamiętałam, jak jego zębra ustępowały pod moim dotykiem, gdy ostatkiem tchu prosił mnie o pomoc, jak skóra łuszczyła mu się pod oczyma.

Czy ojciec zrobił Ilith to samo co Bayanowi? Nie – nie uczynił nic, by doprowadzić do rozpadu Konstruktu Szpiegów. To było moje dzieło. To ja nie zdołałam prawidłowo przepisać jej rozkazów. Wbijałam sobie paznokcie w dłoń, nie mogłam oddychać. Ojciec nie zdołał prawidłowo przepisać rozkazów Bayana.

Bayan był konstruktem.

Ledwo mogłam ogarnąć tę koncepcję umysłem. Przecież był rzeczywisty, nie wyglądał jak istota poskładana z kawałków zwierząt. Ale musiano go zszyć z elementów ludzi i magia kości wygładziła szwy, a na jego kościach zapisano rozkazy.

Nie mieszkalam w pałacu, mieszkalam w domku dla lalek zbudowanym przez mojego ojca, w cmentarzu dla żywych. Choć legowisko Ilith było rozmiaru sali jadalnej, miałam wrażenie, że miażdży mnie ciężar otaczających skał. Skoro wiedział, to dlaczego pozwalał mi to ciągnąć? Czy był to jakiegoś rodzaju test? I jeśli Bayan nie był źródłem choroby, to skąd ją złapałam? Łzy zebrały mi się w oczach, choć nie wiedziałam dlaczego. Płakałam nad Bayanem czy nad sobą?

Ilith leżała w bezruchu. Nie wiedziałam, jak przywrócić jej funkcjonowanie i nie byłam pewna, czy przed świtem domyślę się, jak to zrobić.

Myśl. Musiałam myśleć. Odepchnąć od siebie grozę, zaakceptować prawdę, przejść do następnego kroku. Kradzież kluczy była bezcelowa. Zanoszenie ich do Numeena, żeby je kopiował, było bezcelowe.

Numeen.

Nawet jeśli to wszystko stanowiło test i zdałam go, to swoimi działaniami ujawniłam zdrację pośród obywateli. Być może Bayan miał rację i ojciec nie zbije mnie za okazaną zuchwałość, za to, że przeliczyłam się z siłami. Ale Numeen nie wywinie się tak łatwo. Z trudem wciągnęłam powietrze. Albo jego rodzina.

Wyciągnęłam dłoń do twarzy Ilith. Gdybym przed świtem wymyśliła, jak ją naprawić, mogłabym dalej ciągnąć swój plan, wciąż udawać...

Jej ciało było chłodne pod moimi opuszkami. Znieruchomiałam. Co ja robiłam? Jeśli mi się nie uda, nie tylko ja za to zapłacę. A nawet gdyby mi się udało, nie da się stwierdzić, czy jeszcze kiedyś będę miała okazję zobaczyć się z Numeenem. Znałam już prawdę i ojciec mógł mi ją wyczytać z twarzy. Tak długo parłam przed siebie, kierując się tylko jednym celem: dowieść ojcu, że nadaję się na jego dziedziczkę. Dowieść, że mogę być cesarzową tak jak on. Poczułam w piersi tępy ból. Tyle zrobiłam, a jednak wciąż nie zdołałam zasłużyć sobie na jego miłość albo aprobatę. Jakie znaczenie miały moje wspomnienia? Wciąż byłam jego córką. Niemal zmusiłam Numeena, żeby mi pomógł. Nie dotrzymałam mojej strony umowy, a jednak zaprowadził mnie do swojej rodziny. Okazali mi życzliwość.

Powinłam była włamać się do Bayana, oddać Numeenowi i jego rodzinie odłamki, gdy miałam okazję, i niech Bezkresne Morze pochłonie ryzyko. Mogliby stąd wyjechać, uciec na jakąś wyspę leżącą na obrzeżach cesarstwa lub znaleźć schronienie wśród Garstki Bezkostnych. Złożyłam zbyt wiele fałszywych obietnic, powiedziałam zbyt wiele kłamstw.

Nie miałam pojęcia, jak to naprawić, ale musiałam spróbować. Jak mogłabym zostać cesarzową, której potrzebowali, jeśli nieustannie starałam się być jakąś dawną wersją samej siebie?

Ojciec zapewne wciąż spał. Miałam czas. Zostawiłam ciało Ilith na podłodze i rzuciłam się do drzwi. Serce dudniło mi w rytm każdego kroku – w górę, w górę, opuścić starą kopalnię i wrócić do przechowalni odłamków. W pałacu panowały cisza i spokój. Mój własny świat legł w gruzach, ale świat wokół mnie pozostał niezmienny. Próbowałam oddychać miarowo, gdy zamykałam i ryglowałam za sobą oboje drzwi.

Jeszcze jedno zadanie, zanim odejdę. Stawiałam kolejne kroki, mknąc korytarzami, aż dotarłam do pokoju Bayana. Zastukałam do nich tak mocno, że obudziłabym umarłego.

Otworzył drzwi z mętym wzrokiem, a ja poczułam się, jakby imadło zaciskało mi się na sercu. Wciąż nie potrafiłam do końca w to uwierzyć. Nie miałam jednak czasu do stracenia. Przepchnęłam się obok niego do środka.

– Dlaczego ty...

Jego pokój był schludny i zorganizowany – czy ojciec zapisał mu to w kościach? Łatwo było znaleźć nieużywane odłamki leżące rzędami na biurku. Zaczęłam je przeglądać.

– Ej – odezwał się z tyłu Bayan. – Korzystam z nich. Co ty robisz?

– Nic – odparłam, po czym zgarnęłam kość Numeena i wsadziłam ją do kieszeni w szarfi. – Wracaj spać.

Złapał mnie za rękę.

– Budzisz mnie, buszujesz mi w pokoju, a potem każesz znów spać?

Nie pamiętał. Z jego strony wyglądało to tak, że wciąż byliśmy rywalami. Popatrzyłam mu więc prosto w oczy i zastanawiałam się, co powiedzieć.

– Przykro mi, że mój ojciec cię bije. Nie powinien. Bardzo mi przykro.

Otworzył szeroko oczy, a jego palce zwiotczały.

– Skąd ty...?

Ale już wyszłam i delikatnie zamknęłam za sobą drzwi. Zostawała mi tylko nadzieja, że nie powie ojcu. Dotarłam do głównego wyjścia z pałacu, bo przecież jakie to miało teraz znaczenie, którędy wychodzę, skoro konstrukty szpiegowskie nie miały komu składać raportów?

Na ulicach miasta panowała cisza, zalewał je szary księżycowy blask. Nie padało, ale lekka mżawka ozdobiła moje rzęsy srebrnymi kropelkami. Próbowałam przypomnieć sobie zakręty prowadzące do domu Numeena, a serce podchodziło mi do gardła. Jeśli będę miała szczęście, zdążę tam dotrzeć, a później wrócić i naprawić Iliith.

Najpierw znalazłam warsztat kowala. Drzwi i okiennice zamknięte i zaryglowano, w środku nie paliło się światło. Próbowałam zorientować się w terenie. Gdy Numeen prowadził mnie do swojego domu, ulice wciąż były oświetlone, a z okolicznych budynków niesły się odgłosy i zapachy przygotowywanych kolacji. Skreśliśmy w prawo, tyle pamiętałam. Każdy mój krok wydawał się naznaczony wahaniem, jakby ciemność była całunem, przez który musiałam się przebić.

Rozpoznałam jednak narożnik domu z ozdobnymi rynnami, kolejną ulicę z nierównym brukiem, budynek z drzwiami we wnęce. Przez cały ten czas serce biło mi tak, jakbym biegła, oddychałam chrapliwie. Chłodna wilgoć obecna w powietrzu spotykała się z wilgocią mojego potu i łączyła na karku w bagnistą mieszankę.

Tam.

Nie byłam pewna, jak jest późno, ale bez zastanowienia chwyciłam za klamkę i zorientowałam się, że jest zamknięte. Oczywiście.

Zapukałam.

Odpowiedziała mi jedynie cisza. Zastukałam znowu, tym razem głośniejsze, i czekałam. Coś zaskrzypiało nade mną, przez okiennice przebił się stłumiony blask. Usłyszałam szelest stóp na drewnie. Spod drzwi wylała się odrobina światła.

A co, gdyby to był jeden z konstruktów mojego ojca? Jeśli Bayan nie był prawdziwy, nie mogłam już mieć pewności, co jest rzeczywiste, a co nie. Zacisnęłam mocno powieki i potrząsnęłam głową, próbując zrzucić z siebie strach. Postanowiłam zaryzykować.

– Numeenie, to ja.

Długie odetchnięcie, a później grzechot klamki. Numeen otworzył z niepewną miną, lewą dłonią unosił lampę. Jego czoło zmarszczyło się, nadając twarzy wyraz pomiędzy irytacją a zdezorientowaniem, wargi miał zaciśnięte i przekrzywione na bok. Nie cieszył się z mojego widoku, odsunął się jednak, żeby mnie wpuścić.

– Nie powinnaś przychodzić do mojego domu. Tylko do warsztatu.

Nie weszłam. Czy moja twarz pobladła tak, jak mi się wydawało?

– Proszę. – Sięgnęłam do kieszeni w szarfie i wyciągnęłam papierowy pakiecik, w który zawinęłam odłamki. – Twój i twojej rodziny. Musicie natychmiast opuścić Cesarską. Uciekajcie najdalej stąd, jak to możliwe. Poza zasięg cesarstwa.

Nie musiał umieć czytać twarzy, by dostrzec w mojej to, co trzeba.

– Coś się stało – powiedział.

Potwierdziłam skinieniem.

– Mój ojciec. On wie.

W tym momencie na obliczu Numeena na dobre zagościła zawziętość. Przesunął wzrok na bok od drzwi. Wyciągnął rękę i podniósł coś ciężkiego. Młot. Nie taki, jakiego używał do prac kowalskich. Podał mi paczuszkę z odławkami.

– Obudź moją rodzinę – polecił. – Powiedz im, żeby spakowali najważniejsze rzeczy. – Zamknął drzwi, przekręcił zamek i podłożył krzesło pod klamkę.

Czy można było umrzeć z poczucia winy?

– Przepraszam – powiedziałam. Wyglądało na to, że przychodziłam do tego domu tylko po to, by sprowadzać tu niebezpieczeństwo i przepraszać.

Nic nie odrzekł.

Zacisnęłam szczęki. To było samolubne z mojej strony, żeby domagać się wybaczenia. Słowa nie mogły im teraz pomóc. Wbiegłam po schodach i zaczęłam stukać w drzwi i ściany, wołając cicho:

– Musicie wstawać. Już. Zbierzcie rzeczy.

Dorośli przebudzili się pierwsi, później dzieci, a matka Numeena jako ostatnia. Czułam się jak pies podgryzający owcom kostki, by ostrzec je przed wilkami. To ja sprowadziłam im wilka na próg. Głupia Lin, której wydawało się, że może mieć sekrety w pałacu ojca. Z początku poruszali się powoli, a potem szybciej, pakowali torby, uciszali dzieci. Thrana, córka Numeena, trzymała w dłoniach swojego papierowego żurawia, przez ramię miała przewieszoną małą torbę i patrzyła wielkimi, zdezorientowanymi oczyma.

– Idźcie na dół – powiedziałam im. – Numeen jest przy drzwiach.

Zrobiłam pierwszy krok, gdy dom się zatrzęsł.

Drewno pękało z hukiem głośnym niczym odgłosy pioruna. Zamarłam przy schodach. Mięśnie zacisnęły mi się tak mocno, że bolały. Numeen coś krzyczał, ale nie potrafiłam rozróżnić słów. I nagle obróciłam się, czując, jak kręci mi się głowie, po czym rozłożyłam ręce, jakbym mogła ochronić nimi tych ludzi. Wpatrywali się we mnie.

– Okno – wykrztusiłam z trudem. Spróbowałam znowu: – Musicie wyjść przez okno. – Obrócili się w odpowiednią stronę.

Nie okazałam się dość szybka. Zawsze byłam zbyt wolna, zawsze o krok do tyłu.

Nie. Nie tym razem. Zanim zdążyłam się zastanowić, rzuciłam się na dół, biegnąc po dwa stopnie. Gdy zatrzymałam się u stóp schodów, musiałam przypomnieć sobie, żeby oddychać.

W zniszczonych drzwiach stał Tirang ze szponami wilgotnymi od krwi.

Podczas walki przewróciła się lampa, płomienie lizały ścianę, światło odbijało się od łysej głowy kowala. Był zakrwawiony, ale stał z młotem w gotowości, na rozstawionych nogach. Nie był wojownikiem, ale nie brakowało mu siły. Tirang był od niego przynajmniej dwukrotnie cięższy.

Konstrukt Wojny uniósł rękę.

– Nie! – Równie dobrze mogłabym być skowronkiem śpiewającym bezskutecznie w noc.

Szpony Tiranga opadły. Numeen odsunął się w bok, zamachnął młotem i trafił konstrukt w żebra. Tirang stęknął, lecz wolną dłonią chwycił obuch młota. Odepchnął broń i wbił zęby w bark kowala.

Mężczyzna wydał z siebie chrapliwy okrzyk bólu.

Rodzina Numeena była zbyt liczna. W jej skład wchodziło czworo dzieci i starsza kobieta. Wciąż przełażą przez okno, ześlizgują się po dachówkach, szukają sposobu, żeby zejść po rynnicy na ziemię.

– Ej! – Podniosłam z podłogi drewnianą drzazgę i cisnęłam najsilniej jak umiałam w głowę Tiranga. Odbiła się od jego czaszki. Warknął i puścił Numeena. Musiałam tylko kupić im dość czasu.

– Lin – powiedział.

Nigdy dotąd nie byłam obiektem uwagi Tiranga, nawet w chwilach, gdy wzbudzałam niezadowolenie ojca. Wiele mnie kosztowało, żeby pozostać na miejscu, gdy kroczył ciężko ku mnie, wyciągając miecz zza pasa. Wciąż zdołałabym przepisać jego rozkazy, gdybym działała wystarczająco szybko.

– Nie powinnaś tu być.

Gdy tylko znalazł się blisko, zareagowałam, pochylałam się pod jego mieczem i wyciągnęłam dłoń w stronę jego korpusu. Upuścił miecz i złapał mnie za nadgarstki. Pazury drapały mi skórę, gdy próbowałam się wyrwać.

– Stoisz mi na drodze. – Przeszukiwał wzrokiem strop, gdy jego rozkazy ustawiały się w odpowiedniej kolejności, określając przebieg działania.

Numeen podniósł się na nogi i wykonał kilka chwiejnych kroków w stronę schodów. Krew lała mu się z barku.

Zaparło mi dech, gdy Tirang rzucił mną na bok. Tak mocno, żeby zabolalo. Tak mocno, żeby zrobiły mi się siniaki.

Ale wyglądało na to, że jego gniew nie był przeznaczony dla mnie.

– Stój! – Mój głos nie był głosem mojego ojca. Tirang się nie podporządkował. Znow podniósł miecz.

Numeen słyszał, że konstrukt idzie. Zamachnął się młotem, chybił.

Tirang pchnął mieczem w ciało kowala, szybko i skutecznie. Wyszarpnął klingę, nie zaszczycając Numeena drugim spojrzeniem, już kierował się do drzwi, do kolejnego zadania.

Moja wina. Język miałam otępiąły i ścierpnięty. Czułam smak krwi.

– Zaczekaj! – Musiałam spróbować dwa razy, żeby podnieść się na nogi. Wszystko mnie boleło.

Zatoczyłam się do drzwi, ale Tirang już zniknął.

– Proszę! – Nie byłam pewna, do kogo to mówię. Potknęłam się o kamień brukowy i przytrzymałam ściany domu. Wyplułam na ziemię krew. W uszach mi dzwoniło. Ktoś wrzeszczał.

Musiał istnieć jakiś sposób. Wciąż musiał istnieć. Wyszłam zza rogu domu.

Wierzyłam w to, dopóki nie ujrzałam krwi. Dopóki nie ujrzałam ciała.

Żona Numeena. Jego brat i mąż brata. Matka, bratanek. Jego dzieci. Przyklękłam przy małym ciałku Thrany. Wciąż ścisłała w rączce papierowego żurawia, a krew z jej rozciętego gardła zaplamiła ptasie skrzydła czerwienią. Podniosłam go. Moje potrzeby zawsze wydawały się wypływać z desperacji. Zawsze sprawiały wrażenie ważniejszych niż potrzeby innych. Żółć podeszła mi do gardła, na języku poczułam gorzki smak.

Okłamywałam samą siebie.

– Nie mogłaś ich ocalić.

Ojciec. Paskudna gorycz w gardle zamieniła się w lód.

Czy ośmielę się obrócić? Czy ośmielę się w ogóle na niego spojrzeć? Jakoś zebrałam strzępki odwagi. Nie wyglądał na rozgniewanego ani nawet na rozczarowanego.

– Dobrze ci poszło z Maugą i Uphilią. Niemal poradziłaś sobie z Ilith. Ale jej rozkazy są skomplikowane i choć uczyłaś się pilnie, ja zajmuję się tym całe życie. Ilith jest jednym z moich najwspanialszych tworów.

Gorące łzy lały mi się po policzkach i nie potrafiłam zebrać siły, żeby je wytrzeć.

– Nie musiałeś ich zabijać.

– Musiałem. Byli zdrajcami cesarstwa.

Dla niego było to takie proste.

– Ale Ilith nie jest moim najwspanialszym tworem. – Wpatrywał się w moją twarz, jakby czegoś w niej szukał. Gdy tego nie znalazł, skinął lekko głową i rozłożył ręce. – Jeśli przepisujesz rozkazy w konstrukcie, muszą one pozostać w harmonii. Muszą mieć sens zebrane razem. Wyrwanie jakiegoś polecenia z tej harmonii jest jak wyciągnięcie kilku cegieł ze spodu wieży. Wieża zaczyna się chwiać i czasami się przewraca. Analogicznie konstrukt przestanie funkcjonować, jeśli jego rozkazy przestaną pozostawać w stanie równowagi.

– Bayan. – Podniosłam papierowego żurawia i obróciłam się do ojca. Zamierzałam rozerwać go na strzępy własnymi rękoma, jeśli okaże się to konieczne. Będzie musiał zmusić Tiranga, żeby mnie zabił.

– Tak – odparł. Podeszedł bliżej z pomocą laski, wyraźnie utykając. Jeden, dwa, trzy – stukot odbijał się echem od ścian domu Numeena. Stanął przede mną i choć opierał się na lasce, wciąż nade mną górował. W młodości musiał siać strach. – Ale nawet Bayan nie jest moim najwspanialszym tworem.

Choroba. Nikt jej nie przywiózł, bo nie była prawdziwa. Moje wspomnienia. Te, których nie miałam.

„On tam hoduje istoty, Lin. On hoduje... ludzi”.

Walczyłam z grozą wyrrywającą mi się z żołądka. Ścięła mi się w gardle w postaci wrzasku, ale nie wrzeszczałam. Byłam Lin. Byłam córką cesarza. Nie chciałam, żeby to okazało się prawdą.

– Wciąż nie jesteś do końca idealna.

I wtedy coś uderzyło mnie w tył głowy.



36

Phalue

Wyspa Nephilanu

Cela była zimna i wilgotna, choć nie tak zła, jak Ranami wcześniej sądziła. Phalue przesunęła się na pryczy i zabębniła palcami w drewno. Nie do końca „wyjaśniła to” z ojcem tak, jak przypuszczała. Ojciec, zawsze sprawiający wrażenie ciepłego i leniwego jak popołudnie w porze suchej, okazał się zimny, gdy strażnicy mu ją przyprowadzili.

– Co to za historia o twojej wyprawie na jedną z plantacji orzechów caro? Nie wspominałaś, że chcesz ją odwiedzić. – Siedział na końcu stołu w sali jadalnej iłożył przed sobą dłonie. Na blacie nie było żadnych potraw ani napitków. – Mówiłaś, że idziesz spędzić popołudnie z Ranami. Poszła tam z tobą?

Phalue pokręciła głową. Nie zamierzała wmieszać w to również Ranami, nieważne, jak bardzo mogła się na nią złościć. Choć Ranami protestowała, że Phalue nie rozumie, ta rozumiała na pewno tyle, że jej ukochana poniosłaby znacznie gorsze konsekwencje.

– Byłam sama.

Ojciec jeszcze bardziej zmarszczył brwi.

– W dniu, kiedy się tam pokazałaś, skradziono cztery skrzynki orzechów caro. Nic innego się nie zmieniło. I choć nadzorca wahał się mi to powiedzieć, podobno kazałaś im uganiać się po lesie za nieistniejącymi bandytami. Co mam o tym myśleć?

– Oskarżasz mnie, że cię okradłam? – Nietrudno było zawrzeć w głosie niedowierzanie. – Dlaczego miałabym to zrobić?

– Nie wiem – odparł tonem dającym Phalue znać, że rzeczywiście ją oskarżał. – Nie potrafię tego rozwikłać. Za długo pozwalałem ci biegać samopas: chodzisz do miasta, żeby widywać się z matką, uczysz się walczyć, a teraz włóczysz się po plantacjach. Nie jesteś jeszcze gubernatorką.

Nie zdołała się powstrzymać. Roześmiała się. Może gdyby zachowała milczenie, gdyby tylko udawała dalej zdezorientowaną, nie znalazłaby się w tych tarapatach. Ona jednak się roześmiała.

– Ojcie, sam nie robisz żadnej z tych rzeczy, a jesteś gubernatorem. Skinął głową gwardzistom.

– Przemysłisz to sobie, kochanie. Tylko że nie tutaj.

I teraz siedziała w trzewiach pałacu, tuż na lewo od piwniczki z winami, znudzona i zła na siebie. Nie była nawet pewna, dlaczego się na siebie złości – czy za to, że zadawała się z buntownikami i wzięła udział w intrygach Ranami, że dała się złapać, czy po prostu za to, że była tym, kim była. Nigdy nie prosiła o to, żeby została dziedziczką. Phalue zastanawiała się, czy do jej matki dotarły wieści. Byłaby wściekła na ojca, ale po rozwodzie stała się zwykłą kobietą z gminu. Niewiele mogła zrobić.

Zza kompleksu cel dobiegły odgłosy kroków. Nie było tu żadnych okien, za jedyne źródło przyćmionego światła służyła lampa wisząca przy głównych drzwiach, więc Phalue nie miała pewności, jaka jest pora. Czas na śniadanie? Czy może na obiad? Tak naprawdę pewnie nie miało to znaczenia, uznała.

Tythus otworzył zewnętrzne drzwi i wniósł dużą, parującą miskę.

Phalue usiadła.

– Śniadanie? – zaryzykowała.

– Obiad – odparł Tythus. Przyjrzał się małemu otworowi u dołu kraty, westchnął i odpiął od pasa kółko z kluczami. Otworzył zamek w celi i podał Phalue miskę.

Makaron pływał w bulionie z owoców morza, przybrany parującymi warzywami. Zapach przywołał bolesne wspomnienia o czasach, kiedy Phalue była dzieckiem i jadła zupę z matką, gdy deszcz bębnił o dach. Zapomniała już, jak wyglądała pora deszczowa.

– No ale bez imbiru? – zapytała, krzywiąc się.

Tythus parsknął krótko śmiechem, ale szybko spowaźniał. Powietrze tu na dole było nieprzyjemne. Phalue przyglądała się jego twarzy, gdy opuszczał celę i zamykał znów za sobą kratę. Nie. To nie była kwestia wilgoci i chłodu. Na kamieniu przy szczelinie u dołu kraty widniały zadrapania, zupełnie jakby ktoś tamtędy wielokrotnie wsuwał jedzenie.

– Nie jestem pierwszą więźniarką, którą obsługujesz, prawda?

– Na pewno najhojniej traktowaną – odparł, po czym pokręcił głową. – Zapomnij, że to mówiłem. Jesteś dziedziczką. To twoje prawo.

Zupa nie pachniała już smakowicie. Oczywiście, że cela nie okazała się tak zła, jak obawiała się Ranami, bo była przeznaczona dla Phalue. Rozejrzała się i zauważyła rzeczy, których nie widziała wcześniej. Słoma leżąca na podłodze została świeżo wysypana. Pościel na pryczy była miękka w dotyku. Nawet sama prycza wyglądała, jakby położono na niej grubszy materac. Phalue miała dziwne, oszałamiające wrażenie, że wróciła do tamtego magazynu pełnego robotników, w którym łóżka poustawiano jedno nad drugim i w którym wisiała woń zbyt ciasno upakowanych ludzi.

W porównaniu z tym cela wydawała się przestronna. Zawsze, zawsze miała lepiej. Nawet gdy się urodziła. Matka pochodziła z gminu, ale nieważne, jak zaciekle Phalue trzymałaby się tej strony swojego pochodzenia, ona sama urodziła się wśród szlachty. Jej sparingi, związek z Ranami, wypadły do miasta – wszystko to wzbudziło w niej iluzję, że jest kimś zwykłym, że jest inna niż ojciec.

Tymczasem siedziała tu, oskarżona o kradzież, na pościeli z wybornego lnu, z miską zupy z pałacowej kuchni. Zupełnie jakby tylko odgrywała rolę więźniarki. I czy tak nie było? Co ojciec zrobi z nią, swoją jedyną dziedziczką? Chodziło wyłącznie o to, żeby ją nastraszyć, pokazać jej, gdzie jej miejsce. Gdy ojciec uzna, że spędziła tu już dość czasu, wyciągnie ją i nakaze, żeby to się nie powtórzyło.

Tythus obrócił się do drzwi.

– Zaczekaj – rzekła. Odstawiła miskę na podłogę.

Posłuchał polecenia wydanego przez więźniarkę.

– Opowiedz mi o innych, których obsługiwałeś. Kim byli? – Nie, to nie było prawidłowo postawione pytanie. Tamci nie trafili do celi z własnej woli. Spróbowała znów, zanim mężczyzna zdążył odpowiedzieć: – Co mój ojciec im zrobił?

– Przede wszystkim próbowali go okradać. Jak ty. – Oparł się o ścianę i przyłożył policzek do kraty. Westchnął. – Na pewno chcesz wiedzieć?

– Proszę.

Zatem opowiedział jej o obszarpanych ludziach przyprowadzanych tu i trzymany w tych celach. O ludziach uważających, że władza gubernatora nad własnością ziemską jest niesprawiedliwa. O ludziach, którzy chcieli trochę poprawić los swój i swoich rodzin. Oczywiście, że nie dostawali pościeli. Nie dostawali w ogóle pryczy. Spali na słomie i otrzymywali małe porcje starego, popekanego ryżu. Nie miało zresztą znaczenia, co jedli, bo jeśli ich rodziny nie były w stanie zapłacić grzywny, wieszano ich. Tythus pomagał wyrzucać ciała do rowu w lesie, nocami, żeby nie niepokoić gości ojca.

– Jak często to się dzieje? – spytała Phalue. Na zewnątrz znów musiało padać, bo za jej plecami zaczęło kapać z sufitu.

– Dość często. Tylko bardzo nieliczni z nich mogą zapłacić. To dlatego w ogóle kradną.

Phalue przesunęła się na pryczy, czując, jak skrzypią jej kości. Zupa na podłodze wciąż parowała. Miała wrażenie, że minęła cała epoka, a nie tylko krótka chwila, w czasie której jedzenie nie zdążyło ostygnąć.

– Nie zgadzasz się z postępowaniem mojego ojca, a jednak wykonujesz jego rozkazy.

– Nie jestem z siebie dumny – odrzekł Tythus, a Phalue nigdy dotąd nie widziała na jego twarzy takiego napięcia. – Też mam rodzinę. Gdybym przestał wykonywać swoją pracę, ucierpieliby na tym. Mój ojciec uprawiał orzechy caro i powiedziałem sobie, że nie podążę tą samą ścieżką. Zatem pracowałem ciężko i zamiast tego zostałem gwardzistą pałacowym. Ci z nas, którzy nie urodzili się w lepszych rodzinach, nie mają większego wyboru. Tak, czasami kupcy i rzemieślnicy są bezdielni i wtedy przygarniają kogoś, żeby przejął ich fach, ale na to są bardzo niewielkie szanse. Posada strażnika wydawała mi się o wiele pewniejsza.

Phalue z zaskoczeniem uświadomiła sobie, że nigdy nie słyszała nic o ojcu Tythusa. W sumie nie wiedziała nic o jego rodzinie. Przeszukała wspomnienia. Choć tyle razy ze sobą ćwiczyli, zawsze to on wypytywał o jej związki, za jaką nową kobietą się ugania, jakie ma kłopoty z Ranami. Nie przyszło jej do głowy, żeby to odwzajemnić.

Poczuła, jak wywraca jej się żołądek. To była jego praca: sparingi z nią, wysłuchiwanie jej.

– Nie wiedziałam – powiedziała cicho. – O twoim ojcu. I o twojej rodzinie.

Uśmiechnął się do niej krzywo, łobuzersko.

– Nie jest twoim zadaniem to wiedzieć.

Zacisnęła powieki, żałując, że nie może się cofnąć, zrobić pewnych rzeczy inaczej.

– Nie obchodzi mnie, co jest moim zadaniem. Powinam być ci przyjaciółką.

Przyjaciele wiedzą o sobie takie rzeczy. Po prostu nie zainteresowałam się na tyle, żeby się dowiedzieć. Interesowałam się tym, co u ciebie, ale niewystarczająco.

– Wiem, że pomagasz sierotom, gdy chodzisz do miasta. Jesteś dobrą osobą. Nie bądź dla siebie zbyt surowa.

Phalue zacisnęła palce na miękkim lnianym bielizny.

– Jeśli nie będę dla siebie surowa, to kto będzie? Ty? Mój ojciec?

Tythus wzruszył ramionami, wyjął wargi i przyglądał się kapiącemu sufitowi.

– Ranami – stwierdził.

Roześmiała się. Tak, Ranami postulowała to, niemal odkąd były razem. Nalegała, żeby Phalue przyglądała się otaczającym ją ludziom, żeby otworzyła oczy na cierpienie robotników rolnych.

– Tak, przynajmniej ona.

– Pogodziłaś się z nią? – zapytał mężczyzna, zupełnie jakby wciąż ćwiczyli na dziedzińcu.

– Nie w pełni. Byłam wystarczająco dobra, żeby ją zdobyć. Nie wiem, czy jestem wystarczająco dobra, żeby ją zatrzymać. Próbuję, ale droga, jaką według niej powinienam podążać, jest błotnista i pełna cierni. Nie przywykłam do tego. – Łatwiej byłoby jej wrócić do tego, jaka była wcześniej, zapomnieć o tym, co widziała na plantacji, posługiwać się tymi samymi usprawiedliwieniami, co jej ojciec. Powtarzała sobie, że miała ciężkie życie. Że zapracowała na wszystko to, co miała. Że zasłużyła na to. Ale to będzie najtrudniejsza rzecz w jej życiu. Zwiesiła nogi z pryczy i obróciła się do Tythusa. Zduśliła głos wrzeszczący gdzieś w jej umyśle, żeby dała sobie spokój, żeby działała dalej tak, jakby nic się nie stało. Z własnej woli wstąpiła na drogę usianą cierniami. – Gdybyś musiał wybierać pomiędzy mną a moim ojcem, kogo byś wybrał?

– Ciebie. – Powiedział to poważnym tonem, bez najmniejszego wahania.

– A inni?

– Trudno mi stwierdzić ze stuprocentową pewnością, ale zakładam, że również ciebie, Phalue.

Zaczęła naprawiać sytuację – z Ranami, ze światem.

– Otwórz drzwi.



37

Lin

Wyspa Cesarska

Mój pokój był więzieniem. Drzwi prowadzące na balkon zostały zamknięte na klucz. Te wychodzące na korytarz również. Odrobina światła wpadała przez szczeliny w okiennicach i drzwiach, ale przez większość czasu panowała ciemność. Miałam tylko dwie płonące słabo lampy. Leżałam w łóżku, wpatrzona w sufit. Ostatnim, co pamiętałam, była roztapiająca się twarz Ilith i ja usiłująca ją naprawić. Staralam się przypomnieć sobie więcej, ale to jakbym próbowała uwolnić żyłkę na ryby po tym, jak uwięzła pomiędzy kamieniami. Każde pociągnięcie jedynie sprawiało, że wspomnienia zapadały się głębiej.

A było przecież więcej. Popatrzyłam na swoją dłoń, wciąż zaciśniętą, z nadzieją, że to wszystko w jakiś sposób okaże się snem. Ale gdy rozprostowałam palce, ujrzałam zakrwawionego żurawia Thrany. Nie wiedziałam, co boli bardziej: poczucie winy czy straty. Ojciec ich zabił, ale to ja go tam doprowadziłam.

A później uświadomiłam sobie, znowu z szokiem: byłam czymś, co on stworzył. To wyjaśniało tak wiele: dlaczego nie pamiętałam nic dawniejszego niż pięć lat wstecz, skąd wzięły się wspomnienia stropu w chryzantemy po przebudzeniu.

Uniosłam dłonie przed oczyma, zastanawiając się, jak to osiągnęłam. Bayan mówił, że on hoduje ludzi. Nie tylko jedną osobę. Czy nie byłam pierwsza?

Przycisnęłam dłoń do czoła. Bayan był konstruktem. Ojciec próbował coś w nim zmienić, tak samo jak ja próbowałam coś zmienić w Ilith. Tylko że poszło nie tak. A później Bayan pojawił się w moim pokoju i błagał, żebym mu pomogła i go ukryła.

Oboje zostaliśmy stworzeni przez mojego ojca.

W gnieździe Uphilli znajdowały się jednak zapiski dotyczące moich narodzin. Widniała tam również data śmierci. Jeśli nie byłam Lin Sukai, jeśli nie byłam córką cesarza, to kim byłam? Skuliłam się w kłębek pod kocami, czując w brzuchu ciemną, gnijącą pustkę. Czy dysponowałam własną wolą? Ojciec stworzył mnie w jakimś celu. I niezależnie od tego, jaki był ten cel, wiedziałam jedno: nie chciałam go poznać. Musiałam się wydostać.

Wstałam z łóżka, choć okazało się to sporym wysiłkiem. W piersi zalegał mi ciężar, zupełnie jakby wypchano mnie w środku kamieniami. Może zresztą tak było, bo co właściwie o sobie wiedziałam? Rozkwitł we mnie szaleńczy śmiech. Zdusiłam go, wzięłam kilka oddechów. Myśl. Być może ojciec mnie stworzył, ale nie byłam jakimś półgłówkiem. Podeszłam do drzwi i znów pociągnęłam za klamkę.

Były zamknięte.

Pierwszy raz, odkąd pamiętałam, żałowałam, że nie ma przy mnie Bayana. Byliśmy do siebie bardziej podobni, niż kiedykolwiek przypuszczałam. Moglibyśmy pomóc sobie nawzajem. Może zdołałabym zerknąć na odłamki, które nosił w sobie, uwolnić go od służby mojemu ojcu, znaleźć sposób na odblokowanie wspomnień wymazanych przez ojca.

Maszyna pamięci. Hodowla ludzi. Musiałam dowiedzieć się reszty.

Podeszłam do drzwi balkonowych, do okiennic. Zamknięte. Wszystkie. I za każdym razem, gdy dotykałam drzwi albo okiennicy, czułam ciężar porażki. Usiadłam znów na łóżku, czując pokusę, żeby zrzucić z siebie kurtkę oraz pantofle i ponownie się położyć. Może już raz to zrobiłam. Nie mogłam mieć pewności.

Dotknęłam czegoś piętą. Sięgnęłam w dół i wyciągnęłam spod łóżka dziennik w zielonej okładce. Nie ukryłam go starannie, ale ojciec rzadko przychodził do mojego pokoju. Nie wiedząc, co teraz zrobić, i zbyt wystraszona, żeby spróbować naprawić samą siebie, znów zaczęłam przeglądać strony.

Tym razem trafiałam na nowe szczegóły. Wycieczka nad górskie jezioro. Pogoda była nietypowo dobra, zapisałam. Ale skoro miałam wtedy szesnaście lat, oznaczało to, że wyprawa odbyła się w porze suchej, a wtedy pogoda zawsze była dobra. Ugryzł mnie wąż morski. Napisałam, że pływałam w zatoce. Gdy czytałam to za pierwszym razem, założyłam, że chodziło mi o port, ale dlaczego wtedy użyłam słowa „zatoka”, skoro nikt tak nie mówił na cesarski port? I wspomniałam też o rybie przygotowanej przez matkę. Dlaczego moja matka, małżonka cesarza, miałaby szykować rybę, skoro miała od tego służbę? Wcześniej pomyślałam, że być może po prostu lubiła gotować, zatem czasami zachodziła do kuchni, żeby sobie dogodzić. Zakładałam to wszystko, ponieważ podczas lektury dziennika chciałam uważać go za swoistą kronikę moich dawnych wspomnień. Tylko że nie było żadnej choroby, a ja nie straciłam pamięci. Zaczęłam tworzyć wspomnienia dopiero przed pięcioma laty, zatem wtedy właśnie ojciec musiał mnie stworzyć.

Dziennik, choć zapisany moją ręką, nie był mój. Chciałam, żeby był mój, pragnęłam tego z całą żarliwą tęsknotą skrzywdzonego dziecka. Bez niego miałabym jeszcze mniejsze pojęcie o tym, kim jestem. A przecież ojciec okazał zadowolenie, gdy

odpowiedziałam informacjami, które znalazłam w zielonej książeczce. Kto je zapisał? Kim miałam się stać w pragnieniach ojca? Miałam ochotę się tego dowiedzieć... ale drzwi były zamknięte.

Przycisnęłam dziennik do piersi i zgarbiłam się na skraju łóżka. Moje pantofle i kurtka nagle wydały się pozbawione sensu. Donikąd się nie wybierałam.

Rozległ się odgłos przy drzwiach. Chwilę później się uchyliły. Wepchnęłam dziennik z powrotem pod łóżko. Ojciec wkuśtykał do pokoju z laską, a w drugiej dłoni trzymał miseczkę gotowanego na parze ryżu z kurczakiem i kapustą sitowatą. Obserwowałam go, gdy podchodził do biurka i stawiał na nim naczynie. Później popatrzył na mnie i westchnął.

– Przykro mi, że tak to musi wyglądać.

– Czyli jak? – spytałam, starannie utrzymując obojętny wyraz twarzy.

– Musisz zrozumieć, że zanim wymyśliłem, co zrobić, moja żona... już dawno odeszła. Spaliłem jej ciało, posłałem jej duszę ku niebiosom. Zatem musiałem ograniczyć się do tego, co zdołałem znaleźć. I odszukać metodę pozwalającą zaradzić coś w tej sytuacji – oznajmił, jakby w ogóle mnie nie usłyszał. – Moja maszyna pamięci cię naprawi.

Chciałam na niego wrzeszczeć. O czym on w ogóle mówił? Czy ze swoją zmarłą żoną omawiał stworzenie mnie? Jediną rzeczą, jaka wymagała naprawy, było to, co we mnie zepsuł na ulicy miasta. Spróbowałam innego pytania:

– Dlaczego mnie nie wypuścisz?

Przez jego twarz przemknęło coś przelotnego jak cieniste skrzydełko ćmy.

– Nie powinnaś była tego robić, przepisywać moich konstruktów. Dobrze się spisałaś. Zorientowałem się dopiero po Uphilli. Wtedy wiedziałem już, że pójdziesz do Ilith, ale Ilith jest skomplikowana. Mimo to niemal ci się udało. Będę potrzebował trochę czasu, żeby ją odpowiednio zreperować. – Popatrzył mi prosto w oczy i nawet w tym momencie nie potrafiłam go nienawidzić.

Zepsuł już we mnie inne rzeczy, zanim zabił Numeena i jego rodzinę. Tym razem nie przejmowałam się, czy widział na mojej twarzy żal.

– Chciałam, żebyś był ze mnie dumny. Tak jak ojciec mógłby być dumny ze swojej córki. Robiłam wszystko, o co prosiłeś. Więcej niż prosiłeś. A jednak ty wciąż faworyzowałeś Bayana.

Obrócił krzesło stojące przy moim biurku i usiadł na nim. Splecione z trzciny siedzisko zaskrzypiało pod jego ciężarem. Machnął lekceważąco dłonią, jakby wszystkie lata mojego smutku były czymś, co można rozwiać niczym dym.

– Zawsze szło ci lepiej, gdy z kimś rywalizowałaś. I widzisz, miałem rację. Znalazłaś sposób, żeby mnie okradać. Znalazłaś sposób, żeby uczyć się rzeczy, od których cię odciąłem. Uczylaś się ich lepiej niż Bayan.

Wiedział. Przez cały ten czas, kiedy wydawało mi się, że jestem sprytna, że znalazłam metodę na obejście jego zasad, on obserwował mnie z milczącą aprobatą. Poczulałam ciężar w żołądku.

Patrzył na mnie, kiwając głową, jakby wiedział, o czym myślę.

– Tak, mogę ci wybaczyć, jeśli tylko naprawimy twoje wspomnienia i umieścimy w tobie te właściwe. Poczujesz się lepiej, ale musi jeszcze minąć trochę czasu. Aczkolwiek osoby, które ci pomagały, musiały zapłacić.

Bolała mnie głowa i piekły oczy. Całe moje postanowienie, żeby nic mu nie dać, żeby nie okazać mu nic z moich uczuć, utonęły pod falą gniewu.

– A Bayan? Jego też zabiłeś?

– Dlaczego miałbym to zrobić? Nie jest wersją ostateczną, ale jest przydatny. – Wstał raptownie i podszedł do mnie, stukając laską w podłogę.

Zacisnęłam pięści.

Powinłam go uderzyć, powinłam otoczyć jego szyję moimi małymi dłońmi. Ale nie potrafiłam. Siedziałam na łóżku i tylko patrzyłam na niego w nadziei, że w moim wzroku odczyta gniew.

– Lin – powiedział i wyciągnął dłoń, żeby dotknąć mojego policzka.

Nienawidziłam się za to, że wtuliłam się w jego dotyk. Pragnęłam tylko jego aprobaty, jego miłości. Pragnęłam czuć się jak córka, jak część rodziny. Było jednak coś dziwnego w tym jego dotyku, w tym, jak przesuwał palcami po mojej skórze.

– Przykro mi, że tak to musi wyglądać.

– Dlaczego musiałeś ich zabijać? Nie zrobili ci nic złego. – Pomyślałam, jak Numeen z wahaniem zgodził się mi pomagać, jak sprawnie pracował przy palenisku, jak przyprowadził mnie do swojego domu i pozwolił, żebym zjadła kolację z ludźmi, na których najbardziej mu zależało. – Nienawidzę cię. – Te słowa wydawały mi się na języku niczym ogień, wylewały się z pieca, którym stał się mój brzuch.

– Wcale nie, maleńka. – Czułość w jego głosie zdezorientowała mnie, zgasiła dalsze słowa, które mogłabym wygłosić, i na języku pozostał mi jedynie popiół.

Odwrocił się, żeby wyjść, a ja mu na to pozwoliłam. Nie byłam w stanie pogodzić się ze swoimi uczuciami, skoro nie mogłam opuścić tego pokoju, nie miałam szans zrobić czegokolwiek. Byłam jak marionetka narzekająca na sposób, w jaki dziecko porusza jej kończynami. Wtedy drzwi się zamknęły, a ja zerwałam się z łóżka. podbiegłam do nich, waliłam w nie pięściami. Skóra na dłoniach straciła czucie, a znajdujące się pod nią kości bolały. Powinłam była go uderzyć. Powinłam była go zabić.

W końcu osunęłam się na podłogę i zacisnęłam pięści na kolanach. Właściwe wspomnienia? Czym według niego były właściwe wspomnienia?

Dziennik. Zapisano tam wspomnienia osoby, która, jak wcześniej sądziłam, była młodszą mną. Ktoś ukrył go w bibliotece i nie był to mój ojciec. Niewiele osób miało do niej dostęp. Ojciec, Bayan, konstrukty. Wróciłam myślami do czasów, zanim zaistniałam.

Znów sięgnęłam po dziennik. Ręce tak bardzo mi się trzęsły, że ledwo zdołałam go otworzyć. Gdzieś w nim musiała się kryć kolejna wskazówka, po prostu jeszcze nie przyjrzałam mu się wystarczająco uważnie.

Wczytywałam się w każdą stronę. I nagle zauważyłam krawędź wyklejki z wewnętrznej strony tylnej okładki. Jej róg lekko się zagiął. Pociągnęłam za niego i zajrzałam pod spód.

Ktoś wcisnął tam kawałek kartki. Wyciągnęłam go i rozwinęłam.

Patrz na mnie i jedynym, co widzą, jest młoda dziewczyna o przeciętnej urodzie. Ale wszyscy myślą się co do mnie. Pewnego dnia będę kimś więcej. Pewnego dnia świat mnie pozna. Nisong się wzniesie.

Upuściłam sekretną wiadomość. Znałam to imię, choć wyłącznie w połączeniu z innym mianem. Nisong. Nisong Sukai.

Moja matka.

Żółć połączyła mi się w ustach ze smakiem łez. Przypomniałam sobie smutny stan komnat ojca, to, że nie pozwalał służbie dotykać żadnych rzeczy. Nigdy nie chciał

rozmawiać ze mną o matce. Kazał zniszczyć wszystkie jej portrety. Wydawało mi się, że kieruje nim żaloba, ale teraz dostrzegałam inne motywy. Wyjaśniały one jego eksperymenty i to, że odciął się od ludzkich doradców oraz od większości służby.

Nie omawiał stworzenia mnie ze swoją żoną, tylko próbował modelować mnie na podobieństwo żony. Musiał użyć na mnie tej całej maszyny wspomnień z nadzieją, że w jakiś sposób zaszczepli we mnie wspomnienia matki. Nie byłam jego córką. Jego córka zmarła, tak jak wskazywały zapiski. Oczywiście, że nigdy mnie nie kochał. Stanowiłam tylko naczynie dla kogoś innego. Byłam sekretem, eksperymentem.

Zwinęłam się w kłębek i zapłakałam.



38

Jovis

Wyspa Nephilanu

Nigdy nie myślałem, że tak skończę – otoczony ze wszystkich czterech stron przez drewno i kamień. Zawsze przypuszczałem, że kres przyjdzie do mnie na otwartym morzu, w wyniku burzy, od strzał cesarskich żołnierzy lub od noża wbitego mi pomiędzy łopatki przez Ioph Carn. Zapewne jednak śmierć, podobnie jak życie, nieczęsto spełniała oczekiwania.

Nie mogłem przestać wpatrywać się w twarz generała z poczuciem, że widzę w niej coś znajomego. Jego szerokie kości policzkowe, wydatne wargi, nawet głęboko osadzone oczy. Wydawał się opuchnięty i zmęczony, podbródek pokrywała mu szczecina. Później zacząłem zastanawiać się, czy jego twarz będzie ostatnim, co zobacę przed śmiercią. Gio wcale nie był lepszy – patrzył na mnie tak, jakbym go w jakiś sposób zdradził. Spuściłem wzrok ku podłodze. Nawet słoje drewna wydawały się przyjemniejszym widokiem. Trzymający mnie strażnik przesunął się lekko, wyciągając sztylet zza pasa.

I wtedy poczułem drżenie w kościach.

Zupełnie jakbym został uderzony w pierś z siłą wichury na morzu. W moich kończynach zawibrowała energia. Jeszcze chwilę wcześniej czułem się słaby, bezradny.

Teraz wiedziałem, że mogę strącić z siebie tego mężczyznę z równą łatwością, jakbym zrzucił z ramion płaszcz.

Znowu miałem też pełną świadomość całej wody znajdującej się w okolicy, wliczając w to pot na twarzach gwardzistów.

Mephi musiał się ocknąć.

Rzuciłem się naprzód i poczułem, jak ściskające mnie dłonie odrywają się od mego ciała. Usłyszałem stukot upadającego na deski sztyletu. Jednym płynnym ruchem zgąłem kolano i poderwałem swoją laskę z podłogi. Nie zatrzymałem się, obróciłem laskę w dłoniach i uderzyłem jej końcem strażniczkę trzymającą Gio. Użyłem więcej siły niż zamierzałem. Od impetu wzniosła się nad podłogę, a Gio wraz z nią.

Nie miałem czasu się nim martwić.

Poczułem ruch powietrza, gdy trzeci wartownik pospieszył, żeby mnie zatrzymać. Uchyliłem się przed jego ciosem i usłyszałem, jak klinga wbija się w drewniany filar za moimi plecami. Mężczyzna szarpnął za rękojeść, próbując uwolnić broń, ale zamach był na tyle mocny, żeby strącić mi głowę z ramion. Moja głowa była uparta. Słusznie założył, że ścięcie mi jej będzie wymagało znacznej siły.

Gdy tylko strażnik, który mnie wcześniej trzymał, doszedł do siebie, wyciągnął miecz. Uniknąłem jego cięcia, pokonałem dzielącą nas odległość i wyłuskałem mu broń z dłoni. Wystarczyło jedno uderzenie w jego nadgarstek – w sumie zaledwie puknięcie – i rozwarł palce. Jakbym zrywał przejrzały owoc z gałęzi.

Kopnąłem gwardzistę wciąż próbującego oswobodzić miecz, aż poleciał na drugą stronę pomieszczenia. Padł i nie wstał.

Gubernator dalej stał w drzwiach, zaciskając palce na klamce. Tak wybałuszył oczy, że dookoła tęczówek wyraźnie widziałem białka. Jego pierś unosiła się ciężko, zmagając się z ciasno opiętą szatą.

– Kim jesteś?

– Przemynikiem – odparłem. – Cesarstwo wykonało plakaty z moją podobizną.

Najwyraźniej moja odpowiedź go nie zadowoliła, bo otworzył drzwi, żeby uciec.

Zawahałem się, czując się jak pies, który złapał obszczekiwany wóz. Musiałem wyglądać w jego oczach jak jakiś mściwy potwór o włosach poskręcanych wokół twarzy od duchoty i wilgoci.

– Nie ruszaj się! – rzuciłem. Co według Gio miałem zrobić z tym człowiekiem? Sam mówił, że mamy zabić gwardzistów gubernatora. Nie wspominał, co nastąpi później. Gio wciąż leżał na podłodze i próbował uwolnić się z chwytu nieprzytomnej strażniczki. Wyprostował się i patrzyłem, jak podnosi jeden ze swoich sztyletów.

Gubernator zmartwił.

No oczywiście. Żaden zamach stanu nie przebiegał bezkrwawo. W ciszy usłyszałem, jak któryś z wartowników jęczy. Zatem przynajmniej jedno żyło. A później dobiegł mnie odgłos szybko zbliżających się kroków.

W drzwiach pojawiła się samotna kobieta. Rozpoznałem ją choćby po szerokości barków. Kochanka Ranami. Co ona tu robiła?

Skierowała wzrok na gubernatora. Zanim zdążyłem coś powiedzieć, podbiegła do przodu. Z początku sądziłem, że zamierza go zabić, ona jednak przyklękła obok niego.

– Ojczy, jesteś ranny?

Ojczy? Kochanka Ranami była córką gubernatora? Teraz sens miało to, co Ranami mówiła wcześniej, że słyszała, że dziedziczka jest dobrą kobietą. Nie słyszała

tego, tylko sama doświadczyła. Okaże się natomiast, czy jej odczucia stanowią odbicie prawdy.

– Ten mężczyzna próbował mnie zabić, Phalue – oznajmił histerycznym tonem gubernator.

Nie odzywałem się, a tylko opuściłem łaskę w nadziei, że Phalue zrozumie, co chcę tym przekazać. Zerknęła na mnie, a później wróciła spojrzeniem do ojca.

– Ochroń mnie – poprosił, wczepiając się w jej tunikę.

Odsunęła mu włosy z czoła z czułością matki troszczącej się o dziecko.

– Ochronię cię. Nie martw się. Nikt cię nie skrzywdzi.

– Zatem... – Przeniósł wzrok ze mnie na córkę i z powrotem. – Zatem dlaczego nic nie robisz?

– Robię coś. Pozwalam Garstce Bezkostnych cię obalić.

Pobladał.

– Jesteś moją córką – wykrztusił. – Zdradzasz mnie?

– Przykro mi. – Chyba nie wiedziała, co innego powiedzieć.

Rozległ się hałas wielu zbliżających się kroków. Odstąpiłem na bok, ustępując z drogi. Byłem w tym wszystkim obserwatorem, nikim więcej. Najbardziej chciałem wrócić do jaskiń, by sprawdzić, co się stało z Mephim.

W drzwiach pojawiła się zgraja mężczyzn i kobiet. Niektórzy nosili zbroje, ale większość miała na sobie tylko zwykłe ubrania. W dłoniach trzymali noże i klepki z beczek. Była to banda obdartusów, ale braki w finezji nadrabiała liczebnością.

Przepchnęła się przez nich Ranami. Gdy ujrzała Phalue, zawahała się.

– Przejmuję stanowisko – rzekła Phalue do ojca. – Już czas.

Gdy wszyscy skupili się na gubernatorze i jego córce, ja obserwowałem Gio. Wsunął sztylet z powrotem do pochwy, ale widziałem zmarszczkę pomiędzy jego brwiami. Nie tak wyglądał jego plan. Phalue miało tu nie być. Miała pozostawać uwięziona. Po grzbiecie przeszedł mi dreszcz, który zadomowił się u podstawy karku. Mógłbym założyć się o cokolwiek, że jeden z buntowników zmierzał właśnie do pałacowych cel ze sztyletem w dłoni.

Zanim zdążyłem się powstrzymać, wykonałem krok w kierunku Phalue i jej ojca. Z dłonią na lasce ustawiłem się pomiędzy nimi a buntownikami. Był to tylko jeden krok, ale Gio to zauważył.

– Wygląda na to, że Nephilanu ma nową gubernatorkę – oświadczyłem, ponieważ Ranami i Phalue wyglądały na zdezorientowane. Ktoś musiał wymusić bieg wydarzeń, zanim Gio znajdzie sposób, by obrócić wszystko na swoją korzyść. Ludzie stojący za przywódcą Bezkostnych zaczęli wiwatować.

– Zebrać ocalałych – polecił im Gio. Zmierzył mnie wzrokiem, zanim odwrócił się, żeby im pomóc. Och, z pewnością spróbuje ponownie, ale na razie nie miał wyboru.

– Zabierz mojego ojca do celi – rzekła Phalue do żołnierza stojącego w drzwiach. – Traktuj go równie dobrze, jak ja byłam traktowana.

Zaryzykowałbym przypuszczenie, że rzeczywiście postępowano z nią dobrze, ale każde więzienie byłoby znaczącą zmianą na gorsze dla tego mężczyzny. Nawet łóżko w tym pokoju zostało zawile wyrzeźbione, a w oknach zawieszono bogato haftowane zasłony. Przywykł do luksusów.

Gdy tylko go wyprowadzono, podeszła do niej Ranami.

– Myślałam, że siedzisz w celi.

Phalue ujęła jej twarz i pocałowała w policzek.

– Siedziałam – odparła. – Ale dzięki temu miałam czas, żeby przemyśleć pewne rzeczy. Tythus mnie wypuścił.

Ranami wtuliła twarz w pierś Phalue i przytuliła ją mocno.

– Cieszę się po prostu, że wyszłaś. Że wszystko wciąż idzie zgodnie z planem.

Nie do końca zgodnie z planem, ale to nie ja powinienem jej to powiedzieć. Zerknąłem ostatni raz na Gio, a potem puknąłem Ranami w ramię. Już niemal tu skończyłem, mogłem więc wrócić do kryjówki buntowników i sprawdzić, co z Mephim. Moja łódź wciąż stała ukryta w niedalekiej przystani, gotowa, bym wyprowadził ją w morze. Ioph Carn nieustannie mnie szukali, a stateczek o niebieskich żaglach z każdym dniem oddalał się coraz bardziej.

– Przepraszam, że wam przerywam, ale zrobiłem, co obiecałem. Wydaje mi się, że masz dla mnie informacje.

Ranami uspokajająco ścisnęła rękę Phalue, a potem obróciła się do mnie.

– Tak, choć muszę cię ostrzec, że może to nie być coś, czego oczekiwałeś.

– Nieważne. – Rzeczywiście było to nieważne. Zrobiłem to, o co prosiła. Zrobiłem to, o co prosili tamci mężczyźni i kobiety, uratowałem ich dzieci. Coś musiało znajdować się na końcu tej drogi, jakaś nagroda.

– Zgodnie z otrzymanymi przez nas raportami ta łódź przybijała do Maili.

W umyśle poczułem pustkę. Maila leżała na północno-wschodnim skrajcu cesarstwa. Dotarcie tam zajmie mi kilka tygodni. Przebywałem tutaj zaledwie trzy dni i byłem przekonany, że jestem już blisko celu.

– To niemożliwe.

– Nie jest zwyczajną łodzią – wyjaśniła Ranami. – I mogą istnieć dwie takie same. Nie jesteśmy pewni. Za to jesteśmy pewni, że jedna z nich cumuje na Maili.

Słyszałem opowieści. Mailę otaczały poszarpane rafy. Nikt tam nie pływał, choć każdy cesarski nawigator znał jej położenie – żeby móc jej unikać. Dlaczego miałyby tam przybijać łódź? Dlaczego miałyby tam przybijać ta łódź? Wreszcie dotarły do mnie jej kolejne słowa.

– Co masz na myśli, że to nie jest zwyczajna łódź?

– Krążą pogłoski. Nie mam pojęcia, ile jest w nich prawdy, ale podobno wykonano ją z drewna jałowca chmurowego.

– Nie opowiadaj kłamstw, jesteś mi winna prawdę. – A jednak gdy spoglądałem na tę kobietę, nie wykrywałem ani odrobiny fałszu. Wszystkie jałowce chmurowe znajdowały się pod opieką mnichów. Ścięcie któregoś z nich oznaczałoby coś więcej niż tylko bluźnierstwo. Ściągnęłoby się wtedy na siebie gniew całego zakonu. Zatem albo łódź była starsza niż mnisi, albo istniało drzewo, o którym nie wiedzieli. Wokół nas krzątali się buntownicy, którzy ściągali zasłony z okien i zabierali złocone dzbany z podłogi. Phalue kierowała ich działaniami, przechodząc od pokoju do pokoju i wyszukując niepotrzebne luksusy. Starałem się skupić.

– Nie masz powodu, żeby mi ufać – przyznała Ranami. – Ale ja nie mam powodu kłamać.

Maila. Nawet nie wiedziałem, czy zdołam przedostać się przez te rafy. Musiałem spróbować.

– Zaczekaj – rzekła, gdy odwracałem się, żeby odejść. – Chciałabym zaproponować ci jeszcze jeden wybór.

Powinienem był odejść. Powinienem był jej powiedzieć, żeby zachowała swoje słowa dla siebie. Ale być może część mnie była zmęczona i wystraszona, a na myśl

o żeglowaniu aż na Mailę bolały mnie kości. Nie wiedziałem, co tam napotkam. Zatrzymałem się.

– Pomóż nam. Ta wyspa to nie koniec. Nie możemy odzyskać wolności tylko tutaj. Jeśli wszyscy mamy być wolni, musimy zlikwidować cesarstwo. Koniec z konstrukcjami, koniec z trepanacjami, koniec ze strachem przed wrogami, którzy nigdy nie wrócą.

– To nie jest moja walka.

– Ta kobieta, której szukasz... Ile już minęło?

Zacisnąłem powieki, czując, jak wzrasta we mnie gniew.

– To nieistotne.

– Całe lata, prawda? Jeśli została zabrana przez tamtą łódź, nie wróci. Nikt stamtąd nie wraca, Jovisie.

– A czego byś ode mnie oczekiwała? – Nie dosłyszała ostrzeżenia w moim głosie.

– Popłynij do serca cesarstwa. Przeniknij do pałacu. Jeśli masz jakąkolwiek szansę zdobyć informację, co się stało, trafisz na nią właśnie tam. Ta łódź pływa na Mailę i zawsze tam kończy trasę, ale zagłęda też na Cesarską.

– Czyli pomogłem wam obalić gubernatora wyspy i teraz chcecie, żebym popłynął na Cesarską i spędził tam nie wiadomo ile czasu, żebyście mogli obalić cesarstwo. Co będę z tego miał? Życiową satysfakcję? – Otworzyła już usta, ale podniosłem głos, przerywając jej. – Wcale nie różnicie się od cesarstwa ani od Ioph Carn. Wszyscy wykorzystujecie ludzi, żeby dostać to, czego pragniecie. Może nawet uważacie, że kierujecie się szlachetnymi pobudkami. Ale tym, czego ja chcę, czego zawsze chciałem, jest tylko odnaleźć Emahlę i zabrać ją do domu. Co was to obchodzi, skoro macie swoje ideały?

Ranami wydeła wargi, a na jej twarzy malował się ból.

– Bardziej by mnie to obchodziło, gdybym uważała, że jest to możliwe. Nie odzyskasz stamtąd zmarłej.

– Nie mów o niej tak, jakby już nie żyła! – Tupnąłem w podłogę. Wyzwolilo się drzenie, które narastało we mnie od jakiegoś czasu, choć nawet nie zdawałem sobie z tego sprawy. Promieniowało ze mnie niczym fala na sadzawce. Wszyscy obecni w pomieszczeniu się przewrócili.

Phalue podbiegła do Ranami, żeby pomóc jej wstać.

Łatwo jej było snuć takie plany, gdy już miała przy sobie ukochaną. Mogła tu budować życie, dysponowała jakimś celem. Nie wiedziała, jak to jest trwać z dziurą w miejscu, gdzie kiedyś był człowiek.

Wyszedłem z pokoju i nikt mnie nie zatrzymywał.

Miasto zmieniło się w porównaniu z tym, jakim widziałem je wcześniej. Wyglądało na to, że wieści szybko się roznoszą. Świętujący ludzie wypełniali ulice przy świetle lamp, a kupcy rozdawali darmowe ciastka, nawet ulicznym sierotom. Zastanawiałem się, czy dalej będą tacy radosni, gdy okaże się, że zmiana władcy nie oznacza końca wszystkich problemów. Nie mogłem ich jednak za to winić.

Była już dość późna noc, gdy dotarłem z powrotem do jaskini buntowników. Pokonałem szczylinę wejściową, przeciskając się przez nią tak pospiesznie, że rozdarłem sobie koszulę.

– Mephi! – zawołałem.

Sądziłem, że wciąż będzie w głównej sali, rozciągnięty przy ogniu. On jednak przybrykał do mnie tak, jakby wcześniej wcale nie witał się ze śmiercią. Wcisnął mi

głowę w dłoń, wiał się wokół moich nóg, owijał mnie ogonem w pasie. Opadłem na kolana i przytuliłem go.

– Myślałem, że umrzesz.

Znosił mój uścisk przez chwilę, zanim się wyslizgnął.

– Dobrze? – spytał.

Ostatni raz podrapałem go za uszami.

– Odpływamy – oznajmiłem.



39

Piasek

Wyspa Maila na skraju cesarstwa

Konary mangowca rozciągały się w górze niczym czasza parasola. Piasek przyglądała się liściom filtrującym blade światło, słuchała odgłosów deszczu bębniącego o ich rozległe powierzchnie. Wiedziała, z którego konkretnie rozwidlenia spadła. Resztę okrywała mgła. Gdzieś po drodze rozcięła sobie rękę o gałąź albo korę. Obeszła drzewo dookoła. Coś się tu zmieniło i nie chodziło tylko o ranę. Piasek bywała wcześniej ranna, podobnie jak wszyscy pozostali. Chodziło o coś innego.

Martwe liście zebrały się u podstawy drzewa. Kopnęła je, a one przykleiły się do jej obutej w sandał stopy. Kilka kroków dalej na ziemi gniło mango. Jej oko przykuł błysk bieli. Tam, koło gnijącego owocu. Tkwiło w małej kałuży powstałej przez ostatnie dni z powodu częstych deszczy. Wsunęła dłoń w wodę i wyciągnęła to coś z błota. Miało rozmiar paznokcia jej kciuka, choć było dłuższe i węższe. Mógłby to być kawałek kamienia, ale gdy podniosła to do oczu i koszulą starła błoto, ujrzała jakieś znaki. Zadrapania?

Nie. Pismo. Trzęsącymi się lekko palcami przyłożyła przedmiot do szramy na rękę. Miały tę samą długość.

– Piasek. – Muszla stał kilka kroków dalej z włócznią w dłoni. – Koral myśli, że na horyzoncie widziała żagiel. Już czas. Liść zbiera pozostałych.

Piasek podniosła się na nogi i schowała odłamek do kieszeni.

– Wszyscy znają plan? – upewniła się.

– Sieć jest na miejscu. Jesteśmy gotowi.

Nawet gdyby nie byli, i tak nie miałyby to znaczenia. Nadpływała łódź, a oni nie wiedzieli, czy przybędzie znowu albo czy oni będą wtedy wolni od mgły, która wiecznie groziła otuleniem ich umysłów. Piasek wymacała nóż przy pasie. Nie była to włócznia, ale nic innego nie miała.

– Chodźmy – oznajmiła.

Opuścili zagajnik mangowców. W oddali rozbrzmiał niski grzmot. Deszcz był lekki i Piasek wiedziała, że jeszcze przez jakiś czas nie zamieni się w porządną ulewę. Dawniej wiodła życie ze wspomnieniami i własnymi celami. Nie była pewna, ile czasu minęło od tamtej pory ani co się wydarzyło, że wylądowała tu, na Maili, ale czasami, gdy pozostawała w bezruchu i myślała, przez jej umysł wiło się wspomnienie. Tamta sala jadalna o rozległym stropie. Freski. Drzwi z jałowcem chmurowym i wysoki, przystojny mężczyzna w jedwabnych szatach. Gorąco wpełzało jej po karku, gdy podążała za Muszlą pomiędzy drzewami. Znała tamtego mężczyznę intymnie. A on nie tylko ją kochał, ale pokazywał jej też rzeczy – sekretne rzeczy.

We wspomnieniach nie było widać wyraźnie, co to było. Musiała jednak wierzyć, że wiodła kiedyś życie z dala od Maili. Taki mężczyzna nie chciałby brzydkiej, nieważnej kobiety jak Piasek, ale może...? Może kiedyś znaczyli coś dla siebie nawzajem?

– Wszystko w porządku? – spytał Muszla.

Została mocno z tyłu, zagubiona w myślach. Teraz przyspieszyła, żeby dogonić resztę. Na pewno nie była to dobra chwila, żeby pograżać się w marzeniach i wspomnieniach. Mieli tę jedną szansę, żeby schwycić łódź, tymczasem Piasek snuła się jak nieprzytomna.

– Nic mi nie jest.

Odgłos ich kroków tonął w deszczu bębniącym o pokrywę liści i w wysokich, ostrych nawoływaniach ptaków. Nadzieja ścisnęła jej gardło, ale Piasek zdołała przelknąć ślinę.

– Muszlo, czy czasami przypomina ci się wcześniejsze życie?

– Nie – odparł. Użył nasady włóczni, żeby odsunąć gałąź na bok.

Niewielka część Piasek uschła. Może traciła zmysły.

Jeszcze kilka kroków i Muszla odchrząknął.

– Ale miałem sny. Pewnie mogłyby być wspomnieniami, gdyby były prawdziwe. Ale co tutaj jest prawdziwe?

– Nie wiem. – Wsunęła dłoń do kieszeni i zacisnęła ją na odłamku pokrytym obcym pismem.

– Nie pamiętam z nich wiele. Ale czasami, gdy się budzę, mam takie dziwne wrażenie. Jakbym zbyt długo wpatrywał się w zachodzące słońce, a później odwrócił wzrok. Wtedy wciąż widać światło pod powiekami. – Odetchnął głęboko i wspiął się na głaz. – U mnie wygląda to tak, że wydaje mi się, jakby dochodziła do mnie woń świeżego imbiru. I czuję na dłoniach ciepło, jakbym znajdował się blisko ognia. Czuję pocięchę w tym ogniu i w moich kościach. Myślę, że są to mężczyzna i kobieta, których kocham, i oboje są ze mną. Jest też dziecko. – Pokręcił głową i jego proste włosy opadły. – Nic więcej nie wiem. Nie wiem, gdzie wtedy jestem, czym zajmuję się w życiu, jakie

noszą imiona, jak ja sam mam na imię. Jak mogę uważać to za cokolwiek więcej niż tylko sen?

– U mnie jest inaczej – odrzekła Piasek. Wspomnienia Muszli mogły kojarzyć się z obrazem wykonanym kilkoma pociągnięciami pędzla, ale jej były niczym sceny ze sztuki teatralnej. – Też nie znam mojego imienia, ale widzę wszystko tak, jakby rozgrywało się przed moimi oczyma. – Nie była pewna, jak to lepiej wyjaśnić, więc zmilczała.

Nie rozmawiali już, dopóki nie dotarli do zatoczki. Liś znalazł ją kilka dni po tym, jak rozpoczęli poszukiwania. Maila nie była dużą wyspą. Później pojawił się plan, w którego opracowaniu bardzo pomogła Koral. Nie mogli zachować się jak piraci, którzy wykorzystaliby przewagę liczebną, żeby wpaść na łódź i wyrzucić jej kapitana za burtę. Zamiast tego musieli osiągnąć cel za pośrednictwem szeregu kroków, zupełnie jakby podchodzili z boku do wystraszonego zwierzęcia.

Pierwszy krok: sprawić, żeby łódź nie mogła odpłynąć.

Koral, Paproć i Liś znajdowali się tu już wraz z czworgiem innych. Udało im się rozwiać mgłę większej liczbie mieszkańców, ale po dniu czy dwóch większość z nich nieodmiennie do niej wracała. Jedynie ich dziewiątka zdołała trwale odpiąć ten stan.

Wystarczyło ich, żeby wykonać sieć. Wszyscy zaniedbali codzienne obowiązki, żeby zastawić pułapkę. Koral i Paproć stali już na skałach z linami w dłoniach.

– Jak daleko?! – zawołała Piasek.

Koral wskazała horyzont. Jej wzrok musiał być bystrzejszy niż u Piasek, ta bowiem z trudem dostrzegła niebieskie żagle.

– Będziemy musieli pozostać w ukryciu – powiedziała Piasek do pozostałych. – Dopilnujcie, żeby nas nie zobaczyli, dopóki łódź nie wpłynie całkowicie do zatoczki. Na mój sygnał podnieście sieć. Reszta działa tak, jak ustaliliśmy.

Potwierdzili, kiwając głowami. Piasek zajęła swoje stanowisko wśród drzew wychodzących na zatoczkę. Muszla przeszedł do głazów na plaży. Koral i Paproć przykucnęli za skałami. Gdy wszyscy byli już na miejscach, zatoczka wyglądała niemal tak, jakby nic się na niej nie działo. Jeśli kapitan łodzi nie będzie rozglądał się zbyt uważnie, zorientuje się dopiero wtedy, gdy będzie już za późno.

Piasek przyłapała się na tym, że znów sięgnęła do kieszeni i zacisnęła palce na odłamku.

Była to kość. Ta odpowiedź pojawiła się natychmiast w jej umyśle. Może chodziło o dotyk przedmiotu w dłoni, ale nie klęczała już między drzewami, zasłonięta morską trawą.

Znajdowała się w bibliotece z regałami sięgającymi sufitu. Rząd wysokich okien wpuszczał światło. Przed nią, obrócony do niej plecami, stał mężczyzna. Choć nie widziała jego twarzy, wiedziała, kim jest. Wpatrywał się w półki, założywszy dłonie z tyłu.

– To wszystko – rzekł, a jego głos odbił się echem od ścian. – To cała moja wiedza.

Piasek ze wspomnienia podeszła do regału i przesunęła dłonią po grzbietach książek. Onosił się z nich zapach starego kleju i papieru.

– Chcę, żebyś mnie nauczył.

– Przekazujemy tę wiedzę dosłownie w linii rodowej – odparł mężczyzna, nie spoglądając na nią. – Z ojca na syna, z niego na córkę, z niej na syna.

– Rodzina – rzekła Piasek ze wspomnienia. – Czy ja nie jestem teraz twoją rodziną? – Podkraśla się do niego o krok, a później o kolejny.

Wtedy obrócił się do niej i zmierzył złowrogim spojrzeniem, ale się nie bała.

– Mawiają, że mogłem ożenić się korzystniej niż z tobą.

Piasek ze wspomnienia poczuła, jak jej wargi wykrzywają się w uśmiechu.

– No wiesz, masz jeszcze czas. Możesz powiedzieć wszystkim, że popełniłeś błąd. Anulować małżeństwo. Wyjść za jedną z tych nijakich kobiet, które przyprowadzają ci doradcy.

Wyciągnął dłoń, żeby dotknąć jej policzka.

– Jesteś zbyt mądra.

– Ty również. – Pocałowała go u nasady szyi, a potem ujęła jego dłonie i je także pocałowała. – Musiałeś przecież wiedzieć, podobnie jak ja, że tak się to skończy.

Westchnął i ucałował ją w czubek głowy.

– Moja wiedza jest twoją wiedzą. I przydałaby mi się pomoc.

– Alanga wracają, żeby nawiedzać twoją krainę?

– To nie jest żart, Nisong. Wiem, że ludzie stają się niespokojni pod władzą Sukaiów, ale nadejdzie dzień, gdy będą nas potrzebować. Widzisz ich ślady wszędzie wokół siebie i w naszych miastach. Jak możesz kpić z ich istnienia?

– Cicho – powiedziała Piasek ze wspomnienia. – Wiesz, że ci wierzę. – Wplotła palce w jego włosy.

A później on pochylił się, żeby ją pocałować, otoczył ją ramionami, oblało ją jego ciepło. Żar i podniecenie pomknęły błyskawicami przez jej żyły.

Słony podmuch przemknął jej przez twarz, przynosząc ze sobą deszcz. Piasek zamruwała. Nie znajdowała się już w objęciach męża. Była na Maili, w zagajniku w pobliżu zatoczki, i miała wilgotne kolana od klęczenia w błocie.

Łódź o niebieskich żaglach podpłynęła już blisko. Tak blisko, że Piasek mogła dostrzec ciemne drewno jej pokładu. Przy burcie stała postać otulona płaszczem trzepoczącym na wietrze. Wydawała się nie zauważać słonego pyłu wodnego rozpryskiwanego przez fale ani w ogóle zważać na skotłowane morze. Przemieszczała się wraz z łodzią tak, jakby stanowiła jej część. Piasek rozmawiała ze wszystkimi mieszkańcami wyspy o czasie, jaki spędzili na wodzie. Mieli tylko mgliste wspomnienia o tej jednej osobie i żadnych o jakimkolwiek innym członku załogi.

Piasek zerknęła na plażę. Jej towarzysze pozostawali w ukryciu. Dysponowali tylko jedną szansą.

Obserwowała, jak łódź nawiguje pomiędzy rafami, i najlepiej jak umiała próbowała zapamiętać jej trasę. Jeśli uda im się przejąć stateczek, będą musieli przedostać się z powrotem. Muszła sprawdzić linię brzegową i wszędzie, gdzie patrzył, widział rafy. Nic dziwnego, że nie przybijały tu żadne inne jednostki. Gdy łódź wpływała do zatoczki, Piasek wyciszyła myśli. Musiała skupić się na tym, co działo się tu i teraz.

Na pokładzie widać było wyłącznie postać w płaszczu z kapturem. Gdy się poruszała, zdawała się być wszędzie naraz. Przemykała od rufy na dziób, naciągała żagle, spuszczała je. Piasek nie była w stanie nadążyć za wszystkimi jej działaniami. Zupełnie jakby ta osoba miała więcej niż dwie ręce i nogi. W końcu wyrzuciła kotwicę za burtę i zniknęła pod pokładem.

Przez krótką chwilę nic się nie działo. Piasek poruszyła się wśród trawy morskiej. Bolały ją kolana i plecy, ale nie ośmielała się zbyt przesuwać.

Postać pojawiła się ponownie, tym razem w towarzystwie innych. Mężczyźni i kobiety ustawili się na pokładzie. Piasek poczuła puls dudniący jej na szyi. Czy ona sama również kiedyś tak stała? Kilkoro z nich wsiadło do łódki wiosłowej, do której

później wkroczyła postać i za pomocą bloczków spuściła ją na wodę. Gdy dotarli do plaży, mężczyźni i kobiety wysiedli, a zakapturzona postać wróciła na większą jednostkę.

Przybysze stali na plaży jak posągi, gapiąc się przed siebie tępym wzrokiem.

Jeszcze dwie takie przejażdżki i na pokładzie już nikt nie został. Oddychając płytko, Piasek odczekała, aż łódź wiosłowa przybije do brzegu, po czym podniosła się i krzyknęła ile sił w płucach:

– Teraz!

Koral oraz Paproć wstali i pociągnęli za liny. Z wody podniosła się sieć. Oboje podbiegli do drzew i owinęli sznury wokół krzepkich pni, naciągając je tak mocno, że sieć blokowała wylot zatoczki. Jednocześnie dwoje innych rzuciło się w stronę osłoniętej postaci, trzymając między sobą linę. Postać wyciągnęła nóż zza pasa, gotowa do ataku, ale dwoje mieszkańców Maili zarzuciło na nią sznur, a później zawróciło, żeby pobiec z powrotem. Lina uderzyła owego człowieka tuż poniżej kolan i przewróciła na piach. Wyżej, na urwisku, Liść spychał właśnie głaz z krawędzi. Napierała na niego plecami, nie widział więc, co dzieje się poniżej.

Głaz spadł.

Piasek się wdrygnęła. Nie zmiażdżył kapitana łodzi, jak zaplanowali, ale przygniół mu rękę do podłoża. To wystarczy.

Opuściła swoje stanowisko w trawie morskiej i przeszła do innych na plaży. Mężczyźni i kobiety przywiezieni przez zakapturzoną postać wciąż tam stali, odziani w proste, niepasujące do siebie stroje. Było to bardzo dziwaczne. Nie spoglądali na nią, nie patrzyli na siebie nawzajem. Gdy jednak ich minęła, zaczęli się ruszać. Ustawili się w pojedynczy szereg i skierowali na ścieżkę.

– Powinniśmy spróbować ich obudzić? – zapytała Koral.

Piasek pokręciła głową.

– Niech idą. Możemy spróbować później.

Wiedziała, dokąd pójść. Do wioski. Oni wszyscy również w pewnym momencie odbyli tę podróż. Podeszła do głazu, czując, jak w jej trzewiach narasta niepokój.

Liść bez tchu zbiegł z urwiska.

– Chciałem zmiażdżyć tego człowieka – wydyszał. – Ale nie mogłem patrzeć, inaczej w ogóle nie ruszyłbym głazu.

Żadne z nich nie było zdolne do bezpośredniej przemocy.

– Przynajmniej mieliśmy rację, że jest tylko jeden – powiedziała Piasek. Sieć u wylotu zatoczki zatrzymałaby ewentualnych pozostałych.

Kapturek opadł na piach. Kryjąca się pod spodem postać wyglądała jak mężczyzna, ale inny niż wszyscy, których Piasek widziała dotąd. Jedna jego ręka była przygnieciona, ale trzy pozostawały wolne. Napierały na głaz, który na jej oczach poruszył się lekko.

– Koral! – warknęła. – Usiądź na kamieniu!

Dziewczyna na szczęście wykonała polecenie bez pytania.

Mężczyzna w płaszczu stęknął, gdy Koral zwiększyła ciężar głazu, a potem położył się na plaży. Deszcz osłabł do lekkiej mżawki i mężczyzna mrugał, czując na twarzy wilgoć.

– Kim jesteś? – zapytała Piasek.

Popatrzył na nią poważnym wzrokiem.

– Jestem taki jak ty.

Roześmiała się chrapliwie.

– Ja nie mam czterech rąk, nieznajomy. To ty przywiozłeś tutaj tych ludzi. Przywiozłeś tu nas. Skąd jesteś?

Milczał.

Piasek powstrzymała następne pytanie i tylko go obserwowała. Chciała spytać, skąd ona sama pochodzi, skąd oni wszyscy pochodzą.

– Muszlo, czy możemy użyć liny, żeby...? – Zacisnęło jej się gardło. Uwięzła w nim myśl. Nie. Wyglądało na to, że wiązanie tego mężczyzny nie wchodziło w grę. Żadnej przemocy, żadnych więzów. Ale co było bardziej okrutne? Związanie go czy zostawienie tutaj na plaży, żeby zginął bez jedzenia i wody? Wyciągnęła rękę, czując, jak się poci. – Podaj mi linę, Muszlo.

Wykonał polecenie.

Potrzebowała pełnego skupienia, żeby związać nieznajomemu trzy pozostałe dłonie. Skoncentrowała się mocno na fakcie, że jeśli to zrobią, będą mogli usunąć głaz. Co chwila musiała przerywać, żeby wytrzeć pot z czoła i uspokoić drżące ręce.

– Piasek... – odezwała się Koral z kamienia. – Co teraz zrobimy? Mamy łódź, pojaliśmy jej kapitana.

Piasek wstała na słabych nogach. Na horyzoncie fale rozbijały się o rafy.

– Teraz wymyślimy, jak stąd uciec. – Wytarła dłonie o spódnicę. – I nazywajcie mnie Nisong.



40

Lin

Wyspa Cesarska

C>oś skrobało w okiennicy. Przekręciłam się na łóżku, wciąż mając mgłę przed oczyma. Spędziłam pół nocy na podłodze przy drzwiach, zanim dowlokłam się do łóżka i zagrzebałam pod kocami. Wszystko wydawało się beznadziejne. Ojciec mnie stworzył. Znał każdy aspekt tego, kogo chciał ze mnie zrobić.

Moją martwą matkę.

Nie, moment... Ona nie była moją matką. A on nie był moim ojcem. Był cesarzem. Ja byłam Lin, ale nie byłam córką cesarza. Zakopałam się znowu w pościeli. Nie wiedziałam, kim jestem.

Znów dobiegło mnie skrobanie w okiennicy, a później pisk.

Był to Hao, konstruktor szpiegowski, który przepisałam. Pomiedzy listewkami widziałam jego cień. Automatycznym gestem sięgnęłam do szuflady, w której trzymałam orzechy, i wyciągnęłam jeden. Wygrzebywanie się z łóżka wydawało się prostsze, gdy robiłam to dla kogoś innego. Mały szpieg przestał skrobać, gdy podeszłam do okna. Wsunęłam orzech między listewki. Drobne pazurki połaskotały mnie w opuszkę, gdy konstruktor brał smakołyk.

Ojciec nigdy nie pokocha mnie w sposób, którego chciałam albo potrzebowałam. Z tego powodu wypełniał mnie smutek, wylewał się ze mnie. Czułam, jakbym otrzymała ranę, która nigdy się nie zagoi. Przez całe życie próbowałam zdobyć jego aprobatę, a wychodziło na to, że uda mi się to wyłącznie jeśli będę kimś innym.

Na zewnątrz mój konstruktor znów zapiszczał.

Posłusznie wyciągnęłam kolejny orzech i podałam mu go przez okiennicę. Moja wolność znajdowała się tak blisko. Światło słoneczne przebijało się między listewkami, padało mi na twarz. Gdybym mogła tylko...

Drzwi były zamknięte na klucz.

Coś drgnęło w moim wnętrzu. Od kiedy właściwie pozwalałam, by coś takiego mnie powstrzymywało? Pokój ojca też był zamykany. Podobnie jak wszystkie drzwi w pałacu, a jednak udawało mi się przez nie przedostać. Co ja najlepszego robiłam, rozczulając się tu nad sobą? Musiała istnieć jakaś droga wyjścia.

Jedynym, czego mogłam się teraz spodziewać, był cesarz „naprawiający” moje wspomnienia, przerabiający mnie na jakąś bladą kopię swojej nieżyjącej żony. I tak czekało mnie zatracenie.

Uderzyłam barkiem w drzwi. Drewno nie ustąpiło. Próbowałam ciągnąć za klamkę, rzucać w nie krzesłem, ale zdołałam tylko zadrapać powierzchnię. Później zabrałam się za okiennicę, ciągnęłam je i pchałam, starałam się je rozbić. Podważałam listewki, aż rozboleły mnie palce.

Musiał istnieć jakiś sposób. Zawsze istniał. Usiadłam znów na łóżku, próbując wymyślić rozwiązanie. Tkwiłam tu sama w zamknięciu, pozbawiona jakichkolwiek środków.

Znów usłyszałam skrobanie. Konstruktor szpiegowski prosił o następny orzech.

Wciąż tam był po tym, jak ciskałam krzesłami po pokoju. Poczułam wzbierającą we mnie nadzieję.

– Zaczekaj – powiedziałam mu.

Wyciągnęłam kilka orzechów z szuflady. Hao wykonałby moje polecenia bez nich, ale to one przywiodły go do mnie w tak istotnej chwili. Może okaza się dodatkową zachętą? Przytrzymałam smakołyk tak, żeby szpieg mógł go wyczuć węchem.

– Hao, powiedz mi, jak są zamknięte okiennice?

Przysiadł na tylnych łapkach i poruszał wąsikami, wyraźnie skonsternowany.

– Te okiennice – spróbowałam znowu. – Co jest od zewnątrz?

– Od zewnątrz okiennic jest pałac i tereny pałacowe, i miasto, i wyspa...

– Tak, wiem. – Zacisnęłam mocno powieki. Musiał istnieć lepszy sposób, żeby o to spytać. Numeen i jego rodzina zginęli. Wierzyli, że zdołam im pomóc. Mogłam chociaż dopilnować, żeby ich śmierć nie poszła na marne.

– Powiedz mi, czy oprócz narożników i zawiasów coś jeszcze jest przymocowane do okiennic, które masz przed sobą?

Długie milczenie.

Przez chwilę myślałam, że znowu wywołałam dezorientację w biednej bestyjce, ale zaraz potem Hao się odezwał:

– Jest sztaba.

Przycisnęłam nos do listewek, próbując ją dostrzec.

– Możesz ją unieść?

Cień przesunął się, gdy stworzenie stanęło na tylnych łapkach. Skrobanie, potem chwila ciszy.

– Nie.

– A czy możesz tu przyprowadzić inny konstrukt? Mam więcej orzechów. – Wstrzymałam oddech. Ojciec teoretycznie mógł rozkazać konstruktom, żeby trzymały się z dala od mojego pokoju, żeby mi nie pomagały, ale on jedynie wydawał im rozkazy, nigdy nie poświęcał im większej uwagi. Według niego nie posiadały ani odrobiny wolnej woli.

Ale Hao dowiódł, że jest inaczej.

Nie odpowiedział, tylko czmychnął. Oparłam czoło o okiennicę i układałam orzeszki w rzędzie na parapecie.

Czy ojciec uważał, że ja też nie mam wolnej woli? Stworzył mnie. Może według niego byłam jak konstrukt. Mógł mnie wsadzić do pokoju i oczekiwać, że w nim zostanę.

– Jestem. – Nos Hao szturchnął okiennicę. Obok niego widniał inny, większy cień. Pomiędzy listewkami dostrzegałam przebliski brązowego futra i czarnych, lśniących oczu.

– Cześć – powiedziałam do drugiego konstruktów. – Chcesz orzech? – Przytrzymałam smakołyk tuż poza jego zasięgiem. Pazurki skrobnęły o drewno, wąsiki poruszyły się nad wężącym nosem. – Wystarczy, że pomożesz Hao unieść sztabę na okiennicy.

Stworzenie przysiadło na tylnych łapach.

Ale ja robiłam to już wcześniej.

– Nie będzie z tego przecież żadnej szkody. Nie rozkazano ci, żebyś nie ruszał sztaby. Tylko to jedno zadanie i dam ci pięć orzechów. Robisz świetny interes, wiesz?

Nie zbliżył się do sztaby, ale i nie uciekł.

– Sześć orzechów?

Jeden kolejny wystarczył, żeby przeważyć szale. Obydwa konstrukty sięgnęły do sztaby. Drewno zaskrzypiało, gdy ją wypychały, a okiennica na chwilę wcisnęła się głębiej do środka.

I nagle sztaba została zdjęta, a ja mogłam otworzyć okno. Chłodne, wilgotne powietrze nigdy nie wydawało mi się tak przyjemne. Mój mały konstrukt szpiegowski wskoczył do środka. Odliczyłam sześć orzechów dla drugiego i patrzyłam, jak napycha sobie nimi policzki. Istniała moc wykraczająca ponad to, co jest wyryte w rozkazach. Może i Shiyen mnie stworzył, ale mnie nie znał.

Zebrałam swoje rzeczy, a przez głowę przebiegały mi na wpopół uformowane plany. Nie mogłam sama zmierzyć się z ojcem. Nawet do otwarcia jego rozmaitych drzwi potrzebowałam pomocy. Dysponował zbyt wieloma konstrukciami, które obserwowały, pilnowały murów, czekały na jego rozkazy. Może tak naprawdę mnie nie znał, za to ja znałam jego. Nie wątpił, że zdoła zatrzymać mnie w pokoju. Zapewne nie zabrał się od razu do naprawy Mauği i Uphilli, skoro wciąż pracowali, a musiał zająć się zreperowaniem Illith. I mnie. Jego wybrakowanej żony. Jeśli nie myliłam się co do niego, wciąż mogłam liczyć na Mauğę i Uphilię. Oraz na mojego małego szpiega. Wsunęłam rylec do kieszeni w szarfię. To nie wystarczy. Był jednak ktoś jeszcze, kto mógł mi pomóc.

Zaczęłam kwestionować swój plan, gdy trzymałam się dachówek, a na rzęsach perliła mi się lekka mżawka. Przede mną konstrukt szpiegowski skoczył na szczyt dachu, zupełnie jakby wybrał się po prostu na popołudniową przechadzkę. Posłałabym Hao korytarzami pałacu, ale o tej porze dnia było tam zbyt wielu służących i konstrukciami, żebym sama mogła odbyć bezpiecznie taką podróż. Nie żeby ta trasa była choć trochę bezpieczniejsza.

Gdy wreszcie zsunęłam się z dachu na balkon, moje ręce były już gotowe się poddać. Znalazłam się przy odpowiednim pokoju. Musiałam tylko liczyć na to, że on przebywał w środku.

Zapukałam lekko do drzwi. Otworzyły się.

Powitała mnie przystojna twarz Bayana. Choć, jeśli oceniać po jego skwaszonej minie, słowo „powitała” stanowiło pewne nadużycie.

– Co tu robisz? Znowu przyszłaś myszkować w moich rzeczach? – Zmarszczył nos i zerknął w górę. – Wspięłaś się tutaj?

– Nie, idioto, przyfrunęłam. – Przepchnęłam się obok niego do środka. Czy musiałam odbudować ten kruchy fundament, który zaczęliśmy wspólnie tworzyć?

Wpatrywał się we mnie przez chwilę, a potem zamknął drzwi.

– Co pamiętasz? – zapytałam go.

– Więcej niż ty.

Zacisnęłam pięści z frustracji.

– Nie. Nie będziesz tego robił. Nie teraz. Właśnie spędziłam cały poranek na przekonywaniu konstruktów, żeby działały wbrew swojej naturze, i na próbach zastanawiania się, co cesarz mi zrobił.

– Co... robiłaś?

– Pamiętasz bibliotekę? I jak cesarz uderzył cię w sali jadalnej? A jałowiec chmurowy?

Jego mina, dotąd wyglądająca jak maska pogardy, zrzędała.

– Tak.

Zamknęłam oczy. Ulga sprawiła, że zrobiło mi się słabo. Osunęłam się na stojące obok krzesło.

– A później? – Ból na jego obliczu przekazał mi wszystko. – Możesz mi powiedzieć – rzekłam cichym, łagodnym głosem. – Zapewniam cię, nie jesteśmy wrogami.

Popatrzył na mnie bezradnie.

– Mam lukę w pamięci. Nie wiem, co się wydarzyło tamtej nocy. Myślałem... że może to nawrót choroby. Że tak naprawdę z niej nie wyszedłem.

– To nie choroba. Nie było żadnej choroby. – Nie umiałam wymyślić, jak inaczej mu to wytłumaczyć, więc wstałam. Przyłożyłam dłoń do jego piersi i poczułam rytm jego serca, szybki i mocny. – Spróbuj się zrelaksować. Nie zamierzam cię skrzywdzić. – Powoli wepchnęłam palce do środka.

Znieruchomiał, ale po tym, jak krzyżował ze mną spanikowany wzrok, domyślałam się, że gdyby naprawdę spróbował, zdołałby przełamać bezruch.

– Jak to robisz? – wykrztusił.

Odsunęłam się i podniosłam dłonie wewnątrz ku niemu.

– Ponieważ my się nie urodziliśmy, Bayanie. Zostaliśmy stworzeni. On nas stworzył. Tamtej nocy, której nie pamiętasz, znalazłam cię w moim pokoju. – Skóra łuszcząca mu się spod oczu, obwisłe ciało. – Rozpadałeś się. Próbował coś w tobie zmienić, ale mu nie wyszło.

– Co się z tobą dzieje? To jakiś obłąd. Człowiek nie może się rozpaść. – Pomimo tego, co mówił, wciąż był błady.

– Konstruktor może.

Prychnął.

– Nie jestem żadnym konstruktorem. – Nie brzmiał jednak na przekonanego, gdy to mówił. Czekał, żebym dodała coś jeszcze. Gdy tego nie zrobiłam, machnął

lekceważąc ręką. – I co? Ty też jesteś konstruktem?

Napotkałam jego spojrzenie i utrzymałam je.

– Powiedział, że mnie wyhodował. Nie wiem, co to oznacza.

Utkwił wzrok w mojej twarzy.

– Mówisz poważnie.

– Dlaczego miałabym kłamać w takiej kwestii? Sam mi powiedziałeś, że on hoduje ludzi, gdy wtedy przyszedłeś do mnie po pomoc. Uważasz, że chcę być czymś, co on stworzył? Cesarz chce, żebym zastąpiła jego zmarłą żonę. Wykonał mnie właśnie w tym celu. Gdybym chciała kłamać, wymyśliłabym coś innego. Coś, czego bym pragnęła. Na przykład, że ledwie przed chwilą ojciec wyznaczył mnie na swoją jedyną prawdziwą dziedziczkę. I przelazłam po dachach, żeby cię o tym poinformować. – Może zabrzmiało to odrobinę ostrzej, niż zamierzałam, ale po prostu nie miałam czasu.

– Skoro jesteś taka mądra, to po co stworzył mnie?

Rozłożyłam ręce.

– To twoja sprawa, nie moja. Nie masz jakichś wskazówek? Nic ci nie mówił?

Bayan wpatrywał się we mnie i dostrzegałam panikę czającą się w jego szeroko otwartych oczach, drżenie w kącikach ust.

– Tylko że mogę zostać dziedzicem, jeśli będę się naprawdę mocno starał. Że pewnego dnia go zastąpię.

Kolejne elementy wskoczyły na miejsce w moim umyśle.

– Nie... – powiedziałam. – To straszne. – A przecież kiedyś sądziłam, że on i Bayan są tak do siebie podobni. Teraz dostrzegałam podobieństwa w ich twarzach: wysokie kości policzkowe, pełne wargi, duże ciemne oczy. Och, mówił poważnie. Ojciec chciał stworzyć dla siebie zastępstwo.

Bayan się zjeżył.

– Moje rządy jako cesarza byłyby straszne? Może dla ciebie.

Nie pamiętał.

– Bayanie, on ma maszynę. Wkładającą wspomnienia do głowy. Musiała lepiej zadziałać na ciebie niż na mnie. Ale nie dał ci własnych wspomnień, jeszcze nie. Dał ci czyjeś inne. On nie chce, żebyś ty rządził jako cesarz. Chce sam rządzić już na zawsze, w ciele, które stworzył specjalnie po to.

Bayan odsunął się ode mnie i zaczął chodzić tam i z powrotem po swoim pokoju.

– To jakaś sztuczka, która ma odwieść mnie od moich celów.

Zduśliłam własną panikę. Musiałam go przekonać.

– Już mówiłam, że gdybym próbowała cię oszukać, to nie uważasz, że powiedziałabym ci coś nieco bardziej wiarygodnego? Pomyśl o lukach w twojej pamięci. Wiesz przecież, że mówię prawdę.

Opadł na łóżko, zgarbił się, przycisnął palce do skroni.

Shiyen napierałby na niego mocniej, domagałby się, żeby Bayan stawiał czoła prawdzie. Ale ja nie byłam cesarzem.

– Leżałam beczynnym w łóżku, dopóki tego nie rozgryzłam – rzekłam łagodnie.

– Wiem, że proszę cię o wiele, o więcej, niż wymagam od siebie.

Obserwowałam, jak oddycha, siedząc nieruchomo, i nie traciłam nadziei, że nie wystąpi przeciwko mnie. Nagle rzucił mi spojrzenie spod zasłony włosów i uśmiechnął się niemrawo.

– Ale o jak wysokim standardzie tak naprawdę mówimy? – Zdołał się wyprostować, co oznaczało, że przyswoił informację i zmierzył się z nią. – Co zrobimy,

żeby go powstrzymać?

Miałam ochotę płakać z ulgi. Nie musiałam robić tego sama.

– Przejęłam dwa jego konstrukty. Myślę, że współpracując, zdołamy przerobić też pozostałe dwa.

Mój mały szpieg siedział na łóżku obok, czujny, czekający na polecenia. Nie nakazałam mu tego. Stworzona istota mogła wyrosnąć ponad swoje pierwotne cele.

Pokażę cesarzowi, że ja też wyrosłam ponad nie.



41

Jovis

Wyspa Nephilanu

Przykłęknąłem i pakowałem swoje rzeczy w pokoju, który przydzielili mi buntownicy, nie zważając na pytające spojrzenia. Musiałem się stąd wydostać. Musiałem dotrzeć na Mailę. Emahla mogła tam wciąż być, wpatrywać się w horyzont, czekać, aż po nią przybędę. Co bym jej powiedział? Że na jakiś czas dałem za wygraną? Że wszedłem w konszachty z Ioph Carn? Nie mogłem nic zrobić, żeby nadrobić ten czas, tylko ją uratować.

Mephi wepchnął mi głowę pod dłoń.

– Spokojnie, Jovisie. Jestem tu.

Bez zastanowienia pogładziłem go po łebku, po czym przesunąłem palce, żeby podrapać go za uszami. Miał wyraźniejszy głos niż przed chorobą. Znieruchomiałem. Wytarte wybrzuszenia na jego czaszce zostały zastąpione przez dwa rosnące rogi. Dopiero teraz zauważyłem, że Mephi nie wyszedł z niedawnych przeżyć niezmienny. Był wyższy, wydłużyły mu się pysk i nogi. Futro na ogonie stało się gęstsze, a błony pomiędzy palcami grubsze.

Zakołysałem się na piętach.

– Co się z tobą stało? Dlaczego zachorowałeś?

Pokręcił głową.

– Nie choroba. Tylko zmiana. To mężczy. Bardzo mężczy. – Opuścił głowę. – Nie mogłem ci pomóc. Przepraszam.

Zmiana. Pogładziłem go po policzku.

– Nie przepraszaj. Pomogłeś mi wystarczająco. – Zadrżały mi palce. Gwałtownie cofnąłem dłoń.

– Jovis w porządku?

Oczywiście, że nie było ze mną w porządku. Nigdy nie mogło być. Zbyt długo nie płynąłem do Emahli, a zamiast tego biegałem jak szalony i bawiłem się w bohatera. Którym nie byłem.

Nie była martwa. Nie była. Czekala na mnie.

– Nie – odparłem. Piekły mnie oczy, czułem w nich żar. – Nie jest ze mną w porządku. Musimy ruszać.

Mephi próbował pomóc, brał ubrania w zęby i przynosił mi je – nieco wilgotne i pogniecione po czasie spędzonym w jego pysku. Nie mogłem jednak narzekać. Dygotałem. Narastało we mnie drżenie i nie miało nic wspólnego z magią Mephiego. Raz za razem słyszałem głos Ranami: „Ona nie żyje”.

Nie. Wiedziałbym, gdyby tak się stało.

Wreszcie wszystkie moje rzeczy były już spakowane. Włosy skrzyły mi się w wilgotnym powietrzu. Byłem przemytnikiem półkrwi i wreszcie dysponowałem informacjami potrzebnymi do uratowania kobiety, którą kochałem.

Mephi oparł mi się o nogę, uspokajając mnie.

– Moglibyśmy pomóc tu – rzekł.

Pomyślałem o Gio, którego planów nie znałem, pragnącym zagarniać wyspy dla siebie. Pomyślałem o Ranami i Phalue, które nie wiedziały, że już zostały zdradzone, o dzieciach prowadzonych na rytuały trepanacji, o ulicznych sierotach, które chciały mnie obrabować. To prawda, rzeczywiście mogliśmy tu pomóc.

Co wcale nie oznaczało, że musieliśmy.

– Nie. Emahla. To ona jest dla mnie najważniejsza.

Mephi wydał z siebie cichy odgłos konsternacji. Nie znał jej.

– Polubiłbyś ją – powiedziałem mu. – Ale jest w niebezpieczeństwie. Zniknęła siedem lat temu i teraz wreszcie wiem, dokąd mogła zostać zabrana.

– Płyniemy tam? – Oplótł się wokół mnie.

Nie wiedziałem. Maila była zdradziecka, a ja nie miałem pewności, czy zdołam przedostać się przez jej rafy, nie rozbijając się na nich.

– Tak. – Oparłem dłoń na podłozde, gotów się podnieść. Nawet to wydawało się stanowić wysiłek.

Mephi położył mi łapę na kolanie.

– Ona jest jedna. Tych ludzi jest wielu.

Wszystkie okropne rzeczy, które czułem przez ostatnie trzy dni, wezbrały we mnie, przelały się.

– Nie obchodzą mnie ci ludzie. I ja nie obchodzę ich, chyba że mogą skorzystać z tego, co umiem. Nie znają mnie. Emahla mnie zna. Kocha mnie, a ja już zbyt długo ją zawodziłem.

Stworzenie nie odwróciło wzroku ani się nie odsunęło.

– Ja cię znam.

– Czyżby? – Cofnąłem się gwałtownie przed jego dotykiem i podniosłem. Ale, niech Bezczesne Morze ma mnie w swojej opiece, obejrzałem się za siebie, by

sprawdzić, czy za mną idzie. Szedł – z głową zwieszoną tak nisko, że poczułem na ten widok lekki ból w sercu. Nie mogłem jednak teraz się zatrzymać, bo gdybym to zrobił, mógłbym się już ponownie nie zmobilizować.

Nieliczni buntownicy, którzy zostali w jaskiniach, obserwowali, jak wychodzę, i nic nie mówili.

Moja łódź stała tam, gdzie ją zostawiłem, ukryta za skałami przy brzegu. Mephi wślizgnął się do wody zwinnie niczym lew morski. Ja sam brodziłem, gdy on już wdrapywał się na pokład. Morze ochładzało się wraz z migracją wysp na północny zachód i poczułem tę zmianę w stopach. Gdy tylko znalazłem się na jednostce, ściągnąłem z siebie mokre ubranie, nałożyłem suche i podniosłem kotwicę.

Mephi leżał na deskach w pobliżu dziobu z głową między łapami. Obserwował mnie, gdy szykowałem łódź do odpłynięcia, gdy sprawdzałem wiatr. Gdy go karciełem, zazwyczaj albo mnie ignorował, albo przyjmował to z niepohamowanym dobrym humorem szczeniaka. Tym razem trzymał się z dala ode mnie, zupełnie jakby ciężkie serce przytwierdziło go do dziobu.

Nie mogłem wciąż myśleć o innych.

Wiatr był dobry. Podróż na Mailę długo potrwa, ale im szybciej wyruszymy, tym szybciej tam dotrzemy. Po drodze będę musiał przemyśleć kwestię raf.

– Dość przystanków – mruknąłem. Księżyc był w pełni i dawał wystarczające światło, żebym mógł widzieć, co trzeba. – Dość smutnych opowieści o dzieciach, które trzeba uratować, albo o rządach, które należy obalić. Płyniemy prosto na Mailę.

Mephi jedynie westchnął i wpatrzył się w horyzont.

Przypomniałem sobie marzenia, jakie sobie opowiadaliśmy z Emahlą. Ja będę cesarskim nawigatorem, a ona będzie sprzedawała perły. Gdy Emahla skończyła piętnaście lat, przestała zbierać małże na plaży i zaczęła nurkować za perłami. Potrafiła wstrzymać oddech znacznie dłużej niż ja i nigdy nie wydawała się bać głębin rozciągających się za linią brzegową.

– Czasami – mówiła mi, gdy leżeliśmy razem na plaży – myślę sobie, że dotarłam do tej części wyspy, gdzie przestaje rozszerzać się na zewnątrz i opada pionowo w mrok. W którymś momencie później musi zakrzywić się do wewnątrz. Wyspy dryfują po Bezkresnym Morzu. Zastanawiam się, czy jakiś nurek widział kiedyś dno któreś z nich?

– Ty byłąbyś pierwsza – odparłem, biorąc ją w ramiona i całując w skroń.

Roześmiała się i odepchnęła mnie. Wciąż pamiętałem jej jaśminowy zapach, dotyk jej gęstych czarnych włosów na mojej szyi.

– Utopiłabym się.

– Nie ma nikogo tak sprytnego jak ty, ani mądrego czy silnego. – Wsunąłem palce w jej włosy.

– Jaki z ciebie kłamczuch. – Uśmiechała się jednak, gdy mnie całowała.

Ciemność zaczęła zasnuwać niebo. Nie widziałem gwiazd. Nie okłamywałem jej. Naprawdę była sprytna, mądra i silna. Nie potrzebowała mnie. A jednak mnie wybrała.

Gdyby istniał sposób, żeby mogła uciec swojemu losowi, odnalazłaby go. Nie zrobiła tego. Minęło siedem lat. Nikt z zaginionych nigdy nie wrócił.

Opowiadałem mnóstwo kłamstw innym i opowiadałem ich mnóstwo sobie. Być może to było największym z nich wszystkich. Emahla żyje. Czeka na ciebie. Pragnie, żebyś ją uratował. Była to jedyna rzecz, dzięki której rano potrafiłem wstać, nie rezygnowałem, nie poddawałem się Bezkresnemu Morzu ani Ioph Carn.

Nogi ugięły się pode mną, kolana opadły na pokład.

– Mephi – wyszeptalem.

Znalazł się przy mnie, zanim jeszcze popłynęły łzy. Ściskałem jego futro tak mocno, że na pewno sprawiałem mu ból. On jednak nie poruszał się, trwał niczym jałowiec chmurowy.

Nie żyła.

Wszystkie te lata spędziłem na poszukiwaniach i tęsknocie. Nie było istotne, czy ją znajdę, skoro nie dysponowałem mocą przywracania ludzi z martwych. Rozciągało się przede mną całe życie, które będę musiał spędzić bez niej. Zmusiłem się, by stawić mu czoła, by odepchnąć od siebie kłamstwo.

– Nie wiem, kim jestem – rzekłem, wciskając palce w podszerstek Mephięgo. – Nie wiem, co robić.

– Gdy byłem w wodzie – odparł Mephi – nie wiedziałem, dokąd płynąć. Musiałem znaleźć kogoś, kto mi pomoże. Podpłynąłem do ciebie, bo wiedziałem, że ty mi pomożesz. Wiem, kim jesteś. – Szturchnął mnie nosem w bark. – Jesteś osobą, która pomaga.

Naprawdę? Szukałem wytłumaczeń, by pomagać tym dzieciom w taki sposób, żeby nigdy nie zaangażować się za nadto w sprawę. Ktoś ocalił mnie, ale nikt nie ocalił Onyu. Nikt nie ocalił Emahli. Każdego dnia, gdy nadal żyłem, czułem ich nieobecność. Czasami jedno uratowane życie wystarczało.

A czasami nie.

Mogłem pomagać wszystkim dzieciom tak bardzo przypominającym mojego zmarłego brata. Mogłem pomagać cierpiącym na chorobę odłamkową i tym, którzy ich kochali. Mogłem pomagać ludziom wykradanym przez cesarskie konstrukty. Miałem moc pozwalającą mi uratować więcej niż tylko jednego tu, drugiego tam. Gdybym po prostu spróbował, mógłbym robić więcej niż jedynie uganiać się za widmem Emahli. Mógłbym popłynąć do serca cesarstwa i wystąpić przeciwko niemu. Mógłbym w to uwierzyć i nie byłoby to kłamstwo. Starłem łzy z policzków, choć wciąż czułem ból w piersi. Niektóre rany nigdy się nie zagoją.

– Takie życie wydaje się samotne, Mephi. – Nikt nikomu nie mówił prawdy. Nawet Garstka Bezkostnych była podzielona.

– Nie. – Mephi oparł mi brodę na barku. – Nie samotny. Ja jestem tu z tobą.

Podniosłem dłoń, żeby podrapać go po policzkach. Brzeg wciąż był blisko, powrót nie zajmie mi wiele czasu. Gdzieś w ciemnościach leżała kryjówka Bezkostnych wypełniona ludźmi, którzy pragnęli się uwolnić. Nie byłem w stanie ocalić ich wszystkich, ale mogłem ocalić całkiem wielu. Podniosłem się.

– Zatem postanowione. Płynimy obalić cesarstwo.



42

Lin

Wyspa Cesarska

Najpierw poszliśmy zabrać Uphilię z jej legowiska. Bayan wspinał się za mną po dachówkach.

– Już to kiedyś robiłaś? – spytał.

– Tak.

– Jesteś trochę pokręcona, wiesz o tym? Zastanawiam się... – sapnęła i wyciągnęła rękę, żeby chwycić się wyżej – ...czy twoja matka też była taka.

Chciałabym, żeby była moją matką, ale nie była nią. W swoim dzienniku wydawała się być całkiem normalną młodą kobietą, ale ojca poślubiła kilka lat później. Coś musiało się wydarzyć pomiędzy tamtym czasem a ich ślubem. Bayan nic więcej nie mówił, tylko pochylił głowę i skoncentrował się na wspinaczce.

Urwany żelazny element wciąż wisiał na okapie. Gdy wyjrzałam przez krawędź, dostrzegłam Uphilię zwiniętą w jej wnęce, z ogonem przykrywającym nos i skrzydłami przyciśniętymi do boków.

– Uphilio – wyszeptalam do niej. – Musisz pójść ze mną. – Nie wiedziałam, dlaczego szepczę, choć może dlatego, że nie byłam pewna efektów swojej pracy. Jeśli nie zmodyfikowałam jej rozkazów w odpowiedni sposób, obudzi się i ogłosi alarm. Możliwe

też, że ojciec, cesarz, już przywrócił dawną treść poleceń. Nadstawiła uszu, ale to wszystko. Wiatr zagłuszył mój głos.

Nie mogłam pozwolić, żeby teraz owładnął mną strach. Spróbowałam znowu, głośnieji i pewniej:

– Uphilio, obudź się i chodź ze mną.

Wstała, przeciągnęła się i wyskoczyła z niszy. Szybkim trzepotem skrzydeł znalazła się na szczycie dachu i wpatrzyła się bursztynowymi oczyma w moje oczy. Nie wszczęła alarmu.

Znajdujący się za mną konstrukt szpiegowski pisnął z niepokojem.

– Nie – rzekłam, cofając dłoń za plecy. – Jesteśmy teraz po tej samej stronie.

– Czy nawet z Uphilią i Maugą damy radę zabrać się za Tiranga? – zapytał Bayan. – Jest silny i ma do dyspozycji konstrukty wojenne.

– Jeśli masz lepszy pomysł, zdradź mi go, gdy znów znajdziemy się na dole. – Wróciliśmy na balkon Bayana w towarzystwie Uphilii. – Możemy usuwać odłamki z atakujących nas konstruktyw. Oslabiać niektóre z nich, jeśli będziemy mieć okazję. Zdradzę ci, jak przepisałam komendy dla szpiegów. Przypuszczam, że rozkazy konstruktyw wojennych są zapisane w podobny sposób. Uda się nam. Są silne, ale my mamy większą wiedzę. Możemy je kontrolować. Wystarczy przebić się przez nie, żeby dostać się do cesarza.

– Tak, błahostka. – Mówił w taki sposób, bo się bał. Znałam to uczucie.

– Nigdy nie mówiłam, że to będzie proste.

Bayan roztarł ręce, jakby próbował zetrzeć z nich strach.

– Przepraszam. Wiem, że masz rację. I jeśli zamierzam kiedykolwiek wieść godne życie, to właśnie jest droga do niego. A wydawało mi się, że było mi ciężko, gdy musiałem rywalizować z tobą o uznanie twojego ojca. To jest... obalanie cesarza. Coś podobnego mogliby zrobić twój przodek. Albo Alanga.

– Powtórzę, że nie jestem jedną z Sukaiów. Tylko kopią.

– W obecnych czasach nie znajdziesz nikogo bliższego Sukaikom. – Bayan pokręcił głową. – Znajdźmy Maugę i zróbmy to, zanim zmienię zdanie.

Wzięłam go za rękę. Nasze palce splotły się równie naturalnie jak oddechy.

– Dziękuję ci – powiedziałam.

Tym razem nie rzucił niczego głupiego, a tylko spojrział na nasze dłonie. Gdy miał poważny wyraz twarzy, jego podobieństwo do cesarza uwidaczniało się jeszcze bardziej. Cesarz skonstruował młodszą kopię siebie, poskładaną z nie wiadomo jak wielu osób. A jednak Bayan był inny. Ścisnął moje palce.

– Przykro mi, że nie mogliśmy być przyjaciółmi – rzekł.

– Wciąż mamy na to czas.

Uśmiechnęła się do mnie na w pół łobuzersko, na w pół krzywo.

– Stwierdziła, zanim ruszyli do boju przeciwko temu, który ich stworzył – zadeklamował.

Również ścisnęłam jego dłoń.

– Zawsze jest czas.

Wspólnie wymknęliśmy się na korytarz, wcześniej wysławszy konstrukt szpiegowski, żeby zbadał drogę. Uphilia szła za nami. Gdy zbliżaliśmy się do pokoju Maugi, a ja coraz mocniej wyczuwałam jego zapach, dłoń Bayana ślizgała się w mojej. Nie byłam pewna, czy to mój pot, czy jego. W każdym razie ścisnęliśmy się mocniej. Gdybym wcześniej odsunęła na bok dumę, gdybym wcześniej domyśliła się, o co chodzi, być może przejrzelibyśmy naturę rywalizacji, jaką narzucił nam cesarz. Manipulował

nami obojgiem i dałam się na to złapać. Może zdołałabym też uratować Numeena i jego rodzinę. Nie potrafiłam jednak zmienić tego, co się stało, jakkolwiek bym tego nie pragnęła. A pragnęłam niezwykle mocno.

Gdy weszliśmy, Mauga nie spał. Siedział na tylnych łapach wśród porozrzucanej słomy.

Wsparcie Bayana dodało mi odwagi. Nie szeptałam ani nie podchodziłam ostrożnie jak myszka.

– Maugo, musisz pójść ze mną.

Zamrugał, po czym opadł na cztery łapy.

– Wiedziałem, że po mnie przyjdiesz.

Uphilia stanęła u mego boku, rozpostarła skrzydła i złożyła je z powrotem.

– Już czas – oznajmiła.

– Muszę znaleźć mego ojca – powiedziałam konstruktom. – Muszę wszystko naprawić. – Choć bardzo protestowałam, choć wciąż powtarzałam Bayanowi, że nie jestem Sukaitem, ta tożsamość została zbyt silnie wyciśnięta w moich kościach. Jeśli przeżyję, pewnego dnia znajdę sposób, żeby ją odrzucić.

– Jest w sali jadalnej z Tirangiem – poinformował Mauga. – Planuje wojnę z Garstką Bezkostnych.

– A Ilith? – zapytał Bayan.

Uphilia pokręciła głową, jakby ugryzła coś niesmacznego.

– Nikt nie wie – odparła.

Miałam nadzieję, że Konstruktor Szpiegów leży nieprzytomna w swoim legowisku. Rylec, który dał mi Numeen, wciąż spoczywał w kieszeni mojej szarfy.

– Będę chciała, żebyście mnie osłaniali – rzekłam do nich. – Im więcej zyskam czasu na przepisywanie rozkazów podstawowych konstruktorów wojennych, tym więcej z nich znajdzie się po naszej stronie.

– A jeśli zwyciężymy? – Bayan wygłosił te słowa tak, jakby zaczynał w to wierzyć.

– Sprowadzimy tu z powrotem służbę, żołnierzy. Znów otworzymy pałac. Podpiszemy traktaty z gubernatorami i zawiążemy sojusze. Znów staniemy się silni. A reszta... – Pomyślałam o tkwiących w Bayanie odłamkach, które nawet teraz wysączały życie z obywateli cesarstwa. Nie wiedziałam, jak pogodzić tę świadomość z tym, czego oczekiwał po mnie Numeen. Chciał, żebym skończyła z rytuałami trepanacji, żebym zaopiekowała się ludem. Zamknęłam oczy w nadziei, że pojawi się w moich myślach wizja przyszłości, która miałaby sens. Ujrzałam pod powiekami jedynie ciemność, a puls dudnił mi w uszach niczym bęben. Istniały przecież pokoje, w których jeszcze nie byłam, i sekrety, których nie poznałam. Być może tam odnajdę odpowiedzi. – Resztą zajmiemy się później.

Droga do sali jadalnej wydawała się trwać całą wieczność. Jedyna służąca, na jaką się natknęliśmy, zbladła na nasz widok i cofnęła się do pomieszczenia, z którego przed chwilą wyszła, chowając twarz za koszem z bielizną. Oswobodziłam dłoń z uścisku Bayana i wyciągnęłam rylec. On również trzymał swoje narzędzie – niczym broń. Jego rylec był o wiele elegantszy od mojego, z uchwytem rzeźbionym w pnąca. Uphilia dreptała bezszelestnie obok nas, a Mauga włókł się z tyłu. Czuliśmy ulgę, że jego potężna sylwetka zapewniała nam wsparcie.

Za Numeena. Za jego żonę, brata, dzieci. Za jego rodzinę, której los mi zawierzył.

Bayan zatrzymał się przy drzwiach sali jadalnej. Plan był mój, więc ja musiałam wykonać ruch. Rzecz w tym, pomyślałam, żeby w ogóle się nad tym nie zastanawiać. Odetchnęłam, otworzyłam drzwi i weszłam do środka.

Cesarz Shiyen stał nad stołem, opierając się o blat. Tirang majaczył za nim, celując swym wilczym pyskiem w mapę i pazurzystą małpią łapą trzymając się krawędzi. Obaj podnieśli wzrok, gdy wkroczyłam z rylcem w dłoń. Po twarzy ojca przemknął wyraz zaskoczenia, tak ulotny, że ledwo go dostrzegłam. Wystarczył mi jednak, żebym się zorientowała – nie spełniłam jego oczekiwań.

Tym razem pragnęłam je zburzyć.

Gdy po mnie do wnętrza weszli Bayan, Mauga i Uphilia, na obliczu Shiyena pojawiło się zrozumienie.

– Zamknąłem cię. Ty... ty nie powinnaś tu być – powiedział powoli.

– Nie powinnam. Ale nie jestem tą, za którą mnie uważasz.

– To dlatego, że muszę cię naprawić. Nie ma w tym twojej winy.

Wyprostowałam się.

– Jestem szczęśliwa w obecnym stanie.

Shiyen parsknął.

– Nie wiesz, czym jest szczęście. Nie wiesz, czym jest smutek. Wyhodowałem cię w jaskini pod pałacem ze skradzionych ochłapów ciała. Wsadziłem ci wspomnienia do głowy. Jesteś moim dziełem. Należysz do mnie.

Nie należałam do niego. Ale jedynym językiem, jaki rozumiał, była przemoc.

– Mauga, Uphilia. Zabijcie Tiranga.

Rzucili się naprzód. Poczułam, jak drży ręka Bayana przyciśnięta do mojej. Może Shiyen zwykle mnie ignorował, ale chłopak musiał znosić jego gniew znacznie częściej.

Cesarz plasnął dłonią o stół.

– Ossen! – krzyknął. Słowo to odbiło się echem od ścian. W czasie gdy Mauga i Uphilia wciąż biegli na Tiranga, usłyszałam z oddali tupot.

Nigdy nie oczekiwałam, że wystarczy zabić Tiranga, ale struchlałam, gdy moje obawy się potwierdziły.

Tirang pochwycił Uphilię w pysk, a Mauga grzmotnął go w pierś swoim masywnym, niedźwiedzim barkiem. Zerknąwszy na mnie z pogardą, Shiyen zanurzył dłoń w Maudze. Konstruktor zamarł.

– Co teraz? – spytał Bayan.

– A niby co? – Zabrzmiało to odważniej, niż się czułam. – Walczymy.

Ruszyłam w stronę mojego niegdysiejszego ojca, ściskając rylce. Choć uczyłam się pilnie, wiedziałam, że jego wiedza jest większa od mojej. On sam był jednak słabszy i chory, a ja dysponowałam siłą młodości.

Tirang puścił Uphilię i zwrócił się do mnie, a z jego gardła dobiegł warkot. Zanim zdążył się na mnie zamachnąć, Uphilia skoczyła i zacisnęła zęby na jego łydce.

Złapałam Shiyena za rękę i wyrwałam ją z ciała Maugi. Zdążył już chwycić odłamek. Kości nadgarstka Shiyena ścisnęły się, kruche niczym nogi skowronka. Stęknął, gdy wyrwałam mu odłamek z palców, zerknęłam na niego i wcisnęłam z powrotem na miejsce. Mauga potrząsnął głową i obnażył zęby.

– Lin! – zawołał Bayan z tyłu.

Obejrzałam się i zobaczyłam, że próbuje przytrzymywać drzwi pod naporem fali napastników. Na moich oczach przegrał walkę i do sali wdarły się konstrukty wojenne – stworzenia o szeroko rozstawionych oczach, najeżone kłami i pazurami.

– Zmieniaj ich! – zawołałam. – Tak jak ci pokazałam!

Wcisnął dłoń w najbliższego stwora, ale nie był w stanie zająć się wszystkimi naraz. Pchnęłam ojca na podłogę i podbiegłam do drzwi, wyciągając przed siebie wolną dłoń. Wcisnęłam palce w pierś pierwszego konstrukt, na który się natknęłam. Gdy zamarł, przykucnęłam w jego cieniu i, używając jego ciała jako osłony, wyrwałam ze środka odłamek, żeby przepisać jego zawartość. Za sobą słyszałam stukanie żelaznego okucia laski ojca podnoszącego się na nogi.

Coś warknęło mi blisko ucha. Poderwałam głowę i napotkałam złote spojrzenie jakiegoś wielkiego kota. Ciężka żuchwa i długie zęby konstrukt sprawiły, że przez moje żyły przebiegła błyskawica, a serce zatrzepotało mi o żebra. Stwór podszedł krok bliżej, a ja wcisnęłam odłamek z powrotem w konstrukt, za którym kuciałam.

– Chroń mnie – nakazałam mu.

Obnażył zęby, żeby zetrzeć się z kocią istotą, a ja odturlałam się na bok. Złapałam inny konstrukt za włochatą nogę. Gdy tylko zaczął na mnie warczeć, wsunęłam mu dłoń w pierś, żeby wyciągnąć odpowiedni odłamek. Słyszałam wycie, gdy dwie pozostałe istoty szamotały się ze sobą. Kolejne dwie zbliżyły się do mnie.

Musiałam trzymać się o krok przed nimi i przemieniać tyle z nich, żeby mnie broniły przed nacierającymi. Nie mogłam też zapominać o ojcu, który wciąż mógł krzyżować nam plany.

Ostre zęby wbiły mi się w rękę, gdy kończyłam ryc nowy rozkaz na odłamku. Ugryzł mnie mniejszy konstrukt wojenny o pysku jakiejś drapieżnej ryby. Wyszarpnęłam rękę, czując rozrywane ciało. Rozbłysnął palący ból i ciepła krew spłynęła mi w stronę dłoni. Wbiłam odłamek z powrotem w konstrukt nade mną.



– Chroń mnie – rozkazałam.

Ośmieliłam się zerknąć na Bayana. Wciąż był blisko drzwi, ale trzymał się – miał jeden konstrukt pod kontrolą i pracował nad następnym. Nie był tak szybki jak ja, ale radził sobie.

Pomiędzy nami znajdowało się zbyt wiele konstruktyw – przynajmniej dwadzieścia o różnych rozmiarach. Za moimi plecami ojciec zdołał wstać. Jeśli będę dalej próbowała podejść do Bayana, żeby go wesprzeć, dam w ten sposób Shiyenowi czas, żeby mógł zasiać więcej zamętu. Nie miałam pojęcia, co jeszcze trzymał w zanadru. Najlepszym sposobem, żeby ochronić nas oboje, było szybko zakończyć sprawę.

Obróciłam się ku cesarzowi.

Znow trzymał Maugę. Tirang wciąż stał, choć krew płynęła mu z rany na barku – zadanej przez szczękę Maugi. Jeden z przemienionych przeze mnie konstruktyw zniknął pod natarciem trzech innych. Nie zdołam tam dotrzeć, skoro bronił mnie tylko jeden. Sięgnęłam ku następnemu, ledwo mogąc zaczerpnąć tchu i czując ból w ręce.

Przemieniłam go szybko.

– Lin, pomóż! – krzyknął Bayan.

Tkwiał pod konstruktem. Obydwa stwory, które zmodyfikował, leżały na podłodze i krew lała im się z gardeł. Wpychał właśnie dłoń w tego, który go trzymał, ale palce nie chciały wnikać w skórę. Chłopak panikował i nie dotrzymywał tempa walce.

Nie mogłam zawrócić, by nie stracić wszystkiego, po co tu przyszliśmy. Zresztą i tak bym nie zdążyła.

– Chroń Bayana – poleciłam konstruktwi, którego właśnie przemieniłam. Nie miałam czasu sprawdzać, czy to wystarczy. Odsloniłam się. Konstrukt wojenny składający się w większości z elementów wilka szedł ku mnie od prawej. Drugi, którego zmodyfikowałam, starał się nie dopuszczać dwóch próbujących podejść mnie z lewej.

Wyciągnęłam dłoń w nadziei, że zdążę zareagować na tyle szybko, by wsunąć ją w wilczy konstrukt, zanim ten mnie zaatakuje. Nie dysponowałam elementem zaskoczenia, bo stwór patrzył mi prosto w oczy.

Skoczył.

W powietrzu rozległ się pisk. Hao spadł z belek sufitowych i wylądował wilkowi na głowie. Konstrukt wojenny kłapnął zębami, ale chwycił jedynie powietrze, a mały szpieg w tym czasie rzucił mu się z pazurami do oczu.

Serce podeszło mi do gardła. Nie mówiłam mu, żeby mi pomagał. W ogóle zapomniałam o jego obecności – był za mały. Okazało się jednak, że nikt nie jest za mały, żeby odwrócić bieg wydarzeń.

Ojciec kończył pisać. Krwawiąca Uphilia rzuciła się ku stopie Tiranga. Nie mogła się z nim równać. Nie wytrzyma już długo. I wtedy Shiyen wepchnął zapisany odłamek w ciało Maugi.

Mauga się przemienił. Gdy się ocknął, wyczułam zmianę w powietrzu. Chwycił Uphilię i opazurzone łapy, które wydawały mi się tak powolne i leniwe, rozciąły ją sprawnie na pół. Polała się krew, odłamki kości wysypały się z połówek zniszczonego ciała. Zaschło mi w ustach. Taki właśnie los mnie czeka, jeśli przegram tę walkę. Skoczyłam na bok, żeby uchylić się przed ugryzieniem, złapałam psi pysk atakującego konstrukt i wcisnęłam mu dłoń w ciało.

Nie mogło minąć wiele czasu, ale miałam wrażenie, jakbym walczyła już całe życie. Ranna ręka na zmianę piekła i drętwiała. Przemieniłam konstrukt o psim pysku,

a później kolejny. Na niczym innym nie mogłam się skupić. Wtedy jednak Mauga zaczął sunąć w moją stronę i wiedziałam, że muszę wymyślić jakiś sposób, by zmodyfikować go z powrotem. Nie miałam pojęcia, co ojciec zapisał mu w rozkazach. Dostrzegłam tylko krótki błysk triumfu na jego twarzy, na którego widok żyły skuł mi lód.

– Bayan! – zawołałam. Nie usłyszałam odpowiedzi. Mógł być ranny, martwy lub zbyt zajęty własną walką, żeby zareagować. Miałam nadzieję, że zrozumiał, o co mi chodzi. Potrzebowałam czasu, żeby ustalić, co zrobił cesarz, bo nie mogliśmy sobie pozwolić na to, by Mauga zwrócił się przeciwko nam.

Dla Numeena, dla jego rodziny, dla całej reszty.

Pobiegłam w stronę Maugi, zaciskając mocno palce na ryłcu. Zauważył mnie i zmrużył brązowe oczy. Zamachnęła się. Skoczyłam w bok i uchyliłam się przed ciosem. Pazury zaplątały się na krótką chwilę w moich włosach, sprawiając, że dreszcz przebiegł mi po plecach. Zanim zdążyłam się wyprostować, druga łapa trafiła mnie w biodro. Poczułam, że rozdarł mi ciało i poturlałam się od siły ciosu. Zamgliło mi wzrok, świat obracał się wokół. Oblizalam wargi i wyczułam smak miedzi. Zapach piżma i łajna wypełnił mi nozdrza.

Wstawaj.

Przed oczyma ujrzałam stopę Maugi. Pomiędzy palcami utkwilo mu źdźbło słomy. Próbowałam skupić się na nim, oczyścić wzrok. Gdzieś za mną krzyczał Bayan. Nie potrafiłam określić, jakie to były słowa.

Byłam Lin. Nie byłam córką cesarza, ale byłam silniejsza, niż przypuszczał. Nie zginę tu. Nie zostanę jego żoną.

Zebrawszy całą siłę, jaka pozostała mi w kończynach, poderwałam się na nogi i wepchnęłam dłoń w pierś Maugi. Ból promieniował mi na całe ciało, rozchodząc się z ręki i biodra. Krzywiąc się, przesunęłam dłonią po odłamkach Maugi. Było ich zbyt wiele. Odnalezienie tego, który został zmodyfikowany przez Shiyena, zajmie zbyt wiele czasu. Zamknęłam oczy.

– Przykro mi, Maugo.

Chwyciłam garść odłamków i wyszarpnęłam je.

Mauga zamarł w bezruchu.

Drugi przemieniony konstruktor wciąż mnie ochraniał, choć krwawił z wielu ran i wyglądał, jakby zaraz miał się rozpaść. Chwyciłam innego.

Kątem oka widziałam Bayana pracującego zaciekle nad tym, żeby przeciągać konstrukty wojenne na naszą stronę. Uphilia już nie żyła, ale czułam, że sytuacja się zmienia. Gdyby tylko udało nam się unieszkodliwić Tiranga, zwyciężylibyśmy. Zmodyfikowałam jeszcze dwa konstrukty.

Od drzwi dobiegł przeciągły, niski warkot.

Bing Tai wskoczył do sali i złapał Bayana za szyję. Trysnęła krew.

Czułam się, jakbym obserwowała to wszystko z oddali przez soczewkę. Odebrało mi czucie w wargach. Bayan nie wrzeszczał, choć Bing Tai zaciskał mu zęby na gardle. Gdy Bing Tai puścił, Bayan upadł bezwładnie na podłogę. Konstrukty, które przemienił, biegały bezładnie i bez celu, atakowały zarówno stwory ojca, jak i siebie nawzajem.

Bing Tai biegł na mnie z boku. Kątem oka dostrzegłam czerwoną sierść Tiranga.

Bing Tai warknął.

I nagle nie znajdowałam się już w sali jadalnej. Byłam w bibliotece, a Bing Tai leżał przede mną. Moje dłonie poruszały się z własnej woli. Byłam sobą, a przy tym nie

byłam sobą. Na kawałku jedwabiu rozłożonym na podłodze sortowałam rzędami odłamki. Podniosłam jeden z nich do oczu i przyjrzałam się rozkazowi.

– Jest dość złożony. – Znałam głos, który dobiegł od strony regałów. Na moim barku spoczęła dłoń. Shiyen.

– Tak, cóż, dlaczego miałabym robić coś prostego, skoro jestem zdolna do czegoś więcej? – Pocałowałam dłoń. – To będzie dla nas obojga. Strażnik. Osobisty obrońca. – Zaczęłam wkładać odłamki w ciało Bing Taia.

Wspomnienie odpłynęło i wróciłam do sali jadalnej. Krew sączyła się z moich ran. Bing Tai stał nade mną.

– Zabij ją! – zawołał Shiyen. – Wyhoduję sobie następną.

Bing Tai się zawahał.

W umyśle zapłonął mi znów odłamek, który trzymałam w bibliotece. Ossen Nisong en ossen Shiyen. Bądź posłuszny Nisong, a później bądź posłuszny Shiyenowi. Nisong stała na pierwszym miejscu, a ja ją przypominałam. Zachowałam część jej wspomnień.

– Nie. – Podniosłam się z trudem, czując ból w sercu i kościach. Pamiętałam, jak Bing Tai wstrzymał się przed zaatakowaniem mnie, gdy włamałam się do komnat ojca. Wtedy sądziłam, że ojciec kazał mu chronić rodzinę, ale teraz wiedziałam już, że to jego żona stworzyła ten konstrukt. I choć bardzo chciałam być odrębną osobą, jej tożsamość po części była też moja. Stwór warczał, ale wyciągnęłam dłoń. Zdusiłam cały strach, całą niepewność. Dotknęłam nosa bestii, a ta się uspokoiła.

– Znam cię, Bing Taiu. Jesteś mój.

Napotkałam wzrok ojca w tej samej chwili, gdy moje konstrukty wojenne powaliły Tiranga na podłogę i rozszarpały go.

– Zabij Shiyena.

Bing Tai obrócił się i rzucił na mojego ojca, mojego stwórcę, mojego niegdysiejszego męża.

Zatopił zęby w jego szyi. W sali rozpętał się chaos.

Znów się przewróciłam. Powolne kap, kap, kap mojej krwi na deski było niczym ostatnie tchnienia burzy, która już dawno przeminęła.



43

Jovis

Wyspa Nephilanu

Zmiany, jakie zaszły w Mephim, wydawały się jeszcze wyraźniejsze w świetle dziennym. Grzbietem sięgał mi teraz do pasa, a brązowa sierść stała się gęstsza. Kępka włosów na podbródku zaczęła się wydłużać, dzięki czemu stworzenie miało teraz coś w rodzaju brody. Podrapałem ją machinalnie, a on zamknął oczy.

– Bardzo dobre – zagrzmiał.

Ranami ucieszyła się na mój widok, a Gio nawet bardziej, choć teraz wiedziałem już, że kierowali się odmiennymi motywami. Gio miał własne plany i nie znałem ich. Ranami odciągnęła mnie na bok.

– Trzymaj. – Wcisnęła mi w dłonie paczuszkę. – Będziesz potrzebował sposobu na przekazywanie nam wiadomości. W środku jest kod. Przeanalizuj go. A także stosunkowo dokładna kopia cesarskiej pieczęci. W porcie znajdziesz kobietę sprzedającą bułeczki gotowane na parze. Wywiesza na swoim stoisku białą flagę. Przekazuj wiadomości tylko jej, nikomu innemu. Wysyłaj ich jak najmniej, ale informuj nas o najważniejszych rzeczach. Jeśli będziesz potrzebował pomocy, daj nam znać. Odbieraj też u niej wieści od nas.

Zawahałem się przez chwilę, ale wyszeptalem do niej:

– Gio zamierzał zabić Phalue. Miej oczy szeroko otwarte i oglądaj się za siebie.

Nie dała po sobie poznać, że mnie usłyszała, ale nie oczekiwałem tego.

Pożegnalna wiadomość Gio była znacznie bardziej tajemnicza:

– Trzymaj Mephiego blisko siebie – powiedział. – Będiesz go potrzebował.

Przyglądałem się jego twarzy. Według rebeliantów Mephi był dla mnie tylko kochanym pupilem. Gio wiedział więcej, choć nie miałem pojęcia skąd.

– Mówiłeś coś do Gio? – zapytałem Mephiego.

Otworzył oczy.

– Mówiłeś, żeby nic nie mówić.

– To mówiłeś?

– Nie. – Odwrócił się ode mnie, podbiegł do burty i wskoczył do morza. Często teraz tak robił. Kiedy zdarzyło mu się to pierwszy raz po chorobie, spanikowałem i liczyłem czas, jaki spędził pod falami. Gdy w końcu wystawił głowę nad wodę, trzymając w pysku rybę, niemal zapłakałem z radości. Teraz to Mephi dostarczał mi więcej jedzenia niż ja jemu. Jadł zachłannie, ale był świetnym łowcą. Raz nawet wrócił z kałamarnicą, której macki wciąż się wiły, gdy rzucił ją na pokład. Przyrządziłem ją i podzieliłem się z nim, a on mruczał z rozkoszą.

Teraz, gdy stał się znacznie większy, już mniej się o niego obawiałem. Owszem, w Bezkresnym Morzu pływały potężniejsze i bardziej niebezpieczne istoty, ale Mephi był w wodzie szybki jak delfin. Sierść leżała mu gładko na skórze, tworząc grubą osłonę. Zresztą przecież nie mogłem wiecznie wisieć nad nim jak zalękniona matka.

Wiatr mierzwił mi włosy. Buntownicy sugerowali, żebym wyprostował je, zanim udam się do pałacu, ale nie miałem ochoty się maskować. Dostałem się do Akademii Nawigatorów i ukończyłem ją, nie ukrywając swojego pochodzenia. Nie byłem głupcem. Jak głupiec zachowywałem się tylko gdy chodziło o Emahlę, ale miłość potrafiła każdemu zmącić umysł. Zmąciła też moje serce, pozostawiając w nim ból, który zapewne nigdy nie osłabnie. Tak długo trzymałem się jej wspomnienia. Nie wiedziałem, jak będzie wyglądało moje życie po tym, gdy zrezygnowałem z nadziei, że ją odnajdę, ale będę musiał się dowiedzieć.

Im bardziej zbliżałem się do Cesarskiej, tym mocniej padało. Tego ranka miałem szczęście i nie zmoczył mnie jeszcze deszcz, ale jeśli oceniać po wyglądzie nieba, wkrótce miało się to zmienić.

Mephi wgramolił się z powrotem na pokład z dużą rybą w zębach. Zaczął pochłaniać ją wraz z wnętrznościami. Przerwał i wycelował zakrwawiony pysk na północ. Podążyłem za jego wzrokiem. W oddali dostrzegałem zielone, łagodne góry Cesarskiej. Popatrzył na mnie i poruszył wąsami.

– Plan?

Przejechałem dłonią po włosach.

– Nie wiem. – Wciąż o tym myślałem. Nie chciałem znów zostawiać Mephiego i choć miałem złe przeczucia co do motywów Gio, pamiętałem o jego słowach. Jak wyjaśniłbym w pałacu jego obecność? Co mógłbym zaoferować?

Zorientują się, że jestem Jovisem. Cesarz lub któryś z jego sługusów kazał wykonać moje portrety. Jeśli chciałem zachować pozory i zatrzymać Mephiego, mogłem dostać się do pałacu wyłącznie jako więzień. To wciąż mogłoby się udać. Trudniej byłoby im mnie zabić niż z początku sądzili. I posiadałem potrzebne im informacje. Wiedziałem, gdzie kryją się Kaphra i reszta szefów Ioph Carn.

Innego planu nie miałem.

– Poddam się – powiedziałem do Mephiego. – Zaoferuję im swoje usługi.

Podszedł do mnie i przycisnął mi czoło do biodra.

– Pójdziemy razem. Też robiłem rzeczy, które by im się nie spodobały.

– Owszem. – Zmierzyłem mu sierść na czubku głowy. Jego umiejętności językowe wciąż się poprawiały.

Gdy przybyliśmy do portu w Cesarskim Mieście, rozpadało się na dobre. Wciągnąłem nieprzemakalną kurtkę, ale wiatr wciąż wdmuchiwał mi deszcz pod kaptur i woda ściekała mi na szyję. Mephi dreptał obok, odchylając głowę i otwierając pysk, by łapać w niego krople. Obliznął nos i potrząsnął głową, dodatkowo mnie zalewając.

– Przynajmniej jednemu z nas podoba się pogoda – rzekłem.

Jego prychnięcie zabrzmiało jak śmiech.

Zapłaciłem konstruktowi portowemu i skierowaliśmy się do miasta. Było luksusowe w porównaniu ze standardami na innych wyspach. Budynki wznosiły się na kilka kondygnacji i wszystkie zwieńczono pochyłymi dachami. Po odbudowie Cesarskie Miasto odrodziło się jako pierwsze. Widać to było w rzeźbach zdobiących tarasy i rynny. Trzymałem Mephiego blisko siebie. Przy takiej pogodzie można było wziąć go za psa. Zresztą tutejsi mieszkańcy przywykli do rozmaitych konstruktów cesarza. Kolejne dziwne stworzenie nie zwróci szczególnej uwagi.

Podpierając się laską, wspinałem się ulicami wiodącymi do pałacu.

Jak mam to zrobić? Zapukać do wielkich wrót i poprosić o możliwość widzenia się z cesarzem? Mogłbym poszukać jednego z plakatów i zabrać go ze sobą, w razie gdyby ktoś wątpił w moją tożsamość. Rozejrzałem się.

Wtedy zamarło mi serce. Przede mną szła ulicą postać okryta ciemnoszarym płaszczem. Była nienaturalnie wysoka, zupełnie jak ta, którą widziałem na łodzi o niebieskich żaglach. Czy poszukiwana jednostka cumowała w porcie? Nie wypatrywałem jej, zresztą warunki pogodowe zakłócały widok. Wokół nas ludzie zajmowali się swoimi sprawami, zaglądali nieznanemu pod kaptur, a później odwracali wzrok i spuszczały głowy.

– Ej! – zawołałem. – Ty tam, przede mną!

Postać nie zatrzymała się ani nawet nie zawahała. Wspinała się szybciej po pochyłości, a szerokie barki falowały, gdy poruszała rękoma.

– Zaczekaj! Muszę z tobą porozmawiać!

Nieznajomy jednak dalej szedł w stronę pałacu. Przeciskałem się pomiędzy przechodniami, a deszcz leciał mi do oczu. Tak wiele razy widziałem tę piekielną łódź, ale wymykała mi się pomimo wszelkich wysiłków. Nie mogłem pozwolić, by teraz stało się tak samo.

– Jovisie. – Mephi dreptał obok mnie. – Czy chcesz, żebym...?

– Cicho. – Poklepałem go po głowie, by złagodzić ostre słowo, i rozejrzałem się po ludziach dookoła. Zrozumiał, o co mi chodzi, i trzymał język za zębami. – Powinniśmy się pospieszyć. Trzymaj się mnie.

Zacząłem biec truchtem, żeby dotrzymać tamtemu kroku, choć wciąż nie poruszałem się zbyt pewnie po długim pobycie na morzu. Miałem poczucie, że ziemia faluje mi pod stopami, co na każdym kroku wprowadzało mnie w dezorientację. Gdy tylko zacząłem biec, postać uczyniła to samo. Na wszystko, co na świecie i w głębinach Bezkresnego Morza... Oczywiście, że nie mogło być łatwo, nawet gdy znalazłem się już tak blisko. Zaciśnąłem zęby. Dotąd musiałem wyszarpywać i wrywać każdy skrawek informacji. Najwyraźniej teraz nie mogło być inaczej.

Przed nami majaczyły mury pałacu, z których miejscami poodpadały farba i gips, odsłaniając znajdujący się pod spodem kamień. Czerwone wrota były zamknięte i potrzeba by więcej niż jednej osoby, żeby je otworzyć. Dalej dostrzegałem dachy pokryte zielonymi dachówkami. Gdybym zdołał przyprzeć tę osobę do murów, gdybym mógł wysłać Mephiego, żeby odciął jej drogę z drugiej strony...

Zanim zdążyłem wydać Mephiemu polecenie, postać przykucnęła u podstawy muru i skoczyła. Dłonie chwyciły szczyt, po czym do pierwszej ich pary dołączyła druga, wciągając nieznanego na górę.

Zatrzymałem się gwałtownie, nie mogąc złapać tchu. Dwie pary rąk. To nie był człowiek, tylko konstrukt. Ranami miała rację. Moje odpowiedzi znajdowały się tutaj, w samym sercu cesarstwa. Wszystkie konstrukty pozostawały pod kontrolą cesarza. Cokolwiek stało się z Emahlą, sprawa zaczęła się od niego.

Uklęknałem u podstawy muru. Kaptur płaszcz wypełniały chrapliwe odgłosy mojego oddechu. Co mogłem zdziałać przeciwko całemu cesarstwu? To zadanie od początku było skazane na niepowodzenie.

Przedemną pojawił się pysk Mephiego. Zajrzał mi pod kaptur.

– Przechodzimy? – zapytał cicho.

Popatrzyłem najpierw na niego, a później na ścianę. Odsłonięte kamienie zapewniały uchwyty dla dłoni i stóp. Moje kości zaczęły wibrować. Miałem siłę, żeby przedostać się na drugą stronę.

– Wejdz mi na plecy i trzymaj się – rzekłem do Mephiego. Stęknąłem, gdy wczepił się we mnie, ale byłem w stanie unieść jego ciężar. Przypiąłem sobie laskę do pleców i zacząłem wspinać się.

Gdy znaleźliśmy się na szczycie muru, panowała tam dziwna cisza. Żadnych wartowników. W porównaniu z tym, co mnie tu otaczało, pałac gubernatora Nephilanu wydawał się fortecą. Rozejrzałem się. Było pusto, nie licząc jednej postaci odzianej w szarość. Wciąż mogłem ją złapać dzięki magii brzęczącej mi w żyłach. Zawahałem się. Coś tu wydawało się nie w porządku. To miejsce sprawiało wrażenie nie tylko zaniedbanego, ale też opuszczonego. Co cesarz robił, przyczajony za tymi murami? Na zewnątrz jego konstrukty kierowały światem. Nie przypominałem sobie, kiedy ostatni raz ktokolwiek wspominał, by cesarz zapuścił się chociażby do Miasta Cesarskiego, nie mówiąc już o dalszych miejscach. Albo by kogokolwiek zapraszano do pałacu. Gdy byłem młodszy, sytuacja wyglądała inaczej. Posłańcy regularnie udawali się na Cesarską i wracali zachwyceni tym, co ujrzeli – cesarzem i jego żoną, obojgiem u szczytu potęgi. Pamiętałem o jego córce, która miała po nim odziedziczyć tron, ale nikt nie miał na jej temat nic do powiedzenia.

Zszedłem do połowy ściany po drugiej stronie i rozwarłem palce. Gdy łądowałem, wyciekła odrobina magii, wzbudzając drżenie w ziemi i trzęsąc murami. Kiedy obróciłem się, by spojrzeć znów na czteroręki konstrukt, biegł do głównego budynku pałacowego.

Nie zamierzałem pozwolić mu się wymknąć.

Mephi złazł mi z ramion, a ja włożyłem całą siłę w bieg. Każdy wykonywany przeze mnie krok był skokiem, pokruszone kamienie brukowe dziedzińca zamazywały się pode mną. Mephi biegł obok z uszami położonymi na czaszce. Mijaliśmy puste budynki, nieużywane od lat. Nieznajomy bezskutecznie próbował przed nami uciekać.

Na schodach pałacu złapałem go za krawędź płaszczu.

Konstrukt obrócił się gwałtownie, gdy zerwałem z niego okrycie. Ujrzałem kończyny i ciało stworzenia otulone szorstką szarą tkaniną. Cztery chude ręce

wystrzeliły naprzód, wyglądały jak ogromne żuwaczki jakiegoś owada gotowe do ataku. Nogi były zbyt długie, podobnie jak twarz, której blada skóra została zszyta bez troski o to, jak będzie wyglądać efekt. Ciemne oczy osadzono zbyt wysoko, a szerokie usta o wąskich wargach i spiczastych zębach zdawały się zajmować całą dolną połowę oblicza.

Byłem jednak zbyt wściekły, żeby strach zawładnął moim sercem.

– Co z nią zrobiłeś?

– Z kim? – Głos konstrukt był chropawy jak papier ścierny. Stwór cofnął się o krok w stronę drzwi.

– Zabrałeś ją z jedyne go życia, którego zawsze pragnęła. Miała plany. Miała rzeczy, które chciała zrobić. Zabrałeś jej to wszystko. Zabrałeś mi to wszystko. – Wylewały się ze mnie słowa, dla których dotąd nie miałem ujęcia. Wyrzygiwałem je teraz. – Siedem lat temu. Wyspa Anau. Zostawiłeś dziewiętnaście monet na jej posłaniu.

– Zapłacono uczciwą cenę – powiedział konstrukt. – Cesarz nie jest niesprawiedliwy. – Znów cofnął się o krok.

Mephi zawarczał i odsunął się ode mnie. Wbiegł po schodach i zablokował stworowi drogę ucieczki.

Zdjąłem stalową laskę z pleców.

– Mów, co się z nią stało.

Konstrukt przekrzywił głowę, jakby coś obliczał. Popatrzył na mnie.

– Nie.

Pulsowanie w kościach eksplodowało na całe ciało, posyłając do mych żył żar i ogień. Skoczyłem naprzód. Konstrukt wyszedł mi na spotkanie, a jego cztery ramiona poruszały się szybciej niż u jakiegokolwiek człowieka. Zanim zdążyłem w ogóle uderzyć, wyciągnął skądś cztery noże, które zalsniły jak błyskawice na tle pochmurnego nieba. Zablokował moją laskę dwoma z nich, a pozostałe dwa pomknęły ku mojemu korpusowi.

Mephi zatopił zęby w ciele stwora. Ten zawył, a ja wykorzystałem chwilowe odwrócenie uwagi, żeby obrócić laskę i grzmotnąć go mocno w nadgarstek. Dłoń przeciwnika otworzyła się i broń potoczyła się po stopniach. Zostały trzy klingi. O trzy za dużo.

Zdarzało mi się już walczyć z cesarskimi żołnierzami, ale ci, których posyłano do zabezpieczenia Festiwalu Trybutu, byli młodzi i niedoświadczeni. Rzadko mieli do czynienia z jakimkolwiek oporem, po co więc kierować tam weteranów? Konstrukt natomiast poruszał się w sposób, z jakim się dotąd nie zetknąłem, jego długie kończyny sunęły z gracją czapli rzucającej się na zdobycz. Nóż jeszcze nie upadł na schody, a ramiona stwora już działały. Dwa z nich zablokowałem laską. Trzecie chwyciło koniec mojej broni i przytrzymało ją, podczas gdy czwarte cięło mnie przez pierś. Najpierw poczułem, jak tkanina i skóra rozstępują się, a później jak piecze rana zalewana deszczem. Mephi krążył, szukając luki. Nie mogłem lekceważyć tego wroga. Konstrukty wojenne cesarza były prostymi stworzeniami, ale wyglądało na to, że w tego włożył więcej pracy. Nie miałem pojęcia, jakie rozkazy w niego wpisano, jaką wiedzę otrzymał.

Na próbę dźgnąłem końcem laski. Konstrukt złapał ją, zanim zdążyłem uderzyć go w brzuch. Mephi, jakby czytając mi w myślach, zerwał się w tym samym momencie, celując zębami w drugą nogę. Nawet nie oglądając się za siebie, konstrukt obrócił ku niemu trzy noże, zmuszając go do odwrotu. Pchnąłem pulsowanie do stóp i tupnąłem.

Schody się zatrzęsły. Konstrukt próbował utrzymać równowagę na pająkowatych nogach. Ta, w którą został ranny, nie wytrzymała i stwór opadł na

kolana. Mephi i ja skoczyliśmy jednocześnie. Uderzyłem w inny nadgarstek. Konstruktor warknął, wciąż mocno trzymając rękojeść noża. Ponowiłem próbę. Tym razem upuścił broń.

Najpierw poczułem siłę ciosu, później ból. Po udzie rozeszło mi się wrażenie pchnięcia. Zerknąłem w dół i ujrzałem rękojeść noża wbitego w moją nogę. Konstruktor wyszarpnął go. Teraz zalał mnie ból, rozbrzmiewający symfonią w porównaniu z melodią samotnego instrumentu towarzyszącego wcześniejszemu cięciu przez pierś.

Mephi wydał z siebie zduszony okrzyk. Przeszła przeze mnie fala paniki. Mephi chwycił kolejną rękę konstruktora w łokciu, ten jednak zdołał wykręcić ramię i wbić nóż w miękkie ucho mojego towarzysza. Wyrwał ostrze, zostawiając krwawą miazgę na jego miejscu. Obaj cofnęliśmy się, zachowując czujność, by ocenić szkody.

Nie mogłem mocno opierać się na rannej nodze. Ucho Mephięgo zwisało mu z boku głowy. Konstruktorowi zostały tylko dwa noże. Wtedy stwór się do mnie uśmiechnął. Wydawało się to czymś niepokojącym na twarzy istoty, która powinna tylko wykonywać rozkazy zapisane na jej odłamkach. Uniosłem laskę, przygotowując się do ataku. Ale konstruktor się obrócił. Uderzyłem w jego plecy, ale za późno.

Wbił obie klingi w barki Mephięgo.

Krzyk Mephięgo rozdarł mi serce na dwoje. Pulsowanie narastało w mojej piersi niczym rumor nadciągającej burzy z piorunami. Wyostrzyła się moja świadomość otaczającej nas wody. Nawet się nie zastanawiając, sięgnąłem. Deszcz wokół mnie zatrzymał się w locie. Zebrałem krople, ściągając je z powietrza, a później z ziemi. Potrafiłem myśleć tylko o tym, że ten stwór zranił Mephięgo i że musiałem z nim skończyć. Powstała fala wody, która zadała konstruktorowi cios z siłą fali uderzającej o klif.

Konstruktor odrzuciło od Mephięgo i woda poniosła go w dół schodów. Skoczyłem za nim.

Gdy klęknąłem mu na piersi, trzymając laskę przy szyi, nie miał już noży w dłoniach.

– Co się z nią stało? – zawołałem. – Zabrałeś ją. Co z nimi robisz?

Z gardła konstruktora dobiegł kaszel, krwawa piana wystąpiła mu na wargi.

– Ja nic nie robię. Przywożę ich tutaj.

Nacisnąłem mocniej.

– Co się z nimi dzieje po tym, jak ich tu przywozisz? Mów!

Konstruktor zazgrzytał zębami.

– Obiecuj, że mnie puścisz, jeśli ci powiem.

– Obiecuję.

– Idą do cesarza, żeby przeprowadzał na nich swoje eksperymenty. Ta kobieta, której szukasz... Jeśli została zabrana siedem lat temu, to od dawna nie żyje.

Wydawało mi się, że już się z tym pogodziłem. Wydawało mi się, że zdołam żyć dalej. Ale gdy usłyszałem te słowa, potwierdzające, że to prawda, wyzwoliło się we mnie źródło smutku. Deszcz wokół wydawał się padać mocniej. Już nigdy jej nie zobaczę, a nigdy to czas dłuższy, niż potrafiłem zrozumieć.

Podniosłem się i mocniej zacisnąłem dłoń na lasce.

Postawiłem mu obcas na piersi.

– Nie jestem konstruktorem. Mogę kłamać, gdy tylko zechcę.

Silnym gestem opuściłem laskę na jego głowę i poczułem, jak pęka czaszka.

Upadłem, przyciśnięty ciężarem żałoby, jakby wielka dłoń napierała mi na pierś.

Przebyłem całą tę drogę, zostawiłem rodzinę, zrezygnowałem z kariery – i zrobiłbym znacznie więcej, cokolwiek. Ale się spóźniłem. Zapewne było za późno już w chwili, gdy znalazłem srebrne monety na posłaniu Emahli.

Mephi zaskomlił.

Mój przyjaciel wciąż żył. Wciąż miałem obowiązki, wciąż miałem rzeczy do zrobienia. Gdy usiadłem, zobaczyłem, że Mephi stoi ze zwieszoną głową pod szczytem pałacowych schodów, a jego krew miesza się z deszczem i skapuje z żuchwy. W barki miał wbite dwa noże. Zerknął na mnie.

– Niedobre – zaświszczał.

Podszedłem do niego i ściągnąłem tunikę przez głowę. Syczał, gdy ostrożnie wyciągałem ostrza. Później obwiązałem mu rany swoim ubraniem. Podrapałem go pod brodą.

– Możesz chodzić? Musimy znaleźć dla ciebie jakąś pomoc.

– Mogę. Powoli. – Nosem trącił ranę na mojej nodze. – Ty?

– Też powoli – powiedziałem. Rozejrzałem się po pustych terenach pałacowych, zwracając uwagę na brak strażników przy drzwiach. – Coś tu jest nie tak. Nie ma ludzi, nie ma żadnych konstruktów poza tym jednym.

Ściskając mocno laskę, wspiąłem się po schodach wraz z Mephim i pociągnąłem za klamkę. Drzwi otworzyły się lekko pod moim dotykiem, ukazując pusty, nieoświetlony hol. Wszedłem do środka, świadomy krwi i deszczu ściekających ze mnie na podłogę. Na ścianach pomiędzy filarami namalowano sceny przedstawiające pawie i góry. Powyżej schodów widniał fresk, na którym widziałem mężczyzn i kobiety stojących ramię w ramię. Wydawali się skupiać wzrok na mnie.

– Trzymaj się blisko – rzekłem do Mephiego, zanurzając palce w jego mokrej sierści.

Wdrapaliśmy się po schodach biegnących z holu i zapuściliśmy do ciemnego korytarza, w którym nasze kroki rozbrzmiewały echem.

Z mroku dobiegł głos, który sprawił, że włosy na rękach stanęły mi dęba:

– Kim jesteś?



44

Lin

Wyspa Cesarska

Leżałam na deskach podłogi, podczas gdy ponad mną niszczyły się konstrukty. Istoty ojca i Bayana atakowały się nawzajem, nie zważając na to, które z nich powinny być przyjazne, a które wrogie, zaś moje walczyły z tymi, które wcześniej kontrolował ojciec. Usłyszałam kroki, a później zimny nos Bing Taia dotknął mojego policzka, ciepły oddech musnął mi czoło.

Zwyciężyłam.

Bayan nie żył. Numeen i jego rodzina nie żyli. Zaś ja wciąż żyłam, choć nie czułam się taka samotna od chwili, gdy obudziłam się i ujrzałam ponad sobą chryzantemy wymalowane na suficie. Przekręciłam się na brzuch i z wysiłkiem wstałam. Zostały tylko najprostsze konstrukty wojenne oraz Bing Tai. Na moich oczach ostatni konstrukt ojca został powalony. W sali jadalnej, ponad poprzewracanymi krzesłami i połamanymi meblami, zapadła cisza. Deszcz stukał o dach. Przycisnęłam dłoń do rany na barku, skrzywiłam się i oderwałam rękaw, żeby zrobić sobie prowizoryczny opatrunek. Cięcie na brzuchu było dość płytkie. Będę musiała później je oczyścić.

– Bayan? – Mój głos zdrztał w pustce. Nie potrafiłam pozbyć się nadziei. Nikt nie odpowiedział. Podkuśtykałam do miejsca, gdzie poległ.

Leżał na plecach ze wzrokiem utkwionym w stropie i z rozdartym gardłem. Nie zdawałam sobie sprawy, że klękam, aż przypadłam do jego boku i bezradnie trzymałam dłoń nad jego raną. Był konstruktem. Musiał istnieć jakiś sposób, żeby go naprawić, nawet po tym, jak zginął. Jeśli go zreperuję, stanie się nowym konstruktem, niepamiętającym ani mnie, ani wcześniejszego życia. Nie miałam pojęcia, jakiej magii użył ojciec, żeby umieścić wspomnienia w mózgu moim albo Bayana, ale na pewno była to magia niedoskonała, której w dodatku nie znałam.

Następnie podeszłam do leżącej sylwetki ojca, ostrożnie, wciąż nie do końca wierząc, że nie żyje. Ocalałe konstrukty bojowe znieruchomiałały tam, gdzie wcześniej się znajdowały. Siedziały na tylnych łapach lub leżały na podłodze. Obserwowały mnie. Bing Tai kroczył za mną, pilnując mi pleców. Shiyen spoczywał twarzą do ziemi, a krew zebrała się pod nim i zaplamiła mu szaty. Uklękłam i dotknęłam jego szyi. Szara, cienka jak papier skóra zaczęła już stygnąć.

Z pewnym bólem i wysiłkiem obróciłam go na plecy. Niewidzące oczy wpatrywały się w strop. Będę musiała rozesłać zawiadomienia o jego śmierci. Gubernatorzy będą spodziewali się wielkiej ceremonii pogrzebowej, ale mogłabym poprosić o prywatną uroczystość. Choć od czasów młodości Shiyen nie bywał na innych wyspach, znali go. W przeciwieństwie do mnie. Będę musiała poświęcić trochę czasu na nawiązanie relacji dyplomatycznych. Pozostawała też kwestia konstruktyw. Te prostsze oszaleją i będą szerzyć chaos. Bardziej skomplikowane – nie byłam pewna. Odziedziczone przeze mnie cesarstwo już się strzępiło, a cała sytuacja jedynie bardziej rozluźni splot.

Moją uwagę przykuł błysk. Łańcuszek z kluczami na szyi ojca. Rozpięłam klamrę i uwolniłam go. Wciąż nie odnalazłam miejsca, w którym tak często znikał. W starym korytarzu kopalnianym były tamte drzwi – wyglądające, jakby ich regularnie używano. Przygotowałam się psychicznie i obszukałam zwłoki ojca.

W kieszeni szarfy tkwiło coś małego i twardego. Sięgnęłam do środka i wyciągnęłam mały złoty klucz. Skądś wiedziałam, że właśnie nim otworzę drzwi w tunelu.

Powinam odpocząć. Powinam wezwać służbę z miejsc, gdzie ukryli się podczas walki. Powinam oczyścić swoje rany i się przebrać. Nierozwikłane tajemnice pociągały mnie jednak zbyt mocno, żebym umiała je zignorować. Czy jego żona również była taka ciekawska?

Droga do starych tuneli wydawała się trwać wieki. Wciąż dotykałam ścian, a każdy odgłos kroku przypominał mi, że ten pałac należy do mnie. Te podłogi, te ściany stanowiły teraz moją własność i mogłam robić z nimi, co tylko zechciałam. Bing Tai dotrzymywał mi kroku i opierałam się na nim, gdy czułam, że nie mam już siły.

Zdjęłam lampę ze ściany i weszłam w korytarze rozciągające się pod pałacem, jakby ktoś wciągał mnie tam liną. Ojciec, zajęty czymś innym, nie poświęcił czasu na naprawę nieszkodliwionych przeze mnie konstruktyw strażniczych. Żaden z nich nie przeskadzał mi, gdy je mijałam.

Drzwi znajdowały się tam, gdzie je zapamiętałam, małe i nijakie. Wyjęłam klucz z kieszeni szarfy i spróbowałam włożyć go do zamka. Wsunął się łatwo, jakby używano go setki razy. Wszłam do środka.

W pomieszczeniu było ciemno, a odgłosy moich oddechów odbijały się echem od odległych ścian. Najpierw zapaliłam lampy przy drzwiach, a dopiero później

przyjrzałam się porządnie wnętrzu. Była to bardziej jaskinia niż komnata, rozległa i topornie wyciosana. Przez strop biegła gruba żyła bystrokamienia. Połowę pomieszczenia zajmowała sadzawka, do której na moich oczach skapywała z góry woda, tworząc fale na powierzchni. Na środku, obok sadzawki, stało kilka dziwnych mechanizmów, a także narzędzia i stoły. Całość miała ziemisty i ciepły zapach, jak świeżo prażone kasztany.

Tutaj. Właśnie tutaj znikał na całe dni.

Przesuwałam dłońią po metalowych blatach, po instrumentach. Niektóre z nich rozpoznawałam – nożyczki, igły, noże rozmaitych kształtów i rozmiarów. Inne, ze szczypcami do chwytania i ząbkowanymi ostrzami, były mi nieznane. Zastanawiałam się, czy to właśnie ich użył, żeby skonstruować mnie i Bayana. Moją uwagę przykuł błysk złota. Obróciłam się i ujrzałam mały regał z różnymi rzeczami. Na jednej z dolnych półek leżała jedwabna tkanina. Gdy wyjęłam ją i rozwinęłam, poczułam w piersi drżenie wynikające ze zrozumienia. Na materiale namalowano złote chryzantemy.

Z lekkim przestraczem i obawą podniosłam ją do twarzy. Chryzantemy nie znajdowały się na suficie. W zamgleniu pierwszego przebudzenia pomyliłam rozpiętą nade mną tkaninę z czymś leżącym dalej. Gdy ją powąchałam, łagodna kwiatowa woń cofnęła mnie w czasie do chwili, kiedy ocknęłam się gwałtownie, mając przed oczyma chryzantemy, a pod plecami chłód. Stworzył mnie tutaj. Odłożyłam materiał na półkę, muskając go jeszcze palcami. Na pozostałych regałach widziałam książki z grzbietami pozbawionymi napisów. Gdy je wyciągnęłam, żeby przekartkować, zorientowałam się, że strony wypełnione są pismem i rysunkami ojca. W innych zobaczyłam znaki wyglądające jak nakreślone przeze mnie.

Obróciłam się, żeby przyjrzeć się reszcie laboratorium ojca. Moją uwagę przyciągnęło niskie brzęczenie. Pomiędzy stołami, blisko sadzawki stała drewniana skrzynia. Leżało na niej jakieś urządzenie – metalowa obręcz z cienkimi srebrnymi drutami biegnącymi do skrzyni. Jego maszyna pamięci.

Wiek było ciężkie i z trudem zdołałam unieść je zdrową ręką. W środku obracały się zębaki i bulgotały dziwne płyny. W rogu umieszczono koksownik do spalania bystrokamienia, nakryty szklaną kopułką. Całość pachniała jałowcem chmurowym. Nie miałam pojęcia, do czego służą wszystkie te elementy, jak działają, przypuszczałam jednak, że dzięki książkom spisanych przez cesarza zdołam nauczyć się obsługi. Zdołam przywrócić życie Bayanowi. Obudzi się nieco zdezorientowany i mocno zirytowany. Być może będzie prychał ironicznie, wywracał oczyma i zastanawiał się głośno, ile czasu zajęło mi ożywienie go.

– Ja poradziłbym sobie szybciej – twierdziłby. Na tę myśl uśmiechnęłam się, choć do oczu napływały mi łzy.

Z boku skrzyni wystawały szklane i gumowe rurki, które wily się na kamiennej podłodze i znikaly w sadzawce.

Podniosłam się, zastanawiając, czemu służą te rurki i dokąd biegną. Woda miała czerwonawe zabarwienie i była tak ciemna, że ledwo cokolwiek w niej dostrzegałam. Widziałam tam jednak jakiś kształt. Przez chwilę wydawało mi się, że to tylko kłoda albo skała. Zmrużyłam oczy.

To była twarz.

„On hoduje ludzi”. Znów usłyszałam głos Bayana, ujrzałam jego wybałuszone oczy, jego roztapiającą się twarz. Ostrożnie podeszłam do krawędzi.

Ciało w wodzie nie było moje i jakaś niewielka część mnie poczuła ulgę. Nie musiałam radzić sobie z jakąś inną mną. Gdy jednak się zbliżyłam, rozpoznałam pełne wargi, silną linię żuchwy, wysokie kości policzkowe. Pod powierzchnią spoczywała nieruchomo twarz cesarza o zamkniętych oczach.

Przypomniałam sobie utykanie ojca, świeżą ranę na jego stopie stanowiącą jedno z moich najwcześniejszych wspomnień. Przypomniałam sobie słowa, które wypowiedział w moim pokoju. „Musisz zrozumieć, że zanim wymyśliłem, co zrobić, moja żona... już dawno odeszła. Spaliłem jej ciało, a duszę posłałem ku niebiosom”. Wyglądało na to, że nie było za późno, aby użył części siebie do wyhodowania ciała.

Zatem Bayan stanowił wcześniejszy eksperyment. Ojciec mógł go po prostu wykorzystywać, żeby pobudzać moją ambicję. Zmarszczyłam brwi. Do ciała nie prowadziły żadne rurki. Dryfowało niepołączone z niczym.

W wodzie poruszyło się coś innego.

Zamarłam, a wszystkie włoski na karku stanęły mi dęba.

– Bing Tai.

Przydreptał do mojego boku i usiadł obok, ale nie wydawał się zaniepokojony. Zapewne bywał tu już wcześniej z cesarzem lub jego żoną. Nieznacznie tylko uspokojona jego beztroską, skupiłam wzrok na coraz szerszych zmarszczkach rozchodzących się po wodzie. Pod ciemną, czerwonawą powierzchnią przesunął się bładny kształt, wyglądający jak jakaś jaskiniowa ryba. Uniósł się na moich oczach.

Nie była to żadna ryba. Z wody wynurzył się nos, później głowa i wreszcie podbródek, wielki jak u konia, spoczął na kamieniu obok skrzyni. Jedno błękitne oko obróciło się z wnętrza czaszki, żeby na mnie spojrzeć. Przezroczysta powieka mrugnęła. Istota była pokryta paroma kępkami gęstych włosów, choć wyglądało na to, że większość z nich wypadła. Pysk kojarzył się z kotem, ale był wydłużony i miał wąsy poruszające się przy oddychaniu. Z głowy, tuż za uszami, wyrastały dwa spiralne rogi.

Stworzenie wydało z siebie cichy jęk. Odskokczyłam. Nie widziałam całego ciała pod ciemną powierzchnią, ale jeśli oceniać po samej głowie, zwierzę powinno mi sięgać wzrostem do pasa.

Sprawiało jednak wrażenie, jakby nie miało sił na nic więcej niż jęczenie. Gumowe rurki biegnące od skrzyni znikwały w jego barkach i szyi. Nie wiedziałam, co się w nich znajduje i czy przepływ odbywa się do skrzyni, czy od niej. Pod brodą istoty zebrała się woda. Oddychała chrapliwie, ochlapując mi pantofle.

Kolejny jęk, tym razem słabszy.

– Ojciec ci to zrobił. – Mój głos, choć cichy, odbił się echem od ścian jaskini. Maszyna pamięci. To stworzenie było do niej podłączone przez przynajmniej pięć lat. Dzięki jakimś jego właściwościom urządzenie mogło funkcjonować. Nie widziałam wcześniej podobnego zwierzęcia, ale przecież nie byłam na wszystkich znanych wyspach.

Oko znów obróciło się do wnętrza głowy i obie powieki się zamknęły. Istota zsunęła się z powrotem do wody, zostawiając po sobie bąbelki oddechu.

Nie byłam głupia. Potrafiłam rozpoznać cierpienie. Ojciec nigdy nie liczył się ze środkami, gdy był zdeterminowany, żeby osiągnąć cele, jakie sobie wyznaczał. Nie liczył się nikt, kto stawał mu na drodze. Nikt, kto mu pomagał.

Tu chodziło o coś innego. Mogłabym nauczyć się obsługiwać maszynę, przywrócić do życia Bayana i później wypuścić to zwierzę.

W kieszeni szarfy wciąż miałam odłamek Numeena. Był lekki jak kawałek drewna wyrzuconego przez morze, a jednak czułam jego ciężar, którego chyba już

nigdy nie zdołam się pozbyć.

Mówiłam mu, że nie będę taka jak mój ojciec. Mówiłam mu, że naprawię sytuację. Wprawdzie zwierzę cierpiało pod powierzchnią, poza zasięgiem mojego wzroku, ale wiedziałam, że tam jest.

Byłam Lin. Byłam cesarzową. I nie pozwolę, żeby okrucieństwo kierowało moimi działaniami.

Uklękałam i wyrwałam rurki ze skrzyni. Z ich końców sączyła się krew i jakiś biały, mleczny płyn. Rzuciłam je na podłogę jaskini i obserwowałam wodę.

Przez chwilę obawiałam się, że nawet ten drobny akt łaski zabił stworzenie. Już wcześniej było słabe i chore, każda zmiana warunków mogła okazać się szokiem dla jego ciała. Nagle jednak na powierzchnię wypłynęły bąbelki, po czym z mroku wznosił się błąd kształt.

Wyskoczyło na powierzchnię i zaczęło drapać kamień. Podeszłam, żeby mu pomóc, na chwilę zapominając o obrażeniach na barku i brzuchu. Czułam, jak rana na ramieniu otwiera się na nowo, gdy chwyciłam łapę stworzenia i wciągałam je na górę. Zanim zdążyło zareagować, wyrwałam mu rurki. Każda z nich była nieco grubsza niż mój palec i zostawiła w ciele zjeżdżające otwory.

Instykt podpowiadał mi, żeby uciekać, cofnąć się, odsunąć, by sprawdzić, co to zwierzę zrobi. Ono jednak oparło mi głowę na ramieniu, jakby przytulało mnie w dziwny, osobliwy sposób.

Coś we mnie uległo zmianie. Poczułam te same zachwyty i nadzieję jak wtedy, gdy otwierałam pierwsze drzwi ojca. Czy chodziło o zaufanie, jakie stworzenie mi okazało? O zwykły dotyk jego podbródka na moim obojczyku? Cokolwiek to było, wymyło ze mnie całą gorycz, jaką odczuwałam dlatego, że nigdy nie zaznałam uczuć ojca, że nigdy nie byłam dla niego wystarczająco dobra. Temu zwierzęciu zdecydowanie wystarczałam. Byłam dla niego wszystkim. Zorientowałam się, że kładę dłoń na jej szyi – skądś wiedziałam, że to samica – i szepczę jej do ucha:

– Już w porządku. Jestem przy tobie. Jesteś bezpieczna.

Westchnęła drżąco jak przerażone, wyczerpane jagniątko wreszcie układające się do snu.

– Chodź, nie musisz już tkwić w mroku. – Wykuśtykała za mną z jaskini, a Bing Tai szedł za nami.

Zanim dotarliśmy do właściwego pałacu, część służby zaczęła wychodzić z kryjówek. Ostrożnie przemykali korytarzami, jakby spodziewali się, że za każdym rogiem mogą natknąć się na potwory. Niewiele się mylili.

– Ty. – Gestem wezwałam pierwszą służącą, jaką zauważyłam. Skłoniła się nisko, opuszczając głowę niemal do poziomu pasa. Pomimo uniżoności w każdym skrawku jej ciała dostrzegałam napięcie i strach. Niewątpliwie oczekiwała, że pozabijam świadków mojego oczywistego ojcobójstwa. Niech roznoszą plotki. Jeśli chciałam utrzymać cesarstwo, musiałam otoczyć się przerażającą reputacją.

– Znajdź papier i pióro, a później przynieś je do mojego pokoju. – Miałam obwieszczenia do napisania.

Moje zwierzę – zaczynałam już je uważać za swoje – wtuliło się we mnie. Potrzebowałam kąpieli.

– Thrana. – Jej imię. Potrzebowała imienia.

Thrana zaczęła i szturchnęła moją rękę nosem. Podrapałam ją u nasady rogów.

– Bing Tai, za mną.

Musiałam znaleźć inną służącą i poprosić ją, żeby udała się ze mną do łaźni i napełniła jedyną wciąż działającą wannę. Później przyjdzie kolej na obwieszczenia. Trzeba też będzie jakoś oczyścić salę jadalną, pozbyć się ciał. Nieważne, jak byłam zmęczona, jak zrozpaczona, tej nocy się zbyt nie wyspię. Ruszyłam do przedsionka, a później zamarłam, czując, jak ogarnia mnie groza.

Widziałam skraj wypłowiałego fresku i Alanga stojących ramię w ramię.

Mieli otwarte oczy. Gdy patrzyłam na nie ostatnim razem, zaledwie dzień wcześniej, były zamknięte. Nikt nie zdążyłby ich przemalować, zresztą nie dostrzegałam świeżej farby. Co to mogło oznaczać?

Ktoś wszedł do korytarza. Nie był ubrany w strój służącego. Krew kapłała z jego ciała na podłogę. Mocniej ścisnęłam szyję Thrany. Nagle obok niego pojawiło się stworzenie. Zamrugałam, próbując uwierzyć w to, co widzę. Było mniejsze od Thrany i znacznie bardziej owłosione, ale należało do tego samego gatunku. Jak to możliwe, że nigdy dotąd czegoś takiego nie widziałam, a teraz nagle spotkałam dwa osobniki jednego dnia?

Bez zastanowienia zawołałam:

– Kim jesteś?



45

Ranami

Wyspa Nephilanu

Ranami obserwowała, jak Phalue wchodzi w rolę gubernatorki z łatwością wydry uczącej się pływać. Wydawała się do tego zrodzona, była zuchwałą i szczerą przywódczynią, do tego na tyle pokorną, żeby prosić o pomoc, gdy jej potrzebowała. I często prosiła o nią Ranami, wysyłała wiadomości do jej mieszkania przy porcie i z szacunkiem pytała, czy wybierze się do pałacu, żeby zaoferować jej poradę.

Dystans pomiędzy nimi stał się nie tylko fizyczny.

Właśnie po to Ranami współpracowała z buntownikami, choć nieraz mówiła Phalue, że nie chce być żoną gubernatorki. I wiedziała, że za każdym razem, gdy chodziła do pałacu i oferowała swoją pomoc, Phalue zastanawiała się, co się teraz pomiędzy nimi dzieje.

Ranami kroczyła ścieżką prowadzącą do pałacu, gniotąc w dłoni najnowszą wiadomość. Sama nie była pewna, jaka jest aktualna sytuacja. Słowa, które Jovis wypowiedział do niej przed odpłynięciem, wciąż odbijały się echem w jej umyśle, bębniły o wnętrze jej czaszki tak samo, jak teraz deszcz bębnił o kaptur jej płaszcza. Nie mogła ufać Gio. Gio pragnął śmierci Phalue. Nawet jeśli stało się to mimowolnie, właśnie ona sprowadziła na nią to niebezpieczeństwo, a wręcz je zainspirowała.

Wprawdzie buntownicy wydawali się teraz zadowoleni z rządów Phalue, serce Ranami wciąż jednak było szarpane przez poczucie winy. To ona pchnęła Phalue do tego wszystkiego, do uwięzienia ojca. Phalue nie czuła się z tym komfortowo i Ranami wyczuwała napięcie za każdym razem, gdy na nią spoglądała.

Wcisnęła wiadomość z powrotem do kieszeni. „Proszę, przyjdź do pałacu. Potrzebuję twojej rady”. Nic więcej, żadnej podpowiedzi, o co chodzi. Żadnego zabawnego, wyrażającego miłość dopisku. Tylko te słowa i oficjalna pieczęć gubernatorki po zewnętrznej stronie. Nie do końca dowierzając, obróciła arkusik w dłoniach, spodziewając się ujrzeć dalsze słowa. Nic. Nie żeby zasługiwała na więcej.

Gwardziści przy pałacowej bramie rozpoznali ją i nie musiała tłumaczyć, co tu robi. Gestem wskazali, żeby weszła. Na dziedzińcu grupa robotników i strażników demontowała fontannę. Jeden z gwardzistów uśmiechnął się do niej. Tythus, partner sparingowy Phalue.

– Dobrze znowu cię tu widzieć – powiedział, zostawiwszy pracę.

Zerknęła na rozłupywane i wywożone kamienie.

– Fontanna? – rzuciła pytająco.

Jego twarz spoważniała.

– Znowu otworzyła oczy. Phalue poprosiła mnie, żeby ją rozmontować i usunąć. Nie jest przesądna, ale cóż... – Wzruszył ramionami, jakby to wyjaśniało sprawę. – Co cię tu znowu sprowadza?

– Chce mojej rady – wyjaśniła Ranami, pokazując zmięty liścik. – Nic więcej.

Ludzie znowu będą gadać o fontannie, ale być może jej zniszczenie wreszcie uciszy plotki. Mimo to Ranami nie była pewna, co sama powinna o tym myśleć.

Tythus zrównał się z nią krokiem.

– Wątpię w to. Dużo mówi, gdy mamy sparingi. Chyba upuszcza pary nie tylko w jeden sposób.

Ranami poczuła odrobinę zaciekawienia.

– Mówi o mnie?

Tythus się roześmiał.

– Bez przerwy. – Przez chwilę milczał, gdy szli w stronę pałacu. – Nie zawsze się z nią zgadzam i do niedawna nie powiedziałbym nawet, że uważam ją za przyjaciółkę. Ale Phalue naprawdę stara się postępować słusznie.

Deszcz skapywał jej z kaptura na obojczyk. Odkryła włosy i potrząsnęła nimi.

– Wiem.

– Trafisz już stąd?

– Jest w komnatach gubernatorskich?

– Tak.

Ranami minęła Tythusa i podeszła do schodów. Dawala Phalue rady, których ta potrzebowała. I nie płakała. Związki czasami osiągały swój kres, czyż nie? Ludzie oddalali się od siebie, decydowali, że nie są już sobie przeznaczeni. Tak było z matką i ojcem Phalue. Tak było z matką i ojcem Ranami, na długo przed tym, zanim w ogóle się urodziła. I dopóki nie spotkała Ranami, Phalue wciąż przechodziła od jednej kobiety do następnej. Może do tego wróci. Może za tym tęskniła. Jako gubernatorka mogła swobodnie przebierać. Kobiety będą ustawiać się w kolejce, żeby się do niej zalecać. Na tę myśl Ranami poczuła większy smutek niż uważała za możliwe.

Uznała, że w ostatecznym rozrachunku całkiem nieźle im poszło. Obalili skorumpowanego gubernatora, a mało kto może pochwalić się czymś podobnym.

Z lekkim uśmiechem na ustach zapukała do drzwi Phalue.

Ze środka dobiegł głos gubernatorki:

– Wejść.

Ranami zebrała się w sobie, wzięła głęboki oddech i przekreśliła klamkę. Przekaze swoją opinię z całą bezstronnością, na jaką umiała się zdobyć. Przynajmniej tyle była winna Phalue. Ale gdy otworzyła drzwi, musiała kilkakrotnie zamrużyć, żeby przyzwyczaić wzrok do przyciśniętego światła.

Na podłodze ustawiono lampy, które świeciły słabym, kuszącym blaskiem, oblewającym wszystko złotem. Co kawałek postawiono misy wypełnione wodą z pływającymi na powierzchni białymi liliami. Phalue siedziała przy oknie, a miękkie światło osnutego chmurami słońca podkreślało jej kontur. Obok niej na ławie stał stos książek sięgających jej do piersi. Miała na sobie skórzaną zbroję, w której Ranami tak często ją podziwiała.

Przytulniej już być nie mogło.

Phalue z poważną miną położyła dłoń na stercie książek.

– Przeczytałam je. Wszystkie. Wezwałabym cię wcześniej, ale zajęło mi to trochę czasu.

W piersi Ranami wezbrała nadzieja, zakwitająca delikatnie niczym kwiat w porze deszczowej.

– Nigdy nie spodziewałam się, że to zrobisz.

– Ale prosiłaś mnie o to. To powinno wystarczyć. Zawsze sądziłam, że prosisz mnie o zbyt wiele, ale zaczynam rozumieć, że nigdy nie prosiłaś o dość.

Ranami próbowała się pozbierać. Kwiaty, lampy... to wszystko mogło być dla kogoś innego. Phalue wezwała ją tu, żeby zasięgnąć jej porady, nie żeby się z nią pojednać. Przecież gdyby chciała się pojednać, wspomniałaby o tym w wiadomości, prawda? Ale w jej oczach pojawiły się już łzy. Z zażenowaniem wytarła je grzbietem dłoni.

– Nie jestem pewna, co powiedzieć – stwierdziła.

Phalue wstała i przeszła do niej pomiędzy lampami. Przy każdym jej kroku serce Ranami uderzało mocniej. Phalue z wahaniem uniosła dłoń i dotknęła policzka Ranami.

– A ja nie byłam pewna, czy przyszedłabyś, gdybym poprosiła cię o coś więcej. – Jej oddech ciepłem musnął policzek Ranami. – Trudno jest przemodelować swój światopogląd, przyznać do tego, że wcześniej był ograniczony. Wydawało mi się, że już wystarczająco trudno było zmienić się dla ciebie, ale tego akurat pragnęłam. Nie chciałam natomiast uświadomić sobie, w jaki sposób raniłam otaczających mnie ludzi, a o to przecież chodzi, gdy konfrontujemy się ze swoimi przekonaniami. Wszyscy snujemy sobie narrację na temat nas samych i we własnych myślach zawsze byłam bohaterką. Ale się myliłam. Nie byłam nią w tych aspektach, w których powinnam. Czy zdołasz mi wybaczyć?

Ranami roześmiała się przez łzy.

– A czy ty zdołasz wybaczyć mnie? Nie powinnam była cię do niczego zmuszać.

Phalue podniosła drugą dłoń i ujęła jej policzki. Ranami poczuła na szyi dudnienie pulsu, zupełnie jak wtedy, gdy całowały się po raz pierwszy. Już wtedy wiedziała, że coś je połączy, ale nie potrafiłaby się powstrzymać, nawet gdyby próbowała.

Teraz zamknęła oczy, czując ból w piersi. Usłyszała skrzywienie zbroi pochylającej się Phalue i słodycz eksplodowała jej w gardle, by wybuchnąć na języku niczym miód. Gdy jej usta otarły się o usta Ranami, było to jak pieczętowanie listu, jak

obietnica, której nie można cofnąć. Otoczyła ramionami szerokie barki Phalue, wplotła palce w jej włosy. Zapadła się w uścisk, czując, jak słabną jej nogi. Tu właśnie była u siebie.

Phalue cofnęła się lekko i odsunęła wilgotne włosy z policzków Ranami.

– Wcześniej obiecałaś mi, że zamieszkaś ze mną w pałacu, jeśli ci pomogę. Nie zamierzam wymagać, żebyś dotrzymała tej obietnicy.

– Zrobię to – oznajmiła bez tchu Ranami. Wczepiała się w Phalue, jakby tonęła.

– Nie – odparła Phalue, kręcąc głową.

Przez chwilę Ranami miała wrażenie, jakby serce podeszło je do gardła. Nie była w stanie zaczerpnąć oddechu, żeby się odezwać.

– Chcę czegoś więcej – powiedziała Phalue. Ujęła Ranami za rękę. – Mówiłaś, że nigdy nie będziesz chciała być żoną gubernatorki i teraz to rozumiem. Że nie chcesz przykładać ręki do sposobu, w jaki zarządzana jest ta wyspa. Że nie chcesz przyczynić się do bólu, jaki widziałaś i jakiego sama doświadczyłaś. Ale ja chcę działać lepiej. I chcę działać lepiej z tobą u swojego boku. Ranami, czy zostaniesz moją żoną? Proszę?

Ranami przycisnęła czoło do czoła Phalue, uśmiechając się tak mocno, że bolały ją policzki.

– To dziesiąte oświadczyły? Jedenaste?

– Oświadczałabym się i tysiąc razy, gdybym wiedziała, że w końcu powiesz „tak”.

– Jesteś teraz gubernatorką. Nie powinnam ci pozwalać, żebyś tak się upokarzała.

Phalue ścisnęła jej dłoń.

– Czy to znaczy „tak”? – spytała cicho, bez tchu.

Ranami do niedawna sądziła, że ich miłość zakończy się katastrofą. Wciąż było to możliwe. Ale zdecydowała się podjąć ryzyko.

– Tak.



46

Jovis

Wyspa Cesarska

Kobieta wyłoniła się ze słabo oświetlonego korytarza. Wyglądała na bardziej zmaltratowaną ode mnie. Wokół rany na barku zrobiła sobie improwizowany opatrunek, przesiąknięty krwią, a jej tunika została rozcięta na brzuchu, który również krwawił. Wyglądała na wyczerpaną, miała ciemne worki pod oczyma, a ciemne włosy zwisały jej bezładnie wokół przeciętnej twarzy. Pomimo obrażeń w tych oczach kryła się rezerwa siły. Spuściłem wzrok do jej stóp i ujrzałem świeże krople krwi u dołu spodni. Z jakiegoś powodu wątpiłem, by należała ona do niej. Oparłem się na stalowej lasce, jakby pomagała mi w chodzeniu. Zabij ją! – wrzeszczał mój umysł. Wszystkie te niewłaściwe rzeczy, które wyczuwałem w pałacu, wydawały się otulać ją naszym obłok.

Być może zaatakowałbym ją, gdyby nie stworzenie u jej boku.

Było wyższe od Mephiego przynajmniej o głowę, choć garbiło się z bólu i zwieszało głowę. Kilka opatrunków na jego barkach było przesiąkniętych krwią. Wprawdzie rogi miało dłuższe niż Mephi, ale było niemal zupełnie łyse, zostały mu tylko łaty sierści w przypadkowych miejscach na brzuchu, grzbiecie i policzkach. Jeśli oceniać po tym, jak zaborczym gestem ta kobieta otulała ręką kark zwierzęcia, zapewne

należało ono do niej w taki sam sposób, jak Mephi należał do mnie. Nie wiedziałem, co to oznacza.

– Kim jesteś? – powtórzyła. – I co tu robisz? – Jej głos dobiegał do mnie jakby przez zwój papieru.

Tysiąc kłamstw przeleciało mi przez głowę. Cesarskim żołnierzem. Strażnikiem. Przyjacielem? Nie, to byłoby zupełnie idiotyczne. Nie miałem pojęcia, kim ona jest ani gdzie znajduje się w pałacowej hierarchii. Nie wiedziałem, jaki chaos się tu rozpętał ani czy dysponowała identycznymi mocami jak ja.

Spróbowałem prawdy:

– Mam na imię Jovis. Jestem przemytnikiem.

Zmarszczyła brwi, spuszczając wzrok.

– Znam to imię. – Podniosła spojrzenie i skrzyżowała je z moim. – Lud śpiewa o tobie. To ty wykradałeś dzieci z Festiwalu Trybutu.

– To właśnie ja. Jovis z piosenek. – Moglibyśmy być dwojgiem nieznanym, którzy spotkali się na ulicy, a nie dwiema osobami, które dopiero co najwyraźniej wygrały trudne walki. Znów przyjrzałem jej się od góry do dołu, próbując określić, kim może być. Wyglądało na to, że zanim jej tunika została rozdarta, była malowana ręcznie. Nie wyglądała na służącą. Innych wskazówek nie dostrzegłem.

– Spytałem jeszcze raz: co tu robisz? Bramy...

– Nie były strzeżone – gładko dokończyłem za nią.

Wydęła wargi.

– Ach. No oczywiście. Nie mogły być.

Przesunąłem ciężar z nogi na nogę, oddychając z trudem. Z jakiegoś powodu nie potrafiłem zaczerpnąć dość powietrza.

– Przyszedłem tu, żeby się poddać.

Spojrzenie, jakim mnie obrzuciła, wyrażało niedowierzanie i wyraźnie pytało: „Pomieszkało ci się w głowie?”. Nagle zza niej wyłonił się konstrukt, z którego gardła dobiegł niski warkot.

– Cicho, Bing Taiu – rzekła.

W piersi zaczęło mi rozkwitać niepokojące wrażenie. Mephi popatrzył na mnie tak, jakby też to czuł.

– Bardzo źle?

– Twój umie mówić – powiedziała kobieta. Było to bardziej pełne ekscytacji stwierdzenie niż pytanie.

– Wybacz mi – odparłem, ponieważ chyba zaczynałem się domyślać jej tożsamości – ale czy mogę spytać, kim jesteś? – Czuję się, jakbym usta miał pełne waty. Czy światło lamp ściemniało?

Wyprostowała się i uniosła podbródek.

– Nazywam się Lin Sukai i jestem twoją cesarżową.

Korytarz zaczął się obracać.

– To jest... Nie tego się spodziewałem...

Kolana ugięły się pode mną i świat ogarnęła ciemność.



47

Lin

Wyspa Cesarska

Zacęłam od drobnych rzeczy. Kąpiel, wezwanie lekarza, żeby zszyl rany mnie i Thranie, proste obwieszczenie dla Cesarskiej i innych wysp, że mój ojciec nie żyje i to ja jestem teraz cesarzową. Natychmiast wynajęłam strażników, żeby pilnowali murów. Miałam pieniądze. Natomiast tym, czego nie miałam, były konstrukty. Czułam lekką paranoję, którą na pewno musiał też czuć mój ojciec – jak mogłam ufać mężczyznom i kobietom, których nie znałam?

Ale nie miałam większego wyboru.

Lekko zmieniałam pozycję na krześle. Trzymałam pióro nad papierem, zastanawiając się, co powinnam przekazać. Nie dysponowałam już siecią Ilith. Nie miałam pojęcia, co dzieje się poza Cesarską i ta niewiedza mogła mnie zabić. Musiałam spytać gubernatorów, jak wiedzie się ich wyspom, ale zrobić to w taki sposób, jakbym już wiedziała.

Zaś po przebudzeniu malowidła musiałam zapytać, czy inne artefakty Alanga też się ocknęły. Czy pojawiły się jakieś inne znaki? Musiałam zapoznać się z książkami w bibliotece, zorganizować obronę. Nie znałam sekretów metody, dzięki której Sukauiowie pokonali Alanga. Zginęły one wraz z cesarzem. Gdzieś w bibliotece, obok

eksperymentów Shiyena, musiały jednak kryć się wskazówki. Obok mnie na sofie leżał rozciągnięty Jovis, a jego towarzysz zwinął mu się u stóp, obserwując czujnie pokój.

Poleciłam służbie i lekarzowi zająć się przemytnikiem oraz jego zwierzęciem. Patrzyłam z zafascynowaniem, jak ich rany zaleczają się szybciej, niż uważałam za możliwe. A później zauważyłam, że u mnie i Thrany dzieje się tak samo. Miałam tak wiele pytań i wyglądało na to, że tylko on może mi na nie odpowiedzieć.

– Czy tak właśnie postępujecie ze wszystkimi przestępcami, którzy dobrowolnie się poddają? Zrobiłbym to znacznie wcześniej, gdybym wiedział.

Odłożyłam pióro i obróciłam się na krześle.

Jovis otworzył oczy i obserwował mnie. Uniósł osłabioną dłoń.

– Powinnaś popracować nad waszymi plakatami. Zdanie „Wszystkie osoby udzielające pomocy temu osobnikowi zostaną powieszono” wydaje się raczej jednoznacznie groźne. – Jego towarzysz podpełził mu do twarzy i obwąchał policzki. Jovis skrzywił się i odpędził go gestem. – Sprawdzasz, czy już możesz mnie zjeść, Mephi? Przykro mi, ale jeszcze nie jestem martwy.

Przyglądałam mu się, gdy drapał zwierzaka po policzkach. Chyba wiedział, że na niego patrzę, ale nie podnosił wzroku, pozwalał mi na to. Pomimo tego, co głosiły piosenki, nie rzucił się w oczy. Był nieco wyższy niż przeciętny mieszkaniec Cesarskiej, o smukłej budowie i skórze pociemniałej od słońca. W poprzek nosa biegł mu pas jasnych piegów, znikających na kościach policzkowych w gęstych, kręconych włosach. Mogłabym przysiąc, że miał w sobie poyerską krew. Gdy drapał towarzysza po zdrowym uchu, dostrzegłam na jego nadgarstku tatuaż: symbol cesarskiego nawigatora. Spodziewałam się kogoś potężnego, o barkach jak góry i rękach jak kolumny. Wyglądał na zbyt chudego, zbyt zwykłego, zbyt zmęczonego, żeby być bohaterem. A jednak, jak głosiły pieśni, pokonał dziesiątki żołnierzy.

Nie byłam pewna, w co wierzyć.

Ale gdy wyszłam przez pałacowe drzwi, ujrzałam martwy konstrukt mojego ojca leżący u podnóża schodów. Nigdy wcześniej nie widziałam podobnego. Jego nienaturalny wzrost, cztery ręce i porozrzucane noże dały mi do myślenia. Jovis musiał go zabić. Pewnie powinnam się cieszyć, że to zrobił, ponieważ jeśli konstrukt odpowiadał na wezwanie mojego ojca i dostałby się do środka, być może nie znalazłabym w sobie dość sił, żeby go pokonać, nawet z Bing Taiem u boku.

– Co zamierzasz ze mną zrobić? – spytał, wciąż nie podnosząc na mnie wzroku. Poglądził Mephiego po czubku głowy. – Twój ojciec kazałby mnie powiesić. Publicznie, rzecz jasna. Nie ma sensu robić takiego zamieszania wokół jednego zbłąkanego przemytnika, jeśli nie planujesz mocnym akcentem pokazać, że nie żartujesz.

– Nie zamierzam cię wieszać. – Nie powinnam tego zdradzać, lepiej byłoby pozostawić go w domysłach, ale byłam zbyt zmęczona, żeby prowadzić gierki. – Chcę, żebyś przekazała mi wszystko, co wiesz o swoim towarzyszu. O Mephim.

– Jego pełne imię brzmi Mephisolou – odparł. – Mephi to zdrobnienie.

– Okazałe imię – stwierdziłam. Mephi zareagował radosnym ćwierknięciem. – Uważam, że Thrana należy do tego samego gatunku. Gdzie go znalazłeś?

– Płynął w wodzie w okolicach wyspy Jelenia Głowa po tym, jak zatonała. – Gdy Jovis zaczął mówić, coś zdawało się w nim zmieniać, jakby rozsuwał zasłonę, z której obecności nie zdawałam sobie sprawy. Opowiedział mi, jak wyciągnął Mephiego z wody, jak z początku go nie chciał, jak go wypuścił. A później Mephi w cudowny sposób wrócił. Stopniowo awansował na coś więcej niż tylko zwierzę, stał się towarzyszem, z którym przemytnik nie potrafił się rozstać.

Thrana leżała na podłodze i opierała mi głowę na kolanach.

– Znalazłam Thrane w laboratorium mojego ojca. Wydaje mi się, że przeprowadzał na niej eksperymenty. – Nie wspomniałam o innym znalezionym tam ciecie, które hodował. Zostawiłam je, nie mając pewności, czy nie przebudzi się, gdy wyciągnę je z sadzawki. Zamierzałam zająć się tą sprawą później. Poglądziłam naga skórę szyi Thrany, ostrożnie przesuwając palcami po ranach, na które lekarz założył szwy.

– Będzie cię potrzebowała, żeby mogło się jej poprawić – powiedział Jovis.

Nasze spojrzenia się spotkały. Poczułam dziwną więź z tym człowiekiem, który pojawił się w moim pałacu.

– Zostań tu – rzekłam impulsywnie. – Moje rządy dopiero się zaczęły. Potrzebuję wsparcia. Chcę zakończyć Festiwałe Trybutu i szukam sposobów, jak zmienić sytuację, jak ją poprawić. Ułaskawienie cię stanowiłoby symboliczny początek.

Uniósł brew.

– Twój ojciec pragnął mojej śmierci, a ty chcesz, żebym dla ciebie pracował?

Nieważne, co nas łączyło, nigdy nie mogłabym przyznać się do tego, że nie jestem córką mojego ojca. Byłam czymś tak bardzo innym. Mówiłam dalej, obserwując jego twarz:

– Ojciec żył w strachu: przed Alanga, przed swoimi gubernatorami, przed ludem, który przysięgał chronić. Odizolował się i przeprowadzał eksperymenty, pozwalając, by wokół niego wszystko się rozpadało. Kochałam go, ale on nie potrafił kochać mnie. Cokolwiek myślisz o mnie, o mojej pozycji, nie jestem moim ojcem. Nie boję się ludzi. Jestem Lin Sukai i zmienię to cesarstwo.

Jovis miał twarz jak ojciec – niewzruszoną jak mur, gdy tak postanowił. Nie byłam pewna, jakie myśli czały się za tym obliczem. Mephi zacwierkał i oparł mu głowę na barku.

– Bardzo dobre – stwierdził.

Twarz Jovisa złagodniała, gdy przycisnął czoło do czoła Mepiego. Zaczepnął powietrza i wypuścił je z zamkniętymi oczyma. Obrócił się, żeby znów na mnie popatrzeć.

– Tak. Pomogę ci.

Jego słowa miały w sobie ciężar jakiejś odwiecznej umowy, zupełnie jakbyśmy byli kimś więcej niż tylko jednym młodym mężczyzną i jedną młodą kobietą, sponiewieranymi i posiniaczonymi, próbującymi określić, jaką drogą powinni teraz zmierzać.

– Dobre – uznała łagodnie Thrana.



48

Jovis

Wyspa Cesarska

Mogło pójść znacznie, znacznie gorzej. Cesarzowa mogła zdecydować, że każe mnie powiesić. Mogła kazać swoim konstruktorom rozerwać mnie na strzępy. Mogła też mnie wygnać, co w moim bieżącym stanie umysłu okazałoby się jeszcze gorsze. Emahla nie żyła. Nieważne, jakie eksperymenty przeprowadzał na niej poprzedni cesarz, odeszła. Czułem ból w sercu na myśl, że przebywała w tym pałacu samotna, że swoje ostatnie dni spędziła w cierpieniu i strachu. Żałowałem, że nie byłem przy niej, tak jak ona zawsze była przy mnie.

Ale jeśli żaloba stanowiła falę, potrafiłem utrzymać nad nią głowę.

Obciągnąłem kołnierz kurtki otrzymanej od Lin. Jeśli uważałem, że kurtka żołnierza z Jeleniej Głowy źle na mnie pasowała, w tej czułem się jeszcze gorzej, pomimo idealnego rozmiaru. Była ciemnoniebieska z elementami ze złotego brokatu i złotymi guzikami w kształcie chryzantem. Wysoki kołnierz zapewniał mi akurat tyle miejsca, żebym mógł oddychać, a u dołu sięgała do połowy uda. Lin dała mi też złotą, pasującą szarfę, z której zwisało kółko z kluczami. Kapitan gwardii cesarskiej wydawał się dość dziwnym tytułem dla przemytnika i niegdysiejszego cesarskiego nawigatora. W swoich obwieszczeniach Lin podkreśliła tę drugą część i zbagatelizowała pierwszą.

W każdym razie, jeśli potrzebowałem wielkiego szyldu wskazującego Ioph Carn, gdzie się znajduję, otrzymałem go. Przynajmniej zawahają się z atakiem na mnie tutaj, w sercu cesarskiej władzy.

Dzień wcześniej wysłałem wiadomość do matki i ojca, informując ich, gdzie przebywam, co robię i że jestem bezpieczny. Często myślałem o tym, jak to będzie, gdy ją otworzą, że w oczach matki pojawią się łzy, a ojciec przycisnie list do piersi. Już wiedziałem, jak będzie wyglądała ich odpowiedź: kiedy mogą przyjechać się z nimi zobaczyć, kiedy oni mogą przyjechać do mnie, co działo się na naszej małej wyspie, kto wyjechał i kto umarł, kto wziął ślub, jakie dzieci się urodziły. W czasie gdy ja uganiałem się za duchem, życie toczyło się dalej.

– Jest pan gotów? – W drzwiach stał służący. Lin zaczęła zatrudniać więcej osób do obsługi i kazała naprawić budynki na terenach pałacowych. Robotnicy wypełniali ubytki w murach, gipsowali, malowali, cięli świeże drewno. Powietrze wypełniał lekki zapach błota i trocin, w każdym słonecznym promieniu wirowały drobinki kurzu. Miałem wrażenie, że jest to dla niej symbol odrodzenia równie ważny jak mianowanie mnie kapitanem.

– Jestem – odparłem. – Idź przodem.

Podążyłem za służącym, a Mephi truchtał u mego boku. To właśnie był największy problem. Gdy przybyłem do pałacu, oczekiwałem wrogości. Od początku nie zgadzałem się z cesarzem. Ale ta Lin Sukai, ta córka, którą niewiele widywało, odkąd była mała, twierdziła, że pragnie czegoś innego. Tego samego, co deklarowała Garstka Bezkosnych. Lepszego życia dla wszystkich na wyspach. Gio kierował się dodatkowymi ukrytymi motywami. A Lin? Nie byłem pewien.

Kroczyłem korytarzami, próbując nie gapić się na freski, na płaskorzeźby, na złote inkrustacje. Pałac gubernatorski na Nephilanu był zdobiony tak krzykliwie, że aż wydawało się to tandetne. Natomiast ten budynek miał w sobie ciężar historii, stanowił świadectwo dbałości o stronę artystyczną, każdy jego element był uzupełnieniem innych.

Dotarliśmy do holu wejściowego.

Wrota stały otworem. Pogoda okazała się pomyślna jak na porę deszczową: lekkie zachmurzenie, wietrzyk, ale nie niosący woni deszczu. Lin stała u szczytu schodów, wyglądała olśniewająco w cesarskich szatach z wizerunkiem płomiennego feniksa, a nakrycie głowy niemal przytłaczało jej drobną, żylastą sylwetkę. Otaczali ją gwardziści, głównie świeżo zatrudnieni, choć nie wyglądała na zaniepokojoną. U jej boku siedziała Thrana. Przez ostatnich kilka tygodni sierść zaczęła jej odrastać na nagich fragmentach skóry. Istota wciąż wyglądała, jakby sporo przeszła, i była zdecydowanie zbyt chuda, ale zaczynała nabierać groźnych cech.

Gdy się zbliżyłem, ujrzałem tłum zgromadzony w obrębie murów. Przez ostatnich dwadzieścia lat nie wpuszczano ludzi do pałacu. Nawet z tej odległości dostrzegałem na uniesionych twarzach nadzieję. Podeszedłem do cesarzowej i wśród zebranych poniósł się ryk. Ktoś zaczął śpiewać piosenkę o mnie, parę innych osób ją podchwyciło.

Czy można było umrzeć z zażenowania?

Wszystkie moje kończyny wydawały mi się zbyt długie i chude, skóra zbyt ogorzała, dłonie zbyt szorstkie i popękane. O takich ludziach jak ja nie śpiewano piosenek. Ludzi takich jak ja nie honorowano ceremoniami i nie dawano wysokich stanowisk na mocy cesarskiego dekretu. Powinienem być nawigatorem, Emahla

powinna czekać na mnie w domu, wokół jej nóg powinno biegać dziecko albo dwoje. Zamknąłem na chwilę oczy, czekając, aż spłynie ze mnie ta fala. To nie było moje życie.

A jednak było.

– Klękniij – powiedziała Lin. Jej głos poniósł się po dziedzińcu, wypełniając przestrzeń. W dłoniach trzymała medalion.

Uklęknałem. Mephi usiadł obok mnie.

– Jovisie z Anau, były cesarski nawigatorze, mianuję cię kapitanem gwardii cesarskiej. Pamiętaj, że temu stanowisku towarzyszy wielka odpowiedzialność. Musisz zaprzysiąc swoją lojalność mnie, cesarstwu oraz wszystkim znanym wyspom. Nie jesteś bowiem przywódcą ludzi, tylko ich służą.

Wbiłem wzrok w swoje stopy, zamrugałem i zebrałem się na odwagę, żeby popatrzeć jej prosto w oczy.

Jej oczy – o ciężkich powiekach, ale otoczone rzęsami tak gęstymi i długimi – również wpatrywały się we mnie. Było w nich coś znajomego, coś, co rozpoznawałem. To jakbym miał na końcu języka jakieś słowo, które znałem, ale nie potrafiłem go sobie przypomnieć.

– Przysięgam – oznajmiłem. Głos wydawał się nie dobiegać z moich ust, lecz z jakiegoś miejsca głębiej we mnie. Rozbrzmiał wśród milczącego tłumu. Już gdy to mówiłem, wiedziałem, że skłamałem. Obiecałem Ranami, że przeniknę do pałacu, że będę przysyłał im informacje. Nie mogłem być lojalny jednocześnie wobec Garstki Bezkostnych i cesarstwa.

Gdy Lin skinęła głową, wieszając mi medalion na szyi, uświadomiłem sobie, co mnie dręczyło.

Jej oczy wyglądały zupełnie jak oczy Emahli.



49

Piasek

Wyspa Maila na skraju cesarstwa

Przez kilka następnych dni Nisong wysyłała Muszlę i Liścia w łodzi wiosłowej. Zbadali rafy, próbując znaleźć drogę, którą stateczek o niebieskich żaglach wpływał i wypływał tak, żeby się nie rozbić.

Liść kawałkiem węgla drzewnego naszkicował układ raf na korze. Rozstawili obóz na plaży, na której przejęli łódź. Wydawało się, że tutaj ich umysły spowija mniejsza mgła. W stałym porządku dnia obowiązującym w wiosce kryło się coś, co znów wpędzało ich w stupor, natomiast przy łodzi stojącej w zatoczce i słonych kroplach uderzających ich w policzki znali prawdę. Prawdę, że żadne z nich nie przebywało tu od zawsze.

– Przejście jest wąskie – powiedział Liść. – Ale jeśli będziemy płynąć ostrożnie i współpracować, zdołamy bezpiecznie oddalić się od Maili.

– I dokąd się udamy? – spytała Koral. Nie mówiła tego w charakterze wyrzutu, brzmiała na szczerze zaciekawioną.

– Na południe – odparła Nisong. – Południowy zachód. – W jednym ze wspomnień widziała mapę. Tylko krótki przeblýsk, ale zapamiętała położenie Maili. Gdyby popłynęli na południowy zachód, trafiliby na inną wyspę.

Liść przytaknął i zanotował coś na swojej korze. Nisong nie była pewna, w jaki sposób stała się przywódczynią tej grupy, ale jakoś tak wyszło, że naturalnie przyjęła tę rolę. Wydawała się do niej pasować podobnie jak nowe imię, była wygodna niczym stary płaszcz. Imieniu towarzyszyło przekonanie, że jej miejsce znajduje się poza tą wyspą: w pałacu, w którym mieszkała, a jej słowa miały znaczenie. Zaciśnięła palce wokół odłamka spoczywającego w jej kieszeni. Znała już jego przeznaczenie.

Była konstruktorem. Wszyscy oni byli konstruktami, które wyszły spod ręki cesarza. Nie potrafiła wyjaśnić wspomnień, ale niezdolność do myślenia lub stosowania przemocy już tak. W taki sposób ich stworzono, tak nakazywały im odłamki umieszczone w ich ciałach. I jeden z nich się z niej wyrwał – ten, który pozwolił jej uwolnić się od mgły i wyciągnąć za sobą innych.

Nie powiedziała im jeszcze. W pewnym momencie będzie musiała to zrobić, ale nie była pewna, kiedy nadejdzie odpowiedni czas. Nie znała ich ograniczeń, swoich zresztą też nie.

Deszcz bębnił o dach ich zaimprovizowanej chaty. Kilka kropeł precyzyjnie spadło do środka i zasyczało, spadając na kamienie otaczające ognisko.

– Powinniśmy zabrać kogoś z pozostałych? – zapytał Paproć.

Nisong pokręciła głową.

– Nie zdołamy utrzymać ich poza mgłą. Wciąż będą w nią wracać, a na łodzi to może się okazać niebezpieczne.

– Ale nie wiemy, co ją wywołuje – stwierdziła Koral. – To może być działanie samej wyspy.

To nie było działanie wyspy, ale Nisong nie mogła im tego powiedzieć.

Nagle świat się przechylił. Nisong potrzebowała chwili, żeby uświadomić sobie, że to jej percepcja uległa zmianie. Liść upadł. Koral przycisnęła dłoń do ściany chaty, żeby odzyskać równowagę. Oni również czuli tę falę uderzeniową promieniującą ze środka jej istoty.

Fala znikła równie szybko, jak się pojawiła.

– Co to było? – spytał Liść, podnosząc się.

Nisong wciąż czuła się sobą, ale coś się w niej zmieniło. Nie była pewna co, ale nie miała wątpliwości, tak samo jak wiedziała, że brakuje jej dwóch palców. Gestem zbyła obawy pozostałych.

– Nie mam pojęcia. Ale powinniśmy dalej planować.

Choć na ich twarzach malował się niepokój, posłuchali.

– Co powinniśmy zrobić ze stworzeniem, które zeglowało łodzią? Wciąż tkwi pod głazem i nie umarło – odezwała się Koral.

– Zabijemy je – rzekła Nisong. Słowa te padły z jej ust bez wahania.

Wszyscy wpatrywali się w nią.

– Zabijemy je – spróbowała znowu.

– Mgła zniknęła – stwierdził Paproć.

Miał rację. Po raz pierwszy, odkąd sięgała pamięcią, Nisong czuła, że ma czysty umysł. Nie była w stanie wyczuć żadnych oparów czających się na horyzoncie. Przez chwilę siedzieli w milczeniu, wszyscy zagubieni we własnych myślach. Nisong mogła rozważać przemoc z klarownością i intensywnością, które ją zaskakiwały. Pragnęła doścignąć tego, kto ich tu umieścił, kto ich porzucił, żeby do śmierci wiedli to automatyczne życie. Pragnęła położyć mu dłonie na gardle. Pragnęła ścisnąć, aż temu komuś wybałuszą się oczy, aż zsinieje mu twarz. Aż odetchnie po raz ostatni i z ust wysunie mu się język. Na tę wizję przez jej pierś przelała się fala gorąca.

Przełknęła ślinę.

Ten, kto ich stworzył, albo zginął, albo uwolnił ich od rozkazów. Mogła teraz myśleć o przemocy. Mogła z łatwością przypomnieć sobie, że nie przebywała na Maili od zawsze. Nie czuła potrzeby, żeby zbierać mango.

Koral odchrząknęła.

– Pozostali...

– Przeprowadź tyłu, ilu zdołasz – przerwała jej Nisong. – Muszlo, ustal, ilu możemy wziąć na pokład, jeśli zabierzemy racje żywnościowe na trzydzieści dni i nocy.

– Nisong. – Liść dotknął jej ramienia. W jego ciemnych oczach widniała troska.

– Jeśli zdołamy się stąd wydostać, zawsze możemy wrócić po resztę.

– Wrócimy po resztę, ale obecnie musimy zabrać jak najwięcej – odparła. Pamiętała, że kiedyś stworzyła konstrukt. Istniały też inne, zbudowane w tym czy innym celu, teraz pozbawione rozkazów napierających na ich umysły. Pozbawione przywódcy.

– Dlaczego? – spytał Liść.

Czuła na sobie ciężar ich spojrzeń. Czekali na jej odpowiedź. Odetchnęła głęboko.

– Zbieramy armię.

KONIEC
TOMU PIERWSZEGO

Podziękowania

To była długa droga. I podobnie jak w przypadku większości (pomyślnie zakończonych) podróży, nie wyruszyłam w nią samotnie. Mam dług wdzięczności u naprawdę wielu osób, bez których ta książka nie zostałaby wydana, w tym:

James Long i Brit Hvide, moi redaktorzy z Orbit i cała ekipa wydawnicza Orbit. Pomogliście mi dopracować szczegóły tej powieści i pozwoliliście urzeczywistnić moje dawne marzenie. Nie potrafię wyrazić, jak jestem wam wdzięczna.

Moja agentka Juliet Mushens, która dzięki swoim komentarzom nauczyła mnie mnóstwa rzeczy o postaciach, fabule i tempie prowadzenia akcji. Twoja wnikliwość, ciężka praca i oddanie są godne podziwu i bezprecedensowe.

Cała ekipa Murder Cabin: Thomas Carpenter, Megan O'Keefe, Marina Lostetter, Tina Smith/Gower, Annie Bellet, Setsu Uzume, Anthea Sharp/Lawson i Karen Rochnik. Wasze opinie okazały się nieocenione, a nasze coroczne spotkania zawsze dodają mi energii (oraz nieco przerażają, w końcu to Murder Cabin).

Moi betaczytelnicy przy tej książce: Greg Little, Steve Rodgers i Brett Laughtug. Przejrzałam wszystkie wasze uwagi i byłam naprawdę wdzięczna za zapewnienia, że ta powieść rzeczywiście może być... dobra?

Alvaro Zinos-Amaro – za to, że zawsze był gotów mnie wysłuchać i podsunąć sugestie, gdy miałam problemy z kilkoma punktami fabuły.

Moje grupy pisarskie w Sacramento: WordForge i Stonehenge. Nigdy nie przestaliście we mnie wierzyć przy wszystkich książkach, które napisałam, i ta wiara pozwoliła mi działać dalej. Nie potrafiłabym rozczarować tak wspianiałych ludzi.

Kavin, Kristen, Mama i Tata, którzy czytali różne wersje tej powieści i wyłapywali niespójności logiczne. Wasz entuzjazm był dla mnie niezwykle ważny. Stewartowie! Stewartowie! Stewartowie!

John, mój mąż, którego nieskończone wsparcie utrzymałoby na powierzchni ołowiany ciężar podczas burzy. Świętowanie z tobą poziomów sprzedaży tej książki zawsze będzie dla mnie jedną z najwspanialszych chwil w życiu.

I pani Schacht, moja nauczycielka z piątej klasy, która pochwaliła moje opowiadanie o glinianym sokole, który ożył, co pozwoliło mi myśleć: „Może pewnego dnia mogłabym zostać pisarką?”. Niech każde dziecko pełne marzeń ma nauczycieli tak wspianiałych jak pani.

O autorce

Andrea Stewart jest córką chińskich imigrantów i wychowywała się w różnych miejscach Stanów Zjednoczonych. Jej rodzice zawsze podkreślali wagę nauki i wykształcenia, więc dzieciństwo spędziła otoczona *Star Trekiem* i dziwnie pachnącymi książkami z biblioteki. Gdy nic nie wyszło z jej (ambitnych, przynajmniej) planów, by zostać zabójczynią smoków, zamiast tego zabrała się do pisania książek. Obecnie mieszka w słonecznej Kalifornii, a oprócz zajmowania się pisarstwem hoduje też stada kotów, obserwuje ptaki i podczas zbierania informacji wpada w królicze nory.

COPYRIGHT © 2020 BY ANDREA STEWART
COPYRIGHT © BY Fabryka Słów sp. z o.o., LUBLIN 2023

WYDANIE I

ISBN 978-83-7964-985-3

TYTUŁ ORYGINAŁU: The Bone Shard Daughter

Wszelkie prawa zastrzeżone
All rights reserved

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

PROJEKT I ADIUSTACJA AUTORSKA WYDANIA
Eryk Górski, Robert Łakuta

PROJEKT I OPRACOWANIE OKŁADKI POLSKIEGO WYDANIA NA PODSTAWIE ORYGINAŁU
Szymon Wójciak

ILUSTRACJE
Dominik Broniek

TŁUMACZENIE
Piotr Kucharski

REDAKCJA
Ewa Białołęcka, Magdalena Stonawska

KOREKTA
Magdalena Lisiecka

SKŁAD WERSJI ELEKTRONICZNEJ
pan@drewnianyrower.com

SPRZEDAŻ INTERNETOWA



swiatksiazki.pl



Zamówienia hurtowe
Dressler Dublin sp. z o.o.
ul. Poznańska 91
05-850 Ożarów Mazowiecki
tel. (+ 48 22) 733 50 31/32
www.dressler.com.pl
e-mail: dystrybucja@dressler.com.pl



fabryka słów
WYDAWNICTWO

WYDAWNICTWO

Fabryka Słów sp. z o.o.

20-834 Lublin, ul. Irysowa 25a

tel.: 81 524 08 88, faks: 81 524 08 91

www.fabrykaslow.com.pl

e-mail: biuro@fabrykaslow.com.pl

www.facebook.com/fabryka

instagram.com/fabrykaslow

WAŻNIEJSZE NAGRODY I NOMINACJE



NOMINACJA
NAJLEPSZA POWIEŚĆ
FANTASY



NOMINACJA
DEBIUT ROKU



NOMINACJA
NAJLEPSZA POWIEŚĆ
FANTASY



NOMINACJA
NAJLEPSZY DEBIUT



NOMINACJA
NAJLEPSZA TRADYCYJNIE
OPUBLIKOWANA POWIEŚĆ



WYOBRAŹ SOBIE,
że jesteś kilkuletnim dzieckiem,
stoisz w tłumie innych kilkuletnich dzieci i czekasz
na swoją kolej. Naokoło trwa wielkie święto. Święto,
w czasie którego spełnisz swój obowiązek wobec Cesarza.
Podejdzie do ciebie żołnierz i dłutem wybije odłamek kości
z twojej czaszki. Tak, poczujesz to, poczujesz to bardzo wyraźnie.
Będzie bolało. Ale nie to jest najgorsze, chociaż jeszcze o tym nie wiesz.
Odłamek twojej kości zostanie kiedyś wykorzystany do ożywienia
magicznego konstruktu, który będzie potrzebny Cesarzowi.
Będzie mu służył wiernie i bez wytchnienia. A ty zaczniesz umierać.
Ale ty jesteś tylko malutkim, zupełnie nieistotnym trybikiem w wielkiej
machinie Imperium. Cesarz nie ma pojęcia o twoim istnieniu, a o twojej
śmierci dowie się dopiero, gdy jego konstrukt przestanie działać.
Gdy zepsujesz jego magiczną zabawkę. Chcesz żyć w takim świecie?
TA KSIĄŻKA JEST O TYCH, KTÓRZY POSTANOWILI, ŻE NIE CHCĄ.

*Przełomowe epickie fantasy
zwiastujące nową epokę.*

TASHA SURI

*Epickie fantasy o głęboko
ludzkim, płynącym
z serca przekazie.*

ALIX E. HARROW

*Absolutnie
fantastyczna
lektura.*

KEVIN
HEARNE

*Debiut oryginalny i kreatywny,
mówiący silnym głosem.*

REBECCA ROANHORSE

*Ta książka szanuje inteligencję
czytelnika. To dla mnie
bardzo ważne.*

ROBIN HOBB

*O rany, jaka
ta książka
była dobra.*

NICHOLAS
EAMES

fabrykaslow.com.pl

 /fabryka

 /fabrykaslow

